

NORA  
ROBERTS

Życie na sprzedaż

# Prolog

**Los Angeles, 1990**

zahamowała ostro, wjeżdżając na krawężnik. Radio było nastawione na cały regulator. Przycisnęła obie dłonie do ust, żeby stłumić histeryczny śmiech. Powiew przeszłości, powiedział disk jockey. Powiew przeszłości. Devastation ciągle jeszcze grała rocka.

Odruchowo wyłączyła silnik, wyjęła kluczyki, otworzyła drzwi. Wieczór był ciepły, ale drżała na całym ciele. Po niedawnym deszczu nad asfaltem wirowały kłęby pary. Biegła wśród mgły, oglądając się w panice. W prawo, w lewo, za siebie.

Ciemność. Niemal zapomniała, że w ciemnościach kryją się stwory.

Pchnęła drzwi i zmrużyła oczy, porażona światłem. Wiedziała jedno: śmiertelnie się boi i musi znaleźć kogoś, kto jej wysłucha.

Biegła korytarzami, a jej serce wybijało szalony rytm. Wokół dzwoniły dziesiątki telefonów, krzyki, pytania, skargi zlewały się w natrętny szum, ktoś kłął nieprzerwanie jednostajnym głosem. Ujrzała drzwi oznaczone tabliczką „Wydział zabójstw” i zdławiła szloch.

Siedział za biurkiem, z jedną nogą na księdze aresztowań, przytrzymując ramieniem słuchawkę. Podnosił do ust styropianowy kubek z kawą.

- Proszę, pomóż mi! - Opadła na krzesło naprzeciwko niego. - Ktoś próbuje mnie zabić.

# Rozdział I

Londyn, rok 1967

Emma miała prawie trzy lata, kiedy po raz pierwszy zobaczyła ojca. Wiedziała, jak wygląda. Jego zdjęcia - wycinane skrupulatnie przez matkę z gazet i magazynów - zajmowały każdy wolny skrawek zagraconego, trzypokojowego mieszkania. Jane Palmer nosiła swoją córkę Emmę od fotografii zdobiących, liszajowate ściany do zdjęć stojących na zakurzonych, pokierszowanych meblach i opowiadała o romansie, który kwitł swego czasu między nią a Brianem McAvoyem, liderem popularnej grupy rockowej Devastation. Im więcej wypija, tym romans był w jej wspomnieniach wspólniejszy.

Emma rozumiała niewiele z tego, o czym opowiadała jej matka. Wiedziała, że mężczyzna na zdjęciach był kimś ważnym, że jego zespół grał dla królowej. Nauczyła się rozpoznawać jego głos płynący z radia lub z singli, które kolekcjonowała Jane.

Lubiła głos ojca i to, co - jak się później dowiedziała - było nieznacznym irlandzkim akcentem.

Sąsiedzi użalali się nad biednym maleństwem zdanym na matkę, która miała słabość do dżinu i paskudny charakter. Czasem docierał do nich przenikliwy głos Jane, rzucane przez nią przekleństwa i zawođenje Emmy. Panie zajęte trzepaniem dywaników lub rozwieszaniem cotygodniowego prania zaciskały wtedy usta i wymieniały znaczące spojrzenia.

Na początku lata 1967 roku często kręciły głowami, słysząc płacz małej dobiegający z otwartego okna. Zgodnie doszły do wniosku, że Jane Palmer nie zasługuje na tak słodką córeczkę, ale sprawę tę przedyskutowały we własnym gronie. Żadnemu z mieszkańców tej dzielnicy Londynu nie przyszłoby do głowy donieść władzom o wyczynach pani Palmer.

Rzecz jasna, Emma nie rozumiała takich określeń jak alkoholizm i choroba psychiczna, ale już w wieku trzech lat nieomylnie rozpoznawała humory matki. Wiedziała, którego dnia może spodziewać się uśmiechu i pieszczot, a którego czeka ją bura i klapsy Kiedy atmosfera w mieszkaniu stawała

się wyjątkowo ciężka, brała czarnego pluszowego psa Karola, wpełzała do szafki pod kuchennym zlewem i przeczekiwała, w ciemnościach i wilgoci, atak złego humoru matki.

Czasami nie udawało jej się zrobić tego dość szybko.

- Siedź prosto, Emmo! - Jane przeciągnęła szczotkę po jasnych włosach córki. Zacisnąwszy zęby, stłumiła nagłą chęć zdzielenia dziecka szczotką przez plecy. Nie straci panowania nad sobą, nie dzisiaj. - Będziesz śliczna. Przecież chcesz być dzisiaj śliczna, prawda?

Emmie nie zależało na tym specjalnie, nie wtedy, gdy szczotka kaleczyła jej skórę na głowie, a nowa różowa sukienka była tak wykrochmalona, że aż drapała. Emma dalej kręciła się na stołku, podczas gdy Jane próbowała związać wstążką jej niesforne loki.

- Powiedziałam, siedź spokojnie.

Emma pisnęła, kiedy matka wpiła palce w jej kark.

- Nikt nie lubi brudnych, potarganych dziewczynek. - Jane wzięła dwa głębokie oddechy i rozluźniła uścisk. Nie chciała posiniaczyć dziecka. Kochała je, naprawdę. Byłoby źle, gdyby Brian zobaczył siniaki, bardzo źle.

Ściągnęła Emmę ze stołka, nadal trzymając ją mocno za ramię.

- Cóż to za nadąsana buzia! - Ale była zadowolona z inspekcji. Ze swoimi jasnymi, puszystymi włosami i wielkimi, niebieskimi oczami Emma wyglądała jak rozpieszczona księżniczka. — Spójrz tylko! - Jane odwróciła córkę w stronę lustra, tym razem delikatnie. - Czy nie jesteś ładna?

Badając swoje odbicie w upstrzonym plamkami lustrze, Emma wydeła usta. Mówiła londyńską gwarą tak jak matka, sepleniąc po dziecinnemu.

- Dłapie.

- Dama musi pocierpieć, jeżeli chce podobać się mężczyźnie. - Jane czarny wyszczuplający gorset też wpijał się boleśnie w ciało.

- Dlaczego?

- To część bycia kobietą. - Jane okręciła się przed lustrem, oglądając swoje odbicie najpierw z lewego, potem z prawego boku. W ciemnoniebieskiej sukni jej pełne kształty prezentowały się korzystnie, materiał opinał ją szczelnie, uwydatniając obfity biust. Brian zawsze lubił jej piersi, pomyślała i poczuła nagły przypływ podniecenia.

Boże, nikt przed nim ani nikt po nim nie dorównał mu w łóżku. Miał w sobie żądzę, dziką żądzę, ukrytą starannie pod maską opanowania i pewności siebie. Znała go od dzieciństwa i przez ponad dziesięć lat z przerwami była jego kochanką. Nikt nie wiedział lepiej od niej, co potrafi Brian McAvoy w stanie pełnego podniecenia erotycznego.

Na chwilę zatopiła się w marzeniach, wyobrażając sobie, że zrywa z niej sukienkę, błądzi wzrokiem po jej ciele, a jego smukłe palce rozpinają plisowany gorset.

Byliśmy dobrzy we dwoje, przypomniała sobie, czując falę wilgoci między udami. I znów będziemy.

Przywołała się do porządku, ujęła szczotkę i przygładziła fryzurę. Za ostatnie pieniądze, przeznaczone na życie, kazała ufarbować sięgające ramion włosy, tak by harmonizowały z lokami Emmy. Kręcąc głową, patrzyła, jak miękko się układają. Zanim minie dzisiejszy dzień, nigdy już nie będzie musiała martwić się o pieniądze.

Usta miała starannie pociągnięte różową szminką o bardzo bladym odcieniu, tak jak supermodelka Jane Asher z okładki ostatniego numeru „Vogue”. Zdenerwowana, sięgnęła po czarną kredkę i pogrubiała kreski w kącikach oczu.

Emma patrzyła na nią zafascynowana. Dzisiaj matka nie pachniała dżinem, lecz wodą kolońską Tygryśca. Emma sięgnęła po szminkę i dostała po palcach.

- Trzymaj łapy z dala od moich rzeczy! - Jane wymierzyła córce dodatkowego klapsa. - Nie mówiłam ci, żebyś niczego nie dotykała?!

Emma przytaknęła. Oczy miała już pełne łez.

- I nie waż się beczeć! Nie chcę, żeby zobaczył cię po raz pierwszy z oczami jak królik i zapuchniętą twarzą. Powinien już tu być. - W głosie matki pojawiła się ostra nuta, więc Emma odsunęła się na bezpieczną odległość. - Jeżeli zaraz nie przyjdzie... - Jane przećwiczyła w myślach różne warianty działania, uważnie studiując swoją sylwetkę w lustrze.

Zawsze była dużą dziewczyną, ale nigdy nie była gruba. To prawda, suknia wydawała się przyciasna, ale opinała ją w interesujących miejscach. Chude dziewczyny mogą być w modzie, ale ona wiedziała, że kiedy gaśnie światło, mężczyźni wolą okrągłe, dobrze zbudowane kobiety. Żyła ze swojego ciała dość długo, by się o tym przekonać.

Ta lustracja dodała Jane pewności siebie. Wyobraziła sobie, że przypomina blade posępne modelki, za którymi szaleje Londyn. Nie miała dość zmysłu krytycznego, by dostrzec, że fryzura w kolorze jasnoblond nie pasuje do jej karnacji, a proste jak druty włosy nadają rysom ostry wyraz. Pragnęła być na fali. Zawsze.

- Pewnie mi nie uwierzył. Nie chciał uwierzyć. Mężczyźni nigdy nie chcą swoich dzieci - zadrzała. Jej ojciec nie chciał, w każdym razie, dopóki nie zaczęły rosnać jej piersi. - Pamiętaj o tym, Emmo, moje dziecko! - Spojrzała na córkę z namysłem. - Mężczyźni nie chcą dzieci. Kobieta jest im potrzebna do jednego, a do czego, dowiesz się aż nazbyt wcześnie. Robią swoje i do widzenia, a ty zostajesz z wielkim brzuchem i złamanym sercem.

Wzięła papierosa. Spacerowała po pokoju, zaciągając się nerwowo. Żeby to była trawka, zapragnęła- słodka, uciszająca niepokoje trawka!

Niestety, pieniądze na narkotyki poszły na nową sukienkę Emmy. Och, to matczyne poświęcenie!

- No cóż, może cię nie chceć, ale nie będzie mógł się ciebie wyprzeć. Wystarczy spojrzeć. - Mrużąc oczy przed dymem, badała wzrokiem córkę. Targnęło nią gwałtowne uczucie, niemal macierzyńskie. Po dokładnym myciu bachor wyglądał jak z obrazka. - Jesteś jego cholernym odbiciem, Emmo, złotko. W gazetach pisali, że żeni się z tą dziwką Wilson. Rodowa forsa i wyszukane maniery. Ale jeszcze zobaczymy! Zobaczymy! Wróci do mnie. Zawsze wiedziałam, że wróci. - Zdusiła papierosa w wyszczerbionej popielniczce. Dopalał się, dymiąc. Potrzebowała drinka, odrobinę dżinu na uspokojenie nerwów. - Usiądź na łóżku - nakazała małej. - Siedź i bądź cicho. Ruszysz moje rzeczy, to pożałujesz.

Wypiła dwa drinki, zanim rozległo się pukanie do drzwi. Serce zaczęło jej walić. Jak większość pijaków czuła się po alkoholu bardziej atrakcyjna, bardziej opanowana. Przygładziła włosy, przywołała na twarz coś, co miało być zmysłowym uśmiechem, i otworzyła drzwi.

Był piękny. Przez chwilę widziała tylko jego zalaną słońcem postać, wysoką i smukłą, falujące blond włosy i pełne, surowe usta, które nadawały mu wygląd poety, a może apostoła. Kochała go na tyle, na ile w ogóle była zdolna kochać.

- Brian! Jak to miło, że wpadłeś! - Jej uśmiech zniknął, gdy dostrzegła dwóch towarzyszących mu mężczyzn. - Podróżujesz w grupie, Bri?

Nie miał ochoty na żarty. Gotowało się w nim z wściekłości na myśl, że został zmuszony do ponownego spotkania z Jane i wyładował gniew na swoim menedżerze i narzeczonej. Teraz, kiedy już tu był, miał zamiar wyjść tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Pamiętasz Johnno?~ Brian wszedł do mieszkania. Zapach dżinu, potu i tłuszczu z wczorajszego obiadu obudził w nim niemiłe wspomnienia z dzieciństwa.

- Jasne! - Jane skinęła krótko głową wysokiemu basiście. Miał diament na małym palcu i brodę pokrytą ciemnym meszkiem. - Podbijamy świat, co Johnno?

Johnno rozejrzał się po obskurnym mieszkaniu.

- Niektórzy z nas.

- To Pete Page, nasz menedżer.

- Panno Palmer! - Ugrzeczniony trzydziestolatek błysnął w uśmiechu białą zębów i podał Jane wypielegnowaną dłoń.

- Mnóstwo o panu słyszałam. - Ręka Jane spoczęła w jego dłoni w sposób, który sugerował, że powinien podnieść ją do ust. Pete to zignorował. - Zrobił pan z naszych chłopców gwiazdorów.

- Uchyliłem przed nimi odpowiednie drzwi.  
- Występ dla królowej, program w telewizji, nowy album na liście przebojów i już wkrótce wielkie amerykańskie tournée... - Jane obejrzała się na Briana. Miał włosy niemal do ramion, twarz szczupłą, bladą i wrażliwą. Zdjęcia tej twarzy zdobiły ściany pokoiów nastolatków po obu stronach Atlantyku, a drugi album, *Complete Devastation*, piął się w górę list przebojów. - Zdobyliście wszystko, czego pragnęliście...

Niech go licha, jeżeli pozwoli wzbudzić w sobie poczucie winy za to, że do czegoś w życiu doszedł!

- To prawda.

- Niektórzy dostają więcej, niż pragną. - Odrzuciła w tył swoje długie włosy. Ze złotych kul, które nosiła w uszach, łuszczyła się farba. Umilkła na chwilę, przywołując uśmiech na twarz. Miała dwadzieścia cztery lata, była o rok starsza od Briana, i jej zdaniem, o wiele mądrzejsza. - Zaproponowałabym panom herbatę, ale nie spodziewałam się tak licznej kompanii.

- Nie przyszliśmy na herbatę. - Brian wcisnął ręce w kieszenie opinających biodra džinsów. Posępny wyraz twarzy, z jakim tu jechał, jeszcze się pogłębił. To prawda, był młody, ale wyrósł na twardziela. Nie miał zamiaru pozwolić, by ta zniszczona, przeziębiona dziewczyna, chora z samotności baba narobiła mu kłopotów. - Tym razem nie powiadomiłem policji, Jane. Z uwagi na dawne czasy. Ale jeżeli nadal będziesz mnie szantażować, dzwonić albo pisać listy z pogrózkami, zrobię to, możesz mi wierzyć.

Podmalowane grubą kreską oczy Jane się zwięzły.

- Chcesz nasłać na mnie gliniarzy? Proszę cię bardzo! Ciekawe, co powiedzą twoi fani i ich stetryczali rodzice, kiedy przeczytają o tym, jak zrobiłeś mi dziecko. I jak porzuciłeś mnie i swoją biedną córeczkę, a sam tarzałeś się w forsie i żyłeś niby król. Jak to będzie wyglądało, panie Page? Myśli pan, że uda się panu załatwić Brianowi i chłopakom drugi występ u królowej?

- Panno Palmer! — Głos Petera był łagodny i spokojny.

Spędził wiele godzin, szukając wyjścia z sytuacji. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że tracił niepotrzebnie czas. Rozwiązaniem były pieniądze.

- Jestem pewien, że nie chce pani rozgłaszać w prasie o swoich prywatnych problemach. I nie sądzę, żeby mogła pani mówić o porzuceniu, którego nie było.

- Och! Brian, czy to jest twój menedżer, czy cholerny adwokat?

- Nie byłaś w ciąży, kiedy cię zostawiłem.

- Nie wiedziałam, że jestem w ciąży! - krzyknęła i uczepliła się jego czarnej skórzanej kamizelki. - Upewniłam się dopiero dwa miesiące później. Już cię nie było. Nie miałam pojęcia, gdzie cię szukać. Mogłam się tego

pozbyć. - Przyłgnęła do niego mocniej, kiedy zaczął odrywać od siebie jej rękę. - Znałam ludzi, którzy mogli mi to załatwić, ale się bałam. Bardziej bałam się skrobanki niż tego, że je będę miała.

- No więc urodziła dzieciaka. - Johnno przysiadł na poręczy fotela, wydobył gauloise'a i ciężką złotą zapalniczkę. Przez ostatnie dwa lata nabrał kosztownych zwyczajów i świetnie się z tym czuł. - To nie znaczy, że twojego, Bri.

- Jego, ty popieprzony pedale!

- No, no! - Johnno pozostał nieporuszony. Zaciągnął się dymem i dmuchnął nim wolno w twarz Jane. - Prawdziwa z ciebie dama, co?

- Daj spokój, Johnno. - Głos Petera nie stracił nic ze swojej łagodności. - Panno Palmer, jesteście tu, by załatwić sprawę po cichu.

Strzała w dziesiątkę, pomyślała Jane.

- Nie wątpię. Wiesz, że nie byłam wtedy z innym, Brian. - Przyłgnęła do niego, rozplaszczając biust na jego klatce piersiowej. - Pamiętasz Boże Narodzenie, ostatnie nasze wspólne święta? Byliśmy na prochach i trochę nas poniosło. Nigdy nie stosowaliśmy żadnych środków. Emma skończy trzy lata we wrześniu.

Pamiętał, choć wołałby zapomnieć. Miał dziewiętnaście lat, wypełniała go muzyka i złość. Ktoś przyniósł kokę, wziął po raz pierwszy w życiu i poczuł się jak rasowy ćpun. Skręcało go z pożądania. Chciał się pieprzyć.

- A więc masz dziecko i myślisz, że jest moje. Dlaczego czekałaś tak długo, żeby mi o tym powiedzieć?

- Mówiłam już, że nie mogłam cię znaleźć.

Jane zwilżyła usta, marząc o kolejnym drinku. Lepiej mu nie mówić, że podobała jej się wtedy rola męczenniczki, biednej panny z dzieckiem, zupełnie samej na świecie. I że znaleźli się mężczyźni, jeden czy dwóch, którzy pragnęli ulżyć jej niedoli.

- Poszłam do agencji dla dziewcząt, które znalazły się w kłopotach. Myślałam, że ją oddam, no wiesz, do adopcji. Ale kiedy już się urodziła, nie mogłam. Była taka podobna do ciebie. Pomyślałam, że dowiesz się i będziesz wściekły. Bałam się, że nie dasz mi jeszcze jednej szansy.

Rozplakała się. Duże, grube łzy spływały po jej twarzy, rozmazując pokłady makijażu. Były brzydkie i bardziej niepokojące, bo szczerze.

- Wiedziałam, że wrócisz, Brian. Wiedziałam od czasu, gdy w radiu zaczęli nadawać twoje piosenki, a w sklepach muzycznych pojawiły się twoje plakaty. Piąłeś się w górę. Czułam, że ci się uda. Ale, Jezus, nigdy bym nie przypuszczała, że będziesz taki sławny. Zaczęłam się zastanawiać...

- Nie wątpię... - mruknął Johnno.

- Zaczęłam się zastanawiać - powiedziała przez zaciśnięte zęby - czy nie chciałbyś wiedzieć o dziecku. Poszłam do twojego dawnego mieszkania,



ale wyprowadziłeś się i nikt nie chciał mi powiedzieć, dokąd. Ale myślałam o tobie każdego dnia. Spójrz! - Ujmując go za ramię, wskazała na zdjęcia, którymi okleiła ściany. - Wycięłam i zachowałam wszystko, co ukazało się na twój temat.

Spojrzał na swoją powieloną dziesiątki razy postać. Ścisnęło go w żołądku.

- Jezu!

- Zadzwoiłam do twojej wytwórni, nawet tam poszłam, ale potraktowano mnie jak śmiecia. Powiedziałam, że jestem matką córeczki Briana McAvoya, a oni mnie wyrzucili. - Nie uznała za słuszne dodać, że była pijana i zaatakowała recepcjonistkę. - Potem pojawiły się wzmianki o tobie i Beverly Wilson. Wpadłam w rozpacz. Wiedziałam, że po tym, co między nami zaszło, ona nie może się liczyć. Ale musiałam się jakoś z tobą skontaktować.

- Dzwoniąc do Beverly i robiąc karczemną awanturę? To nie był najlepszy pomysł.

- Musiałam z tobą porozmawiać, zmusić cię, żebyś mnie wysłuchał. Wiesz, jak to jest, Bri, martwić się o pieniądze na czynsz, obliczać, czy starczy na jedzenie. Nie mogę już kupować sobie ładnych rzeczy ani wybrać się gdzieś wieczorem.

- Więc chodzi ci o pieniądze?

Jej wahanie trwało o sekundę za dłużej.

- Chcę ciebie, Bri, zawsze chciałam tylko ciebie.

Johnno zdusił niedopałek w doniczce z plastikowym kwiatkiem.

- Wiesz co, Bri? Ciągłe słyszę o tym dzieciaku, ale jakoś go nie widzę. - Wstał, odrzucając charakterystycznym ruchem kosmyk skołtunionych czarnych włosów. - Spadamy stąd?

- Emma jest w sypialni. Bri, twoi kumple mogą chyba poczekać na zewnątrz? To jest sprawa między tobą a mną.

Johnno wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zawsze najlepiej pracowało ci się w sypialni, prawda, skarbie?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W ich oczach malował się wstręt, który zawsze do siebie czuli.

- Bri, kiedyś ona była dziwką pierwszej klasy, teraz spadła o klasę niżej. Czy możemy już iść?

- Ty cholerny pedale! - Jane skoczyła ku niemu, ale Brian chwycił ją wpół. - Nie wiedziałbyś, co zrobić z kobietą, nawet gdyby ugryzła cię w koguta!

Nadal się uśmiechał, ale jego oczy zlodowaciały.

- Chcesz spróbować, kochaneczko?

- Zawsze mogę liczyć na to, że ułatwisz mi życie, Johnno - mruknął Brian, odwracając Jane twarzą do siebie. - Powiedziałas, że to sprawa między nami, więc załatwiał ją ze mną. Muszę zobaczyć dzieciaka.

Oni tu zostaną — warknęła, sięgając po kolejnego papierosa. - Pójdiesz tylko ty. To sprawa osobista.

- W porządku. Poczekać tutaj. - Nie zdejmując ręki z ramienia Jane, Brian ruszył w stronę sypialni. Była pusta. - Mam dość tej zabawy, Jane.

- Ona się schowała. Przestraszyła się tych ludzi, to wszystko. Emma! Chodź natychmiast do mamy! - Jane opadła na kolana przy łóżku, potem dźwignęła się, żeby przeszukać wąską szafę. - Jest pewnie w ubikacji. - Jane pchnęła drzwi na korytarz.

- Brian! — zawołał Johnno z kuchni. - Znalazłem coś, co cię zainteresuje. - Wyciągnął szklanke w stronę Jane i skłonił się, jakby chciał wypić jej zdrowie. - Nie masz chyba nic przeciwko temu, że zrobiłem sobie drinka, co skarbie? Butelka stała otwarta. - Ruchem kciuka wskazał na szafkę pod zlewem.

Zapach stęchlizny był tutaj silniejszy. Alkohol, gnijące odpadki, wilgotne szmaty. Buty Briana kleiły się do linoleum, kiedy przechodził przez kuchnię. Przykucnął przy szafce i otworzył drzwiczki.

W środku było zbyt ciemno, by mógł widzieć ją dokładnie. Zauważył tylko, że jasne włosy opadają dziewczynce na oczy, a w ramionach tuli coś czarnego. Poczul, że żołądek wywraca mu się na drugą stronę, ale spróbował się uśmiechnąć.

- Cześć!

Emma wtuliła twarz w puszyste futerko psiaka.

- Nieznośny bachor. Już ja ci dam za to chowanie się przed matką! - Jane chciała chwycić córkę, ale powstrzymała się, napotykając spojrzenie Briana.

Wyciągnął rękę z uśmiechem.

- Nie sądzę, żebyśmy zmieścili się tam razem, Emmo. Czy mogłabyś wyjść na chwilkę? - Zobaczył, że zerka znad ramion obejmujących psa. - Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Ma miły głos, pomyślała Emma, miękki i ładny jak muzyka. Uśmiechał się do niej. Światło z kuchennego okna padało na jego głowę, rozświetlając włosy o barwie starego złota. Błyszczały jak włosy aniołów. Emma zachichotała i wyczołgała się z szafki.

Jej nowa sukienka była poplamiona, puszyste włosy mokre, bo zlew w kuchni przeciekał. Uśmiechnęła się, ukazując białe ząbki. Miała krzywą jedynekę. Brian przesunął językiem po zębach, wyczuwając znajomy kształt. Kiedy się uśmiechnęła, w lewym kącie ust powstał dołeczek, bliźniaczko podobny do jego własnego. Z twarzy dziecka patrzyły na niego oczy równie głębokie i niebieskie jak te, które widywał w lustrze.

- Wypucowałam ją. - W głosie Jane brzmiała teraz jękliwa nuta. Zapach dżinu sprawił, że ślina napłynęła jej do ust, ale nie śmiała nalać sobie szklanczki. - Powiedziałam jej, żeby się nie wybrudziła. Nie powiedziałam ci,

Emmo, żebyś się nie wybrudziła? Umyję ją. - Chwyliła ramię córki tak mocno, że dziewczynka aż podskoczyła.

- Zostaw ją.

- Chciałam tylko...

- Zostaw ją - powtórzył Brian stłumionym głosem. Była w nim groźba. Gdyby na nią nie patrzył, Emma z pewnością umknęłaby z powrotem pod zlew. Jego dziecko. Przez chwilę mógł tylko gapić się na nią, z pustką w głowie i ściśniętym żołądkiem.

- Cześć, Emmo! - W jego głosie brzmiał teraz słodki ton, który kobiety uwielbiały. - Co tam masz?

- Karola, mojego psa. - Wręczyła Brianowi wypchaną zabawkę, żeby mógł ją dokładnie obejrzeć.

- Bardzo ładny. - Pragnął dotknąć Emmy, przesunąć palcami po jej skórze, ale się opanował. - Wiesz, kim jestem?

- Znam cię ze zdjęć. - Zbyt młoda, by zapanować nad swoimi odruchami, dotknęła jego twarzy. - Jesteś ładny.

Johnno zaśmiał się i łyknął dzinu.

- A to dobre!

Ignorując go, Brian zmierzwił wilgotne loki Emmy.

- Ty też jesteś ładna.

Mówił jakieś głupstwa, przyglądając się dziecku uważnie. Nogi pod nim drżały, a żołądek zaciskał się i rozluźniał jak dłoń przed zadaniem ciosu. Kiedy się śmiała, dołeczek w policzkach pogłębiał się. Miał dziwne wrażenie, że patrzy na samego siebie. Byłoby łatwiej i o niebo prościej, gdyby mógł temu zaprzeczyć. Stworzyła ją, nieważne - świadomie czy nie. Ale wiedza niekoniecznie oznacza akceptację.

Wstał.

- Spóźnimy się na próbę - zwrócił się do Pete'a.

- Wychodzisz?! - Jane rzuciła się naprzód, tarasując mu drogę. - Tak po prostu? Wystarczy na nią spojrzeć, żeby się przekonać!

- Widziałem dość. - Targnęło nim poczucie winy, kiedy zobaczył, że Emma cofa się chyłkiem w stronę zlewu. - Muszę pomyśleć.

- Nie, nie! Odejdiesz tak jak wtedy. Myślisz tylko o sobie, jak zawsze. Liczy się tylko to, co dobre dla Briana, dla jego kariery. Nie pozwolę, żebyś mnie znów zostawił. - Był już niemal przy drzwiach, kiedy porwała Emmę i pobiegła za nim. - Jeżeli odejdiesz, zabiję się!

Stanął i dopiero po chwili się obejrzał. Znał tę piosenkę na pamięć.

- To już dawno przestało działać.

- I ją. - Rzuciła te słowa w rozpacz, pozwoliła, by zawisły między nimi, podczas gdy oboje rozważali ich znaczenie. Ramię, którym obejmowała Emmę, zaciskało się, aż dziewczynka zaczęła krzyczeć.

Brian poczuł falę paniki, kiedy płacz dziecka, jego córki, wypełnił pokój.

- Puść ją, Jane. Robisz jej krzywdę.
- A co cię to obchodzi? - Jane chlipała teraz, podnosząc głos coraz wyżej i wyżej, żeby zagłuszyć szlochy Emmy. - Odchodzisz!
- Nie odchodzę. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby pomyśleć.
- Tak, żeby twój menedżer mógł wykombinować jakąś historyjkę. - Jane oddychała szybko, przytrzymując Emmę obu rękami. - Tym razem zrobisz to, co ja chcę, Brian.

Jego dłonie zacisnęły się w pięści.

- Puść dziecko.
- Zabiję ją. - Powiedziała to spokojnie, skupiając się wyłącznie na tym. - Poderżnę gardło najpierw jej, potem sobie, przysięgam. Będziesz mógł żyć z tą świadomością, Brian?

- Ona blefuje - mruknął Johnno, ale dłonie miał mokre od potu.

- Nie mam nic do stracenia. Myślisz, że chcę tak żyć? Wychowywać bachora sama jedna, narażać się na ploty sąsiadów? Nie mieć możliwości wyjścia i zabawienia się? Pomyśl o tym, Bri. Pomyśl też o tym, co napiszą w gazetach. Opowiem im wszystko, zanim zabiję nas obie.

- Panno Palmer! - Pete wyciągnął dłoń, chcąc załagodzić sytuację. - Daję pani słowo, że załatwimy sprawę w sposób, który zadowoli wszystkie zainteresowane strony.

- Niech Johnno zabierze Emmę do kuchni. - Brian postąpił krok w stronę Jane. - Znajdziemy wyjście, które będzie odpowiadało wszystkim.

- Chcę tylko, żebyś wrócił.
- Nigdzie nie idę. - Odetchnął, widząc, że uścisk Jane słabnie. - Porozmawiamy. - Nieznacznym skinieniem głowy dał znak Johnno. - Przedyskutujemy sprawę. Może usiądziemy?

Johnno niechętnie wyłuskał dziewczynkę z ramion matki. Z natury wybredny, skrzywił się na zapach, którym Emma przesiąknęła pod zlewem, ale zaniósł ją do kuchni. Kiedy nie przestawała płakać, posadził dziewczynkę na kolanach i pogłaskał po głowie.

- No, ślicznotko, już, już! Johnno nie pozwoli, by stało ci się coś złego. - Podrzucił ją na kolanie, myśląc o tym, do czego była zdolna jej matka. - Chcesz ciasteczko?

Pochlipując, z twarzyczką mokrą od łez, przytaknęła.

Podrzucił ją jeszcze parę razy. Pod pokładem brudu i łez jest miłym stworzonkiem, zdecydował. I córką McAvoya, przyznał z westchnieniem. Stuprocentową panną McAvoy.

- No więc, gdzie te ciastka?

Uśmiechnęła się, wskazując na górną szafkę.

W ciągu paru minut zjedli ciasteczka i wypili słodką herbatę, którą przygotował. Stojąc w drzwiach kuchni, Brian patrzył, jak Johnno krzywi twarz, żeby rozśmieszyć jego córkę. Kiedy robi się krucho, pomyślał, zawsze można liczyć na Johnno.

Przesunął dłonią po włosach Emmy.

- Chciałabyś przejechać się moim samochodem?

Zlizała z ust okruchy ciastek.

- Razem z Johnno?

- Aha, razem z Johnno.

- Jestem jej ulubieńcem. - Johnno wpakował do ust herbatnik.

- Chciałbym, żebyś zamieszkała ze mną, w moim nowym domu.

- Bri!

Uciszył Johnno uniesieniem dłoni.

- To ładny dom i miałabyś swój pokój.

- Muszę?

- Jestem twoim tatą, Emmo, i chciałbym, żebyś mieszkała ze mną. Spróbuj. Jeżeli ci się nie spodoba, wykombinujemy coś innego.

Emma wyduła dolną wargę, przyglądając mu się badawczo. Przywykła do jego twarzy, choć w rzeczywistości wyglądał trochę inaczej niż na zdjęciach. Nie wiedziała, na czym polega ta różnica i nie interesowało jej to w najmniejszym stopniu. Jego głos sprawiał, że czuła się bezpieczna.

: - Mama też pojedzie?

- Nie.

.- Oczy Emmy wypełniły się łzami, ale wzięła swojego sponiewieranego czarnego psa i przycisnęła mocno do piersi.

- A Karol?

- Oczywiście, że tak. - Brian uniósł ją w ramionach.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, synu.

Brian posłał mu spojrzenie znad głowy Emmy.

- Ja też mam taką nadzieję.

## Rozdział 2

Emma ujrzała wielki kamienny dom po raz pierwszy zza szyby srebrnego jaguara. Było jej przykro, że Johnno ze swoją śmieszna brodą zniknął, ale mężczyzna z fotografii pozwolił jej wciskać guziki na desce rozdzielczej. Nie uśmiechał się już, ale i nie krzychał. Pachniał ładnie. Samochód też ładnie pachniał. Przycisnęła nos Karola do siedzenia i zabawiła go rozmową.

Dom o łukowatych oknach i okrągłych wieżyczkach wydał się Emmie ogromny. Zbudowany z kamienia, poszarzały ze starości, okna miał złożone z małych szybek. Otaczał go gęsty zielony trawnik, a w powietrzu unosił się zapach kwiatów. Emma roześmiała się, podskakując z podniecenia.

- Zamek!

Uśmiechnął się w końcu.

- Tak, też tak kiedyś myślałem. Jako dziecko chciałem mieszkać w domu takim jak ten. Mój tata, twój dziadek, pracował tu w ogrodzie.

W tych rzadkich chwilach, kiedy nie był zalany w trupa, dodał w myślach.

- Jest tutaj?

- Nie, mieszka w Irlandii.

W domku, który Brian kupił przed rokiem za zaliczkę otrzymaną od Pete'a. Zaparkował samochód przed frontowymi drzwiami i uświadomił sobie, że musi wykonać parę telefonów, zanim historia o jego córce trafi na pierwsze strony gazet.

- Poznasz go kiedyś. Poznasz swojego dziadka, swoje ciotki, wujków i kuzynów. - Uniósł ją, zdziwiony, z jaką łatwością wpasowała się w jego ramiona. - Masz teraz rodzinę, Emmo.

Kiedy wszedł do holu, ciągle z córką na ręku, usłyszał bez troski głos Beverly.

- Myślę, że błękit, czysty błękit - mówiła szybko. - Nie mogłabym żyć wśród tych wszystkich kwiatów na ścianach. Te potworne kotary trzeba usunąć. Pokój wygląda jak jaskinia. Tylko biel, biel i błękit.

Stanął w drzwiach salonu i zobaczył Bev siedzącą na podłodze pośród katalogów z próbkami materiałów. Tapeta na ścianie była już częściowo zerwana, na jej miejscu widniała próbka nowej. Bev nie kupowała kota w worku.

Wyglądała tak krucho i słodko wśród tego pobojuwiska. Ciemna, przycięta krótko czupryna opadała jej na policzki, w uszach połyskiwały wielkie złote kule. Oczy były egzotyczne, tak w kolorze, jak i kształcie, a na dnie tęczy o barwie morskiej wody migotały złote błyski. Jej opalona skóra świadczyła o weekendzie spędzonym na Bahamach. Wiedział doskonale, jak teraz pachnie i smakuje.

Miała drobną trójkątną twarzyczkę i szczupłe kanciaste ciało. Patrząc na nią, siedzącą po turecku w luźnych spodniach i schludnej białej koszuli, nikt by nie przypuszczał, że jest w trzecim miesiącu ciąży.

Brian poprawił sobie Emmę w ramionach, zastanawiając się, jaka będzie reakcja Beverly na jego nową córkę.

- Bev!

- Brian, nie słyszałam cię. - Bev odwróciła się, unosząc z lekka, i zamarła. - O! - Zbladła, widząc dziecko w jego ramionach, ale szybko przy-

szła do siebie. Wstała i zwracając się do dwóch dekoratorów, którzy dyskutowali nad katalogiem z próbkami, powiedziała:

- Musimy jeszcze raz omówić tę sprawę z Brianem. Zadzwoń do was pod koniec tygodnia.

Składając obietnice i rozpływając się w zachwytach, wypchnęła ich z domu. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, wzięła głęboki oddech i położyła dłoń na dojrzewającym w jej ciele dziecku.

- To jest Emma.

Bev zdobyła się na uśmiech.

- Cześć, Emmo!

- Siku! - Dziewczynka, zawstydzona nagle, wtuliła twarz w szyję Briana.

- Emmo, miałabyś ochotę poglądać telewizję? - Brian poklepał ją po krzepiająco po pupie. Zadrzała tylko. - W pokoju obok jest ogromny telewizor. Możecie usiąść z Karolem na kanapie - ciągnął rozpaczliwie pogodnym tonem.

- Chcę siusiu - wyszeptła.

- No cóż...

Bev dmuchnięciem odrzuciła grzywkę z oczu. Mogłaby się roześmiać, gdyby tak bardzo nie chciało jej się płakać.

- Ja ją zaprowadzę.

Ale Emma przyłgnęła mocniej do szyi Briana.

- Wydaje mi się, że to na mnie spadł honor. - Zaprowadził ją do toalety po drugiej stronie holu, posłał Bev bezradne spojrzenie i zamknął drzwi. - Czy ty...? - Urwał, widząc, że ściąga majtki i sadowi się na sedesie.

- Nie mocz majtek - poinformowała go rzeczowo. - Mama mówi, że tylko głupie, niedobre dziewczynki to robią.

- Jesteś już duża — powiedział, tłumiąc nową falę gniewu. — Bardzo ładna i bardzo mądra.

Emma skończyła i z niemałym trudem wbiła się z powrotem w majtki.

- Ty też będziesz oglądał telewizję?

- Za chwilę. Muszę porozmawiać z Bev. Jest bardzo miłą panią - dodał, podnosząc ją, by mogła dosięgnąć kranu. - Ona też ze mną mieszka.

Emma bawiła się wodą.

- Czy ona bije?

- Nie. - Przyciągnął ją do siebie, tuląc mocno. - Nikt cię już nigdy nie uderzy, obiecuję.

Wstrząśnięty, zaniósł ją do salonu z wygodną kanapą i ogromnym telewizorem. Nastawił go na jakiś głośny program rozrywkowy.

- Zaraz wracam.

Emma patrzyła, jak odchodzi, i odetchnęła z ulgą, kiedy zostawił drzwi otwarte.

- Lepiej chodźmy tam. - Bev wskazała drzwi do salonu. Usiadła na podłodze i zaczęła składać katalogi z próbkami. - Więc Jane nie kłamała.

- Nie, dziecko jest moje.

- To widać, Bri. Jest tak podobna do ciebie, że to przerażające. - Poczują pod powiekami łzy i znienawidziła się za nie.

- O Boże, Bev!

- Nie, nie rób tego - powiedziała, kiedy wyciągnął rękę, żeby ją objąć. - Muszę się opanować. To szok.

- Dla mnie też. - Zapalił papierosa, zaciągając się mocno. - Wiesz, dlaczego zerwałem z Jane?

- Mówiłeś, że czułeś, jakby chciała pożreć cię żywcem.

- Jest niezrównowazona, Bev. Już jako dziecko miała odchylenia.

Nie mogła spojrzeć na niego, jeszcze nie. Przecież sama nalegała, by jeszcze raz zobaczył się z Jane i poznał prawdę o dziecku. Z dłońmi splecionymi na brzuchu Bev patrzyła na zakurzony marmurowy kominek.

- Znałeś ją bardzo długo.

- Była pierwszą dziewczyną, z którą spałem. Miałem zaledwie trzynaście lat. - Przetarł dłońmi oczy, pragnąc, żeby to wspomnienie nie było tak wyraźne. - Ojciec upijał się, wpadał w te swoje słynne furie i dopiero potem tracił przytomność. Chowałem się na strychu. Pewnego dnia zastałem tam Jane. Jakby na mnie czekała. Zanim się zorientowałem, miałem ją na sobie.

- Nie musisz odgrzebywać tego wszystkiego, Bri.

- Chcę, żebyś wiedziała. - Przez chwilę palił w milczeniu. - Wydawało się, że jesteśmy do siebie podobni, Jane i ja. U niej w domu też odbywały się awantury. Zawsze brakowało pieniędzy. Kiedy zacząłem interesować się muzyką, spędzałem więcej czasu z gitarą niż z Jane. Dostawała szału. Groziła sobie i mnie. Trzymałem się od niej z daleka. Niedługo po tym, jak zesliśmy się z chłopakami, pojawiła się znowu. Graliśmy wtedy w knajpach i ledwo zarabialiśmy na jedzenie. Sądzę, że uległem jej, ponieważ była kimś, kogo znałem, kto znał mnie. Ale głównie dlatego, że byłem dupkiem.

Bev parsknęła.

- Nadal nim jesteś. - Uśmiechnęła się blade.

- No tak. Byliśmy razem prawie rok. Pod koniec zachowywała się skandalicznie, próbowała poróżnić mnie z chłopakami. Przerywała próby, robiła sceny. Przyszła nawet do klubu i zaatakowała jakąś dziewczynę na widowni. Potem płakała, błagając, żebym jej przebaczył. Nasz związek znalazł się w punkcie, w którym łatwiej go było ciągnąć, niż powiedzieć: „No cóż, skończyło się”. Groziła, że się zabije, jeżeli z nią zerwę. Dopiero co spiknę-



liśmy się z Pete'em i mieliśmy parę występów we Francji i w Niemczech. Pete pracował nad wydaniem pierwszej płyty. Wyjechaliśmy z Londynu i wyrzuciłem Jane z pamięci. Nie wiedziałem, że jest w ciąży, Bev. Nie myślałem o niej przez ponad trzy lata. Gdybym mógł cofnąć czas... - urwał, myśląc o dziecku w sąsiednim pokoju, o dziecku z krzywą jedynką i dołączkiem. - Nie wiem, co bym zrobił!

Bev podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Była młoda, praktyczną kobietą z normalnej, stabilnej rodziny. Ciągłe jeszcze nie potrafiła pojąć, co to bieda i ból, choć te właśnie atrybuty przeszłości Briana pociągnęły ją ku niemu.

- Sądzę, że ważniejsze jest, co zrobisz teraz.

- Już zrobiłem. - Zdusił papierosa w dziewiętnastowiecznej porcelanowej czarze. Bev nie zwróciła na to uwagi.

- Co takiego?

- Zabrałem ją. Jest moja. Zamieszka ze mną.

- Ach, tak. - Bev wzięła papierosa. Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, zrezygnowała z alkoholu i narkotyków, trudniej było zerwać z paleniem. - Nie sądzisz, że powinniśmy przedyskutować tę sprawę? Podczas ostatniej rozmowy odniosłam wrażenie, że mamy się pobrać za parę dni.

- I się pobierzemy. - Potrząsnął nią, owładnięty nagłym strachem, że odwróci się od niego jak tylu innych ludzi. - Do cholery, Bev, chciałem z tobą porozmawiać! Nie mogłem. - Puścił ją, żeby kopnąć katalogi z próbkami. - Poszedłem do tego brudnego, śmierdzącego mieszkania tylko po to, żeby ją postraszyć, na wypadek gdyby chciała nas dalej niepokoić. Jest taka jak dawniej, wrzeszczy w jednej chwili, skamle w drugiej. Powiedziała, że Emma jest w sypialni, ale jej nie było. Schowała się. - Przyłożył zaciśniętą pięść do oczu. - Bev, znalazłem dzieciaka chowającego się pod zlewem jak przerażone zwierzątko.

- O Boże! - Opuściła dłonie na kolana.

- Jane chciała ją zbić... chciała zbić tę małą dziewczynkę za to, że się bała. Kiedy ją zobaczyłem... Bev, spójrz na mnie. Proszę! Kiedy ją zobaczyłem, ujrzałem samego siebie. Możesz to zrozumieć?

- Próbuję. - Pokręciła głową, nadal walcząc ze łzami. - Nie, nie rozumiem. Chcę, żeby wszystko było tak jak dziś rano, kiedy wychodziłeś z domu.

- Uważasz, że powinienem ją tam zostawić?

- Nie. Tak! - Przycisnęła do skroni zaciśnięte dłonie. - Nie wiem. Powinniśmy przedtem porozmawiać. Moglibyśmy jakoś to załatwić.

Ukląkł przy niej i wziął ją za ręce.

- Chciałem wyjść, pojeździć trochę, żeby się zastanowić, zanim zacznę z tobą rozmawiać. Jane powiedziała, że się zabije.

– Bri!

- Z tym bym sobie jeszcze poradził. Opanowała mnie taka wściekłość, że sam bym ją do tego zachęcał. Ale ona powiedziała, że Emmę też zabije.

Bev przycisnęła dłoń do brzucha, do rosnącego w nim dziecka, już tak cudownie dla niej realnego.

- Nie, nie! Ona nie mówiła tego na serio.

- Mówiła. - Zaciśnięła palce na jej dłoniach. - Nie wiem, czy spełniłaby groźbę, ale w tym momencie była na to zdecydowana. Nie mogłem zostawić tam Emmy, Bev. Nie mógłbym zostawić tam nawet obcego dziecka.

- Nie. - Bev wysunęła ręce z dłoni Briana, by dotknąć jego twarzy. Mój Brian, myślała. Mój słodki, dobry Brian. - Nie mogłeś. Jak ci się udało ją zabrać?

- Zgodziła się - powiedział krótko. - Pete szykuje dokumenty, tak żeby załatwić sprawę legalnie.

- Bri. - Ujęła mocniej jego twarz. Była zakochana, ale nie ślepa. - Jak?

- Wypisałem czek na sto tysięcy funtów. W umowie zagwarantuję jej dwadzieścia pięć tysięcy rocznie, do chwili gdy Emma skończy dwadzieścia jeden lat.

Bev pozwoliła dłoniom opaść.

- Chryste! Bri, kupiłeś tego dzieciaka?!

- Nie mogłem kupić czegoś, co należy do mnie — rzucił ostro. Transakcja z Jane sprawiła, że czułem się zbrukany. - Dałem Jane tyle, by trzymać ją z dala od Emmy, od nas. - Położył rękę na jej brzuchu. - Posłuchaj mnie. W gazetach pojawiają się artykuły, część z nich może być paskudna. Chcę, żebyś została ze mną, stawiała temu czoło. I dała Emmie szansę.

- A gdzie miałbym być?

- Bev...

Pokręciła głową. Zostanie z nim, ale potrzebuje jeszcze trochę czasu.

- Przeczytałam ostatnio mnóstwo książek o wychowaniu dzieci. Jestem pewna, że nie powinieneś zostawiać pędraka samego tak długo.

- Racja. Pójdę zobaczyć.

- Pójdziemy zobaczyć.

Emma wciąż siedziała na kanapie z Karolem w ramionach. Włączony telewizor nie przeszkadzał jej spać. Na widok łez wysychających na policzkach dziecka, Bev poczuła skurcz w sercu.

- Zdaje się, że dekoratorzy muszą najpierw zająć się sypialnią na górze.

Emma leżała w łóżku w czystej pościeli i kurczowo zaciskała powieki. Wiedziała, że jeżeli otworzy oczy, otoczy ją ciemność. A w ciemności kryły się potwory.

Obejmowała Karola kurczowo za szyję, nasłuchując. Czasami potwory szeleściły.

Nie słyszała ich teraz, ale wiedziała, że czekają. Czekają aż otworzy oczy. Z gardła wydarł jej się skowyt. Zagryzła wargi. Mama się złości, kiedy płacze w nocy. Mama przyjdzie i potrząśnie nią mocno. Powie, że jest głupia i że zachowuje się jak małe dziecko. Kiedy mama była w pokoju, potwory chowały się pod łóżkiem.

Wtuliła twarz w znajomą pachnącą stęchlizną sierść Karola.

Przypomniała sobie, że jest w innym domu. W domu mężczyzny z fotografii. Strach przycichł, zastąpiony przez ciekawość. Powiedział, żeby mówić do niego „Tato”. Śmieszne imię. Nie uchylając powiek, wypowiedziała je szeptem w ciemność jak zaklęcie.

Zjedli w kuchni rybę z frytkami. Razem z tamtą ciemnowłosą panią. Grała muzyka. W tym domu muzyka grała chyba bez przerwy. Za każdym razem, gdy mężczyzna coś mówił, brzmiało to jak muzyka.

Ciemnowłosa pani wyglądała na nieszczęśliwą nawet wtedy, gdy się uśmiechała. Emma zastanawiała się, czy poczeka, aż będą same, żeby ją uderzyć.

Tato przygotował Emmie kąpiel. Miał przy tym dziwną minę, ale nie szczypał i nie wpakował jej mydła do oczu. Zapytał o siniaki, a ona odpowiedziała tak, jak nauczyła ją matka: „Byłam nieuważna. Byłam nieuważna i upadłam”.

Zobaczyła gniew w jego oczach, ale nie dał jej klapsa.

Ubrał ją w swój podkoszulek. Roześmiała się, ponieważ sięgał jej do stóp.

Ciemnowłosa pani przysłała do sypialni, kiedy kładł Emmę do łóżka. Siedziała na brzegu pościeli i uśmiechała się, kiedy opowiadał bajkę o zamkach i księżniczkach.

Ale kiedy Emma się obudziła, już ich nie było. Nie było ich, a pokój wypełniała ciemność. Emma bała się, że potwory ją dostaną. Będą kłapały wielkimi zębami i w końcu ją zjedzą. Bała się, że przyjdzie mama i dostanie lanie, ponieważ nie śpi w jej domu.

A to co? Była pewna, że usłyszała szepty w kącie pokoju. Oddychając ciężko przez zęby, otworzyła jedno oko. Cienie wędrowały po ścianie, rosły w oczach, były tuż-tuż. Tłumiąc szloch w futrze Karola, Emma próbowała się zmniejszyć, zniknąć, tak by te okropne, duszące stwory nie mogły jej pożreć. Mama przysłała je tutaj, ponieważ Emma opuściła ją z mężczyzną z fotografii.

Drżała z przerażenia, zlane potem. W końcu strach wybuchnął w niej jednym wysokim krzykiem. Wyczołgała się z łóżka i pobiegła na osłep w stronę drzwi. Coś rozbiło się z brzękiem.

Leżała plackiem na podłodze, ściskając psa, czekając na najgorsze.

Rozbłysło światło. Musiała zmrużyć oczy. Stary strach zniknął pod naporem nowego. Usłyszała głosy ludzi. Umknęła pod ścianę i siedziała skamieniała, gapiąc się na skorupy wazonu z chińskiej porcelany.

Zabiją ją. Odeślą. Zostawią w ciemnym pokoju potworom na pożarcie.

- Emma? - Otumaniony snem, nadal kołyszany trawką, którą wypalił, zanim zaczęli się kochać, Brian ruszył w stronę córki. Skuliła się wewnętrznie, czekając na cios. - Nic ci się nie stało?

- Zbiły to - powiedziała, próbując się ratować.

- One?

- Potwory. Mama przysłała je do mnie.

- Och Emmo! - Oparł policzek o jej główkę.

- Brian, co się...? - Bev stanęła w drzwiach, wiążąc pasek szlafroka. Zobaczyła, co zostało z jej dreздеńskiego wazonu, westchnęła cicho, po czym podeszła do nich, omijając skorupy. - Skaleczyła się?

- Chyba nie. Jest przerażona.

- Trzeba sprawdzić. - Ujęła dłonie dziewczynki. Były zaciśnięte w pięści, a mięśnie ramienia napięte jak struny. - Emma. - Głos Bev nabrał stanowczego brzmienia, ale Emma nie wyczuła w nim złości. Zachowując pełną ostrożność, uniosła głowę. - Skaleczyłaś się?

Nadal czujna, wskazała na kolano. Na białym trykocie widniało parę kropel krwi. Bev uniosła brzeg koszulki. Zdrapanie było długie, ale płytke. Większość dzieci oblałaby je łzami, pomyślała. Emma nie zwróciła na nie uwagi. W porównaniu z siniakami, które Brian odkrył podczas kąpieli, podobne drażnienie było niczym. Powodowana raczej odruchem niż macierzyńską czułością, Bev pochyliła głowę i ucałowała skaleczenie. Na widok otwartych ze zdumienia usteczek Emmy, stopniało jej serce.

- No dobra, maleńka, zajmijmy się tym. - Bev wzięła Emmę na ręce, wtulając twarz w jej szyję.

- W ciemności są potwory - wyszeptła Emma.

- Twój tatuś je przepędzi. Przepędzisz je, Bri, prawda?

Na widok ukochanej kobiety trzymającej w ramionach jego dziecko, odezwała się w nim irlandzka natura. A może była to resztką narkotyku.

- Jasne. Posiekam je na kawałki i wyrzucę z domu.

- A kiedy już to zrobisz, możesz pozmiatać te skorupy - poleciła mu Bev.

Tę noc, pierwszą noc w swoim nowym życiu, spędziła Emma w możliwym łóżu Briana i Bev.

## Rozdział 3

Emma siedziała na kanapce w oknie wykuszowym i patrzyła na park, tak jak robiła to przez ostatnie dziewięć dni. Jej wzrok sięgał poza granice ogrodu, omijał rozkołysane naparstnice i krzaki orlic, by spocząć na długim, zwirowatym podjeździe. Emma czekała.

Siniaki bladły, ale Emma tego nie zauważyła. W tym wielkim domu nikt jej nie uderzył. Jeszcze. Codziennie dostawała herbatę i prezenty - śliwki z cukru i chińskie laleczki - od znajomych ojca, którzy przewijali się przez dom.

Nie mogła się w tym wszystkim połapać. Kapali ją codziennie, nawet jeżeli nie bawiła się w piasku, ubierali w pachnące sukienki. Nikt nie mówił, że jest głupim dzieckiem, dlatego że boi się ciemności. W nocy, w jej pokoju paliła się lampka z różowym abażurem, a na ścianie rozkwitały malutkie pączki róż. Potwory zaglądały bardzo rzadko do jej nowego pokoju.

Bała się go polubić. Była pewna, że mama wkrótce przyjdzie i zabierze ją ze sobą.

Bev zawiozła ją pięknym samochodem po zakupy do ogromnego sklepu z kolorowymi ubraniami. Pachniało tam ślicznie. Bev kupiła całe pudła rzeczy dla niej. Emmie najbardziej podobała się różowa plisowana sukienka z organdy. Włożyła ją na ślub taty i Bev, i czuła się jak księżniczka. Dostała również czarne lakierki i białe rajstopy. Nikt nie skarcił jej za to, że pobrudziła je na kolanach.

Ślub wydał się Emmie bardzo dziwny i bardzo uroczysty. Goście stali w ogrodzie, a słońce wytrwale walczyło z chmurami. Jakiś pan, którego wszyscy nazywali Stevie, ubrany w długą białą koszulę i szerokie białe spodnie, śpiewał chrapliwym głosem i brzdąkał na lśniącej białej gitarze. Emma myślała, że jest aniołem, ale kiedy zapytała o to Johnno, ten tylko się roześmiał.

Bev miała kwiaty we włosach i miękką barwną sukienkę, która spływała jej do kostek. W oczach Emmy była najpiękniejszą kobietą na świecie. Po raz pierwszy w swoim młodym życiu doznała uczucia prawdziwej zazdrości. Być piękną, dorosłą i stać u boku taty! Bev nigdy nie będzie się bała i nigdy nie dokuczy jej głód. I jak dziewczynki z bajek, które tak lubił opowiadać Brian, będzie żyła długo i szczęśliwie.

Kiedy zaczął padać deszcz, goście schronili się do pokoju pełnego książek i kwiatów, o ścianach pachnących farbą, gdzie podano tort i szampana. Znowu ktoś grał na gitarze, ludzie śpiewali, śmiali się. Piękne kobiety w opiętych, krótkich spódniczkach lub miękkich bawełnianych sukienkach kręciły

się po całym domu. Niektóre z nich zagadywały do niej szczebiotliwym głosem i głąskały Emmę po głowie, ale na ogół pozostawiono ją samej sobie.

Nikt nie zauważył, że zjadła trzy kawałki tortu i poplamiła lukrem kołnierzyk nowej sukienki. Nie miała się z kim bawić, a była zbyt mała, żeby zachłystywać się obecnością luminarzy świata muzyki. Znudzona, trochę chora z przejedzenia, poszła spać, ukołysana odgłosami przyjęcia.

Obudziła się późnym wieczorem. Gnana niepokojem, wyciągnęła Karola z łóżka i ruszyła w stronę schodów. Zatrzymał ją ciężki zapach trawki. Znała go, znała aż za dobrze. Podobnie jak odór dżinu, słodki zapach marihuany kojarzył jej się nierozzerwalnie z matką, z potrząsaniem i biciem, które następowało za każdym razem, kiedy Jane spadała na ziemię z narkotycznych wyżyn.

Nieszczęśliwa, przykucnęła na stopniach, starając się pocieszyć Karola. Jeżeli matka tu jest, zaraz ją zabierze. Emma wiedziała, że nigdy już nie włoży ślicznej różowej sukienki, nie usłyszy głosu taty, nie pojedzie z Bev do wielkiego, kolorowego sklepu.

Słyszac kroki, rozpląszczyła się na stopniach i zastygła w oczekiwaniu najgorszego.

- Cześć, Emmo, złotko. - Wniebowzięty, pogodzony z całym światem Brian opadł przy niej na schody. - Co robisz?

- Nic. - Emma skuliła się mocniej nad psem. Im będzie mniejsza, tym dla niej lepiej. Nie można uderzyć kogoś, kogo się nie widzi.

- Niezłe przyjęcie. - Brian przechylił się do tyłu, oparł na łokciach i uśmiechnął radośnie do sufitu. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie nigdy, że pewnego dnia będzie gościł u siebie ludzi takich jak McCartney, Jagger i Daltrey. I to na własnym ślubie. Jezu, ożenił się! Był żonatym mężczyzną z obrączką na palcu.

Wybijając bosą stopą rytm piosenki, przyjrzał się obrączce. Nie ma odwrotu, pomyślał z zadowoleniem. Był na tyle katolikiem i na tyle idealistą by wierzyć, że teraz, kiedy klamka zapadła, rzecz jest nieodwracalna.

Jeden z największych dni mojego życia, myślał, myszkując po kieszeniach koszuli w poszukiwaniu papierosów, które zostawił na dole. Jeden z największych, pomyślał znowu z westchnieniem. Co z tego, że ojciec był zbyt pijany czy zbyt leniwy, by odebrać bilety, które wysłał do Irlandii. Brian miał tutaj całą rodzinę, której potrzebował.

Odsunął od siebie myśl o przeszłości. Od tej chwili będzie tylko jutro. Jutro przez całe życie.

- Co powiesz na to, by zejść na dół i zatańczyć na ślubie swojego taty, Emmo?

Pokręciła głową nadal przyczajona. Pulsowało jej w skroniach od spowijającego ją z wolna dymu.

- Masz ochotę na tort? - Brian wyciągnął rękę, by poczochrąć ją po włosach, ale się uchyliła. - A to co? - Zbity z tropu, poklepał ją po ramieniu.

Strach i słodycze okazały się zbyt mocną mieszanką dla żołądka Emmy. Czknęła tylko raz, a potem zwróciła całą herbatę i resztki tortu wprost na kolana ojca. Zdruzgotana, wydała z siebie jęk i skuliła się nad Karolem. Kiedy leżała zbyt chora, by bronić się przed laniem, które, była pewna, zaraz nastąpi, usłyszała śmiech Briana.

- No cóż, myślę, że zrobiło ci się lepiej. - Na takim haju nie mógł czuć obrzydzenia. Stał niepewnie na nogach i wyciągnął rękę. - Chodź, pójdziemy się umyć.

Ku zdziwieniu Emmy nie było bicia, okrutnego szczypania i niespodziewanych klapsów. Brian rozbraił siebie i córkę i odkręcił prysznic. Woda lała się na nich strumieniami, a on śpiewał piosenkę o pijanych marynarzach, która pozwoliła Emmie zapomnieć o złym samopoczuciu.

Potem owinał ją i siebie ręcznikami, przebył zygakiem drogę z łazienki do pokoju Emmy i wsunął córkę pod kołdrę. Z mokrymi włosami, które kleiły mu się do policzków, padł w nogach łóżka. Po kilku sekundach już chrapał.

Ostrożnie wyczołgała się spod kołderki i usiadła przy nim. Zebrawszy całą odwagę, pochyliła się i złożyła na jego policzku mokrego całusa. Zakochana po raz pierwszy w życiu, wcisnęła Karola pod bezwładne ramię Briana i poszła spać.

A potem on wyjechał. Za ledwie parę dni po ślubie na podjeździe zatrzymał się ogromny samochód i dwaj mężczyźni wynieśli walizki. Pocałował ją i obiecał, że przywiezie prezent. Emma mogła tylko patrzeć, oniemiała, jak odchodzi z tego domu i z jej życia. Nie wierzyła, że wróci, nawet wtedy, gdy usłyszała jego głos w słuchawce telefonu. Bev powiedziała, że jest w Ameryce, gdzie dziewczęta wrzeszczą za każdym razem, kiedy go widzą, a ludzie kupują jego płyty niemal tak szybko, jak są produkowane.

Ale w czasie jego nieobecności muzyka rzadziej wypełniała dom, a Bev czasami płakała.

Emma pamiętała płaczącą matkę, klapsy i szturchańce, które zazwyczaj towarzyszyły łzom Jane. Czekala więc, ale Bev nigdy jej nie uderzyła, nawet wtedy, gdy z domu zniknęli robotnicy i zostały w nim zupełnie same.

Dzień po dniu, Emma siadywała na kanapce przy oknie z Karolem w objęciach i patrzyła. Lubiła sobie wyobrazać, że na podjazd wtacza się długi czarny samochód, otwierają się drzwiczki i wysiada tata.

Każdy dzień utwierdzał ją w przekonaniu, że to się nigdy nie stanie. Tata odszedł, ponieważ jej nie lubił, nie chciał jej. Dlatego że była nieznosna i beznadziejnie głupia. Spodziewała się, że lada chwila odejdzie również Bev i zostawi ją samą w tym wielkim domu. Wtedy przyjdzie mama.

O czym ona myśli, zastanawiała się Bev. Obserwowała Emmę siedzącą w charakterystycznej pozie pod oknem. Mogła tak trwać godzinami, cierpliwa jak stara kobieta. Rzadko bawiła się czymś innym niż wyliniałym pluszowym psem, którego ze sobą przywiozła. Jeszcze rzadziej prosiła o cokolwiek.

Pojawiła się w ich życiu prawie miesiąc temu, a Bev była daleka od poznania swoich uczuć.

Zaledwie parę tygodni temu miała jasno sprecyzowane plany życiowe. Chciała, żeby Brian odniósł sukces, to jasne. Ale jeszcze bardziej pragnęła założyć rodzinę, stworzyć mu dom.

Wyrosła w wierze protestanckiej, w spokojnej średnio zamożnej rodzinie. Zasady moralne, odpowiedzialność i dbałość o reputację były nieodłącznymi elementami jej wychowania. Rodzice zatroszczyli się o rzetelne wykształcenie córki z myślą, że zawrze rozsądne małżeństwo i wychowa rozsądne dzieci.

Nigdy się nie zbuntowała, głównie dlatego, że nie pomyślała o takiej możliwości. Do czasu, aż poznała Briana.

Chociaż rodzice przyszli na ślub, Bev wiedziała, że nigdy nie wybaczą jej przedmażeńskich stosunków z Brianem. I nigdy nie rozumieją, dlaczego wybrała irlandzkiego muzyka, który nie tylko kwestionował istniejący porządek, ale pisał piosenki mające go obalić.

Nie ulegało wątpliwości, że poczuli się urażeni i skonfundowani faktem istnienia dziecka Briana i tym, że córka je akceptuje. A co niby miała zrobić? Dziecko istniało i już.

Bev kochała rodziców. Jakaś częścią swojej istoty będzie zawsze rozpaczliwie pragnęła ich aprobaty. Ale Briana kochała bardziej, tak bardzo, że czasami ją to przerażało. A dziecko było jego. Bez względu na to, czego chciała, i jakie miała plany, Emma stała się również jej dzieckiem.

Nie potrafiła patrzeć na nią i nic nie czuć. Emma nie należała do dzieci, które wtapiają się w tło, choćby nie wiem, jak bardzo się o to starała. Bez wątplenia miało to jakiś związek z jej wyglądem. Było w niej to samo połączenie anielskości z elegancją, które cechowało Briana. Co więcej, otaczała ją aura niewinności, a to już zakrawało na cud, zważywszy warunki, w jakich egzystowała przez pierwsze trzy lata życia. Niewinność i akceptacja, pomyślała Bev. Wiedziała, że gdyby podeszła teraz do Emmy i uderzyła ją, dziecko zniosłoby napaść spokojnie, pozwalając sobie najwyżej na szloch. To wydawało się Bev bardziej tragiczne niż straszna bieda, z jakiej Emma została wyrwana.

Dziecko Briana. Instynktownie położyła rękę nad istotką, którą nosiła w sobie. Pragnęła dać Brianowi jego pierwsze dziecko. Emma pozbawiła ją tego marzenia. A mimo to, kiedy czuła urazę, wystarczyło jej spojrzeć na



córkę Jane, by żal minął. Jak mogła gniewać się na kogoś tak rozpaczliwie bezbronego? A jednak nie potrafiła pokochać Emmy tak bezwzględnie, tak automatycznie, jak kochała Briana.

Nie chcę kochać, przyznała Bev sama przed sobą. Emma jest dzieckiem tamtej, kimś, kto już zawsze będzie przypominał jej o związku Briana z inną kobietą. Bez względu na to, ile minie lat, pięć czy dziesięć. Dopóki jest Emma, dopóty Jane pozostanie częścią ich życia.

Brian był pierwszym mężczyzną, z którym spała, i choć wiedziała, że przed nią istniały inne, potrafiła o tym zapomnieć, powiedzieć sobie, że ich związek jest inicjacją dla obojga.

Do diabła, dlaczego musiał wyjechać teraz, kiedy wszystko się tak pogmatwało?! Zostawił ją z dzieckiem, które przemykało po domu jak cień, z robotnikami, którzy godzinami walili w ściany. I z prasą. Artykuły w gazetach były takie, jak przewidywał. Wstrętne. Nagłówki wykrzykiwały jego nazwisko, nazwisko jej i Jane. Jakże mierzył ją widok zdjęcia Jane tuż obok własnego! Jakże nienawidziła tych obrzydliwych, szyderczych historyjek o nowych żonach i starych kochankach!

Sprawa nie przycichła tak szybko, jak się o to modliła. Dziennikarze snuli przypuszczenia na temat najbardziej intymnych sfer jej życia. Była teraz panią Brianową McAvoy, własnością publiczną. Tysiące razy przyrzekała sobie, że ponieważ małżeństwo z Brianem jest tym, czego najbardziej pragnie, zniesie ze spokojem publiczną wiwisekcję swojego życia, pogodzi się z utratą wolności i idiotycznymi nagłówkami.

Zrobi to. Jakoś. Ale kiedy Brian był o tysiące kilometrów od niej, zastanawiała się, czy jest gotowa całe życie uciekać przed fotografami, unikać mikrofonów, zakładać perukę i ciemne okulary po to, by pójść kupić, na przykład, buty. Czy Brian zrozumie kiedykolwiek, jak była upokorzona, widząc informacje, że spodziewa się dziecka, wydrukowane grubą czcionką na pierwszych stronach gazet, które obcy ludzie mogli przeczytać przy śniadaniu?

Kiedy go nie było, nie umiała się z nich śmiać i nie potrafiła ich zignorować. Coraz rzadziej wychodziła z domu. Nie upłynęły dwa tygodnie, a ich przytulny, pełen słonecznego blasku dom zmienił się w więzienie. Więzienie, które dzieliła z dzieckiem Briana.

Ale była przecież córką swoich rodziców. Znała swoje obowiązki i miała zamiar wypełniać je bez względu na okoliczności.

- Emmo! - Bev uzbroidła się w radosny uśmiech. - Czy nie czas na podwiczorek?

Emma umiała natychmiast rozpoznać fałszywy uśmiech. Budził w niej nieufność.

- Nie jestem głodna-powiedziała i mocniej przytuliła Karola.

- Ja chyba też nie.

Skoro jesteście na siebie skazane, pomyślała Bev, to możemy chociaż rozmawiać.

- To żadna przyjemność, jeść podwieczorek w tym hałasie. - Postąpiła krok i przysiadła obok Emmy. - Miłe miejsce. Nie sądzisz, że powinnam posadzić więcej róż?

Emma wysunęła lekko wargę i wzruszyła ramionami.

- Mieliśmy piękny ogród, kiedy byłam dzieckiem - ciągnęła desperacko Bev. - Lubiłam siadać tam latem z książką i słuchać bzykania pszczoł. Czasami wcale nie czytałam, tylko marzyłam. To zabawne, że po raz pierwszy usłyszałam Briana właśnie w ogrodzie.

- Mieszkał z tobą?

Słucha mnie teraz, pomyślała Bev. Wystarczyło wspomnieć imię Briana.

- Nie. To było w radiu, ich pierwsza płyta, *Shadowland*. Jak to szło? „Nocą, gdy cienie otulają księżyc...” - zanuciła Bev miękkim głosem i urwała, kiedy Emma podchwyciła melodię czystym, zaskakująco silnym altem.

„A ziemia jest gorąca i zastygła, bez tchu czekam na ciebie”.

- Tak, to ta piosenka. - Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Bev wyciągnęła rękę i pogłaskała Emmę po głowie. - Czułam wtedy, że śpiewa tylko dla mnie. Jak każda dziewczyna.

Emma siedziała w milczeniu. Jej matka puszczała tę płytę na okrągło, pijąc i szlochając, a słowa piosenki wypełniały mieszkanie.

- Polubiłaś go, bo śpiewał piosenkę?

- Tak. Ale kiedy go poznałam, polubiłam go jeszcze bardziej.

- Dlaczego odjechał?

- Muzyka to jego praca. - Bev spojrzała w dół, by ujrzeć lśniące od łez oczy Emmy. Odnalazła pokrewieństwo dusz tam, gdzie go nie chciała ani nie oczekiwała. - Och, Emmo! Ja też za nim tęsknię, ale on wróci za parę tygodni.

- A jeżeli nie wróci?

To głupie, ale Bev czasami budziła się w środku nocy nękana tą samą straszną obawą.

- Oczywiście, że wróci. Mężczyzna, taki jak Brian, potrzebuje ludzi, którzy słuchają jego muzyki, chce być przy nich, kiedy go słuchają. Będzie często wyjeżdżał, ale zawsze będzie wracał. Kocha ciebie i kocha mnie. - Bev ujęła rękę Emmy, w równym stopniu pragnąc udzielić pociechy, co ją otrzymać. I jeszcze jedno. Wiesz, skąd się biorą dzieci?

- Mężczyźni wkładają je paniom do brzucha. A potem ich nie chcą.

Bev zmęła w ustach przekleństwo. W tej chwili z przyjemnością zadusiłaby Jane. Wprawdzie jej własna matka była osobą powściągliwą, nie-

zdolną mówić otwarcie o intymnych sprawach, ale Bev wierzyła niezłomnie w szczerłość.

- Kobieta i mężczyzna robią dziecko razem i w większości wypadków oboje bardzo go pragną. Mam dziecko tutaj. - Przycisnęła dłoń Emmy do swojego brzucha - dziecko twojego ojca. Kiedy się urodzi, będzie twoim bratem lub siostrą.

Po chwili wahania Emma przesunęła dłonią po brzuchu Bev. Nie wydało jej się to możliwe. Pani Perkins z sąsiedztwa miała olbrzymi, wzdęty brzuch, zanim urodził się mały Donald.

- Gdzie ono jest?

- W środku. Jest jeszcze bardzo małe. Upłynie sześć miesięcy, zanim się urodzi.

- Będzie mnie lubiło?

- Tak sądzę. Brian będzie jego tatą.

Emma, oczarowana, zaczęła głaskać brzuch Bev, tak jak głaskała czasem Karola.

- Będę się nim opiekowała. Nikt go nie skrzywdzi.

- Nie, nikt go nie skrzywdzi. - Bev westchnęła, obejmując Emmę ramieniem i zapatrzyła się na żywopłot. Tym razem Emma się nie odsunęła. Siedziała zupełnie nieruchomo, zafascynowana, z ręką na brzuchu Bev.

- Wiesz, Emmo, trochę się boję być matką. Mogłabym to poćwiczyć?

Wzięła głęboki oddech i wstała, pociągając za sobą Emmę.

- Zaczniemy od zaraz. Chodźmy na górę. Ubiore cię w różową sukienkę i wybierzemy się na herbatę. Niech diabli wezmą reporterów, gapiów i innych jełopów. Zrobimy się na bóstwa i wypijemy herbatę u Ritza.

Dla Emmy był to początek pierwszego związku z kobietą, który nie opierał się na strachu. W ciągu następnych dni robiły zakupy u Harrodsa, poszły na spacer do Green Park i zjadły lunch w Savoyu. Bev ignorowała fotografów, którzy obstrykiwali je ze wszystkich stron. Kiedy odkryła miłość Emmy do pięknych materiałów i żywych kolorów, oddała się orgii zakupów. Po dwóch tygodniach mała dziewczynka, która zjawiła się u niej w jednej koszuli, miała szafę wypchaną ciuzkami.

Ale w nocy, kiedy leżały, każda w swoim łóżku, wdychając do tego samego mężczyzny, uczucie samotności wracało.

Tęsknota Emmy była jasno określona. Chciała, żeby Brian wrócił, ponieważ czuła się dobrze w jego towarzystwie. Nie wiedziała jeszcze, co znaczy umierać z miłości, nie potrafiła miłości nawet nazwać.

A Bev umierała. Dręczyła ją myśl, że Brian się nią znudzi, że znajdzie kogoś lepiej przystosowanego do świata, w którym żył. Brakowało jej dobrego, mocnego seksu, który ich łączył. Tak łatwo było uwierzyć, że będzie

ją zawsze kochał, że zawsze będą razem, kiedy po miłosnym spełnieniu wypalali leniwie trawkę. Teraz, leżąc sama w wielkim mosiężnym łożu, zastanawiała się, czy Brian koi swoją samotność jedynie muzyką.

Niebo zaczynało się rozjaśniać, kiedy zadzwonił telefon. Bev odebrała go po trzecim sygnale.

- Tak? - Odchrząknęła. - Tak, słucham?

- Bev! - Głos Briana brzmiał nagłąco.

Rozbudzona, usiadła gwałtownie na łożku.

- Bri, co się stało?

- Nic. To znaczy, wszystko. Jesteśmy bombowi, Bev. - W jego śmiechu brzmiała nuta oszołomienia i podekscytowania. - Każdego wieczoru coraz większy tłum. Musieli podwoić ochronę, żeby dziewczyny nie wdierały się na scenę. Istne szaleństwo, Bev. Dziś jedna z dziewczyn chwyciła Steviego za rękaw, kiedy biegliśmy do limuzyny. Rozerwały mu płaszcz na strzępy. Prasa nazwała nas awangardą drugiej inwazji brytyjskiej. Awangardą!

Opadając z powrotem na poduszki, Bev próbowała wzbudzić w sobie entuzjazm.

- To wspaniale, Brian. Pokazywali parę urywków w telewizji, ale niewiele.

- Czuję się jak gladiator, stojąc tam, na scenie, i słuchając ryku tłumów. - Wiedział, że nie potrafi opisać tego uczucia strachu i zachwytu, nawet jej. - Zdaje się, że nawet Pete jest pod wrażeniem.

Bev uśmiechnęła się na myśl o pragmatycznym menedżerze, dla którego świat zaczynał się i kończył na biznesie.

- W takim razie musicie być naprawdę dobrzy.

- Ehe - zaciągnął się skrzemem. Zapalił go, żeby przedłużyć euforię. - Szkoda, że cię tu nie ma.

Usłyszała głosy w tle, głośną muzykę, śmiechy mężczyzn i kobiet.

- Ja też żałuję.

- Więc przyjeźdź! - Odepchnął półnagą blondynkę o szklistych oczach, która pchała mu się na kolana. - Pakuj walizkę i przylatuj.

- Co?!

- Mówię poważnie. Bez ciebie to połowa przyjemności. - W drugim końcu pokoju niezwykle wysoka brunetka rozbierała się bez pośpiechu. Stevie, gitarzysta, łykał pobudzające pastylki quaalude jak drospsy. - Posłuchaj, wiem, że zdecydowaliśmy, żebyś została w domu, ale się pomyliliśmy. Powinnaś być tu, razem ze mną.

Poczuła łzy napływające do oczu.

- Chcesz, żebym przyjechała do Ameryki? - zaniósł ją śmiechem.

- Jak najprędzej. Możemy spotkać się w Nowym Jorku... O, cholera, Johnno, kiedy będziemy w Nowym Jorku?

Johnno, rozwalony na kanapie, wysączył ostatnią kroplę whisky Jima Beama.

- A gdzie, do diabła, jesteście teraz?

- Wszystko jedno. - Brian przetarł zmęczone oczy, próbując się skoncentrować. Umysł miał zaczadziały od dymu i alkoholu. - Johnno zajmie się szczegółami. Spakuj się tylko.

Wyskoczyła z łóżka.

- A co z Emmą?

- Weź ją ze sobą. - Brian uśmiechnął się radośnie do blondynki, podniesiony na duchu falą rodzinnych uczuć. - Pete dowie się, jak załatwić małej paszport. Ktoś zadzwoni do ciebie dziś po południu i powie, co i jak. Boże, Bev, tęsknię za tobą!

- Ja też. Będziemy u ciebie jak najszybciej. Kocham cię, Bri, bardziej niż wszystko.

- Kocham cię. Zadzwoń wkrótce.

Markotny i niespokojny, sięgnął po butelkę brandy natychmiast po odłożeniu słuchawki. Chciał, żeby była z nim teraz, nie jutro, nie za godzinę, lecz teraz. Dostał erekcji na sam dźwięk jej głosu. Mówiła dziś tak samo jak tej nocy, kiedy się poznali: nieśmiało, z wahaniem. Wyglądała cudownie obco w pubie, w którym grał jego zespół. A jednak, mimo tej nieśmiałości, było w niej coś tak rzetelnego, prawdziwego. Nie mógł przestać o niej myśleć, ani tamtej nocy, ani żadnej następnej.

Uniósł szklankę i pociągnął tęgi łyk. Wszystko wskazywało na to, że brunetka i Stevie nie skorzystają z intymności sypialni, by uprawiać seks. Blondynka zrezygnowała z Johnno i ocierała swoje długie, gibkie ciało o P. M., perkusistę zespołu.

Brian pociągnął kolejny łyk, patrząc na nich z rozbawieniem i zazdrością. P.M. miał niespełna dwadzieścia jeden lat i młodzieńczą, zaokrągloną twarz obsypaną trądzikiem. Był nieco przerażony i trochę zachwycony faktem, że blondynka przyklekła, tuląc twarz do jego podbrzusza.

Brian zamknął oczy i przepełniony muzyką zasnął.

Śnił o Bev i pierwszej nocy, którą spędzili razem. Siedzieli po turecku na podłodze w jego mieszkaniu, rozmawiając z przejęciem o muzyce, o poezji. O Yeatsie, Byronie i Browningu. Leniwie przekazywali sobie skręta. Nie miał pojęcia, że jest to jej pierwszy kontakt z narkotykami. Dopóki nie wszedł w nią, tam na podłodze, wśród dopalających się świec, nie wiedział również, że jest to jej pierwszy kontakt z seksem.

Płakała trochę. Jej łyzy, zamiast wyrzutów sumienia, wzbudziły w nim instynkty opiekuńcze. Zakochał się bezgranicznie, a jego uczucie nie było pozbawione pewnej dozy poetyczności. Od tamtej nocy upłynął przeszło

rok, a on nie spał z inną kobietą. Kiedy nachodziła go pokusa, widział przed sobą twarz Bev.

Małżeństwo było dla niej i dla dziecka, które nosiła w sobie. On nie wierzył w małżeństwo, w kontrakt na miłość, ale nie czuł się usidłony. Po raz pierwszy od czasu nieszczęśliwego dzieciństwa miał coś poza muzyką. Podtrzymywało go na duchu i ekscytowało.

Kocham cię bardziej niż wszystko.

Nie, nie mógł powiedzieć jej tego z taką łątwością i szczerością, z jaką ona to mówiła. Prawdopodobnie nigdy nie będzie mógł. Ale kochał Bev, a miłość była dla niego równoznaczna z lojalnością.

- No, chłopie. - Johnno postawił go na nogi, prawie nie budząc. - Czas do łóżka.

- Johnno, Bev przyjeżdża.

Johnno uniósł brew i obejrzał się przez ramię na splecione ciało.

- Oni chyba zostają.

- Dołączy do nas w Nowym Jorku. - Brian zaśmiał się krótko, zarzucając mu na szyję ciężkie ramię. - Jedziemy do Nowego Jorku, Johnno. Jedziemy do Nowego pieprzonego Jorku. Ponieważ jesteśmy najlepsi.

- To miło, prawda? - Zrzędcząc tylko trochę, Johnno zwałił Briana na łóżko. - Odeśpij, Bri. Jutro musimy przebrnąć przez to cholerstwo od początku.

- Obudź Pete'a - wymamrotał Brian, kiedy Johnno ściągnął mu buty. - Paszport dla Emmy. Bilety. Muszę zrobić to, co dla niej najlepszego.

- Zrobisz. - Chwiejąc się lekko na nogach, Johnno wpatrywał się z namiętnością w nowy szwajcarski zegarek. Nie miał złudzenia, że Pete okaże mu wdzięczność za zerwanie go z łóżka o tej porze, ale ruszył, by spełnić swój obowiązek.

## Rozdział 4

Pierwszy transatlantycki lot odbyła Emma pierwszą klasą. I chorowała przez całą drogę. Nie mogła, jak od czasu do czasu sugerowała Bev, podziwiać chmur ani oglądać kolorowych książeczek, które przybrana matka włożyła do podręcznej torby. Żołądek, choć od dawna pusty, nadal podchodził jej do gardła. Nie czuła prawie dotyku rąk Bev, która poklepywała ją bezradnie, nie słyszała stewardesy, dodającej jej otuchy.

Cóż ją mogło obchodzić, że ma na sobie nową jaskrawoczerwoną spódniczkę i kwiecistą bluzeczkę, że obiecano jej przejażdżkę na szczyt Empire State Building? Że zobaczy ojca? Choroba była bardzo męcząca.

Kiedy samolot wylądował na Lotnisku Kennedy'ego, Emma nie mogła nawet wstać z fotela. Zmordowana Bev wzięła ją na ręce. Kiedy po odprawie celnej ujrzała Pete'a, omal nie dała upustu łzom.

Pete, nieskazitelny w swoim garniturze z Savile Row, obrzucił wzrokiem kredowoblade dziecko i zdenerwowaną kobietę.

- Ciężka podróż?

Ku własnemu zdziwieniu, zamiast płaczem, Bev wybuchnęła śmiechem.

- Ależ skąd! Sama rozkosz od początku do końca. Gdzie Brian?

- Chciał wyjść po ciebie, ale musiałem postawić weto. - Pete wziął podręczny bagaż i ujął Bev pod ramię. - Chłopaki nie mogą uchylić okna, żeby nie wywołać masowej hysterii.

- A ty jesteś tym zachwycony.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, kierując się w stronę wyjścia z terminalu.

- Nie spodziewałem się tego, choć z natury jestem optymistą. Brian będzie bardzo bogatym człowiekiem, Bev. My wszyscy będziemy bardzo bogatymi ludźmi.

- Pieniądze nie są dla Briana najważniejsze.

- Nie. Ale nie zauważyłem, żeby ich obecność przeszkadzała mu w jakiś widoczny sposób. Chodź, mam samochód.

Bev przerzuciła sobie Emmę na drugie ramię. Dziewczynka tylko jęknęła, zwisając bezwładnie.

- Bagaże.

- Dostarczą je do hotelu. - Wypchnął Bev z sali przylotów. — W czasopiśmie dla fanów jest także sporo twoich zdjęć.

Samochód okazał się białym mercedesem limuzyną, wielkim jak krążownik. W odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Bev, Pete uśmiechnął się szeroko.

- Skoro jesteś żoną króla, możesz pozwolić sobie na podróżowanie z klasą.

Bez słowa usadowiła się na tylnym siedzeniu limuzyny i zapaliła papierosa. Miała nadzieję, że uczucie pustki i wyobcowania, które ją ogarnęło, jest wynikiem okropnego, długiego lotu. Emma zwinęła się między nią i Pete'em, przesypiając słodko swoją pierwszą przejażdżkę limuzyną.

Pete przeszedł przez hol hotelu Waldorf, kierując się wprost do windy. Nie wiedział, czy jest zadowolony, czy rozzarowany spokojnym przebiegiem podróży z lotniska. Scena z napierającym tłumem przed halą przylotów lub wejściem do hotelu spowodowałaby wprawdzie pewne niedogodności, ale wypełniłaby pierwsze strony gazet. A obecność na pierwszych stronach gazet oznaczała zwiększoną sprzedaż płyt.

- Wzięłem dla was apartament z dwiema sypialniami. - Dodatkowy wydatek niepokoił jego sumienie, ale uznał, że jest to uzasadniona rozrzutność. Obecność Bev powinna wprawić Briana w twórczy nastrój i uczynić go skłonniejszym do współpracy. Nie zaszkodzi, jeżeli prasa dowie się, że McAvoy podróżuje z rodziną. Skoro nie może lansować Briana jako sekownego kawalera, będzie go lansować jako czułego męża i ojca. Było mu to obojętne, liczył się rezultat. - Mieszkamy wszyscy na tym samym piętrze - ciągnął. - Ochrona jest bardzo solidna. W Waszyngtonie dwie nastolatki wdarły się do pokoju Stewiego w przebraniu pokojówek.

- Nieźle.

Wzruszył tylko ramionami. Stevie był tak pijany, że przyjął dziewczęta z otwartymi ramionami. Tłumaczył się potem, że dwie szesnastolatki równają się jednej trzydziestodwulatce.

- Chłopaki mają dzisiaj w planie parę wywiadów, a jutro program Sullivana.

- Brian nie powiedział mi, dokąd dalej jedziemy.

- Filadelfia, Detroit, Chicago, St. Louis...

- Starczy. - Bev westchnęła z ulgą, kiedy winda stanęła. Co ją obchodzi, dokąd dalej pojedą?! Teraz znajduje się tutaj. Cóż z tego, że jest wyczerpana i ramiona bolą ją od dźwigania śpiącego dziecka! Czuła już obecność Briana.

- Tak czy inaczej - Pete wydobyl klucz - macie parę godzin do wywiadu z dziennikarzami z czasopisma, które wchodzi na rynek pod koniec roku: „Rolling Stone”.

Wzięła od niego klucz, wdzięczna, że nie odebrał jej tych dwóch godzin z Brianem. Nie podejrzewała go o podobną wrażliwość.

- Dzięki, Pete. Dopilnuję, żeby był gotowy.

Gdy otworzyła drzwi, z przyległej sypialni wyskoczył Brian i pochwycił je obie w ramiona.

- Dzięki Bogu! — wymamrotał, obsypując pocałunkami twarz Bev. Wziął od niej bezwładną senną Emmę. - Coś niedobrze?

- Już nie. - Bev uniosła wolne dłonie ku włosom. — Była potwornie chora w samolocie. Prawie nie spała. Trzeba ją zapakować do łóżka. Nic jej nie będzie.

- No, to już. Nie ruszaj się. - Brian zaniósł Emmę do drugiej sypialni. Ocknęła się tylko na chwilę, kiedy nakrywał ją kołdrą.

- Tatuś?

- Tak. - Nadal doznawał wstrząsu, słysząc to z jej ust. - Prześpij się trochę. Wszystko w porządku.

Uspokojona dźwiękiem jego głosu, uwierzyła mu na słowo i odpłynęła ponownie w sen.



Powodowany nawykiem, pozostawił drzwi otwarte. Przez chwilę stał i patrzył na Bev. Była blada ze zmęczenia, podkrążone oczy wydawały się większe i ciemniejsze. Miłość wezbrała w nim, silniejsza i bardziej zachłanna niż ta, którą znał. Podszedł do Bev w milczeniu, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Nie znajdował słów, choć zazwyczaj wypełniały go po brzegi. Słowa zamieniał w wiersze, wiersze stawały się tekstami piosenek. Później będzie ich pełen, będą go przenikały na wskroś, będzie czerpał obficie z tego czasu spędzonego z nią, być może z jego najcenniejszej godziny z Bev.

Przez tę godzinę była jego bez reszty.

Radio stojące przy łóżku grało cicho, podobnie jak telewizor. Brian próbował rozproszyć ciszę, wypełniając pokój głosami. Kiedy dotknął Bev, poczuł, że ona jest całą muzyką, jakiej potrzebuje.

Zatopił się w niej bez reszty. Rozebrał ją wolno, chłonąc oczami jej ciało. Szum samochodów za oknem zapamiętał w basach i sopranach. Ciche urywane okrzyki Bev wplótł w kontrapunkt. Słyszał nawet szeptaną melodię swoich rąk, gładzących jej skórę.

Przez okno padał na nich słoneczny blask, łóżko ugięło się miękko.

Życie, które nosiła w sobie, zmieniło już trochę jej ciało. Położył rozpostartą dłoń na zaokrąglonym brzuchu, zdumiony, oszołomiony, spokorniały. Z czcią ucałował ciało Bev.

To głupie, myślał, ale czuję się jak żołnierz powracający z wojny, pokryty bliznami i medalami. A może wcale niegłupie. Arena, na której walczył i wygrywał, nie była miejscem, dokąd mógłby ją zabrać. Ona będzie zawsze na niego czekała. Mówiły mu o tym jej oczy i obejmujące go ramiona. Obietnicę wiecznej cierpliwości kryły usta, rozchylone pod jego wargami. Jej namiętność była zawsze silniejsza, mniej egoistyczna, stanowiła przeciwwagę dla jego bardziej skrajnych, niebezpiecznych pragnień. Przy niej czuł się bardziej mężczyzną, a mniej symbolem w świecie wiecznie złaknionym symboli.

Wchodząc w nią, przemówił w końcu. Jej imię wyrwało mu się z piersi wraz z długim, głębokim westchnieniem wdzięczności i nadziei.

Później, kiedy leżała, drzemiąc pod zmiętą pościelą, siedział w nogach łóżka, ubrany w kąpielówkę. Jego ciało było zaspokojone, umysł pracował na pełnych obrotach. Wszystko, czego pragnął, o czym kiedykolwiek marzył, znajdowało się w zasięgu ręki.

- Pete kazał sfilmować koncert w Atlancie. Jezu, Bev, to było szaleństwo! Nie chodzi tylko o to, że ludzie wrzeszczeli, choć ryk był potworny. Momentami nie słyszałem własnego głosu. To było tak, nie wiem, jakbym stał na pasach lotniska, a dookoła mnie startowały samoloty. Ale wśród tego rozwrzeszczanego tłumu byli i tacy, którzy czuli muzykę, po prostu słuchali.

Czasem przez światła reflektorów i dym widzisz twarz. Śpiewasz tylko dla niej. Potem Stevie wchodzi z solówką, jak w *Undercover*, i tłum wpada w trans. To było jak, nie wiem, jak wspaniały seks!

- Żałuję, że nie kibicowałam.

Roześmiał się, chwytając ją za stopę.

- Tak się cieszę, że tu jesteś. To lato jest niezwykle. To się czuje w powietrzu, w twarzach ludzi. A my jesteśmy jego częścią. Nie ma dla nas powrotu, Bev.

Stężała, wpatrując się w niego.

- Do Londynu?

- Nie. - Był trochę zirytowany, trochę ubawiony jej dosłownością. - Do przeszłości. Do wyżebranych występów w brudnych pubach za piwo i chipsy. Chryste, Bev, jesteśmy w Nowym Jorku, a jutro będą słuchały nas miliony ludzi. I to się liczy. My będziemy się liczyć. Tylko tego chciałem.

Bev usiadła, żeby wziąć go za rękę.

- Zawsze się liczyłeś, Bri.

- Nie. Byłem tylko jeszcze jednym parszywym piosenkarzem. Już nim nie jestem, Bev. I nigdy nie będę. Ludzie słuchają. Pieniądze, które zarobimy, pozwolą nam trochę poeksperymentować, robić coś więcej niż łatwy rock dla nastolatków. Bev, toczy się wojna. Całe pokolenie wrze. Możemy stać się jego głosem.

Nie rozumiała wielkich, wszechogarniających marzeń, ale jego idealizm pociągał ją od początku ich znajomości.

- Tylko nie zostaw mnie w tyle.

- Nie mógłbym. - Brian powiedział to szczerze, z przekonaniem. - Dam ci to, co we mnie najlepsze, Bev. Tobie i dziecku. Przysięgam. Muszę się ubrać. - Ucałował obie jej ręce, po czym odrzucił w tył potargane włosy. - Pete jest strasznie podekscytowany wywiadem dla tego czasopisma. Pierwszy numer wychodzi w listopadzie. - Rzucił jej podkoszulek z namalowanym krawatem. - Wstawaj.

- Myślałam, że zostanie tutaj..

- Bev... - Rozmawiali już o tym nieraz. - Jesteś moją żoną. Ludzie chcą się czegoś o tobie dowiedzieć, o tobie i o nas. - Zdławił irytację, kiedy zobaczył, że siedzi, przeciągając koszulkę między kciukiem a palcem wskazującym. — Damy im trochę, to nie będą dręczyli nas o więcej. - Naprawdę w to wierzył. - Zależy mi na tym, szczególnie ze względu na Emmę. Chcę, żeby wszyscy zobaczyli, że stworzyliśmy rodzinę.

- Rodzina to sprawa osobista.

- Być może. Ale historia Emmy już wydostała się na zewnątrz. - Widział artykuły, dziesiątki artykułów, które przypięły Emmie etykiętkę dziecka miłości. Mogło być gorzej, myślał, biorąc pod uwagę, że została po-

częta z uczucia mającego tak niewiele wspólnego z miłością. To moje drugie dziecko, myślał, kładąc rękę na brzuchu Bev, jest owocem miłości. - Potrzebuję cię tam.

Z niechęcią wstała i zaczęła się ubierać.

Dwadzieścia minut później rozległo się pukanie do drzwi. Bev poszła otworzyć.

- Johnno!

Posłał jej krótki uśmiech.

- Wiedziałem, że nie wytrzymasz długo beze mnie. - Porwał ją w objęcia z przesadnym rozmachem, całując w usta. Roześmiała się, a on rzucił okiem ponad jej głową w stronę drzwi do sypialni, w których stał Brian.

- No cóż, nakrył nas. Lepiej się przyznajmy.

- Skąd masz ten idiotyczny kapelusz? - To był cały komentarz Briana.

Stawiając Bev z powrotem na ziemi, Johnno poprawił białą, sflaczałą fedorę.

- Podoba ci się? Jest wydarzeniem sama w sobie.

- Wyglądasz w tym jak rajfur - oświadczył Brian, idąc w stronę baru.

- No właśnie. A więc dokonałem właściwego wyboru. Kosztowało mnie to niemal życie, ale wyrwałem się stąd na zakupy na Piątą Aleję. Ja też chętnie próbuję, złotko. - Skinął głową w stronę whisky, którą nalewał Brian.

- Wyszedłeś? - Brian stał z butelką w jednej ręce, szklanką w drugiej.

- Okulary przeciwsłoneczne, kwiecista koszula... - Zmarszczył nos. - Jako przebranie działały znakomicie, gorzej było, kiedy chciałem dostać się z powrotem do hotelu. - Johnno wyjął Brianowi z ręki szklanczkę whisky i z westchnieniem zadowolenia opadł na kanapę. - To jest miejsce dla mnie, Brian. Nowy Jork to ja!

- Pete urwie ci głowę, kiedy się dowie, że wyszedłeś bez obstawy.

- Biedny facio - powiedział radośnie. - Choć nie jest w moim typie. - Dopił whisky. - A gdzie brzdąc?

- Śpi. - Bev wzięła papierosa.

Na następne pukanie do drzwi odpowiedział Brian. Do pokoju wtoczył się Stevie. Powitał Bev nieobecnym skinieniem głowy i skierował się wprost do baru. Za nim wszedł nieco błady P.M.

- Pete powiedział, że wywiad odbędzie się tutaj - zakomunikował, opadając na najbliższe krzesło. - Przyprowadzi reporterów. Skąd masz kapelusz? - zwrócił się do Johnno.

- To długa, smutna historia, synu. - Patrząc nad głową P.M., dojrzał Emmę stojącą w progu sypialni. - Nie oglądaj się, mamy towarzystwo. Cześć, nadaśana bużko!

Emma zachichotała, ale nie ruszyła się z miejsca. W tej chwili istniał dla niej tylko Brian.

Uniósł ją w ramionach i poklepał po pupie.

- Emma! Jak się czuje moja podróżniczka?

Myślała, że to sen. Ta chwila, kiedy otulił ją kołdrą i pocałował w policzek. Ale to nie sen. On był tutaj, uśmiechał się do niej, a jego głos sprawił, że brzydkie uczucie w żołądku zniknęło bez śladu.

- Jestem głodna - oświadczyła, obdarzając go uśmiechem od ucha do ucha.

- Nie dziwię się. - Ucałował dołeczek w kąciку jej ust. - Co powiesz na ciasto czekoladowe?

- Na zupeł - uściśliła Bev.

- Na zupeł i ciasto czekoladowe - zgodził się Brian. - I pyszną herbatkę?

Postawił ją na podłodze, by zadzwonić po obsługę hotelową.

- Chodź tutaj, Emmo! Mam coś dla ciebie. - Johnno poklepał poduszkę obok. Zawahała się. Mama mówiła dokładnie to samo. A tym czymś okazał się zazwyczaj klaps. Ale uśmiech Johnno był szczery. Kiedy usadowiła się przy nim, wyjął z kieszeni przezroczyste, plastikowe jajeczko. Wewnątrz był dziecinny pierścionek z odpustowym czerwonym oczkiem.

Emmie zaparło dech w piersiach, kiedy położył upominek na jej dłoni. Oniemiała, obracała pudełeczko we wszystkie strony, patrząc, jak pierścionek obją się o jego ścianki.

To tak jakoś samo wyszło, pomyślał Johnno. Po prostu nawinał mu się pod rękę automat na półdolarówki, a że po błyskawicznym rajdzie po sklepach zostały jakieś drobne... Poruszony bardziej, niż chciałby to okazać, otworzył pudełko i wsunął Emmie pierścionek na palec.

- No, proszę. Teraz jesteśmy zaręczeni.

Emma zerknęła na pierścionek, potem na niego.

- Mogę usiąść ci na kolanach?

- Nie ma sprawy. - Przynsunął wargi do jej ucha. - Ale jeżeli zmoczysz majtki, zrywam zaręczyny.

Roześmiała się, pochłonięta pierścionkiem.

- Najpierw moja żona, teraz córka - skomentował Brian.

- Nie ma strachu, przecież to dziewczynka. - Stevie rzucił te słowa z taką samą łatwością, z jaką wlewał w siebie whisky i pocałował, że nie ugryzł się w język. - Przepraszam - wyszeptał w zapadłej nagle ciszy. - Kac. Kac wprawia mnie w paskudny nastrój.

Johnno czuł gniew, ale postarał się go ukryć. Młody, brodaty dziennikarz, który nagle zjawił się wśród nich, nie wyczuł napięcia. Nie wiedzą, jak to jest, myślał Johnno. Nikt nie wiedział, z wyjątkiem Briana, z którym przyjaźnił się w szkole. Nazywano go różnie - pedzio, cipa, homo. Przydomki bolały bardziej niż cięgi, które zbierał od czasu do czasu. Wiedział, że kole-

dzy zrobiliby z jego twarzy surowy befszytk, i to nieraz, gdyby nie mocne pięści i lojalność Briana.

Zaprzyjaźnili się, dwaj dziesięcioletni chłopcy obarczeni ojcami alkoholikami. Bieda nie była czymś dziwnym na londyńskim East Endzie i nigdy nie brakowało twardzieli gotowych zaryzykować wszystko, by stamtąd uciec. Można było uciec. Dla niego i dla Briana ucieczką była muzyka.

Elvis, Chuck Berry, Muddy Waters. Za pieniądze, które udało im się zarobić albo ukraść, kupowali bezcenne czterdziestki piątki. W wieku dwunastu lat skomponowali wspólnie pierwszą piosenkę - naprawdę złą, uświadomił sobie teraz. Mnóstwo rymów o kochaniu i szlochaniu wygrywanych na trzystrunowej, sfatygowanej gitarze. Kupili ją za półlitrową butelkę dżinu McAvoya seniora i Brian oberwał porządnie od ojca. Ale dzięki gitarze mogli tworzyć muzykę, obojętnie, jaka ona była, dobra czy zła.

Johnno miał prawie szesnaście lat, kiedy zrozumiał, kim jest. Zadręczał się, rozpaczał i rzucał na każdą dziewczynę, która mogłaby odmienić jego los. Ale pot, łzy i seks nie zdały się na nic.

To właśnie Brian pomógł mu zaakceptować samego siebie. Pili, późnym wieczorem, w piwnicy domu Briana. Tym razem Johnno podprowadził ojcu whisky. Siedzieli przy świeczce, wśród stert cuchnących śmieci i przekazywali sobie butelkę. Z wyszczerbionego przenośnego adapteru płynął największy przebój Roya Orbisona *Only the Lonely*. Johnno wyznał swoją tajemnicę wśród pijackich szlochów i gróźb samobójstwa.

- Jestem zerem i zerem pozostanę. Zawsze będę żył jak parszywa świnia. — Pociągnął z butelki. - Z pierdzącym starym, z wiecznie skamlącą i gderającą matką, która nie robi nic, by coś zmienić. Siostra poszła na ulicę, a młodszego brata przytknęli w tym miesiącu już dwa razy.

- Tylko od nas zależy, czy się stąd wydostaniemy - stwierdził Brian, kierując się pijacką filozofią. Z półprzymkniętymi oczami słuchał Orbisona. Chciał śpiewać tak jak on, z tą bezbrzeżną melancholią. - Musimy sprawić, by nasze życie było inne, Johnno. I zrobimy to.

- Inne? Nie potrafię go zmienić. Chyba że się zabiję. Może to zrobię. Może to zrobię i będzie z głowy.

- O czym, ty, do cholery, mówisz? - Brian wyszperał ze zmiętej paczki ostatniego papierosa.

- Jestem pedałem. - Johnno oparł głowę na złożonych ramionach i zaszczołał.

- Pedałem? - Dłoń Briana z płonąca zapałką zastygła dwa centymetry od koniuszka papierosa. - Daj spokój, Johnno. Nie świruj.

- Mówię ci, jestem pedałem! - krzyknął, ukazując Brianowi zalaną łzami, zrozpaczoną twarz. - Wolę chłopaków. Jestem cholernym, pieprzonym pedziem.

Brian był wstrząśnięty, choć alkohol zamortyzował szok na tyle, że mógł dalej myśleć.

- Jesteś pewien?

- Po co, do jasnej cholery, mówiłbym coś takiego, gdybym nie był pewien?! Udało mi się to zrobić z Alice Ridgeway tylko dlatego, że myślałem o jej bracie.

To już jest obrzydliwe, stwierdził Brian, ale zachował swoje odczucia dla siebie. Byli przyjaciółmi od przeszło sześciu lat, stali za sobą murem, osłaniali się wzajemnie, dzielili marzeniami i sekretami. Brian potarł kolejną zapałkę, zapalił papierosa i się zamyślił.

- No cóż, przypuszczam, że jesteś taki, jakim cię Bozia stworzyła. Nie ma potrzeby otwierać sobie żył.

- Ty nie jesteś homo.

- Nie. - Miał gorącą nadzieję, że nie, i przysięgł sobie, że spędzi następnych parę tygodni, udowadniając to każdej dziewczynie, którą uda mu się namówić na rozłożenie nóg. Nie, nie jestem homo, uspokoił sam siebie. Akrobacje seksualne, które uprawiał z Jane Palmer, wskazują jasno na jego preferencje. Staje mu na samą myśl o niej. Brian podkurczył nogi. Nie był to odpowiedni czas na podniecanie się, miał myśleć o problemach Johnno. - Wielu ludzi jest homo - powiedział. - Pisarze, artyści i inni tacy. Jesteśmy muzykami, myśl o tym jako o części twojej twórczej duszy.

- Bzdury! - wymamrotał Johnno, ale otarł cieknący nos.

- Może, ale lepsze to niż podcinanie sobie żył. Musiałbym szukać nowego kumpla.

Na ustach Johnno pojawił się cień uśmiechu, kiedy sięgał po butelkę.

- Więc nadal jesteśmy kumplami?

- Jasne. - Brian podał mu papierosa. - Będziemy nimi, dopóki nie zażnę cię podniecać.

Na tym sprawa się skończyła.

Kiedy Johnno brał kochanka, robił to dyskretnie i nigdy o tym nie mówił. Wszyscy członkowie grupy znali jego preferencje seksualne, ale wobec nalegań Pete'a i dla ratowania własnego samopoczucia kultywował na zewnątrz wizerunek heteroseksualisty. Nawet go to bawiło.

Jego sytuacja życiowa miała swoje minusy, choć starał się nie przyjmować ich do wiadomości. Teraz, huśtając Emmę na kolanie, uświadomił sobie nagle, że nigdy nie będzie miał własnego dziecka.

I patrząc, jak Brian obejmuje Bev, musiał przyznać z bólem, że jedyny człowiek, którego naprawdę kochał, nigdy nie zostanie jego kochankiem.

## Rozdział 5

Emma była oszołomiona Nowym Jorkiem. Po późnym śniadaniu, złożonym, na skutek ingerencji Briana, z dżemu truskawkowego i słodczy, została oddana w ręce Bev. To jej nie zmartwiło, nie tym razem. Tatuś miał występować wieczorem w telewizji i obiecał, że będzie mogła pojechać tam, gdzie robi się filmy.

Tymczasem wybrały się z Bev wielkim białym samochodem na przejażdżkę po mieście. Emma zachichotała na widok peruki blond i wielkich ciemnych okularów, za którymi ukryła się jej nowa matka. Choć początkowo Bev nie uśmiechała się zbyt często, entuzjazm dziewczynki spowodował, że szybko oderwała myśli od własnych spraw. Emma z upodobaniem obserwowała ludzi, którzy śpieszyli gdzieś, wpadali na siebie i zapełniali przejścia dla pieszych przy nieustającym akompaniamencie klaksonów. Obserwowała kobiety w krótkich spódniczkach i pantoflach na wysokich obcasach, ze spiętrzonymi, sztywnymi jak kamienne rzeźby fryzurami. Kobiety w dżinsowych sukniach i sandałach, z włosami przylegającymi do pleców niby mokre płachty. Na rogach ulic kioskarze sprzedawali hot dogi, napoje i lody. Przechodnie chwyтали je w locie. Na zewnątrz chłodnego kokonu, jakim była limuzyna, panował parny upał. Ruch uliczny cechowała pewna nerwowa agresja, której Emma nie rozumiała, ale która napełniała ją zachwytem.

Kierowca, poważny i bardzo poprawny, w brązowym uniformie i czapce ze sztywnym daszkiem, zatrzymał się przy krawężniku. Nie pasjonował się muzyką, chyba że w wykonaniu Franka Sinatry i Rosemary Clooney, ale jego dwie nastoletnie córki oszaleją ze szczęścia, kiedy na zakończenie dwudniowego zlecenia przyniesie im autografy McAvoya i jego żony.

- To tutaj, proszę pani.
- A, tak. - Bev, lekko oszołomiona, gapiła się przez szybę.
- Empire State Building - wyjaśnił, robiąc gest w stronę drzwi. - Czy życzy sobie pani, żebym przyjechał tu za godzinę?
- Za godzinę, tak. - Bev ujęła Emmę mocno za rękę, kiedy kierowca otworzył drzwi. - Chodź, Emmo. Nie tylko Devastation wspina się na szczyt.

Do wyjścia sunęła długa, wijąca się kolejka, pełna popłakujących niemowląt i marudzących dzieci. Emma i Bev stanęły na jej końcu, z dwoma ochroniarzami z tyłu, i wkrótce zostały wchłonięte przez tłum. Po paru sekundach dołączyła do nich grupa francuskich studentów. Dzierżyli torby z zakupami od Macy'ego i mówili wszyscy naraz w swoim szybkim, śpiewnym

języku. W mieszance zapachowej perfum, potu i mokrych pieluszek, Bev wyczuła słodki aromat trawki. Zdawało się, że nikt inny tego nie zauważył. Kolejka wtłoczyła się do windy.

Wypuszczono je po długich, męczących minutach i kazano znów czekać. Emma nie miała nic przeciwko temu. Dopóki jej ręka spoczywała bezpiecznie w dłoni Bev, mogła spokojnie przyglądać się ludziom. Łyse głowy, sflaczałe kapelusze, rzadkie brody. Kiedy rozbolała ją szyja, zajęła się obserwacją butów. Sandały ze sznurka, pantofelki z wąskimi noskami, śnieżnobiałe czółenka, męskie lakierki. Niektórzy szurali nogami, inni tupali, jeszcze inni przestępowali z nogi na nogę. Rzadko kto stał spokojnie.

Kiedy znudziło ją obserwowanie ludzi, słuchała ich głosów. Stojące obok nastolatki kłóciły się zawzięcie.

- Stevie Nimmons jest najfajniejszy z nich wszystkich - upierała się jedna z dziewcząt. - Ma wielkie brązowe oczy i ten sumiasty wąs.

- Brian McAvoy- sprzeciwiła się druga. - Ten jest naprawdę fantastyczny. - Na poparcie swoich racji wyciągnęła z jedwabnej torebki zdjęcie wycięte z magazynu dla fanów. Dziewczęta pochyliły nad nim głowy, wdychając zgodnie. - Za każdym razem, gdy na niego patrzę, czuję się tak, jakbym miała umrzeć.

Dziewczęta zapiszczały. Zgromione spojrzeniami dorosłych zakryły sobie usta, tłumiąc chichot.

Emma, zarazem zbita z tropu i uradowana, spojrzała na Bev.

- One rozmawiają o tacie.

- Ciii! - Bev uznała, że historia jest wystarczająco zabawna, by opowiedzieć ją Brianowi, ale wiedziała również, że nie bez powodu nosi perukę i ciemne okulary. - Tak, ale nie powinny dowiedzieć się, kim jesteśmy.

- Dlaczego?

- Później ci wyjaśnię. - Wsiadły do windy i Bev odetchnęła z ulgą.

Oczy Emmy rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy poczuła, że ma zatkałe uszy, tak jak w samolocie. Przez chwilę bała się, że znowu zachoruje. Zagryzła wargę, zamknęła oczy i rozpaczliwie zatęskniła za tatą.

Żałowała, że tu przyjechały. Żałowała, że nie zabrała Karola. Mógłby ją pocieszyć. I modliła się tak gorąco, jak potrafią modlić się trzylatki, by nie zwrócić wspaniałego śniadania na nowe błyszczące buciki.

Wtem winda zatrzymała się i okropne kołysanie ustało. Wszyscy coś mówili, śmiali się. Emma trzymała się jak najbliżej Bev i walczyła z mdłościami.

Było tam ogromne stoisko z pamiątkami i szerokie, bardzo szerokie okna, przez które widziała niebo, a poniżej panoramę Manhattanu. Stała oniemiała, a ludzie kłębili się wokół niej. Pod wpływem zachwyty zapomniała o mdłościach.



- Coś, co warto zobaczyć, prawda, Emmo?

- Czy to świat?

Bev roześmiała się, choć była zachwycona nie mniej niż Emma.

- Nie. Małego kawałeczek. Chodź, wyjdziemy.

Emma ugięła się pod naporem wiatru, który hulał nad nimi, szarpiąc jej spódniczkę. Ale kiedy Bev, znowu roześmiana, uniosła dziewczynkę do góry, była bardziej podniecona niż przestraszona.

- Jesteśmy na szczycie świata, Emmo!

Patrząc w dół, Emma poczuła, że jej żołądek wyczynia jakieś figlarne skoki. Przed oczami miała całe miasto, skrzyżowanie ulic w kanionach wysokich budynków, małe samochodziki i autobusy przypominające zabawki. Wszystko wyglądało prosto i prawdziwie.

Bev wrzuciła pieniążki do pudełka i Emma mogła popatrzeć przez teleskop, ale wołała to, co widziała na własne oczy.

- Możemy tu zamieszkać?

Bev manipulowała teleskopem, szukając Statui Wolności.

- W Nowym Jorku?

- Tu, na szczycie.

- Tutaj nikt nie mieszka, Emmo.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest to atrakcja turystyczna - odparła z pewnym roztarpieniem. - I chyba jeden z cudów świata. Nie możesz mieszkać w miejscu uznanym za cud świata.

Emma spojrzała w dół i stwierdziła, że może.

Studio telewizyjne nie wywarło na Emmie specjalnego wrażenia. Nie było ani tak duże, ani takie ładne jak na ekranie. Ludzie sprawiali wrażenie zwyczajnych, ale podobały jej się kamery. Imponowały wielkością, a ci, którzy je obsługiwali, wydawali się ważni. Zastanawiała się, czy widać przez nie tak samo jak przez teleskop na szczycie Empire State Building.

Zanim zdążyła zapytać, mały chudy człowieczek zaczął coś mówić donośnym głosem. Miał najdziwniejszy amerykański akcent, jaki zdarzyło się jej słyszeć. Nie zrozumiała połowy z tego, co powiedział, choć wyłapała słowo „Devastation”. A potem nastąpiła eksplozja krzyku.

Kiedy minął pierwszy szok, Emma wyrzała z za spódnicy Bev. Choć nie rozumiała ani źródła, ani przyczyny krzyku, wiedziała, że nie jest to niemiły dźwięk. Przeciwnie, był to zdrowy, młody ryk, który roznosił ściany i zawałał sufity. Wywołał na jej ustach szeroki uśmiech, choć ręka Bev drżała lekko w jej dłoni.

Podobał jej się sposób, w jaki ojciec poruszał się po scenie, z gracją i dumą. Jego silny, czysty głos zlewał się ładnie z głosem Johnno i Steviego,

a włosy lśniły jak złoto w świetle reflektorów. Była dzieckiem i bez trudu rozpoznawała czary.

Do końca życia zachowa ten obraz w pamięci i w sercu, obraz czterech młodych mężczyzn stojących na scenie, opromienionych światłem, szczęściem i muzyką.

Cztery i pół tysiąca kilometrów od Nowego Jorku Jane krążyła po swoim nowym mieszkaniu. Na stole stała półlitrowka gilbeya i ćwiartka Colom-bian gold. Jane zapaliła świece, dziesiątki świec, które wraz z narkotykami miały poprawić jej nastrój. Pokój wypełniał czysty tenor Briana.

Przeprowadziła się do Chelsea dzięki pieniądзом, które dostała od niego. Dzielnica pełna była młodych ludzi, muzyków, poetów, artystów i ich wielbicieli. Myślała, że w Chelsea znajdzie nowego Briana. Idealistę z piękną twarzą i zręcznymi dłońmi.

Mogła odwiedzać puby, kiedy tylko miała na to ochotę, słuchać muzyki, wybrać obiecującego towarzysza na noc.

Miała sześciopokojowe mieszkanie wypełnione nowymi lśnącymi meblami. Szafy pękały od strojów z najmodniejszych butików. Na jej palcu błyszczał ogromny brylant, który kupiła tydzień temu, bo było jej smutno. Już ją znudził.

Kiedyś myślała, że sto tysięcy funtów to kupa szmalu. Przebiegła palcami po szlafroczku, rozkoszując się dotykiem wytłaczanego jedwabiu. Odkryła, że duże sumy rozchodzą się równie szybko, jak małe. Zostało jej jeszcze dość pieniędzy, by przetrwać jakiś czas, ale szybko zrozumiała, że sprzedawała Emmę zbyt tanio.

Zapłaciłby dwa razy tyle, myślała, tuląc do siebie szklankę dżinu. Albo jeszcze więcej. Sukinsyn Pete mógłby się wściekać do woli. Brian chciał Emmy. Miał słabość do dzieci. Wiedziała o tym i nie potrafiłam tego wykorzystać, pomyślała z goryczą.

Parszywe dwadzieścia pięć tysięcy rocznie. Ciekawe, jak ma z tego żyć.

Z oczami lekko zamglonymi dżinem, skrzyła niezgrabnego papierosa.

Nadal, od czasu do czasu, brała klienta, tak z potrzeby towarzystwa, jak i konieczności zarobienia dodatkowych pieniędzy. Nie spodziewała się, że będzie tęskniła za Emmą. W miarę upływu miesięcy macierzyństwo nabierało dla niej zupełnie nowego, emocjonalnego wymiaru.

Dała życie. Zmieniała obrzydliwe pieluchy. Wydawała ciężko zarobione pieniądze na jedzenie i ubranie. A teraz bachor nie pamięta prawdopodobnie, że ona istnieje.

Wynajmie prawnika. Wynajmie najlepszego prawnika za pieniądze Briana. Będzie w tym jakaś sprawiedliwość. Każdy sąd w tym kraju przy-

zna, że dziecko należy do matki. Odzyska Emmę. Albo jeszcze lepiej, wyciągnie z Briana dwa razy tyle pieniędzy.

Oskubie ich. Brian i jego zasmarkana żona długo jej nie zapomną. Nikt jej nie zapomni, ani zafajdana prasa, ani głupia publika, ani własny bachor.

Z tą myślą, kołaczącą się w głowie, wyciągnęła zapas metedryny i przygotowała się do odlotu.

## Rozdział 6

Emma nie mogła już dłużej czekać. Na dworze padał obrzydliwy deszcz ze śniegiem, a ona przyciskała twarz do szyby, próbując przebić wzrokiem zawieruchę.

Powinni niedługo przyjechać. Johnno tak powiedział. Wiedziała, że jeżeli okaże się na tyle niemądra, by zapytać kiedy, Johnno odburknie coś opryskliwie. Ale nie mogła dłużej czekać. Kiedy zmarzył jej nos, odsunęła się od okna i dalej przestępowała z nogi na nogę. Tata wracał do domu z Bev i malutkim braciszkiem. Darren. Brat miał na imię Darren. Wypowiedziała je szeptem. Sam dźwięk tego słowa wywołał uśmiech na jej twarzy.

Niczego w życiu nie pragnęła bardziej niż brata. Będzie jej własny, będzie potrzebował opieki, jej opieki. Ćwiczyła przez całe tygodnie na lalkach, które wypełniały teraz dziecinnie pokój.

Wiedziała, że trzeba trzymać niemowlę bardzo ostrożnie, bo inaczej można zrobić mu krzywdę. Wiedziała również, że niemowlę budzi się w środku nocy, żądając mleka. Nie miała nic przeciwko temu. Przesunęła dłonią po płaskiej klatce piersiowej, zastanawiając się, czy Darren znajdzie w niej mleko.

Nie pozwolili Emmie jechać po niego do szpitala. Zdenerwowała się tak bardzo, że po raz pierwszy, odkąd przybyła do domu Briana, schowała się w szafie. Nadal targał nią gniew, ale gniew dziecka znaczy dla dorosłych tak niewiele.

Zmęczona staniem, przysiadła na fotelu przy oknie, głaskała Karola i czekała.

Próbowała myśleć o czym innym. O pobycie w Ameryce. Nucąc pod nosem, przywołała obrazy wszystkiego, co tam widziała. Wielki srebrny łuk w Saint Louis. Jezioro w Chicago, które dla niej było wielkie jak ocean. Hollywood. Podobał jej się wielki biały napis na wzgórzu i teraz próbowała go odtworzyć.

Jej ojciec śpiewał w ogromnym otwartym teatrze. Nazywali go spodkiem. Uważała, że to dziwne. Ale zabawnie było słuchać krzyków i wiwatów pod odkrytym niebem.

Obchodziła swoje trzecie urodziny w Hollywood. Wszyscy znajomi przyszedli, by spróbować białego tortu ustrojonego srebrnymi kuleczkami.

Niemal każdego dnia wsiadali do samolotu. Bała się nadal, ale potrafiła opanować mdłości. Podróżowało z nimi mnóstwo osób, *roadies*, jak nazywał ich ojciec, dość niemądrze, skoro podróżowali nad ziemią, rzadko kiedy po niej.

Najbardziej podobały jej się hotele, obsługa i codzienna zmiana łóżka. Lubiła spoglądać co rano na nowe krajobrazy i nowych ludzi.

Ziewnąwszy, wtuliła się w fotel, z psem pod pachą. Kiedy znów pojedą do hotelu, Darren będzie razem z nimi. Wszyscy będą go uwielbiali.

Widok padającego śniegu działał usypiająco. Przypomniała sobie Boże Narodzenie. Po raz pierwszy w życiu znalazła skarpetę wiszącą na kominu. Pod drzewkiem, które wspólnie udekorowali, leżały stopy prezentów. Zabawki, gry i lalki w ślicznych ubrankach. A po południu grali w warcaby. Nawet Stevie. Udawał, że oszukuje, bo chciał ją rozśmieszyć, a potem zabrał Emmę na hałaśliwą przejażdżkę na barana po całym domu.

Wieczorem ojciec pokroił na kawałki wielką świąteczną gęś. Kiedy na skutek przedjedzenia ogarnęła ją senność, zwinęła się przed kominkiem i słuchała muzyki.

To był najpiękniejszy dzień w jej życiu. Aż do dzisiaj. Zerwała się na warkot silnika i przycisnęła twarz do szyby. Z piskiem zeskokczyła z fotela.

- Johnno! Johnno! Przyjechali! - Emma przemknęła przez korytarz, stukając obcasami o drewnianą podłogę, starannie odnowioną i wypolerowaną.

- Dokąd to?! - Johnno oderwał się od spisywania słów piosenki, która rozbrzmiewała mu w głowie, i złapał Emmę w biegu. - Kto przyjechał?

- Mój tata, Bev i moje dziecko!

- Twoje dziecko, tak? - Ścisnął Emmę za nos i zwrócił się do Stewiego, który eksperymentował przy pianinie. - Czy pójdziemy powitać najmłodszego McAvoya?

- Już idę.

- Ja też. - P.M. wpakował do ust ostatnie ciastko z podwieczorku i podniósł się z podłogi. — Ciekawe, czy udało im się wydostać ze szpitala bez wywołania sensacji.

- Przy środkach ostrożności, jakie zastosował Pete, James Bond to frajer - powiedział Johnno. - Dwie limuzyny na wabia, dwudziestu krzepkich ochroniarzy i końcowa ucieczka w ciężarówce kwiaciarza. - Śmiejąc się, ruszył w stronę drzwi z Emmą depczącą mu po piętach. - Sława czyni z nas żebraków, nigdy o tym nie zapomnij, mała.

Ale Emmę nie obchodziła w tym momencie ani sława, ani żebracy, ani w ogóle nic. Chciała tylko zobaczyć brata. Kiedy drzwi się otworzyły, wyrwała spoconą rączkę z dłoni Johnno i jak strzała pomknęła przez hol.

- Pokaż mi go! - zażądała.

Brian uniósł róg kocyka ukrywającego zawiniątko, które trzymał w ramionach. Dla Emmy pierwsze spojrzenie na brata było początkiem miłości. Bezwarunkowej, rekompensującej wszystko miłości. To przerastało jej oczekiwania.

Nie był lalką. Nawet teraz, kiedy spał, mogła dostrzec delikatne drżenie ciemnych rzęs. Usta miał małe i wilgotne, skórę cieniutką i jasną. Główkę zakrywał mu niebieski czepeczek, ale ojciec powiedział, że włosy ma równie ciemne, jak Bev. Dłoń trzymał zaciśniętą w piąstkę. Dotknęła jej, delikatnie, koniuszkami palców. Poczwała ciepło i ledwo wyczuwalny ruch.

Miłość rozbłysła w niej jak światło.

- No i co ty na to? - zapytał Brian.

- Darren - wymówiła miękko, delektując się tym dźwiękiem. - Jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie.

- Odziedziczył co nieco po McAvoyach - mruknął Johnno, czując przypływ głupiego sentymentalizmu. - Niezła robota, Bev.

- Dzięki. - Cieszyła się, że ma to za sobą. Żadna z przeczytanych książek nie przygotowała jej na przesywający, wyczerpujący ból podczas porodu. Była dumna, że wydała swojego syna na świat w naturalny sposób, choć przez ostatnich parę godzin jej życie wisiało na włosku. Teraz chciała tylko okrzepnąć i być matką.

- Lekarz kazał jej się oszczędzać przez parę dni - zaczął Brian. - Chcesz iść na górę odpocząć, Bev?

- Nie mam najmniejszej ochoty dostać się do kolejnego łóżka.

- Więc usiądź, a wujek Johnno zrobi ci filizankę herbaty.

- Wspaniale.

- Pójdę na górę położyć dziecko. - Brian uśmiechnął się na widok P.M., który stał bez ruchu, wytrzeszczając oczy. - Ono nie gryzie, stary. Nie ma zębów.

P.M. uśmiechnął się szeroko i wcisnął ręce w kieszenie.

- Po prostu nie każ mi go dotykać przez jakiś czas.

- Zabawiaj Bev. Miała ciężką przeprawę. Po południu przyjdzie pielęgniarka, do tego czasu Bev ma się nie przemęczać.

- Z tym sobie poradzę. - P.M. ruszył w stronę salonu.

- Położymy dziecko do łóżeczka - oświadczyła Emma, dotykając brzegu kocyka. - Pokażę ci, tato, jak się to robi.

Ruszyli w górę schodów, Emma przodem.

W oknie pokoju dzieciennego wisały białe plisowane zasłony, a na jasnobłękitnych ścianach widniała tęcza. Pleciony kosz otulała biała irlandzka koronka usiana różowo-niebieskimi kokardkami. Olbrzymi miś strzegł staroświeckiego łóżeczka, przy oknie zaś czekała antyczna kołyska.

Emma stanęła przy niej, patrząc, jak ojciec kładzie Darrena. Kiedy zdjął mu czepeczek, ostrożnie pogłaskała puszyste czarne włoski.

- Kiedy się obudzi?

- Nie wiem. Mam wrażenie, że niemowlęta są dosyć kapryśne. - Brian przykucnął obok córki. - Musimy być bardzo ostrożni, Emmo. Widzisz, jaki on jest bezbronny.

- Nie pozwolę, by stało mu się coś złego, nigdy. - Emma położyła dłoń na ramieniu ojca i patrzyła na śpiące dziecko.

Emma nie była pewna, czy lubi pannę Wallingsford. Młoda pielęgniarka o ślicznych rudych włosach i miłych szarych oczach rzadko kiedy pozwalała jej dotknąć Darrena. Bev przeprowadziła rozmowy z dziesiątkami kandydatek. Alice Wallingsford spełniała wszelkie warunki. Miała dwadzieścia pięć lat, doskonałe referencje, przyjemny sposób bycia i pochodziła z dobrej rodziny.

W pierwszych miesiącach życia Darrena Bev czuła się tak rozbita i zmęczona, że pomoc Alice okazała się niezbędna. Co więcej, można z nią było porozmawiać o ząbkowaniu, o karmieniu piersią i dietach odchudzających. Bev pragnęła odzyskać figurę równie usilnie, jak stać się dobrą matką. Chciała stworzyć dom dla siebie i swojej rodziny. W sytuacji, gdy Brian zamykał się na całe dni z Johnno i pisali piosenki, albo odbywał konferencje z Pete'em na temat następnej płyty, nie było to wcale takie łatwe.

Słuchała, kiedy mówił o wojnie w Azji, o zamieszkach rasowych w Ameryce, ale jej świat koncentrował się wokół problemu, czy słońce przygrzewa na tyle mocno, by można było zabrać Darrena na spacer. Nauczyła się piec chleb i próbowała robić na drutach, a Brian tymczasem pisał piosenki i przemawiał przeciwko wojnie i bigoterii.

Jej ciało wróciło do normy i Bev odzyskała spokój. Był to najmilszy okres w jej życiu. Syn tryskał zdrowiem, a mąż traktował ją w łóżku jak księżniczkę.

Z Darrenem przy piersi i Emmą u kolan siedziała w bujanym fotelu przy oknie pokoju dzieciennego. Rano padał deszcz, teraz jednak świeciło jasne słońce. Pomyślała, że po południu weźmie małego i Emmę na spacer do parku.

- Położę go do łóżeczka. - Bev poprawiła bluzkę, zakrywając piersi. - Śpi mocno.

- Będę mogła go potrzymać, kiedy się obudzi?

- Tak, ale musisz zaczekać na mnie.

- Panna Wallingsford nigdy mi nie pozwała.

- Jest po prostu ostrożna. - Bev wygładziła kocyk okrywający Darrena. Ma pięć miesięcy, pomyślała. Nie potrafiła już wyobrazić sobie życia bez niego. - Chodźmy na dół upiec pyszne ciasto czekoladowe. Twój tato je uwielbia.

Emma wiedząc, że na razie musi się tym zadowolić, ruszyła za nią. W holu spotkały Alice z naręczem świeżych ręczników.

- Powinien chwilę pospać, Alice - poinformowała ją Bev. - Jest najedzony.

- Tak, proszę pani.

- Będziemy z Emmą w kuchni.

Godzinę później, kiedy wyjęły ciasto z piekarnika, rozległ się trzask frontowych drzwi.

- Widocznie tata wrócił wcześniej do domu. - Bev odruchowo poprawiła włosy, zanim wyszła z kuchni na jego spotkanie. - Bri, nie spodziewałam się... Co się stało?!

Był śmiertelnie blady, powieki miał zaczerwienione od płaczu. Kiedy Bev wyciągnęła do niego ręce, potrząsnął głową, jakby chciał rozproszyć mgłę zasnuwającą mu oczy.

- Zastrzelili go.

- Co?! - zacisnęła palce na jego dłoniach. - Kogo? Kogo zastrzelili?!

- Kennedy'ego. Roberta Kennedy'ego. Zabili go.

- O mój Boże! Mój słodki Boże! - Mogła tylko stać i gapić się na niego, przerażona. Pamiętała jeszcze dzień, kiedy zabito Johna Kennedy'ego i zaszokowany świat pogrzyżył się w żałobie. A teraz jego brat, taki mądry i młody!

- Mieliśmy próbę - zaczął Brian. - Wszedł Pete. Usłyszał wiadomość przez radio. Nie chcieliśmy wierzyć, dopóki nie usłyszeliśmy sami. Niech to diabli, Bev! Parę miesięcy temu King, a teraz on. Co się dzieje z tym światem?!

- Panie McAvoy... - Alice schodziła ze schodów z twarzą równie białą jak jej fartuch. - Czy to prawda? Jest pan pewien?

- Tak. To powinien być senny koszmar, ale, niestety, nie jest.

- Och, ta biedna rodzina! - Alice mięła w rękach brzeg fartucha. - Biedna matka!

- Był dobrym człowiekiem — wykrztusił Brian. - Zostałby następnym prezydentem. Położyłby kres tej cholernej wojnie. Jestem tego pewien.

Widok łez w oczach ojca zaniepokoił Emmę. Dorośli byli zbyt pochłonięci własnym bólem, by zauważyć jej cierpienie. Nie znała nikogo o nazwisku Kennedy, ale żałowała, że umarł. Może to przyjaciel taty? Żołnierz biorący udział w tej wojnie, o której tata tyle mówi?

- Alice, zrób nam herbaty, proszę - szepnęła Bev, prowadząc Briana w stronę salonu.

- Na jaki świat wydajemy nasze dzieci? Kiedy oni rozumieją, Bev? Kiedy w końcu rozumieją?

Emma poszła na górę do Darrena, zostawiła dorosłych ich łzom i herbacie.

Znaleźli ją tam, w pokoju dzieciennym, godzinę później. Kołyszając Darrena, nuciła jedną z kołysanek, które Bev śpiewała jej często przed zaśnięciem.

Matka, ogarnięta paniką, rzuciła się naprzód, ale Brian chwycił ją za ramię.

- Nie! Nic mu nie grozi. Spójrz tylko.

Widok tych dwojga złagodził ból, który opanował mu duszę. Emma kołysała się na fotelu z nogami dyndającymi wysoko nad ziemią i z dzieckiem bezpiecznie zamkniętym w ramionach.

Podniosła oczy i uśmiechnęła się uroczo.

- Płakał, a teraz jest zadowolony. Uśmiechnął się do mnie.

Pochyliła się i ucałowała jego policzek, a Darren odpowiedział gaworzeniem.

- On mnie kocha. Prawda, Darren, że mnie kochasz?

- Tak, kocha cię. - Brian przyklęknął obok fotela i otoczył ich oboje ramionami. - Dzięki ci, Boże, za was wszystkich - powiedział, wyciągając rękę do Bev. - Oszalałbym bez was.

Przez parę następnych tygodni Brian starał się być bliżej rodziny. Pracował w domu, a nawet przemyślał, czyby nie urządzić w nim studia nagraniowego. Dręczyła go wojna w Azji Południowo-Wschodniej. Straszne, bezsensowne walki w jego ojczyźnie, Irlandii, rozdzierały mu duszę. Jego piosenki pięły się w górę list przebojów, ale satysfakcja, która przenikała go na początku, gasła. Muzyka stała się dla niego nie tylko projekcją uczuć, ale również ucieczką od najgorszych z nich. Przywiązanie do rodziny pozwalało mu zachować zdrowe zmysły.

Oni oznaczali zdrowie psychiczne, tego był pewien.

To Bev podsunęła mu pomysł, by zabrał Emmę do studia nagraniowego. Robili właśnie ścieżkę dźwiękową trzeciego albumu. Brian uważał, że jest on jeszcze ważniejszy niż ich debiutancka płyta. Teraz przyszedł czas, by udowodnić, że muzyka Devastation nie jest przypadkowym tworem, bładą imitacją twórczości Beatlesów i Rolling Stonesów. Musiał udowodnić samemu sobie, że czar trwa.

Chciał stworzyć coś wyjątkowego, oryginalnego. Odrzucił z tuzin dobrych rockowych kawałków, które napisali z Johnno. Mogły poczekać. Mimo sprzeciwów Pete'a, reszta zespołu poparła jego decyzję, by nasycić



teksty treścią polityczną, wykorzystać brutalny, buntowniczy rock i motywy z irlandzkiej muzyki ludowej. Gitary elektryczne i fujarki.

Emma weszła do studia, nie zdając sobie sprawy, że będzie świadkiem historycznego wydarzenia. Według własnego rozeznania, spędzała po prostu dzień z tatą i jego kolegami. Wszystko to wydawało jej się jedną wielką zabawą- sprzęt, instrumenty, wysoki oszklony pokój. Siedziała na obrotowym krześle, popijając colę wprost z butelki.

- Nie boisz się, że berbeć się znudzi? - zapytał Johnno, manipulując przy organach elektrycznych. Nosił teraz dwa pierścienie, brylant na jednym małym palcu, ogromny szafir na drugim.

- Jeżeli nie potrafimy zabawić jednej małej dziewczynki, lepiej spakujemy manatki. - Brian poprawił pasek gitary. - Tak czy inaczej, chcę mieć ją blisko. Jane znowu się awanturuje.

- Dziwka - stwierdził Johnno łagodnym tonem. Podniósł do ust szklanekę coli uszlachetnionej jedną kroplą rumu.

- Nic nie wskóra, ale daje się nam we znaki. - Rzucił szybkie spojrzenie na Emmę. Była zajęta rozmową z Karolem. - Próbuje udowodnić, że nakłoniłem ją do podpisania papierów podstępem. Pete się tym zajmuje.

- Chce po prostu więcej pieniędzy.

- Nie wyciśnie ich z Pete'a - uśmiechnął się ponuro. - Ani ze mnie. Zróbmy próbę dźwięku.

- Cześć, Emma, złotko. - Stevie zatrzymał się, by dźgnąć ją palcem w brzuch. - Chcesz się załapać do zespołu?

- Będę patrzeć. — Gapiła się na niego zafascynowana złotym kołem, które błyskało mu przy uchu.

- A, to w porządku. Zawsze lepiej nam idzie, kiedy mamy audytorium. Powiedz mi coś, Emmo. - Pochylił się nad nią. - Ale prawdę i tylko prawdę - wyszeptał. - Kto tu jest najlepszy?

Była to ich ulubiona zabawa. Zgodnie z jej zasadami, Emma spojrzała w górę, w dół, potem na boki, udając, że się namyśla.

- Tatus! - zawyła, kuląc ramionka.

Odpowiedzią było pełne pogardy prychnięcie i grad szturchańców. Próbując ze wszystkich sił nie zsiusiać się w majtki, Emma wzięła się na krzesło.

- Prawo tego kraju zabrania robienia dzieciom prania mózgu - powiedział Stevie, dołączając do Briana.

- Dzieciak ma gust.

- Aha, zły. - Wyjął swoją gitarę z pokrowca i pogłaskał czule. - Co gramy?

- Zaczniemy od *Outcry*, bez wokalu.

- Czyli od tego, co najlepsze. - Stevie wziął parę próbnych akordów. - A więc do pracy, panowie!

Z ich czwórki tylko Stevie wyrósł wśród pieniędzy, w prawdziwym domu z ogrodem i dwoma służącymi. Był przyzwyczajony do luksusów, oczekiwał ich i szybko się nimi nudził. Zakochał się w gitarze i sprawił, że rodzice przekłeli dzień, w którym mu ją sprezentowali.

Jako piętnastolatek stworzył własny zespół: Stevie and the Rousers. Grupa przetrwała sześć miesięcy, zanim wewnętrzny konflikt między muzykami nie doprowadził do jej rozpadu. Niezniechęcony stworzył następny zespół, potem jeszcze jeden. Jego wrodzony, błyskotliwy talent przyciągał marzycieli. Kłopot polegał na tym, że oczekiwali od niego przewodnictwa, czyli czegoś, czego nie był w stanie im dać.

Natknął się na Briana i Johnno w Soho, podczas jednego z tych spotkań przy świecach i dymku, których jego rodzice panicznie się bali. Spodobała mu się pasja, z jaką Brian podchodził do muzyki, i uszczypliwy dowcip Johnno. Po raz pierwszy w życiu Stevie przyłączył się do zespołu, zamiast go tworzyć. Z ulgą podporządkował się Brianowi.

Zdarzały się chude dni, kiedy żebrali w pubach o występy. Dni pełne natchnienia, kiedy pisali piosenki i tworzyli muzykę. I były kobiety, mnóstwo cudownie spoconych kobiet, gotowych natychmiast ułożyć się na plecach dla mężczyzny z płową czupryną i gitarą w ręku.

I była Sylwia, dziewczyna, którą spotkał podczas występów w Amsterdamie. Śliczna Sylwia z zaokrągloną buzią łamaną angielszczyzną i szczerymi oczami. Kochali się jak wariaci w obskurnym pokoiku, gdzie kapało z dachu, a szyby kleiły się z brudu. Zakochał się, jak sądził, całą mocą swej istoty. Przemysliwał nawet nad sprowadzeniem jej do Londynu i założeniem rodziny w jakimś ciasnym mieszkaniu z zimną wodą.

Ale Sylwia zaszła w ciążę.

Pamiętał chwilę, kiedy mu o tym powiedziała, z bładą twarzą, oczami pełnymi nadziei i strachu. Nie chciał dzieci. Dobry Boże, miał dopiero dwadzieścia lat. Muzyka stała na pierwszym miejscu, musiała stać na pierwszym miejscu. No i rodzice. Gdyby dowiedzieli się, że spłodził dziecko z holenderską kelnerką... Poniżające było to, że choć uciekł od nich tak daleko, tak bardzo się buntował, opinia rodziców nadal tyle dla niego znaczyła.

Pete załatwił aborcję, dyskretnie, za ciężkie pieniądze. Ze łzami spływającymi po policzkach Sylwia zrobiła, o co prosił. I zniknęła z jego życia. Dopiero kiedy odeszła, zdał sobie sprawę, że kocha ją bardziej, niż wydawało mu się to możliwe.

Nie chciał o tym myśleć, nienawidził wspomnień i nienawidził jej. Ostatnio znowu zaczęła go dręczyć. Przez Emmę, myślał, oglądając się na córkę Briana. Siedziała na obrotowym krześle, zaróżowiona i zachwycona. Jego dziecko, chłopiec albo dziewczynka, byłoby teraz w jej wieku.

Dzień w studiu spędziła Emma bardzo miło. Załowała tylko, że nie może dzielić tej przyjemności z Darrenem. To zupełnie inne doświadczenie: patrzeć na ojca i jego przyjaciół tutaj, a słuchać ich w salach koncertowych Ameryki. Tutaj panowała inna atmosfera. Nie rozumiała tego, ale czuła doskonale.

Podczas tournée Emma postrzegala zespół jako całość, jedno ciało z czterema głowami. Zachichotała na widok obrazu, który podsunęła jej wyobraźnia, choć wydawał się taki prawdziwy. Dziś kłócili się i przeklinali, żartowali albo po prostu siedzieli w milczeniu, słuchając playbacku. Nie znała znaczenia terminów technicznych, którymi się przerzucali, nie musiała. Kiedy naradzali się, zbici w małą grupkę, bawiła się sama. Pozwalała się zabawiać, kiedy mieli chwilę czasu. Zjadła stopy tłustych chipsów i opijała się coca-colą.

W przerwie siedziała na kolanach PM. i grzmociła w perkusję. Powiedziała do mikrofonu swoje imię i usłyszała, jak rozbrzmiewa w całej sali. Drzemiała na obrotowym krześle z wiernym Karolem pod głową i pałeczkami od perkusji w ręku. Obudził ją głos ojca, wyśpiewującego dzieje tragicznej miłości.

Patrzyła urzeczona, trąc zaspane oczy i ziewając w futro Karola. Była zbyt mała, by słowa ballady mogły ją wzruszyć. Ale zawarte w nich uczucie trafiło wprost do jej serduszka. Nigdy już nie mogła słuchać tej piosenki obojętnie. Zawsze przypominała sobie chwilę, gdy ocknęła się ze snu i usłyszała głos ojca wypełniający ją całą. Wypełniający cały świat.

Kiedy skończył, zapomniała, że powinna być cicho. Podskakując na krześle, klasnęła w ręce:

— Tatusiu!

W studiu realizatora Pete zaklął, ale Brian uniósł rękę.

- Zostaw tak, jak jest - powiedział, odwracając się do Emmy. - Zostaw tak, jak jest - powtórzył, wyciągając ramiona. Kiedy do niego podbiegła, chwycił ją i podrzucił wysoko nad głowę. - I co o tym myślisz, Emmo? Właśnie zrobiłem z ciebie gwiazdę.

## Rozdział 7

W 1968 roku zabójstwo Martina Luthera Kinga, a potem Roberta Kennedy'ego zachwiało wiarą Briana w ludzi, przywrócił mu ją Woodstock latem 1969. Dla Briana było to święto młodości i muzyki, miłości i braterstwa. Woodstock symbolizował szansę powstrzymania rozlewu krwi

i wojny, zamieszek i niezadowolenia. Stojąc na scenie, nad morzem głów, Brian wiedział, że nigdy nie dokona niczego równie wielkiego i godnego pamięci.

Choć głęboko poruszony tym, że może pozostawić w Woodstock swój ślad, Brian odczuwał na przemian przypływ depresji i strachu. Kończyła się dekada, a wraz z nią umierał duch tych czasów.

Przeżył te trzy dni pełen emocjonalnej i twórczej energii podsycanej atmosferą festiwalu i narkotykami, równie dostępnymi, jak prażona kukurydza na sobotnim festynie. Na te trzy dni odsunął od siebie strach. Nie chciał myśleć, dokąd przywiódł go sukces. Spędził całą noc samotnie w przyczepie zespołu, komponując utwory na czternastogodzinny maraton koncertowy, a kokaina szumiała mu w żyłach. Pewnego natchnionego popołudnia siedział w lesie ze Steviem, słuchając muzyki i ryku czterystu tysięcy ludzi. Za pomocą LSD ujrzał cały wszechświat leżący mu na dłoni jak klonowy liść.

Brian był gorącym wyznawcą Woodstock, jego idei, jego kształtu. Żałował tylko, że nie potrafił przekonać Bev, by przyjechała tu z nimi. Znowu na niego czekała. Tym razem w domu, który kupili na wzgórzach Hollywood. Romans Briana z Ameryką dopiero się rozpoczął, a drugie amerykańskie tournée wydawało się powrotem do domu. Był to rok festiwalu, fenomen, który Brian postrzegał jako demonstrację potęgi kultury rockowej.

Chciał odzyskać tamto uczucie euforii, które towarzyszyło pierwszym sukcesom. Przez ostatni rok czuł, że ta siła, ta jedność, przemija tak jak lata sześćdziesiąte. Odzyskał ją znowu w Woodstock.

Kiedy wsiedli do samolotu, pozostawiając fanów za sobą, Brian zapadł w ciężki sen. Stevie połknął beztrzesko parę barbituranów i odpłynął. Johnno grał w pokera ze świętą zespołu. Tylko P M. kręcił się niespokojnie przy oknie.

Chciał wszystko zapamiętać. Irytowało go, że w przeciwieństwie do Briana, nie może skupić się na symbolicznym znaczeniu festiwalu i dostrzega straszne warunki, w jakich się odbywa. Błoto, śmieci, brak urządzeń sanitarnych. Muzyka, dobry Boże, muzyka była wspaniała aż do bólu, ale często, zbyt często czuł, że publiczność jest za bardzo naćpana, by to zauważyć.

A jednak, mimo pragmatycznej i nieskomplikowanej natury, P.M. miał poczucie jedności i zaangażowania. W ciągu trzech dni czterysta tysięcy ludzi żyło jak jedna wielka rodzina. Ale oprócz tego był brud, rozpasany, nie dbały seks i morze narkotyków.

Narkotyki go przerażały. Nie potrafił się do tego przyznać, nawet ludziom, których uważał za braci. Po proach miał mdłości, głupiał albo zasypiał. Brał je tylko wtedy, gdy nie widział sposobu, by odmówić z godnością. Przerażała go i zdumiewała beztrzeska Briana i Johnno, którzy eksperymentowali ze wszystkim, co wpadło im w ręce. A jeszcze bardziej był zaniepokojony fa-

twością, z jaką Stevie, cichutko i systematycznie, wstrzykiwał sobie smołę w żyły.

Johnno był bardziej wybredny w doborze używek, którymi faszerował swój organizm. Ale Johnno miał tak silną osobowość, że nikomu nie przyszłoby do głowy wyśmiewać się z niego, gdyby odmówił zażycia kwasu, przyśpieszacza albo śniegu. P.M. był dobry, cholernie dobry. Ale nie potrafił tworzyć muzyki, nie potrafił jej odczytać. Jego umysł nie radził sobie z poezją i politycznymi wyznaniem wiary.

Natura poskąpiła mu urody. Jeszcze teraz, w wieku dwudziestu trzech lat, nękał go trądzik młodzieńczy.

Mimo licznych braków, P.M. był członkiem jednego z największych, najbardziej popularnych zespołów rockowych na świecie. Miał przyjaciół, dobrych, szczerych przyjaciół, na których mógł liczyć w potrzebie. Przez ostatnie dwa lata zarobił więcej pieniędzy, niż spodziewał się zarobić przez całe życie.

I wydawał je ostrożnie. Jego ojciec prowadził mały zakład naprawczy w Londynie. P.M. wiedział coś niecoś o biznesie i księgowości. On jeden z zespołu zadawał Peterowi pytania o zyski i straty i jako jedyny zadawał sobie trud czytania kontraktów, które podpisywali.

Posiadanie pieniędzy sprawiało mu przyjemność. Nie tylko dlatego, że mógł posyłać czeki do domu - rodzaj namacalnego dowodu, który miał przekonać sceptycznych rodziców, że naprawdę odniósł sukces. Lubił po prostu, kiedy pobrzękiwały mu w kieszeni.

Nie wyrósł w takiej biedzie jak Johnno czy Brian, ale daleki był od luksusów dostępnych Steviemu.

Jechali do Teksasu. Kolejny festiwal w roku wypełnionym festiwalami. Nie przeszkadzały mu. Potem czekał ich kolejny koncert w kolejnym mieście. Zlewały się w jedno, miesiące i miasta. A jednak nie chciał, by to się skończyło. Bał się panicznie, że jeżeli nastąpi koniec, on z powrotem popadnie w zapomnienie.

Wiedział, że kiedy lato minie naprawdę i nieodwracalnie, pojedą do Kalifornii, do Hollywood. Przez parę tygodni będą mieszkać wśród gwiazd filmowych. Przez parę tygodni, pomyślał, czując jednocześnie wyrzuty sumienia i radość, będą blisko Bev. Jedynym człowiekiem, którego P.M. kochał bardziej niż Briana, była jego żona.

Emma układała klocki literki. Czuła się bardzo dumna z umiejętności czytania i sylabizowania. Chciała teraz nauczyć tej sztuki Darrena.

- E-m-m-a - powiedziała, wystukując każdą literę. - Emma. Powiedz Emma.

- Mama! - Śmiejąc się, Darren zgarnął klocki na jedną kupkę. - Mama, mama.

- Em-ma. - Dziewczynka pochyliła się, żeby go pocałować. - Tu masz coś łatwego. - Emma ułożyła dwa klocki. - Ta-ta. Tata.

- Tata, tata! - Zachwycony sobą Darren stanął na mocnych nóżkach i pobiegł pędem do drzwi na spotkanie Briana.

- Nie, taty nie ma teraz w domu, ale w kuchni jest mama. Wydajemy dzisiaj ogromne przyjęcie z okazji ukończenia nowego albumu. Niedługo wrócimy do domu, do Anglii.

Cieszyła się z tego, chociaż lubiła swój amerykański dom na równi z pałacikiem pod Londynem. W ciągu ostatniego roku przeloty nad Atlantykiem stały się dla McAvoyów tym, czym dla innych rodzin wycieczka za miasto.

Jesienią 1970 roku Emma skończyła sześć lat i miała, zgodnie z życzeniem Bev, prawdziwą angielską guwernantkę. Wiedziała, że kiedy znów osiądą w Anglii, pójdzie do szkoły ze swoimi rówieśnikami. Myśl ta zachwycała ją i przerażała zarazem.

- Kiedy będziemy w domu, dowiem się wielu rzeczy i wszystkiego cię nauczę. - Mówiąc to, zbudowała z klocków wieżę. - Popatrz, to twoje imię. Najładniejsze imię. Darren.

Z okrzykiem radości chłopiec przykucnął, uważnie przyglądając się literom: D, A, Z, L, M, O, P. Posłał Emmie psotny uśmiech i zburzył wieżę jednym machnięciem ręki. Klocki rozsypały się po podłodze.

- Darren! - krzyknęła. - Darren McAvoy! Możesz powiedzieć to poprawnie, prawda, mój chłopcze? - Po trzech latach jej ton i intonacja głosu przypominały do złudzenia sposób mówienia Briana. Uśmiechając się, zaczęła budować z klocków coś bardziej stabilnego.

Ten dwulatek o gęstych ciemnych włosach i śmiejących się oczach barwy morskiej wody był radością jej życia. Miał twarzyczkę cherubina z obrazów Botticellego i energię demona. Był rozwinięty ponad swój wiek. Nawet raczkować zaczął wiele tygodni wcześniej, niż informowały książki o rozwoju dziecka.

Jego zdjęcie trafiło na okładki „Newsweeka”, „Photoplay” i „Rolling Stone”. Świat miał romans z Darrenem McAvoyem. W jego żyłach płynęła krew irlandzkich chłopów i zagorzałych brytyjskich konserwatystów, ale tak naprawdę był księciem. Obojętnie, jakie środki ostrożności podejmowała Bev, co tydzień ukazywały się w prasie nowe zdjęcia jej synka. A fanowie domagali się dalszych.

Przysyłali mu ciężarówki zabawek, które Bev metodycznie rozdzielała między szpitale i sierocińce. Napływały coraz to nowe oferty reklamowania - żywności dla dzieci, ubranek, sieci sklepów z zabawkami. Wszystkie zostały jednomyślnie odrzucone. Mimo nadmiernej uwagi i adoracji, Darren pozostał szczęśliwym zdrowym bakiem, wykorzystującym z rozko-

szą wszystkie możliwości dostępne dwulatкови. Gdyby wiedział o uwadze, jaką świat mu poświęca, uznałby radośnie, że zasługuje na nią w pełni.

- To jest zamek - poinformowała go Emma, układając klocki. - A ty jesteś królem.

- Jestem królem. - I klapnął na tłuściutką pupę.

- Tak. Królem Darrenem Pierwszym.

- Pierwszym - powtórzył. Znał doskonale znaczenie tego słowa i lubił, kiedy odnosiło się do jego osoby. - Darren jest pierwszy.

- Jesteś bardzo dobrym królem, miłym dla wszystkich zwierzątek. - Przytuliła mocniej wiernego Karola. Darren pochylił się posłusznie, by dać mu mokrego całusa. - A tutaj są wszyscy twoi dzielni rycerze. - Ustawiła lalki i wypchane zwierzaki. - Tutaj jest tatuś i Johnno, Stevie i P.M. A tu Pete. On jest, no... premierem. A tu jest piękna lady Beverly. - Emma zadowolona z siebie, wysunęła naprzód ulubioną baletnicę.

- Mama. - Teraz z kolei Darren ucałował lalkę. - Mama jest ładna.

- Jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Czyha na nią straszna czarownica, która zamknęła ją w wieży. - Emmie przeniknęło przez głowę niejasne wspomnienie matki, ale szybko znikło. - Wszyscy rycerze wyruszyli jej na ratunek. - Naśladując odgłos galopującego konia, pchnęła zabawki w stronę lalki. - Ale tylko sir Tatuś może złamać zaklęcie.

- Sir Tatuś. - Zestaw słów wydał się Darrenowi tak zabawny, że przewrócił się, niszcząc zamek.

- No cóż, jeżeli masz zamiar burzyć własne zamki, poddaję się.

- Mama. - Darren zarzucił jej ręce na szyję. - Moja mama, mama. Pobawmy się w farmę.

- No dobrze, ale musimy pozbierać klocki, bo przyjdzie Szczwana Panna Wallingsford i powie, że jesteśmy hałaśliwi bałaganiarze.

- Szczana, szczana, szczana.

- Darren! - Emma zakryła sobie usta dłońmi i zachichotała. - Nie mów tego.

Ponieważ się śmiała, chłopiec powtórzył to jeszcze raz, najgłośniejszym jak potrafił.

- Takie słowo, w pokoju dziecinnym?! - Bev stanęła w drzwiach, niepewna, czy powinna okazać surowość, czy może sobie pozwolić na uśmiech.

- On chciał powiedzieć szczwana - wyjaśniła Emma.

- Rozumiem. - Bev wyciągnęła ramiona na spotkanie syna. - To bardzo ważne „w”, mój chłopcze. Co robicie?

- Bawiliśmy się w zamek, ale Darren woli burzyć, niż budować.

- Darren Niszczyciel. - Bev wtulała twarz w jego szyję tak długo, dopóki nie zaczął piszczeć. Objął ją małymi nóżkami, tak że mogła trzymać go w jego ulubionej pozycji. Do góry nogami.

Nie wiedziała, że można aż tak kochać. Nawet jej namiętność do Briana zbladła wobec miłości do syna. Obdarował ją, nie wiedząc nawet, że daje. Ta miłość po prostu istniała; uścisk, pocałunek, uśmiech. Zawsze w odpowiednim momencie. Był najlepszą, najjaśniejszą cząstką jej życia.

- No już, pomóż siostrze zebrać klocki.

- Ja to zrobię.

Stawiając Darrena na ziemi, Bev uśmiechnęła się do Emmy.

- Musi się nauczyć sprzątać po sobie, Emmo. Obojętnie jak bardzo obie chciałybyśmy go w tym wyręczać.

Patrzyła na tych dwojga, na delikatną dziewczynkę o jasnych włosach i ciemnego, krzepkiego chłopca. Emma była schludnym, dobrze ułożonym dzieckiem. Czasy, kiedy chowała się w szafach, dawno minęły. Brian ją zmienił. Bev miała nadzieję, że ona także przyczyniła się do stworzenia nowej Emmy; mądrej, radosnej Emmy. Ale tak naprawdę, była to zasługa Darrena. Opiekując się nim, Emma zapomniała o strachu, zapomniała o nieśmiałości.

A Darren odwzajemniał z nawiązką jej miłość.

Nawet jako niemowlę szybciej przestawał płakać, kiedy Emma go uspokajała. Każdego dnia więź między nimi stawała się silniejsza.

Bev z radością powitała ten dzień, parę miesięcy temu, kiedy Emma zaczęła mówić do niej „mamo”. Coraz rzadziej zdarzało jej się spojrzeć na Emmę i ujrzeć w niej córkę Jane. Nie mogła, nie potrafiła kochać Emmy tą samą desperacką niemal miłością, jaką darzyła Darrena, ale jej miłość była mocna i niezmienna.

Darren wrzucił klocki do pudełka, z lubością wsłuchując się w stukot.

- D - powiedział, trzymając ulubioną literę nad otworem pudełka. - Dom, dach, Darren! - Wrzucił ją do pojemnika, z zadowoleniem stwierdzając, że narobiła najwięcej hałasu. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, wskoczył na czerwono-białego konia i pogalopował na zachód.

- Mieliśmy bawić się w farmę. - Emma zdjęła z półki stajnię i silos. Na dźwięk słowa „farma” Darren natychmiast porzucił konia. Zdjął czubek silosa i wytrząsnął z niego zwierzęta i ludziki.

- Bawmy się, bawmy - zaintonował. Dość niezgrabnie próbował ustawić fragmenty plastikowego ogrodzenia.

Emma pomogła mu, po czym spojrzała na Bev.

- Pobawisz się z nami?

Mam tysiące rzeczy do zrobienia, pomyślała Bev. Ci wszyscy ludzie, których Brian zaprosił na wieczór! Za parę godzin dom będzie pełen gości. Zawsze był pełen gości, jakby Brian bał się spędzić parę godzin sam na sam z własnymi myślami. Nie wiedziała, przed czym ucieka, i podejrzewała, że on także nie ma pojęcia.



Kiedy wrócą do Londynu... Wszystko się ułoży, kiedy wrócą do domu. Spojrzała na dzieci, swoje dzieci. Roześmiała się i rzekła:

- Z przyjemnością.

Kiedy godzinę później Brian stanął w drzwiach pokoju, zastał swoją rodzinę przy zaorywaniu tureckiego dywanu, który służył za pole kukurydzy. Zanim zdążył przemówić, Emma zerwała się na nogi.

- Tatusz wrócił! - Pobiegła ku niemu, ostatni odcinek drogi pokonując skokiem, pewna, że ją złapie.

Brian uniósł córkę w ramionach, całując głośno w policzek. Wolną ręką objął Darrena.

- Dużego buziaka - rozkazał i zachwiał się, kiedy chłopiec wycisnął na jego twarzy mocnego, mokrego całusa. Z dziećmi w ramionach, Brian obszedł plastikowe płoty i przysadziste figurki porozstawiane na podłodze. - Znowu gospodarujecie?

- Ulubione zajęcie Darrena. - Bev czekała, aż mąż usiadzie, potem uśmiechnęła się do niego radośnie. W gronie rodziny Brian wyzwałał zawsze lepszą część samego siebie. - Obawiam się, że przed chwilą wdepnąłeś w kupę gnoju.

- Tak? - Pochylił się, żeby przytulić żonę. - To nie pierwszy raz, kiedy wdepnąłem w gówno.

- Gówno-powtórzył Darren z idealną dykcją.

- Niezły początek - szepnęła Bev.

Brian roześmiał się tylko, łaskocząc syna.

- To co robimy?

Darren wyrwał się z uścisku Briana i usiadł na kolanach Bev.

- Orzemy pod kukurydzą, ponieważ postanowiliśmy zasiać fasolę.

- Mądra decyzja. Jesteś farmerem dżentelmenem, co, chłopie? - Dźgnął Darrena palcem w pękaty brzuszek. - Musimy wybrać się do Irlandii. Tam będziesz mógł pojeździć na prawdziwym traktorze.

- Jedźmy, jedźmy. - Podskakując na kolanach Bev, Darren odśpiewał swoje ulubione powiedzonko.

- Darren jest za mały, żeby jeździć na traktorze - powiedziała Emma, statecznym ruchem oplatając ramiona wokół kolan.

- Właśnie - przyznała Bev z uśmiechem. - Nie może też używać kija do krykieta ani roweru, który ktoś mu kupił. - To była wyraźna aluzja do Briana.

- Kobiety! - Brian zwrócił się do Darrena. - Nie rozumieją naszych męskich spraw.

- Szczana - wyrecytował Darren, zadowolony z poszerzenia swojego słownika.

- Proszę? - Brian z trudem stłumił śmiech.

- Nie pytaj! - Bev uściśnęła Darrena. - Posprzątajmy ten bałagan, żebyśmy mogli napić się herbaty.

- Świetny pomysł. - Brian poderwał się na nogi i chwycił Bev za rękę. - Emma, kochanie, przejmij ster. Mamusia i ja mamy coś do zrobienia przed herbatą.

- Brian!

- Panna Wallingsford jest na dole. - Niemal wypchnął Emmę z pokoju. - Nie zapomnij się umyć.

- Brian, pokój wygląda jak pobojowisko.

- Emma się tym zajmie. Uwielbia robić porządki. - Wepchnął Bev do sypialni.

- Nawet jeśli, to ja... - Złapała jego rękę, kiedy zaczął ściągać z niej podkoszulek. - Bri, mam tysiące rzeczy do zrobienia.

- A ta jest najważniejsza z nich. - Brian zamknął jej usta pocałunkiem. Z przyjemnością stwierdził, że zaniechała niemrawego oporu.

- Była najważniejsza wczoraj w nocy - szepnęła, zsuwając rękę na jego biodra. -I dzisiaj rano.

- Zawsze jest najważniejsza - odpowiedział i rozpiął jej dzinsy.

Zachwycało go, że jest taka drobna, taka jędrna. Po dwójce dzieci. Nie, po jednym dziecku, poprawił się. Często zapominał, być może świadomie, że nie wydała na świat Emmy. Bez względu na to, jak bardzo znajome było jej ciało, dotykając go, przenosił się myślami do ich pierwszych wspólnych nocy.

Przeszli daleką drogę od dwupokojowego mieszkania i skrzypiącego łóżka. Mieli teraz dwa domy, w dwóch krajach, ale seks pozostał równie mocny i słodki jak wtedy, gdy nie mieli nic, z wyjątkiem rozpaczliwych nadziei i pięknych marzeń.

Przetaczali się po łóżku: ich ciała złane w jedno, usta coraz bardziej pożądliwe. Uniosła się nad nim, a on patrzył, jak twarz Bev tężeje pod wpływem niemal bolesnej rozkoszy.

Tak niewiele się zmieniła. Włosy miała dłuższe, opadały jej na ramiona, lśniące i proste. Mlecznobiała skóra zaróżowiła się od ognia, który rozgrzewał teraz jej ciało. Uniósłszy się, okrył jej piersi powolnymi pocałunkami, lekkimi jak muśnięcie. Kiedy odchyliła głowę, ssał zachłannie brodawki, podniecony jej cichym, bezradnym jękiem.

Chciał od niej piękna. I otrzymał je.

Ujął ją za biodra, przytulił lekko do siebie, tak by mogła narzucić mu swój rytm. Zabrać go tam, dokąd chciała pójść.

Naga, przeciągnęła się, a potem skuliła przy nim. Spod przymkniętych powiek obserwowała światło sączące się przez okna. Najchętniej udawałaby, że to ranek, jakiś leniwy ranek i że mogą leżeć tak przez wiele godzin.

- Nie sądziłam, że będzie mi tu dobrze, przez te wszystkie miesiące nagrań, ale było cudownie.

- Możemy jeszcze trochę zostać. - Poczul przypływ energii, jak zawsze po tym, kiedy się kochali. - Na parę tygodni. Poleniuchować, wybrać się jeszcze raz do Disneylandu.

- Darren i tak uważa go za swoje prywatne wesołe miasteczko.

- Więc musimy mu je wybudować. - Brian przekreślił się na bok, wspierając na łokciu. - Bev, miałem krótkie spotkanie z Pete'em tuż przed przyjściem do domu. *Outcry* będzie platynowa.

- Och, Bri! To wspaniale!

- Więcej niż wspaniale. Miałem rację. - Chwycił ją za ramiona i posadził obok siebie. - Ludzie słuchają, naprawdę słuchają. *Outcry* stała się czymś w rodzaju antywojennego hymnu. Naprawdę się liczy. - Nie słyszał nutki desperacji w swoim głosie, desperacji człowieka, który pragnie przekonać samego siebie. - Zrobimy kolejnego singla z tej płyty. Chyba *Love Lost*, chociaż Pete kręci nosem, uważając, że jest za mało komercyjna.

- Jest dość smutna.

- Właśnie taka powinna być — rzucił sucho, po czym stłumił irytację i ciągnął już spokojniej: - Chciałbym to puszczać w parlamencie, w Pentagonie, ONZ, wszędzie tam, gdzie te kołtuńskie, grube sukinsyny podejmują decyzje. Musimy coś zrobić, Bev. - Skoro ludzie mnie słuchają, ponieważ śpiewam przeboje, muszę mieć coś ważnego do powiedzenia.

Pete Page siedział przy biurku w apartamencie, który wynajmował w samym sercu Los Angeles, i rozważał sytuację. Podobnie jak Brian był zachwycony sukcesem *Outcry*. Dla niego była to bardziej sprawa liczby sprzedanych płyt niż kwestia sumienia społecznego. Ale za to właśnie mu płaćili.

Jak przepowiedział trzy lata temu, stali się bogatymi ludźmi. Zadba o to, by stali się jeszcze bogatsi.

Muzyka zespołu Devastation oznaczała kasę. Wiedział to już sześć lat temu, słuchając ich pierwszego albumu. Nieco surowego, nieco chropawego. Był odpowiedzią na wyzwanie tych czasów. Pete załatwił już korzystne kontrakty nagraniowe dwóm zespołom, ale dopiero Devastation miała poprowadzić go ku sławie i chwale.

Potrzebował Briana i jego zespołu. A oni potrzebowali jego. Jeździł z nimi na występy, siedział w knajpach, nachodził producentów płyt, uruchomił wszystkie kontakty. Opłacało się bardziej, niż miał prawo oczekiwać. Ale jego oczekiwania były elastyczne. Chciał wycisnąć z Devastation więcej. Więcej dla siebie.

Zespół, indywidualnie i jako grupa, zaczynał go niepokoić. Ostatnimi czasy chłopcy trochę nadużywali swobody, włóczyli się gdzieś, każdy na własną rękę. Johnno robił tajemnicze wypadki do Nowego Jorku, a Stevie ginął na całe tygodnie nie wiadomo gdzie. P.M. był wprawdzie zawsze pod ręką, ale całkowicie pochłonięty romansem z ambitną gwiazdeczką. Pete przestał wierzyć, że to flirt. No i oczywiście Brian, sypiący antywojennymi hasłami jak z kapelusza.

Byli zespołem, do jasnej cholery, zespołem rockowym, i to, co robili w pojedynkę, odbijało się na tym, co robili jako grupa. A to, co robili jako grupa, wpływało na to, jak się sprzedawali. Już teraz kręcili nosem na tournée zaplanowane po wyjściu nowego albumu.

Nie pozwoli, by przydarzyło im się to, co przydarzyło się Beatlesom. Westchnąwszy ciężko, Pete zaczął myśleć o tym, jacy byli kiedyś i jacy są teraz.

Podobała mu się kolekcja samochodów Johnno: bentley, rolls, ferrari. Jedno jest pewne, pomyślał z nikłym uśmiechem, facet wie, jak cieszyć się pieniędzmi. Niemal przestał się martwić, że wieści o skłonnościach seksualnych Johnno wydostaną się na zewnątrz. Przez lata nabrał szacunku dla inteligencji Johnno, jego rozsądku i talentu.

Nie, nie muszę martwić się o Johnno, zdecydował, przeglądając papiery na biurku. Potrafi zadbać o to, by jego sprawy osobiste pozostały osobistymi. A publika uwielbia go za dziwaczne stroje i cięty język.

Stevie. Narkotyki stanowiły w jego przypadku pewien problem. Nie wpływały na to, jak grał, na razie, ale zmiany jego nastroju następowały coraz szybciej i były coraz bardziej gwałtowne. Na ostatnie dwie sesje nagraniowe Stevie przyszedł naćpany, i nawet Brian, którego można posądzić o wszystko, tylko nie o to, że stroni od narkotyków, stracił cierpliwość.

Tak, będzie musiał pilnować Steviego.

P.M. był niezawodny jak wschód słońca. To prawda, jego zwyczaj rozkładania każdego kontraktu na czynniki pierwsze bardziej złościł, niż bawił Pete'a. Ale chłopak dobrze inwestował swoje pieniądze i tym zyskał uznanie menedżera. Kolejną niespodzianką, miłą, a zarazem przynoszącą wymierne korzyści, było to, że jego nieładna twarz zaczęła budzić szalone zainteresowanie płci pięknej. Ogniwo zespołu, które Pete zawsze uznawał za najsłabsze, okazało się najsilniejsze.

Brian. Pete nalał sobie chivas regal na dwa palce, rozparł się w skórzanym fotelu i zatopił w rozmyślaniach. Brian był, bez wątpienia, sercem i duszą zespołu. Jego twórczym napędem i sumieniem.

Szczęśliwym zrządzeniem losu sprawa z Emmą nie zaszkodziła Devastation. Pete najpierw martwił się nią, potem się z niej cieszył. Historia wzbudziła sympatię Anglików i nakłoniła ich do kupowania płyt. Co prawda, od czasu do czasu, musiał krzyżować szpady z Jane Palmer, ale to nie

zmniejszało popularności zespołu ani na jotę. Podobnie jak małżeństwo Briana. Pete ubolewał nad tym, że nie może promować zespołu jako grupy czterech młodych kawalerów. Ale życie rodzinne Briana okazało się dla prasy niewyczerpaną żyłą złota.

Najgorsze były polityczne zloty, przemowy, uwielbienie Briana dla postępowych organizacji studenckich, otwarte poparcie dla amerykańskich poborowych. Mieli już prawie załatwioną okładkę „Time'a”, kiedy Brian wyskoczył z niefortunną krytyką procesu chicagowskiej siódemki.

Pete znał potęgę prasy, rozumiał, że jedno bezmyślne zdanie może obrócić publikę - kupującą płyty publikę! - przeciwko nim. John Lennon otworzył swoją puszkę Pandory jednym nieprzemyślanym i sarkastycznym stwierdzeniem, że Beatlesi są więksi od Jezusa Chrystusa. Brian był bliski, niebezpiecznie bliski, popełnienia tego samego błędu.

Ma prawo do poglądów politycznych, oczywiście, myślał Pete, sącząc whisky. Ale nadchodzi moment, kiedy należy poświęcić poglądy dla sukcesu. Gdzieś między skłonnością Steviego do narkotyków a idealizmem Briana czaiła się katastrofa.

Istniały sposoby, by jej uniknąć, i Pete rozważył już niektóre z nich. Musi sprawić, by publiczność dostrzegła w Steviem nie tylko stukniętego ćpuna, ale również niezwyklego muzyka. Musi ukazać im Briana nie tylko jako maniaka politycznego, ale również jako oddanego ojca.

Jeżeli uda mu się wyważyć te dwa wizerunki, płyty będą kupowali nie tylko młodzi ludzie, ale również ich rodzice.

## Rozdział 8

Zostali w Kalifornii jeszcze dwa tygodnie, rozkoszując się długimi, sennymi dniami, Kochając się wieczorami, nocami wydając przyjęcia. W środku tygodnia robili wycieczki do Disneylandu, przebrani nie do poznania. Fotografowie, zatrudnieni przez Pete'a, pracowali tak dyskretnie, że Bev nawet ich nie zauważyła.

Postanowiła odstawić pigułki antykoncepcyjne, Brian pisał piosenki o miłości.

W miarę jak zbliżał się termin powrotu do Anglii, członkowie zespołu uspokajali się z wolna. Położony na wzgórzu dom Briana stał się ich nieformalną kwaterą główną.

- Powinniśmy wszyscy pójść. - Johnno beztrudnie przepuścił swoją kolejkę na skråta. - *Hair* jest pierwszym ważnym musicaliem naszego pokolenia.

Rockowym musicalem. - Podobało mu się to wyrażenie, jego pompatyczność. Miał już parę własnych pomysłów. Po powrocie do Londynu sklecał z Brianem musical, który przyćmi *Hair* i ostatni sukces *Tommy*. - Możemy zatrzymać się w Nowym Jorku na parę dni - ciągnął - zobaczyć film, trochę narozrabiać i wrócić do Londynu.

- Czy oni naprawdę rozbierają się do naga? - chciał wiedzieć Stevie.

- Do nagusieńka, synu. To powinno być warte ceny biletu.

- Powinniśmy pójść. - Towarzystwo kumpli i skręt nastroiły Briana przyjaźnie do świata. Oparł głowę o kolana Bev. I tak tkwił w jednym miejscu dłużej, niż miał na to ochotę. Myśl o Nowym Jorku była kusząca. - Dla muzyki i idei.

~ Ty pójdziesz dla idei, ja dla gołych dziewczątek. - Stevie pokazał zęby w uśmiechu.

- Niech Pete to zorganizuje. Co o tym sądzisz, Bev?

Nie lubiła Nowego Jorku, ale wiedziała, że Brian podjął już decyzję. I nie chciała psuć pogodnego nastroju ostatnich tygodni.

- Jestem za. Może moglibyśmy zabrać Darrena i Emmę do zoo i na spacer do Central Parku.

Emma była poruszona. Dobrze pamiętała pierwszą podróż do Nowego Jorku, ogromne łóżko w pokoju hotelowym, dreszcz emocji na szczycie świata, wspaniałe przejażdżki na karuzeli w Central Parku. Chciała podzielić się tym wszystkim z Darrenem.

Podczas przygotowań do wyjazdu próbowała opowiedzieć mu o oglądanych kiedyś cudach. Alice Wallingsford zajęta była pakowaniem, Emma zaś trzymała Darrena w ryzach, bawiąc się w jego ulubioną farmę.

- Krowa muuu! - powiedział Darren, wyjmując z zestawu biało-czarne zwierzę. - Chcę zobaczyć krowę muuuu!

- Nie sądzę, żebyśmy zobaczyli krowę, ale w zoo będą lwy. - Wydała z siebie ryk, na który Darren zareagował piskiem.

- Nie rozbawiaj go, Emmo - powiedziała Alice automatycznie. - Niedługo musi iść spać.

Emma wzniosła oczy do nieba, a Darren zaczął tańczyć wokół niej. Miał na sobie ogrodniczki i czerwone kapcie. Chcąc zdobyć uznanie Emmy, próbował fiknąć koziołka.

- Ileż w nim energii! — Cmoknęła Alice z dezaprobatą, choć w rzeczywistości była chłopcem oczarowana. - Nie wiem doprawdy, jak my go dzisiaj nakłonimy do snu.

- Niech pani nie pakuje Karola - wtrąciła Emma, gdy niania upchnęła psa do torby. - On poleci samolotem ze mną.

Z ciężkim westchnieniem Alice odłożyła sfatygowane zwierzę na bok.

- Przydałaby mu się porządna kąpiel. Żebyś nie kładła go Darrenowi do łóżka, Emmo!
- Ja kocham Karola - oświadczył Darren, robiąc kolejnego fikołka. Wylądował ciężko na półce z zabawkami, ale zamiast wybuchnąć płaczem, zagrał drewnianym młotkiem capstrzyk na cymbałkach. - Kocham Karola — zaśpiewał do rytmu.
- Jest, być może, słodki, aczkolwiek nieco cuchnący. Nie chcę zarazków w łóżeczku mojego chłopczyka.
- Kocham zarazki. - Darren posłał jej promienny uśmiech.
- Och, ty mały utrapieńcze. - Alice uniosła go w górę i pohuściła na biodrze. - Teraz Alice zrobi ci śliczną kąpiel z pianką. Emma, pozbieraj te zabawki - dodała już w drzwiach. - Wykap się po Darrenie. A potem możesz zejść na dół, powiedzieć rodzicom dobranoc.
- Tak, proszę pani! - Odczekała, aż za Alice zamkną się drzwi i dopiero wtedy wstała, by podnieść Karola. Wcale nie śmierdzi, pomyślała, zanurzając twarz w jego sierści. I będzie nadal wkładała go do łóżeczka Darrena, ponieważ Karol czuwa nad nim, kiedy on śpi.
  
- Naprawdę wolałabym, żebyś nie zapraszał tylu ludzi. - Bev poprawiła poduszki na kanapie, choć wiedziała, że podobne zabiegi są zwykłą stratą czasu.
- Musimy się jakoś pożegnać, prawda? - Nastawił płytę Jimmy'ego Hendriksa, ponieważ przypominała mu, że muzyka żyje, choć jej twórca umarł. - A poza tym po powrocie do Londynu zabieramy się ostro do pracy. Chcę się odprężyć, póki mogę.
- Ciekawe jak, z setką ludzi roznoszącą dom.
- Bev, to nasz ostatni wieczór!
- Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i zamknęła je na widok Alice z dziećmi.
- Jest mój chłopczyk! - Uniosła Darrena wysoko w ramionach, po czym mrugnęła do Emmy. - Karol jest już gotowy do drogi? - Rozumiała niechęć Emmy do samolotów i pogłaskała córkę współczująco po włosach.
- Jest tylko trochę zdenerwowany. Ale ze mną nic mu się nie stanie.
- Oczywiście, że nie. - Ucałowała delikatne miejsce między uchem a szyją Darrena. - Już po kąpeli? - Zazwyczaj odprowadzała ten codzienny rytuał sama. Zabawa z Darrenem w wannie, przesuwanie namydloną gąbką po białej, lśniącej skórze synka należały do jej największych przyjemności.
- Wykapany i gotowy do łóżka - wtrąciła Alice. - Powiedzą tylko dobranoc i kładę je spać.
- Ja to zrobię, Alice. Przez to całe zamieszanie nie miałam dzisiaj dla nich czasu.

- Dobrze, proszę pani. Dokończę pakowania.  
- Tatusiu. - Emma posłała Brianowi nieśmiały uśmiech. - Opowiedz nam bajkę? Proszę!

Miał właśnie zamiar zrobić sobie skręta i posłuchać muzyki. Ale nie potrafił oprzeć się uśmiechowi córki. Zignorowanie promiennego, perlistego śmiechu syna sprawiało mu podobne trudności.

Poszedł na górę ze swoją rodziną pozwalając Hendriksowi rozpaczać w samotności.

Trzeba było dwóch bajek, żeby zmorzyć Darrena. Walczył ze snem tak, jak walczył ze wszystkim, co ograniczało jego aktywność. Chciał biegać, śmiać się, fikać koziołki. A najbardziej ze wszystkiego pragnął być walecznym młodym rycerzem, o którym opowiadał ojciec. Chciał wznieść błyszczący czarodziejski miecz i posiekać smoka.

Ziewnął i wtulony w piersi mamy zaczął drzemać. Czuł jej zapach i zasypiał szczęśliwy, że ma ją blisko.

Nie obudził się, kiedy Bev przeniosła go do łóżka. Darren spał tak, jak wszystko, co robił. Całym sercem. Bev otuliła mu ramiona niebieskim kocikiem, odpędzając myśl, że już wkrótce syn będzie za duży na dziecinne łóżeczko.

- Jest taki śliczny. - Nie mogła się powstrzymać, by nie pogłaskać go po ciepłym policzku.

Z uśpioną Emmą w ramionach Brian patrzył na syna.

- Kiedy tak sobie leży, trudno uwierzyć, że potrafi jedną ręką zdemolować pokój.

Bev roześmiała się cicho, obejmując go w pasie.

- Używa obu rąk.

- I nóg.

- Nie znam nikogo, kto by tak kochał życie. Kiedy na niego patrzę, uświadamiam sobie, że mam wszystko, czego mogłabym pragnąć. Widzę go za rok, za pięć lat. To sprawia, że perspektywa starzenia się nie jest taka przykra.

- Gwiazdy rocka się nie starzeją. - Brian zmarszczył brwi i po raz pierwszy Bev usłyszała w jego głosie nutę sarkazmu, a może rozczarowania. - Sprzedają się albo jadą do Vegas w białych garniturkach.

- Nie ty, Bri! - Objęła go mocniej. - Za dziesięć lat nadal będziesz najlepszy.

- Tak. Ale jeżeli kiedykolwiek kupię biały garnitur z cekinami, kopnij mnie w tyłek.

- Z największą przyjemnością. - Bev pocałowała go i pogłaskała po policzku, jakby był jednym z jej dzieci. - Połóżmy Emmę.

- Chcę postępować tak, żeby było jak najlepiej dla nich. - Brian ruszył korytarzem w stronę pokoju Emmy. I dla ciebie, Bev.



- Tak właśnie postępujesz.
- Świat jest taki popieprzony. Kiedyś myślałem, że jeśli dobrniemy na szczyt, na sam szczyt, ludzie będą nas słuchać, że będziemy mogli coś zmienić. Teraz nie jestem już tego taki pewien.
- O co chodzi, Bri?
- Nie wiem. - Położył Emmę, marząc o tym, by mógł określić źródło niezadowolenia i niepokoju, który zaczynał go dręczyć. - Parę lat temu, kiedy nastąpił przełom, myślałem, że to jest fantastyczne. Tłumy wrzeszczących dziewcząt, nasze zdjęcia we wszystkich czasopismach, nasze piosenki w każdej stacji radiowej.
- Tego właśnie chciałeś.
- Chciałem, nadal chcę. Sam już nie wiem. Jak ludzie mogą usłyszeć, co chcemy im powiedzieć, skoro wrzeszczą przez cały cholerny koncert?! Co za różnica, czy jesteśmy dobrzy, czy źli?! Jesteśmy towarem, wizerunkiem, który stworzył Pete, żeby sprzedawać płyty. Nienawidzę tego. - Wpakował pięści w kieszenie spodni. - Czasem myślę, że powinienem zacząć od początku, wrócić do pubów. Tam ludzie słuchali, kiedy grałem. Tam mogliśmy do nich trafić. Nie wiem. - Przeciągnął ręką po włosach. - Chyba nie doceniałem radości, jaką nam to wtedy dawało. Ale nie można cofnąć czasu.
- Nie wiedziałam, że tak się na to zapatrujesz. Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Sam nie wiedziałem. Po prostu nie czuję się już Brianem McAvoyem. - Jak miał jej wytłumaczyć, że uczucie, które wskrzesił w Woodstock, błędnie nieubłagane przez ostatni rok? - Nie wiedziałem, jakie to frustrujące nie móc wyskoczyć z chłopakami na drinka, nie móc usiąść na plaży, żeby nie zostać stratowanym przez tłum ludzi.
- Możesz przestać. Możesz wrócić do pisania.
- Nie mogę przestać. - Spojrzał na Emmę, śpiącą spokojnie. - Muszę nagrywać, muszę występować. Kiedy jestem na scenie albo w studiu, wiem, że to właśnie chcę robić. Muszę robić. Ale cała reszta... Reszta wyczerpuje mnie do cna, a o tym nie wiedziałem. Może to z powodu śmierci Hendriksa i Joplin. Taka strata! A potem Beatlesi. To jakby koniec czegoś, a ja czuję, że jeszcze nie skończyłem.
- To nie jest koniec. - Bev położyła mu rękę na ramieniu, odruchowo masując napięte mięśnie. - Po prostu zmiana.
- Jeżeli nie idę naprzód, cofam się, nie widzisz tego? - Ale wiedział, że ona nie może tego dostrzec. Spróbował więc ubrać myśli w bardziej zrozumiałe słowa. - Może to dlatego, że Pete naciska na kolejne tournee, a może dlatego, że namawia Steviego na muzykę do filmu. Wiem tylko, że nie jesteśmy już tylko my, nasza czwórka, grająca coś z potrzeby serca. Jest jeszcze nasz image i cholerny rynek, agenci i doradcy podatkowi.

Emma przekręciła się na drugi bok, mamrocząc przez sen.

- I niepokoi mnie myśl, że Emma pójdzie do szkoły. A wkrótce po niej Darren. Jak im tam będzie? Czy ludzie nie rzucają się na nich, pragnąc dla siebie części ich istoty, ponieważ są McAvoyami? Moje dzieciństwo było parszywe. Chcę, by moim dzieciom żyło się lepiej, ale czy będzie im lepiej, jeżeli staną się częścią czegoś, nad czym nie mamy kontroli? Czegoś, co robi się coraz bardziej żarłoczne?

- Za dużo myślisz - ujęła jego twarz w swoje dłonie - i to właśnie najbardziej w tobie kocham. Dzieci mają się wspaniale. Wystarczy na nie spojrzeć. Być może ich dzieciństwo nie jest normalne, ale są szczęśliwe. Zadbamy o ich szczęście, o ich bezpieczeństwo. Bez względu na to, kim jesteś, pozostaniesz na zawsze ich tatą. A resztą się zajmiemy.

- Kocham cię, Bev. Muszę chyba być stuknięty. Przecież mamy wszystkich. - Przyciągnął ją do siebie, by wtulić twarz w jej włosy. Pragnął zrozumieć, dlaczego to, co w życiu osiągnął, okazało się dla niego zbyt dużym ciężarem.

Niezadowolenie Briana zniknęło po paru skrętach. Otaczał go tłum ludzi, którzy, czuł to, rozumieją go. Wiedzą, czego chce i dokąd zmierza Brian McAvoy. Muzyka była głośna, narkotyki dostępne w różnych odmianach i w dowolnej ilości. Śnieg, trawka, turecki hasz, przyspieszacz. Rozdzierający duszę głos Janis Joplin wypełniał dom, podczas gdy goście wstępowali na narkotyczne szczyty. Chciał słuchać Jenis, ciągle od nowa, chciał słuchać, jak wykrzykuje *Ball and Chain*. Pozwalała mu uświadomić sobie, że on żyje i ciągle jeszcze ma szansę nadać temu znaczenie.

Przyjrzał się Steviemu, który tańczył z rudą dziewczyną w czerwonej minispódnicy. Stevie nie martwi się, że jest marionetką postacią z plakatu na ścianie dziewczynskiego pokoju, dumając Brian, splukując precelki łagodną irlandzką whisky. Stevie po prostu przeskakuje radośnie z kobiety na kobietę, bez troski jak ptaszek. Co prawda jest naćpany przez większą część dnia. Brian roześmiał się krótko i sięgnął po kolejnego skręta.

Johnno obserwował go z drugiego końca pokoju. Dystansuje się, pomyślał, zapalając gauloise'a zamiast trawki. To zdarza się coraz częściej. Jak dotąd tylko on o tym wiedział, pewnie dlatego, że jest z Brianem najbliżej. Patrząc teraz na niego, uświadomił sobie, że Brian utożsamia się z zespołem już tylko wtedy, gdy siedzą we dwójkę i piszą muzykę. Melodia, kontrapunkt, przejście.

Wiedział, że wstrząsnęła nim śmierć Hendriksa i Joplin. Nim także. W pewnym sensie ich odejście miało równie niszczycielski efekt, co śmierć Kennedych. Ludzie powinni zestarzeć się, zramoleć, zanim umrą. Chociaż Johnno był poruszony, nie rozpacział tak jak Brian. Ale Brian zawsze odczuwał mocniej, potrzebował więcej.

Idąc za jego spojrzeniem, natknął się na Steviego. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Fakt, że Stevie pieprzył każdą kobietę na kontynencie, nie miał dla Johnno najmniejszego znaczenia, choć czuł, że brak w tym finezji. Niepokoiły go narkotyki, to że Stevie szybko tracił nad nimi kontrolę. Nie obchodził go wizerunek, który sobie stworzyli. Obraz naćpanych muzyków rockowych.

Przeniósł wzrok na P.M. Tutaj także rodził się problem, choć jego źródłem nie były narkotyki. Och, nie! Biednego P.M. zwał z nóg jeden strzał. Problem stanowiła cycasta blondyna, która przykleiła się do perkusisty dwa miesiące temu. Nic nie wskazywało na to, by P.M. podejmował jakiegokolwiek próby oderwania jej od siebie.

Johnno przyjrzał się skośnookiej blondynce o końskiej twarzy - same nogi i cycki wtłoczone w opiętą czerwoną kciekę. Nie była idiotką za którą chciała uchodzić. Była bystra jak cholera. Wiedziała, w jakiej tonacji grać, by muzyka podobała się P.M. Jeżeli jej nie upilnują, w mig zaciągnie go do ołtarza. I nie usunie się na drugi plan jak Bev. Nie, na pewno nie!

Ta trójka, każde na swój sposób, pchała zespół ku destrukcji. A dla Johnno nic nie istniało poza nim.

Kiedy Emma się obudziła, podłoga drżała od basów stereo.

Przez chwilę leżała cicho, nasłuchując, próbując, jak to często robiła, rozpoznać piosenkę jedynie po rytmie.

Przyzwyczała się do przyjęć. Tatusz lubił mieć ludzi dookoła siebie. Mnóstwo ludzi, muzyki i śmiechu. Kiedy będzie starsza, też będzie chodziła na przyjęcia.

Bev zawsze pucowała dom przed przyjściem gości. To głupie, pomyślała Emma. Rano i tak pełen był cuchnących szklanek i przepełnionych popielniczek. Bardzo często pośrodku pobjowiska dogorywali na kanapach goście.

Ciekawe, jak to jest, nie spać całą noc, rozmawiać, śmiać się, słuchać muzyki? Kiedy jesteś dorosła, nikt nie mówi ci, kiedy masz iść do łóżka czy wziąć kąpiel.

Z westchnieniem przewróciła się na plecy. Muzyka była teraz szybsza. Czuła puls basów bijący w ścianach domu. I coś jeszcze. Kroki na korytarzu, pomyślała. Panna Wallingsford. Miała już zamknąć oczy i zasnąć, kiedy inna myśl przysłała jej do głowy. Może to tatuś albo mama idą zajrzeć do niej i do Darrena. Mogłaby udawać, że dopiero co się obudziła i namówić ich, by opowiedzieli jej o przyjęciu.

Ale kroki oddaliły się od drzwi jej sypialni. Usiadła, ściskając Karola. Rozpaczliwie pragnęła towarzystwa, nie chciała być sama ani przez chwilę. Chciała porozmawiać o przyjęciu albo o podróży do Nowego Jorku. Chciała

wiedzieć, co to za piosenka. Siedziała przez chwilę, mała, senna dziewczynka w różowej nocnej koszulce, oblana pogodnym światłem lampki z Myszką Miki.

Wydawało jej się, że słyszy płacz Darrena. Wyprostowała się, cała zamieniona w słuch. Była pewna, że przez dudnienie basów słyszała płacz Darrena. Odruchowo wygrzebała się z łóżka, z psem pod pachą. Posiedzi z Darrenem, dopóki się nie uspokoi, a potem zostawi przy nim Karola, by miał na niego oko przez resztę nocy.

Zaskoczyła ją ciemność panująca w korytarzu. Światło paliło się tu zawsze, na wypadek gdyby musiała iść w nocy do łazienki. Miała jedną złą chwilę, wyobrażając sobie stwory, które mogą chować się w ciemnych kątach. Chciała zostać w swoim pokoju z roześmianą Myszką Mickey.

Wtedy usłyszała głośny krzyk Darrena.

Tam nic nie ma, powiedziała sobie Emma, ruszając przez ciemny korytarz. Nic tam nie ma. Nie ma potworów, duchów ani wilgotnych, oślizłych stworów.

Teraz śpiewali Beatlesi.

Zwiliżyła wargi. Nic tam nie ma, nic tam nie ma, powtarzała. Jej oczy przyzwyczały się już do ciemności. Dotarła do drzwi Darrena. Były zamknięte. Kolejna niespodzianka. Jego drzwi zawsze pozostawiano otwarte, na wypadek gdyby płakał.

Wyciągnęła rękę i podskoczyła, wyczuwając jakiś ruch za plecami. Z walącym sercem odwróciła się, omiatając wzrokiem ciemny korytarz. Cienie rosły, piętrzyły na ścianach w nieokreślone kształty. Plecy i czoło miała złane potem.

Nic tam nie ma, nic, upewniła się. A Darren płacze, jakby chciał zerwać sobie płuca.

Przekreśliła gałkę i pchnęła drzwi.

- *Come together* - śpiewał Lennon. - *Over me*.

W pokoju było dwóch mężczyzn. Jeden z nich próbował unieruchomić wrzeszczącego ze strachu i gniewu Darrena. Drugi trzymał coś w ręku. Coś, co połyskiwało w świetle lampki stojącej na toalecie.

- Co pan robi?

Na dźwięk jej głosu mężczyzna odwrócił się błyskawicznie. Nie jest lekarzem, pomyślała Emma, zrozumiawszy, że przedmiotem, który mężczyzna trzyma w ręku, jest strzykawka. Poznała go, wiedziała, że nie jest lekarzem. A Darren nie był chory.

Drugi mężczyzna wyrzucił z siebie potok obrzydliwych słów. Dalej walczył z wierzgającym Darrenem.

- Emma! — powiedział ten, którego znała, spokojnym, przyjacielskim tonem. Uśmiechnął się. To był fałszywy uśmiech, uśmiech, za którym kryła

się wściekłość. Wiedziała o tym, wiedziała również, że idąc ku niej, nadal trzyma strzykawkę. Odwróciła się i uciekła.

Słyszała za sobą krzyk Darrena.

- Mamo!

Szlochając, przebiegła korytarz. To potwory, tłukło się coś w jej umyśle. To potwory i zębiaste stwory czające się w ciemnościach. Goniły ją teraz.

Niemal udało mu się złapać brzeg jej koszulki. Przeklinając, rzucił się naprzód. Musnął jej kostkę. Emma krzyknęła, jakby obdzierano ją ze skóry. Dopadła schodów, wołając ojca.

Wtem potknęła się i runęła w dół.

W kuchni ktoś zamawiał przez telefon pięćdziesiąt pizz. Kręcąc głową, Bev otworzyła zamrażarkę w poszukiwaniu lodu. Nikt nie zużywał więcej lodu niż Amerykanie. Po namyśle wrzuciła kostkę do własnego kieliszka z winem. Kiedy wejdiesz między wrony... - pomyślała i ruszyła w stronę drzwi.

W progu wpadła na Briana.

Cały w uśmiechach, otoczył ją ramionami i zamknął usta długim, leniwym pocałunkiem.

- Cześć.

- Cześć. - Nie wypuszczając kieliszka, otoczyła dłońmi jego szyję. - Bri?

- Hm?

- Kim są ci wszyscy ludzie?

Roześmiał się, wtulając twarz w jej szyję.

- Tu mnie masz.

Jej zapach wywołał erekcję. Poruszając się w powolnym rytmie piosenki Lennona i McCartneya, przyciągnął ją do siebie.

- Co ty na to, żebyśmy wybrali się na górę, a im pozostawili resztę domu?

- To niegrzecznie. - Ale poddała się jego ruchom. - Niegrzecznie i grzesznie, ale to najlepszy pomysł, jaki usłyszałam dziś wieczorem.

- A więc... - Brian zrobił niemrawą próbę wzięcia jej na ręce. Zatoczyli się oboje. Bev zachichotała, kiedy wino pociekło mu po plecach. - Może ty mnie zanieziesz? - W tym momencie usłyszała krzyk Emmy.

Odwracając się, wpadł na mały stolik. Zamroczony narkotykami i alkoholem, potknął się, odzyskał równowagę i runął do holu. Ludzie tłoczyli się już wokół schodów. Rozepchnął ich i ujrzał skrecone ciało Emmy.

- Emma. Mój Boże!

Nie miał odwagi jej dotknąć. W kącikach ust dziewczynki zobaczył krew i otarł smuzkę drżącym palcem. Spojrzał w górę na morze twarzy zlanych w jedną kolorową plamę. Skurczony żołądek usiłował przedostać mu się przez gardło.

- Pogotowie - wykrztusił tylko i znów pochylił się nad córką.  
- Nie ruszaj jej. - Bev przyklekła przy nim, z twarzą białą jak kreda. - Chyba nie powinniśmy jej ruszać. Potrzebny jest koc. - Jakiś przytomny człowiek już wciskał jej w ręce wełniany szal. - Wszystko będzie dobrze, Bri - powiedziała i ostrożnie okryła Emmę. - Wszystko będzie dobrze.

Zamknął oczy i potrząsnął głową, żeby pozbyć się koszmaru. Ale kiedy otworzył oczy, Emma nadal leżała śmiertelnie biała na podłodze. A w domu panował rwetes. Muzyka wypełniała go aż po dach, ludzie szeptali, wszędzie dookoła słyszał szepty. Poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Szybki, krzepiący uścisk.

- Pogotowie już jedzie. - To był P.M. - Trzymaj się, Bri.

- Wyrzuc ich - szepnął. Spojrzał w błądą, wstrząśniętą twarz Johnno. - Wyrzuc ich stąd.

Johnno skinął głową i zaczął naganiać ludzi do wyjścia. Drzwi były otwarte, a noc rozjaśniona światłami reflektorów, kiedy usłyszeli zawodzenie syreny.

- Idę na górę. - Bev zachowywała spokój. - Powiem Alice o wypadku i sprawdzę, co u Darrena. Pojedziemy z nią do szpitala. Wszystko będzie dobrze, Brian. Wiem to.

Skinął głową. Mógł tylko wpatrywać się w nieruchomą, błądą twarz córki. Nie był w stanie odejść od niej ani na chwilę. Gdyby mógł, poszedłby do ubikacji, wsadził palce do gardła i uwolnił ciało od chemikaliów, którymi je dzisiaj nafaszerował.

To jest sen, ciężki, niedobry sen, myślał. Ale potem patrzył w twarz Emmy i rozumiał, że to straszna rzeczywistość.

Abbey Road grała ciągle żartobliwy kawałek o morderstwie. Opadał srebrny młotek Maxwella.

- Bri - Johnno dotknął jego ramienia - odsuń się, żeby mogli się nią zająć.

- Co?

- Odsuń się. - Johnno podniósł go łagodnie. - Muszą się nią zająć.

Brian patrzył w zamroczeniu, jak pielęgniarki przyklekają przy jego córce.

- Musiała zlecieć z samej góry.

- Nic jej nie będzie. - Johnno rzucił bezradne spojrzenie na P.M., który podtrzymywał Briana z drugiej strony. - Małe dziewczynki są bardziej wytrzymałe, niż nam się zdaje.

- To prawda. - Stevie stał, trochę chwiejnie, za Brianem i opierał obie dłonie na jego ramionach. - Mały upadek ze schodów nie zaszkodzi naszej Emmie.

- Pojedziemy z tobą do szpitala - dołączył się do nich Pete. Razem patrzyli, jak sanitariusze przekładają Emmę ostrożnie na nosze.

Na piętrze rozległ się krzyk. Bev krzyczała, krzyczała, aż jej głos wypełnił cały dom.

## Rozdział 9

Zazwyczaj Lou Kesselring chrapał jak ranny słoń. Po piwie chrapał jak dwa ranne słońce. Marge, jego żona od lat siedemnastu, radziła sobie z tym nagłośnieniem za pomocą zatyczek do uszu. Lou wiedział, że Marge kocha go na swój własny, rozsądny sposób, i uważał, że wykazał dużo sprytu, nie spijając z nią przed ślubem. Był człowiekiem uczciwym, ten jednak chrapliwy sekret zachował dla siebie. Kiedy Marge go odkryła, miała już obrączkę na palcu.

Dzisiaj bulgotało w nim jak w garnku. Nie spał we własnym łóżku od trzydziestu sześciu godzin. Teraz, kiedy sprawa Calarmiego powędrowała do akt, nie tylko dobrze się wyśpi, ale będzie leniuchował przez cały tydzień.

Marzył o tym, by pokopać w ogródku, przyciąć róże, zagrać z synem w piłkę. Upieką hamburgery na grillu, a Marge zrobi sałatkę ziemniaczaną.

Dwanaście godzin temu musiał zabić człowieka. Nie po raz pierwszy, choć dzięki Bogu, nie należało to do jego codziennych obowiązków. Ilekroć praca wiodła go aż tak daleko, odczuwał gwałtowną potrzebę normalności dnia codziennego. Sałatki ziemniaczanej i przypalonych hamburgerów, twardego ciała żony przytulonego nocą do jego ciała. Śmiechu syna.

Był glina. Dobrym glina. W ciągu sześciu lat spędzonych w wydziale zabójstw użył broni tylko dwukrotnie. Jak większość jego kolegów, wiedział, że na pracę stróża prawa składają się tygodnie monotonii: przemierzania ulic, papierkowej roboty, telefonów. I sekundy grozy.

Wiedział również, że jako policjant będzie widział rzeczy, ocierał się o rzeczy, doświadczał rzeczy, o których istnieniu większość ludzi nie ma pojęcia. Morderstwa, wojny gangów, zadźgane ciała w ciemnych uliczkach, krew, zniszczenie.

Lou był tego świadomy, ale praca nie prześladowała go podczas snu. Miał czterdzieści lat i nigdy, od czasu, gdy przed szesnastoma laty otrzymał odznakę, nie przyniósł pracy do domu.

Czasami przychodziła za nim.

Zadzwonił telefon i chrapanie urwało się w pół tonu. Lou odruchowo wyciągnął rękę i, nie otwierając oczu, ściągnął słuchawkę z widełek.

- Kesselring.
- Poruczniku, tu Bester.

- Czego chcesz, do kurwy nędzy? - Mógł spokojnie użyć tego, co żona nazywała „słowem na ka”. Marge spała z zatyczkami w uszach.

- Przepraszam, że budzę, ale mamy wypadek. Znasz McAvoya. Briana McAvoya, tego piosenkarza?

- McAvoya? - Przeciągnął dłonią po twarzy, walcząc ze snem.

- Devastation. Grupa rockowa.

- A, tak. Racja. - Nie przepadał za rockiem, chyba że w wykonaniu Presleya albo Everly Brothers. - Co się stało? Jakiś dzieciak puścił ich na cały regulator i rozsadziło mu mózg?

- Ktoś zabił jego synka. Wygląda to na spartaczone porwanie.

- O cholera! - Lou zapalił lampę. Był już zupełnie przytomny. - Daj mi adres.

Światło obudziło Marge. Uniosła głowę i zobaczyła Lou siedzącego nago na brzegu łóżka. Zapisywał coś w notesie. Bez słowa skargi wstała, narzuciła na siebie bawełniany szlafrok i poszła do kuchni zrobić kawę.

Lou znalazł Briana w szpitalu. Nie był pewny, czego właściwie oczekiwał. Widział Briana parę razy w telewizji, kiedy piosenkarz przemawiał przeciwko wojnie. „Pokojowy maniak”, mówiono o nim. Lou nie żywił specjalnego respektu dla zapaleńców, którzy chodzili naćpani z włosami do tyłka i rozdawali kwiaty na rogach ulic. Ale wojna również nie budziła jego zachwyty. Stracił brata w Korei, a trzy miesiące temu siostrzeniec pojechał do Wietnamu.

Teraz jednak interesowało go co innego niż poglądy polityczne McAvoya i jego fryzura.

Stanął, przyglądając się Brianowi, który siedział rozwalony na fotelu w kwiecisty deseń. Wygląda młodziej niż w telewizji, ocenił Lou. Młody, trochę za szczupły i, jak na mężczyznę, za ładny. Brian miał ogłupiały, senny wyraz twarzy wywołany szokiem. W pokoju było jeszcze parę osób, z popielniczek unosiły się kłęby dymu.

Mechanicznym ruchem Brian wsadził papierosa do ust, zaciągnął się i wydmuchał dym.

- PanMcAvoy?

Brian podniósł wzrok, powtarzając operację z papierosem. Zobaczył wysokiego, chudego mężczyznę z ciemnymi włosami zaczesanymi starannie nad pociągłą zasną twarzą. Mężczyzna miał szary garnitur, tradycyjny krawat, niemal w tym samym odcieniu, i śnieżnobiałą koszulę. Czarne buty lśniły, paznokcie były świeżo spiłowane, a na policzku, w miejscu, gdzie drasnął się przy goleniu, widniała ranka.

Jakie dziwne rzeczy się zauważa, pomyślał Brian, zaciągając się papierosem.



- Tak.

- Jestem porucznik Kesselring. - Wyjął legitymację, ale Brian nadal patrzył na jego twarz. - Chciałbym zadać panu parę pytań.

- Czy to nie może poczekać, poruczniku? - zaproponował Pete Page i przyjrzał się legitymacji z ostentacyjną uwagą. - Pan McAvoy nie jest w stanie teraz rozmawiać.

- Ustalenie pewnych szczegółów bardzo by nam pomogło. - Lou usiadł, schował odznakę i złożył ręce na kolanach. - Przykro mi, panie McAvoy. Nie chcę pana dręczyć. Chcę tylko znaleźć człowieka, który to zrobił.

Brian odpalił kolejnego papierosa od niedopałka i nie odpowiedział.

- Może mi pan opisać przebieg wydarzeń?

- Ktoś zabił Darrena. Mojego synka. Wyjął go z łóżeczka i zostawił na podłodze.

Johnno wziął papierowy kubek z kawą i odwrócił twarz naznaczoną bólem. Lou sięgnął do kieszeni po notatnik i świeżo zaostrożony ołówek.

- Zna pan kogoś, kto chciałby skrzywdzić synka?

- Nie. Wszyscy kochają Darrena. Jest taki mądry i zabawny. - Gardło mu się ścisnęło. Niewidzącym wzrokiem rozejrzał się za własnym kubkiem.

- Wiem, że to trudne. Może mi pan opowiedzieć o dzisiejszej nocy?

- Było przyjęcie. Jutro mieliśmy jechać do Nowego Jorku i było przyjęcie.

- Chciałbym dostać listę gości.

- Nie wiem. Może Bev... - urwał przypomniał sobie, że Bev jest w sali w drugim końcu korytarza, odurzona środkami uspokajającymi.

- Myślę, że możemy podać panu w miarę dokładną listę - wtrącił Pete. Próbował napić się kawy, ale paliła go w żołądku niczym ogień. - Gwarantuję, że nikt z ludzi, których zaprosił Brian, tego nie zrobił.

Lou miał zamiar to sprawdzić.

- Znał pan wszystkich gości, panie McAvoy?

- Nie wiem, pewnie nie. - Brian oparł łokcie na kolanach i z całej siły potarł kłykciami oczy. Tylko ból mógł przynieść coś zbliżonego do ulgi. - Przyjaciele i przyjaciele przyjaciół i tak dalej. Otwierasz drzwi i ludzie wchodzi. Tak to się jakoś samo dzieje.

Lou pokiwał głową, jakby rozumiał, o czym tamten mówi. Przypomniał sobie przyjęcia Marge. Starannie przygotowana lista gości, zaproszenia, menu. Przyjęcie z okazji piętnastej rocznicy ich ślubu było zaplanowane równie metodycznie, jak bankiet państwowy.

- Popracujemy nad listą gości - zdecydował. - Pana córka ma na imię Emma, czy tak?

- Tak, Emma.

- Była na piętrze w trakcie przyjęcia.  
- Tak. Spała. - Jego dzieci, bezpieczne, śpiące. Oboje spali.  
- W tym samym pokoju?  
- Nie, mieli oddzielne pokoje. Alice Wallingsford, niania, była z nimi na górze.

- Tak. - Miał już raport dotyczący niani. Znalaziono ją związaną, zakneblowaną i przerażoną we własnym łóżku.

- A dziewczynka spadła ze schodów?

Dłoń Briana drgnęła spazmatycznie, palce przebiły papier. Kawa pociekła przez dziury na podłogę.

- Słyszałem, że mnie woła. Wychodziłem z kuchni razem z Bev. - Pamiętał jasno tamte szybkie, łakome pocałunki, które wymienili, zanim rozległ się krzyk. - Wybiegliśmy, a ona leżała pod schodami.

- Widziałem, jak spada. - P.M. zamrugał zaczerwienionymi powiekami. - Spojrzałem w górę, zobaczyłem, że spada. To się stało tak szybko.

- Powiedział pan, że krzyczała. - Lou zwrócił się do P.M. - Krzyczała, zanim zaczęła spadać, czy później?

- Nie... Zanim. Tak, dlatego spojrzałem w górę. Krzyknęła, a potem jakby straciła równowagę.

Lou zapisał to w swoim notesie. Będzie musiał porozmawiać z małą.

- Mam nadzieję, że nie jest poważnie ranna?

- Lekarze... - Papieros Briana wypalił się aż do filtra. Rzucił go do popielniczki i zajął się resztką zimnej, gorzkiej kawy na dnie podziurawionego kubka. - Jeszcze nie wyszli. Nie powiedzieli mi. Nie mogę stracić również i jej. - Ręka zaczęła mu drżeć i resztką kawy wyciekła z kubka.

- Emma jest twarda. Dzieciom zdarzają się takie rzeczy. - Johnno rzucił Lou złe spojrzenie. - Nie może pan zostawić go w spokoju?

- Jeszcze tylko parę pytań. — Kesselring był przyzwyczajony do złych spojrzeń. - Pańska żona, panie McAvoy, znalazła syna?

- Tak. Poszła na górę, kiedy przyjechała karetka. Chciała sprawdzić... Chciała sprawdzić, czy się nie obudził. Usłyszałem, że krzyczy i krzyczy. Pobiegłem na górę. Siedziała na podłodze w pokoju Darrena, trzymając dziecko i krzycząc. Lekarz musiał dać jej coś, jakieś środki uspokajające, żeby przestała.

- Panie McAvoy, czy ktoś groził panu, pana żonie albo dzieciom?

- Nie.

- Nikt, nigdy?

- Nie. No... Od czasu do czasu przychodziły jakieś paskudne listy. Głównie na tle politycznym. Pete się tym zajmuje.

- Chcielibyśmy zobaczyć wszystko, co przyszło przez ostatnie pół roku.

- Będzie tego parę worków, poruczniku - ostrzegł Pete.

- Poradzimy sobie.

Brian nie zwracał na nich uwagi. Podniósł się na widok lekarza.

- Emma...? - Tylko tyle mógł powiedzieć.

- Śpi. Jest w szoku, ma złamania: ręka i parę żeber, ale żadnych obrażeń wewnętrznych.

- Będzie zdrowa?

- Trzeba na nią bardzo uważać przez następnych parę dni, ale tak, prognozy są bardzo dobre.

Nie mógł płakać, kiedy zobaczył martwe ciało synka, ani potem, kiedy zabrano jego rodzinę i kazano mu czekać w poczekalni o zielonych ścianach. Płacz nadszedł dopiero teraz. Zakrył twarz, a gorące łzy spływały między palcami.

Lou zamknął cicho notatnik i skinąwszy na lekarza, wyszedł na korytarz.

- Porucznik Kesselring z wydziału zabójstw. - Ponownie błysnął odznaką, - Kiedy mogę porozmawiać z dziewczynką?

- Za dzień, może dwa.

- Muszę ją przesłuchać, kiedy tylko to będzie możliwe. - Wyjął wizytówkę i wręczył ją lekarzowi. - Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie mogła mówić. Co z żoną? Beverly McAvoy?

- Na środkach uspokajających. Ocknie się za jakieś dziesięć, dwanaście godzin. Ale i wtedy nie mogę zagwarantować, że będzie w stanie rozmawiać ani że ja na to pozwolę.

- Proszę tylko zadzwonić. - Obejrzał się na drzwi poczekalni. - Ja też mam syna, doktorze.

Emmę dręczyły straszne sny. Chciała zawołać tatę, mamę, ale czuła się tak, jakby na jej ustach, na jej oczach spoczywała czyjaś dłoń. Ogromny ciężar przygniatał ją coraz bardziej.

Płakało dziecko. Dźwięk odbijał się echem o ściany pokoju, wypełniał mózg, aż w końcu wydało jej się, że ma w środku Darrena, który krzyczy i próbuje wyjść. Chciała do niego iść, musiała iść, ale wokół łóżka pełzył dwugłowy wąż i pełno było warczących stworów z czarnymi, ociekającymi śliną kłami. Za każdym razem, kiedy usiłowała wydostać się z łóżka, rzucały się ku niej, sycząc, plując, szczerząc zęby.

Jeżeli zostanie w łóżku, będzie bezpieczna. Ale przecież Darren ją woła.

Musi być odważna, dość odważna, by pobiec do drzwi. Kiedy to zrobiła, węże zniknęły. Podłoga pod jej stopami żyła, poruszała się, pulsowała. Obejrzała się przez ramię. To tylko jej pokój z lalkami ułożonymi starannie

na półkach, z roześmianą Myszką Miki. Kiedy tak patrzyła, uśmiech Miki zmienił się w złośliwy grymas.

Wybiegła na korytarz, w ciemność.

Grała muzyka. Cienie zdawały się tańczyć w rytm melodii. Słyszała jakieś głosy. Oddech, ciężki, wilgotny oddech, charczenie, odgłos czegoś suchego sunącego po drewnie. Biegąc w stronę, skąd dochodziły krzyki Darrena, czuła gorące tchnienie na ramionach, szybkie, obrzydliwe ukąszenia na stopach. Drzwi były zamknięte. Waliła w nie pięściami, podczas gdy krzyk Darrena narastał, a wraz z nim dławiąca muzyka. Nagle drzwi rozplynęły się pod jej drobnymi pięściami. Zobaczyła człowieka, postać bez twarzy. Widziała tylko jego oczy i błysk zębów.

Ruszył w jej stronę, a ona wystraszyła się go bardziej niż węży i potworów, zębów i pazurów. Oślepiąca strachem uciekła, a za nią pobiegły krzyki Darrena.

Potem zaczęła spadać, spadać w ciemną dziurę. Usłyszała trzask pękającej gałęzi i chciała krzyczeć w agonii bólu. Ale mogła tylko spadać, cicho, bezradnie, bez końca, a muzyka i krzyki Darrena odbijały się echem w jej mózgu.

Kiedy się obudziła, było jasno. Nie dostrzegła ani lalek, ani półtek. Tylko puste ściany. Może to hotel, zastanowiła się. Próbowała sobie przypomnieć, ale wtedy zjawił się ból - gorący, tępy ból, który zdawał się pulsować wszędzie. Zjękiem odwróciła głowę.

Ojciec spał na krześle z przekrzywioną, odrzuconą do tyłu głową. Jednodniowy zarost okrywał jego bladą twarz. Dłonie spoczywające na udach były zacisnięte w pięści.

- Tatusiu!

Zawieszony na granicy snu, ocknął się natychmiast. Zobaczył jej twarz na białej szpitalnej poduszce, oczy szeroko otwarte i trochę przestraszone. Znowu poczuł falę łez podchodzącą do gardła, palącą oczy. Walczył ze łzami tą odrobiną siły, która mu jeszcze została.

- Emma! - usiadł na brzegu łóżka i wtulił twarz w jej szyję.

Chciała go objąć, ale gips jej przeszkadzał. To wystarczyło, by obudzić ledwo przygasły strach. Gdzieś w głębi umysłu usłyszała suchy trzask i krzyk bólu, który po nim nastąpił.

Więc to nie sen! A skoro to prawda, to reszta...

- Gdzie jest Darren?

Wiedziałem, że o najpierw zapyta, pomyślał Brian, zaciskając mocniej powieki. Jak miał jej to powiedzieć? Jak miał jej powiedzieć o czymś, w co sam jeszcze nie wierzył i czego nie rozumiał? Była tylko dzieckiem. Jego jedynym dzieckiem.

- Emma! - Ucałował jej policzek, skronie, czoło, jakby to mogło złagodzić cierpienie ich obojga. - Pamiętasz, kiedy opowiadałem ci o aniołkach, o tym, jak żyją w niebie? - Brian wziął ją za rękę.

- Mają skrzydła i słuchają muzyki i nigdy nikogo nie krzywdzą.

Och, ależ byłem mądry, pomyślał z goryczą, jaki mądry, że ułożyłem taką śliczną bajeczkę.

- Tak, to prawda. Czasami wyjątkowi ludzie zostają aniołami. - Odwołał się do swojej wiary katolickiej, szukając wsparcia, i odkrył, że ciąży mu nieznośnie. - Czasami Bóg kocha tych ludzi tak bardzo, że chce mieć ich przy sobie w niebie. Tam właśnie znajduje się teraz Darren. Jest aniołkiem w niebie.

- Nie! - Po raz pierwszy od trzech lat, odkąd wyszła spod brudnego zlewu, Emma odsunęła się od ojca. - Nie chcę, żeby był aniołkiem.

- Ja też nie.

- Powiedz Panu Bogu, żeby go odesłał - zażądała z wściekłością. - Natychmiast!

- Nie mogę. - Fala łez podnosiła się szybko. Nie mógł jej zatrzymać. - On odszedł, Emmo.

- Więc ja też pójdę do nieba, żeby się nim opiekować.

- Nie! - Strach ścisnął mu wnętrzności, osuszając łzy. Zacisnął palce na ramieniu córki, po raz pierwszy zadając jej ból. - Nie możesz. Potrzebuję cię, Emmo! Nie mogę odzyskać Darrena, ale nie stracę ciebie!

- Nienawidzę Boga - powiedziała z gniewem, a w jej oczach nie było łez.

Ja też, pomyślał Brian, przytulając ją. Ja też.

W noc morderstwa po domu McAvoya kręciło się ponad sto osób. Notatnik Lou wypełniały nazwiska, zapiski, wrażenia. Ale wszystko to nie zbliżało go do rozwiązania. Okna i drzwi pokoju chłopca były otwarte, choć niania twierdziła z uporem, że zamknęła je po położeniu małego spać. A jednak nie odkryto żadnych oznak włamania.

Pod oknem znaleziono odciski butów numer 11, ale nie było śladów, jakie pozostawiłaby drabina czy lina.

Niania niewiele mogła pomóc. Obudziła się, kiedy ktoś zakrył jej usta dłonią. Została związana i zakneblowana. Podczas pierwszej rozmowy z Lou twierdziła, że leżała tak trzydzieści minut, podczas drugiej, że dwie godziny. Zajmowała poślednie miejsce na jego liście podejrzanych, ale kazał ludziom poszperać w jej przeszłości.

Teraz musiał zobaczyć się z Beverly McAvoy. Odkładał przesłuchanie, jak długo to było możliwe. Potem przejrzał policyjne fotki małego Darrena McAvoya i postanowił poczekać jeszcze trochę.

- Niech pan się streszcza. - Stali z doktorem przed drzwiami pokoju Bev. - Dostała łagodny środek uspokajający, ale myśli jasno. Może zbyt jasno.

- Proszę mi wierzyć, nie chcę zadać jej niepotrzebnego bólu. - Jakby cokolwiek mogło ją jeszcze zranić, pomyślał, mając przed oczami obraz małego chłopca. - Muszę porozmawiać też z dziewczynką.

- Jest przytomna. Nie wiem, czy zechce z panem rozmawiać. Nie odzywa się do nikogo z wyjątkiem ojca.

Lou skinął głową i pchnął drzwi pokoju. Kobieta siedziała na łóżku. Oczy miała otwarte, ale nie skupiła na nim wzroku. Wydała mu się bardzo mała i zbyt młoda, by urodzić dziecko. I je stracić. Była ubrana w bladoniebieski szlafrok, jej dłonie spoczywały na kocu zupełnie nieruchomo.

Obok, na krześle, siedział Brian. Jego nieogolona twarz przybrała niezdrowy szary odcień. Oczy, czerwone, zapuchnięte od łez i bezsenności, zamglone rozpaczą, przypominały oczy starego człowieka. Kiedy podniósł wzrok, Lou zobaczył w nich coś jeszcze. Furię.

- Przykro mi, że przeszkadzam.

- Doktor uprzedził nas, że pan przyjdzie. - Brian nie podniósł się ani nie wskazał mu krzesła. Po prostu patrzył. - Wie pan, kto to zrobił?

- Jeszcze nie. Chciałbym porozmawiać z pana żoną.

- Bev. - Brian nakrył ręką jej dłoń, ale Bev nie odpowiedziała. - Jest tu policjant, który próbuje znaleźć... dowiedzieć się, co się stało. Przykro mi - zwrócił się do Lou. - Nie pamiętam pana nazwiska.

- Kesselring. Porucznik Kesselring.

- Porucznik musi zadać ci parę pytań. - Nie drgnęła. Zdawało się, że nie oddycha. - Bev, proszę!

Może to rozpacz w jego głosie dotarła do zakamarków jej świadomości, gdzie pragnęła się ukryć. Poruszyła niespokojnie dłoń. Zamknęła oczy i przez chwilę siedziała tak, pragnąc całą duszą, by już nie żyć. Potem spojrzała prosto na Lou.

- Co chce pan wiedzieć?

- Wszystko, co może mi pani powiedzieć o tamtej nocy.

- Mój syn nie żył - powiedziała bezdźwięcznie. - Co poza tym może mieć jakieś znaczenie?

- To, co pomoże mi w odnalezieniu człowieka, który zabił pani syna, pani McAvoy.

- Czy to przywróci mi Darrena?

- Nie.

- Ja już nic nie czuję. - Patrzyła na niego wielkimi, umęczonymi oczami. - Nie czuję nóg ani rąk, ani głowy. Kiedy staram się czuć, przychodzi ból. Więc lepiej nie próbować, prawda?

- Może, przez krótki czas. - Kesselring przysunął krzesło do jej łóżka. - Ale gdyby mogła mi pani powiedzieć, co pani pamięta z tamtej nocy.

Odchyliła głowę i wpatrzyła się w sufit. Jej monotonna relacja z przebiegu przyjęcia nie różniła się od relacji jej męża i innych ludzi, z którymi Lou rozmawiał. Znajome twarze, obce twarze, ludzie wchodzą i wychodzą. W kuchni ktoś zamawia pizzę.

To było coś nowego i Lou zrobił notatkę.

Rozmowa z Brianem, krzyk Emmy. Znaleźli ją u stóp schodów.

- Ludzie się zbiegli - szepnęła. - Ktoś, nie pamiętam kto, zadzwonił po pogotowie. Nie ruszaliśmy jej. Baliśmy się. Potem usłyszeliśmy karetkę. Chciałam pojechać z nią do szpitala, ale musiałam najpierw zobaczyć, co u Darrena, obudzić Alice i zawiadomić ją o wypadku. Weszłam do pokoju Emmy, żeby zabrać jej szlafroczek. Naprawdę nie wiem, po co. Myślałam, że może być potrzebny. Zirykowałam się, że w korytarzu jest ciemno. Zawsze zostawiamy zapalone światło z uwagi na Emmę. Boi się ciemności. Darren nie - powiedziała z lekkim uśmiechem. - On niczego się nie boi. Zostawiamy lampkę w jego pokoju tylko dlatego, że jest nam łatwiej, kiedy się budzi. Ciągłe jeszcze się budzi. Lubi towarzystwo. - Bev podniosła rękę do twarzy i głos jej zadrzął. - Nie lubi być sam.

- Wiem, że to trudne, pani McAvoy. Muszę jednak wiedzieć, co pani zobaczyła po wejściu do pokoju syna.

- Zobaczyłam moje dziecko - odtrąciła rękę Briana. Nie mogła znieść dotyku cudzych rąk. - Leżał na podłodze, obok łóżeczka. Pomyślałam, pomyślałam: O Boże! wypadł z łóżka! Leżał nieruchomo na tym niebieskim dywaniku. Nie widziałam jego twarzy. Podniosłam go. Ale się nie obudził. Potrząsałam nim i krzyczałam, a on nie chciał się obudzić.

- Czy widziała pani kogoś na górze, pani McAvoy?

- Nie. Nikogo tam nie było. Tylko moje dziecko, moje dziecko. Zabrali go i nie chcą mi go oddać. Brian, na miłość boską, dlaczego nie chcą mi go oddać?!

- Pani McAvoy! - Lou wstał. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by dowiedzieć się, kto to zrobił. Obiecuję pani.

- Jakie to ma znaczenie? - Wielkie łzy spływały po jej twarzy. Płakała bezgłośnie. - Jakie to może mieć znaczenie?

Ma znaczenie, pomyślał Lou, wychodząc na korytarz. Musi mieć.

Emma przyglądała mu się otwarcie, z napięciem, co sprawiło, że poczuł się nieswojo. Po raz pierwszy w życiu wzrok dziecka zmusił go do sprawdzenia czystości własnej koszuli.

- Widziałam policjantów w telewizji - oznajmiła, kiedy się przedstawił. — Strzelają do ludzi.

- Czasami. - Szukał sposobu zagajenia rozmowy. - Lubisz oglądać telewizję?

- Tak. Najbardziej lubimy *Ulicę Sezamkową*, Darren i ja.

- Kogo lubisz bardziej, Wielkiego Ptaka czy Kermita?

Uśmiechnęła się leciutko.

- Lubię Oscara, ponieważ jest taki niegrzeczny.

Zachęcony jej uśmiechem, postanowił zaryzykować i obniżyć łóżko. Nie zaprotestowała, kiedy przysiadł na jego brzegu.

- Nie oglądałem ostatnio *Ulicy Sezamkowej*. Czy Oscar nadal mieszka w pojemniku na śmieci?

- Tak. I krzyczy na wszystkich.

- Myślę, że krzyk czasami sprawia, że czujemy się lepiej. Emma, wiesz dlaczego tu jestem? - Nic nie powiedziała, tylko przytuliła do piersi starego pluszowego psa. - Muszę porozmawiać z tobą o Darrenie.

- Tatuś mówi, że Darren jest teraz aniołkiem w niebie.

- Jestem tego pewien.

- To nie w porządku, że odszedł. Nawet się nie pożegnał.

- Nie mógł.

Wiedziała, że nie mógł. Wiedziała w głębi duszy, co trzeba zrobić, żeby stać się aniołkiem.

- Tatuś mówi, że Bóg chciał mieć go przy sobie, ale moim zdaniem to była pomyłka i Bóg powinien go odesłać.

Lou pogłaskała ją po głowie, wzruszony niezłomną logiką dziecka nie mniej niż rozpaczą matki.

- To była pomyłka, Emmo. Straszna pomyłka, ale Bóg nie może go odesłać.

Wydęła usteczka, ale była to bardziej chęć obrony niż dąsy.

- Bóg może wszystko, co chce.

Lou wstąpił niechętnie na grząski grunt.

- Nie zawsze. Czasami ludzie robią rzeczy, których nawet Bóg nie może naprawić. My musimy to zrobić. Myślę, że możesz pomóc mi dowiedzieć się, jak popełniono tę pomyłkę. Opowiesz mi o tej nocy, kiedy spadłaś ze schodów?

Przeniosła wzrok na Karola i zaczęła skubać jego sierść.

- Złamałam rękę.

- Tak, wiem. Bardzo mi przykro. Mam syna. Jest starszy od ciebie, skończy niedługo jedenaście lat. Złamał rękę, próbując zjechać z dachu na deskorolce.

To wywarło na niej wrażenie. Podniosła oczy.

- Naprawdę?



- Tak. Złamał również nos. Zjechał po dachu i wylądował na krzakach azalii.

- Jak ma na imię?

- Michael.

Emma miała ochotę spotkać się z nim i zapytać, jak to jest sfrunąć z dachu. Zdaje się, że to coś bardzo ryzykownego. Coś w sam raz dla Darrena. Zaczęła znów skubać sierść Karola.

- W lutym Darren skończyłby trzy lata.

- Wiem - wzięła ją za rękę. Po chwili otoczyła paluszkami jego palce.

- Kochałam go najbardziej na świecie - powiedziała po prostu. - Czy on umarł?

- Tak, Emmo.

- I nie może wrócić, nawet jeżeli to była pomyłka?

- Nie. Bardzo mi przykro.

Musiała zapytać go o to, o co nie śmiała zapytać ojca. Ojciec zacząłby płakać i prawdopodobnie nie powiedziałaby jej prawdy. Ten mężczyzna o bladych oczach i spokojnym głosem nie będzie płakał.

- Czy to moja wina? - Kiedy na niego spojrzała, zobaczył w jej oczach rozpacz.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Uciekłam. Nie opiekowałam się nim. Obiecałam, że zawsze będę się opiekować, ale nie zrobiłam tego.

- Przed czym uciekłaś?

- Przed węzami - powiedziała bez namysłu, pamiętając tylko koszmar. - Tam były węże i stwory z wielkimi zębami.

- Gdzie?

- Koło łóżka. Chowają się w ciemności i jedzą niedobre dziewczynki.

- Rozumiem. - Wyjął notatnik. - Kto ci to powiedział?

- Mama... ta mama, którą miałam przed Bev. Bev mówi, że węże nie istnieją, ale ona ich po prostu nie widzi.

- A ty widziałaś węże tej nocy, kiedy spadałaś ze schodów?

- Próbowały mnie zatrzymać, żebym nie poszła do płaczącego Darrena.

- Darren płakał?

Przytaknęła, zadowolona, że nie zanegował istnienia węży.

- Słyszałam go. Czasem budzi się w nocy, ale zasypia, kiedy z nim rozmawiam i przyniosę mu Karola.

- Kim jest Karol?

- Moim psem. - Podsunęła mu Karola do bliższej inspekcji.

- Bardzo piękny - przyznał Lou, klepiąc Karola po zakurzonym łbie. - Zabrałaś go do Darrena tamtej nocy?

- Chciałam. - Jej twarzyczka zachmurzyła się, kiedy próbowała sobie przypomnieć. - Wzięłam go, żeby odstraszyć węże i inne stwory. W korytarzu było ciemno. W korytarzu nigdy nie jest ciemno. One tam były.

- Kto?

- Potwory. Słyszałam, jak syczą i świszczą. Darren krzyczał tak głośno. Potrzebował mnie.

- Weszłaś do jego pokoju, Emmo?

Pokręciła głową. Widziała siebie wyraźnie, jak stoi w mrocznym korytarzu otoczona sykiem i kłapaniem zębów.

- Przez szparę padało światło. Potwory go dopadły.

- Widziałas je?

- Nie miały twarzy. Jeden trzymał Darrena za mocno i Darren strasznie krzyczał. Wołał mnie, ale uciekłam. Zostawiłam Darrena z potworami. A one go zabiły. Zabiły go, ponieważ uciekłam.

- Nie - przytulił ją mocno, by mogła wypłakać się na jego piersi. - Uciekłaś, żeby sprowadzić pomoc, prawda, Emmo? - Głaskał ją po włosach.

- Chciałam, żeby tatuś przyszedł.

- Postąpiłaś słusznie. To nie były potwory, Emmo. To byli ludzie. Żli ludzie. Nie powstrzymałabyś ich.

- Obiecałam, że będę opiekowała się Darrenem, że nie pozwolę, by coś złego mu się stało.

- Próbowałaś dotrzymać obietnicy. Nikt cię nie obwinia, dziecko.

Ten człowiek się myli, pomyślała Emma. Ona obwinia sama siebie. Nigdy nie przestanie.

Dochodziła północ, kiedy Lou dotarł do domu. Spędził wiele godzin przy biurku, badając każdą notatkę, każdy strzęp informacji. Był gliną zbyt długo, by nie wiedzieć, że obiektywność jest jego największym atutem. A w sprawę Darrena McAvoya zaangażował się osobiście. Nie mógł zapomnieć czarno-białej fotografii dwuletniego chłopca. Ta twarz wryła mu się w pamięć.

Podobnie jak obraz pokoju dziecinnego. Biało-niebieskie ściany, rozsypane zabawki, małe ogrodniczki złożone starannie na bujanym fotelu, zdarte kaptcie.

I strzykawka, nadal pełna fenolu, niedaleko od łóżeczka.

Nie zdążyli jej użyć, pomyślał Lou ponuro. Nie zdążyli wpakować mu igły w żyłę i uśpić. Mieli zamiar wynieść go przez okno? Czy po paru godzinach Brian McAvoy otrzymałby telefon z żądaniem pieniędzy w zamian za bezpieczny powrót syna?

Nie będzie telefonu, nie będzie okupu.

Trąc obolałe oczy, Lou zaczął wchodzić na schody. Amatorzy, myślał. Włamywacze. Mordercy. Gdzie oni, do cholery, są? Kim oni są?

Co to za różnica?

Ogromna, powiedział sobie, zaciskając pięści.

Drzwi do pokoju Michaela stały otworem. Lou zajrzał do środka, przyciągnięty spokojnym oddechem syna. W bladym świetle księżycy ujrzał po-bojowisko złożone z zabawek i ubrań rozwleczonych po podłodze, spiętrzo-nych na łóżku i szafkach. Każdego innego dnia skwitowałyby widok ciężkim westchnieniem. Radosne bałaganiarstwo Michaela stanowiło dla Lou zagadkę. Oboje z żoną byli schludni i z natury dobrze zorganizowani. Michael miał właściwości trąby powietrznej, uderzającej znienacka, siejącej zniszczenie i chaos.

Tak, każdego innego dnia Lou westchnąłby ciężko i ułożył kazanie, które palnie synowi przy śniadaniu. Ale dzisiaj na widok zdemolowanego pokoju do oczu napłynęły mu łzy wdzięczności. Jego chłopak jest bezpieczny.

Stąpając ostrożnie po rumowisku, dobrnął do łóżka. Musiał usunąć zator z miniaturowych samochodzików, żeby usiąść. Michael spał na brzuchu, z policzkiem wciśniętym w poduszkę, rozrzuconymi ramionami i kołdrą skopaną w nogach łóżka.

Mijały minuty, a on siedział, przyglądając się dziecku, które razem z Marge stworzyli. Gęste ciemne włosy, spuścizna po matce, były zmierzwione. Opalona skóra nadal miała w sobie dziecięcą miękkość. Krzywy nos nadawał charakteru rysom Michaela, odrobinę za ładnym jak na chłopaka. Nabite, twarde ciało, które już zaczynało dojrzewać, znaczyły blizny i siniaki.

Sześć lat i dwa poronienia, myślał Lou. I w końcu udało im się. Michael wziął od rodziców wszystko, co najlepsze.

Przypomniał sobie twarz Briana McAvoya. Otępiła rozpacz, wściekłość, bezradność. Tak, teraz go rozumiał.

Michael poruszył się, kiedy Lou pogłaskał go po policzku.

- Tato?

- Tak. Chciałem tylko powiedzieć ci dobranoc. Śpij.

Michael ziewnął i przewracając się na drugi bok, zrzucił stos samochodów na podłogę.

- Nie chciałem tego zepsuć - wymamrotał.

Lou parsknął, przyciskając dłonie do oczu. Nie wiedział, co zepsuł jego syn, i nie dbał o to.

- Okay. Kocham cię, Michael.

Ale Michael spał już twardo.

## Rozdział 10

Było pogodnie. Bryza od Atlantyku burzyła bujne zielone trawy. Emma wsłuchiwała się w ich szeptaną, tajemną melodię. Wzbijał się nad nią cichy, uroczysty głos księdza.

Ksiądz był wysoki, rumiany, a jego bielutkie włosy stanowiły wstrząsający kontrast z czarną sutanną. Choć wymawiał słowa tak jak ojciec, nie rozumiała wiele z tego, co mówił. I nie chciała rozumieć. Wolała słuchać szumu traw i monotonnego porykiwania bydła na wzgórzach za cmentarzem.

Darren znalazł swoją farmę w Irlandii, choć nie pojedzie nigdy na traktorze ani nie będzie ganiał leniwych krów.

Miejsce było prześliczne, z trawą tak zieloną, że wyglądała jak namalowana. Zapamięta szmaragdowy kobierzec i świeży, soczysty zapach skopanej ziemi. Zapamięta powiew powietrza tak nasyczonego wilgocią, że pozostawiało na twarzy mokre ślady jak łzy.

Niedaleko znajdował się kościół, mały kamienny budynek z białą wieżą i wąskimi brudnymi oknami. Weszli do środka, żeby się pomodlić przed wyniesieniem lśniącej trumny. Wnętrze kościoła wypełniał mocny, zbyt słodki zapach kwiatów i kadzideł. Zapalono świece, chociaż słońce przebijało się przez brudne szyby kolorowymi smugami.

Były tam malowane posągi ludzi w powłóczyстых szatach i jeden mężczyzna na krzyżu. Brian powiedział jej, że to Jezus. Zajmie się Darrenem w niebie. Wątpiła, by ktoś tak smutny i znękanym potrafił zająć się Darrenem, sprawić, by się śmiał.

Bev nie odezwała się ani razu. Stała z twarzą przezroczystą jak szkło. Stevie znów grał na gitarze, tak jak na ślubie, ale teraz miał czarne ubranie, a muzyka brzmiała cicho i smutnie.

Wnętrze kościoła nie podobało się Emmie. Była zadowolona, kiedy wyszli na słońce. Johnno i P.M., z oczami czerwonymi od płaczu, nieśli trumienkę. Towarzyszyli im czterej mężczyźni, jej kuzyni. Zastanawiała się, dlaczego aż tylu ludzi niesie Darrena, który wcale nie jest ciężki. Ale bała się zapytać.

Czuła się lepiej, patrząc na krowy, wysokie trawy i ptaki szybujące nad ich głowami.

Darrenowi podobałaby się farma, pomyślała. To niesprawiedliwe, że nie stoi teraz przy niej, nie biega, nie bawi się, nie śmieje.

Nie powinien leżeć w tej skrzynce, pomyślała. Nie powinien być aniołkiem, nawet jeżeli oznacza to skrzydła i muzykę. Gdyby była silna i odważna, gdyby dotrzymała obietnicy, nie stałaby tu teraz. Leżałaby w skrzynce

zamiast niego, zrozumiała nagle i się rozpłakała. Pozwoliła, by Darrenowi przytrafiło się coś straszego. Nie uratowała go przed potworami.

Johnno wziął ją na ręce, kiedy zaczęła płakać. Kołysał się leciutko i to przyniosło Emmie ulgę. Położyła głowę na jego ramieniu i słuchała słów, które wypowiadał razem z księdzem.

- Pan jest moim pasterzem, nie zapragnę...

Ale ona pragnęła! Pragnęła powrotu Darrena. Zamrugała oczami, strzając łzy i próbowała patrzeć na kołysaną wiatrem trawę. Słyszała nabrzmiały rozpaczą głos ojca.

- ... idąc doliną śmierci, nie ulękę się złego...

Ale złe istnieje, chciała krzyknąć. Istnieje złe, i to złe zabiło Darrena. Pozbawione twarzy złe.

Obserwowała ptaka, który spadał przez chwilę ku ziemi, zanim odnalazł swoją drogę. Na szczycie wzgórza zobaczyła mężczyznę. Stał nad cmentarzykiem i nad ich rozpaczą i robił zdjęcia.

Nigdy już nie będę taki sam, myślał Brian, upijając się metodycznie. Butelka irlandzkiej whisky stała przed nim na stole. Nic już nie będzie takie samo. Miał nadzieję, że alkohol przytępi ból, ale się rozczarował. Ból zatopił korzenie głębiej.

Nie mógł nawet pocieszyć Bev. Bóg wie, że próbował. Chciał. Chciał ją pocieszyć, chciał, by ona go pocieszyła. Ale Bev ukryła się tak głęboko w ciele tej bladej, cichej kobiety, która stała obok niego, kiedy grzebano ich dziecko, że nie potrafił do niej dotrzeć.

Potrzebował Bev, do cholery! Potrzebował kogoś, kto by powiedział mu, że to, co się stało, stało się z jakiegoś powodu, że jest jeszcze nadzieja, nawet teraz, w najczarniejszych chwilach jego życia. Dlatego przywiózł Darrena tutaj, do Irlandii, dlatego upierał się przy mszy, modlitwach i całej ceremonii. Nigdy nie jest się lepszym katolikiem niż w chwili śmierci, myślał Brian. Ale nawet znajome słowa, zapachy, nawet nadzieja, którą ksiądz rozdzielał równie sprawiedliwie jak hostię, nie złagodziły bólu.

Już nigdy nie zobaczy Darrena, nigdy go nie przytuli, nie będzie widział, jak rośnie. I całe to gadanie o wiecznym życiu nie znaczy nic wobec faktu, że nigdy nie weźmie syna w ramiona.

Chciał wzbudzić w sobie gniew, ale był na to zbyt zmęczony. Zbyt zmęczony, by czuć cokolwiek. Więc jeżeli nie ma dla mnie pocieszenia, myślał, nauczę się żyć z rozpaczą.

Kuchnia pachniała ciastem i smażonym mięsem. Zapach utrzymywał się, choć jego krewni opuścili dom wiele godzin temu. Przyszli - powinien być im za to wdzięczny - by stać u jego boku, przygotować pożywienie, które

miało w jakiś sposób nakarmić jego duszę. Rozpaczali nad stratą dziecka, którego większość z nich nigdy nie widziała.

Odsunąłem się od swojej rodziny, pomyślał Brian.

Teraz reszta jego rodziny spała na górze. Zaś Darren parę kilometrów stąd, w cieniu wzgórze, obok babki, której nie znał.

Brian opróżnił szklankę i marząc o całkowitym zapomnieniu, nalał sobie następną.

- Synu?

Podniósł wzrok i zobaczył ojca stojącego niepewnie w drzwiach. Nagle zachciało mu się śmiać. Cóż za ironia losu tkwiła w tym odwróceniu ról! Jeszcze niedawno to on skradał się do kuchni, gdzie ojciec pił na umór. Pamiętał tak wyraźnie, jakby to było wczoraj.

- Tak? - Uniósłszy szklankę, Brian patrzył na ojca znad jej krawędzi.

- Powinieneś się przespać.

Jego oczy pobiegły w stronę butelki i przylgnęły do niej tęsknie. Brian, bez słowa, pchnął whisky w jego stronę. Dopiero wtedy wszedł do kuchni. Liam McAvoy, pięćdziesięcioletni mężczyzna, starzec. Jego okrągłą twarz znaczyła siateczka popękanych naczyń krwionośnych. Miał niebieskie, marzycielskie oczy, które przekazał synowi, i jasne włosy, teraz siwe i sztywne. Wychudzony, kruchy McAvoy w niczym nie przypominał potężnego mężczyzny, jakim wydawał się Brianowi w dzieciństwie. Kiedy wyciągnął rękę po butelkę, Brian doznał wstrząsu. Dłonie ojca, o delikatnych, długich palcach, przypominały jego dłonie. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej?

- To był piękny pogrzeb- powiedział Liam, zagajając rozmowę. — Twoja matka byłaby zadowolona, że przywiozłeś go tutaj, żeby z nią leżał. - Nalał sobie whisky na trzy palce i łyknął jednym haustem jak człowiek spragniony.

Zaczął padać łagodny irlandzki deszcz.

Nigdy nie piliśmy razem, uświadomił sobie Brian.

- Dobry deszcz dla farmera - stwierdził Liam, uspokojony przez deszcz i whisky. - Dobra, porządna ulewa.

Deszcz dla farmera. Jego synek marzył, żeby zostać farmerem. Czyżby przekazał Darrenowi aż tyle z Liama McAvoya?

- Nie chciałem, żeby Darren był sam. Pomyślałem, że powinien wrócić do Irlandii, do rodziny.

- I tak powinno być. Postąpiłeś słusznie.

Brian zapalił papierosa, potem pchnął paczkę w stronę ojca.

Czy nigdy przedtem nie rozmawiali ze sobą we dwóch? Jeżeli tak, Brian nie pamiętał.

- To się nie powinno stać.

- Na tym świecie zdarza się wiele rzeczy, które nie powinny się zdarzyć. - Liam zapalił papierosa i podniósł szklankę. - Złapią skurwysynów, którzy to zrobili, synu. Złapią ich.

- To już tydzień. - Zdawało mu się, że całe lata. - Nic nie mają.

- Złapią ich - upierał się Liam. - I cholerne sukinsyny będą skwierczeć w piekle. Wtedy biedny chłopiec będzie mógł spoczywać w spokoju.

Nie chciał teraz myśleć o zemście. Nie chciał myśleć o swoim słodkim chłopczyku spoczywającym w spokoju. Chciał tylko wiedzieć, dlaczego?

- Nigdy do nas nie przyjechałeś. - Brian pochylił się nad stołem. - Przystałem bilety: na ślub, kiedy urodził się Darren, na urodziny Emmy, na jego urodziny. Na litość boską, zobaczyłeś go po raz pierwszy na jego pogrzebie. Dlaczego nie przyjechałeś?

- Farma pochłania dużo czasu - powiedział ojciec między jednym łąkiem a drugim. Liam był człowiekiem tak wypełnionym żalami, że jeden łąk two przechodził w drugi. - Nie można wyjechać ot tak, kiedy się chce.

- Choćby raz? - Nagle uzyskanie prawdziwej odpowiedzi wydało mu się czymś niezwykle istotnym. - Mogłeś wysłać mamę. Kiedy jeszcze żyła.

- Miejsce kobiety jest przy mężu. - Liam przechylił szklankę w stronę Briana. - Dobrze zrobisz, jeżeli to sobie zapamiętasz, chłopcze.

- Zawsze byłeś egoistycznym draniem.

Dłoń Liama, zaskakująco silna, wczepiła się w rękę Briana.

- Uważaj, co mówisz.

- Już mnie nie zastraszysz, tato. - W jego nieruchomych oczach i spokojnym głose kryło się pragnienie walki. Z ulgą przyjąłby wyzwanie, tutaj, teraz.

Liam cofnął wolno rękę i podniósł szklankę.

- Nie będę brał się z tobą za łby w dniu, w którym złożyłem do grobu swojego wnuka.

- Nigdy nie był twój. Nie widziałeś go nawet, dopóki nie umarł - odciął się Brian. - Nigdy się nie pofatygowałeś, zwracałeś bilety, które ci przysyłałem, żeby mieć forszę na whisky.

- A gdzie ty byłeś przez te lata? Gdzie byłeś, kiedy twoja matka umarła? Włóczyłeś się gdzieś, grałeś tę swoją cholerną muzykę.

- Dzięki tej cholernej muzyce masz dach nad głową.

- Tatusiu! — W drzwiach stała Emma z pluszowym psem w ramionach. W jej szeroko otwartych oczach malował się strach, dolna warga drżała. Usłyszała gniewne głosy, wyczuła gorący odór wódki, zanim jeszcze weszła do kuchni.

- Emma! - Brian podszedł nieco chwiejnym krokiem i wziął ją na ręce. Ostrożnie, by nie urazić złamanej ręki. - Co tu robisz?

- Miałam zły sen. - Wróciły węże i potwory. Ciagle jeszcze słyszała echo krzyku Darrena.

- Ciężko zasnąć w obcym łóżku. - Liam wstał. Pogłaskał ją po głowie, niepewnym, ale łagodnym gestem. - Dziadek zrobi ci ciepłego mleka.
- Prychnęła, kiedy wyjął stary, przypalony garnek.
- Mogę zostać z tobą, tatusiu? - zapytała.
- Oczywiście. - Zaniósł ją na krzesło i posadził sobie na kolanach.
- Obudziłam się i nie mogłam cię znaleźć.
- Jestem, Emmo. - Brian pogłaskał córkę po włosach, patrząc ponad jej głową na ojca. - Będę zawsze, kiedy będziesz mnie potrzebowała.

Nawet tam, myślał Lou. Nawet w takiej chwili. Leżało przed nim prasowe zdjęcie z pogrzebu Darrena McAvoya. Zobaczył gazetę przy kasie w supermarkecie, dokąd wysłała go Marge po guboziamisty chleb. Jak wszystko, co miało związek z McAvoyami, artykuł przyciągnął jego uwagę i wzbudził współczucie. Był bardziej niż zawstydzony, kupując gazetę publicznie od kasjerki imieniem Sally.

W zaciszu własnego domu poczuł się jeszcze gorzej. Za parę drobniaków, mógł razem z tysiącami innych ludzi popatrzeć na czyjaś rozpacz. Malowała się na wszystkich twarzach, choć zdjęcie było niewyraźne. Zobaczył dziewczynkę z ręką w gipsie.

Zastanawiał się, ile widziała, ile mogła zapamiętać. Lekarze, z którymi rozmawiał, twierdzili zgodnie, że jeżeli coś widziała, zepchnęła to na dno świadomości. Przypomni sobie jutro, za pięć lat albo nigdy.

## DEVASTATION NA CMENTARZU

Były i inne tytuły, dziesiątki innych tytułów. Lou miał pełną szufladę wycinków.

### ŚMIERĆ DZIECKA WSTRZĄSA DEVASTATION

#### CZY EMMA MCAVOY BYŁA ŚWIADKIEM STRASZNEJ ŚMIERCI BRATA?

#### DZIECKO ZAMORDOWANE PODCZAS ORGII RODZICÓW

#### MORDERSTWO RYTUALNE W DOMU PIOSENKARZA

#### SEKTA MANSONA PONOWNIE W AKCJI?

Barachło, pomyślał Lou. Śmiecie. Czy Page'owi udało się usunąć to sprzed oczu McAvoyów? Poddając się fali frustracji, oparł głowę na dłoniach i dalej patrzył na fotografię.

Nie mógł oderwać się od tej sprawy. Przynosił ją do domu, przynosił ją gnany pragnieniem zemsty. Raporty, zdjęcia, notatki zawały biurko w kącie schludnego salonu Marge. Choć miał do pomocy fachowców, sprawdzał



po nich całą robotę. Osobiście przesłuchał wszystkich ludzi figurujących na liście gości. Przebił się przez protokoły sądowe i jeszcze raz wrócił do tego, co znalazł w pokoju Darrena.

Po dwóch tygodniach śledztwa Lou nie wiedział absolutnie nic.

Nieźle zatarli za sobą ślady, jak na amatorów, myślał. A byli amatorami, co do tego nie miał wątpliwości. Zawodowcy nie duszą dziecka wartego milion dolców okupu, nie stwarzają pozorów włamania tak nieudolnie.

Weszli przez frontowe drzwi. To była druga rzecz, co do której Lou nie miał wątpliwości. To nie znaczy, że ich nazwiska figurowały na liście gości. Połowa południowej Kalifornii mogła wtedy wejść do tego domu, dostać drinka, skręta albo każdy inny narkotyk, według życzenia.

W pokoju chłopca nie znaleziono żadnych odcisków palców, z wyjątkiem odcisków McAvoyów i niani. Nie było ich nawet na strzykawce. Wygląda na to, że Beverly McAvoy jest doskonałą gospodynią. Na parterze panowało charakterystyczne poprzyjęciowe pobojojowisko, natomiast piętro, rodzinna część domu, lśniło czystością. Nawet Marge musiałaby to przyznać, myślał. Brak kurzu, brak odcisków, brak śladów walki.

Ale walka się odbyła, walka na śmierć i życie. I podczas tej walki czyjaś dłoń zamknęła się na ustach i, być może niechcący, na nozdrzach dziecka.

Miała miejsce w czasie kilkunastu minut, które upłynęły od chwili, gdy Emma usłyszała krzyk brata - a że słyszała, to pewne - do momentu, gdy Beverly McAvoy poszła na górę sprawdzić, czy syn śpi.

Jak długo to trwało? Pięć, dziesięć minut? Z całą pewnością nie dłużej. Według orzeczenia koronera Darren McAvoy umarł między drugą a drugą trzydzieści. Zgłoszenie o wypadku Emmy przyjęto na pogotowiu o 2.17.

I co z tego, myślał Lou. Ustalenie czasu, zgromadzenie stosów notatek i całego archiwum niewiele mu dało. Musiał znaleźć jeden szczegół, jedno nazwisko, jedno zeznanie, które nie pasowało do reszty.

Musi odnaleźć morderców Darrena McAvoya. Jeżeli tego nie zrobi, przez resztę życia będzie go prześladowała twarz chłopca i dramatyczne pytanie jego siostry: „Czy to moja wina?”

- Tato?

Lou podskoczył na krześle, odwrócił się i zobaczył syna stojącego tuż za nim. Michael przerzucał piłkę z ręki do ręki.

- Nie skradaj się tak!

- Nie skradałem się. - Michael poczekał, aż ojciec odwróci się z powrotem do biurka i dopiero wtedy wzniosł oczy do nieba. Kiedy trzaskał drzwiami i przechodził przez dom jak normalny człowiek - hałasował. Kiedy próbował zachowywać się cicho, skradał się. I bądź tu mądrym. - Tato! - odezwał się znowu.

- Hm?

- Powiedziałaś, że potrenujesz ze mną dziś po południu.
- Jak skończę.

Michael przestępował z nogi na nogę w swoich zdartych czarnych tenisówkach. Od paru tygodni „kiedy skończę” było typową odpowiedzią ojca.

- A kiedy skończysz?
- Nie wiem, ale na pewno szybko, jeżeli nie będziesz mi przeszkadzał.

Niech to diabli! - zaklął Michael, przezornie jedynie w myślach. Nikt nie miał już na nic czasu. Jego najlepszy przyjaciel był u jakiejś dziewczyny, a drugi najlepszy przyjaciel leżał chory na gripę czy coś podobnego. Co mu po sobocie, skoro nie może się wyszaleć?

Próbował, naprawdę, pójść za radą ojca. Obejrzał choinkę i prezenty leżące pod drzewkiem. Wyciągnął paczkę przeznaczoną dla niego, pudło owinięte kolorowym papierem w idiotyczne tańczące elfy. Ostrożnie potrząsnął nim. Zagrzechotało lekko i dźwięk ten sprawił mu olbrzymią satysfakcję.

Chciał dostać zdalnie sterowany samolot. Była to pierwsza pozycja na jego gwiazdkowej liście, napisana drukowanymi literami i trzykrotnie podkreślona. Na wszelki wypadek, żeby uświadomić rodzicom wagę tej sprawy! Dałby głowę, że samolot znajduje się właśnie w tym pudle.

Odłożył je z powrotem pod choinkę. Upłynie jakiś czas, zanim będzie mógł rozpakować samolot, wyjść z nim na dwór, robić pętle, pikować.

Chciał coś robić teraz.

Z kuchni dochodził zapach pieczonego ciasta, bardzo miły. Wiedział jednak, że jeżeli zajrzy do kuchni, matka zapędzi go do wałkowania ciasta albo przybierania piernikowych ludzików. Babska robota!

Jak, na litość boską, ma zostać skrzydłowym w LA Rams, skoro nikt nie chce mu rzucić jednej marnej piłki?

Zresztą, co jest tak interesującego w głupich papierach i zdjęciach? Idąc z powrotem w stronę biurka, przesunął językiem po zębie, który złamał trzy tygodnie temu, kręcąc kółka na trzybiegowym rowerze. Podobało mu się, że ojciec jest gliną. Pysznił się tym przy każdej okazji. Rzecz jasna, w jego opowieściach ojciec strzelał z biodra i załatwiał dożywocie czubkom, takim jak Charlie Manson. Byłoby ubolewania godne, gdyby musiał powiedzieć chłopakom, że Lou wypełnia formularze i studiuje archiwa. Równie dobrze mógłby być bibliotekarzem.

Z piłką futbolową pod pachą zajął ojcu przez ramię. Był zdania, że jeżeli zmęczy go dostatecznie, ojciec odsunie papiery i wyjdzie z nim na dwór. Jego wzrok padł na zdjęcie Darrena McAvoya.

- Jezu! Czy ten dzieciak nie żyje?

- Michael?! - Lou odwrócił się, ale ostre słowa zamarły mu na ustach na widok przejętych, zafascynowanych oczu syna. Instynktownie położył rękę na jego ramieniu.

- Tak.
- Jejku! Co się stało? Zachorował czy co?

- Nie. - Lou zastanawiał się, czy to w porządku wykorzystywać tragedię jednego dziecka ku przestrodze drugiego. - Został zamordowany.

- Ale to mały chłopiec! Ludzie nie powinni zabijać małych dzieci.
- Nie powinni. Ale czasami to robią.

Patrząc na policyjne zdjęcie Darrena, Michael po raz pierwszy w swoim jedenastoletnim beztróskim życiu stanął w obliczu własnej śmiertelności.

- Dlaczego?

Powiedział Emmie, że nie ma potworów. Im dłużej rozmyślał nad tym, co zrobiono Darrenowi, tym większej nabierał pewności, że się pomylił.

- Nie wiem. Próbuję się dowiedzieć. To moja praca, dowiedzieć się.

Fakt posiadania ojca gliniarza nie przeszkadzał Michaelowi mieć innej koncepcji wymiaru sprawiedliwości. Tak jak to się działo w sensacyjnych serialach lub westernach.

- Jak to robisz?
- Rozmawiam z ludźmi, badam dowody. Myślę.

- To chyba nudne - powiedział Michael, ale nie mógł oderwać oczu od zdjęcia.

- Tak, w większości przypadków.

Michael poczuł ulgę na myśl, że zostanie astronautą. Zerknął w bok i zauważył gazetę, którą Lou przyniósł z supermarketu. Miał bystry umysł i szybko skojarzył jedno z drugim.

- To synek Briana McAvoya. Ktoś próbował go porwać, ale on umarł. Wszystkie dzieciaki o tym mówią.

- Zgadza się. - Lou wsunął zdjęcie Darrena z powrotem do teczki.

- Rany kota! Pracujesz nad tą sprawą? Udało ci się poznać Briana McAvoya?

- Tak.

Jego ojciec znał Briana McAvoya. Michael gapił się na niego w pełnym grozy oszołomieniu. Rewelacja, zupełna rewelacja!

- Poznałeś resztę grupy? Rozmawiałeś z nimi?

Lou pokręcił głową i zabrał się do porządkowania papierów

Jak proste jest życie, kiedy się ma jedenaście lat! Jak proste powinno być, poprawił się, mierzwiąc do reszty włosy Michaela.

- Tak, rozmawiałem z nimi. Wydają się mili.

- Mili? - Michael wybałuszył oczy. - Oni są najlepsi. Najlepsi. Poczekaj, aż powiem chłopakom!

- Nie chcę, żebyś mówił komukolwiek.

- Nie mówić? - Michael przesunął dłonią po potarganych włosach. - Jak to nie mówić? Padną trąpem z wrażenia. Muszę im powiedzieć.

- Nie, nie musisz. Chcę, żebyś zachował to dla siebie, Michael.
- Ale dlaczego?!
- Ponieważ to sprawa osobista. - Lou zerknął na krzyczące nagłówki. A przynajmniej powinna taka być. Chodź. Wzięła piłkę i wcisnęła ją synowi w ręce. - Zobaczmy, czy złapiesz moją bombę.

## Rozdział 11

P.M. obserwował fale załamujące się na piasku. Ciągłe jeszcze nie mógł uwierzyć, że dom, w którym mieszka już od miesiąca, jest jego własnością. Dom w Malibu, jego dom w Malibu, miał wszystko, o czym wspominał pośrednik handlu nieruchomości. Ogromne przestrzenie, gigantyczny kominek, hektary trawnika. W sypialni na piętrze, gdzie spała teraz jego kochanka, były dwa bliźniacze świetliki, drugi kominek i taras ciągnący się przez całą długość domu.

Nawet na Steviem zrobiło to wrażenie. Pokazywanie gościom pokoi, gustownych mebli i wbudowanego w ścianę zestawu stereo dawało RM. cudowne poczucie osiągniętego celu. Ale teraz Stevie był w Paryżu, Johnno w Nowym Jorku. Brian w Londynie. P.M. dręczyła samotność.

Po wydaniu drugiego albumu mówiło się jeszcze o tournée, ale P.M. nie wiedział, czy Brian jest na to gotowy. Od tamtej strasznej nocy minęły prawie dwa miesiące, a Brian nie wyszedł ze swojego odosobnienia. P.M. zastanawiał się, czy dotarło do niego, że *Love Lost* jest złotą płytą i okupuje szczyty list przebojów. Zastanawiał się, czy ma to dla Briana jakieś znaczenie.

Policja była równie daleka od znalezienia morderców, jak na początku śledztwa. P.M. postawił sobie za punkt honoru utrzymywanie kontaktów z Kesselringiem. Tylko tyle mógł zrobić dla Briana. I dla Bev.

Stanął mu w oczach twarz Bev w dniu pogrzebu; błada i śmiertelnie smutna. Nie powiedziała ani słowa, do nikogo. Tak bardzo pragnął ją pocieszyć, lecz nie wiedział, jak. Myśl o wzięciu jej do łóżka i kochaniu, by zapomnieć o rozpacy, wstrząsnęła nim do tego stopnia, że mógł ofiarować jej tylko uścisk chłodnej sztywnej dłoni.

Na szczycie krętych schodów ukazała się Angie Parks ubrana w różowy podkoszulek, który ledwo zakrywała jej biodra. Nie zapomnieła jednak o dyskretnym makijażu - odrobinię tuszu i błyszczku do ust. Rozczesała długie jasne włosy, zmierzwiłone po upojonej nocy, i ułożyła je starannie, nadając im niedbały, łóżkowy wygląd.

Najlepszą metodą wydostania z faceta tego, co pragnęło się zdobyć, był seks. A ona chciała od RM. bardzo wiele.

Rozejrzała się po ogromnym, przeszklonym salonie. Nieźle, jak na początek, pomyślała. Zupełnie nieźle. Zatrzyma ten dom jako miejsce weekendowych wypadów, kiedy już namówi RM. na Beverly Hills. Tam mieszkają gwiazdy, a Angie pragnęła zostać jedną z nich.

RM. miał posłużyć jako szczebel w drabinie prowadzącej na szczyt. Ich romans już przyniósł Angie parę niezłych reklam i drugoplanową, miłą rolę w filmie telewizyjnym. Ale ona oczekiwała od życia czegoś więcej i była gotowa uszczęśliwić P.M., żeby to dostać.

Żywiła do niego uczucie wdzięczności. Bez rozgłosu, który zyskała, romansując z perkusistą, musiałyby prawdopodobnie zadowolić się pozowaniem do pornograficznych zdjęć. No cóż, czynsz płacić trzeba! Angie poruszyła nadgarstkiem, by światło wydobyło blask z brylantów i szafirów w bransoletce. Prezent od RM. Czynsz nie stanowił już problemu.

Spojrzała przez oszkloną ścianę salonu i zobaczyła go na pomoście. W porannym słońcu wydał jej się niemal przystojny. I samotny. Nawet serce tak owładnięte ambicją jak serce Angie musiało drgnąć ze współczucia. Nie otrząsnął się jeszcze po śmierci tego chłopca. Jej też było przykro, naprawdę, ale tragedia związała ich ze sobą całkowicie. Mądra kobieta chwytła i wykorzystuje każdą szansę, która wpada jej w ręce.

Przesunęła dłońią po piersiach, stwierdzając z zadowoleniem, że są wystarczająco jędrne, by mogła obyć się bez stanika. Podeszła do RM. od tyłu i przytuliła się do jego pleców, oplatając mu szyję ramionami.

- Tęskniłam za tobą, kochanie.

Ujął jej dłonie, zawstydzony tym, że w pierwszej chwili pomyślał o Bev.

- Nie chciałem cię budzić.

- Wiesz, że uwielbiam, kiedy mnie budzisz. - Stała teraz przodem do niego. Jej ramiona oplatały go jak długie, miękkie powrozy. Z cichym, zdradzającym pragnienie westchnieniem, zamknęła usta na jego ustach. - Nie mogę znieść, kiedy jesteś taki smutny.

- Myślałem o Bri. Martwię się o niego.

- Jesteś dobrym przyjacielem, kochanie. - Angie obsypała jego twarz szybkimi, lekkimi pocałunkami. - To jedna z rzeczy, za które cię kocham.

Przyciągnął ją bliżej, jak zwykle oszołomiony i uszczęśliwiony wyznaniem. Była piękna z tymi wielkimi brązowymi oczami i usteczkami lalki. Jej przytłumiony głos brzmiał jak muzyka, grana tylko dla niego.

Przyłgnęła mocniej, kiedy dłonie RM. powędrowały w górę jej nóg, by zamknąć się na twardych poślądkach. Ciało Angie było marzeniem; soczyste, połączone słońcem jak brzoskwinia. Kiedy zadrzała, poczuł, że świat leży u jego stóp.

- Potrzebuję cię, Angie.

- Więc mnie weź.

Odrzuciła w tył głowę, patrząc na niego spod starannie przyczernionych rzęs. Powoli, nie spuszczać wzroku z twarzy mężczyzny, sięgnęła w dół. Ujęła brzeg koszulki i zdjęła ją przez głowę. Stała naga. Jej piersi, uwieńczone różowymi pączkami, złościły się w słońcu tak jak reszta ciała. Zdażył jeszcze wciągnąć Angie do domu - tam, na podłodze, poddał się namiętności.

Pozwoliła mu robić wszystko, na co miał ochotę, i na ogół sprawiało jej to przyjemność. Dodała jedynie kilka jęków i krzyków w miejscach, gdzie wydały jej się potrzebne. Nie to, żeby jej nie podniecał. Podniecał, w pewien łagodny sposób. Wolałaby jednak, żeby okazał trochę więcej siły i pozostawił na jej ciele parę siniaków.

Ale mocne dłonie PM. przemykały po niej niemal z czcią. Nawet kiedy zaczynał się pocić i dyszeć, traktował ją nadal jakby była ze szkła; zbyt uważny, by zwalić się na nią całym ciężarem, zbyt delikatny, by wbić się w Angie i zmusić do prawdziwych jęków.

Wziął ją ostrożnie, w równym rytmie, który pozostawiał Angie na granicy spełnienia. Leżał na niej tylko przez chwilę, a ona gapiła się na lśniące drewno na suficie. Troskliwy do końca, uwolnił dziewczynę od ciężaru swego ciała i ułożył jej głowę na swoim ramieniu.

- Och, to było cudowne. - Angie pogłaskała go po wilgotnej, białej klatce piersiowej. Jak zwykle praktyczna, wiedziała, że dokończy dzieła sama, na gorze. - Jesteś najlepszy, kochanie. Najlepszy!

- Kocham cię, Angie. - Właśnie tego potrzebuje, zrozumiał nagle. Cały ten szalony, bezimienny seks nigdy nie był dla niego. Musiał wiedzieć, wyjeżdżając w trasy koncertowe, że ktoś na niego czeka, w domu albo w tych strasznych pokojach hotelowych. Chciał tego, co miał Brian.

Nie pragnę Bev, zapewniał siebie z bolesnym poczuciem nielojalności. Chce żony, rodziny, domu. Angie mu to da.

- Angie. Wyjdiesz za mnie za mąż?

Zamarła. Oto spełniały się marzenia. Oczami wyobraźni widziała już producentów walczących o jej względy i wielki biały dom w Beverly Hills. Uśmiech rozjaśnił jej twarz. Omal nie roześmiała się w głos. Wzięła głęboki oddech i opanowała się. Kiedy podniosła na niego oczy, lśniły w nich łzy.

- Mówisz poważnie?

- Uczynię cię szczęśliwą, Angie. Posłuchaj! Wiem, że to niełatwe być żoną kogoś, kto jest muzykiem rockowym. Trasy koncertowe, wielbiciele i dziennikarze. Ale możemy stworzyć coś, co będzie wyłącznie nasze: moje i twoje.

- Kocham to, kim jesteś - powiedziała Angie i w tym momencie była całkowicie szczerą.

- Więc wyjdiesz za mnie? Pobierzemy się i założymy rodzinę?

- Wyjdę za ciebie. — Zrzuciła mu ramiona na szyję. Rodzina to zupełnie inna kwestia, pomyślała, kiedy kładł ją znów na podłodze. Jako żonie RM. Fergusona nie pozostawało jej teraz nic innego, jak piąć się w górę.

Brian nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma, płacząc się po wielkim domu dzień po dniu, śpiąc noc w noc obok kobiety, która kuliła się pod jego najbliższym dotknięciem.

Dzwonił do Kesselringa niemal codziennie, z nadzieją że porucznik powie mu coś, cokolwiek. Potrzebował nazwiska, twarzy człowieka, na którym mógłby wyładować bezsilną wściekłość.

Nie miał nic, z wyjątkiem pustego pokoju dzieciennego i żony, która snuła się po domu jak duch kobiety, którą kochał.

I Emmę. Dzięki Bogu za Emmę!

Przetarł twarz i odsunął się od biurka, przy którym próbował pisać. Gdyby nie Emma, zwariowałaby przez te ostatnie tygodnie.

Ona też rozpaczała, cicho, żałośnie. Często siedział z nią długo w noc, opowiadając bajki, śpiewając albo po prostu słuchając. Potrafiliby wywołać uśmiech na swoich twarzach, a wtedy ból cichł.

Każdej minuty, którą spędzała poza domem, umierał ze strachu. Nawet świadomość, że w drodze do szkoły towarzyszącej ochroniarze, nie uwalniała Briana od mdłącego przerażenia, które dopadało go za każdym razem, gdy za Emmą zamykały się drzwi.

A co będzie, kiedy to za nim zamkną się drzwi? Obojętnie jak bardzo kochał syna, nadejdzie dzień, kiedy zapragnie powrotu na scenę, do studia, do muzyki. Nie mógł prowadzić sześcioletniej dziewczynki na pasku.

Nie mógł również zostawić jej z Bev. Nie teraz i na pewno nie w najbliższej przyszłości.

- Panie McAvoy!

- Tak, Alice. - Zatrzymali ją, choć nie było już dziecka, które piastowała. Teraz pielęgnuje Bev, pomyślał Brian, wyciągając papierosa.

- Pan Page do pana.

Brian objął wzrokiem stół, rozrzucone papiery, mieszaninę wierszy i urwanych fraz.

- Proszę go tu przyprowadzić.

- Cześć, Bri! - Jednym rzutem oka Pete ogarnął wszystkie dowody świadczące o tym, że ma przed sobą człowieka, który usiłuje pracować i któremu się to nie udaje. Kulki zmiętego papieru, papieros dopalający się w pełnej popielniczce, ledwo uchwytny zapach alkoholu, choć dochodziło dopiero południe. - Chyba ci nie przeszkadzam? Mam interes, a nie sądziłem, żebyś chciał przyjść do mnie do biura.

- Nie. — Brian sięgnął po butelkę, która teraz już zawsze znajdowała się w zasięgu jego ręki. - Napijesz się?

- Nie, dziękuję, wstrzymam się na razie. - Siadając, Pete pokusił się o swobodny uśmiech. Jego stosunki z Brianem były sztywne i dziwnie oficjalne. Nikt teraz nie wiedział, jak zachowywać się w obecności Briana, o co pytać, a co pomijać milczeniem. - Jak Bev? - zaryzykował.

- Nie wiem. - Przypomniawszy sobie o papierosie i wyłuskał go spośród petów. - Niewiele mówi i wcale nie wychodzi. - Wypuścił dym wraz z długim, ciężkim westchnieniem. W jego wzroku malowały się jednocześnie prośba i wyzwanie.

Zupełnie jak w dniu, w którym przyszedł prosić mnie, żebym został menedżerem zespołu, pomyślał Pete.

- Pete, ona godzinami siedzi w pokoju Darrena. Nawet w nocy. Budzę się czasem i znajduję ją tam, siedzącą w tym pieprzonym bujanym fotelu. — Pociągnął ze szklanki, potem łyknął jeszcze raz. - Nie wiem, co, u diabła, robić?

- Myślałeś o terapii?

- Masz na myśli psychiatrę? - Brian odsunął się od biurka.

Popiół z papierosa spadł na dywan. Był prostym człowiekiem, jego rodzice byli prostymi ludźmi. Uważał, że problemy osobiste powinny się rozwiązywać w gronie rodziny.

- Co jej pomoże roztrząsanie życia erotycznego albo mówienie, jak bardzo nienawidziła ojca?

- To tylko propozycja, Bri. - Pete wyciągnął rękę, potem opuścił ją na oparcie fotela. - Warto ją przemyśleć.

- Nawet gdybym wierzył, że to pomoże, nie wiem, czy udałoby mi się ją namówić.

- Może potrzeba jej tylko więcej czasu. Minęło zaledwie parę miesięcy.

- W zeszłym tygodniu Darren skończyłby trzy lata. O Chryste!

Pete wstał bez słowa, by uzupełnić szklankę Briana. Podał mu ją i zaprowadził go na fotel.

- Policja ma coś nowego?

- Rozmawiałem z Kesselringiem. Drepczą w miejscu. To jeszcze pogarsza sprawę. Nie wiedzieć, kto jest mordercą.

Pete usiadł z powrotem. Muszą wyzwolić się od przeszłości, wszyscy, i iść naprzód.

- Co z Emmą?

- Koszmary się skończyły, a gips zdejma za parę tygodni. Szkoła pomaga jej zapomnieć na jakiś czas. Ale to w niej tkwi. Widzę po jej oczach.

- Nie przypominała sobie nic więcej?

Brian pokręcił głową.



- Chryste, Pete! Nie wiem nawet, czy coś widziała, czy też miała po prostu zły sen. U Emmy wszystko zaczyna się i kończy na potworach. Chcę, żeby miała to już za sobą. Wszyscy musimy zostawić to za sobą.

Pete milczał przez chwilę, ważąc szanse.

- To jeden z powodów, dla których tu jestem. Nie chcę cię ponaglać, Bri, ale wytwórnia proponuje, żebyście rozpoczęli tournée w chwili wydania nowego albumu. Odmówiłem, ale zastanawiam się, czy słusznie. Może trasa koncertowa dobrze by ci zrobiła?

- To oznacza zostawienie Bev i Emmy samych.

- Rozumiem. Nie dawaj mi odpowiedzi od razu. Pomyśl nad tym. - Pete zapalił papierosa. - Moglibyśmy objechać Europę, Amerykę, Japonię, jeżeli ty i chłopaki macie na to ochotę. Być może właśnie praca pozwoli ci zapomnieć.

- A tobie pozwoli sprzedać mnóstwo płyt.

Pete uśmiechnął się blade.

- Otóż to. Nie da się wepchnąć albumu na szczyt bez trasy koncertowej. Takie czasy. A propos płyt. Podpisałem kontrakt z tym nowym chłopakiem. Robertem Blackpoolem. Chyba ci o nim wspominałem.

- Tak. Powiedziałaś, że wiążesz z nim ogromne nadzieje.

- Owszem. Spodoba ci się jego styl i dlatego chcę, żebyś pozwolił mu nagrać *On the Wing*.

Ręka Briana zawisała na chwilę w powietrzu, zanim podniósł szklanke do ust. Był zaskoczony.

- Zawsze sami nagrywaliśmy nasze piosenki.

- Do tej pory tak. Ale poszerzenie oferty przyniesie wyłącznie korzyści. - Umilkł na chwilę, próbując wyczuć nastrój Briana. Uznał, że jest bardziej skłonny do ustępstw, niż można się było spodziewać. Postanowił kuć żelazo, póki gorące. - Usunęliście ten kawałek z ostatniego albumu. Blackpoolowi on pasuje. Nie zaszkodzi, żeby nowy artysta nagrał utwór, który ty i Johnno odrzuciliście. W tym wypadku to raczej umocni waszą reputację jako autorów tekstów.

- Nie wiem. - Brian potarł dłonią oczy. Sprawa nie wydała mu się ważna. - Zrobię tak, jak będzie chciał Johnno.

- Już z nim rozmawiałem. - Uśmiechnął się Pete. - Powiedział, że się zgadza, o ile ty nie masz nic przeciwko temu.

Brian znalazł Bev w pokoju Darrena. Choć nie było to łatwe, wszedł do środka, starając się nie patrzeć na puste łóżeczko, zabawki poukładane starannie na półkach, wielkiego pluszowego misia, którego kupili razem, z nim urodził się Darren.

- Bev! - Brian położył rękę na jej dłoni i czekał, na próżno, by podniosła na niego wzrok.

Była wychudzona. Sterczące kości policzkowe nie mogły już uchodzić za subtelne rysy twarzy. Zniknął blask oczu, włosów, skóry. Brian stwierdził nagle, że zaciska zęby, żeby nie chwycić żony za ramiona i nie potrząsać tak długo, dopóki nie wykrzesza z niej życia.

- Bev, myślałem, że zejdziesz na dół na herbatę.

Zapach alkoholu wywrócił jej żołądek na drugą stronę. Jak on mógł siedzieć i pić, gryzmołac tę swoją muzykę? Cofnęła dłoń i położyła ją na kolanie.

- Nie chcę żadnej herbaty.

- Wiesz, RM. się ożenił.

Wtedy na niego spojrzęła. Było to przelotne, obojętne spojrzenie.

- Miał nadzieję, że przyjedziemy na trochę. Chciałby pokazać nam swój dom na plaży i swoją zarozumiałą żonę.

- Nigdy tam nie wrócę. - Nagły, dziki gniew w głosie Bev sprawił, że omal się nie cofnął. Ale intensywność jej uczuć zaskoczyła go mniej, niż wyraz skierowanych na niego oczu. Malował się w nich wstręt.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał. Pochylił się nad nią, chwytając się oparcia fotela. - Czego, u licha, chcesz?

- Zostaw mnie w spokoju.

- Zostawiłem cię w spokoju. Pozwoliłem ci siedzieć tu samej całymi godzinami. Zostawiłem cię w spokoju, kiedy tak strasznie cię potrzebowałem. I nocą, kiedy czekałem, żebyś poszukała u mnie pociechy. Chociaż raz. Niech cię licho, Bev, on był również moim synem!

Nie odezwała się, ale po jej twarzy spłynęły łzy. Kiedy wyciągnął do niej rękę, odskoczyła.

- Nie dotykaj mnie. Nie mogę tego znieść! - Ześliznęła się z fotela i podeszła do łóżeczka.

- Nie możesz znieść, kiedy cię dotykam - powtórzył z narastającą wściekłością. - Nie możesz znieść, kiedy na ciebie patrzę, kiedy do ciebie mówię. Dzień po dniu siedzisz tutaj, jakbyś była jedynym człowiekiem, który cierpi. Czas przestać, Bev!

- Jakie to dla ciebie proste! - Zerwała koczek z łóżeczka i przycisnęła go do piersi. - Możesz siedzieć, pić i pisać swoją muzykę, jakby nic się nie stało. Jakie to dla ciebie cholernie łatwe!

- Nie. - Znużony, przycisnęła palce do oczu. - Ale nie mogę przestać żyć. On odszedł, nie mogę tego zmienić.

- Nie, nie możesz tego zmienić. - Bezradna rozpacz wezbrała w niej, jątrząc ranę. - Uparłeś się na to przyjęcie. Ci wszyscy ludzie w naszym domu! Rodzina nigdy ci nie wystarczała, a teraz on odszedł. Chciałeś więcej: więcej ludzi, więcej muzyki. Zawsze więcej. I ktoś z tych ludzi, których wpuściłeś do naszego domu, zabił moje dziecko.

Nie mógł wykrztusić słowa. Gdyby wzięła nóż i rozplątała go od serca po bebechy, ból byłby mniejszy. Z pewnością i szok byłby mniejszy. Trwali naprzeciwko siebie, rozdzieleni pustym łóżeczkiem.

- On nie wpuścił potworów. - Emma stała w drzwiach z torbą na książki wiszącą koło kolan. Jej oczy wydawały się czarne na tle zbielełej twarzy. - Tata nie wpuścił potworów. - Zanim Brian zdążył otworzyć usta, biegła już przez hol, szlochając.

- Dobra robota. - Ledwo mógł mówić przez zaciśnięte szczęki. - Skoro chcesz być sama, wezmę Emmę i wyjedziemy.

Chciała zawołać za nim, ale nie mogła. Zmęczona, zbyt zmęczona, zagłębiła się z powrotem w bujanym fotelu.

Uspokojenie Emmy zajęło mu godzinę. Kiedy zasnęła, wycieńczona płaczem, usiadł przy telefonie. Decyzja, którą podjął, wiązała go jeszcze silniej z Pete'em.

- Lecimy jutro do Nowego Jorku - poinformował go krótko. - Emma i ja. Spotkamy się z Johnno, weźmiemy parę dni wolnego. Muszę znaleźć dobrą szkołę i zapewnić jej ochronę. Kiedy będzie bezpieczna, pojedę do Kalifornii, żeby zacząć próby. Zorganizuj tournee, długie tournee. - Pociągnął zdrowo ze szklanki. - Wracamy do pracy.

## Rozdział 12

Ona nie chce wracać. - Brian obserwował Emmę, która błąkała się po sali z nowym aparatem fotograficznym. Dał go córce podczas rozdierającego pożegnania w Szkole dla Dziewcząt imienia świętej Katarzyny w stanie Nowy Jork.

- Spędziła tam tylko miesiąc przed wiosenną przerwą- przypomniał mu Johnno. Ale spojrzał ze współczuciem na dziewczynkę, zajętą uwiecznianiem gitary Steviego. - Daj jej trochę czasu. Musi się przystosować.

- Wygląda na to, że nic innego w życiu nie robimy, tylko się przystosowujemy.

Upłynęło osiem tygodni od rozstania z Bev, a on ciągle boleśnie to przeżywał. Kobiety, z którymi sypiał, były jak narkotyk, narkotyki jak kobiety. I jedno, i drugie łagodziło ból tylko na chwilę.

- Mógłbyś do niej zadzwonić - zasugerował Johnno. Czytał w myślach przyjaciela z łatwością, jaką dają lata znajomości.

- Nie. - Brian rozważał taką możliwość więcej niż raz. Ale gazety pełne były opowieści o ich separacji i jego rosnącym apetycie seksualnym.

Wątpił, czy miałoby sobie do powiedzenia coś, co nie pogorszyłyby sprawy. - Teraz myślę tylko o Emmie. I o trasie koncertowej.

- Obie będą rewelacyjne. - Johnno obejrzał się za siebie, wskazując wzrokiem Angie. - Z paroma wyjątkami.

Brian wzruszył tylko ramionami, przebiegając palcami po klawiaturze fortepianu.

- Jeżeli sfinalizuje udział w filmie, będziemy mieli ją z głowy.

- Przymilna kurewka. Widziałeś ten brylant, na który naciągnęła P.M.? - Johnno przechylił głowę. - Nieco zbyt tandetny, słodziutki - zaszcebiotał z akcentem z wyższych sfer.

- Przymknij się. Dopóki P.M. się nie opamięta, jesteśmy na nią skazani. Poza tym mamy większe zmartwienia niż nasza mała Angie. - Brian obserwował Steviego, który wrócił na salę.

Coraz więcej czasu spędzał w łazience i nie miało to nic wspólnego z jego pęcherzem. To, co tym razem połknął, wciągnął czy sobie wstrzyknął, sprawiło go w euforię. Mijając Emmę, okręcił ją w ramionach, potem chwycił gitarę. Mikrofony były wyłączone i oszalała solówka odbyła się w ciszy.

- Trzeba dopaść go w przerwie w épaniu i poruszyć tę sprawę - zaproponował Johnno. - O ile takie przerwy w ogóle istnieją. - Chciał coś dodać, ale zdecydował, że Brian ma chwilowo dość kłopotów. Powtarzanie tego, co usłyszał przed wyjazdem z Nowego Jorku, na pewno nie poprawi mu nastroju.

Pomyśleć tylko, Jane Palmer pisze książkę! Oczywiście ktoś inny zajmie się stroną techniczną, to znaczy poskłada zdania do kupy. Tak czy owak, Jane zgarnie za to ładny kawałek grosza. Jest mało prawdopodobne, by jej publiczne zwierzenia ucieszyły Briana, niezależnie od tego, co miała do powiedzenia. Niech Pete się tym zajmie, zdecydował Johnno, i uraczy Briana hiobową wieścią po tournée.

Emma nie zwracała na próbę większej uwagi. Znała wszystkie piosenki, słyszała je setki razy. Pochodziły z albumu, który ojciec nagrał podczas poprzedniego pobytu w Kalifornii. Pozwalano jej wtedy przychodzić do studia. Któregoś razu Bev zabrała ze sobą Darrena.

Nie chciała myśleć o Darrenie, ponieważ to wywoływało ból. Świadomość, że stara się wyrzucić brata z pamięci, przygniatała ją potem falą straszego poczucia winy.

Tęskniła również za Karolem. Zostawiła go w Londynie, w łóżeczku Darrena. Miała nadzieję, że Bev zaopiekuje się psem. I może pewnego dnia, kiedy wróci do domu, mama będzie znów z nią rozmawiała, będzie się śmiała, tak jak dawniej.

Emma nie знаła pojęcia pokuty, ale postanowiła rozstać się z Karolem. No i pójść do szkoły. Nie miała wątpliwości, że pobyt w tym miejscu, tak

oddalonym od wszystkich, których kochała, jest karą za to, że nie opiekowała się Darrenem, jak obiecała.

Była karana już przedtem, pamiętała klapsy i wrzaski Jane. Wydawały się łatwiejsze do zniesienia, myślała teraz. Z chwilą gdy ustawały, kończyła się również kara. Jej obecne zesłanie nie miało końca.

Tata nie nazywał tego karą zastanawiała się. Powiedział, że idzie do dobrej szkoły, gdzie nauczy się wielu mądrych rzeczy. Gdzie będzie bezpieczna. Byli tam mężczyźni, którzy jej pilnowali. Nienawidziła ich. Ogromni, milczący mężczyźni o znudzonych oczach. Zupełnie inni niż Johnno i reszta zespołu. Chciała jeździć z nimi z jednego miasta do drugiego, nawet jeżeli oznaczało to podróże samolotem. Chciała mieszkać w hotelach, skakać po łózkach i zamawiać herbatę. Zamiast tego musiała wrócić do szkoły, do sióstr o łagodnym spojrzeniu i mocnych dłoniach, do porannych modlitw i lekcji gramatyki.

Obejrzała się, kiedy ojciec wykrzyczał pierwsze tony *Soldier Blues*. Kolejna piosenka o wojnie - twarde słowa ujęte w jeszcze twardszy rytm. Nie wiedziała, dlaczego ta właśnie melodia do niej przemawia. Może działo się tak za sprawą P.M., który roznosił perkusję, a może rozszalałej, przyspieszającej bicia serca gitary Steviego. Kiedy głos Johnno zlał się z głosem ojca, uniosła aparat.

Lubiła robić zdjęcia. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że aparat fotograficzny jest za drogą i zbyt skomplikowaną zabawką dla sześciolatniej dziewczynki. Nie przyszło jej również do głowy, że miał być zadośćuczynieniem za zamknięcie jej w ponurej szkole.

- Emmo!

Odwrociła się. Przed nią stał wysoki, ciemny mężczyzna. To nie ochrońiarz, pomyślała, ale w jego twarzy jest coś znajomego. I wtedy sobie przypomniała. Uśmiechnęła się lekko, ponieważ był miły, kiedy przyszedł w odwiedziny do szpitala, i nie zawstydził jej, kiedy wypłakiwała mu się na ramieniu.

- Pamiętasz mnie? - zapytał Lou.

- Tak. Pan jest policjantem.

- Zgadza się. - Położył rękę na ramieniu stojącego obok chłopca, próbując odwrócić jego uwagę od muzyków. - To jest Michael. Opowiadałem ci o nim.

Twarz Emmy rozjaśniła się, ale nie śmiała zapytać o zjazd z dachu.

- Cześć.

- Cześć. - Przelotny rzut oka, szybki uśmiech. Tylko tyle zdążył jej ofiarować, zanim jego spojrzenie, przyciągane jakąś nieodpartą siłą pobiegło znów ku czterem mężczyznom na środku sali.

- Potrzebujemy rogów - stwierdził Brian, sygnalizując przerwę. - Bez nich nie otrzymamy pełnego dźwięku. - Serce w nim zamarło, kiedy ujrzał

mężczyznę obok Emmy, potem zaczęło bić, wolno, ciężko. — Witam, poruczniku!

- Panie McAvoy! - Rzuciwszy synowi szybkie, ostrzegawcze spojrzenie, Lou ruszył przez salę. — Przykro mi, że przerywam próbę, ale chciałem z panem porozmawiać i, o ile to możliwe, z pana córką również.

- Czy...?

- Nie. Niewiele mam do dodania ponad to, co już pan wie. Ale chciałbym porozmawiać.

- Oczywiście. Chłopaki, chcecie iść na lunch? Dołączę do was za chwilę.

- Mogę zostać - zaoferował się Johnno.

- Nie. - Brian ścisnął go za ramię. - Dzięki.

Emma spojrzała na Michaela. W jego oczach pojawił się taki sam błysk, co u jej szkolnych koleżanek, kiedy dowiadywały się, czyją jest córką. Uśmiechnęła się lekko. Podobała jej się twarz Michaela, złamany nos, jasne, zielone oczy.

- Chciałbyś ich poznać?

Michael wytarł spocone dłonie o dzinsy.

- Aha. To byłoby coś.

- Nie ma pan nic przeciwko temu? - zapytał Lou, wdzięczny Emmie, że go wyręczyła. - Przyprowadziłem syna. Nie jest to może zgodne z regulaminem, ale...

- Rozumiem. - Brian obrzucił chłopca długim, zazdrosnym spojrzeniem. Michael zerkał ciekawie ku Johnno. Czy Darren byłby równie bystry i silny jako jedenastolatek? - Przyślę mu płytę. Wyjdzie dopiero za parę tygodni. Chłopak zakasuje wszystkich kolegów w szkole.

- To bardzo miło z pana strony.

- Drobiazg. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że poświęcił pan Darrenowi więcej czasu, niż pan musiał.

- Ani pan, ani ja nie mamy ośmiogodzinnego dnia pracy.

- Właśnie. Nienawidziłem glin. - Uśmiechnął się blade. - Dopóki nie potrzebowałem jednego z nich. Wynająłem prywatną firmę detektywistyczną, poruczniku.

- Tak, wiem.

Z pewnym zdziwieniem Brian stwierdził, że śmieje się bez przymusu.

- Tak, myślę, że pan wie. Donieśli mi, że zrobił pan więcej niż pięciu gliniarzy przez kilka miesięcy. Tylko tyle mogli mi powiedzieć ponad to, co usłyszałem od pana. Można by pomyśleć, że zależy panu na schwytaniu sprawców równie mocno, jak mnie.

- To był piękny chłopiec, panie McAvoy.

- Tak, na Boga, był. - Brian spuścił wzrok na gitarę, którą nadal trzymał w ręku. Ponieważ miał ochotę roztrzaskać instrument, odłożył go z przesadną troskliwością na miejsce. — O czym chciał pan ze mną rozmawiać?

- Chodzi o parę szczegółów. Wiem, że już o to pytałem.

- Nie szkodzi.

- Chciałbym też porozmawiać z Emmą.

Cały spokój Briana zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Ona nie może panu nic więcej powiedzieć.

- Może nie zadałem jej właściwego pytania.

Brian przecesałał palcami włosy. Skrócił je o kilkanaście centymetrów i ciągle jeszcze dziwił się, kiedy jego palce trafiały w próżnię.

- Wystarczy, że Darren odszedł. Nie mogę ryzykować czegoś, co może mieć wpływ na zdrowie psychiczne Emmy. Jest bardzo wrażliwa. Ma dopiero sześć lat i po raz drugi w życiu straciła grant pod nogami. Pewnie słyszał pan, że rozstaliśmy się z żoną?

- Bardzo mi przykro.

- Emma ucierpiała na tym najbardziej. Nie chcę jej niepokoić.

- Nie będę jej męczył. - Kesselring powiedział mu o swoim pomysle, by poddać dziewczynkę hipnozie.

Rozkoszując się rolą gospodyni, Emma przyprowadziła Michaela do ojca.

- Tato, to jest Michael.

- Cześć, Michael.

- Cześć. - Mając w ustach kłode zamiast języka, Michael mógł tylko uśmiechnąć się głupawo.

- Lubisz muzykę?

- No. Mam mnóstwo pana płyt. - Chłopak pragnął rozpaczliwie poprosić o autograf, ale bał się, że wyjdzie na idiotę. - Fajnie było słyszeć, jak gracie. I w ogóle. Bomba.

- Dzięki.

Emma pstryknęła zdjęcie.

- Tata przyśle ci odbitkę - powiedziała, podziwiając złamany żąb Michaela.

Lou wyszedł z sali prób z bólem głowy i w paskudnym nastroju, ciągnąc za sobą opornego syna. Dotrzymał obietnicy i nie przycisnął Emmy. Nie mógł. W chwili, gdy wspomniął o nocy, kiedy umarł Darren, oczy Emmy zrobiły się puste, a ciało zeszytniało. Instynkt mówił mu, że widziała lub słyszała coś, ale wspomnienie tamtej nocy jest już zatarte. Wypełniały je potwory i szczerzące zęby cienie.

Nie chciał przyznać, że rozwiązanie sprawy zależy od przerażonej sześciolatki, której pamięć, według psychologów, może nigdy nie wrócić.

Jest jeszcze facet od pizzy, myślał Lou ponuro. Zlokalizowanie restauracji i człowieka, który pracował na nocną zmianę, zajęło mu dwa dni. Mężczyzna pamiętał zamówienie na pięćdziesiąt pizz, ale uznał je za żart. Pamiętał również nazwisko zamawiającego.

Człowiekiem, który miał apetyt na pizzę tej nocy, był Tom Fletcher, muzyk grający na saksofonie. Odnalezienie go trwało całe tygodnie, kolejne tygodnie trwało załatwianie zezwolenia na ściągnięcie muzyka z występów na Jamajce.

Lou wiązał z Fletcherem duże nadzieje. Ktokolwiek był w pokoju Darrena, nie zszedł głównymi schodami ani nie wyskoczył przez okno. Pozostawały tylko schody kuchenne, gdzie Tom Fletcher próbował namówić pracownika restauracji na przysłanie pięćdziesięciu pizz z licznymi dodatkami.

- Hej, tato, to było coś! - Michael powłóczył nogami, żeby odwlec chwilę odjazdu. Otwierając drzwiczki chevelle 68, wykręcił szyję, by zerknąć w okna pierwszego piętra. - Chłopaki oszaleją kiedy im o tym opowiem. Teraz już mogę im o tym powiedzieć, no nie? Wszyscy wiedzą że prowadzisz tę sprawę.

- Tak. - Lou ujął nasadę nosa między kciuk a palec wskazujący. Nie był pewien, czy przyczyną bólu głowy jest napięcie, czy zwariowana muzyka. Wszyscy już wiedzą. Przebrnął przez trzy konferencje prasowe.

- Po co im ci wszyscy ochroniarze? - chciał wiedzieć Michael.

- Jacy ochroniarze?

- Tamci. - Michael wskazał czterech ciemno ubranych, barczystych mężczyzn przy wejściu do budynku.

- Skąd wiesz, że to ochroniarze?

- Daj spokój. - Michael wzniosł oczy do nieba. - Zawsze można poznać gliniarzy. Nawet gliniarzy do wynajęcia.

Lou nie był pewien, czy ma się skrzywić, czy rozeźmiać.

Ciekawe, co powiedziałyby jego szef, gdyby wiedział, że przeciętny jedenastolatek potrafi rozszyfrować tajnego agenta.

- Wynajęli ich, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Sobie i tej dziewczynce - dodał Lou. - Ktoś mógłby próbować ją porwać.

- O rany! To znaczy, że mają ochroniarzy przez cały czas?

- Tak.

- Beznadzieja - mruknął Michael. Już nie był taki pewien, czy pragnie zostać gwiazdą rocka. - Nie chciałbym, żeby ktoś obserwował mnie przez cały czas. Jak w takiej sytuacji można mieć tajemnice?

- Faktycznie ciężko.

Kiedy ojciec zjeżdżał z krawężnika, Michael rzucił ostatnie spojrzenie przez ramię.

- Pojedziemy do McDonalda?



- Aha.
- Ona chyba nieczęsto to robi?
- Co?
- Ta dziewczynka. Emma. Ona chyba nie chodzi do McDonalda.
- Nie. - Lou zburzył synowi włosy. - Chyba nie.

Parę minut później Michael siedział już przy stoliku z cheeseburgerem, frytkami i koktajlem mlecznym. Lou zostawił syna i poszedł zadzwonić. Z budki widział, jak Michael wyciska ketchup na hamburgera.

- Tu Kesselring - powiedział. - Będę na posterunku za godzinę.
- Mam dla ciebie złe wiadomości, Lou.
- Nic nowego.
- Chodzi o Fletchera, tego od pizzy.
- Nie dojechał do L.A.?
- Owszem, dojechał. Rano wysłałem paru chłopaków, żeby doprowadzili go na przesłuchanie. Spóźnili się jakieś sześć godzin. Umarł.
- Cholera!
- Wygląda to na przedawkowanie. Miał typowe objawy, a oprócz tego zapas heroiny w najlepszym gatunku. Czekamy na orzeczenie koronera.
- Wspaniale. Kurewsko wspaniale. - Kesselring uderzył dłońmi w okno budki, na tyle mocno, by spłoszyć matkę z trojgiem dzieci. - Chłopaki z laboratorium zbadali jego pokój w hotelu?
- Od góry do dołu.
- Daj mi adres. - Policjant obmacał kieszenie w poszukiwaniu notatnika. - Odwiozę dzieciaka do domu i pojedę tam.

Zanotował adres, zaklął jeszcze raz i odwiesił słuchawkę. Otworzył drzwi budki i oparł się o nie, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Przez witrynę McDonalda widział syna radośnie zajadającego cheeseburgera.

## Rozdział 13

Szkoła dla dziewcząt im. św. Katarzyny, rok 1977  
 Jeszcze dwa tygodnie, myślała Emma. Dwa długie, nudne, zmarnowane tygodnie i wydostanie się stąd na całe lato.

Zobaczy się z ojcem, Johnno i resztą. Będzie mogła oddychać i nikt nie przypomni jej, że oddycha dla Boga. Będzie mogła myśleć i nikt nie posądzi jej o nieczyste myśli.

Zdaniem Emmy zakonnice miały wyłącznie nieczyste myśli, inaczej nie posądzałyby o nie wszystkich innych.

Na parę bezcennych tygodni wróci do rzeczywistego świata. Nowy Jork. Emma przymknęła na chwilę oczy, próbując wypełnić cichy pokój odgłosami, zapachem, życiem miasta. Z westchnieniem oparła łokcie na biurku, garbiąc się w sposób, który skłoniłby siostrę Mary Alice do użycia linijki. Nie pochyliła głowy nad francuskimi czasownikami, co powinna była uczynić. Patrzyła przez okno na zielony trawnik i kamienny mur, który odgradzał szkołę od grzesznego świata.

Nieskutecznie odgradza, pomyślała. Ona sama nie była bez grzechu i dziękowała niebiosom, że Marianna Carter jest równie napiętnowana. Bez Marianny pobyt u Św. Katarzyny byłby torturą.

Uśmiechnęła się na myśl o swojej zabawnej, piegowatej, rudowłosej współlokatorce, najlepszej przyjaciółce. Marianna była grzeszna, grzeszna na wskroś. Nawet teraz odbywała pokutę za ostatnie przewinienie. Ale karykatura matki przełożonej, którą naszkicowała, warta była paru godzin karnego szorowania toalet.

Gdyby nie Marianna, Emma prawdopodobnie próbowałaby uciec. Choć trzeba przyznać, nie miała najmniejszego pojęcia, dokąd.

Istniało tylko jedno miejsce na świecie, gdzie chciałyby się znaleźć - u ojca. Ale on odesłałby ją natychmiast z powrotem.

To straszna niesprawiedliwość. Miała już prawie trzynaście lat i siedziała w tej staroświeckiej szkole, odmieniając czasowniki, recytując katechizm i krojąc żaby. Skandaliczne.

Nie to, żeby nienawidziła siostr. No cóż, przyznała, może rzeczywiście nienawidzę siostry Immaculaty. Ale czy można lubić kogoś z fioletowymi ustami, brodawką na brodzie i zamiłowaniem do karania młodych dziewcząt pracą fizyczną za każde najmniejsze wykroczenie?

Kiedy opowiedziała ojcu o siostrze Immaculacie, on się tylko roześmiał.

Tęskniła za nim, tęskniła za nimi wszystkimi.

Chciała wrócić do domu. Ale nie wiedziała, gdzie to właściwie jest. Często myślała o domu w Londynie, pałacyku, w którym przez krótką chwilę była taka szczęśliwa. Myślała o Bev i nie mogła ścierpieć, że ojciec nigdy o niej nie wspomina. A jednak się nie rozwiedli, rozważała. Niektóre dziewczęta w szkole miały rozwiedzionych rodziców, ale o tym nie należało mówić.

Nadal myślała o Darrenie, swoim słodkim braciszku. Czasami nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądał, jak brzmiał jego głos. Ale kiedy o nim śniła, jego twarz i jego głos stawały się całkiem realne.

Noc jego śmierci zatarła się niemal zupełnie w jej pamięci. Zakonnice umiały wybić podobne nonsensy z głów swoich wychowanek. Potwory - pogańskie wymysły! A jednak kiedy śniła o tamtej nocy, a zdarzało się to za-

wsze, gdy była chora lub zdenerwowana, odzywał strach. Znów szła ciemnym korytarzem, słyszała głosy rozlegające się wokół, widziała potwory, które trzymają wyrywającego się, płaczącego Darrena. Czuła, że spada.

Budziła się i nie pamiętała zupełnie nic.

Do pokoju weszła Marianna, zataczając się teatralnie. Dramatycznym ruchem wyciągnęła przed siebie dłonie.

- Zupełnie zniszczone! - Upadła plecami na łóżko. - Jaki francuski księżę zapragnie je teraz ucałować?!

- Ciężko było? - zapytała Emma, dławiąc śmiech.

- Pięć łązienek. Odrażające! Ufff! Kiedy wydostanę się z tej nory, zatrudnię sprzątaczkę dla swojej sprzątaczkii. - Przewróciła się na brzuch, krzyżując nogi w powietrzu. Emma tylko się uśmiechnęła. Wsłuchiwała się z przyjemnością w ożywiony głos Amerykanki. - Słyszałam, jak Mary Jane Witherspoon rozmawiała z Teresą O'Malley. Zrobi to ze swoim chłopakiem w te wakacje.

- Kto?

- Nie wiem. Nazywa się Chuck, Huck albo jakoś tak.

- Nie. Pytałam, która z nich. Mary Jane czy Teresa?

- Mary Jane, ty głupolu! Ma szesnaście lat i jakie ciało!

Emma spojrzała koso na własną klatkę piersiową. Zastanawiała się, czy jako szesnastolatka będzie mogła mówić o piersiach. I czy będzie miała chłopaka, z którym można by to zrobić.

- A jeżeli zajdzie w ciążę, jak Susan zeszej wiosny?

- O, rodzice Mary Jane szybko by to załatwili. Siedzą na forsie. W każdym razie, ona coś ma. Przegrodę.

- Nosową?

- Idiotka. Antykoncepcyjną.

- Ach! - Jak zawsze Emma zdała się na wiedzę przyjaciółki.

- Kładzie się to do środka, wiesz, w sekretną szparę, i to zabija spermę.

Nie możesz zostać zapłodniona martwą spermą, no nie? - Marianna przewróciła się na plecy i ziewnęła w sufit. - Ciekawe, czy siostra Immaculata robiła to kiedykolwiek.

Sama myśl o tym zwała Emmę z nóg.

- Nie sądzę. Jestem przekonana, że kapie się w habcie.

- Niech to diabli, omal nie zapomniałam. - Z kieszeni zmiętego mundurka Marianna wyciągnęła pół paczki marlboro. - Dokopałam się złota w kiblu na drugim piętrze. - Zwlokła się z łóżka, żeby w szufladzie z bieliną poszukać zapalek. - Ktoś wepchnął papierosy za rezerwar.

- A ty je stamtąd wyciągnęłaś.

- Pan Bóg pomaga tym, którzy pomagają sami sobie. Zamknij drzwi, Emmo!

Zapaliły jednego na spółkę, wydmuchując dym przez otwarte okno. Papieros nie smakował żadnej z nich, ale zaciagały się, wykazując duży hart ducha. Palenie było grzeszne i zarezerwowane dla dorosłych - to dwie rzeczy, których łaknęły najbardziej.

- Jeszcze dwa tygodnie - powiedziała Emma z rozmarzeniem.
- Ty jedziesz do Nowego Jorku. Mnie znów wysyłają na obóz.
- To nie takie złe. Nie będzie tam siostry Immaculaty.
- To już coś. - Marianna próbowała przyjąć wyszukaną pozę z papierosem. - Spróbuję namówić rodziców, żeby wysłali mnie do babci na parę tygodni. Babcia jest super.

- Zrobię mnóstwo zdjęć.

Marianna skinęła głową, wybiegając myślą naprzód.

- Kiedy się stąd wydostaniemy, wynajmiemy mieszkanie. W Greenwich Village albo L.A. W jakimś szalonym miejscu. Ja będę artystką, ty fotoreporterką.

- Będziemy urządziły przyjęcia.

- Największe. I będziemy miały różne niesamowite ciuchy. - Uniosła brzeg mundurka. - Żadnych krtek.

- Wolałabym umrzeć.

- Jeszcze tylko cztery lata.

Emma zapatrzyła się w okno. Trudno jej było myśleć w kategorii lat, kiedy nie wiedziała, jak przebrnąć przez najbliższe dwa tygodnie.

Na drugim końcu kontynentu Michael Kesselring stał przed lustrem w uczniowskim mundurku. Nie mógł w to uwierzyć. Skończyło się wreszcie. Szkołę średnią ma za sobą, życie czeka za najbliższym rogiem. Został jeszcze uniwersytet, rzecz jasna, ale to po wakacjach.

Miał osiemnaście lat, mógł pić, głosować i, dzięki prezydentowi Carterowi, żaden pobór nie powinien pokrzyżować jego planów.

Nawet jeżeli ich nie mam, pomyślał.

Nie wiedział, co chce zrobić z życiem, które się przed nim otwierało. Praca na pół etatu w Tee Shirt Shopie była niezła, dopóki chodziło o forszę na benzynę i randki. Nie miał jednak zamiaru spędzić reszty życia na drukowaniu bawełnianych koszulek. Ale co będzie robił, kiedy przestanie je drukować, tego nie wiedział nawet w przybliżeniu.

Zdjęcie szkolnego mundurka było jednak trochę stresujące. Jak pożegnanie z dzieciństwem. Trzymając ubranie w rękę, objął wzrokiem pokój. Zawalały go ubrania, pamiątki, płyty i, od kiedy matka zrezygnowała z własnoręcznego sprzątanía, numery „Playboya”. Stały tam trofea, które zdobył na bieżni i boisku futbolowym. Trofea, które przekonały Rose Anne

Markowitz, by rozłożyć się na tylnym siedzeniu jego używanego pinto i zrobić to w rytm piosenki Joe Cockera *Feeling Alright*.

Natura obdarzyła Michaela twardym ciałem atlety, długimi nogami i refleksem. „Wypisz, wymaluj ojciec” - mawiała matka. Musiał przyznać, że wziął wiele od swojego starego, choć ich ojcowsko-synowski związek urozmaicały kolejne bitwy. O długość włosów, ubranie, politykę, o godzinę powrotu do domu. Kapitan Kesselring był pedantem.

Wynika to pewnie z jego zawodu, myślał Michael. Pamiętał jeszcze dzień, kiedy był na tyle nieostrożny, by przynieść do domu skręta. Uziemili go na miesiąc. Za zdobycie paru parszywych mandatów zapłacili równie drogo.

„Prawo jest prawem”, lubił powtarzać jego stary. Dzięki Bogu, on, Michael, nie ma najmniejszego zamiaru zostać gliną.

Oderwał chwościk od czapki, zanim rzucił ją na nieposłane łóżko. Może zachowanie tej pamiątki dowodziło, że jest sentymentalny, ale nikt nie musi o tym wiedzieć. Przekopał się przez szuflady z bielizną i wyciągnął stare pudełko po cygarach. Przechowywał w nim najcenniejsze dobra. List miłosny, który Lory Spiker napisała do niego w drugiej klasie - zanim porzuciła go dla gościa z harleyem i tatuażem. Skrawek biletu na koncert Rolling Stonesów. Nieźle się napocił, zanim przekonał rodziców, żeby go puścili. Kapsel z pierwszej butelki nielegalnego piwa. Uśmiechnął się szeroko i odsunął wszystko na bok, znalazł swoje zdjęcie z Brianem McAvoyem.

Ta mała dotrzymała słowa, pomyślał. Zdjęcie nadeszło pocztą zaledwie dwa tygodnie po tym fantastycznym dniu, kiedy ojciec zabrał go na spotkanie z Devastation. Płyta, jeszcze ciepła, nadeszła wraz ze zdjęciem. Przez całe tygodnie wzbudzał zazdrość rówieśników.

Michael przypomniał sobie tamto popołudnie, podniecenie przechodzące ludzką wytrzymałość, spocone dłonie. Od dawna o tym nie myślał. Teraz, być może z powodu świeżo uzyskanego statusu osoby dorosłej, zrozumiał, jak wspaniałą rzeczą ze strony ojca było zabranie go tam ze sobą. Jak nietypową. Nie to, żeby staruszek nie potrafił zdobyć się na wspaniałe rzeczy, ale wtedy poszedł do studia nagraniowego służbowo. Kapitan Lou Kesselring nigdy nie mieszał zawodowych interesów z osobistymi przyjemnościami.

Zrobił to wtedy, pomyślał Michael.

To dziwne, ale wspominając tamten okres życia, widział ojca taszczącego do domu teczkę papierów, co wieczór, dzień w dzień. A przecież ojciec nigdy nie przynosił pracy do domu, nigdy przedtem ani nigdy potem.

Ten mały chłopiec, syn Briana McAvoya, padł ofiarą morderstwa. Pisały o tym wszystkie gazety. Jeszcze teraz sprawa wypływa od czasu do czasu, pewnie dlatego, że nie została rozwiązana.

Sprawa ojca, przypomniał sobie Michael.

To było tego roku, kiedy został mianowany kapitanem drużyny Małej Ligi. A ojciec przegapił większość meczów. I mnóstwo kolacji.

Bardzo dawno temu, stwierdził Michael. Ciekawe, czy ojciec myśli jeszcze czasem o Brianie McAvoyu i jego nieżyjącym dziecku. Albo ta mała, która zrobiła zdjęcie. Ludzie mówili, że widziała, co się stało, i zwariowała. Nie wyglądała na stukniętą, kiedy ją poznał. Pamiętał Emmę jak przez mgłę: szczupła dziewczynka o jasnych włosach i wielkich smutnych oczach. O miękim, urokliwym głosie. Takim samym jak głos jej ojca.

Biedny dzieciak, pomyślał, kładąc chwościk od czapki na zdjęciu Briana McAvoya. Ciekawe, co się z nią stało?

## Rozdział 14

Emma nie mogła wprost uwierzyć, że jej czas się kończy. Za niecały tydzień będzie z powrotem w Nowym Jorku, u świętej Katarzyny. To prawda, tęskniła za Marianną. Miną tygodnie, zanim uda im się omówić wszystkie wydarzenia tego lata. Najlepszego lata jej życia, chociaż w Nowym Jorku spędzili tylko dwa tygodnie.

Polecieli do Londynu, by sfilmować część sesji nagraniowej. Poszli na herbatę do Ritza, zupełnie tak samo jak z Bev tyle lat temu. Mogła spędzać czas z Johnno, Steviem i RM. Słuchać, jak grają, jeść rybę z frytkami w kuchni, podczas gdy oni dyskutowali nad nową płytą.

Wypstrykała rolki filmów i teraz nie mogła się doczekać, kiedy powkleja zdjęcia do albumu. Będzie mogła oglądać je ciągle od nowa, przywołując wspomnienia.

Na urodziny ojciec zafundował Emmie wizytę w prawdziwym salonie fryzjerskim. Jej długie do ramion włosy były teraz skręcone w loki. Czuła się w tej fryzurze bardzo dorośle.

I zaczęła się rozwijać.

Rzuciła krótkie, ukradkowe spojrzenie na swoją klatkę piersiową odzianą w kostium kąpielowy. Nazwanie tego biustem byłoby przesadą, ale przynajmniej nikt już nie weźmie jej za chłopaka. Poza tym opaliła się. Projekt spędzenia ostatnich tygodni w Kalifornii przyjęła z mieszanymi uczuciami, ale opalenizna była wystarczającą rekompensatą.

Opalenizna i surfing. Musiała przeprowadzić regularną kampanię, żeby Brian pozwolił jej zmierzyć się z falami. Emma wiedziała, że czerwoną deskę zawdzięcza Johnno. Gdyby nie kpił i nie dręczył Briana, nadal tkwiłaby na plaży, patrząc, jak inni mkną po falach.

Co z tego, że jej działalność ograniczała się do wypływania i wpadania do wody. Zmagania z deską uwalniały ją przynajmniej od obecności ochroniarzy, którzy pocili się pod plażowymi parasolami.

To jest idiotyczne, myślała, niosąc deskę w stronę wody. Nikt nie wie, kim jestem.

Co roku była pewna, że ojciec zwolni tych facetów, a oni ciągle trwali przy niej ze swoim uroczystym wyrazem twarzy i szerokimi barami. Tutaj przynajmniej za mną nie poleżą, myślała, wyciągając się na desce i wiosłując dłońmi w zimnej wodzie. Wiedziała, że obserwują ją przez lornetki, ale udawała, że jest sama albo jeszcze lepiej, z jedną z grup nastolatków, które okupowały plażę.

Ślizgała się po falach, uradowana kołysaniem. W uszach rozbrzmiewał jej szum oceanu pomieszany z muzycznym zgiełkiem, który płynął z tranzystorów. Patrzyła, jak wysoki chłopak w zielonych kąpielówkach łapie falę i sunie na niej do brzegu i zazdrościła mu zarówno tej umiejętności, jak i swobody.

Skoro nie mogę mieć tego drugiego, popracuję nad pierwszym, zdecydowała.

Czekała z pozorną cierpliwością na odpowiednią falę. Wstrzymując oddech, przykucnęła na desce, potem wstała i z wiara, będąca darem młodości, czekała, aż fala ją porwie. Utrzymała się niemal przez dziesięć sekund, zanim chlupnęła w wodę. Kiedy wypłynęła, zobaczyła, że chłopak w zielonych kąpielówkach zerka ku niej, odrzucając niedbale mokre, ciemne włosy. Duma kazała jej wdrapać się z powrotem na deskę.

Spróbowała jeszcze raz i jeszcze raz. Po paru sekundach fala wyrwała jej deskę spod nóg, a Emmę wysłała w krótki lot nad wodą. Za każdym razem wdrapywała się z powrotem, przezwyciężając ból mięśni. Wiosłowała i czekała.

Wyobrażała sobie ochroniarzy, sączących coraz cieplejsze napoje i komentujących jej nieudolne wysiłki. Każde niepowodzenie stawało się publicznym upokorzeniem, ale to tylko dopingowało Emmę. Chciała dopłynąć na fali do brzegu, chociaż raz.

Nogi jej drżały, kiedy wciągała się na deskę. Widziała toczącą się ku niej górę wody, lśniący niebieskozielony tunel z roztańczoną grzywą białej piany. Chciała jej. Potrzebowała. Tylko jedna przejażdżka, jeden sukces, całkowicie i bezwzględnie jej własny.

Złapała ją. Z sercem w gardle sunęła wzdłuż grzbietu. Widziała brzeg rwący jej naprzeciw, błysk lornetek. Ryk wody brzmiał jak muzyka w jej uszach, w sercu. Przez chwilę czuła smak wolności.

Góra wody zamknęła się za Emmą, zmiatając dziewczynę z deski i wyrzucając w górę. W jednej chwili leciała w słońcu, w następnej była już

w morzu. Ściana wody uderzyła w nią, pozbawiając oddechu, miotając bezwładnym ciałem jak piłką.

Z ogniem w płucach próbowała przebić się na powierzchnię. Widziała, jak iskrzy się nad jej głową, ale woda wciągała ją coraz głębiej, ciskając ją bezlitośnie. Próbowwała walczyć, ale potem dała się porwać, wirując bezradnie, dopóki powierzchnia oceanu nie znalazła się już poza zasięgiem rąk.

Tracąc siły, pomyślała oszołomiona, że warto by się pomodlić. Słowa aktu skruchy przesuwały się jej sennie przez głowę.

O mój Boże, żałuję szczerze, że Cię obraziłam.

Woda wciągnęła Emmę głębiej, słowa modlitwy odpłynęły i zastąpiła je muzyka.

*Come together, right now. Over me.*

Nagle ogarnęła ją panika. Było ciemno. Ciemno i potwory wróciły. Próby wydostania się na powierzchnię były już tylko dzikim miotaniem się. Otworzyła usta do krzyku i się zakrzusiła.

Dotykały ją czyjeś ręce. Ogarnięta grozą, biła w nie, podobnie jak woda biła w nią. To był potwór, ten, który uśmiechał się do niej, ten, który zabił Darrena. Teraz ją chce zabić. Czyjeś ramię zamknęło się wokół jej szyi i przed oczami Emmy zatańczyły czerwone plamy. Zrobiły się zielone, kiedy przebiła powierzchnię wody.

- Uspokój się. - Usłyszała czyjś głos. - Wydostanę cię. Tylko się rozluźnij.

Krzusiła się. Zaczęła ciągnąć ramię oplatające szyję, zanim zrozumiała, że nie odcina jej dostępu powietrza. Widziała słońce, a kiedy wzięła bolesny oddech, płuca paliło jej powietrze, nie woda. Żyła. Z oczu popłynęły Emmie łzy wstydu i wdzięczności.

- Nic ci nie będzie.

Położyła dłoń na otaczającym ją ramieniu.

- Zamroczyło mnie - wykrztusiła.

Usłyszała chichot, krótki i lekko zadyszany.

- Rany, ale miałas przejażdżkę.

Tak, uświadomiła sobie, i skupiła się nad tym, żeby nie zwymiotować i nie skompromitować się do reszty. Potem był piasek, gorący i szorstki. Pozwoliła swojemu wybawcy ułożyć się na plaży, ale pierwszymi twarzami, jakie ujrziała nad sobą, były twarze ochraniarzy. Zbyt słaba, by mówić, posłała im tylko wściekłe spojrzenie. Nie zniknęli z pola widzenia, ale też i nie podeszli bliżej.

- Poleż spokojnie przez parę minut.

Emma odwróciła głowę i wykaszła trochę morskiej wody. Słyszała muzykę - The Eagles, myślała niemrawo. *Hotel California*. Słyszała muzykę przedtem, w ciemnościach, ale teraz nie mogła przypomnieć sobie słów



ani melodii. Odkasznęła jeszcze raz, zmrużyła oczy przed słońcem i spojrzała na swojego wybawcę.

Chłopiec w zielonych kąpielówkach, pomyślała, i uśmiechnęła się słabo. Woda kapała z jego ciemnych włosów. Oczy miał też ciemne, w kolorze ciemnozielonym, jak wody jeziora.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. - Usiadł koło niej, czując się trochę niepewnie w roli anioła stróża. Chłopaki będą się z niego nabijali przez całe tygodnie. Ale nie mógł odejść i tak jej po prostu zostawić. W końcu to tylko dzieciak. Śliczny dzieciak - stwierdził i poczuł się jeszcze bardziej niepewnie. Klepnął ją w ramię po bratersku, myśląc, że takich ogromnych, niebieskich oczu w życiu nie widział.

- Chyba straciłam deskę.

Oślaniając dłonią oczy, patrzył w morze.

- Nie, Fred ją holuje. Fajna deska.

- Tak. Mam ją dopiero kilka tygodni.

- Aha, widziałem cię tu parę razy - powiedział i zerknął na nią z góry. Leżała wsparta na łokciach, a mokre loki spadały jej na plecy. Ma ładny głos, pomyślał, jakiś taki kojący i śpiewny. - Jesteś Angielką?

- Irlandką. W dużej części. Będziemy tu jeszcze tylko parę dni. - Emma westchnęła, kiedy chłopak imieniem Fred przyciągnął deskę. - Dzięki. - Nie wiedząc, co powiedzieć, zajęła się strzepywaniem piasku z kolan.

Chłopiec w zielonych kąpielówkach odprawił Freda i gromadkę gapiów przyjacielskim machnięciem dłoni. Mówił wyraźnie, że mają zająć się własnymi sprawami.

- Kiedy mój ojciec się dowie, nigdy już nie pozwoli mi na surfing.

- A musi się dowiedzieć?

- Zawsze się dowiaduje. - Wyteńczyła całą siłę woli, by nie spojrzeć na ochroniarzy.

- Każdego zmiata od czasu do czasu. - Piękne oczy, pomyślał znowu i celowo odwrócił głowę, patrząc w morze. - Nieźle ci szło.

- Naprawdę? - Zacerwieniła się lekko. - Ty jesteś wspaniały. Obserwowałam cię.

- Dzięki. - Uśmiechnął się szeroko, ukazując złamany ząb.

Emma wpatrywała się w niego, zaskoczona nagłym przypływem wspomnień.

- Masz na imię Michael.

- Tak. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Skąd wiesz?

- Nie pamiętasz mnie. - Emma usiadła. - Spotkaliśmy się. Dawno temu. Jestem Emma. Emma McAvoy. Ojciec przyprowadził cię na próbę któregoś popołudnia.

- McAvoy? - Michael przesunął dłonią po mokrych włosach. - Brian McAvoy? - Zamiast odpowiedzieć, Emma rozejrzała się szybko. - Pamiętam cię. Przysłałaś mi zdjęcie. Jeszcze je mam. - Zwężonymi oczami patrzył na coś za jej plecami. - A więc dlatego oni się tu kręcą. Myślałem, że to ćpuny albo co.

- Ochroniarze - powiedziała bezbarwnym głosem, potem wzruszyła ramionami. - Mój tata martwi się o mnie.

- Nie dziwota. - Pamiętał bardzo wyraźnie policyjne zdjęcie chłopca. Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

- Pamiętam twojego ojca. - Emma rysowała teraz kółka na piasku. - Przyszedł do szpitala po tym, jak straciliśmy Darrena.

- Jest teraz kapitanem - powiedział Michael.

- To świetnie. - Nauczono ją, żeby była uprzejma, niezależnie od okoliczności. - Przekaż mu moje pozdrowienia, dobrze?

- Jasne. - Wyczerpali temat rozmowy i ciszę wypełnił szum fal. - A! Chcesz może coli albo coś?

Podniosła na niego wzrok, oszołomiona zaproszeniem. Po raz pierwszy w życiu rozmawiała z chłopcem dłużej niż pięć minut. Mężczyźni to co innego. Jej życie pełne było mężczyzn. Ale zaproszenie na colę przez chłopca starszego od niej zaledwie o pięć lat przyprowadziło ją o zawrót głowy. Już miała wyrazić zgodę, kiedy przypomniała sobie ochroniarzy. Nie zniosłaby ich obecności.

- Dzięki, ale muszę już iść. Tata przyjedzie po mnie dopiero za parę godzin, ale mam chyba dość surfingu na dzisiaj. Zadzwoń, żeby mnie zabrał.

- Ja cię odwiozę - zaproponował i wzruszył niedbale ramionami. Co za idiotyzm, czuć onieśmienie wobec dziecka. Nie pamiętał, żeby był tak zdenerwowany od czasu, gdy zaprosił Nancy Brimmer na bal dziewięcioklasistów z okazji walentynek. - Zawiozę cię do domu - ciągnął, a Emma gapiła się na niego. - Jeżeli chcesz.

- Masz pewnie co innego do roboty.

- Nie, naprawdę.

Chce się ponownie spotkać z moim tatą, pomyślała Emma po chwili ekstatycznego uniesienia. Taki chłopak jak on - rany, ma co najmniej osiemnaście lat! — nie może interesować się taką dziewczyną jak Emma. Chyba że ta dziewczyna jest córką McAvoya. Zdobyła się na uśmiech i wstała. Uratowała jej życie.

Jeżeli umożliwienie mu spotkania z ojcem było jedyną formą rewanżu, jakiej oczekiwał, otrzymają.

- Dobrze, jeżeli nie sprawi ci to kłopotu.

- Drobnostka. - W myślach kopnął się w kostkę. Prawdopodobnie myślała, że jest świrem.

- Jedną chwileczkę. - Emma pobiegła w stronę ochroniarzy, łapiąc po drodze płaszcz kąpielowy i torbę. - Mój przyjaciel odwiezie mnie do domu - oświadczyła tonem odprawy.

- Panno McAvoy! - zaprotestował ochroniarz o nazwisku Masters. - Byłoby lepiej zadzwonić do ojca.

- Nie ma potrzeby go niepokoić.

Drugi ochroniarz, Sweeney, otarł pot z czoła.

- Ojciec nie byłby zadowolony, że jedzie panienska z kimś obcym.

- Michael nie jest obcy. - Czuła się podle, słysząc swój wyniosły ton, ale nie pozwoli, nie może pozwolić, by upokarzano ją w obecności Michaela. - Znam go i mój ojciec również. Ojciec Michaela jest kapitanem policji w tym mieście. - Wciągnęła na kostium długi, bajecznie kolorowy T-shirt. - Pojedziecie za nami, więc o co chodzi? - Emma odwróciła się i z wysoko podniesioną głową wróciła do Michaela, który czekał z deskami.

- Poczekaj! - Sweeney położył rękę na ramieniu Mastersa. - Dajmy dzieciakowi chwilę oddechu. Niewiele ich ma.

Strażka wskaźnika paliwa drżała niebezpiecznie w okolicach zera, kiedy Michael zahamował przed żelazną bramą w Beverly Hills. Ujrzał lekkie zdziwienie na twarzy strażnika, potem brama otworzyła się do wewnątrz. Jadąc wysadzaną drzewami aleją, pożałował, że oprócz spodenek kąpielowych ma na sobie jedynie sparciałe sandały i stary rozciągnięty sweter.

Dom był ogromny, cztery piętra różowego kamienia i białego marmuru rozłożone na przystrzyżonym trawniku. Do wnętrza prowadziły szklane drzwi ujęte w podwójne łuki. Michael nie wiedział, czy widok pawia spacerującego po trawie powinien go zachwycić, czy ubawić.

- Miło tu.

- To dom P.M. A właściwie jego żony. - Emma uświadomiła sobie, że jest zażenowana obecnością dwóch naturalnej wielkości marmurowych lwów, które strzegły wejścia. - Należał kiedyś do kogoś z filmu, nigdy nie mogę zapamiętać do kogo, ale Angie kompletnie go przerobiła. Kręci teraz film w Europie, więc wprowadziliśmy się na parę tygodni, Masz czas, żeby wstąpić?

- Tak, mam czas. - Michael rzucił ukradkowe spojrzenie na swoje oblepione piaskiem nogi. - Jesteś pewna, że to będzie w porządku?

- Oczywiście. - Wysiadła z samochodu, tego samego chevelle 68, którym Lou zajechał swego czasu pod studio nagraniowe. Poczekwała, aż Michael zdejmie z dachu jej deskę, potem ruszyła w stronę drzwi. - Muszę powiedzieć tacie, co się stało. Ochroniarze i tak to zrobią. Nie masz chyba nic przeciwko temu, że zbagatelizują sprawę? Rozumiesz?

- Jasne. - Michael uśmiechnął się do niej szeroko, wprawiając jej młode serce w nerwowe trzepotanie. - Rodzice zawsze przesadzają. Przypuszczam, że to silniejsze od nich.

Usłyszał muzykę w chwili, gdy otworzyła drzwi. Fortepian, seria burzliwych akordów, potem parę eksperymentalnych brzdąknięć i powrót do akordów. Emma odebrała mu deskę i oparła ją o ścianę.

- Są tam. - Po chwili wahania ujęła go za rękę i poprowadziła przez ogromny biały hol.

Nigdy nie widział podobnego domu, ale był zbyt zażenowany, by się do tego przyznać. Łukowate przejścia otwierały się na kolejne pokoje, gdzie abstrakcyjne malowidła tworzyły dzikie plamy na białych ścianach. Nawet podłogi były białe i Michael nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest w świątyni.

Wtem ujrzał boginię, a raczej portret bogini, wiszący nad kominkiem z białego marmuru. Miała blond włosy, odęte wargi i białą wysadzaną cekinami suknię, zawieszoną niebezpiecznie nisko na kulistych, obfitych pierśiach.

- Jak rany!

- To Angie - poinformowała go Emma. Bezwiednie zmarszczyła nos. - Żona RM.

- Aha. — Miał niesamowite wrażenie, że oczy kobiety z portretu żyją i patrzają wprost na niego z wyrazem głodu. - Ja, eee, widziałem jej ostatni film. - Nie wspomniał, że miał potem fascynujące, niepokojąco erotyczne sny. - Rany kota, ona ma w sobie coś.

- Tak, ma. - Nawet niedoszła trzynastolatka wiedziała, co to konkretnie jest. Szarpnęła Michaela niecierpliwie za rękę i ruszyła dalej.

Był to jedyny pokój, w którym Emma czuła się swojsko. Podejrzewała, że jest to również jedyne miejsce w domu mauzoleum, gdzie P.M. miał szansę wyrazić własną osobowość. Panował tu niepodzielnie kolor, mieszanina czerwieni, błękitu i słonecznych żółci. Na kominku stały muzyczne trofea, złote płyty zdobiły ściany. Przy oknie rozpierały się donice z żywymi kwiatami. Dwa drzewka cytrynowe, które P.M. wyhodował z nasion.

Ojciec siedział przy pięknym starym fortepianie, który pokazywano w jakimś filmie. Nie pamiętała jakim. Johnno siedział obok, pałac swoje ulubione francuskie papierosy. Podłoga usiana była zmiętymi kulkami papieru, w ogromnym dzbanku na stoliku do kawy syczała lemoniada. Szklanki, z wolno roztapiającymi się kostkami lodu, pozostawiły już wilgotne krążki na drewnie.

- Przeciagniemy to przez most - mówił Brian, wybijając akord. - Niech to będzie szybkie. Połącz instrumenty strunowe z rogami, ale trzymaj gitarę na pierwszym planie.

- Dobra, ale rytm jest ciągle nie ten. - Johnno odsunął ręce Briana. Na małych palcach błysnęły diamenty, kiedy przebiegł dłońmi po klawiaturze.

Brian wyjął papierosa i miętosił go w palcach.

- Nienawidzę cię, kiedy masz rację.

- Tato!

Podniósł wzrok. Uśmiech pojawił się bezwiednie i zgasł, gdy Brian ujrzał Michaela.

- Emmo, powinnaś zadzwonić, jeżeli chciałaś wrócić wcześniej.

- Wiem, ale spotkałam Michaela. - Uśmiechnęła się uroczo, ukazując dołeczek w policzku. - Zmiotło mnie i on pomógł mi odzyskać deskę. - Uznała ten temat za wyczerpany i ciągnęła dalej: - Myślałam, że będziesz chciał znów zobaczyć Michaela.

Było coś ogromnie niepokojącego w widoku jego dziewczynki, jego małej dziewczynki, za rękę z chłopcem, prawie mężczyzną.

- Znów? - spytał Brian.

- Nie pamiętasz? Ojciec przyprowadził go na próbę. Jego ojciec, policjant.

- Kesselring. - Brian poczuł skurcz żołądka. - Ty jesteś Michael Kesselring?

- Tak, proszę pana. - Michael nie był pewny, czy powinien pierwszy wyciągnąć rękę do tego muzycznego idola, więc stał, ocierając dłonie o zapiaszczone kąpielówki. - Miałem chyba jedenaście lat, kiedy pana poznałem. To było wspaniałe.

Brian zbyt często stał na scenie, w świetle reflektorów, by miał pokazać po sobie ból. Patrzył na Michaela, wysokiego, opalonego, mocnego mężczyznę i widział nie syna Lou Kesselringa, ale kogoś, kim mogłoby być utracone dziecko. Wstał jednak z uśmiechem.

- Jak to miło znów cię widzieć. Pamiętasz Michaela, Johnno?

- Jasne. I jak, udało ci się namówić starego na tę gitarę elektryczną?

- Aha! - Michael pokazał zęby w uśmiechu, mile połączony tym, że Johnno go pamięta. - Brałem lekcje przez jakiś czas, ale jestem beznadziejnym przypadkiem, Gram trochę na harmonijce.

- Poczęstuj Michaela colą, Emmo. - Brian przysiadł na poręczy fotela, wskazując Michaelowi kanapę. Jego obrączka podchwyciła promień światła. - Siadaj.

- Nie chciałbym przeszkadzać w pracy.

- Żyjemy po to, by nam przeszkadzano — stwierdził Johnno, łagodząc sarkazm uśmiechem. - Co myślisz o tej piosence?

- Wspaniała. Wszystko, co robicie, jest wspaniałe.

Brew Johnno powędrowała w górę, tym razem raczej z rozbawienia niż z sarkazmu.

- Mądry chłopak, Bri. Może go zatrzymamy?

Michael uśmiechnął się szeroko, kryjąc lekkie zażenowanie.

- Nie, naprawdę. Lubię wszystkie wasze kawałki.

- A muzykę disco?

- Szmelc.

- Bardzo mądry chłopak - zdecydował Johnno. - Więc spotkaliście się z Emmą na plaży? - ciągnął, wiedząc, że Brian potrzebuje czasu, by dojść do siebie.

- Miała drobne kłopoty z falą. Pomogłem jej się wydostać. - Prześlizgnął się po temacie z wprawą nastolatka przywykłego do utrzymywania dorosłych w błogiej nieświadomości. - Jest w dobrej formie, panie McAvoy. Musi tylko trochę poćwiczyć.

Brian wykrzeszał z siebie jeszcze jeden uśmiech.

- A ty dużo pływasz? - Bawił się ciepłą lemoniadą.

- Ile się da.

- Jak miewa się ojciec?

- Nieźle. Jest teraz kapitanem.

- Słyszałem. Chyba skończyłeś już szkołę średnią?

- Tak, proszę pana. W czerwcu.

- Będiesz uczył się dalej?

- No cóż. Raczej tak. Myślałem o uniwerku. Tata liczy na to.

Johnno wyciągnął paczkę gauloise'ow i poczęstował Michaela.

Chłopiec wziął papierosa i pierwszy łyk mocnego, egzotycznego dymu wyrzucił mu żołądek na drugą stronę.

- A więc - ciągnął Johnno, lekko ubawiony - chcesz iść w ślady ojca?

- Och, nie! - Michael zaciągnął się po raz drugi. -- Nie sądzę, żebym urodził się na glinę. Tato, on jest do tego stworzony. Cierpliwość, wie pan. Tak jak w sprawie pańskiego syna. Pracował nad nią przez lata, nawet wtedy, gdy odłożono sprawę do akt. - Ugryzł się w język, wściekły, że wywłókł tę historię. — On jest z gatunku tych, którzy poświęcają się pracy.

- Tak, wiem o tym. - Brian uśmiechnął się uroczym, rozgrzewającym serce uśmiechem, który zyskiwał mu miłość fanów. Szkoda, że nie dodałem rumu do lemoniady, pomyślał. - Przekażesz mu moje pozdrowienia, prawda?

- Jasne. - Michael z ulgą przyjął powrót Emmy, która wniosła tacę z zimnymi napojami.

Godzinę później odprowadziła go do samochodu.

- Chcę ci podziękować za to, że nie powiedziałaś ojcu, jak głupio się dzisiaj zachowałam.

- Nie ma sprawy.

- Owszem, jest. On się... denerwuje.- Obrzuciła wzrokiem wysoki mur otaczający posiadłość. Gdziekolwiek się znalazła, tam zawsze były mury. - Myślę, że gdyby mógł, wsadziłby mnie pod kloz.

Pragnienie dotknięcia jej włosów było tak silne, tak niespodziewane, że zanim zdołał się opamiętać, trzymał już dłoń w górze. Przesunął nią po własnej głowie.

- Musi mu być ciężko, po tym, co stało się z twoim bratem i w ogóle.  
- Cały czas boi się, że mnie też coś się stanie.  
- A ty nie?  
- Nie. Wydaje mi się, że nie. Ochroniarze są zawsze ze mną, więc nigdy nie miałam okazji się bać.

Zawahał się, z jedną ręką na klamce. Przecież mnie nie wzięło, zapewnił sam siebie. Jest jeszcze dzieckiem.

- Może spotkamy się jutro na plaży?

Jej kobiece serce zatrzepotało niespokojnie.

- Może.

- Mógłbym dać ci parę wskazówek, jak prowadzić deskę, no wiesz, udoskonalić technikę.

- Byłoby cudownie.

Wsiadł do samochodu. Manipulował przez chwilę przy stacyjce, zanim samochód zapalił.

- Dzięki za coś i w ogóle. Fajnie było spotkać znowu twojego ojca.

- Do widzenia.

- Aha. Na razie.

Ruszył zadrzewioną alejką. Omal nie wjechał na trawnik, ponieważ przez cały czas patrzył na Emmę we wstecznym lusterku.

Przychodził na plażę codziennie, ale tego lata już jej nie zobaczył.

## Rozdział 15

Miały tylko godzinę przed ciszą nocną. Potem siostra Immaculata przeczłapie korytarzem w swoich czarnych, praktycznych pantoflach, wetknie pełen dezaprobaty, pokryty brodawkami nos w każde drzwi i sprawdzi, czy muzyka jest wyłączona, a ubrania wiszą porządnie w szafach.

Miały tylko godzinę i Emma zaczęła się obawiać, że to nie wystarczy.

- Może już się zniczuliły?

- Nie sądzę.

Marianna patrzyła na Emmę zwężonymi oczami, wystukując nogą rytm najnowszego przeboju Billy'ego Joela.

- Emma, trzymasz ten lód od dwudziestu minut. Do tego czasu powinnaś zamarznąć.

Lodowata woda spływała Emmie po rękach, ale trzymała lód twardo przy uszach.

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

- Oczywiście. - Kręcąc biodrami pod bawełnianą koszulą nocną, Marianna podeszła do lustra. Przez chwilę podziwiała małe złote kule w świeżo przekłutych uszach. — Patrzyłam, jak kuzynka przekłuwała moje uszy. Mam fszystkie poczebne naszendzia- powiedziała z przesadnym niemieckim akcentem. - Lód i igle. - Rozradowana uniosła igłę. Błysnęła w świetle lampy. - A także ziemniak, który zwinęłyśmy z kuchni. Dwa szybkie ukłucia i twoje nieciekawe, smutne uszy staną się uszami wyrafinowanymi.

Emma nie odrywała wzroku od igły. Szukała drogi odwrotu, która pozwoliłaby jej ocalić uszy i dumę.

- Nie zapytałam taty, czy mogę to zrobić.

- Chryste, Emma! Przekłucie uszu jest kwestią osobistego wyboru. Masz okres, masz cycki, czy coś w tym rodzaju... - Marianna uśmiechnęła się szeroko. - To czyni cię kobietą.

Emma nie była pewna, czy wepchnięcie jej igły w ucho przez najlepszą przyjaciółkę nie jest zbyt wygórowaną ceną za kobiecość.

- Nie mam koleczyków.

- Już ci mówiłam, mogę ci pożyczyć moje. Mam ich mnóstwo. No dalej, okaż angielski hart ducha.

- Tak jest. - Wziąwszy głęboki oddech, Emma odsłoniła jedno ucho. - Nie spieprz sprawy.

- Ja? - Marianna przyklękła przy krześle, by czerwonym flamastrem narysować na małżowinie krzyżyk. - Słuchaj, na wypadek gdybym nie trafiła i wkłuła ci się w mózg, mogę zatrzymać twoje płyty? - zachichotała, podłożyła ziemniak pod ucho Emmy i dziabnęła igłą.

Trudno stwierdzić, którą zemdlilo bardziej.

- Boże! - Marianna wepchnęła sobie głowę między kolana. - Przy najmniej moi rodzice nie muszą się martwić, że zostanę narkomanką. Wsadzanie igły w żyłę musi być obrzydliwe.

Emma osunęła się bezwładnie na krzesło.

- Nie powiedziałaś mi, że będę to czuła. - Siedziała bez ruchu, skoncentrowana wyłącznie na oddychaniu, a żołądek podjeżdżał jej do gardła. - Niech to! Nie powiedziałaś, że będę to słyszała!

- Ja nie słyszałam. Choć przypuszczam, że po butelce bourbona, którą zwinęłyśmy z Marcia tatusiowi, mogłyśmy faktycznie nic nie słyszeć i nic nie czuć. - Marianna uniosła głowę, wpatrując się w przyjaciółkę. Na uchu Emmy czerwieniła się kropla krwi, tylko jedna kropla, ale nasunęła Mariannie myśl o horrorze, który oglądały z kuzynką tego lata. - Musimy zrobić drugie.

Emma zamknęła oczy.



- O Boże!

- Nie możesz chodzić z jednym uchem przekłutym. Za daleko zaszyliśmy, Emmo. - Ręce miała zimne i wilgotne, kiedy nawlekała nitkę, przygotowując igłę do drugiego ciosu. - Ja odwalam całą robotę, a ty masz tylko leżeć.

Zacisnąwszy zęby, Marianna wycelowała i uderzyła. Emma jęknęła i osunęła się na podłogę.

- Po wszystkim. Teraz musisz przemyć uszy wodą utlenioną, żebyś nie dostała zakażenia. I zasłaniaj je włosami, żeby siostry nie zauważyły.

Na odgłos otwieranych drzwi dziewczęta poderwały się z podłogi. Ale nie była to siostra Immaculata. Ich sąsiadka, Teresa Luiza Alcott, osoba inteligentna, ale irytująca, wpadła do pokoju w różowym bawełnianym szlafrocisku i obszytych puszkami rannych pantoflach.

- Co się dzieje?

- Urządzamy оргię. - Marianna osunęła się z powrotem na podłogę. - Nigdy nie pukasz?

Teresa tylko się roześmiała. Należała do tych gorliwych dziewczyn, które zgłaszają się na ochotnika do wszystkiego, zawsze odrabiają lekcje i szlochają na stacji Drogi Krzyżowej. Marianna nie cierpiała jej z zasady. Teresa zaś, która była nie tylko bezczelna, ale również gruboskórna, brała zniewagę za dowód przyjaźni.

- Rany! Przekłutyście sobie uszy. - Przyklękła, by obejrzeć nitki wiszące z małżowin Emmy. - Matka przełożona się okoci.

- Dlaczego ty się nie okocisz, Tereso? - zaproponowała Marianna. - U siebie w pokoju?

Teresa wyszczerzyła zęby w uśmiechu i przysiadła na piętach.

- Bolało?

Emma otworzyła oczy i w myślach skazała Teresę na wieczne męki piekielne.

- Nie. Było wspaniale. Marianna zrobi mi teraz nos. Możesz popatrzeć.

Teresa zignorowała sarkazm w głosie Emmy i przyjrzała się swoim świeżo wymanikiurowanym paznokciom.

- Ja też bym chciała. Może Marianna mogłaby to zrobić po obchodzie siostry Immaculaty?

- No, nie wiem. - Marianna dźwignęła się z podłogi, żeby nastawić płytę Bruce'a Springsteena. - Nie skończyłam jeszcze referatu o Silasie Marinerze. Muszę to zrobić dziś wieczorem.

- Ja już skończyłam. - Teresa uśmiechnęła się bezczelnie. - Jeżeli zrobisz mi uszy, dam ci notatki.

Marianna poruszyła ramionami, jakby rozważała propozycję.

- No, dobrze. Ostatecznie.

- Wspaniale. Rany, prawie zapomniałam, po co przysłałam. - Sięgnęła do przepastnej kieszeni różowego szlafrocza i wyciągnęła wycinek z gazety. - Siostra mi to przysłała, bo wie, że chodzę z tobą do szkoły, Emmo. Wycięła to z takiego czasopisma: „People”. Widziałaś je kiedyś? Jest wspaniałe. Są w nim zdjęcia wszystkich. Dają na przykład Roberta Redforda na okładkę albo Burta Reynoldsa. Sami wielcy.

- Widziałam - powiedziała Emma, ponieważ tylko tak mogła uciszyć Teresę.

- Jasne. Twój tata był tam mnóstwo razy. Dlatego wiedziałam, że będziesz chciała to zobaczyć.

Żołądek przestał Emmie dokuczać, więc podniosła się z podłogi, żeby przeczytać artykuł. Fala młodości uderzyła w nią ze zdwojoną siłą.

### ODWIECZNY TRÓJKĄT

Na zdjęciu Bev tarzała się po podłodze z inną kobietą. Ojciec, z twarzą, na której zastygł wyraz otępienia i grozy, wyciągał po nią ręce. Suknia Bev była podarta, a w jej oczach malowała się furia. Jak wtedy, gdy Emma widziała ją po raz ostatni.

- Wiedziałam, że będziesz chciała to mieć - mówiła Teresa radośnie. - Więc ci przyniosłam. To twoja matka, tak?

- Moja matka - szepnęła Emma, wpatrując się w twarz Bev.

- Blondynka w lśniącej sukni. Rany, dałabym wszystko za taką kieckę. Jane Palmer. To twoja matka, tak?

- Jane? - Emma przeniosła wzrok na drugą kobietę. Dawny lęk wrócił, równie rzeczywisty, równie gwałtowny jak dziesięć lat temu. Tak samo paraliżujący jak wtedy, gdy jedna z dziewcząt pokazała jej przeszmurowany egzemplarz książki *Zdruzgotana* ze zdjęciem Jane na okładce.

Tak, to Jane. Bev walczyła z nią. Ojciec też tam był. O co one się biły? W jej przytępionym strachem umyśle błysnęła nadzieja. Może tata i Bev znów są razem. Może wszyscy znów będą razem.

Emma pokręciła głową, żeby odzyskać jasność myślenia, i skupiła się na tekście.

„Członkowie brytyjskich klas wyższych, którzy zapłacili dwieście funtów za szansę spożycia pasty z łososia i wypicia szampana na obiedzie charytatywnym w Mayfair w Londynie, otrzymali więcej, niż wliczono w cenę biletu. Beverly Wilson, znana dekoratorka wnętrz i żona Briana McAvoya z *Devastation*, stoczyła bitwę z Jane Palmer, była kochanką McAvoya, autorką najlepiej sprzedającej się powieści z kluczem *Zdruzgotana*.

Co skłoniło panie do wczepienia się sobie nawzajem we włosy? Tego, niestety, nie wiemy. Niektóre źródła twierdzą jednak, że rywalizacja między

nimi nigdy nie wygasła. Jane Palmer jest matką córki McAvoya, Emmy, lat trzynaście. Emma McAvoy, która odziedziczyła po ojcu uduchowiony wygląd, przebywa w prywatnej szkole, gdzieś na terenie Stanów.

Beverly Wilson, pozostająca z mężem w separacji, była matką jedyne go syna McAvoya, Darrena. Dziecko zostało zamordowane siedem lat temu. Nierozwiązana zagadka jego tragicznej śmierci nadal dręczy policję.

Towarzyszką McAvoya na przyjęciu nie była ani Jane Palmer, ani Beverly Wilson, lecz jego aktualna kochanka, Dory Cates. Choć McAvoy osobiście rozdzielił zapaśniczki, niewiele słów padło między nim a panią Wilson, która niezwłocznie opuściła salę w towarzystwie P.M. Fergusona, perkusisty grupy rockowej. Również McAvoy odmówił komentarza. Jane Palmer natomiast stwierdziła, że opíše incydent w swojej nowej książce.

Jak śpiewa McAvoy w jednej ze swoich piosenek: »Stary ogień grzeje mocno i pali się długo«.

Dalej mówiono o ludziach, którzy uczestniczyli w przyjęciu, przytaczano ich wypowiedzi na temat awantury. Padały dowcipne uwagi o tym, co miały na sobie i co zdarły z siebie Bev i Jane. Emma nie czytała dalej. Nie musiała.

- Czy to nie cudowne, że publicznie darły na sobie sukienki? - Oczy Teresy płonęły z podniecenia. - Jak myślisz, biły się o twojego ojca? On jest niezemski. Założę się, że biły się o niego. Zupełnie jak w filmie.

- Aha. - Ponieważ za uduszenie Teresy zostałyby usunięta ze szkoły, Marianna odrzuciła to rozwiązanie. Są inne, subtelniejsze sposoby eliminowania debili. Wzięta igłę. Przekłuje Teresie te przyklapnięte uszy, a jakże! A jeżeli zapomni przy tym o lodzie, no cóż, człowiek jest istotą omylną.

- Lepiej już idź, Tereso. Siostra Immaculata będzie tu lada chwila.

Teresa zerwała się z piskiem. Nie mogła splamić swojej nieskalanej reputacji żadnym przewinieniem.

- Przyjdź o dziesiątej, to dam ci notatki. Potem możesz przekłuć mi uszy.

- Świetnie.

Teresa podniosła dłonie do uszu.

- Nie mogę się doczekać.

- Ja również. Padalec - wymamrotała, kiedy za Teresą zamknęły się drzwi. Potem przysunęła się do Emmy, żeby ją objąć. - Wszystko w porządku?

- To ciągle wraca. - Emma wpatrywała się w zdjęcie. Niezła fotka, myślała beznamiętnie, doświetlona, ostra. Twarze nie są zamazane, fotograf dobrze uchwycił ich wyraz. Bez trudu dostrzegła nienawiść w oczach matki. - Myślisz, że mogę być taka jak ona?

- Jak kto?
- Moja matka.
- Daj spokój, Emmo! Nie widziałas jej od czasu, gdy byłaś dzieckiem.
- Są jeszcze geny, dziedziczność i tak dalej.
- To wszystko głupoty.
- Czasami jestem zła. Czasami chcę być zła, tak jak ona.
- No i co z tego? - Marianna wstała, by wyłączyć Springsteena. Siostra Immaculata mogła go skonfiskować lada chwila. - Każdy jest czasem zły. To dlatego, że nasze ciało jest mdłe, a dusza skłonna do grzechu.
- Nienawidzę jej. - Wypowiedzenie tego na głos sprawiło Emmie ulgę, straszną ulgę. - Nienawidzę jej. I nienawidzę Bev za to, że mnie nie chciała, i taty za to, że mnie tu wsadził. Nienawidzę ludzi, którzy zabili Darrena. Nienawidzę ich wszystkich. Ona też wszystkich nienawidzi. Widać to po jej oczach.
- To nic strasznego. Czasami ja też wszystkich nienawidzę, a nawet nie znam twojej matki.
- To rozśmieszyło Emmę. Nie wiedziała dlaczego, ale to ją rozśmieszyło.
- Ja chyba też nie. - Pociągnęła nosem. - Prawie jej nie pamiętam.
- No, widzisz. - Marianna, usatysfakcjonowana, klapnęła z powrotem na podłogę. - Nie pamiętasz jej, więc nie możesz być taka jak ona.
- Brzmiało to logicznie i Emma chciała uwierzyć.
- Nie jestem do niej podobna.
- Chcąc być obiektywna, Marianna wzięła wycinek i przyjrzała się zdjęciu.
- Ani trochę. Masz budowę i koloryt ojca. Uwierz artyście.
- Emma podniosła dłonie do obolałych uszu.
- Naprawdę przekłujesz Teresie uszy?
- Założymy się? Zrobię to najbardziej tępa igłą, jaką uda mi się znaleźć.
- Emma pokazała zęby w uśmiechu,

## Rozdział 16

Stevie nigdy jeszcze się tak nie bał. Otaczały go kraty, a z kurka, gdzieś w końcu korytarza, miarowo kapała woda. Czasami głosy odbijały się echem o ściany korytarza, czasami słychać było szuranie nóg. Potem zapadała przekłęta cisza.

Potrzebował skręta. Pocił się i drzał na całym ciele. Żołądek, skulony gdzieś głęboko, nie chciał podjechać do gardła, by mógł ulżyć sobie w stojącym w rogu porcelanowym kiblu. Ciekło mu z nosa i oczu. Mam grype, pomyślał. Miał parszywą grype, a oni go przymknęli. Potrzebował choleme-

go doktora, a oni zamknęli go tu, żeby zgnął. Siedząc na prycy, podciągnął kolana pod brodę i przycisnął plecy do ściany.

Był Steviem Nimmonsem. Był największym gitarzystą swoich czasów. Był kimś. A oni zamknęli go w klatce jak zwierzę. Zamknęli go i odeszli. Nie wiedzieli, kim jest?! Czym jest?!

Potrzebował skręta. O Jezu, tylko jednego, słodkiego macha i będzie mógł się z tego śmiać!

Było zimno, tak cholernie zimno. Wpełznął pod koc okrywający prycę. Chciało mu się pić. W ustach mu zaschło, nie miał nawet dość śliny, by przełknąć.

Ktoś przyjdzie, myślał. Łzy wypełniły mu oczy. Ktoś przyjdzie i wszystko naprawi. Ktoś to załatwi. O Boże, musiał się sztachnąć.

Mama przyjdzie i powie, że już wszystko dobrze.

Pojawił się ból. Stevie szlochał z twarzą wtuloną w kolana, a ból przecaczał się przez jego ciało. Oddychając, nabierał w płuca drobne odłamki szkła. W mięśniach czuł ogień, skórę parzył mu lód.

Tylko jeden. Jeden sztach, jedna szpryca, jedna działka i przyjdzie do siebie.

Nie wiedzą, do kurwy nędzy, kim on jest?

- Stevie!

Usłyszał swoje imię. Spojrzał w stronę drzwi celi oczami zamglonymi od łez. Ocierając usta wierzchem dłoni, próbował skupić wzrok. Chciał się roześmiać, ale z gardła wydobył mu się tylko rozdzierający szloch. Pete. Pete to załatwi.

Potknął się o koc i leżał przez chwilę rozciągnięty na podłodze. Pete obserwował go uważnie. Ciało Stewiego przypominało szkielet. Nogi sterczały z tułowia pod dziwnym kątem i tonęły w butach z wężowej skóry za pięćset funtów. Stevie usiadł z trudem i Pete zobaczył jego szarą, ziemistą twarz poraną bruzdami. Z rozciętych ust skapywała krew. I śmierdział.

- Człowieku, jestem chory - zaczął się podciągać na kratkach. - Mam grypę.

Ćpuńską grypę, pomyślał Pete beznamiętnie.

- Musisz mnie stąd wydostać. - Stevie zacisnął drżące palce na prętach. Choć jego oddech cuchnął, Pete się nie cofnął. - To jakieś wariactwo. Przyszli do mojego domu, do mojego cholernego domu jak banda pieprzonych faszystów. Machnęli mi jakimś papierkiem przed nosem i zaczęli wyciągać szuflady. Jezu, Pete! Przywlekli mnie tu jak zwykłego rzezimieszka. Założyli mi kajdanki. - Stevie zaczął znów płakać i otarł nos wierzchem dłoni. - Ludzie patrzyli, jak wyciągają mnie w kajdankach z mojego własnego domu. Robili zdjęcia. To nie jest w porządku, do kurwy nędzy. Pete, to nie w porządku. Musisz mnie stąd wydostać.

Pete przeczekał wybuch w spokoju. Rozwiązał już wiele kryzysów, wiedział, jak obrócić je na swoją korzyść.

- Znaleźli heroinę, Stevie, i to, co określa się delikatnym mianem parafenalii. Oskarżą cię o posiadanie. - Jego głos był cichy i spokojny.

- Po prostu wyciągnij mnie stąd.

- Słuchasz mnie? - Pytanie zabrzmiało jak trzask bicia, sucho i ostro. - Znaleźli dość, by cię skazać.

- To podpucha. Ktoś mnie wystawił. Ktoś...

- Nie chrzań. - Wzrok Pete'a stwardniał. Nawet jeżeli odczuwał obrzydzenie, starał się go nie okazać. - Masz do wyboru. Iść do więzienia albo do kliniki.

- Mam prawo...

- Tutaj nie masz żadnych praw. Wpakowałeś się w tarapaty, Stevie. Jeżeli chcesz, żebym ci pomógł, zrobisz dokładnie to, co powiem.

- Tylko mnie stąd zabierz! - Stevie osunął się na podłogę i otulił ramionami. Tylko mnie stąd zabierz.

- Jak długo będzie musiał tam zostać? - Bev nalała zmrożonego pouilly fume do kieliszków.

- Trzy miesiące. - Johnno obserwował ją, zadowolony, że tak łatwo przyszło mu wyłuskać starą Bev z jej nowej wymuskanej powłoki. - Nie jestem pewny, jak Pete to załatwił, i chyba nie chcę wiedzieć, ale jeżeli Stevie odsiedzi swoje w klinice Whitehurst, nie stanie przed sądem.

- Cieszę się. On potrzebuje pomocy, nie wyroku skazującego. — Bev usadowiła się obok niego na kanapie, głupio zdenerwowana. - W radiu nie mówią o niczym innym. Właśnie zastanawiałam się, co mogłabym zrobić, kiedy zapukałeś do drzwi. Może za parę tygodni pojedę go odwiedzić.

- Nie sądzę, żeby przedstawiał sobą ładny widok.

- Będzie potrzebował przyjaciół - powiedziała i odstawiła nietknięty kieliszek.

- A ty nadal do nich należysz?

Twarz Bev złagodniała, kiedy podniosła dłoń do jego policzka.

- Dobrze wyglądasz, Johnno. Zawsze zastanawiałam się, co chowasz pod tą brodą.

- Lata sześćdziesiąte minęły. Co innego mnie dręczy. W zeszłym tygodniu miałem na sobie krawat.

- Daj spokój!

- No, z białej skóry, ale jednak krawat. - Pocałował ją. Czas, pomyślał, pozostaje tylko czasem. - Tęskniłem za tobą, Bev.

- Te lata minęły tak szybko.

- Jak komu. Słyszałem, że ty i P.M. to jedno.

Uniosła kieliszek do ust.

- Nigdy dotąd nie plotkowałeś - odpowiedziała wymijająco.

- Wiesz, jak uwielbiam ploty, skarbie. Czy powinienem udawać, że nie widziałem twoich zdjęć z P.M.? - Usłyszała znajomą nutę sarkazmu w jego głosie, nikiła, ale ostrzając brzytwą. - Oczywiście, wolę te, na których jesteś z Jane, zaraz po tym, jak rozwaliłaś jej wargę. - Chwyił Bev za rękę i ucałował ją. - Moja bohaterka!

Zaniósł się śmiechem. Bev cofnęła wprawdzie rękę, ale znów była odprężona.

- Nie zamierzałam się z nią bić, ale nie żałuję, że to zrobiłam.

- Oto bojowy duch prawdziwej Amazonki.

- Powiedziała coś o Darrenie - szepnęła Bev.

- Przykro mi. - Uśmiech Johnno zgasł. Dłoń Bev spoczęła ufnie w jego dłoni.

- Zrobiło mi się czerwono przed oczami. To się zdarza, kiedy człowieka ogarnia furia. Pamiętam tylko, że rzuciłam się na nią z pazurami. Za Darrena, za siebie. Za Emmę. Śmiałam bronić Emmy po tym, co jej zrobiłam.

- Bev!

- Nie, nie będziemy tego roztrząsać - przerwała mu. - To już się stało. Jane napisze o mnie paskudne rzeczy w swojej nowej książce, co spowoduje niebyswały rozkwit mojej firmy.

Przestań o tym mówić, mów o czymś innym, pomyślała.

- P.M. wspominał mi, że zmieniacie nazwę zespołu.

- Oficjalnie za parę tygodni. A gdzie właściwie jest twój chłopak?

- Musiał polecieć do Kalifornii na parę dni. W sprawie rozwodu.

Powinien wrócić lada chwila.

- T u t a j ?

Pociągnęła z kieliszka i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, tutaj. Jakiś problem, Johnno?

- Nie wiem. A jest jakiś problem?

W jej oczach pojawił się cień dawnego ognia, wyzwanie i upór.

- Jest dobrym, wrażliwym człowiekiem.

- Wiem. Sam go lubię.

- Wiem, że go lubisz - westchnęła i ogień zgasł. - Nie komplikujmy tego, Johnno. Chcemy po prostu trochę szczęścia, trochę spokoju.

- Bzdury. P.M. kocha cię od lat.

- A nawet jeśli? Nie zasługuję na to, by ktoś mnie kochał? By ktoś stawił mnie na pierwszym miejscu?

- Tak. A czy on nie zasługuje na to samo?

Wstała z kanapy i podeszła do okna. Strumienie deszczu pocięły szybko jak kraty.

- Nie zranię go. Potrzebuje teraz kogoś. Ja też. Co w tym złego?
- Brian - powiedział po prostu.
- A co on ma z tym wspólnego? To było tak dawno temu.

Wstał wolno.

- Nie będę cię obrażał, mówiąc, że jesteś głupia albo że się oszukujesz. Powiem tylko, że troszczę się o ciebie. I o P.M. I o Bri. Troszczę się o zespół, o to, co już zrobiliśmy i o to, co jeszcze możemy zrobić.

- Nie nadaję się na Yoko Ono - powiedziała zimno. - Nie rozbiję waszego cennego zespołu. Czy kiedyś to zrobiłam? Czy w ogóle mogłabym to zrobić?

- Nigdy. Ale nie wiesz, jak łatwo mogłaś tego dokonać. Brian nikogo nie kochał tak jak ciebie. Możesz mi wierzyć. Ja wiem.

- Nie mów mi tego.

Johnno otwierał już usta, gdy usłyszeli odgłos czyichś szybkich kroków w holu.

- Bev! Bev! - P.M. wpadł do pokoju w przemoczonym, rozpiętym płaszczu. - Johnno, dzięki Bogu! Właśnie usłyszałem w radiu o Steviem. Co, u diaska, się dzieje?

- Siadaj, synu. - Johnno usadowił się na kanapie. - Powiem ci.

Kochał ją tak słodko. Dotykał jej tak czule. Płomienie świec tańczyły w ciemności, kiedy Bev głąskała plecy P.M. Szeptał coś miękko, jakieś cudne słowa. Jak łatwo było mu się oddać, pozwolić, by uniosła ją siła jego uczucia.

Nigdy nie musiała pytać samej siebie, czy on jej potrzebuje, czy mu wystarcza. Przy nim nigdy nie spędzi bezsennej nocy, myśląc, dręcząc się, cierpiąc. I nigdy, nigdy nie poczuje dreszczu zjednoczenia, przynależności.

Dała mu wszystko, co mogła, przytulając się do niego, otwierając się dla niego, przyjmując go w siebie. Jej ciało nie drżało tak jak jego, serce nie rozrywało piersi. Ale po silnym, ostrym orgazmie spłynął na nią spokój. Była mu za to wdzięczna.

Powinna wiedzieć, że to, co dobre, nie może trwać.

Świece paliły się nadal, kiedy przyciągnął ją do siebie, by nasycić się jej ciepłem. Uwielbiał spokój, który ogarniał Bev po spełnieniu, całkowity bezruch jej ciała.

Oczy miała przymknięte, usta lekko rozchylone, bezwładne ramiona. Gdyby położył głowę na jej piersi, często to robił, usłyszałby silne, równe bicie serca.

Czasami rozmawiali tak, jak przez siedem lat nie rozmawiał z żoną. Mówili o tym, co przydarzyło im się w ciągu dnia, o tym, co przydarzyło się światu. Albo leżeli, słuchając radia, które grało, kiedy się kochali.



Odpływali powoli w sen, uciszeni, zaspokojeni. Rano wstawał oszołomiony radością, że Bev jest przy nim.

Ułożył Bev tak, by móc przeczesać palcami jej włosy.

- Sprawa rozwodu jest w toku.

Wyrwana z półsnu otworzyła oczy, obserwując układ cieni i światła na ścianie.

- Cieszę się.

- Naprawdę?

- Oczywiście! Wiem, jak ciężko ci było przez ostatnie tygodnie. Chcę, żebyś miał to już za sobą.

- Ja też. Ożeniłem się z Angie z niewłaściwych powodów. Tak bardzo chciałem założyć rodzinę, mieć żonę, dzieci. Oczywiście ten monument w Beverly Hills nie przypominał nawet domu, a Angie zawsze wynajdywała wymówkę, żeby odłożyć założenie rodziny. W każdym razie ona nacięła się równie paskudnie, jak ja.

Splotła ich palce.

- Nie osądzaj się tak surowo.

- Nie, to prawda. Traktowała mnie jak etap w karierze. Szkoda, że nie pomyślała, że pomógłbym jej i bez ślubu. Ale oboje wskoczyliśmy w to małżeństwo i byliśmy zbyt leniwi, a może zbyt ostrożni, by z niego zrezygnować. - Wpatrywał się w jej palce, szczupłe i długie, splecione z jego paluchami. - Patrząc wstecz, widzę każdy błąd jak na dłoni. Nigdy już ich nie powtórzę, Bev. Jeżeli dasz mi szansę.

- P.M. - poruszyła się, wzburzona i przestraszona.

Jego dłonie znalazły się na jej ramionach, były zaskakująco mocne. Zmusił Bev, by spojrzała mu w twarz.

- Chcę, żebyś za mnie wyszła.

Zawahała się, zaskakując samą siebie. Odpowiedź „nie” przeszła jej przez usta tak pewnie, tak szybko, jak zadzwieczała w głowie. Serce mnie zatrzymało, pomyślała. Nakryła dłońmi ręce P.M.

- Nie mogę. Przykro mi, ale nie mogę.

Patrzył w jej twarz, w jej oczy. Ujrzał żal i cień współczucia. Zachciało mu się krzyczeć.

- Z powodu Briana?

Chciała powiedzieć, że tak, gdy nagle uświadomiła sobie, że i ta odpowiedź nie jest prawdziwa.

- Nie, z powodu mnie samej. - Odsunęła się i, naciągając szlafrok, wyszła z łóżka. - Widzisz, nie mogę się z tym pogodzić. Myślałam, że będę mogła. Chciałam, ale nie mogę. - Bev odwróciła się, kryjąc twarz w cieniu. Głos miała bardzo wyraźny, przepełniony żalem. - To że jesteśmy razem, to

najlepsza rzecz, jaka przydarzyła mi się od wielu, wielu lat. Sprawileś, że znów czuję się szczęśliwa, że widzę rzeczy jasno.

- Ciągle go kochasz?

- Tak. Myślę, że mogę z tym żyć. Pogodzić się z tym jakoś i iść na przód, z tobą, z kimś innym. Ale to ja go opuściłam.

- O czym ty mówisz?

- Nigdy ci nie powiedział? - Uśmiechnęła się lekko, siadając na brzegu łóżka. Tak łatwo się z nim rozmawiało, kiedy myślała o P.M. raczej jak o przyjacielu niż jak o kochanku. - Przypuszczam, że nie chciał o tym rozmawiać, nawet z tobą. Po śmierci Darrena wyrzuciłam Briana ze swojego życia. Ukarałam go. Jego i Emmę. Zraniłam Briana, kiedy potrzebował mnie najbardziej. Obwinałam go, ponieważ nie miałam odwagi obwinać samej siebie.

- Na litość boską, Bev! Żadne z was nie ponosi za to winy.

- Nigdy nie byłam tego taka pewna. Nie pozwoliłam, żebyśmy rozpacjali we dwoje. A kiedy cierpiał, kiedy oboje cierpielśmy, odtrąciłam go. On mnie nie opuścił, P.M., to ja go zostawiłam. I biedną Emmę. Myślę, że w pewien sposób oboje ją opuściliśmy. Dzięki tobie zrozumiałam, co czyniłam. Nam wszystkim. Zasługujesz na kogoś lepszego niż kobieta, która nie potrafiła kochać dość mocno i która zawsze będzie tego żałowała.

- Dałbym ci szczęście.

- Tak, wiem. - Ukryła twarz w dłoniach. - Ale ty nie byłbyś szczęśliwy ze mną, nie na długo. Zawsze wiedziałbyś, że jego kochałam wcześniej i w pewnym sensie nikogo innego nie potrafię już kochać.

Tak, wiedział o tym, znał odpowiedź Bev, zanim jeszcze zadał pytanie. Byłoby mu łatwiej, gdyby mógł ją za to znienawidzić, znienawidzić Briana. Ale on kochał ich oboje.

- Dlaczego się z nim nie zobaczysz, nie porozmawiasz?

- Darren miałby teraz dziesięć lat. Już za późno, żeby wrócić, R.M.

Emma biegła alejkami. Jeżeli będzie sprawiała wrażenie, że ma coś pilnego do załatwienia, żadna z sióstr jej nie zatrzyma. Przygotowała sobie wymówkę — pracę z botaniki.

Chciała po prostu zostać przez chwilę sama. Omal nie krzyczała z pragnienia samotności, Przeszkadzała jej nawet obecność Marianny. Było jej przykro, że skłamała najlepszej przyjaciółce. Wyzna grzech ojcu Prelenskiemu na popołudniowej spowiedzi. Ale potrzebowała godziny samotności, żeby pomyśleć.

Obejrzała się szybko przez ramię i przebiegła wzdłuż żywopłotu. Wcisnąwszy dla bezpieczeństwa notatnik pod pachę, dała nura w mały zagajnik.

Ponieważ była sobota, miała prawo do dzinsów i tenisówek. W cieniu zieleniących drzew panował chłód. Emma ucieszyła się, że zabrała sweter. Upewniwszy się, że nie jest widoczna z okien szkoły, przysiadła na ziemi. Między kartkami notatnika ukryła kilkanaście wycinków z prasy. Większość z nich otrzymała od Teresy lub innych, równie ciekawskich koleżanek.

Pierwsze zdjęcie, jej i Michaela, pochodziło z zeszłego lata. Wyglądała je ostrożnie, walcząc z pełnym zażenowania zachwytem, który ogarniał ją zawsze na widok własnej twarzy i ciała ukazanych z taką ostrością. Sprawiała wrażenie mokrej i rozczochranej, a bikini nie wybrzuszało się tam, gdzie powinno. To okoliczność szczególnie dla niej bolesna.

Za to Michael wyglądał wspaniale.

Michael Kesselring, pomyślała. Oczywiście, dziennikarze nie podali jego nazwiska. Nie pofatygowali się nawet, by sprawdzić, jak ono brzmi. To Emma była obiektem ich zainteresowania. Ale dziewczyny aż piszczały nad zdjęciem Michaela. Chciały wiedzieć, kim jest i czy przeżyła z nim letni romans.

Mówiąc o Michaelu, czuła się okropnie dorosła. Oczywiście ubarwiła mocno historię ich poznania, opowiadając, jak niósł ją w ramionach, robił sztuczne oddychanie metodą usta-usta i poprzysiągł wieczną miłość. Michael nie weźmie jej tego za złe, zwłaszcza jeżeli nie będzie o tym wiedział.

Z westchnieniem odłożyła wycinek i wzięta następny, ten który przyniosła Teresa. Nie mogłaby zliczyć, ile razy wpatrywała się w niego, badała go, rozkładała na czynniki pierwsze. Jej oczy wędrowały niezmiennie ku twarzy matki, z przestrachem szukając na niej śladu podobieństwa. Wiedziała, że może ono tkwić głębiej, być niewidoczne dla oka. Uczyła się bardzo dobrze, ale najbardziej interesowała ją biologia, sprawy genów i dziedziczności.

To była jej matka, nie mogła temu zaprzeczyć. Powstała w ciele tej kobiety, ona ją urodziła. Choć upłynęło już tyle lat, Emma nadal pamiętała zapach dżinu, szturchańców i klapsy, słyszała przekleństwa.

Bała się, bała się tak bardzo, że patrząc na zdjęcie Jane, wbijała paznokcie w spoczone ze strachu dłonie.

Z urywanym szlochom oderwała wzrok od twarzy Jane i spojrzała na ojca. Każdej nocy modliła się, żeby być taka jak on: dobra, wrażliwa, wesoła, sprawiedliwa. Uratował ją. Czytała tę historię tyle razy. Zresztą nie musiała czytać. Pamiętała, jak wyglądał, kiedy wyszła spod zlewu, pamiętała łagodne brzmienie jego głosu, kiedy do niej przemówił. Dał jej dom, życie bez strachu. Chociaż nie było go teraz przy niej, nigdy nie zapomni lat, które jej ofiarował. Które ofiarowali jej z Bev.

Jakoś najtrudniej przychodziło Emmie spojrzeć na Bev. Była taka piękna, doskonała. Nigdy nie kochała tak innej kobiety, nigdy tak nie potrzebowała innej kobiety. Patrząc na przybraną matkę, nie mogła nie myśleć o Darrenie.

Miał te same ciemne gęste włosy i łagodnie zielone oczy. Darren, którego przysięgła ochraniać i który umarł.

Moja wina, myślała Emma. Nigdy jej tego nie wybaczą. Bev ją odesłała. Ojciec ją odesłał. Nigdy już nie odzyska swojej rodziny.

Odłożyła zdjęcie i przez jakiś czas przeglądała wcześniejsze wycinki. Zdjęcia z okresu dzieciństwa, zdjęcia Darrena, szerokie, krzykliwe nagłówki o morderstwie. Te trzymała ukryte głęboko w szufladzie, wiedząc, że jeżeli siostry je znajdą, powiadomią ojca, a wtedy w jego oczach pojawi się ten smutny, bolesny wyraz. Nie chciała go ranić, ale nie potrafiła zapomnieć.

Przeczytała wszystkie wycinki na temat morderstwa, chociaż znała je na pamięć. Szukała, ciągle szukała czegoś nowego, wskazówki, która powiedziała by jej, dlaczego to się stało, jak mogła temu zapobiec.

Nie było nic. Nigdy nie było nic.

Miała także nowsze wycinki, zdjęcia i artykułiki o Bev i P.M. Jedni dziennikarze twierdzili, że Bev dostanie w końcu rozwód i wyjdzie za R.M. Inni przytaczali pikantną historyjkę o dwóch mężczyznach bliskich sobie jak bracia, których rozdzieliła kobieta. Znalazła się również informacja o zmianie nazwy zespołu na Prism i zdjęcia z bankietu, na którym podano to do publicznej wiadomości. Ojciec z kolejną kochanką, z Johnno, z P.M., z Pete'em. Nigdy ze Steviem. Z ciężkim westchnieniem Emma wzięła kolejny wycinek.

Stevie był w klinice, gdzie leczono narkomanów. Tak go nazywali, narkomanem. Inni mówili o nim kryminalista. Emma pamiętała, że kiedyś wzięła go za anioła. Pomyślała, że wygląda na tym zdjęciu na bardzo zmęczonego. Zmęczonego, wychudzonego i przerażonego. Jedne gazety pisały, że to tragedia, inne, że to skandal. Niektóre dziewczęta, mówiąc o tym, przychały.

Tylko z nią nikt nie rozmawiał. Kiedy zapytała ojca, powiedział, że Stevie stracił kontrolę nad swoim życiem i musiał poszukać pomocy lekarskiej. Nie powinna się martwić.

Ale się martwiła. Byli jej rodziną, jedyną, jaka jej jeszcze została. Straciła Darrena. Musiała zadbać o to, by nie stracić reszty.

Zaczęła pisać listy swoim uważnym, starannym charakterem pisma.

## Rozdział 17

Głowa Steviego tonęła w słońcu, kiedy siedział rankiem na kamiennej ławce w ogrodzie. Miejsce było prześliczne, pełne herbacianych róż i śpiewu

ptaków. Ogród przecinały kamienne ścieżki biegnące pod sklepieniem z powojów i wistarii. Zarówno pacjenci, jak i personel czuli się w Whitehurst wolni. Dopóki nie zamknął się wokół nich kamienny, mocny mur.

Stevie nienawdził kliniki, lekarzy i innych pacjentów. Lekceważył sesje terapeutyczne, rozkład dnia. Czuł pogardę na widok zdeterminowanych uśmiechów personelu. Ale robił, co mu kazano, i mówił lekarzom to, co chcieli usłyszeć.

Był narkomanem. Potrzebował pomocy. Będzie żył z dnia na dzień.

Będzie brał ich metadon i marzył o heroinie.

Nauczył się spokoju, stał się przebiegły. Za cztery tygodnie i trzy dni wyjdzie stąd jako wolny człowiek. Tym razem zachowa większą ostrożność. Tym razem to on będzie kontrolował narkotyki. Będzie się uśmiechał do lekarzy i dziennikarzy, robił wykłady o szkodliwości nałogu i będzie kłamał jak najęty. Kiedy stąd wyjdzie, zamierza żyć tak, jak mu się podoba.

Nikt nie miał prawa powiedzieć mu, że jest chory, nikt nie miał prawa powiedzieć mu, że potrzebuje pomocy. Chciał się narkotyzować, więc się narkotyzował. Co oni mogli wiedzieć o napięciu, w jakim żył dzień po dniu? O presji bycia najlepszym, o wiele lepszym od innych?

Może rzeczywiście zaszedł odrobinę za daleko poprzednim razem. Może. Więc będzie trzymał się w ryzach. Pieprzeni lekarze pociągali bourbona. On wciągnie dziątkę, kiedy będzie miał na to ochotę. Wypali trochę haszu, kiedy poczuje ochotę na hasz.

Pieprzyć ich. Pieprzyć ich wszystkich.

Rozerwał kopertę. Ucieszył się, że Emma do niego napisała. Nie przypominał sobie kobiety, dla której żywiłby równie czyste, szczere uczucie. Zapaliwszy papierosa, oparł się o poręcz ławki i wciągnął w nozdrza zapach dymu i róż.

Kochany Stevie!

Wiem, że jesteś w czymś w rodzaju szpitala i przykro mi, że nie mogę Cię odwiedzić. Tata mówi, że był u Ciebie razem z innymi i że wyglądasz lepiej. Może, kiedy już wyzdrowiejesz, będziemy mogli pojechać razem na wakacje, wszyscy, tak jak pojechaliliśmy do Kalifornii zeszłego lata. Bardzo za Tobą tęsknię i nadal nienawidzę szkoły. Ale to już tylko trzy i pół roku. Pamiętasz, kiedy byłam mała, pytałeś mnie zawsze w żartach, który z was jest najlepszy? Mówiłam, że tata, a ty udawałeś, że się wściekasz. Nigdy Ci nie powiedziałam, że na gitarze grasz lepiej. Nie mów tacie, że to powiedziałam. Przysyłam Ci nasze zdjęcie z Nowego Jorku, sprzed wielu lat. Tata je robił, pamiętasz? Dlatego jest nieostre. Pomyślałam, że może chciałbyś je mieć. Odpisz mi, jeżeli masz ochotę. Ale jeżeli nie masz, to

nie szkodzi. Wiem, że w liście powinno się robić akapity i inne rzeczy, ale zapomniałam. Kocham cię, Stevie. Wyzdrowiej szybko.

Kocham Cię  
Emma

Opuścił list na kolana. Siedział na ławce, palił papierosa i płakał.

P.M. otworzył list, siedząc na podłodze pustego domu na przedmieściach Londynu. Właśnie go kupił. Nad głową miał sufit, który zdawał się go przygniatać, i butelkę piwa przy łokciu.

Z jedyne go mebla, jaki posiadał - sprzętu stereo - płynął blues Raya Charlesa.

Nie było mu łatwo opuścić Bev, ale jeszcze trudniej byłoby mu zostać. Pomogła mu wybrać dom, tak jak obiecała. Urządzi go. I od czasu do czasu będzie się z nim tu kochała. Ale nigdy nie zostanie jego żoną.

Obwiniął za to Briana. Nie chciał pamiętać o tym, co powiedziała mu Bev. Szukał ulgi w cierpieniu, zwalając całą winę na Briana. McAvoy nie był na tyle mężczyzną, by wytrwać przy niej w ciężkich chwilach, nie był na tyle mężczyzną, by pozwolić jej odejść. Od samego początku traktował ją źle. Przyprowadził jej dziecko innej kobiety i kazał wychowywać jak własne. Jeździł w trasy i zostawiał ją samą na całe tygodnie. Narzucił jej styl życia, którego nigdy nie chciała, myślał P.M. z wściekłością. Narkotyki, zepsoty, ploty.

Ciekawe, co by powiedział Brian, co oni wszyscy powiedzieliby, gdyby ogłosił, że opuszcza zespół.

To by im dało do myślenia - P.M. przełknął trochę piwa.

Brian McAvoy mógłby iść do diabła i zabrać ze sobą Devastation.

Bardziej z nawyku niż z ciekawości otworzył list od Emmy. Pisała do niego co parę miesięcy. Zabawne, gawędziarskie listy, na które odpowiadał pocztówką albo drobnym prezentem. To nie jej wina, że ma ojca skurwiela, pomyślał P.M., i zaczął czytać.

Kochany P.M.!

Wiem, że powinnam napisać, jak mi przykro z powodu Twojego rozvodu, ale nie jest mi przykro. Nie lubiłam Angie. Siostry twierdzą, że rozwód jest grzechem, ale moim zdaniem większym grzechem jest udawanie miłości, kiedy się jej nie czuje. Mam nadzieję, że jesteś znów szczęśliwy. Kiedy widziałam cię latem, byłeś smutny.

Gazety rozpisują się o Tobie i o Bev. Może nie powinnam o tym mówić, ale muszę. Jeżeli pobierzecie się z Bev, nie będę zła. Ona jest tak piękna i dobra, że trzeba ją kochać. Może, jeśli będzie z Tobą szczęśliwa, przestanie mnie nienawidzić. Wiem, że nie kłócisz się z tatą, jak pisał

w niektórych gazetach. Byłoby głupotą winić go za to, że kocha Bev, skoro Ty ją także kochasz.

Znalazłam zdjęcie, Twoje i taty, które robiłam bardzo dawno temu. Wiem, że zaczynacie wkrótce nagrywać nową płytę, więc będziesz mógł pokazać mu je. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy, ponieważ Cię kocham. Może zobaczymy się latem w Londynie.

Kocham Cię.  
Emma

P.M. bardzo długo wpatrywał się w zdjęcie, potem wsunął je razem z listem do koperty. Rozwód z żoną - to zrozumiałe. Rozwód z rodziną to całkiem inna sprawa.

Swój pierwszy dzień po powrocie do Nowego Jorku Johnno przespał, drugi spędził na komponowaniu. Mieszkał chwilowo sam i bardzo to sobie chwalił. Ostatni kochanek doprowadził go do szału swoją obsesją czystości. Johnno był człowiekiem schludnym, ale mycie wszystkich butelek i puszek, które trafiały do domu ze sklepów, zaskoczyło nawet jego.

Cieszył się ciszą - po wyjściu sprzątaczk. Pomyślał leniwie, że może spędzi wieczór poza domem, ale zdecydował, że mu się nie chce. Było to wynikiem nie tyle zmiany czasu między Europą a Ameryką, co napięcia, w jakim żył przez ostatnich parę tygodni. Formalności i dyskusje związane z nową nazwą zespołu, trudna wizyta u Steviego w klinice i najgorsze ze wszystkiego - dni spędzone z Brianem, kiedy musiał patrzeć, jak jego najlepszy przyjaciel pograża się coraz głębiej w otchłan butelki.

A jednak muzyka, którą pisał Brian, była lepsza niż kiedykolwiek. Ostra, poetycka, twarda i rozmarzona. Nie mówił o swoich uczuciach: o cierpieniu, o gniewie, jaki odczuwał w związku z romansem P.M. z Bev. Wszystko to tkwiło w jego muzyce.

To dość, by uszczęśliwić Pete'a, myślał Johnno, zdejmując koszulę. Dopóki Devastation grała rocka, dopóty wszystko było w porządku ze światem.

Przyniósł sobie sałatkę z krewetek przygotowaną przez gospozię, otworzył butelkę wina i przeglądał leniwie korespondencję, która nagromadziła się podczas jego nieobecności. Kiedy ujrzał pismo Emmy, uśmiechnął się szeroko.

Kochany Johnno!

Uciekłam na chwilę od zakonnicy. Pewnie później za to odpokutuję, ale czułam, że zacznę krzyczeć, jeżeli przez parę minut nie będę sama, Siostry są dzisiaj nieznośne. Wczoraj usunięto ze szkoły trzy dziewczyny z najstarszej klasy. Ponieważ istnieje całkowity zakaz palenia papierosów

w szkolnym mundurku, Karen Jones, Mary Alice Plessinger i Tomisina Gibralti rozebrały się w szatni do majtek i zapaliły. Większość dziewcząt uważa, że to przedni numer, ale matka przełożona nie grzeszy poczuciem humoru.

Johnno zachichotał. Odsunąwszy na bok sałatkę, uniósł kieliszek i zagłębił się w czytaniu.

Ostatnio myślałam wiele o tacie, o Tobie i reszcie. Czytałam historie o Steviem i gniewa mnie to, co o nim mówią, Czy wszystko z nim w porządku? Na zdjęciu z „London Times” wygląda staro, jakby był chory. Nie mogę uwierzyć, że jest narkomanem, ale nie jestem już dzieckiem. Tata nie chce ze mną o tym rozmawiać, więc zwracam się do Ciebie. Zawsze mówiłeś mi prawdę. Dziewczyny twierdzą, że wszyscy piosenkarze rockowi to narkomani. Kompletnie idiotki.

Plotki docierają nawet tutaj za te mury. Mam artykuł i zdjęcia Bev, taty i P.M. z „People”. Było tam również zdjęcie Jane. Nie chcę nazywać jej matką. Proszę, nie mów tacie, że ci o tym napisałam. On się zdenerwuje, a to i tak nic nie zmieni. Ja też byłam zła na początku, ale długo o tym myślałam. Nie ma w tym nic złego, że Bev kocha P.M., prawda? To prawie tak, jakbyśmy znowu byli razem.

Tak naprawdę to piszę, bo chcę Cię prosić, żebyś opiekował się tatą. On udaje, że nie myśli o Bev, że już jej nie kocha. Kochają ją. Wiem o tym. Kiedy wyjdę ze szkoły, sama się nim zajmę. Zamieszkać w Nowym Jorku z Marianną i będę podróżowała razem z nim, robiąc zdjęcia.

To, co widzisz, to autoportret. Zrobiłam go w zeszłym tygodniu. Zwróć uwagę na kolczyki. Marianna przekłuła mi uszy, a ja omal nie zemdlałam. Tata jeszcze nic nie wie, więc nie zdradź mnie. Przerwa wiosenna zaczyna się za dziewięć dni, wystarczy, jeżeli wtedy oceni rozmiar szkody. Tata powiedział mi, że spędzimy Wielkanoc na Martynice. Proszę Cię, Johnno, przyjeźdź. Proszę.

Kocham Cię  
Emma

I co zrobić z Emmą? - zastanawiał się Johnno. Mógł pokazać list Brianowi i powiedzieć: „Przeczytaj to i weź się w garść. Twoja córka cię potrzebuje”. Jeżeli jednak to robi, Brian i Emma nigdy mu nie wybaczą.

Dorastała, i to szybko. Przekłute uszy, biustonosze, filozofia. Brian nie utrzyma jej długo pod kloszem.

No cóż, postara się być pod ręką, kiedy spadnie cios na nich oboje. Przechyliwszy kieliszek, opróżnił go do dna. Wygląda na to, że spędzi parę dni na Martynice.



Leżąc na białym, rozgrzanym piasku ze szklanką ciepłego rumu w ręku, Brian patrzył, jak jego córka przecina fale.

Z czym ona się ściga? - zastanawiał się. Dlaczego zawsze biegnie od jednego punktu do drugiego, zawsze w pośpiechu? Mógł jej powiedzieć, że kiedy dobiegnie w końcu do mety, uczucie triumfu potrwa tylko chwilę. Mógł jej to powiedzieć, ale i tak by nie uwierzyła.

Nastolatka. Słodki Jezu, jak to się stało, że jest nastolatką? I jak to się stało, że on jest trzydziestotrzyletnim zabytkiem?

Kiedy miał trzynaście lat, wszystko wydawało się proste. Jego plany były jasno sprecyzowane. Wydostać się ze slumsów, grać swoją muzykę, być kimś. Zrealizował je wszystkie. Więc gdzie podział się triumf? Podniósł szklankę i pociągnął tęgi łyk. Gdzie, do diabła, podział się triumf?

Patrzył, jak Emma zanurza się w fale i wypływa, lśniąca jak wydra. Wolałby, żeby nie wypuszczała się tak daleko w morze. Martwił się o nią o wiele bardziej, kiedy miał ją przy sobie. Tylko świadomość, że jest zamknięta w szkole, mogła zapewnić mu spokój. Była dobrą uczennicą, grzeczną, posłuszną. Potem przychodziły wakacje i Emma wskakiwała z powrotem w jego życie. O wiele doroślejsza, o niebo piękniejsza. Widział to spojrzenie w jej oczach, to posępne, zdeterminowane spojrzenie, takie jak we własnych oczach. Przerazało go.

- Boże, co za energia! - Johnno opadł przy nim na piasek. - Rzadko kiedy zwalnia, prawda?

- Tak. Starzejemy się, Johnno?

- Gówno. - Johnno poprawił swoją panamę i spróbował napić się ze szklanki Briana. - Gwiazdy rocka się nie starzeją, synu. Jadą do Vegas - krzywiąc się, wkręcił szklankę z powrotem w piasek. - Jeszcze nas tam nie ma. - Położył się wsparty na łokciach. - Wprawdzie Shaunem Cassidym też już nie jesteśmy.

- Dzięki Bogu!

- Trzymaj tak dalej, a nigdy nie znajdziesz swojego zdjęcia w „Tiger Beat”.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając szumu fal. Johnno cieszył się, że przyjechał. Spokój prywatnej willi i plaży stanowił miły kontrast dla zatłoczonego, rozgorączkowanego Nowego Jorku i deszczowej londyńskiej wiosny. Tarasy trzypiętrowej willi wychodziły na morze, dom otoczony był z trzech stron wysokim murem i żywopłotami, z czwartej białym łukiem plaży. Pastelowe mury błyszczały w słońcu, w powietrzu unosił się zapach wody i kwiatów.

Tak, cieszył się z przyjazdu tutaj, nie tylko z uwagi na słońce, ale na czas, który zyskał. Spokojny czas z Emmą i Brianem. Czas, który minie zbyt szybko.

- Dzwonił Pete.

Brian przyglądał się Emmie, która stała w sięgającej do bioder wodzie i wystawiała twarz ku słońcu. Nie była opalona ani nawet ozłocona słońcem, była rozgrzana. Kolor moreli. Zastanawiał się, kiedy jakiś zgłodniały chłopiec zapragnie jej posmakować.

- I?

- Wszystko gotowe na przyszły miesiąc. Możemy zacząć nagrania.

- A Stevie?

- Mają zastosować wobec niego kurację dla byłych pacjentów. Jest już zarejestrowanym ćpunem. - Wzruszył ramionami. - Kuracja methadonem. Jeżeli nie możesz zdobyć narkotyków na ulicy, dostajesz je od rządu. Tak czy inaczej, jest gotów. A ty?

Brian podniósł szklankę i opróżnił ją do dna. Rozgrzany słońcem rum nabrał łagodnego smaku.

- Jestem gotów.

- Miło to słyszeć. Nie masz zamiaru przyłać P.M.?

- Daj spokój, Johnno.

- Wolałbym, żebyś rozkwaślił mu nos, niż ignorował przez następne parę miesięcy albo knuł plany zamordowania go podczas snu.

- P.M. nie stanowi dla mnie problemu - powiedział ostrożnie Brian. - To jego życie.

- I twoja żona.

Brian rzucił mu złe spojrzenie, ale zdławił brzydkie słowa, które cisnęły mu się na usta.

- Bev od dawna nie jest moją żoną.

Johnno obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy Emma jest nadal poza zasięgiem słuchu.

- Mów to komu innemu, ale nie mnie, Bri. - Położył rękę na przegubie Briana i ścisnął lekko. - Wiem, że będzie ci ciężko. Chciałem się tylko upewnić, że jesteś gotów.

Podniósł szklankę, przypomniał sobie, że jest pusta, i odstawił z powrotem. Choć od morza szła lekka bryza, nękał go upał.

- Nie da się cofnąć przeszłości, Johnno. Nie można wrócić i nie można stać w miejscu. Więc idzie się naprzód, obojętnie czy jest się gotowym, czy nie.

- Ach! To było wspaniałe! - Emma upadła na kolana między ojcem a Johnno. Włosy spływały jej po plecach. - Powinniście wejść.

- Do wody? - zapytał Johnno, zsuwając z nosa niebieskie okulary przeciwsłoneczne. - Emma, kochanie, w wodzie są stwory. Śliskie stwory!

Śmiejąc się, pocałowała w policzek najpierw jego, potem ojca. Wyczuła ostry zapach rumu i z trudem zachowała uśmiech.

- Starzy ludzie siedzą na plaży - powiedziała lekko. - Ludzie w średnim wieku siedzą na plaży.

- W średnim wieku? - Brian złapał kosmyk jej włosów i pociągnął. - Kogo ty nazywasz ludźmi w średnim wieku?

- Och, tylko tych, którzy siedzą na plaży cały ranek z parasolami nad głową. - Pokazała zęby w uśmiechu. - Posiedźcie sobie tutaj, odpocznijcie. Przyniosę wam coś zimnego do picia. Skoczę po aparat i zrobię zdjęcie, żebyście mogli wspominać swoje miłe, spokojne wakacje.

- Słuchaj Bri, ona stroi miny.

- Zauważyłem.

- Puścimy jej to płazem?

Brian zerknął na przyjaciela.

- Mowy nie ma.

Zapiszczają, kiedy rzucili się naprzód. Mogła im uciec, gdyby chciała, ale kiedy ojciec złapał ją za nogi, a Johnno pod pachy, udawała tylko, że się broni.

- Do wody z nią! - Johnno odrzucił głowę, tak że kapelusz wyładował na piasku. Potem dotrzymując kroku Brianowi, pognał w stronę morza. Emma wstrzymała oddech i pociągnęła ich za sobą.

Nigdy w życiu nie czuła się tak szczęśliwa. Wszystko było doskonałe, absolutnie, idealnie doskonałe. Dnie spędzała w słońcu, nocami słuchała gry ojca i Johnno. Oszukiwała Johnno w karty, spacerowała z tatą po plaży. Miała tuziny filmów do wywołania, kieszenie pełne pamiątek.

Czy w tych warunkach mogę spać? - myślała. Ostatnia noc na Martynice, ostatnia noc z ojcem. Ostatnia noc wolności. Jutro znajdzie się w samolocie, w drodze do szkoły, gdzie życie toczy się według regulaminu. Regulamin określa, o której należy się budzić, o której zasypiać, w co się ubrać i o czym myśleć.

Westchnęła, kręcąc głową. Wkrótce nadejdzie lato, przypomniała sobie. Pojedzie do Londynu. Zobaczy Steviego i P.M. Będzie mogła patrzeć, jak nagrywają.

Przetrwaj jakoś te parę tygodni. Musi. To dla ojca takie ważne, że ona się uczy, że jest bezpieczna i pod dobrą opieką. No cóż, zakonnice rzeczywiście zapewniały dobrą opiekę. Opiekowały się nią dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Słyszała morze. Czuła je. Pod wpływem impulsu wciągnęła szorty. Było późno. Nawet ochroniarze już spali. Tej ostatniej nocy pójdzie sama na plażę. Sama! Posiedzieć i popatrzeć na morze. I nikt nie będzie jej pilnował.

Przemknęła przez hol i schody wynajętej willi. Wstrzymując oddech, uchyliła szklane drzwi prowadzące na dwór i ruszyła biegiem.

Dała sobie tylko godzinę. Kiedy wśliznęła się z powrotem do willi, była przemoczona do suchej nitki. Okazało się, że samo patrzenie na morze jej nie wystarcza. Weszła cichutko z zamiarem przemknięcia się do pokoju. Usłyszawszy głos ojca, przycisnęła się w cieniu.

- Tylko cicho, kochanie. Wszyscy śpią.

Rozległ się kobiecy chichot, potem szept, lekko ochrypły, z francuskim akcentem.

- Będę cicho jak myszka.

Brian wszedł do pokoju z pulchną małą brunetką owiniętą wokół niego jak bluszc. Miała na sobie jaskraworożowy sarong, a w rękę złote pantofle na wysokich obcasach.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś, *cheri*. - Przesunęła dłońmi po jego ciele, potem oplotła mu szyję ramionami i zbliżyła usta do jego warg.

Zażenowana i zmieszana, Emma zamknęła oczy, ale nie mogła nie słyszeć krótkich, nabrzmiątych jęków.

- Mmm. Spieszno ci. - Francuzka roześmiała się, wsuwając mu dłoń pod koszulę. — Nie martw się, dostaniesz to, za co zapłaciłeś, *cheri*. Ale obiecałeś najpierw przyjętko.

- Jasne.

To powinno pomóc, myślał. Włosy miała wprawdzie czarne i błyszczące, ale oczy brązowe, nie zielone. Po paru działkach przestanie zwracać na to uwagę, przestanie zwracać uwagę na cokolwiek. Podszedł do biurka, z szuflady wyjął małą białą fiolkę.

- Czas na przyjęcie.

Brunetka klasnęła w dłonie. Kołysząc biodrami, podeszła do szklanego stolika i uklękła.

Emma patrzyła z przerażeniem, jak ojciec przygotowuje kokainę. Słomki, lusterka, żyletki. Jego ruchy były precyzyjne, wprawne. Przybliżył twarz do głowy brunetki.

- Ach! - Francuzka przechyliła się w tył, oczy jej błyszczały. Zanurzyła palec w proszku rozsypanym na lusterku i wtarła go sobie w dziąsła. - Pyszne!

Brian wsunął rękę pod sarong i przyciągnął kobietę do siebie. Czuł się niesamowicie. Młody, potężny, niewyciężony. Rozpierało go pragnienie. Ułożył kobietę na podłodze, planując wziąć ją szybko za pierwszym razem. Zapłacił przecież za całą noc.

- Tato!

Poderwał głowę. Skupił wzrok, ale to było jak sen. Córka wychylająca się z cienia, jej pobladła twarz, ciemne, mokre oczy, włosy rozsypane na ramionach.

- Emma?

- Emma? - Francuzka wycedziła to słowo. - Kim jest Emma? - Zirytowana tym, że uwaga Briana została odwrócona, obejrzała się za siebie. W jej oczach pojawiło się najpierw zaskoczenie, potem zainteresowanie. - Więc lubisz również dzieci! *Ca va*. Chodź, malutka! Przyłącz się do zabawy.

- Zamknij się, do cholery! To moja córka. - Brian gramolił się na nogi. - Emma... Myślałem, że jesteś w łóżku.

- Tak. - Głos miała bezbarwny. - Wiem.

- Nie powinno cię tu być. - Brian postąpił krok naprzód, by ująć ją za ramię. - Jesteś zimna. I mokra - powiedział, próbując skupić myśli choć na tyle, by przytłumić szum kokainy w głowie. - Gdzie byłaś?

- Na plaży. — Unikając jego oczu, Emma odwróciła się ku schodom.

- Sama? Poszłaś na plażę sama? W nocy?

- Tak. - Zacisnęła zęby, czując zapach perfum Francuzki. - Poszłam sama na plażę. Teraz idę do łóżka.

- Przecież wiesz, że ci nie wolno! - Brian chwycił ją za drugie ramię i potrząsnął. - Wiesz, że nie wolno ci chodzić nigdzie bez ochrony. Na litość boską, pływałaś. A gdyby złapał cię skurcz?

- Utonęłabym.

- Daj spokój, *cheri*, pozwól dziecku iść do łóżka. - Brunetka przygotowała kolejną działkę. - To przyjęcie.

- Zamknij, kurwa, gębę! - wrzasnął.

Wzruszyła tylko ramionami i wciągnęła kokę.

- Nigdy więcej tego nie rób! - nakazał, zwracając się znów do Emmy. - Rozumiesz?

- O, tak! Rozumiem. - Emma odskoczyła od niego, z pociemniałymi, suchymi oczami. Bóg mi świadkiem, że wolałabym nie rozumieć, ale rozumiem.

- Porozmawiamy o tym jutro.

- O moim spacerze na plażę, czy o tym? - Wskazała kobietę klęczącą ciągle przy stoliku.

- To nie twoja sprawa.

- Nie? - Usta jej drżały, ale głos był spokojny, beznamietny. - Pójdę do łóżka i zostawię cię z twoją kurwą i twoimi narkotykami.

Uderzył ją. Jego ramię poderwało się, zanim zrozumiał, co robi. Jego ręka strzeliła Emmę w twarz, zanim mógł ją zatrzymać. Zobaczył ślad na policzku córki, czerwony placek, dowód przemocy, której tak nienawidził. Ogłuszony spojrzął na swoją rękę... I zobaczył rękę swojego ojca.

- Emma...

Odskoczyła szybko, nerwowo kręcąc głową. Prawie nigdy nie podnosiła na nią głosu, a teraz, kiedy po raz pierwszy zakwestionowała słuszność jego postępowania, uderzył ją. Odwróciła się i popędziła na górę.

Johnno jej nie zatrzymał. Stał w połowie schodów, bez koszuli, w spodniach od dresu opuszczonych nisko na biodrach. Włosy miał w nieładzie, zmęczone oczy.

- Ja z nią porozmawiam — powiedział Johnno, zanim Brian zdołał ruszyć się z miejsca. Ujął przyjaciela mocno za ramię. - Nie będzie słuchała cię teraz, Bri. Pozwól, że przez chwilę potrzymam ją za rękę.

Brian skinął głową. Dłoń piekła go od uderzenia. Uderzył swoje dziecko.

- Johnno... Wynagrodzę jej to.

- Jasne. - Ścisnął go jeszcze raz za ramię. - Lepiej zajmij się tym bałaganem. - Wskazał na pokój.

Nie płakała. Siedziała w mokrym ubraniu na brzegu łóżka. Ale nie płakała. Świat, piękny świat, który zbudowała wokół swojego ojca, runął. Była zgubiona.

Skoczyła na równe nogi, kiedy drzwi się otworzyły, i opadła z powrotem na łóżko, gdy ujrzała w nich Johnno.

- Nic mi nie jest - powiedziała. - Przyszedłeś mnie pocałować, żeby mniej bolało? To niepotrzebne.

- Okay. - Johnno wszedł mimo to. - Masz ochotę pokrzyczeć na mnie?

- Nie.

- Co za ulga, Może zdejmiesz te mokre ciuchy? - Johnno zakrył oczy, potem rozchylił palce i uśmiechnął się szeroko. - Żadnego podglądania.

Chcąc się czymś zająć, wstała i wyjęła z szafy szlafrok.

- Wiedziałeś, prawda?

- Że twój tata lubi kobiety? Tak. Myślę, że zacząłem to podejrzewać, kiedy mieliśmy po jedenaście lat.

- Ja nie żartuję, Johnno.

Nie pozwoli mu wykręcić się byle czym.

- Okay. Słuchaj, Emma, kochanie. Mężczyzna ma prawo do seksu. Nie lubi po prostu chwalić się tym przed własną córką.

- Zapłacił jej. Ona jest dziwka.

- Co chcesz, żebym ci powiedział? - Kiedy stanęła przed nim w białym aksamitnym szlafroku, ujął jej rękę. Wyglądała teraz żałośnie młodo, z mokrymi lśniącoymi włosami i oczami, w których kryło się rozczarowanie. - Czy mam ci powiedzieć, że zakonnice mają rację i że to grzech? Prawdopodobnie mają rację. Ale to jest prawdziwe życie, Emmo, a w prawdziwym życiu ludzie grzeszą. Brian czuł się samotny.

- Więc nie ma nic złego w uprawianiu seksu z kimś przypadkowym, kiedy człowiek jest samotny?

- Oto dlaczego Bóg nie dopuścił, żebym został ojcem - mruknął Johnno. Spróbował jeszcze raz, najlepiej jak potrafił. Mówiąc prawdę: - Seks jest łatwy i pusty, nawet jeśli wydaje się podniecający w momencie trwania. Kochanie się to zupełnie inne doświadczenie. Zrozumiesz to sama. Kiedy w grę wchodzi uczucie, myślę, że można powiedzieć, iż miłość fizyczna jest święta.

- Nie rozumiem. I chyba nie chcę rozumieć. On wyszedł z domu, znalazł kobietę i zapłacił jej. Brał kokainę. Widziałam. Wiem, że Stevie... Ale nigdy nie wierzyłam, by tata... Nigdy w to nie wierzyłam.

- Istnieje wiele rodzajów samotności, Emmo.

- Ty też to robisz? - Zacisnęła szczęki.

- Robiłem. - Ciężko mu było przyznać się przed nią do błędu. Dziwne, ale dopóki nie musiał spowiadać się Emmie z własnych grzeszków, nie rozumiał, jak bardzo ją kocha. - Prawdopodobnie niewiele straciłem. Lata sześćdziesiąte, Emmo. Musiałabyś tam być, żeby to zrozumieć. - Roześmiał się krótko i przyciągnął ją do siebie. - Przestałem, ponieważ nie podobało mi się to. Nie podobało mi się, że wyzbywam się kontroli dla paru sekund euforii. To nie czyni ze mnie bohatera. Ale mnie jest łatwiej. Nie żyję w takim napięciu jak Brian. On wszystko bierze do serca, ja biorę sprawy takimi, jakimi są. Widzisz, dla mnie ważny jest zespół. Dla Briana, cały świat. Zawsze tak było.

Jeszcze go widziała, swojego ojca, pochylonego nad smugą białego proszku.

- To go nie usprawiedliwia.

- Nie - przytulił głowę do jej głowy. - Chyba nie.

Dopiero teraz łzy popłynęły, gorące i obfite.

- Nie chciałam go tak zobaczyć. Nie chciałam wiedzieć. Nadal go kocham.

- Wiem. On też ciebie kocha. Wszyscy cię kochamy.

- Gdybym nie wyszła, gdybym nie chciała być sama, to by się nie stało.

- Nie zobaczyłabyś tego, ale stałoby się, tak czy inaczej. - Ucałował jej włosy. - Teraz musisz po prostu pogodzić się z tym, że twój ojciec nie jest doskonały.

- To już nie będzie to samo, prawda Johnno? - Przytuliła się do niego z westchnieniem — Już nigdy.

# Rozdział 18

Nowy Jork, rok 1982

Jak myślisz, co on powie? - Marianna wytaszczyła z samochodu walizkę, podczas gdy Emma płaciła taksówkarzowi.

- Myślę, że powie: „dzień dobry”.
- Przestań!

Emma odgarnęła włosy, które wieczorny wiatr zwiewał jej na twarz.

- Zapyta, co u diabła, tu robię, a ja mu powiem.
- Potem zadzwoni do twojego ojca i powłoką nas na szubienicę.
- W tym stanie już nie wieszają. - Emma dźwignęła własną walizkę, po czym odetchnęła głęboko. Nowy Jork. Jak to dobrze być z powrotem, Tym razem miała zamiar pozostać.

- Co to za różnica, powieszenie, zagazowanie czy pluton egzekucyjny. Twój ojciec zabije nas obie.

Emma zatrzymała się z ręką na klamce drzwi prowadzących do budynku.

- Wycofujesz się?
- Nigdy w życiu. - Marianna uśmiechnęła się szeroko, przeciągając ręką po czapie rudych włosów. - Naprzód.

Emma wtargnęła do środka. W drodze do windy zatrzymała się na chwilę, by przywitać strażnika.

- Dzień dobry, Carl.
- Panna... O rany! Panna McAvoy! - Odłożył kanapkę z wołowiną i uśmiechnął się do Emmy promiennie. - Już prawie rok, prawda? Jest panienka zupełnie dorosła.
- Jestem studentką. - Roześmiała się. - A to moja przyjaciółka, panna Carter.

- Miło panią poznać, panno Carter. - Carl strzepnął okruchy z rękawa uniformu. - Czy pan Donovan wie, że panie przyjechały?

- Oczywiście - skłamała słodko, z uśmiechem. - Nie powiedział ci? Oto cały Johnno. Zatrzymamy się tylko na parę dni. - Mówiąc to, szła już w stronę wind. Byłoby dobrze, gdyby nie zadzwonił na górę i nie spłoszył ptaszka. - Chodzę tutaj do szkoły.

- Myślałem, że zapisali panią do jakiejś ekskluzywnej szkoły w Londynie.

- Przeniosłam się. - Zrobiła do niego oko. - Wiesz, że moje serce należy do Nowego Jorku.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi windy, Marianna przewróciła oczami.

- Bardzo gładko, McAvoy, bardzo gładko.



- Większość z tego, co mówiłam, to prawda. - Zaśmiała się, potem odetchnęła nerwowo. - Od dwóch miesięcy jestem pełnoletnia. Czas wypróbować niezależność.

- Jestem pełnoletnia od ośmiu miesięcy, a kiedy powiedziałam ojcu, że przenoszę się do NYCC, dostał szału. W każdym razie, już po wszystkim. Jutro zaczniemy szukać mieszkania. Potem będziemy żyły dokładnie tak, jak sobie zaplanowałyśmy.

- Aha. Przed nami pierwsza przeszkoda.

Wysiadły z windy i ruszyły szerokim, cichym korytarzem do apartamentu Johnno.

- Ja mówię - ostrzegła Emma. Westchnęła, widząc szydercze spojrzenie Marianny. - To nie żarty. Ostatnim razem, kiedy otworzyłaś buzię, polewowałyśmy ławki kościelne przez trzy soboty z rzędu.

- Jestem artystką, nie prawnikiem - mruknęła Marianna, po czym przywołała swój najpiękniejszy uśmiech. Drzwi się otworzyły.

- Johnno! - Emma rzuciła mu się na szyję. - Niespodzianka! - Pocałowała go.

- Zaraz, zaraz. - Był na wpół nagi, otumaniony poobiednim winem i drzemką. Odsunął Emmę na długość ramion. Wyrosła. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy wystrzeżiła jak trzcina, giętka, wdzięczna, elegancka. Jasne, podpięte grzebieniami włosy opadały jej na ramiona, gęste i proste. Miała na sobie obcisłe, sprane dżinsy i koszulę w cienkie paseczki wpuszczoną w spodnie, a w uszach duże złote kule. - Na litość boską, wyglądasz jak modelka po godzinach pracy. — Przeniósł wzrok na Mariannę. — A oto i mój ulubiony rudzielec. Co zrobiłaś z włosami? - Przejechał dłonią po krótkiej czuprynie Marianny.

- Tak się teraz nosi - poinformowała go i nadstawiła policzek do pocałunku. - Obudziłyśmy cię?

- Tak. Chyba powinienem poprosić was do środka, zanim zapytam, co tu, u diabła, robicie. - Spojrzał w dół. - Z walizkami.

- Och, Johnno, jak dobrze tu być. W chwili, gdy wsiadłam do taksówki na lotnisku, poczułam, że jestem w domu. - Emma upuściła walizkę i okręciła się na środku pokoju. Opadła na kanapę, przesunęła dłonią po czarnych poduszkach i poderwała się znowu. - Jak się masz?

- Ho, ho! - Znał ją na tyle, by wiedzieć, że przyczyną jej podniecenia są nerwy. - To ja będę zadawał pytania. Napijcie się czegoś?

- Tak, proszę.

Podszedł do okrągłego szklanego baru i wydobył dwa zimne napoje.

- Czy są teraz jakieś wakacje, o których nie wiem?

- Dzień Wyzwolenia. Przeniosłyśmy się z Marianną do NYCC.

- Doprawdy? - Nalał do szklanek dietetycznej coli. - Dziwne, że Brian nic mi o tym nie wspominał.

- Nie wie. - Emma wzięła szklankę i z ostrzegawczym spojrzeniem wręczyła ją Mariannie. - Zanim zaczniesz mówić, chcę, żebyś wysłuchał, co mam do powiedzenia.

W odpowiedzi potargał ją za ucho.

- Jak ci się udało przemknąć obok Sweeneya i tego drugiego?

- Brązowa peruka, okulary w rogowej oprawie, łaska.

- Bardzo sprytnie. - Johnno pociągnął ze szklanki, nie do końca przekonany, czy odpowiada mu rola dobrotliwego powiernika. - Masz pojęcie, jak Brian będzie się martwił?

W jej oczach błysnął żal, ale szybko zmienił się w determinację.

- Mam zamiar zadzwonić do niego i wszystko wyjaśnić. Zdecydowałam się już, Johnno. Cokolwiek powiecie, ty czy ojciec, nie zmieni to mojego postanowienia.

- Nawet jeszcze nie próbowałam. - Mrugnął do Marianny. - Jesteś niezwykle cichutka.

- Otrzymałam ostrzeżenie. Zresztą, przeszłam przez to z moimi rodzicami - dodała prędko. - Nie byli zachwyceni, ale my już się zdecydowałyśmy. Skończyliśmy osiemnaście lat. Wiemy, czego chcemy.

Nagle Johnno poczuł się niepokojąco stary.

- I to, że skończyliście osiemnaście lat, oznacza, że możecie robić, na co macie ochotę?

- Nie jesteśmy już dziećmi- zdążyła powiedzieć Marianna, zanim Emma zakryła jej usta dłonią.

- Siedz cicho. - Emma wzięła od Johnno swoją szklankę. - Wiem, ile zawdzięczam tacie i tobie. Od czasu gdy skończyłam trzy lata, robiłam zawsze to, o co mnie prosił. Nie tylko z poczucia wdzięczności, wiesz o tym, ale dlatego, że kocham go najbardziej na świecie. Ale nie mogę być wiecznie dzieckiem, szczęśliwym w każdej bezpiecznej klatce, którą dla mnie wybierze. Ty chciałeś czegoś w życiu, on także. Więc to zdobyliście. Ja też czegoś chcę.

Podeszła do walizki, otworzyła ją zamasyżuje i wyjęła album. Jej zderowanie minęło. Pozostała tylko energia.

- To są moje zdjęcia. Spróbuję z nich wyżyć i pójdę tutaj do szkoły, by nauczyć się, jak to zrobić. Wynajmiemy mieszkanie z Marianną. Będę spotykała się z ludźmi, chodziła do klubów i na spacer do parku. Stanę się częścią świata, zamiast stać na jego obrzeżu i patrzeć. Proszę, zrozum!

- Jak bardzo byłaś nieszczęśliwa?

Uśmiechnęła się lekko.

- Nawet nie potrafiłabym opisać.

- Może powinnaś.

- Próbowaliśmy - umilkła na chwilę. - Ojciec nie rozumiał. Nie mógł. Chciałam tylko być z nim, z wami. Ponieważ to okazało się niemożliwe, próbowałam spełnić jego oczekiwania. Tamtej nocy na Martynice... - urwała, potem mówiła dalej, ostrożnie dobierając słowa. Nawet Marianna nie wiedziała, co Emma wtedy zobaczyła. - Wszystko się zmieniło, dla mnie i dla taty. Skończyłam to, co zaczęłam, Johnno. Byłam mu to winna, jestem mu winna wiele więcej. Ale teraz muszę zrobić coś dla siebie.

- Porozmawiam z nim.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj jeszcze. On jest gotów przeskoczyć Atlantyk i odrąbać mi głowę. - Leniwie otworzył album. - Zawsze byłeś mądra - mruknął. - Obie byłyście mądre. - Johnno ruchem głowy wskazał szkic Devastation wiszący na wschodniej ścianie. - Mówiłem ci, że go oprawię.

Marianna poderwała się z okrzykiem radości. Zrobiła obrazek na przyjęciu pomaturalnym. Dom, który Brian wynajął na Long Island, wypełniał tłum ludzi, ale Marianna nigdy nie należała do osób nieśmiałych. Kazała muzykom pozować.

- Nie sądziłam, że mówisz poważnie. Dzięki.

- Przypuszczam, że będziesz szła przez życie, malując obrazy, podczas gdy Emma będzie pstrykała zdjęcia.

- Właśnie tak. Trudno mi przyjdzie odgrywać rolę głodującej artystki ze spadkiem po babci, ale zrobię, co się da.

- Apropos głodowania, jadłyście coś?

- Ja hot doga na lotnisku, kiedy czekałam na samolot Emmy. - Marianna uśmiechnęła się szeroko. - Dawno temu.

- Wobec tego zjemy coś przed telefonem do Briana. - Johnno wyszedł zza baru. - To może być nasz ostatni posiłek.

- Hej! Nie mogłeś zasnąć? — Dziewczęta obróciły się na dźwięk męskiego głosu. Patrzyły na mężczyznę, wspaniałego mężczyznę, który schodził po kręconych schodach, ubrany jedynie w spodenki do joggingu. - Zastanawiałem się, gdzie cię poniosło. Och! — urwał, przeczesał palcami ciemne, rozczochrane włosy i uśmiechnął się do dziewcząt. - Dzień dobry. Nie wiedziałem, że mamy gości.

- Luke Caruthers, Emma McAvoy, Marianna Carter. - Johnno wsadził ręce w kieszenie dresów. - Luke pisze dla „New York Magazine”. - Zawahał się, potem wzruszył ramionami. - Mieszka tutaj.

- Aha! - To było wszystko, co Emmie udało się powiedzieć. Widywała w swoim życiu dość intymności, zazdrościła jej innym zbyt mocno, by jej teraz nie rozpoznać. - Dzień dobry.

- Więc to ty jesteś Emma. Tyle o tobie słyszałem. - Luke uśmiechnął się, wyciągając rękę na powitanie. - Nie wiem dlaczego, spodziewałem się ujrzeć małą dziewczynkę.

- Już nie - wykrztusiła.  
- A ty jesteś artystką. - Obdarzył Mariannę olśniewającym uśmiechem. - Podoba mi się twój szkic.

- Dzięki. - Marianna odrzuciła głowę i odwzajemniła uśmiech, mając nadzieję, że wygląda na kobietę bywałą.

- Właśnie proponowałem paniom coś do jedzenia. Są z podróży.

- Z przyjemnością przekaszę małe co nieco. Ale sam to przygotowuję. Potrawy Johnno to trucizna.

Marianna stała przez chwilę, niepewna, czy ma poddać się fascynacji, czy wpaść w mieszczański szok.

- Ja... ja... panu pomogę- rzuciła Emmie szybkie spojrzenie i pomknęła za przyjacielem Johnno do kuchni.

- Zdaje się, że przyjechałyśmy w nieodpowiednim momencie - zaczęła Emma. - Nie wiedziałam, że masz... współlokatora. - Odetchnęła głośno i przysiadła na oparciu fotela. - Nie wiedziałam, Johnno. Naprawdę nie wiedziałam.

- Najlepiej strzeżony sekret gwiazdy rocka - powiedział lekko, ale jego dłonie w kieszeniach dresów były zaciśnięte w pięści. - Chcesz, żebym pomógł ci wymyślić pretekst i zrobił rezerwację w Waldorne?

Policzki jej poczerwieniały. Spojrzała na swoje dłonie.

- Nie, oczywiście, że nie. Czy tata wie? Jasne, że wie. Głupie pytanie. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. No... tego, Luke jest bardzo atrakcyjny.

W oczach Johnno błysnęło rozbawienie.

- Tak. Tak mi się wydaje.

Jej rumieniec przybrał bardziej zdecydowany odcień, ale zmusiła się, by ponownie na niego spojrzeć.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Nie, kochanie - powiedział miękko. - Z ciebie, nigdy!

Patrzyła na Johnno uważnie, szukając w nim jakiejś zmiany, czegoś dziwnego, nieprawidłowego w twarzy, którą tak dobrze знаła. Nie było nic, po prostu Johnno. Wygięła lekko usta.

- No cóż, zdaje się, że moje plany muszą ulec zmianie.

Poczuł ból, ostrzejszy niż ten, który zadawały pięści chłopaków w dzieciństwie.

- Jest mi naprawdę przykro, Emmo.

- Nawet w połowie nie tak przykro jak mnie - powiedziała. - Muszę wyrzec się marzeń o uwiedzeniu cię. - Po raz pierwszy w życiu zobaczyła na jego twarzy wyraz kompletnego osłupienia.

- Słucham?

- No cóż, zawsze marzyłam, że kiedy dorosnę, dostrzeżesz we mnie kobietę. - Emma wstała, rozkładając ramiona. - Planowałam przyjść tutaj,

zrobić kolację przy świecach, włączyć muzykę i uwieść cię. - Wyciągnęła łańcuszek spod bluzki. Wisiał na nim plastikowy pierścionek z odpustowym oczkiem. — Zawsze myślałam, że będziesz moim pierwszym mężczyzną.

Oniemiały, gapił się na pierścionek, potem spojrzął jej w oczy. Ujrzał w nich miłość z gatunku tych, które trwają całe życie. I zrozumienie bez oskarżeń. Postąpił krok naprzód i ujął jej ręce. Udało mu się w końcu odzyskać głos. Brzmiał chrapliwie.

- Bardzo rzadko zdarzyło mi się żałować, że jestem pedałem. - Podniósł dłonie Emmy do ust. - Żałuję teraz.

- Kocham cię, Johnno.

Przytulił ją do siebie.

- Kocham cię, Emmo. Bóg jeden wie, dlaczego, skoro jesteś taką brzydula. - Kiedy się roześmiała, przyciągnął ją z powrotem i pocałował. - No, chodź. Luke nie tylko ładnie wygląda, ale w dodatku świetnie gotuje.

Emma obudziła się wcześniej i poszła do kuchni wiedziona zapachem kawy i przytłumionymi dźwiękami telewizora. Nie czuła już euforii, lecz podszyte niepokojem zagubienie, które ogarnia nas, kiedy budzimy się w obcym łóżku, uchwyciwszy zaledwie okruchy snu. Trochę niepewnie stała w drzwiach kuchni, patrząc, jak Luke smaruje grzanekę masłem. W telewizji David Hartman przeprowadzał wywiad z Harrisonem Fordem.

Zeszłej nocy, kiedy jedli w kuchni zupę i gorące sandwicze, czuła się w towarzystwie Luke'a niemal swobodnie.

Był dobrze wychowany, dowcipny, inteligentny i wręcz apetycznie przystojny. I był pedałem. Tak jak Johnno, przypomniała sobie Emma, i spróbowała się uśmiechnąć.

- Dzień dobry.

Luke się odwrócił. Wyglądał inaczej z uczesаныmi włosami i ogoloną twarzą. Miał na sobie szare spodnie, niebieską koszulę i krawat o odcień od niej ciemniejszy. Był energiczny, czujny i wręcz przygnębiająco profesjonalny. Prężny, pnący się w górę dyrektor, pomyślała. Zaprzeczenie Johnno.

- Cześć. Sądziłem, że wyłonicie się gdzieś koło południa. Kawy?

- Dzięki. Nie mogłam spać. Po południu wyruszamy z Marianną na poszukiwanie mieszkania, no i zastanawiałam się, jak ojciec zareagował na telefon Johnno.

- Johnno jest bardzo przekonujący. - Luke postawił przed nią kubek kawy. - Mogę chyba zakończyć twoje cierpienia. Grzanekę?

- Nie. - Przycisnęła rękę do żołądka. - Wiesz, co się stało?

- Kłócili się i to porządnie. - Luke zerknął na zegarek, po czym usiadł obok niej. - Johnno użył paru epitetów, których nie powinienem ci chyba powtarzać.

Pochyliła twarz i ukryła ją w dłoniach.

- Wspaniale.

- Przysiągł również, o ile sobie przypominam, na zbawienie duszy, że będzie miał na ciebie oko.

- Niech będzie błogosławiony!

- Na koniec, a nie nastąpił on szybko, Brian zgodził się, żebyś chodziła tutaj do college'u, ale - dodał, zanim Emma mogła skoczyć i wykonać dziki taniec - musisz zatrzymać ochronę.

- O, cholera! Nie pozwolę, żeby te dwa przyciężkie dupki łąziły za mną krok w krok. Równie dobrze mogłabym zostać u świętej Katarzyny. Kiedy ojciec w końcu zrozumie, że porywacze nie czyhają na mnie za każdym krzakiem. Ludzie nie wiedzą nawet, kim jestem, i nic ich to nie obchodzi.

- Jego obchodzi. - Położył rękę na jej dłoni. - Emmo, czasami musimy zadowolili się tym, co uda nam się zdobyć. Uwierz mi.

- Chcę tylko normalnie żyć - zaczęła.

- Większość z nas tego chce. - Uśmiechnął się, kiedy spaşowiała. - Słuchaj, oboje troszczymy się o Johnno. To czyni z nas przyjaciół, tak?

- Tak.

- Więc oto moja pierwsza przyjacielska rada, Pomyśl o tym w następujący sposób. Chcesz zostać w Nowym Jorku, tak?

- Tak.

- Chcesz chodzić na NYCC?

- Tak.

- Chcesz mieć własne mieszkanie?

Emma westchnęła tęsknie.

- Tak.

- Zdobyłaś to.

- Masz rację - przyznała po chwili. - Masz absolutną rację. A ochroniarzy mogę wykopać, kiedy zechcę.

- Nie słyshałem tego. - Luke spojrział ponownie na zegarek. - Słuchaj, muszę lecieć. Powiedz Johnno, że odbiorę jedzenie od Chińczyka. - Złapał aktówkę, potem się zatrzymał. — Zapomniałem. Czy to twoje? - Wskazał album rozłożony na kuchennym blacie.

- Tak.

- Dobra robota. Masz coś przeciwko temu, żebym to zabrał i pokazał paru osobom?

- Nie musisz tego robić. To, że jestem przyjaciółką Johnno, nie oznacza...

- Zaraz, zaraz. Słuchaj, zobaczyłem album leżący w drugim pokoju. Przyjrzałem mu się bliżej i spodobało mi się to, co zobaczyłem. Johnno nie kazał mi podbudowywać twojego ego. Nie zrobiłby tego.

Otarła dłonie o uda.

- Naprawdę ci się podobały?

- Tak. Znam sporo ludzi. Mógłbym ułatwić ci wejście do branży, jeżeli chcesz.

- Chciałabym, bardzo. Wiem, że muszę się jeszcze wiele uczyć, dlatego tu jestem. Brałam udział w konkursach i wystawach, ale... - urwała, zdając sobie sprawę, że bełkocze. - Dzięki. Jestem ci bardzo wdzięczna.

- Nie ma sprawy. To na razie. - Luke wepchnął album pod pachę i wyszedł.

Siedziała sama, oddychając bardzo ostrożnie. Zrobiłam pierwszy krok, myślała. W końcu zrobiłam pierwszy krok.

## Rozdział 19

Jest nasze!

Emma i Marianna stały objęte ramionami i patrzyły przez okno mieszkania w Soho. W głosie Emmy brzmiało niedowierzanie pomieszane z radością.

- Ciągle nie mogę w to uwierzyć - szepnęła Marianna.

- Uwierz. Jest nasze. Sześć metrów do sufitu, krzywe ściany i piekielny czynsz. - Śmiejąc się, wykonała trzy szybkie obroty. - Jesteśmy posiadaczami nieruchomości, ty, ja i Chase Manhattan.

- Kupiłyśmy to. - Marianna usiadła na pokierszowanej podłodze z szerokich desek. Szum jednej z ruchliwszych ulic miasta dochodził aż na trzecie piętro. Coś zważyło się z hukiem. Nawet przez zamknięte okna słyszały krzyki i przekleństwa. Brzmiały jak muzyka.

Mieszkanie było obszernym kwadratem ograniczonym z jednej strony oknami, z drugiej szklanym panelem.

„Rozsądna inwestycja”, przyznał niechętnie ojciec Marianny.

„Czyste szaleństwo”, brzmiał werdykt Johnno.

Inwestycja czy szaleństwo, mieszkanie było ich. Nadal w schludnych garsonkach, które włożyły na podpisanie umowy, obeszły swój nowy dom, owoc wielu tygodni poszukiwań, niezliczonych telefonów do pośredników handlu nieruchomościami, niekończących się rozmów z bankierami. Może to i była ogromna, pusta przestrzeń z obdrapanym sufitem i brudnymi szybami. Dla nich było to spełnienie marzeń dzieciństwa.

Spojrzały na siebie, a ich twarze wyrażały pełną oszołomienia zgrozę. Śmiech zerwał ostatnie tamy. Pierwsza zachichotała Emma, jej głos odbił się

echem od otynkowanych ścian. Chwyciły się w ramiona i ruszyły w zaimprovizowaną polkę po nowym domu.

- Nasze! - wysapała Emma, kiedy w końcu opadły z sił.

- Nasze. - Wymieniły uroczysty uścisk dłoni i wybuchnęły ponownie śmiechem.

- W porządku, współniku - zaczęła Marianna. - Czas podjąć pewne decyzje.

Usiadły na podłodze wśród rysunków Marianny, puszek ciepłej coli i cynowej popielniczki pełnej petów. Potrzebowały ściany tu, schodów tam. Studia na górze, ciemni na dole.

Tworzyły i przerabiały plany, budowały i niszczyły. W końcu Marianna machnęła papierosem.

- To jest to. Idealne.

- Natchnione. - Emma zaciągnęła się z zadowoleniem. — Jesteś geniuszem,

- To prawda. - Marianna leżała na plecach podparta łokciami. - Trochę mi pomogłaś.

- Zgadza się. Obie jesteśmy genialne. Miejsce na wszystko i wszystko na swoim miejscu, Nie mogę się doczekać, kiedy... O, cholera!

- Cholera? Co cholera?

- Nie ma łazienki. Zapomnialiśmy o łazience.

Marianna przypatrzyła się pilnie projektowi, po czym wzruszyła ramionami.

- Pieprzyć łazienkę. Będziemy używały nocnika.

Emma w milczeniu przyłożyła rękę do jej twarzy i pchnęła.

Siedząc okraciem na drabinie, Marianna malowała na ścianie naturalnej wielkości portret swój i Emmy. Emma wzięła na siebie bardziej przyziemne zadanie, jakim było zrobienie zakupów, i teraz upychała zapasy w lodówce.

- Dzwonek dzwoni! - zawołała Marianna, przekrzykując radio.

- Wiem. - Emma dzierżyła w ramionach dwa grapefruity, sześć puszek coli i słoik dżemu truskawkowego. Kiedy dzwonek rozległ się ponownie, upchnęła to wszystko na jednej półce. Przycisnęła intercom umieszczony przy drzwiach windy, która wjeżdżała do mieszkania.

- Tak?

- McAvoy i Carter?

- Zgadza się.

- Przesyłka. Łóżka.

Emma otworzyła drzwi zewnętrzne i wydała okrzyk wojenny.

- Co? - zapytała Marianna, odchylając się na tyle, by móc podziwiać swoje dzieło.



- Łóżka! - krzyknęła Emma. - Mamy łóżka.  
- Nie żartuj z takich rzeczy, Emma! Nie wtedy, gdy robię twój portret, bo odmaluję cię wiernie.

- Nie żartuję. Jadą na górę.

Marianna zamarła z kapiącym pędzlem.

- Prawdziwe łóżka?

- Materace. - Emma oparła się o drabinę. - Sprężyste materace.

- Jezu! - Marianna zamknęła oczy i zadygotała spazmatycznie. -

Myszę, że miałam orgazm.

Na dzwonek windy Emma przemknęła przez pokój. Kiedy drzwi się otworzyły, ujrzała w nich królewskich rozmiarów materac w plastikowym pokrowcu.

- Gdzie chce to pani mieć? - padło zduszone pytanie.

- Och! Proszę to zanieść na górę, w najdalszy róg.

Mężczyzna z naszywką „Buddy” na czapce przewrócił oczami i ruszył w stronę schodów.

- Zmieściliśmy w windzie tylko jeden. Kolega czeka na dole.

- W porządku. - Emma wcisnęła guzik blokujący drzwi. — Prawdziwe łóżka - poinformowała Mariannę, która dołączyła do niej.

- Proszę, nie przy ludziach. Cholera, telefon. Ja odbiorę.

Zadzwoiła winda. Emma skierowała drugiego mężczyznę na piętro - Rika, sądząc po czapce - po czym uśmiechnęła się do Buddy'ego, który wracał na dół. Kiedy winda się otworzyła, wyszczerzyła zęby do wypełniających ją sprężyn.

- Jedna w górę, jedna w dół. Chce pan czegoś zimnego do picia?

Zza sprężyn wyłonił się Brian.

- Tak, proszę.

- Tata!

- PanMcAvoy! - wrzasnęła Marianna, żeby zagłuszyć radio. Zatrzymała się w pół drogi i wytarła poplamione farbą ręce o ogrodniczki. - Cześć.

- Zechce się pan posunąć? - zapytał Buddy i przepchnął sprężyny w stronę schodów.

- Tata - wykrztusiła znów Emma. - Nie wiedziałam, że tu jesteś.

- To oczywiste. Na litość boską, Emmo, tą windą może wjechać każdy. Zawsze trzymasz drzwi otwarte?

- Dostawa ze sklepu. Łóżka. - Emma wskazała Rika, który walczył ze swoim ładunkiem. Przywołała uśmiech na twarz i pocałowała ojca. - Myślałam, że jesteś w Londynie.

- Byłem. Zdecydowałem, że czas zobaczyć, jak mieszka moja córka. - Wszedł do pokoju, by poddać go długiej, srogiej inspekcji. Większość podłogi zarzucona była ubraniami. Krata z piecyka służyła zarazem jako stolik

i taboret, a obecnie znajdowały się na niej stare gazety, lampa, częściowo opróżniona szklanka i puszka z farbą. Stojące na parapecie radio nadawało na cały regulator listę przebojów Caseya Kasema. Drabina, stolik do kart i jedno krzesło dopełniały wystroju wnętrza.

- Jezu! - Tylko tyle był w stanie powiedzieć.

- Jest to obecnie teren budowy - poinformowała go Emma z wymuszoną pogodą. - Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale niedługo kończymy. Stolarze mają jeszcze do zrobienia to i owo i facet... to znaczy glazurnik, przyjdzie w poniedziałek, żeby wykończyć łazienkę.

- To wygląda jak magazyn.

- Faktycznie, była to kiedyś hala fabryczna - wtrąciła Marianna. - Podzieliłyśmy ją tu i ówdzie szklaną cegłą. To pomysł Emmy. Wspaniały, prawda? - Wskazała metrową ściankę oddzielającą kuchnię od reszty mieszkania. - Mamy różne cudowne stare urządzenia - ciągnęła. Ujęła go pod ramię i oprowadziła po mieszkaniu. - Sypialnia Emmy będzie tu. Szkło zapewnia trochę prywatności, a jednocześnie przepuszcza światło. Ja jestem na górze, połączenie sypialni i studia. Ciemnia Emmy jest już gotowa, a w poniedziałek łazienka będzie nie tylko funkcjonalna, ale również atrakcyjna.

Choć z niechęcią, musiał przyznać, że widzi tu dobrą robotę. Z niechęcią, ponieważ to wszystko czyniło z Emmy kobietę, kogoś obcego.

- Postanowiliśmy być się bez mebli?

- Chcemy poczekać, aż skończy się remont. - Emma zdawała sobie sprawę, że jej głos brzmi twardo, ale nie mogła nic na to poradzić. - Nie śpieszy się nam.

- Podpisze pani? - Buddy podetknął jej kwit. - Skończyliśmy. - Wydmuchał nos w czerwoną chustę, nie odrywając wzroku od Briana. - Hej! Hej! Czy pan to nie jest czasem... jasne, że pan jest. Niech mnie! McAvoy. Brian McAvoy. Hej, Riko, ten tutaj to Brian McAvoy. Devastation.

- Chrzanisz?

Usta Briana ułożyły się automatycznie w uroczy uśmiech.

- Miło mi pana poznać.

- To wspaniale, po prostu wspaniale - ciągnął Buddy. - Moja żona nigdy w to nie uwierzy. Na pierwszą randkę poszliśmy na pana koncert. To było w siedemdziesiątym piątym. Mogę dostać autograf?

- Oczywiście.

- Jezu, ona nigdy w to nie uwierzy. - Przetrzasał kieszenie w poszukiwaniu kawałka papieru. Emma podała ojcu notes.

- Jak ma na imię pana żona?

- Doreen. Człowieku, ona padnie trupem.

- Mam nadzieję, że nie. - Brian wręczył mu kartkę, ciągle z uśmiechem na ustach.

Potem trzeba było napisać dedykację Rikowi i upłynęło dziesięć minut, zanim zostali sami. Marianna zniknęła dyskretnie na górze.

- Masz piwo? — zapytał Brian.

- Nie. Tylko zimne napoje.

Wzruszywszy niecierpliwie ramionami, Brian podszedł do frontowych okien. Była tutaj taka wyeksponowana. Czy tego nie widziała? Ogromne okna, centrum miasta. Kupno pierwszego piętra i zainstalowanie tam Sweeneya i jeszcze jednego faceta, wydawało mu się bez znaczenia, teraz kiedy mógł sam ocenić sytuację. Była narażona na niebezpieczeństwo. Za każdym razem, gdy wychodziła na ulicę.

- Miałem nadzieję, że wybierzesz coś w lepszej dzielnicy, budynek z ochroną.

- Coś takiego jak Dakota? - powiedziała i przeklęła samą siebie. - Przepraszam, tato. Wiem, że Lennon był przyjacielem.

- Tak, był. — Odwrócił się. - Jego śmierć powinna ci uświadomić, co czuję. Został zastrzelony na ulicy nie w celach rabunkowych, nie w ataku furii. Zginął po prostu dlatego, że był tym, kim był, czym był. Ty jesteś moja, Emmo. To sprawia, że jesteś również narażona.

- A ty? - odparowała. - Za każdym razem, gdy wychodzisz na scenę, wystawiasz się na cel. Wystarczy, że wśród tych tysięcy ludzi znajdzie się jeden szaleniec. Wydawało ci się, że nigdy o tym nie myślę?

Pokręcił głową.

- Tak, tak właśnie mi się wydawało. Nigdy o tym nie mówiłaś.

- Czy to by coś zmieniło?

W milczeniu usiadł na parapecie i wyjął papierosa.

- Nie. Nie możesz przestać być tym, kim jesteś, Emmo, nawet jeżeli byś chciała. Ale jedno dziecko już straciłem. - Brian potarł zapałkę i patrzył, jak się spala. - Nie przeżyłbym straty drugiego.

- Nie chcę rozmawiać o Darrenie. — Dawna rozpacz podeszła jej do gardła, nadając głosowi chrapliwe brzmienie.

- Rozmawiamy o tobie.

- No dobrze. Nie mogę już dłużej żyć wyłącznie dla ciebie, bo cię znienawidzę. Dałam ci Św. Katarzynę, tato, i rok w college'u, którego nie cierpiałam. Muszę zacząć żyć na własną rękę. To właśnie tu robię.

Zaciągnął się papierosem, marząc o alkoholu.

- Wolałbym chyba, żebyś mnie znienawidziła. Jesteś wszystkim, co mam.

- To nieprawda. - Podeszła do niego. Żal i rozczarowanie rozplynęły się pod naporem miłości. - Nigdy nie byłam wszystkim i nigdy nie będę. - Emma wzięła go za rękę i usiadła. Był piękny, nie tylko w rozkochanych oczach córki. Czas, stresy, życie, nie pozostawiły na nim widocznych

śladów. Przynajmniej na zewnątrz. Może był trochę za szczupły, ale czas nie pobruździł jego uduchowionej twarzy, nie przyprószył siwizną jasnych włosów. Czy to czary, myślała, że ja dorosłam, a on się nie postarzał? Trzymała go za rękę i mówiła, starannie dobierając słowa. - Problem polega na tym, że przez większą część mojego życia ty byłeś wszystkim, co miałam. - Zaciśnęła palce na jego dłoni. - I wszystkim, czego potrzebowałam. Teraz potrzebuję więcej, tato. Proszę tylko, bym mogła to zdobyć.

Obrzucił wzrokiem pokój.

- Tutaj?

- Na początek.

Nie mógł kwestionować czegoś, co tak doskonale rozumiał.

- Pozwól, żebyśmy założyły alarm.

- Tato!

- Emma - przerwał, ściskając ją za rękę. - To mi pozwoli spokojnie spać.

Roześmiała się krótko, odprężona.

- Dobrze. Potraktuję to jako prezent na nowe mieszkanie. - Pocałowała go. - Zostaniesz na obiad?

Rozejrzał się jeszcze raz po pokoju. Przypominał mu jego pierwsze mieszkanie, choć tamto było dziesięć razy mniejsze. Mimo to pokój budził wspomnienia. Zobaczył, jak taszczy z Bev stare meble, malują odrapane ściany. Kochają się na podłodze.

- Nie. - Nagle zapragnął wyjść, nie widzieć tej młodości, nadziei i niewinności. - Może zabiorę was do restauracji?

Marianna przechyliła się niebezpiecznie przez poręcz schodów.

- Dokąd?

Brian uśmiechnął się do niej.

- Wybierzcie same.

Zmuszony do zaakceptowania decyzji Emmy, Brian odgrywał rolę pobłażliwego ojca. Kupił jej litografię Warhola, rozkoszną lampę w znaki zodiaku Tiffany'ego, niebiesko-różowy dywan Aubussona. Przez tydzień pobytu w mieście wpadał codziennie z nowym prezentem. Nie mogła go powstrzymać, a kiedy zobaczyła, ile mu to sprawia przyjemności, przestała próbować.

Pierwsze przyjęcie wydały w ostatni wieczór pobytu Briana w Nowym Jorku. Krata z piecyka stała na bezcennym dywanie. Tiffany przyozdabiał stół do kart. Jedzenie serwowano w plastikowych michach i cennej porcelanie, którą przysłała matka Marianny. Miejsce radia zajęła grzmiąca wieża stereo, prezent od Johnno.

Garstka studentów wymieszała się z muzykami i gwiazdami Broadwayu. Stroje wahały się od dzinsów po jedwabie i cekiny. Ponad rykiem muzyki wzbijał się śmiech i gorące dyskusje.

Emma zateśniła nagle do przyjęć ze swojego dzieciństwa, do ludzi rozłożonych na podłodze, do błyskotliwych, pięknych ludzi rozmawiających o swojej sztuce. Sączyła wodę sodową i, jak to miała w zwyczaju, obserwowała.

- Interesujące zgromadzenie - zauważył Johnno, obejmując ją ramionami. - Zostało ci jeszcze piwo?

- Zobaczymy.

Poprowadziła go do kuchni. W lodówce oprócz dzbanka wina i paru butelek piwa Becka nie pozostało praktycznie nic. Emma otworzyła jedną z butelek i wręczyła ją Johnno.

- Jak za starych, dobrych czasów - powiedziała.

- Mniej więcej. - Powąchał szklanekę, którą trzymała ciągle w ręku. - Dobra z ciebie dziewczynka.

- Nie przepadam za alkoholem.

- To nie wymaga usprawiedliwień. Bri dobrze się bawi. - Wskazała ruchem głowy Briana, który siedział na podłodze i brzdąkał na gitarze niby wędrowny bard.

Kiedy popatrzyła na ojca, śpiewającego bardziej dla siebie niż dla otaczających go ludzi, poczuła, że miłość przenika ją na wskroś.

- Gra dla samego siebie sprawia mu identyczną przyjemność, co gra na scenie czy w studiu.

- Większą- stwierdził Johnno, zanim przechylił szklanekę z piwem. - Choć nie sądzę, żeby o tym wiedział.

- Myślę, że uspokoił się trochę co do mnie. - Rozejrzała się po tłumie wypełniającym dom. Jej dom. - W końcu założył tu alarm, przy którym system ochrony pałacu Buckingham to dziecinna zabawka.

- Irytujące?

- Nie. Naprawdę nie. Oczywiście przeważnie zapominam kodu. - Sączyła wodę, zadowolona, że może stać oddzielona ścianką od tłumy i śmiechów. - Luke powiedział ci, że wysłał mój album do Timothy'ego Runyuna?

- Coś wspominał. - Johnno uniósł głowę. - Jakiś problem?

- Nie wiem. Zaproponował mi pracę na pół etatu w charakterze asystentki.

Pociągnął ją lekko za włosy związane w koński ogon.

- To godne pożałowania, ale tylko nieliczni wybrańcy zaczynają od góry, Emmo, kochanie.

- Nie o to chodzi. Wcale nie. Runyun znajduje się w dziesiątce najlepszych fotografów w kraju. Start u niego w charakterze odzwiernej byłby spełnieniem marzeń.

- A więc?

Odwróciła się do rozbawionego tłumu, by spojrzeć mu w oczy.

- Więc dlaczego zaproponował mi pracę, Johnno? Ze względu na moje zdjęcia, czy ze względu na ciebie i ojca?

- Może powinnaś zapytać o to Runyuna.

- Mam taki zamiar. - Emma odstawiła szklanekę i natychmiast wzięła ją z powrotem. - Wiem, że „American Photographer” opublikował moje zdjęcie, ponieważ Luke im to zasugerował.

- Ach, tak? - powiedział Johnno łagodnie. - Więc ta fotka nie była godna zaszczytu?

- To była cholernie dobra fotka, ale...

Johnno oparł się o lodówkę i łyknął piwa.

- Rozchmurz się, Emmo. Nie możesz iść przez życie, rozbierając na części pierwsze wszystkiego, co ci się przydarzy, dobrego czy złego.

- Zrozum, jestem wdzięczna Luke'owi. Był wspaniały od samego początku. Ale to nie to samo, co dawanie mnie i Mariannie lekcji gotowania.

- Tego nie da się z niczym porównać - stwierdził sucho.

- Chcę zawdzięczać tę pracę u Runyuna samej sobie. - Odrzuciła włosy. Złote wisiorki zatańczyły przy jej uszach. - Ty masz swoją muzykę, Johnno. Ja czuję to samo w stosunku do mojej fotografii.

- Jesteś dobra?

Uniosła podbródek.

- Bardzo dobra.

- Więc wszystko jest w porządku. - Johnno uznał temat za wyczerpany i wrócił wzrokiem do gości - Niezła grapa.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale przeciągnęła tylko dłonią po włosach i zrezygnowała.

- Żałuję, że nie ma tu P.M. i Steviego.

- Może następnym razem. Widzę jednak parę znajomych twarzy. Ściągnęłaś Blackpoola.

- W zasadzie to tata wpadł wczoraj na niego. Występuje w Madison Square w przyszłym tygodniu. W całym mieście nie ma jednego biletu. Wybierasz się?

- Nawet o tym nie marzę. - Uniósł brew. - Trudno nazwać mnie fanem.

- Nagrał trzy piosenki autorstwa McAvoya i Donovana.

- Interesy - powiedział lekceważąco.

- Dlaczego go nie lubisz?

Johnno wzruszył ramionami i pociągnął ze szklanki.

- Nie jestem pewny. Ten zadowolony z siebie uśmiech.

Emma sięgnęła do szafki po nową paczkę chipsów.

- Myślę, że ma podstawy do zadowolenia. Cztery złote albumy, parę nagród Grammy i oszałamiająca żona.

- Oszałamiająca ekszona, powiedziano mi. Jedno jest pewne, dobiera się do naszego ulubionego rudzielca.
- Do Marianny? - Odrzucając na bok paczkę chipsów, Emma odwróciła się szybko, omiotła wzrokiem pokój i wyłowiła z tłumy swoją współlokatorkę i Blackpoola. Siedzieli przytuleni na kanapce w ciemnym oknie wykuszowym. Owładnęło ją silne uczucie zazdrości pomieszanej z trwogą. - Daj mi papierosa - szepnęła, próbując opanować emocje.
- Ona jest już dużą dziewczynką, Emmo.
- Oczywiście. - Emma wciągnęła w płuca ostry dym i się skrzywiła. - Mógłby być jej... - urwała, przypomniawszy sobie, że Johnno jest cztery, pięć lat starszy od Blackpoola.
- Grzeczna dziewczynka - zachichotał głośno Johnno. - Ugryź się w język.
- Nie uśmiechnęła się.
- Chodzi mi tylko o to, że Marianna była zawsze tak chroniona.
- Oczywiście. Matka przełożona.
- Gadasz głupoty, Johnno. - Emma uniosła szklankę i upiła łyk, przyglądając się Blackpoolowi. Nazwisko pasowało do niego jak ulał. Miał czarne, gęste włosy i ubierał się na czarno. Skóra, zamsz, jedwab. Twarz zmienna, wrażliwa. Tak wyobrażała sobie zawsze Heathcliffa. I zawsze uważała, że postaci Bronte są bardziej skłonne do samodestrukcji niż bohaterstwa. Marianna wyglądała przy nim jak jasna, smukła świeca prosząca się o ogień. - Chciałam tylko powiedzieć, że większość życia spędziła w tej cholernej szkole.
- Siedząc w ławce obok ciebie - zwrócił jej uwagę Johnno. Nie była w nastroju do żartów.
- Och, no dobrze. To prawda. Ale ja spotykałam się z wami, widziałam różne rzeczy, uczestniczyłam w jakimś innym życiu. Marianna poruszała się między szkołą obozem a posiadłością ojca. Ona pozuje, w rzeczywistości jest bardzo naiwna.
- Stawiam na naszego rudzielca. Blackpool jest gładki, miły i nie jest potworem.
- Oczywiście, że nie. Tak czy inaczej, będę miała oko na Mariannę. - Podniosła papierosa do ust i nagle zamarła.
- Ktoś włączył płytę, Beatlesów. *Abbey Road*. Pierwszy kawałek na stronie A.
- Emma! - Johnno chwycił jej przegub. Puls bił jak szalony, skóra była lodowata. - Co, u diabła! Emma, spójrz na mnie!
- He say one and one and one it's three.*
- Wyłącz płytę - szepnęła.
- Co?!

- Wyłącz płytę. - Emma czuła, że oddech utkwił jej w gardle i dławi płuca. - Johnno, proszę. Wyłącz to.
- Dobrze. Zostań tutaj.
- Przecisnął się przez tłum, szybko i zdecydowanie.
- Emma ścisnęła brzeg kuchennego blatu, aż straciła czucie w palcach. Nie widziała już ludzi, ładnych ludzi, śmiejących się nad plastikowymi kubkami z białym winem i zmrożonymi butelkami importowanego piwa. Widziała korytarz pełen cieni, słyszała syk i kłapanie zębów potworów. I krzyki swojego braciszka.
- Emmo! - To Brian, stoi z Johnno we wnęce kuchennej. - Co się stało, kochanie? Żle się czujesz?
- Nie. To tata — szepnęła. - Tata je odpędzi. Nie, to Darren. Słyszałam, jak płacze.
- O Boże! - Brian ujął ją za ramiona i potrząsnął. - Emmo, spójrz na mnie!
- Co? - poderwała głowę. Łzy przyćmiły jej wzrok. - Przepraszam, przepraszam. Uciekłam.
- Już wszystko dobrze. - Przytulił ją mocno. Jego udręczone oczy napotkały wzrok Johnno. - Musimy ją stąd zabrać.
- Do sypialni - zaproponował Johnno i zaczął dyskretnie torować Brianowi drogę. Zamknął za nimi szklane drzwi, odgradzając od odgłosów przyjęcia.
- Połóż się, Emmo. - Brian mówił kojącym głosem, sadzając córkę na łóżku. - Zostanę tutaj.
- Nic mi nie jest. - Jej świat znów uległ rozdwojeniu. Nie wiedziała, czy czuje smutek, czy zażenowanie. - Nie mam pojęcia, jak to się stało. Coś się we mnie przełączyło i miałam znów sześć lat. Przepraszam, tato.
- Ciii. - Przycisnął usta do jej skroni. — To bez znaczenia.
- To muzyka - powiedział Johnno i usiadł obok nich. - Muzyka cię zdenerwowała.
- Tak. - Zwilżyła usta. - Tak, muzyka. To samo grali tamtej nocy. Kiedy się obudziłam i usłyszałam Darrena. Grali to, kiedy szłam korytarzem. Zapomniałam. Nigdy nie mogłam słuchać tej piosenki, ale nie wiedziałam, dlaczego. Dzisiaj, pewnie przez to przyjęcie, wszystko wróciło.
- Zacznę chyba wypraszać gości.
- Nie. - Emma chwyciła Johnno za rękę, zanim zdążył wstać. - Nie chcę psuć Mariannie tego wieczoru. Już dobrze się czuję, naprawdę. To było takie dziwne. Prawie tak, jakbym tam była. Ciekawe, czy dotarłam do drzwi, czy widziałam...
- Nie! - Dłoń Briana zacisnęła się na jej ręce. - To już przeszłość. Zamknięta przeszłość. Nie chcę, żebyś o tym myślała.



Była zbyt słaba, by się kłócić.

- Odpocznę tu chwilę. Nie jestem tam potrzebna.
- Zostanę z tobą.
- Nie. Dobrze się czuję. Zasnę. Za parę tygodni Gwiazdka. Przyjadę do Londynu, tak jak obiecałam. Na cały tydzień.
- Posiedzę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

Nie było go już, kiedy obudziła się z koszmarnego snu. Sen był wyraźny, przerażająco realny. Zupełnie jak rzeczywistość dwanaście lat temu. Skórę miała wilgotną od potu, kiedy zapalała lampę. Potrzebowała światła. Tyle rzeczy mogło ukrywać się w mroku.

Panowała cisza. Piąta rano, cisza i spokój. Przyjęcie się skończyło i ona leżała sama za szklanymi ścianami pokoju. Z trudem, jak stara kobieta, wstała z łóżka, żeby się rozebrać i otulić szlafrokiem. Rozsunęła drzwi, zapaliła jeszcze jedną lampę.

Pokój wyglądał jak pobojowisko. Unosił się w nim kwaśny odór piwa, zapach dymu skłębionego pod sufitem, perfum i potu. Spojrzała w stronę schodów. Nie chciała budzić Marianny, zabierając się teraz do sprzątania, choć jej wrodzone umiłowanie czystości pchało ją do działania.

Miała jednak co innego do roboty i chciała to zrobić szybko, zanim tchorstwo weźmie górę. Usiadła przy telefonie i wykręciła numer informacji.

- Poproszę numer American Airlines, TWA i Pan Amu.

## Rozdział 20

Nie chciała czuć się winna. Prawdę mówiąc, w tym momencie nie chciała czuć nic. Gdyby ojciec dowiedział się, że poleciała do Kalifornii bez ochroniarzy, wpadłby w furję. Nie pozostawało jej nic innego, jak mieć nadzieję, że się nie dowie. Przy odrobinie szczęścia spędzi dwa dni w Kalifornii, wróci w niedzielę w nocy, w poniedziałek rano pójdzie na zajęcia, i nikt, z wyjątkiem Marianny, nie będzie o tym wiedział.

Dzięki ci, Boże, za Mariannę, pomyślała, kiedy samolot dotknął ziemi. Z chwilą, gdy zorientowała się, że pytania są bolesne, przestała je zadawać. Marianna zwlokła się z łóżka o świcie, założyła blond perukę, ciemne okulary i prochowiec Emmy i zaprowadziła ochroniarzy na wczesną mszę do świętej Patrycji.

To dało Emmie dość czasu, by pojechać na lotnisko i złapać samolot na Zachodnie Wybrzeże. Jeżeli chodzi o Sweeneya i jego współpracownika,

Emma McAvoy spędza cichy weekend u siebie w domu. Jeżeli zadzwoni Brian albo Johnno, Marianna będzie musiała ich zagadać. W końcu to jej specjalność.

Tak czy inaczej, myślała Emma, wysiadając z samolotu, kości zostały rzucone. Była na miejscu i zrobi to, po co tu przyjechała.

Musi zobaczyć dom. Został sprzedany ileś tam lat temu, wątpiła więc, czy udaje się wejść do środka. Ale musiała go zobaczyć.

- Beverly Wilshire - powiedziała taksówkarzowi.

Wyczerpana, oparła głowę o poduszki i przymknęła oczy osłonięte ciemnymi okularami. Było jej za gorąco w zimowym płaszczu, ale nie miała siły zrzucić go z ramion. Muszę wynająć samochód, uświadomiła sobie i sapnęła ze złości. Powinna to była od razu zrobić. Kręcąc głową, obiecała sobie, że wynajmie wóz natychmiast po rozpakowaniu tych paru drobiazków, które wrzuciła do torby.

Pełno tu duchów, pomyślała. Na Hollywood Boulevard, w Beverly Hills, na plażach Malibu i wzgórzach otaczających zatokę krążył duch Emmy McAvoy, dziewczynki, która przyjechała na wycieczkę do Stanów. Duch jej dzielnego ojca, który dźwigał Emmę na ramionach w Disneylandzie. Bev, uśmiechniętej Bev, z dłonią na dziecku, które nosiła w sobie. Duch Darrena, chichoczącego radośnie, jeżdżącego traktorem po tureckim dywanie.

- Panienko?

Emma zamrugała i skupiła wzrok na mężczyźnie w liberii, który czekał, by pomóc jej przy wysiadaniu.

- Pani do hotelu?

- Tak, dziękuję. - Mechanicznie zapłaciła taksówkarzowi i weszła do recepcji. Wzięła klucze, zapominając na chwilę, że po raz pierwszy w życiu będzie mieszkać sama.

W pokoju rozpakowała torbę podręczną od Gucciego, z przyzwyczajenia składając starannie bieliznę, wieszając ubrania, ustawiając przybory toaletowe. Potem ujęła słuchawkę telefonu.

- Tu Emma McAvoy z 312. Chciałabym wynająć samochód. Na dwa dni. Tak szybko, jak to możliwe. Świetnie. Będę czekała na dole.

Coś jeszcze musiała zrobić, choć bardzo się tego bała. Otworzyła książkę telefoniczną i przesunęła palcem wzdłuż litery K. Kesselring L.

Zanotowała adres swoim starannym charakterem pisma. Nadal mieszkał w tym mieście.

- Będziesz jadł przez cały ranek, Michael, czy zabierzesz się w końcu do koszenia trawnika?

Michael uśmiechnął się szeroko do ojca, dokładając sobie na talerz naleśników.

- To duży trawnik. Muszę się wzmocnić. Prawda, mamie?
- Chłopak nie odżywia się właściwie, odkąd nie mieszka z nami.

Marge, zadowolona, że ma przy stole obu swoich mężczyzn, nalała kawy do kubków. - Sama skóra i kości. Parę dni temu obgotowałam ładny kawałek szynki. Zabierzesz ją ze sobą do domu.

- Żebyś się nie ważyła dawać temu próżniakowi mojej szynki - zaprotestował Lou.

Michael unióśł brew, po czym oblał naleśniki miodem.

- Kogo nazywasz próżniakiem?
- Przegrałeś zakład, ale nie widzę, żeby mój trawnik był skoszony.
- Przyjdzie czas i na to - mruknął Michael i złapał jeszcze jedną kiełbaskę. - Jestem pewien, że mecz był sprzedany.
- Orioles wygrali, uczciwie i czysto. A było to miesiąc temu. Płać.

Michael machnął kiełbaską. Odbywali tę rozmowę w każdy weekend od czasu mistrzostw świata i bez wątplenia odbywaliby ją przez całe lata, aż do chwili spłacenia długu.

- Jako kapitan policji powinieneś wiedzieć, że hazard jest nielegalny
- Jako rekrut, przydzielony do mojego rejonu, powinieneś mieć więcej rozumu i nie stawiać na przegranego konia. Kosiarka jest w szopie.
- Wiem. - Michael wstał i objął matkę ramieniem. - Jak ty wytrzymujesz z tym facetem?
- Nie jest to łatwe. - Uśmiechnęła się i poklepała Michaela po policzku. - Uważaj na różę przy koszeniu, kochanie.

Patrzyła, jak zatrząskuje za sobą siatkowe drzwi, tak jak robił to zawsze. Przez chwilę pragnęła, by miał znowu dziesięć lat, ale to szybko minęło, ustępując uczuciu spokojnej dumy.

- Dobrze się spisaliśmy, Lou.
- Tak. - Lou wsadził do zlewu naczynia swoje i syna.

Starzał się ładnie. Przez ostatnie dwadzieścia lat nie przytył więcej niż cztery kilo. Włosy miał zupełnie siwe, ale zachował większość z nich. Choć czasem przychodziło mu do głowy, że znajduje się nieprzyjemnie blisko sześćdziesiątki, czuł się lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Dzięki żonie, pomyślał, obejmując Marge, i jej uporczywej walce z cholesterolem i cukrem

Jeżeli chodzi o Marge, weszła z zadowoleniem w wiek średni. Była równie szczupła i giętka jak w dniu ślubu. Nic nie mogło skłonić jej do opuszczenia zajęć aerobiku dwa razy w tygodniu. Włosy miała ufarbowane na przyćmiony brąz, wyjątkowo twarzowy.

Pięć lat temu dostała, zdaniem Lou, nieszkodliwego bzika na punkcie własnego biznesu. Pozwolił swojej „małej kobiecie” otworzyć niewielką księgarnię i uznał, że jest wyjątkowo tolerancyjnym mężem. Był delikatny i uważający jak dorosły spełniający zachciankę dziecka. Ale ona go zaskoczyła.

Miała głowę do interesów, była bystra i często bezwzględna. Z małego sklepiku zrobił się duży sklep. Teraz prowadziła trzy dobrze prosperujące filie w Hollywood, Bel Air i Beverly Hills.

Życie jest pełne niespodzianek, myślał Lou, łapiąc uchem odgłos kosiarki. Jego żona, która wydawała się zadowolona, ścierając latami kurze i piekąc ciasta, była teraz kobietą interesu i zatrudniała księgowego. Jego syn, który przemknął się beztrasko przez college, a następnie półtora roku spędził w stanie absolutnej bierności, wstąpił do akademii policyjnej, nie mówiąc im o tym ani słowa. A on sam myślał coraz częściej o czymś, co zawsze wydawało mu się sprawą odległej przyszłości. O emeryturze.

Miałem dobre życie, myślał, wciągając zapach kiełbasek i róż. Nagle chwycił żonę w ramiona, okręcił i pocałował mocno w usta.

- Dzieciak będzie zajęty co najmniej przez godzinę - szepnął, nakrywając dłońmi jej piersi. - Chodźmy na górę.

Marge odrzuciła głowę i uśmiechnęła się radośnie.

Michael skręcił kosiarką, rozkoszując się wysiłkiem fizycznym i potem, który pokrył mu skórę. Nie to, żeby lubił przegrywać zakłady. Nienawidził przegrywać czegokolwiek.

Ale brakowało mu trawy, jej zapachu. Mieszkanie w bloku z basenem wielkości znaczka pocztowego i hałaśliwymi sąsiadami odpowiadało jego potrzebom. Jednak przedmieścia, ze starymi, gęstymi drzewami i schludnymi ogródkami, z grillami i półciążarówkami na tylnych podwórkach, oznaczały prawdziwy dom. Tutaj zawsze czujesz się jak dziecko, myślał. Wyprawy rowerem w sobotnie poranki, Ricky Jones wypróbować nową deskorolkę. Śliczne dziewczyny spacerują w bawełnianych sukienkach, a ty odstępujesz bilety na mecz baseballowy i udajesz, że ich nie widzisz.

Niewiele się tu zmieniło od czasów jego dzieciństwa. Gazeciarze nadal jeździli na rowerach i rzucali wiadomości codzienne w krzaki. Sąsiedzi nadal rywalizowali o najlepiej utrzymany trawnik, najpiękniejszy ogródek. Pożyczali narzędzia i zapominali ich oddać.

Wszystko to dawało mu poczucie ciągłości. Nie wiedział, że tego potrzebuje, dopóki nie utracił.

Kątem oka podchwycił jakiś ruch i uniósłszy głowę, ujrzał, że roleta w pokoju rodziców idzie w dół. Wrósł w ziemię z otwartymi ustami, a uchwyt kosiarki wibrował mu w rękę. Nie miał wprawdzie złotej odznaki, ale nie trzeba było oficera policji, by wydedukować, co dzieje się za tą roletą. O dziewiątej rano. Gapił się jeszcze przez chwilę, niepewny, czy powinien być ubawiony, zażenowany czy zachwycony. Zdecydował, że najlepiej w ogóle o tym nie myśleć. Było coś niesamowitego w wyobrażaniu sobie aktu miłosnego własnych rodziców.

Prowadząc kosiarkę jedną ręką, drugą rozpinął koszulę. Bożonarodzeniowe lampki dekorowały wprawdzie okapy domów, ale temperatura dochodziła do trzydziestu stopni. Michael pomachał pani Baxter, która wyszła podać swoje gladiole. Ledwo skinęła mu na powitanie, więc dalej śpiewał wraz z Bruce'em Springsteenem piosenkę, która rozbrzmiewała w słuchawkach. Dziesięć lat temu trafił piłką we frontowe okno pani Baxter. Jeszcze mu nie wybaczyła.

Skosił tylny trawnik i połowę frontowego, kiedy zaczął się zastanawiać, dlaczego ojciec nie zainwestuje w samoczynną kosiarkę. Przy krawężniku zaparkował mercedes z opuszczanym dachem. Michael obdarzyłby go zaledwie jednym przelotnym spojrzeniem, gdyby nie blondynka za kierownicą. Miał słabość do blondynek. Dziewczyna tam po prostu siedziała, ukryta za ciemnymi okularami, a sekundy rozciągały się w minuty.

W końcu wolno wysiadła. Była równie smukła i wymuskana, jak mercedes. Ujrzał długie eleganckie nogi okryte cienką, bawełnianą spódnicą. Dostrzegł także ręce, delikatne, wypięszczone dłonie zaciśnięte na szarej skórzanej torebce.

Piękna, zdenerwowana i zamiejskowa, stwierdził Michael. I bogata. Zarówno jej torebka, jak i buty były ze skóry. A w uszach i na przegubach matowo połyskiwało złoto. Sposób, w jaki się poruszała, mówił o dobrobycie i przywilejach. Dłonie mogły zdradzać zdenerwowanie, ale ruchy były płynne jak u tancerki.

Szła bez wahania. Najwyraźniej zdecydowała w samochodzie, że do niego podejździe. Poczuł jej zapach zmieszany z zapachem ściętej trawy, lekki i delikatnie uwodzicielski. Kiedy się uśmiechnęła, serce w nim zamarło. Jedną ręką wyłączył kosiarkę, drugą ściągnął z uszu słuchawki i stał, gapiąc się na nią. W nagłej ciszy słychać było metaliczny głos Springsteena i E Street Band.

- Cześć. Przepraszam, że odrywam cię od pracy.

W ustach mu zaschło. To głupie. Idiotyczne. Ale nie mógł nic na to poradzić. Ten głos - brzmiał mu w uszach przez całe lata. Podkradał się do niego, kiedy spał, kiedy siedział przed telewizorem, kiedy rozmawiał z innymi kobietami. Zobaczył, że dziewczyna zagryza usta, i wziął się w garść. Uśmiechnął się do niej, zdejmując ciemne okulary.

- Cześć, Emmo. Złapałaś ostatnio jakąś dobrą falę?

Rozchyliła usta ze zdziwienia, potem przez jej twarz przemknął błysk radości, świadczący o tym, że go poznała.

- Michael! - Miała ochotę zarzucić mu ramiona na szyję. Zaczerwieniła się na tę myśl. - Jak to dobrze znowu cię widzieć - powiedziała, wyciągając rękę.

Jego dłoń była twarda i wilgotna. Cofnął ją niemal natychmiast, by otrzeć o znoszone dżinsy.

- Nie przyszedłeś na plażę.

- Nie. - Ciągle jeszcze się uśmiechała, ale dołeczek w kąciку ust zniknął. - Nigdy nie nauczyłam się surfingu. Nie wiedziałam, czy nadal mieszkasz w tym domu.

- Faktycznie, nie mieszkam. Przegrałem zakład z moim starym i przez parę tygodni muszę kosić mu trawnik. - Nie miał najmniejszego pojęcia, jak z nią rozmawiać. Była taka piękna, taka krucha, kiedy stała na świeżo skoszonym trawniku w swoich drogich, włoskich czółenkach, a lekki wiatr poruszał jej jasnymi włosami. - Jak się miewasz? - wykrztusił w końcu.

- Świetnie. A ty?

- W porządku. Parę razy widziałem w prasie twoje zdjęcia. Z tej narciarskiej miejscowości.

- Saint Moritz.

- Chyba tak. - Oczy ma takie same, pomyślał. Wielkie, niebieskie i przerażone. Kiedy w nie patrzył, jego żołądek zaczynał wyczyniać dziwne harce. - Czy... przyjechałaś z wizytą?

- Nie, właściwie... tak. Prawdę mówiąc...

- Michael! - Odwrócił się na głos matki. Stała w drzwiach, elegancka w każdym calu. - Nie poprosisz swojej koleżanki do domu?

- Oczywiście. Masz chwilę? - zapytał.

- Tak. Miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z twoim ojcem.

Poczuł, że jego nadzieje pryskają jak przekłuty balon. Skąd przyszło mu do głowy, że przyjechała tu dla niego?

- Tata jest w domu. - Udało mu się uśmiechnąć. - Oddaje się lenistwu.

Poszła z nim w stronę drzwi, w których czekała Marge. Trzymała teraz torebkę w śmiertelnym uścisku i żaden wysiłek duchowy nie był w stanie rozluźnić jej palców.

Mieli już choinkę. Emma zerknęła na przystrojone świecidełkami drzewko. Leżały pod nim prezenty, starannie zapakowane i obwiązane wstążeczkami. Pachniało sosną, której gałązki Marge porozkładała w całym domu.

Meble były stare, nie tyle zniszczone, co zadomowione. Widać, że rodzina ich używa, pomyślała Emma. I robi to od tak dawna, że prawie ich nie zauważa. Po prostu sadowi się na kanapie lub fotelu co wieczór, dzień po dniu. Przez rozsunięte zasłony wpadało światło. Na stojaku przy wschodnim oknie kwitły bujnie afrykańskie fiołki.

Zdjęła ciemne okulary i składając, i rozkładając oprawkę, rozglądała się po pokoju.

- Może usiądziesz?

- Tak, dziękuję. Nie zostanę długo. Wiem, że psuję ci weekend.

- Aha. Cały tydzień marzyłem o tym, żeby skosić ten trawnik. - Michael uśmiechnął się szeroko, znów odprężony, i wskazał jej fotel. - Pójdę po ojca.

Ale zanim zdążył się ruszyć, weszła Marge z tacą zastawioną dzbankiem mrożonej herbaty, szklankami i talerzem domowych ciasteczek.

- Proszę bardzo. Michael, zapnij koszulę - rzuciła mimochodem i postawiła tacę na stoliku do kawy. - Jak to miło, że pani wpadła.

- Emmo, to moja matka. Mamo, Emma McAvoy.

McAvoy! - przypomniała sobie momentalnie Marge. Mogła mieć tylko nadzieję, że jej oczy nie zdradzają współczucia i fascynacji.

- Ach, oczywiście - powiedziała, nalewając herbatę. - Ciągłe jeszcze przechowuję wycinek z gazety, na którym ty i Michael siedzicie na plaży.

- Mamo!

- Matce wolno - rzekła łagodnie. - Cieszę się, że mogłam cię w końcu poznać, Emmo.

- Dziękuję. Przepraszam, że wpadłam tak niespodziewanie.

- Nonsens. Przyjaciele Michaela są tu zawsze mile widziani.

- Emma przyszła do taty.

- Och! - W oczach Marge mignęło niezadowolenie. - No cóż, jest w ogrodzie. Sprawdza, czy Michael nie ściał żadnego z krzaków róży. Pójdę po niego.

- Jeden krzaczek, kiedy miałem dwanaście lat, i już nigdy nie będę godny zaufania. - Michael chwycił ciasteczko. - Spróbuj, mama robi najlepsze ciastka w tej części miasta.

Wzięła jedno z uprzejmości, przerażona myślą, że musiałaby coś przeknąć.

- Masz uroczy dom.

Przypomniał sobie krótką wycieczkę po pałacu w Beverly Hills, gdzie spędzała tamto lato.

- Zawsze go lubiłem. - Pochylił się i położył rękę na jej dłoni. - Emmo, co ci jest?

Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego to ciche pytanie i dotyk jego ręki omal nie pozbawiły jej resztek opanowania. Tak łatwo byłoby oprzeć się na nim, otworzyć serce i otrzymać pociechę. Ale to oznaczałoby kolejną ucieczkę.

- Sama nie wiem. - Wstała, kiedy wszedł Lou. Jej uśmiech był niepewny, lękliwy, a dla Michaela niszczycielsko pociągający. - Kapitanie!

- Emma! - Z wyraźną przyjemnością ujął obie jej dłonie. - Zupełnie dorosła.

Omali się nie załamała. Omali nie złożyła mu głowy na piersi i nie rozpłakała się tak jak przed laty. Chwyciła mocno jego dłonie, badając twarz.

- Prawie się pan nie zmienił.

- Dokładnie takie pochlebstwo pragnie usłyszeć mężczyzna z ust pięknej kobiety.

Uśmiechnęła się, tym razem bez przymusu.

- Nie, naprawdę. Studiuję fotografię, więc staram się obserwować i zapamiętywać twarze. To miło z pana strony, że zgodził się pan ze mną porozmawiać.

- Nie bądź głupiutka. Siadaj, siadaj. - Lou zauważył dzbanek z herbatą i sięgnął po szklanke, by dać jej czas na oswojenie się z sytuacją. - Czy twój ojciec jest w mieście?

- Nie. — Emma przesuwiała palcami w górę i w dół własnej szklanki, ale nie piła. - Jest w Londynie albo w drodze do Londynu. Mieszkam teraz w Nowym Jorku, chodzę tam do college'u.

- Nie byłem w Nowym Jorku od lat. - Kesselring usadowił się w pasywnym fotelu z zagłówkami, jakby dla niego stworzonym. Emma pomyślała, że pewnie rzadko siada na czymś innym. - Fotografia, mówisz. Pamiętam, kiedy widziałem cię ostatnio, miałeś aparat.

- Nadal go mam. Tato mawia, że dając mi tego nikona, stworzył potwora.

- Jak on się miewa?

- Świetnie. - Powiedzieć, że jest tego pewna, byłoby grubą przesadą. Wzięła głęboki oddech i zaryzykowała prawdę. - On nie wie, że tu jestem. I nie chcę, żeby się dowiedział.

- Dlaczego?

Uniosła dłoń, po czym pozwoliła jej opaść bezradnie.

- Byłby zdenerwowany i strasznie nieszczęśliwy, gdyby się dowiedział, że przyjechałam do pana, żeby porozmawiać o Darrenie.

- Michael, czy mógłbyś mi w czymś pomóc? - Marge zaczęła się podnosić, ale Emma pokręciła głową.

- Nie, proszę. Nie musi pani wychodzić. To nie jest sprawa osobista. Chyba nigdy nie była. - Wzburzona, odstawiła szklanke. - Zastanawiałam się tylko, czy jest coś, co pan wie, coś, czego nie doszperali się dziennikarze, a czego mi nie powiedzieliście, uważając, że jestem za młoda. Udawało mi się zepchnąć tę sprawę na dno świadomości, na długie okresy. Ale nigdy nie udało mi się zapomnieć naprawdę. A wczoraj w nocy przypomniałam sobie...

- Co? - Lou pochylił się ku niej.

- Tylko piosenkę - szepnęła. - Piosenkę, którą grali tamtej nocy. Przypomniałam sobie, że słyszałam ją, kiedy szłam do pokoju Darrena. To było takie realne, przez chwilę takie wyraźne. Melodia, słowa, krzyk Darrena. Ale nie mogę dojść do drzwi. Kiedy o tym myślę, widzę tylko siebie stojącą w korytarzu.



- Może nic więcej nie zrobiłaś? - Lou spojrzał koso na swoją szklankę. Podobnie jak Emmie, udawało mu się odsunąć tę sprawę na granicę świadomości. Ale ona zawsze wracała. Wiedział, że twarz chłopca będzie go prześladowała do końca życia. - Emmo, nigdy nie byliśmy pewni, czy weszłaś do pokoju, czy widziałaś cokolwiek. Wtedy twierdziłaś, że tak, ale byłaś bardzo zdezorientowana. Równie dobrze mogłaś usłyszeć coś, co cię przstraszyło, pobiec do schodów, żeby zawołać ojca i spać. Miałaś tylko sześć lat i bałaś się ciemności.

Bałam się i nadal się boję, pomyślała.

- Nigdy nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Z tą myślą, że mogłam coś zrobić. Uratować go.

- Co do tego, mogę cię uspokoić. - Odstawił szklankę. Chciał, żeby widziała w nim teraz policjanta, osobę urzędową. - Tamtej nocy w pokoju twojego brata znajdowało się dwóch mężczyzn. Niania twierdziła, że kiedy ją wzięto, słyszała dwóch mężczyzn rozmawiających szeptem. Dowody potwierdziły jej zeznania. Strzykawka znaleziona na podłodze w pokoju twojego brata zawierała środek uspokajający, dziecięcą dawkę. Z tego, co udało się nam ustalić, wynika, że między związaniem niani a twoim upadkiem upłynęło niecałe dwadzieścia minut. To była partacka robota, tragiczna w skutkach, ale bardzo dobrze przemyślana. Coś się wydarzyło, co pokrzyżowało im plany, zbiło ich z tropu. Może nigdy się nie dowiemy, co. Ale gdybyś weszła do tego pokoju, próbowała ich powstrzymać, nie tylko nie uratowałabyś Darrena, ale najprawdopodobniej sama też byś zginęła.

Pragnęła, żeby miał rację. Modliła się, żeby miał rację. Ale nie przyniosło jej to ulgi. Kiedy godzinę później opuszczała jego dom, obiecała sobie, że postara się w to uwierzyć.

- Masz wspaniałych rodziców - powiedziała Michaelowi w drodze do samochodu.

- Aha. Są równi. - Położył rękę na klawiszu, Tym razem nie pozwoli jej zniknąć tak szybko ze swojego życia. Nie ma mowy. Przypomniał sobie, jak wyglądała na plaży - czy to już pięć lat? Była smutna - smutna i piękna. Miała w sobie coś, co poruszyło w nim wtedy jakąś strunę. Poruszyło ją również teraz. - Długo zostaniesz w mieście?

Popatrzyła w dół ulicy. Taka ładna dzielnica. Słyszała dzieci bawiące się parę domów dalej, cichy szum kosiarki ścinającej zieloną podmiejską trawę. Ciekawe, jak mieszka się w takim miejscu? - pomyślała z tęsknotą.

- Wyjeżdżam jutro.

Miał ochotę zakląć.

- Krótka wycieczka.

- W poniedziałek muszę być na zajęciach. - Emma podniosła wzrok, równie zakłopotana jak on. Był przystojniejszy, niż pamiętała; ułamany ząb, lekko krzywy nos. - Żałuję, że nie mam więcej czasu.

- A co teraz robisz?

- Jadę... jadę na przejażdżkę. Na wzgórze.

Zrozumiał i nie był pewny, czy pomysł mu się podoba.

- Mogę jechać z tobą?

Otworzyła usta, żeby odmówić, grzecznie, tak jak ją nauczono.

- Tak, proszę bardzo - usłyszała swój głos.

- Daj mi minutę. - Zniknął, zanim miała czas zmienić zdanie. Siatkowe drzwi trzasnęły za nim, kiedy wpadł do domu, trzasnęły ponownie, kiedy z niego wypadł. Usiadł obok niej na przednim siedzeniu, uśmiechając się od ucha do ucha. - Uratowałam mnie przed kolejną godziną koszenia. Tata nie znieśie, żeby trawnik czekał w tym stanie do mojego powrotu. Jest na to zbyt zorganizowany.

- Cieszę się, że mogłam pomóc.

Przez jakiś czas jechała po prostu przed siebie, ciesząc się wiatrem, który przeczesywał jej włosy, muzyką i rozmową o niczym. Kiedy w głośnikach zabrzmiał czysty, silny głos jej ojca, uśmiechnęła się.

- To musi być dziwne uczucie.

- Słuchać go? - Uśmiechnęła się szerzej. - Nie, wcale. Znałam głos Briana, zanim poznałam jego samego. Nie da się myśleć o tacie, nie myśląc o muzyce. Ty masz to samo. On jest twoim ojcem, ale także policjantem. To chyba naturalne, że widzisz go z pistoletem albo odznaką, albo z czym tam jeszcze.

- A jednak to było trochę dziwne, kiedy zacząłem u niego pracować.

- U niego pracować?

- Aha. W końcu uległem. - Posłał jej serdeczny uśmiech. - Jak powiedział kiedyś Johnno, poszedłem w ślady ojca.

## Rozdział 21

Jesteś policjantem?! - Emma zahamowała przed znakiem stopu i skorzystała z okazji, by przyjrzeć się sąsiadowi.

- Mój ojciec woli raczej określenie „rekrut”. Co mi się tak przyglądasz? Wyrósł mi świński ryjek?

- Nie. - Posiedziała jeszcze chwilę, zanim ruszyła dalej. To naiwne z mojej strony, myślała, tworzyć sobie wizerunek policjanta w oparciu

z jednej strony o postać Lou, z drugiej o Starsky'ego i Hacha. - Po prostu to dziwne myśleć o tobie w ten sposób.

- Ha! To już coś. Nigdy nie przypuszczałem, że w ogóle o mnie myślisz.

Roześmiała się.

- Oczywiście, że tak. Kiedy nasze zdjęcie ukazało się w prasie, przez całe tygodnie byłam najpopularniejszą dziewczyną w szkole. Oczywiście ubarwiłam całą historię na swoją korzyść.

- Ja również. - Położył rękę na oparciu fotela, by bawić się końcami jej włosów. - Ten wycinek załatwił mi randkę z Sue Ellen Cody.

- Naprawdę? - Emma rzuciła mu z ukosa szybkie spojrzenie.

- To było moje piętnaście minut sławy. Miałem nadzieję, że wrócisz.

- Sweeney powiedział wszystko tacie. - Wzruszyła ramionami. - I na tym sprawa się skończyła. Lubisz być policjantem?

- Aha. Jeszcze wstępując do akademii, byłem pewny, że tego nienawidzę. No i proszę. Niektóre rzeczy są nam przeznaczone. Bez względu na to, ile razy uciekniemy, w końcu i tak znajdziemy się tam, gdzie nasze miejsce. Jeżeli chcesz jechać do domu, musisz tu skręcić.

Znowu zatrzymała samochód, gapiąc się prosto przed siebie.

- Skąd wiesz?

- Ojciec przyjeżdżał tu często. Czasami zabierał mnie ze sobą. Siedział po prostu i patrzył. Pomyślałem, że może powinnaś wiedzieć, że on nigdy o tym nie zapomniał. I nigdy nie pogodził się z tym, że nie dopadł porywaczy.

- Myślę, że wiedziałam - powiedziała wolno. - Dlatego chciałam się z nim zobaczyć, porozmawiać jeszcze raz - westchnęła. - Wiedziałaś, co zamierzam, kiedy powiedziałam, że jadę na przejażdżkę.

- Mniej więcej.

- Dlaczego pojechałaś ze mną?

- Nie chciałem, żebyś zrobiła to sama.

Zesztywniała. Ruch był ledwo uchwytny i Michael wyczuł, bardziej niż zobaczył, że prostuje ramiona i unosi podbródek.

- Nie jestem ze szkła, Michael.

- Okay. Chciałem być z tobą.

Obróciła się ku niemu. Oczy miał łagodne jak oczy Lou, ale Emma odnalazła w nich chłopca, który odwiózł ją z plaży do domu. Jej ciało rozluźniało się stopniowo.

- Dzięki.

Zawróciła i pozwoliła się pilotować. Ulice nie wyglądały znajomo. A myślała, że będą. Przyszło jej do głowy, że sama nie odnalazłaby domu. Poczowała się głupio. Nie rozmawiali teraz. Z ust Michaela padały tylko

krótkie polecenia: „skręć w lewo”, „skręć w prawo”. Słuchali za to cichej, kojącej muzyki Crosby'ego, Stills i Nash.

Nie musiał mówić, że ma się zatrzymać. Rozpoznała dom. Był jak zdjęcie, stworzone przez nią i przechowane w jej pamięci. Niewiele się zmienił. Nadal otulały go drzewa, żywopłoty, zimowe kwiaty na wzgórzach. Wiejskie ustronie, na które w środku miasta mogli pozwolić sobie tylko bogacze. Sekwoje i szklane ściany, tarasowe trawniki schodzące między drzewa. Strumyk.

Widziała, podobnie jak Michael, tablicę wbity w ziemię, która informowała, że dom jest na sprzedaż.

- Możemy uznać to za zrządzenie losu - powiedział, dotykając jej ramienia. - Chcesz wejść?

Trzymała dłonie przyciśnięte do ud. Widziała okno swojego pokoju, w którym stała kiedyś z Darrenem i patrzyła z zachwytem na lisa umykającego pośród drzew.

- Nie mogę.

- Okay. Posiedzimy tu, jak długo będziesz chciała.

Widziała siebie brodzącą w strumieniu. Bev śmieje się z Darrena, który w ogrodniczках podwiniętych do kolan chłapie bosymi nogami w wodzie. Piknik, który urządzili sobie we czwórkę. Koc rozłożony pod drzewami. Ojciec brzdąka cicho na gitarze, Bev czyta książkę, a Darren drzemie na jej kolanach.

Zapomniała o tamtym dniu. Jak mogła zapomnieć? To był taki piękny dzień. Chłód trawy, ciepło słońca, rozjaśnione żółcią plamy liści i szarozielony, miękki cień tam, gdzie promienie nie dotarły. Słyszała głos ojca, słowa, które nucił.

„Nigdy nie jest za późno, by poszukać miłości, nigdy nie za wcześnie, by ją znaleźć”.

Byliśmy szczęśliwi, myślała Emma. Byliśmy rodziną. A następnego dnia wydaliśmy przyjęcie i wszystko się zmieniło.

- Tak - powiedziała nagle. - Chcę wejść do środka.

- Okay. Ale byłoby lepiej, gdyby nie wiedzieli, kim jesteś. To znaczy o twoich powiązaniach.

Skinęła głową i przejechała przez otwartą bramę.

Kiedy stanęli przed drzwiami, Michael ujął ją mocno za rękę. Była zimna jak lód, ale nie drżała. Drzwi się otworzyły i Michael przywołał najpiękniejszy ze swych uśmiechów.

- Dzień dobry. Przejeżdżaliśmy tędy i zobaczyliśmy tablicę. Od tygodni szukamy domu. Jesteśmy wprawdzie umówieni za godzinę na obejrzenie innej posesji, ale nie mogliśmy się oprzeć, by tu nie wstąpić. Dom nie jest jeszcze sprzedany, prawda?

Kobieta, na oko czterdziestoparoletnia, ubrana w strój country od Calvina Kleina i mokasyny od Bassa, obrzuciła go długim, uważnym spojrzeniem. Odnosiła roboczą koszulę, wytarte lewisy i zdarte buty z cholewami. Była jednak dość bystra, by zauważyć włoskie czółenka Emmy, spódnicę i bluzkę od Ralphi Lauren. A także mercedesa na podjeździe. Uśmiechnęła się. Dom był wystawiony na sprzedaż od pięciu miesięcy i jak dotąd nie otrzymała żadnej konkretnej oferty.

- No cóż, w zasadzie mamy już kupca, ale kontrakt zostanie podpisany dopiero w poniedziałek. - Jej wzrok powędrował ku dłoni Emmy. Widniał na niej mały, gustowny pierścionek z brylantem i szafirem. - Chyba nic się nie stanie, jeżeli państwa oprowadzę.

Otworzyła szerzej drzwi i uniosła brwi, kiedy Emma zawahała się w progu.

- Nazywam się Gloria Steinbrenner.

- Miło mi panią poznać. - Michael wyciągnął rękę. - Michael Kesselring. A to Emma.

Pani Steinbrenner obdarzyła oboje olśniewającym uśmiechem. Do diabła z pośrednikami, pomyślała. Ma oto przed sobą klienta i postara się wykorzystać ten fakt.

- Dom jest w świetnym stanie. Uwielbiam go. — Nienawidziła każdej deski i każdej cegły. - Serce mi pęka na myśl o sprzedaży, ale, jeżeli mam być szczerą, rozwodzimy się z mężem i musimy podzielić majątek.

- Och! - Michael miał nadzieję, że jego twarz wyraża współczucie i zainteresowanie. - Przykro mi.

- Nie ma potrzeby. - Machnęła ręką. - Jesteście stąd?

- Nie, prawdę mówiąc, z... Valley- powiedział w nagłym natchnieniu. - Marzymy, żeby się stamtąd wydostać, tłum, smog. Prawda, Emmo?

- Tak. - Uśmiechnęła się z przymusem. - To piękny dom.

- Dziękuję. Powierzchnia, jak państwo widzą, ogromna. Wysokie pokoje, dębowe belki, mnóstwo szyb i otwartej przestrzeni. Kominek jest czynny, rzecz jasna.

Rzecz jasna, pomyślała Emma. Czyż przed nim nie siadywała? Meble były nowe, znienawidziła je od pierwszego wejrzenia. Pretensjonalne nowoczesne rzeźby i stoliki na wysoki połysk. Gdzie podziały się wszystkie poduszki, śmieszne koszyki z kłębkami wełny i wstążkami, które robiła Bev?

- Pokój stołowy jest tutaj, ale tamten kącik przy oknie nadaje się idealnie na intymne kolacyjki.

Nie, nie nadaje się, pomyślała Emma, podążając za kobietą jak automat. Przy tych oknach Bev ustawiła kwiaty. Dżunglę kwiatów w starych glinianych donicach. Stevie i Johnno przynieśli jej kiedyś drzewko. Przywlekli je, skan i przerobienie anula43

sapiąc i gderając pod nosem. To miał być żart, ale Bev zostawiła je tam, a na jednej z gałęzi posadziła śmiesznego glinianego drozda.

- Emma?

- Co? - podskoczyła, wracając do terażniejszości. - Przepraszam.

- Och, nic nie szkodzi. - Pani Steinbrenner z zadowoleniem stwierdziła, że klientka sprawia wrażenie zahipnotyzowanej. - Pytałam tylko, czy pani gotuje.

- Nie, nie najlepiej.

- Kuchnia jest urządzona według najnowszych wzorów. Kazałam przebudować ją dwa lata temu. - Właścicielka pchnęła wahadłowe drzwi, ukazując wnętrze. - Wszystko wbudowane w szafki. Kuchenka mikrofalowa, kuchenka jenn-air, piec. Hektary blatów. Spiżarnia, rzecz jasna.

Emma gapiła się na szablonową, bezduszną kuchnię. Morze białego, nieskazitelnego metalu. Zniknęły miedziane, lśniące garnki, które Bev wieszała na haczykach. Zniknęły pęki ziół. Nie było wysokiego stołeczka Darrena ani książek kucharskich, ani kolorowych aptekarskich buteleczek.

Kobieta drażyła temat, uznając najwyraźniej kuchnię *TA. piece de resistance*, podczas gdy Emma stała i cierpiała.

Kiedy zadzwonił telefon, pani Steinbrenner zamknęła drzwi białego laboratorium.

- Przepraszam na chwilę.

- Dobrze się czujesz? — zapytał szeptem Michael.

- Tak. - Emma pragnęła, żeby to była prawda. - Chciałabym pójść na górę.

- Słuchaj, Jack. - Głos pani Steinbrenner stracił gruchające brzmienie. - Nie interesują mnie twoje żale ani groźby twojego prawnika. Rozumiesz?

Michael odchrząknął.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się pogodnie. - Możemy się trochę pokręcić?

Machnęła przyzwalająco ręką.

- Słuchaj, dupku!-warknęła w słuchawkę.

- Wygląda na to, że będzie zajęta przez jakiś czas - rzucił Michael lekko. - Jesteś pewna, że chcesz iść na górę?

Nie, nie była pewna. W najmniejszym stopniu.

- Zaszłam tak daleko, że nie mogę się cofnąć.

- Dobrze. - Choć twierdziła, że nie jest ze szkła, objął ją za ramiona, kiedy zaczęli wchodzić na schody.

Drzwi stały otworem - drzwi do sypialni Briana i Bev. Ile razy słyszała późną nocą śmiech dochodzący z tego pokoju! Pokój Alice, zawsze taki słodki i czysty, zmienił się w salonik z telewizorem i półkami pełnymi książek. Jej pokój. Zatrzymała się.

Lalki zniknęły, zniknęła lampka z Myszka Miki i biało-różowe zasłonki. Od bardzo dawna nie mieszkała tu, nie marzyła, żadna mała dziewczynka. Najwyraźniej był to teraz pokój gościnny. Jedwabne kwiaty, hollywoodzkie łoża z kolorowymi poduszkami i starannie ułożoną narzutą. Stylowe zasłonki zostały zastąpione żaluzjami, śmieszny pleciony dywanik wykładziną.

- To mój pokój - powiedziała Emma bezdźwięcznie. - Na ścianach była tapeta w różyczki i fiołki, plisowane różowe zasłonki i ogromna biała narzuta na łożko. Na półkach stały lalki i pozytywki. Myślę, że o takim pokoju marzy każda dziewczynka. Bev to rozumiała. Nie wiem, dlaczego myślałam, że pozostanie taki sam.

Michael przypomniał sobie zdanie przytaczane w college'u, jedno z tych, które zapadają człowiekowi w pamięć. „Nic nie jest wieczne, wszystko przemija”. Wzdrygnął się bezwiednie. Nie był facetem, który rzuca cytatami, powiedział więc tylko:

- W twojej pamięci jest taki sam. Tylko to się liczy.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i spojrzała na drzwi pokoju Darrena. Były otwarte, tak jak powinny być tamtej nocy.

~~ Spałam - zaczęła martwym głosem. - Coś mnie obudziło. Muzyka. Myślałam, że muzyka. Nie słyszałam jej, ale czułam. Czułam basy. Próbowałam zgadnąć, jaka to piosenka, co robią ludzie na dole. Nie mogłam się doczekać, kiedy będę dość duża, by uczestniczyć w przyjęciach. Usłyszałam coś. Coś — szepnęła, trąc z irytacją skronie, w których kiełkował ból. - Nie wiem, co. Ale... Kroki! - Przypomniała sobie nagle i poczuła, że jej serce tłucze się o żebra. - Usłyszałam, że ktoś idzie korytarzem. Chciałam, żeby to był tato albo Bev. Chciałam, żeby ze mną chwilę porozmawiali. Może uda mi się namówić ich, żeby zabrali mnie na dół. Ale to nie był tato ani Bev.

- Spokojnie. - Widział, jak pot występuje jej na czoło. - Powolutku. - Michael rozcierał jej rękę w swoich dłoniach.

- Darren płakał. Słyszałam, że płacze. Wiem o tym. To nie był sen. Słyszałam, że płacze. Wstałam. Alice powiedziała, żebym nie zanosila mu Karola, ale Darren lubił spać z Karolem. Poza tym płakał. Chciałam zanieść mu Karola i porozmawiać z nim, dopóki nie zaśnie. Ale w korytarzu było ciemno.

Rozejrzała się wokoło. Teraz po podłodze migotało światło z sypialni.

- Było ciemno, a nie powinno być. Zawsze zostawiali dla mnie światło. Tak bardzo boję się ciemności, W ciemności są stwory.

- Stwory? - powtórzył, ściągając brwi.

- Nie chciałam wychodzić na korytarz. Ale on ciągle płakał. Wchodząc w ciemność, słyszałam muzykę. Była głośna, a ja się bałam.

Zaczęła iść w stronę drzwi jak lunatyczka.

- Słyszałam je, syczały w kątach, drapały się po ścianach, świszczały na dywanie.

- Co słyszałaś? - zapytał cicho.

- Potwory. - Emma odwróciła się, by na niego spojrzeć. - Słyszałam potwory. I... nie pamiętam. Nie pamiętam, czy otworzyłam drzwi. Były zamknięte, wiem, że były zamknięte, ale nie wiem, czy je otworzyłam.

Stanęła w progu. Przez ułamek sekundy widziała tamten pokój - zarzucony zabawkami Darrena, pomalowany na jasne, żywe kolory. Jego łóżeczko, fotel na biegunach, nowiutki rowerek. Potem na dawny obraz nałożył się obecny.

Dębowy stół i skórzany fotel. Obrazy, szklane półki zastawione jakimiś ozdobami.

Biuro. Przemienili pokój jej brata w biuro.

- Uciekłam - powiedziała w końcu. - Nie pamiętam nic więcej, poza tym że uciekłam i spadłam ze schodów.

- Mówisz, że podeszłaś do drzwi? Mojemu ojcu powiedziałaś wtedy w szpitalu, że je otworzyłaś.

- To było jak sen. A teraz w ogóle nie pamiętam. Wszystko przybladło.

- Może taka jest kolej rzeczy.

- Darren był piękny. - Patrzenie na ten pokój sprawiało ból. - Taki piękny. Kochałam go najbardziej na świecie. Wszyscy go kochali. - Łzy przyćmiły jej wzrok. - Muszę się stąd wydostać.

- Chodź. - Michael poprowadził ją korytarzem ku schodom, z których spadła tamtej nocy przed laty. Posłał szybkie, przeprasające spojrzenie Glorii Steinbrenner, która wybiegła z kuchni.

- Przykro mi, ale żona źle się czuje.

- Och! - Najpierw ogarnęły ją irytacja i rozczarowanie. Dopiero potem zjawiała się nadzieja. - Musi odpocząć. Jak pan widzi, dom jest jakby stworzony dla dzieci. Nie chciałby pan chyba wychowywać dziecka w Valley?

- Nie. - Nie wyprowadził jej z błędu. - Zadzwonimy do pani! - zawołał, siadając za kierownicą. Gdyby nie był tak przejęty błądzącją Emmą i prowadzeniem samochodu wartego trzydzieści tysięcy dolarów, z pewnością zauważyłby niebieskiego sedana, który ruszył ich śladem.

- Przepraszam - szepnęła Emma, kiedy zjeżdżali po krętych uliczkach.

- Nie bądź głupia.

- Niezbyt dobrze to zniosłam.

- Zniosłaś to świetnie. - Poklepał ją niezgrabnie po ręce. - Słuchaj, nigdy nie straciłem nikogo bliskiego, ale jestem człowiekiem i mogę sobie wyobrazić, jak to boli. Nie zadręczaj się, Emmo.

- I zostaw to za sobą? - uśmiechnęła się z trudem. - Mam nadzieję, że potrafię. Myślałam, że jeżeli stanę w tym korytarzu i pomyślę o tamtej



nocy, wszystko sobie przypomnę. Ponieważ to się nie stało... - Wzruszyła ramionami i zdecydowanym ruchem włożyła ciemne okulary. - Jesteś dobrym przyjacielem.

- Fakt - mruknął. - Zawsze i wszędzie. Głodna?

Miała już pokręcić przecząco głową, kiedy usłyszała, że owszem, tak.

- Umieram z głodu.

- Chyba stać mnie na hamburgera — dodał, próbując uprzytomnić sobie stan portfela.

- Z przyjemnością zjem hamburgera. A ponieważ jesteś kumplem, ja stawiam.

Podjechał pod McDonalda i stwierdziwszy, że w portfelu znajdują się trzy dolary i numer telefonu nieznanego mu bliżej blondyny, postanowił odłożyć na bok głupią, męską dumę. Emma poparła jego pomysł, by wziąć jedzenie na wynos. Nie protestowała również, kiedy ponownie usadowił się za kierownicą.

- Pomyślałem, że może pojedziemy na plażę.

- Dobrze. - Emma przymknęła oczy i oparła się o siedzenie. Była zadowolona, że tu przyjechała, Zadowolona, że weszła po tych schodach. Rada, że tu siedzi, czuje ciepły wiatr we włosach i Michaela obok siebie. - W Nowym Jorku padał deszcz ze śniegiem, kiedy wyjeżdżałam.

- Szkoły wyższe istnieją także w słonecznej Kalifornii.

Uśmiechnęła się, wystawiając twarz na podmuchy wiatru.

- Lubię Nowy Jork - powiedziała z roztargnieniem. - Zawsze lubiłam. Kupiłam na spółkę mieszkanie. Już niemal da się w nim mieszkać.

- Na spółkę? Z kim?

- Tak. Na spółkę z Marianną. Chodziłam z nią do świętej Katarzyny. - Ponieważ nadal miała zamknięte oczy, nie dostrzegła ulgi malującej się na twarzy Michaela. - Przysięgłyśmy sobie, że pewnego dnia zamieszkamy w Nowym Jorku. No i zamieszkałyśmy. Marianna studiuje malarstwo.

Michael zdecydował, że jest przychylnie nastawiony do Marianny.

- Ma talent?

- Ogromny. Pewnego dnia galerie będą zabijały się o jej obrazy. W szkole robiła niesamowite karykatury zakonnic. - Emma zerknęła w bok i ujrzała mars na jego czole.

- Co jest?

- Mój instynkt gliniarza po godzinach pracy. - Zmienił pas. Sedan pozostawił w jego ślady. - Widzisz tego sedana. tuż za nami?

Wydała z siebie przeciągłe westchnienie.

- To prawdopodobnie Sweeney.

... - Sweeney?

- Ochroniarz. Zawsze mnie znajdzie. Czasami myślę, że tata wszył mi pod skórę aparaturę naprowadzającą.

- Tak, to może być to. Pewnie masz rację. - Nie pozwoli, by jakiś amator śledził go na pierwszej randce z dziewczyną, na którą czekał od lat. - Mogę go zgubić.

Emma uniosła okulary. Po raz pierwszy zobaczył w jej oczach iskiarki prawdziwego uśmiechu.

- Naprawdę?

- Mógłbym spróbować. To maleństwo zostawi mu po sobie jedynie wspomnienie.

- Zrób to - powiedziała i uśmiechnęła się szeroko.

Uszczęśliwiony, nacisnął pedał gazu, wyprzedził półciężarówkę i zwiększył prędkość do blisko stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

- Ściąłem się na autostradzie, w latach beztroskiej, hulaszczej młodości. - Zanurkowałem między pikapa a bmw, ruchem nadgarstka wstrzeliłem się przed cadillaca, po czym pozwoliłem mercedesowi płynąć równo z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

- Dobry jesteś. — Emma śmiejąc się, spojrzała za siebie. - Nie widzę go.

- Próbuje wyminąć cadillaca. Zrobiłem go w konia, więc blokuje drogę. Trzymaj się. - Skręcił kierownicą. Mercedes zarzucił ostro i zjechał z autostrady. Łamiąc przepisy, Michael zawrócił i znalazł się z powrotem na drodze, jadąc w odwrotnym kierunku. Przemknęli obok sedana, zwolnili do przyzwoitej prędkości i spłynęli łągodnie z kolejnego zjazdu.

- Naprawdę jesteś dobry. Nauczyli cię tego w akademii policyjnej?

- Talent wrodzony. - Michael zatrzymał się i pogłaskał kierownicę. - Słoneczko kochane.

Emma przechyliła się i pocałowała go w policzek.

- Jeszcze raz dzięki.

Zanim mógł odpowiedzieć, chwyciła torbę z hamburgerami i pobiegła ku plaży.

- Uwielbiam to! - Emma zakręciła się w miejscu, roześmiana. - Naprawdę to uwielbiam, wodę, jej zapach, dźwięk. Czułabym się najszczęśliwsza, gdyby można przenieść ocean gdzieś blisko Broadwayu.

Chciał wziąć ją w ramiona i sprawdzić, czy smakuje choćby w połowie tak dobrze, jak wygląda. Osunęła się na piasek i sięgnęła do torby.

- To również nieźle pachnie. - Dopiero podając mu hamburgera, zorientowała się, że Michael na nią patrzy. - O co chodzi?

- O nic. - Ale znowu zaschło mu w ustach. - Przypomniałem sobie tylko, że kiedyś zastanawiałem się, czy ty w ogóle chodzisz do McDonalda. Pierwszy raz, kiedy się spotkaliśmy, na próbie. Tato zabrał mnie potem na hamburgera, a ja zastanawiałem się, czy tam chodzisz, z tymi wszystkimi ochroniarzami.

- Nie, nie chodziłam, ale tata i Johnno przynosili mi czasem hamburgery do domu. Nie użalaj się nade mną. — Sięgnęła znowu do torby. - Nie dzisiaj.

- Okay. Podaj frytki.

Jedli łakomie, nie pozostawiając mewom ani okruszyny. Lekki powiew niósł z sobą wilgoć od morza. Plażę okupowały rodziny z dziećmi, dziewczęta prezentowały opaleniznę i szczupłe ciała, ryczały odbiorniki radiowe, ale dla Emmy była to jedna z najspokojniejszych chwil w życiu.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić - westchnęła, wyciągając w górę ramiona. - Do siedzenia na plaży, słuchania morza. - Pokręciła głową i włosy spłynęły jej po plecach jak złoty deszcz. - Żałuję, że nie mam więcej czasu.

- Ja także. - Musiał jej dotknąć. Przesunął palcem po jej policzku, a ona odwróciła głowę i się uśmiechnęła. Wyraz jego oczu sprawił, że serce zaczęło walić jej w piersiach, a wargi rozchyliły się w niemym pytaniu.

Nie cofnęła się, kiedy dotknął wargami jej ust. Z cichym jękiem zwróciła się ku niemu, otwierając na coś, czego jeszcze nie rozumiała. Delikatne ukąszenia rozpałały usta. Kiedy wsunął język między jej zęby, usłyszała głęboki jęk rozkoszy, poczuła, jak ręce Michaela zaciskają się na jej ramionach.

Bez wahania przycisnęła ciało do jego ciała i chłonęła doznania.

Czy Michael mógł uwierzyć, że całuje się tak po raz pierwszy? Że po raz pierwszy tak się czuje? Ogarnęła ją ciepła, wilgotna, boleśnie słodka fala pożądania. Czy czekała na to? Przymknęła oczy, by lepiej zapamiętać tę chwilę.

- A jednak tak - szepnął i pocałował ją znowu, delikatnie, ponieważ wydawało mu się, że tak właśnie powinien ją pocałować.

- Co tak?

- Smakujesz tak dobrze, jak wyglądasz. Zastanawiałem się nad tym od dawna.

Przełknęła ślinę, czując nagłą potrzebę ucieczki. Owładnęły nią uczucia, z którymi nie wiedziała, co zrobić. Były zbyt silne, narastały zbyt szybko.

- To sól. - Zdezorientowana, wstała i podeszła parę kroków ku wodzie.

Nic łatwiejszego, niż wziąć niepewność za zdawkowość uczuć. Michael siedział dalej na piasku, dając sobie czas. Nie miał dla niej zdawkowych uczuć. Obojętnie jak idiotycznie to brzmi, zakochał się. Była piękna, elegancka i z pewnością przyzwyczajona do tego, że mężczyźni jej pragną. Bogaci wpływowi mężczyźni. Nie początkujący glina z klasy średniej. Westchnął ciężko, podniósł się i spróbował zachowywać się obojętnie.

- Robi się późno.

- Tak. - Czy ja zwariowałam? - zastanawiała się Emma. Chciała płakać i śmiać się, tańczyć i rozpaczać, wszystko naraz. Chciała odwrócić się ku niemu, ale jutro będzie już cztery i pół tysiąca kilometrów stąd. On jest po prostu miły dla biednej bogatej dziewczyny. I on... On robi coś ze swoim życiem. - Powinnam wracać. - Odwróciła się z uśmiechem. - Cieszę się, że ze mną pojechałeś i że mieliśmy trochę czasu.

- Zawsze do usług. - Ujął jej dłoń. Przyjacielski gest, powiedział sobie. Do diabła z przyjaźnią. - Chcę cię znowu zobaczyć, Emmo. Muszę.

- Nie wiem...

- Zadzwoń, kiedy tu znów przyjedziesz.

Pod wpływem jego spojrzenia robiło jej się na przemian zimno i gorąco.

- Zadzwonię, chciałabym... Nie wiem, kiedy znów uda mi się tu przyjechać.

- Myślałem, że może na film.

- Film?

Szli już do samochodu, ale teraz Michael się zatrzymał.

- Zaczynają kręcić za parę tygodni w Londynie, potem tutaj. Chcą dodatkowej ochrony. Film - ciągnął, widząc, że wpatruje się w niego pustym wzrokiem. - *Zdruzgotana*, wiesz, na podstawie książki twojej matki. Gra w nim Angie. Angie Parks. - Patrząc na jej twarz, zrozumiał, że popełnił ogromny, głupi błąd. - Przykro mi, Emmo. Myślałem, że wiesz.

- Nie - odparła, zmęczona nagle ponad ludzkie wyobrażenie. - Nie wiedziałam.

Chwycił słuchawkę w chwili, gdy telefon zadzwonił. Czekał, zlany potem, od wielu godzin.

- Tak?

- Znalazłem ją. - Dobrze mu znany głos drżał.

- No i?

- Pojechała zobaczyć się z tym gliną, Kesselringiem. Była u niego przeszło godzinę. Potem pojechała do domu, do tego cholernego domu, gdzie to się stało. Musimy coś zrobić i to szybko. Mówiłem ci wtedy i mówię ci teraz, nie możemy ryzykować.

- Weź się w garść. - Ton był ostry, ale jego ręka drżała lekko, kiedy sięgał po papierosa. - Pojechała do tego domu. Weszła do środka?

- Pieprzona posesja jest na sprzedaż. Wlazła razem z facetem, z którym przyjechała.

- Jakim facetem? Z kim była?

- Jakiś młodziak. Chyba syn gliniarza.

- W porządku. - Zapisał to w notatniku leżącym przy telefonie. - Gdzie pojechali potem?

- Do cholernej budy z hamburgerami.
- Ołówek zawisł w powietrzu.
- Co proszę?
- Powiedziałem, że pojechali na hamburgery, potem na rajd po autostradzie. Zgubiłem ich. Wiem, gdzie się zatrzymała. Mogę znaleźć kogoś, kto to załatwi, szybko i czysto.
- Nie bądź idiotą. Nie ma potrzeby.
- Mówię ci, widziała się z gliniarzem, pojechała do tego domu!
- Słyszałem. - Pewną ręką nalał sobie drinka, ale nie dla ukojenia nerwów. Dla przyjemności. - Myśl, na litość boską! Gdyby sobie cokolwiek przypomniała, czy pojechałaby spokojnie na hamburgera?
- Nie myślę...
- To twój główny problem, że nie myślisz. Nie przypominała sobie wtedy, nie przypomni sobie teraz. Może ta nagła wycieczka była ostatnią próbą przywołania przeszłości albo, co bardziej prawdopodobne, sentymentalną podróżą w świat dzieciństwa. Nie ma potrzeby wyrządzać Emmie krzywdy.
- A jeżeli sobie przypomni?
- Mało prawdopodobne. Posłuchaj mnie teraz, posłuchaj uważnie. Ten pierwszy raz to był wypadek, tragiczny, nieprzewidziany wypadek. I ty go spowodowałeś.
- Ty to wymyśliłeś.
- Jasne, skoro z nas dwóch tylko ja jestem zdolny do twórczego myślenia. Ale to był wypadek. Nie mam zamiaru popełnić morderstwa z premedytacją. - Pomyślał o muzyku, który zamawiał pizzę. Nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska. - Chyba że jest to absolutnie konieczne. Rozumiesz?
- Jesteś zimnym draniem.
- Bez wątplenia. - Uśmiechnął się. - Radzę ci o tym pamiętać.

## Rozdział 22

W Londynie padał śnieg. Mokre, grube płatki osypywały się po kołnierzu i topniały na skórze, kłując chłodem. Było pięknie, jak na bożonarodzeniowej pocztówce. O ile nie stało się akurat w korku samochodowym na King's Road.

Emma zdecydowała się na spacer, Sweeneya prawdopodobnie zirytował jej wybór, ale nie miała teraz głowy do Sweeneya. W kieszeni ciepłego, watanego płaszcza chowała karteczkę z adresem. Nie potrzebowała jej. Znała adres na pamięć.

Dziwnie się czuła, spacerując po Chelsea. Nie pamiętała tej dzielnicy. Prawdę mówiąc, nie pamiętała Londynu, a Chelsea, dzielnica punków i obieżyświatów, była jej równie obca, jak kanały Wenecji.

Szła ulicami, mijając niezliczone butiki i sklepy z antykami, po których biegali w poszukiwaniu idealnego prezentu zapóźnieni klienci w modnych futrach i kozakach. Mijała roześmiane dziewczęta opatulone w kurtki, chłopców, usiłujących wyglądać na ludzi twardych i znudzonych życiem.

Mimo śniegu, na Sloane Square stał sprzedawca kwiatów. Nawet w grudniu można, za rozsądną cenę, kupić skrawek wiosny. Kusiły ją kolory i zapachy, ale minęła kwiaciarza, nie sięgnąwszy do kieszeni po funty i szylingi. Jakby było w tym coś dziwnego, zadzwonić do drzwi i ofiarować bukiet kwiatów matce.

Matka. Nie mogła ani zanegować, ani zaakceptować faktu, że Jane Palmer jest jej matką. Nawet nazwisko wydawało się obce i nierealne jak coś, co przeczytała w książce. Ale twarz powracała. Rozbłyskała na mgnienie oka w snach, ciemniała z gniewu na chwilę przed tym, nim spadły ciosy. Twarz ze zdjęć w „People”, „Enquirer” i „Post”.

Twarz z przeszłości, myślała Emma, A co ma przeszłość do teraźniejszości?

Więc dlaczego tam idę? Pytanie tłukło się jej po głowie, kiedy szła wąską, dobrze utrzymaną ulicą. Idzie, aby rozwiązać coś, co powinno być rozwiązane wiele lat temu.

Prawdopodobnie Jane uważała, że to świetny kawał, wprowadzić się do dzielnicy, w której mieszkał Oskar Wilde, Whistler i Turner. Pisarzy i artystów zawsze ciągnęło do Chelsea. I muzyków, rozważała Emma. Mick Jagger ma tu dom. Albo miał. Zresztą wszystko jedno, czy Jagger i Stonesi nadal tu mieszkają. Przyszła tylko dla jednego człowieka.

Może to kontrasty przyciągnęły Jane. Chelsea było zarazem swojskie i obce, rozgorączkowane i wyciszone. I cholernie drogie. A może pobyt Jane w Chelsea miał coś wspólnego z faktem, że osiedliła się tutaj Bev?

To również było bez znaczenia.

Zatrzymała się, rozluźniając i zaciskając dłoń na pasku torebki, podczas gdy śnieg wirował nad nią, czepiał się włosów i ramion. Obecny dom Jane w niczym nie przypominał ciasnego mieszkania bez windy, w którym kiedyś mieszkały. Miał sprawiać wrażenie wiekowego, jednak do wiktoriańskiego szeregowca trochę mu brakowało, niewiele, ale jednak. Ktoś postanowił dodać kopuły i wysokie, wąskie okna. Byłby uroczy, na swój sposób, gdyby nie szczelnie zaciągnięte zasłony i nieodśnieżona ścieżka. Nikt nie pofatygował się, by zawiesić na drzwiach wieniec czy choćby sznur lampek.

Pomyślała z tęsknotą o domu Kessełringów. W Kalifornii nie było śniegu, ale dom emanował ciepłem i radością Bożego Narodzenia.

Ja nie wracam do domu na święta, pomyślała.

Wziąwszy głęboki oddech, przebrnęła przez zaspy do rzeźbionych drzwi ozdobionych kołatką. Z dłońmi zlodowaciałymi w futrzanych rękawicach uniosła kołatkę, zwykłą starą mosiężną głowę lwa, i pozwoliła jej opaść na drewno.

Kiedy nie doczekała się odpowiedzi, zapukała ponownie, żywiąc w duszy nadzieję, że nikt nie usłyszy. Czy będzie mogła wtedy z czystym sumieniem powiedzieć sobie, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, by wymazać Jane i potrzebę zobaczenia jej ze swojego serca i umysłu? Rozpaczliwie pragnęła uciec od tego domu, który udawał coś, czym nie był, od mosiężnej głowy lwa, od kobiety, której nie mogła wyrzucić ze swojego życia. Miała już odwrócić się z ulgą i odejść, kiedy drzwi otworzyły się na oścież.

Nie mogła wykrztusić słowa, mogła tylko gapić się na kobietę w czerwonym jedwabnym szlafroku. Zsunął się niedbale z jednego ramienia i opinał rozrośnięte ponad wszelką miarę biodra. Blond kołtun otaczał szeroką, nalaną twarz. Obcą twarz. Emma rozpoznała w niej tylko oczy. Zwężone, gniewne oczy, zaczerwienione teraz od nadmiaru alkoholu, narkotyków, a może braku snu.

- No? - Jane podciągnęła szlafrok, chroniąc się przed zimnem. Na jej palcach błysnęły brylanty. Ku swej zgrozie Emma poczuła stęchły zapach dżinu. - Słuchaj, kochaneńka, mam co innego do roboty w sobotni wieczór, niż stać w drzwiach.

- Kto to, u licha? - Z drugiego piętra dotarł gniewny męski ryk. Jane rzuciła za siebie zdruzzone spojrzenie.

- Poczekaj, dobrze! - odwrzasnęła. No? - zwróciła się znów do Emmy. - Widzisz, że jestem zajęta.

Uciekaj, pomyślała w panice. Po prostu odwróć się i odejdz.

- Chciałabym z tobą porozmawiać - usłyszała swój głos. Brzmiał obco. - Jestem Emma.

Jane nie drgnęła nawet, ale jej oczy się zmieniły. Zwęziły się jeszcze bardziej, kiedy próbowała skupić wzrok. Zobaczyła młodą kobietę, wysoką, gibką, o bladej delikatnej twarzy i miękkich jasnych włosach. Zobaczyła Briana, dopiero później swoją córkę. Przez chwilę czuła coś zbliżonego do żalu. Potem wykrzywiła usta.

- Patrzcie, patrzcie, kogo my tu mamy? Mała Emma wróciła do mamusi. Chcesz ze mną porozmawiać? - Na dźwięk jej piskliwego śmiechu Emma skuliła się, oczekując ciosu. Ale Jane odsunęła się tylko od drzwi. - Więc wejdz, kochanie. Pogawędzimy sobie.

Kalkulowała już coś, prowadząc córkę do zagraconego salonu. Unosił się w nim zapach alkoholu i stęchłego dymu, który nie był dymem papierosowym. Wyglądało na to, że nowy dom nie różni się jednak tak bardzo od starego.

Coroczne czeki od Briana urwą się wkrótce i żadne prośby ani groźby nie skłonią go do dalszych darowizn. Ale pozostawała dziewczyna. Jej mała Emma. Kobieta musi myśleć perspektywicznie, zdecydowała Jane. Szczególnie kobieta, która ma kosztowne gusta i kosztowny nałóg.

- Napijesz się? Aby uczcić nasze spotkanie?

- Nie, dziękuję.

Wzruszywszy ramionami, Jane nalała sobie szklaneczkę. Kiedy się odwróciła, czerwony jedwab przesunął się na rozrośniętych biodrach.

- Za więzy rodzinne? - zaproponowała, wznosząc szklankę. Rozeźmiała się, kiedy Emma spojrzała na swoje dłonie. - Znaleźć ciebie pod drzwiami po tylu latach. — Pociągnęła spory łyk, potem wychyliła do dna i usiadła na szkarłatnej sofie. - Siadaj, Emma, kochanie, i opowiedz mi wszystko o sobie.

- Nie ma o czym opowiadać. - Emma przysiadła sztywno na brzeżku fotela. - Przyjechałam tu tylko na wakacje.

- Wakacje? A! Boże Narodzenie. - Uśmiechnęła się szeroko, stukając w szklankę obgryzionym paznokciem. - Przyniosłaś mamie prezent?

Emma pokręciła głową. Czuła się znowu jak dziecko. Przerażona i samotna.

- Chociaż tyle mogłaś uczynić po wielu latach, przynieść matce prezent. - Jane machnęła ręką i usadowiła się wygodniej na kanapie. - Mniejsza o to. Nigdy nie umiałaś być wdzięczna dla matki. Zupełnie dorosła, co? - Przyglądała się dyskretnym brylantom w uszach Emmy. - I nieźle ci się powodzi. Ekskluzywne szkoły, ekskluzywne ciuchy.

- Studiuję - powiedziała Emma bezradnie. - Mam pracę.

- Pracę? Po jaką cholereę ci praca? Twój stary siedzi na forsie.

- Lubię pracować. - Z przykrością stwierdziła, że się jąka. - Chcę pracować.

- Nigdy nie byłaś specjalnie mądra. - Jane zmarszczyła brwi. - Kiedy pomyślę o tych latach, jak ciułałam każdy grosz, by włożyć ci kieckę na grzbiet i napchać żołądek. I nigdy nie doczekałam się odrobiny wdzięczności. - Sięgnęła po butelkę i chlupnęła dzinu do szklanki. — Biadolenie i ryki, a potem odeszłaś z ojcem, nie obejrawszy się nawet za siebie. Żyjesz na całego, co? Mała księżniczka swojego tatusia. Ani razu nie pomyślałaś o matce, przez te wszystkie lata.

- Myślałam o tobie - szepnęła Emma.

Jane ponownie postukała w szklankę. Miała ochotę się naćpać, dać sobie w żyłę, ale bała się, że jeżeli wyjdzie z pokoju, Emma zniknie i ona straci swoją szansę.

- Nastawił cię przeciwko mnie. - Rozpłakała się z żalu nad sobą. - Chciał cię mieć tylko dla siebie, a przecież to ja przeszłam przez piekło



porodu, ja wychowywałam dziecko samotnie. Mogłam się ciebie pozbyć. Nawet wtedy było to proste, jeżeli wiedziało się, do kogo pójść.

Emma podniosła oczy. Ciemne i skupione przyglęły do twarzy matki.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Jane zacisnęła dłoń na szklance. Zaczynały się trząść. Nie szprycowała się od wielu godzin, a dżin stanowił marną namiastkę. Była zbyt przebiegła, by przyznać, że bardziej bała się pokątnej aborcji niż porodu w czystym szpitalu.

- Kochałam go. - W jej głosie przebijała szczerość, ponieważ wierzyła w to, co mówi. - Zawsze go kochałam. Wyrosliśmy razem. On też mnie kochał, był do mnie przywiązany. Gdyby nie jego muzyka, jego parszywa kariera, bylibyśmy razem. Ale on odrzucił mnie jak śmiecia. Nigdy nie dbał o nikogo, o nic, z wyjątkiem muzyki. Myślisz, że chodziło mu o ciebie? - Podniosła się chwiejnie. - Gównu go obchodziłaś. Chodziło mu o jego image. Nie chciał, żeby cholerna publika pomyślała, że Brian McAvoy porzucił własne dziecko.

Dawne wątpliwości, dawne lęki pochwytyły Emmę momentalnie za gardło.

- Kocha mnie. Zrobiłby dla mnie wszystko - wykrztusiła z trudem.

- On kocha siebie. - Jane uchwyciła poręcz fotela Emmy i pochyliła się nisko nad córką. Oczy jej błyszczały. Czysta przyjemność. Niewiele już mogła zrobić, by zranić Briana, choć Bóg jeden wie, że zrobiła wszystko, co przyszło jej na myśl. Ale mogła zranić Emmę. A to było niemal równie dobre. - Porzuciłby nas obie, gdyby nie bał się skandalu. Chciał to zrobić, kiedy zagroziłam, że zawiadomię prasę.

Nie wspomniała, że groziła własną śmiercią i śmiercią Emmy. Prawda była tak nieistotna, że o niej zapomniwała.

- I on i ten jego zafajdany menedżer wiedzieli, co się stanie, jeżeli prasa zacznie użalać się nad kochanką gwiazdora wychowującą jego bachora w slumsach. Wiedział, więc zabrał cię i zapłacił mi niezłą sumkę, żebym trzymała się z dala od twojego życia.

Emmie zrobiło się niedobrze od tych słów, od zapachu, który uderzył w nią, gdy Jane przybliżyła twarz.

- Zapłacił ci?

- Należało mi się. - Jane ujęła podbródek Emmy i ścisnęła mocno. - Zarobiłam każdego centa. Kupił ciebie i swój spokój. Dla niego cena była niewysoka, ale spokoju nigdy nie miał. Nigdy nie zdołał go kupić.

- Puść mnie! - Emma odtrąciła rękę Jane. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

- Jesteś tak samo moja, jak jego.

- Nie. - Emma wstała z fotela, modląc się, by nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. - Nie, sprzedałaś mnie i nie masz prawa być matką. Może

kupił mnie, Jane, ale nie jestem jego własnością. - Walczyła ze łzami. Nie rozpłacze się tutaj, na oczach tej kobiety. - Przyszłam, żeby prosić cię o wstrzymanie filmu, który kręczą na podstawie twojej książki. Myślałam, że może żywisz dla mnie jakieś uczucie, choć tyle, by spełnić moją prośbę. Ale traciłam czas.

Z góry popłynęły przekleństwa najnowszego kochanka Jane.

- Nadal jestem twoją matką! - wrzasnęła. - Nie możesz tego zmienić.

- Nie, nie mogę. Muszę nauczyć się z tym żyć. - Emma odwróciła się i ruszyła szybko w stronę wyjścia.

- Chcesz, żebym wstrzymała zdjęcia? - Jane chwyciła ją za ramię. - Jak bardzo tego chcesz?

Emma odwróciła się, śmiertelnie spokojna. Obrzuciła Jane ostatnim długim spojrzeniem.

- Myślisz, że ci zapłacę? Tym razem się przeliczyłeś, Jane. Ode mnie nie dostaniesz ani centa.

- Dziwka! - Jane trzasnęła ją w twarz. Emma nie zadała sobie trudu, by odskoczyć. Otworzyła drzwi i odeszła.

Chodziła bardzo długo, wymijając ludzi, ignorując śmiechy, ryk silników i świąteczną radosną krzataninę. Łfy nie popłynęły. Dziwiła się, jak łatwo teraz nad nimi panuje. Może była to zasługa mrozu, a może gwaru. Pozwalał nie myśleć o niczym. Kiedy stanęła pod drzwiami domu Bev, nie mogła sobie przypomnieć, żeby tam szła ani żeby miała zamiar pójść.

Zapukała szybko. Nie jest to odpowiednia chwila na myślenie ani na odczuwanie czegokolwiek. Jest to, powiedziała sobie, odpowiednia chwila na powiązanie wszystkich luźnych końców i uporządkowanie życia.

Drzwi się otworzyły. Ciepło i kolędy. Zapach świerka mówił: „witaj”. Stojąc w wirującym śniegu, patrzyła na Alice. To było dziwne uczucie. Czas sprawił, że ona wyrosła, a Alice się postarzała. Zobaczyła po oczach, że ją poznaje. Usta niani zdrząły.

- Dzień dobry, Alice. - Emma zmusiła zeszywniałe wargi do uśmiechu. - Miło znów cię widzieć.

Alice stała w miejscu, a z kącików jej oczu ciekły łzy.

- Alice, nie zapomnij dać Terry'emu tej paczki. - Bev szła szybko przez hol z futrem z norek przerzuconym przez ramię. - Wrócę o... - Stanęła. Mała czarna torebka wyślizgnęła się z jej bezwolnych palców. - Emma wyszeptwała.

Stały rozdzielone dwoma metrami podłogi i szlochającą Alice. Bev ogarnęła radość, pragnienie, by podbiec i przytulić Emmę mocno do siebie. Potem poczuła wstyd.

- Powinнам zadzwonić - zaczęła Emma. - Jestem w mieście, pomyślałam, że...

- Jak się cieszę. - Bev szybko przysłała do siebie, uśmiechnęła się i postąpiła krok naprzód. - Alice - powiedziała łagodnie, kładąc rękę na ramieniu kobiety. - Będzie nam potrzebna herbata.

- Wychodzisz - odezwała się Emma. - Nie chciałabym, żebyś przeze mnie zmieniała plany.

- To bez znaczenia, Emmo. Alice - powtórzyła Bev. Niania skinęła głową i pośpieszyła do kuchni. - Jesteś taka dorosła - szepnęła. Splotła mocno dłonie, żeby nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć Emmy. - Trudno w to uwierzyć. Ale musisz być zmarznięta na kość. - Opanowała się na tyle, by ująć dłoń Emmy. — Wejdz, proszę.

- Miałaś plany na wieczór...

- Przyjęcie u klienta. Nieważne. Naprawdę chcę, żebyś została. - Ścisnęła dłoń dziewczyny, wpatrując się niemal pożądliwie w jej twarz. - Proszę!

- Oczywiście. Na parę minut.

- Wezmę twój płaszcz. - Usiadły jak dwie uprzejme nieznajome w jasnym, przestronnym salonie Bev.

- Pięknie tutaj. — Emma uśmiechała się sztucznie. - Słyszałam, że robisz oszałamiającą karierę jako dekoratorka wnętrz. Teraz rozumiem, dlaczego.

- Dziękuję. - O Boże, myślała Bev, co mam powiedzieć? Czego mi nie wolno powiedzieć?

- Kupiliśmy z koleżanką mieszkanie w Nowym Jorku. Ciągłe je wykańczamy. - Emma odchrząknęła, zerkając w stronę ognia płonącego na kamiennym kominku. - Nie miałam pojęcia, że to takie skomplikowane. Tobie przychodziło to z łatwością.

- Nowy Jork - powiedziała Bev, splatając i rozplatając dłonie na kolanach. - Więc tam teraz mieszkasz?

- Tak. Studiuję na NYCC. Fotografuję.

- Lubisz to?

- Bardzo.

- Długo będziesz w Londynie?

- Wyjeżdżam zaraz po pierwszym.

Następna przerwa w rozmowie była długa i krępująca. Obie kobiety podniosły z ulgą oczy, kiedy Alice wtoczyła do pokoju barek z zastawą do herbaty.

- Dziękuję. Ja naleję. - Bev nakryła dłonią rękę Alice i uściśnięła szybko.

- Została z tobą - zauważyła Emma po wyjściu niani.

- Tak. Choć może należałoby powiedzieć: zostaliśmy z sobą. - Herbata pomogła, dzbanek, filiżanki, śliczne małe herbatniki ułożone na talerzu

z sewrskiej porcelany. Emma nie była spragniona ani głodna, ale rytuał, prosty, cywilizowany rytuał podawania herbaty, pozwolił jej się odprężyć. - Czy nadal za dużo słodzisz i dodajesz za dużo mleka?

- Nie, zostałam zamerykanizowana. - W niebieskim wazonie stały świeże kwiaty. Tulipany. Zastanawiała się, czy Bev kupiła je u kwiaciara na rogu, czy wyhodowała sama. - Teraz już tylko za dużo słodzę.

- Zawsze obawialiśmy się z Brianem, że będziesz gruba i bezzębna, z twoją namiętnością do słodyczy - zaczęła Bev, potem skrzywiła usta, szukając bezpiecznego tematu rozmowy. - Opowiedz mi o fotografowaniu. Jakie zdjęcia najchętniej robisz?

- Portrety ludzi. Wolę portrety charakterystyczne od abstrakcji i martwych natur. Mam nadzieję, że uda mi się zrobić karierę.

- To wspaniale! Chciałabym zobaczyć parę twoich prac. - Bev znowu ugryzła się w język. - Może następnym razem, kiedy przyjadę do Nowego Jorku.

Emma przyglądała się choince przy oknie. Była obwieszona setkami ręcznie malowanych bombek i kokardkami z białej koronki. Nie miała prezentu dla Bev, pudełka opakowanego w błyszczący papier, które leżałoby teraz pod drzewkiem. Ale chyba może jej coś ofiarować.

- Bev, dlaczego o niego nie zapytasz? - powiedziała łagodnie. - Byłoby nam o wiele łatwiej.

Bev podniosła wzrok i ujrzała oczy Emmy. Piękne ciemnoniebieskie oczy, tak podobne do oczu jej ojca.

- Jak on się miewa?

- Chciałabym wiedzieć. Jego muzyka jest lepsza niż kiedykolwiek. Ostatnia trasa koncertowa... Ale pewnie wiesz na ten temat wszystko.

- Tak.

- Napisał muzykę do filmu i myśli o specjalnym albumie. No i teledyski. Można by sądzić, że powstały z myślą o tacie. Wszystko idzie jak po maśle, tak samo jak na koncertach - urwała, po czym wypaliła: - Za dużo pije-

- O tym także słyszałam - powiedziała cicho Bev. - P.M. martwi się o niego. Ale oni... Od paru lat ich stosunki są napięte.

- Chcę namówić go na klinikę. - Emma wzruszyła ramionami. - Nie słucha. Widzi to u Steviego. Wie, jak łatwo przekroczyć pewną granicę. Nie można z nim dyskutować na ten temat, ponieważ nie wpływa to na jego pracę, zdolność tworzenia ani, jak dotąd, na jego zdrowie, ale...

- Martwisz się.

- Tak.

Uśmiech Bev był teraz swobodniejszy, czulszy, cień uśmiechu, który Emma znała.

- Czy dlatego przyszłaś?  
- Oczywiście. Chyba tak. Jest wiele powodów, dla których przyszłam.  
- Emma, przysięgam! Gdybym sądziła, że mogę pomóc, gdybym uważała, że mogę coś zrobić, cokolwiek, zrobiłabym to natychmiast.

- Dlaczego?

Chcąc zyskać na czasie, Bev sięgnęła po filiżankę.

- Łączyło nas z Brianem bardzo wiele - powiedziała, starannie dobierając słowa. - Bez względu na to, jak dawno to było i ile zadaliśmy sobie bólu, takich uczuć się nie zapomina.

- Nienawidzisz go?

- Nie. Nie, oczywiście, że nie.

- A mnie?

- Och, Emmo!

Emma pokręciła głową i wstała.

- Nie chciałam tego powiedzieć. Nie chciałam wracać do przeszłości. Nie wiem, co chciałam dzisiaj osiągnąć. - Emma patrzyła w ogień płonący spokojnie na kominku. - Poszłam zobaczyć się z Jane.

Filiżanka Bev zadzwoniła o talerzyk, zanim udało jej się opanować drżenie rąk.

- Och!

Emma zaśmiała się, targając kosmyk włosów.

- Tak: „Och!” Wydawało mi się, że muszę to zrobić, że spotkanie z nią pozwoli mi zrozumieć, co czuję. Myślałam głupio, że może uda mi się namówić ją na wstrzymanie filmu, który kręcą na podstawie tej książki. - Odwróciła się ku Bev. - Nie wiesz, jakie to uczucie, patrzeć na nią i wiedzieć, że to moja matka.

- Co mam ci powiedzieć, Emmo? Chyba tylko prawdę. - Przypatrywała się jej przez chwilę. Chyba mogła zrobić coś, by choć w drobnej części naprawić błąd popełniony przed laty. Odstawiła filiżankę i splotła dłonie. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał bardzo spokojnie i bardzo stanowczo. - Nie przypominasz jej absolutnie w niczym. W niczym! Nie przypominając jej, kiedy przybyłaś do nas, i nie przypominasz teraz.

- Sprzedała mnie tacie.

- O Boże! - Bev przycisnęła obie ręce do twarzy, potem pozwoliła im opaść. — To nie tak, Emmo!

- Dał jej pieniądze, a ona je przyjęła. Byłam dla nich towarem, który sobie przekazali, po czym podzucili tobie.

- Nie! - Bev zerwała się, potrącając chińską zastawę. - To, co mówisz, jest okrutne i głupie. Tak, zapłacił jej. Zapłaciłby jej każdą sumę, by trzymała się z dala od ciebie.

- Ona mówi, że zrobił to, by ocalić swój image.

- Ona kłamie! - Bev podeszła i ujęła obie ręce Emmy. - Posłuchaj mnie. Pamiętam dzień, kiedy przywiózł cię do domu. Pamiętam, jak wyglądałaś. Jak on wyglądał. Był zdenerwowany, może nawet przestraszony, ale zdecydowany zrobić to, co dla ciebie najlepsze. Nie z powodu jakiegoś cholernego image'u, ale dlatego, że jesteś jego córką.

- I za każdym razem, kiedy na mnie patrzył, za każdym razem, kiedy ty na mnie patrzyłaś, widzieliście ją.

- Nie Brian. Brian nigdy. - Bev westchnęła, po czym objąwszy Emmę za ramiona, posadziła ją obok siebie na kanapie. - Może ja, na początku. Byłam młoda. Boże, miałam tyle lat, co ty teraz. Byliśmy szalenie zakochani, planowaliśmy się pobrać, oczekiwałam dziecka. I nagle zjawiasz się ty, cząstka Briana, z którą ja nie miałam nic wspólnego. Bałam się ciebie. Może nawet miałam ci za złe twoje istnienie. Nie chciałam żywić dla ciebie żadnych uczuć z wyjątkiem odrobiny litości. - Kiedy Emma się odsunęła, Bev objęła ją mocniej. - Nie chciałam cię kochać, Emmo. I nagle pewnego dnia zrozumiałam, że to się stało. Nie zaplanowałam tego, nie wstałam pewnego dnia i nie powiedziałam sobie, że trzeba dać ci szansę. Po prostu cię pokochałam.

Wtedy Emma się załamała. Opuściła głowę na ramię Bev i płakała, rozpaczliwie, bezwstydnie. Bev głaskała ją po głowie, w kominku trzaskały polana.

- Tak mi przykro, kochanie. Tak mi przykro, że nie byłam przy tobie, kiedy mnie potrzebowałaś. Teraz jesteś dorosła i straciłam swoją szansę.

- Myślałam, że mnie nienawidzisz z powodu Darrena.

- Nie! Och, nie!

- Że mnie obwiniasz...

- Nie! - Bev odsunęła się, zdumiona. - Dobry Boże, Emmo! Byłaś dzieckiem. Winiłam Briana i się myliłam. Winiłam siebie i błagałam Boga, żebym się myliła. Ale obojętnie, jakie niewybaczalne rzeczy robiłam czy myślałam, nigdy nie obwiniałam ciebie.

- Słyszałam, że płacze...

- Ciii. - Chwyliła dłonie Emmy i podniosła je do swoich policzków. Nie wiedziała, że Emma cierpi w ten sposób. Gdyby wiedziała... Przymknęła na chwilę oczy. Miała nadzieję, że zebrałyby wtedy wszystkie siły, by ukryć ból w duszy dla dobra dziecka. - Posłuchaj mnie, Emmo. To była najstraszniejsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu, najbardziej niszczycielska i bolesna. Raniłam ludzi, których powinnam pocieszać. Przez pierwsze lata po śmierci Darrena... Prawie nie wiedziałam, gdzie jestem ani kim jestem. Poddawałam się terapii, myślałam o samobójstwie, pragnęłam znaleźć w sobie dość siły, by z tym skończyć. Było w Darrenie, Emmo, coś wyjątkowego, coś niemal magicznego. Czasami nie mogłam uwierzyć, że on narodził

się ze mnie. A kiedy odszedł, tak po prostu, tak nagle i okrutnie, tak bezsensownie, czułam, że ktoś zabrał mi serce. Nie byłam w stanie nic zrobić. Straciłam swoje dziecko. I wtedy, w rozpaczy, odwróciłam się od mojego drugiego dziecka. I także je straciłam.

- Ja też go kochałam. Tak bardzo.
- Wiem. - Bev uśmiechnęła się tkliwie. - Wiem.
- I ciebie. Tęskniłam za tobą.
- Nigdy nie myślałam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę. Że mi wybacysz.

To ją zdumiało, Przebaczenie? Przez lata Emma myślała, że to jej nigdy nie będzie wybaczone. Teraz parę słów wystarczyło, by zniknął kamień, który nosiła w duszy przez cały dzień, i żeby mogła się uśmiechnąć.

- Kiedy byłam małą, myślałam, że jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. - Emma pochyliła się i przytuliła policzek do twarzy Bev. - Nadal tak myślę. Czy mogę znów mówić do ciebie „mamo”?

Bev objęła ją mocno i Emma wyczuła jej spazmatyczne westchnienie.

- Poczekaj, mam coś dla ciebie.

Kiedy została sama, sięgnęła do torebki po chusteczkę. Oparta o poduszki wytarła oczy. Jej matką zawsze była i zawsze będzie Bev. Może nareszcie udało jej się zakończyć poszukiwania.

- Zachowałam go dla ciebie - powiedziała Bev, wchodząc do pokoju. - A może dla siebie. Pomógł mi przetrwać wiele samotnych nocy.

Emma zerwała się na nogi z okrzykiem radości.

- Karol!

## Rozdział 23

Dwudziestodwuosobowa orkiestra, złożona ze skrzypków, wiolonczelistów, flectistów, fagocistów i jednej harfistki, tłoczyła się w studiu nagraniowym. Asystenci poświęcili wiele czasu i wysiłku, by udekorować salę. Z sufitu zwisały błyszczące czerwone kule, na ścianach umieszczono gałęzie świerka. Na stojaku w kącie sterczało aluminiowe drzewko tak absurdalnie brzydkie, że aż zabawne.

Johnno przyrządził coś, co nazwał górnolotnie koktajlem. Dopiero kiedy wychylił dwie szklaneczki i przeżył, inni zaryzykowali degustację. Nikt się jeszcze nie upił, ale atmosfera była już bardzo radosna.

Pracowali przeszło cztery godziny nad jedną piosenką i Brian był niemal usatysfakcjonowany. Ze słuchawkami na uszach analizował teraz ostateczną

wersję. Nadal zdumiewał go fakt, że piosenka, pierwotnie niejasny twór istniejący wyłącznie w jego umyśle, może przybrać taką wyrazistą formę i żyć własnym potężnym życiem. Zdarzało się, że słuchając muzyki, w której narodził się uczestniczył, czuł cień dawnej radości tworzenia.

Ujrzał Pete'a w studiu realizatora. Menedżer był jak zwykle zirygowany i zniecierpliwiony jego pedantycznym profesjonalizmem. Brian nie poświęcił mu już ani jednej myśli, owładnięty bez reszty muzyką.

Johnno grał w pokera ze skrzypkiem i oszałamiającą harfistką o smutnych palcach. Wytrzasnął skądś zielony daszek od czapki i wprowadził trochę urozmaicenia do gry, szachrując bez żenady i podbijając stawki.

P.M. czytał coś, co wyglądało na kieszonkowe wydanie kryminału. Krwiożerczego, sądząc po okładce. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że w tym momencie preferuje własne towarzystwo i serię przerażających morderstw.

Stevie był znowu w łazience. Jego ostatnia próba wyrwania się z nałogu trwała tydzień.

Są zadowoleni, pomyślał Brian, i gotowi uznać dzień za bardziej niż udany. Wsłuchiwał się w ostatnią rozciągniętą nutę.

- Chcę powtórzyć jeszcze raz wokal - stwierdził.

- A nie mówiłem, że tak będzie - ucieszył się Johnno. - Wygrałem zakład - mrugnął do harfistki. Wręczyła mu ze śmiechem pięciofuntowy banknot.

- Skąd wiedziałeś, że będzie chciał powtórzyć? - spytała.

- Znam swojego chłopca. - Johnno wstał i uniósł rękę w stronę studia realizatora. Podobnie jak Brian, zauważył pełen irytacji grymas Pete'a i podobnie jak Brian zignorował go. - Z powrotem do kierunku!

- Nie możesz mi tego zrobić, synu! - Stevie wtoczył się do studia. Żeglował teraz na haju napompowany heroinowo-kokainową mieszanką najlepszego gatunku. - Nie wiesz, jaki dzisiaj dzień? Wieczór wigilijny.

- Dopiero za parę godzin. - Brian stłumił irytację. Smutne to, ale wydobyli ze Steviego dobrych dwadzieścia minut, zanim się rozpadł. - Im prędzej się do tego zabierzemy, tym prędzej pójdziesz do domu wywiesić skarpetę.

- Patrzcie, kogo tu mamy! - zawołał Stevie, kiedy Emma wślizgnęła się do studia. - Nasza mała dziewczynka. - Objął ją za ramiona. - No dobra, Emma, kotku, kto tu jest najlepszy?

Uśmiechnęła się z przymusem, całując jego zapadnięty policzek.

- Tatuś.

- Różgi w świątecznej skarpecie, kociątko.

- Tak myślałam, że jeszcze tu jesteście. - Ponieważ nadal ją obejmował, podeszła ze Steviem do mikrofonu. Czowała, że jego ciało wibruje jak napięta struna. - Mogę posłuchać przez chwilę?



- Bilety są po pięć funtów i dwa szylingi. - Widząc, że się męczy, Johnno delikatnie odczepił od niej Steviego. - Z uwagi na Gwiazdkę zapominamy o szylingach.

- To nie potrwa długo - zakomunikował Brian.

- Dwie godziny temu mówił to samo. - Johnno ofiarował Emmie po-krzepiający uścisk. - Facet jest maniakiem. Odwozimy go do czubków natchmiast po sesji.

Brian wyjął papierosa i przepłukał sobie gardło czystą wodą.

- Tylko wokal *Lost the Sun*.

- Dwudziesta próba wokalu - wtrącił P.M. Uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy Emma musnęła ustami jego policzek.

- Przykro mi, że oderwałem cię od twoich studiów literackich - warknął Brian.

Odruchowo Emma wsunęła się między nich i zdjęła płaszcz.

- *Lost the Sun*? - powtórzyła. - Dobrze się składa, to mój ulubiony kawałek z tej płyty.

- Dobrze, możesz śpiewać w tle.

Skwitowała uwagę Johnno śmiechem i usadowiła się na krześle.

- Nie, poczekaj! - Brian złapał ją za ramię, szczerząc zęby w uśmiechu. - To jest to! Tego właśnie potrzebujemy. - Wołał już o dodatkowe słuchawki. - Wchodzisz w drugiej frazie.

- Tato, nie mogę.

- Owszem, możesz. Znasz słowa, melodię.

- Tak, ale...

- No to doskonale, Nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem. Ta piosenka potrzebuje kobiecego akcentu. Niech to będzie lekkie, troszkę smutne.

- Protest bezcelowy - powiedział Johnno, nakładając jej słuchawki. - On jest w transie.

Emma westchnęła ciężko. Cóż to szkodzi, jeżeli spełni jego zachciankę.

- Jaki mam procent? Dostanę wzmiankę na okładce? Co z prawami autorskimi?

Brian ścisnął ją za nos, mocno.

Wystarczyło jej, że widzi ojca szczęśliwego. Nic nie pobudzało go do działania bardziej niż świeży pomysł. Wykrzykiwał polecenia, ulegając od czasu do czasu sugestiom Johnno, nie spuszczał sokolego wzroku ze Steviego i trzymał się z dala od P.M.

Muzyka wypełniła jej głowę, smutny, nastrojowy śpiew gitary i fletu. To był pełny, niemal klasyczny dźwięk. Jak deszcz, uświadomiła sobie. Nie burza, lecz szary, nieubłagany deszcz.

Popłynął ku niej głos ojca, jasny i w pewien sposób słodki, mimo melancholii słów.

„Szukałem twojej twarzy / Wołałem twoje imię / Byłaś światłem / Ale odkryły mnie cienie / Straciłem słońce”.

Słuchała, uderzona doskonałą, trochę niesamowitą harmonią, jaką osiągał z Johnno. Głos ojca wlatywał ku górze, unosząc dźwięki, pieszcząc je. Smutne, pełne beznadziei słowa trafiały wprost do jej serca.

Ależ to jest o Bev, zrozumiała nagle. On śpiewa o Bev. Dla Bev. Rozszerzonymi oczami wpatrywała się w Briana. Dlaczego dotąd tego nie spostrzegła? Dlaczego nie rozumiała?

Ciągle ją kochał. Nie chował w duszy urazy ani gniewu, lecz nieszczerliwą miłość.

Nie myśląc, poddając się wyłącznie uczuciom, zrobiła to, o co ją prosił, i połączyła swój głos z jego głosem.

Nie zdawała sobie sprawy, że Johnno umilkł, pozostawiając ją sam na sam z ojcem. Bezwiednie wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Briana. Nie wiedziała, że na jej rzęsach zawisły łzy. Głos Emmy łączył się z głosem ojca, tak jak łączyło się jej serce.

„Bez ciebie moje życie okrywa mrok / Bez ciebie / Śniąc o słońcu, budzę się w ciemności / Straciłem słońce”.

Muzyka wzbijała się i cichała, i wtedy Emma uniosła dłoń do jego policzka.

- Kocham cię, tato.

Musnął ustami jej wargi, walcząc ze wzruszeniem.

- Playback! - zawołał.

Dochodziła pierwsza, kiedy muzycy zaczęli opuszczać studio. Minęła kolejna godzina, zanim Brian uznał, że jest zadowolony. Emma patrzyła, jak nalewa sobie kubek chivas regal i, omawiając jakieś kwestie techniczne z inżynierem dźwięku, pije duszkiem. Nie chciała teraz się tym martwić. Nie teraz, kiedy zaczynała rozumieć jego cierpienie. Ale nie mogła siedzieć i patrzeć, jak topi to cierpienie w alkoholu.

Wyszła z sali, nie wiedząc, dokąd idzie, potem zawróciła do łazienki, żeby poprawić makijaż. Mówiło się o jakimś wypadku do klubu. Jest zmęczona, ale pójdzie z nimi, będzie czuwała nad ojcem.

Otworzyła drzwi i zamarła zszokowana. Dziewiczo białe kafelki były obryzgane krwią. Jej zapach, zimny i metaliczny, zmieszany z kwaśnym odorem wymiotów, sprawił, że gardło ścisnęło jej się konwulsyjnie. Podniosła dłoń ku szyi. Gniotła ją i ścisnęła, by złagodzić ucisk. Wycofała się z łazienki, potykając o własne nogi, zanim udało jej się odwrócić i pobiec do

studia.

- Tato!

Kończył drinka, wolną ręką wciągając płaszcz. Twarz opromieniał mu blask sukcesu, ale jego uśmiech zamarł, kiedy ujrzał Emmę.

- Co się stało?

- W łazience. Szybko. - Chwyliła go za rękę i pociągnęła za sobą. - Cała ściana jest obryzgana. Ja nie mog... nie mogę tam wejść.

Cofnęła się, czepiając ramienia Johnno, kiedy Brian otwierał drzwi.

- Do cholery! - Brian obrzucił pomieszczenie błyskawicznym spojrzeniem i zatrzasnął drzwi. - Niech to ktoś posprząta— zwrócił się do Pete'a. Ujawszy Emmę za ramię, zaczął ją ciągnąć z powrotem do studia.

- Posprząta?! - wyrwała mu rękę. - Tato, na litość boską, tam jest krew na ścianach. Ktoś się zranił. Musimy...

- Bierz płaszcz i idziemy.

- Idziemy?! Trzeba zadzwonić po policję albo na pogotowie, albo...

- Uspokój się, Emmo! - mruknął Pete. - Nie ma potrzeby dzwonić po policję.

- Nie ma potrzeby? - Odwróciła się ku niemu błyskawicznie. - Musimy zadzwonić.

- Do nikogo nie będziemy dzwonić. Nie przejmuj się tym.

- Ale...

- To Stevie. - Brian pełen wściekłości ujął ją za ramiona i odwrócił w stronę gitarzysty, który leżał nieprzytomny w kącie sali. - Znowu bierze. Nie można wepchnąć sobie igły w żyłę, nie tracąc krwi.

- Mój Boże! - Przed oczami stanął jej potworny widok obryzganых ścian. - On to robi? Zabija się!

- Najprawdopodobniej.

- Dlaczego nic z tym nie zrobicie?

- A co, do diabła, mamy robić? - Brian wepchnął jej ręce w rękawy płaszcza. - To jego życie.

- To, co mówisz, jest podłe - szepnęła.

Wkraczając jako rozjemca, Pete dotknął ramienia Emmy.

- Nie możesz obwiniać Briana, Emmo. Próbował, przysięgam ci. Wszyscy próbowaliśmy. Kiedy tylko skończymy album, przekonam go, żeby znowu poddał się kuracji.

- Kiedy tylko skończymy album - powtórzyła. - Cholerny album. - Oburzona, obróciła się znowu do ojca. - On jest twoim przyjacielem.

- Tak, jest moim przyjacielem. - Nie uznał za stosowne powiedzieć jej, ile razy błagał Steviego, żeby pozwolił sobie pomóc, ile razy osłaniał go, chowając igły i ścierając krew. - Nie rozumiesz, Emmo.

- Nie, nie rozumiem. - Rzuciwszy mu ostatnie, długie spojrzenie, Emma się odwróciła. - Idę do domu.

- Emma! - Rozdarty, popatrzył bezradnie na Steviego.

- Idź za nią- powiedział P.M. i dźwignął Steviego na nogi. - Odtransportuję go do łóżka.

- Dobrze. - Dogonił Emmę już na dworze. Śnieg przestał padać, księżyc zalewał ulicę niebieskawym światłem. Brian odruchowo ściągnął poły płaszcza, chroniąc się przed ostrym wiatrem.

- Emmo. - Położył dłoń na jej ramieniu. To wystarczyło, by ją zatrzymać, nie odwróciła się jednak. - Rozumiem, że jesteś wstrząśnięta. Wiem, że to szok zobaczyć coś takiego, dowiedzieć się, że robi to ktoś bliski.

- Tak. - Emma odetchnęła głęboko, zanim odwróciła się, by stanąć z nim twarzą w twarz. Oczy miała bardzo jasne. - Tak, to szok.

- Ja nie używam igieł. Nigdy nie używałem.

Nie mogła sobie pozwolić na ulgę.

- I uważasz, że skoro tak, to wszystko jest w porządku?

Przesunął dłońią po włosach gestem zdradzającym frustrację.

- Nie mówię, że to jest dobrze czy źle. Mówię ci tylko, że taka jest rzeczywistość.

- Nie moja.

- Wiem i cieszę się z tego. - Brian ujął jej twarz w dłonie. - Emmo, gdybym mógł, ochroniłbym cię przed wszystkim, co cię rani czy niepokoi.

- Nie chcę być chroniona, Nie potrzebuję być chroniona. - Odwróciła się oboje, patrząc jak RM. i Johnno wynoszą Steviego do samochodu. - Czy takiego życia chcesz? Czy na takie życie pracowałeś, o nim marzyłeś?

Pytania zawstydzają go, wprawiły we wściekłość, ponieważ nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć.

- Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, Emmo. Wiem, że nie dostaje się w życiu wszystkiego, czego się chce, a już na pewno nie tego wszystkiego, o czym się marzy.

Odwróciła się od niego, ale nie odeszła. Delikatnie ucałował jej włosy. W milczeniu wsiedli do samochodu. Stevie opadł za nimi na tylne siedzenie jak cień.

To, że mieszkał w pobliżu Hollywood, nie przeszkadzało Michaelowi ulec urokowi hollywoodzkich marzeń i hollywoodzkiej świetności. Jak każdy przeciętny facet, lubił popatrzeć sobie na gwiazdy filmowe. Kiedy więc w lutym odesłano go na parę dni do pracy w ochronie przy zdjęciach do filmu *Zdruzgotana*, nie czuł się pokrzywdzony. Angie Parks nie uczestniczyła w pierwszych ujęciach plenerowych, co było dla Michaela dużym rozczarowaniem. Mimo to z przyjemnością obserwował bliźniaczki grające Emmę.

Kierownik obsady dokonał cudu, wynajdując dwie dziewczynki tak podobne do Emmy. Oczywiście, Emma jest ładniejsza, myślał. Jej oczy są bardziej niebieskie i większe. A usta... No cóż, lepiej dla niego, jeżeli o nich

zapomni i skoncentruje się na swojej robocie, która nie była, jak twierdzili starzy policyjni wyjadacze, chlebem z masłem.

Każdego dnia wokół planu filmowego gromadziły się tłumy fanów. Miłośnikom Devastation nie podobała się książka Jane Palmer, nie spodobał im się również pomysł nakręcenia filmu na jej podstawie. Niektórzy wielbicielowie McAvoya uzbrojeni byli w transparenty i plakaty, inni tylko gwizdali. Znalazło się także paru osobników w skórze, mokasynach i obrożach na szyi, którzy zdradzali wyraźną ochotę zadarcia z policją.

Scenerii dopełniał tłum dziewcząt, które piszczały i chichotały za każdym razem, kiedy w polu widzenia pojawiał się Matt Holden. Młody aktor grający Briana McAvoya był najnowszym idolem nastolatków. Michael miał skopaną nogę w kostce, posiniaczone ramiona i mundur zmoczony łzami wyznawców.

Do dupy z tym, myślał, tkwiąc w rozprażonym studiu. Słońce stało wysoko, lekko zamglone. Wskaźnik wilgotności powietrza utrzymywał się na absurdalnym poziomie, nawet jak na Los Angeles. Producenci zdecydowali, że z uwagi na prasę dobrze będzie zaprosić paru fanów do studia, by popatrzeli sobie na zdjęcia, wypełnili tło. Już przedtem ochrona miała dość problemów z utrzymaniem tłumu w godziwej odległości od aktorów. Teraz, kiedy ludzie porozłazili się po dekoracji mającej udawać londyńskie skrzyżowanie, należało podwoić czujność.

I wtedy ukazała się ona, Angie Parks. Zmysłowa, piersiasta królowa ekranu, która nadała nowe znaczenie pojęciu „mocny seks”. Dziennikarze dopatrzili się już ironii losu, która sprawiła, że ekszona P.M. Fergusona grała rolę ekskochanki Briana McAvoya i rozkoszowali się sytuacją.

Kiedy przechodziła, ubrana w obcisłą spódnice i bawełnianą bluzkę, mężczyzn oblewał pot. Proste włosy miała stapirowane na czubku głowy i podkręcone na końcach według mody z początku lat sześćdziesiątych. Uśmiechając się do fanów, machnęła ręką gest przypominający bardziej odprawę niż przywitanie. Ucisnęła reżysera i Matta Holdena, po czym przystąpiono do kręcenia pierwszej sceny.

Wydawała się dosyć prosta. Jane i Brian idą obskurną ulicą objęci ramionami. Otacza ich aura romantyzmu i intymności. Przez cały ranek aktorzy chodzili tą ulicą pozwalając filmować się pod różnymi kątami. Było także zbliżenie - Jane uniosła twarz ku twarzy kochanka z wyrazem uwielbienia.

Dopiero w przerwie na lunch Michael zauważył, że Angie na niego patrzy. Nagle kołnierzyk zaczął go dusić, a na brwiach, ukrytych w cieniu daszka, zebrał się pot.

Widział, jak szepce coś do asystentów, a potem odchodzi wsparta na ramieniu reżysera.

Po południu przyszła kolej na dialog. Ten sam spacer, te same ruchy. Nawet za cenę życia Michael nie przypominałby sobie, o czym mówili kochankowie. Głędzili coś o wiecznej miłości, przywiązaniu, planach na przyszłość. Wiedział tylko, że po każdym ujęciu Angie posyła mu długie spojrzenie, a jemu ściska się żołądek.

Leci na mnie, pomyślał z tępy, pulsującym podnieceniem, które graniczyło ze zwykłym strachem. I nie robi tego subtelnie. Był zafascynowany jej osobą, ale nie do tego stopnia, by nie widzieć zazdrosnych spojrzeń i nie słyszeć dosadnych uwag policjantów z ochrony.

Mimo to przeżył szok, kiedy po zakończeniu zdjęć skinęła na niego długim palcem.

- Moja przyczepa jest tam.

- Słucham?

- Powiedziałam, moja przyczepa. - Uśmiechnęła się. Był to uwodzicielski, rozkwitający powoli uśmiech, który widział z pół tuzina razy na ekranie. Usta, zgodnie z wymogami charakteryzacji, miała pomalowane jasnorożową szminką. Patrząc na niego, wysunęła język i przesunęła nim po górnej wardze. - Muszę się przebrać i zmyć makijaż. Możesz poczekać na zewnątrz.

- Ale...

- Odwozisz mnie do domu - powiedziała i zbierała się do odejścia.

- Panno Parks! Ja, tego... Jestem na służbie.

- Tak. Teraz jesteś przypisany do mnie. - Uśmiechnęła się ponownie, wyraźnie smakując dźwięk tych słów. - Otrzymałam ostatnio parę listów z pogroźkami, w związku z tą rolą. Czuję się o wiele bezpieczniej, mając przy sobie silnego mężczyznę. - Błyskając tym swoim uśmiechem, rozdała parę autografów. - Reżyser załatwił sprawę z twoim przełożonym dzisiaj po południu. - Angie rzuciła mu spojrzenie spod rzęs, po czym odeszła do przyczepy, gdzie otoczył ją natychmiast wianuszek asystentów.

Michael stał tam, gdzie go zostawiła.

- Kesselring!

Zamrugał oczami i skupił wzrok na szerokiej, czerwonej twarzy sierżanta Cohena.

- Sierżancie?

- Odstawicie pannę Parks do domu. Będziecie zawozili ją co rano do studia i towarzyszyli jej z powrotem do rezydencji. Aż do odwołania. - Cohenowi nie podobał się ten układ. Sposób, w jaki wyrzucał z siebie słowa, nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Michael pomyślał, że gdyby sierżant nie był w mundurze, splunąłby z pewnością na chodnik.

- Tak jest!

- Spodziewam się, że wasze zachowanie nie będzie pozostawiało nic do życzenia.

- Tak jest! - Michael poczekał, aż Cohen się odwróci i dopiero wtedy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Pół godziny później Angie wyszła z przyczepy ubrana w luźny kombinizon ściągnięty w talii skórzanym, nabijanym ćwiekami pasem. Otaczała ją zapach - gorący, mocny zapach, który sprawiał, że mężczyźni ślinka napływała do ust. Włosy miała rozrzucone ponętnie, oczy ukryte za przesadnie wielkimi ciemnymi okularami. Zsunęła je na chwilę, by obrzucić Michaela jeszcze jednym długim spojrzeniem. Stała przy wozie patrolowym, czekając, by otworzył jej drzwiczki.

Podawała mu adres, potem zamknęła oczy i przez całą drogę zachowywała chłodne milczenie. Na długo przedtem, nim stanęli u bramy posiadłości, Michael zdecydował, że źle ocenił intencje panny Parks. Czuł zarazem ulgę i pogardę dla własnej głupoty. Słyszał przecież o głośnym romansie Angie z jej filmowym partnerem. Oczywiście dużo w tym było plotek i reklamy, ale dla takiej kobiety jak Angie romans z popularnym gwiazdorem miał z pewnością więcej uroku niż flirt ze skromnym gliniarzem.

Dała znak strażnikowi przy bramie i żelazne ozdobne wrota otworzyły się majestatycznie. Michael przypomniał sobie poprzedni przyjazd do tego domu, z Emmą na przednim siedzeniu i deskami surfingowymi na dachu starego chevelle. Wspomnienie wywołało lekki uśmiech na jego twarzy. I żal w duszy. Emma nie stanie się częścią jego życia inaczej niż w marzeniach.

Świadomy swoich obowiązków, wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Proszę za mną.

- Proszę pani, ja...

- Proszę za mną - powtórzyła i weszła na schody w specyficzny sposób, kręcąc biodrami.

Zostawiła drzwi otwarte, żeby je zamknął, potem przeszła przez hol, nie oglądając się za siebie. Była pewna, że za nią pójdzie. Mężczyźni zawsze za nią szli. Odrzuciwszy okulary słoneczne, weszła do pokoju, który lubiła nazywać salonem. Otworzyła szafkę w stylu Ludwika XV i wyjęła dwie szklanki.

- Szkocka czy bourbon? - Wiedziała, że stoi w progu, pełen wahania.

- Jestem na służbie - szepnęła. Tak jak przypuszczała, patrzył teraz na portret wiszący nad kominkiem. Widział go już kiedyś, stał w tym samym miejscu z Emmą u boku.

- Oczywiście. Świadomość, że traktujesz swoje obowiązki poważnie, przynosi mi wielką ulgę. - Angie odwróciła się do barku, wybrała napój chłodzący i nalała do szklanki. - Bo traktujesz je poważnie, prawda?

- Tak.

Podawała mu szklankę z uśmiechem.

- Ale cołą wolno ci wypić? Chciałam chwilę z tobą porozmawiać. Poznać cię bliżej... - Upiła łyżeczek. Jej oczy były nieruchome nad krawędzią szklanki. - Skoro masz się mną opiekować przez jakiś czas. No, proszę! — Przesunęła językiem po górnej wardze. Każde jej słowo, każdy ruch był kolejnym oczkiem w sieci, którą tak lubiła tkać. Nic nie mogło sprawić jej więcej satysfakcji, niż wciąganie mężczyzny w miękka, kleistą sieć seksu. - Nie ugryzę cię.

Poczekwała, aż przyjmie poczęstunek, po czym rozłożyła się na sofie. Powiedzieć, że usiadła, byłoby eufemizmem, Wygięła się na poduszkach spiętrzonych w rogu kanapy, leniwie przerzuciła ramię przez oparcie. Jedwab kombinezonu zaszeleścił cicho, kiedy krzyżowała nogi.

- Siadaj - pociągnęła kolejny łyżeczek. Za wystudowanym uwodzicielskim uśmiechem narastało z wolna prawdziwe podniecenie. Jest taki młody i szczupły. Spragnione, twarde jak skała ciało. Kiedy już oswoi go na tyle, by zdołał pokonać nieśmiałość - atrakcję samą w sobie — będzie cudowny. Oceniała, że ma około dwudziestu pięciu lat i może się pieprzyć godzinami. Wskazała palcem sąsiednią poduszkę. — Proszę opowiedzieć mi coś o sobie.

Usiadł, ponieważ czuł się jak idiota, stojąc na środku pokoju ze szklanką w ręce. Nie był głupi. Nie pomylił się ani o jotę w ocenie zamiarów Angie. Problem polegał na tym, że nie wiedział, jak ma się do tych zamiarów ustosunkować.

- Drugie pokolenie gliniarzy — zaczął. - Kalifornijczyk. — Napił się coli, mówiąc sobie, że jest odprężony. Na litość boską, miał dwadzieścia cztery lata. Jeżeli zachwycająca panna Parks chciała pofiirtować, wyświadczy jej tę przysługę. -I jestem pani fanem. - Uśmiechnął się.

- Naprawdę?

- Widziałem wszystkie pani filmy. - Obraz ponownie przyciągnął jego wzrok.

- Podoba ci się?

- Jest zachwycający.

Powolnym, płynnym ruchem wyjęła papierosa z majolikowego pudełka. Patrzyła na niego, dopóki się nie opamiętał i nie sięgnął po zapalniczkę, również z artystycznego szkła.

- Proszę się poczęstować - powiedziała, wskazując papierosy.

Myślał już o tym, co powie chłopakom w szatni. Skręci ich z zazdrości na wiadomość, że siedział z Angie Parks na jej sofie.

- Widziałem go już.

- Co mianowicie?

- Obraz. - Michael zaciągnął się dymem i niemal odprężył. - To dość zabawne. Byłem tutaj, siedem czy osiem lat temu. Z Emmą.



Wzrok Angie stwardniał.

- McAvoy?

- Aha. Wpadłem na nią na plaży któregoś lata, Znamy się od dziecka. Odwiozłem ją do domu. To znaczy, tutaj. Pani kręciła chyba jakiś film w Europie.

- Mmm. - Rozważała przez chwilę to, co usłyszała, potem się uśmiechnęła. To czyniło sprawę jeszcze bardziej interesującą. Oto grając mamuszkę Emmy McAvoy w filmowym przeboju roku, była bliska uwiedzenia jednego z jej przyjaciół. Pomyśli o tym, kochając się z nim. - Jaki ten świat mały. - Angie odstawiła szklanekę i wyciągnęła rękę, by bawić się guzikami jego koszuli. — Często widujecie się z Emmą?

- Nie. To znaczy widziałem się z nią miesiąc temu, kiedy była w mieście.

- Czy jesteście... związani? - Pierwszy guzik ustąpił.

- Nie. To znaczy... Nie, panno Parks.

- Angie. - Dmuchnęła mu lekko w twarz chmurą dymu, potem zdusiła papierosa. - Ja się nazywasz, kochanie?

- Michael, Michael Kesselring. Ja nie...

Jej ręka znieruchomiała.

- Kesselring? Jakież powiązania z oficerem prowadzącym sprawę morderstwa McAvoya?

- To mój ojciec. Panno...

Roześmiała się, przeciągle, głośno, z rozkoszą.

- Coraz lepiej. Nazwijmy to przeznaczeniem, Michael. - Jej dłoń sunęła w górę jego uda. - Odpręż się.

Nie był głupi. I nie był z kamienia. Kiedy nakryła go dłońmi, rozkosz przeszła go jak rozpalone ostrze. Rozkosz i poczucie winy. To idiotyczne, powiedział sobie. Była wspaniała, niebezpieczna - była mrocznym marzeniem każdego mężczyzny. A on miał już kobiety, poczynając od Caroline Fitzgerald w noc poprzedzającą jego siedemnaste urodziny. Stracili dziewictwo razem, słodko i niezdarnie. Wiele się nauczył od czasów dobrej, starej Caroline.

Angie wyjęła mu papierosa z ręki i pozostawiła dymiący niedopałek w popielniczce, podczas gdy Michael twardniał pod jej dłonią. Będzie słodki, myślała. Taki słodki. I ta ironia losu! Ironia jest cudowna.

- Nigdy nie miałam policjanta - szepnęła, chwytając zębami jego wargę - Będziesz pierwszym.

Czuł, że oddech dławi mu płuca, gorący i gęsty. Pokręcił głową, chcąc odzyskać jasność widzenia. W krótkim, boleśnie wyraźnym przebłyску świadomości, ujrzał siebie i Emmę siedzących na plaży. Potem Angie wstała. Jedną ręką rozpięła pas. Wystarczył ruch ramion, by czerwony jedwab

ześlizgnął się na podłogę. Pod spodem jej ciało było białe, soczyste i nagie. Przesunęła po nim dłońmi, pieszcząc się z uwielbieniem. Zanim odnalazł w sobie dość siły, by wstać, usiadła na nim okrakiem. Z jękiem rozkoszy przycisnęła jego usta do swoich doskonałych, gładkich piersi.

- Zrób mi to - szepnęła. - Rób ze mną wszystko, co chcesz.

## Rozdział 24

Brukowce miały swój wielki dzień.

### ANGIE PARKS I JEJ KOCHANEK GLINIARZ REPORTAŻ ZZA KULIS TRÓJKĄT NAMIĘTNOŚCI I ZBRODNI W HOLLYWOOD

Dziennikarze skwapliwie podchwycili powiązania bohaterów skandalu z McAvoyami i grali na nich jak orkiestra dęta. W Nowym Jorku Emma próbowała ignorować plotki i modliła się, by nie były oparte na faktach.

To nie moja sprawa, upewniała samą siebie podczas godzin spędzanych w ciemni. Michael jest po prostu przyjacielem, w zasadzie znajomym. Nie łączą ich żadne więzy, a już z całą pewnością nie uczucie. Łączy ich pocałunek.

Była romantyczką. Jeden pocałunek nic nie znaczy. Nie pozwoliła, by coś znaczył, nie mogła pozwolić. Nawet jeżeli czuła... Nie była pewna, co czuła. To nie miało znaczenia. Jeżeli Michael rzeczywiście wpadł w sieć Angie, może mu tylko współczuć. Pomysł, by czuć się zdradzoną, jest niedorzeczny.

Każde z nich wiodło odrębne życie. On na jednym wybrzeżu, ona na drugim. I na dodatek Emma zaczynała w końcu robić coś z własnym życiem.

Pracowała dla Runyuna. Była wprawdzie skromną asystentką, ale skromną asystentką Runyuna. Przez ostatnie dziesięć tygodni nauczyła się od niego więcej niż przez lata studiów. Pracując przy świetle czerwonej żarówki, ostrożnie przesunęła odbitkę w koreksie. Uczyła się szybko i była coraz lepsza. I miała zamiar być jeszcze lepsza.

Pewnego dnia, pomyślała, Runyun zrozumie, że nie wyrzucał pieniędzy w błoto.

W życiu zawodowym posuwała się szybko po obranej przez siebie drodze. W jej życiu osobistym panował zamęt.

Matka. Nie potrafiła nawet opisać, jak dręczy ją świadomość, że kobieta, którą ujrzała w londyńskim domu, dała jej życie. Czy kiedykolwiek bę-

dzie mogła określić i zrozumieć swoje uczucia? I obawy? Nawet pociecha, jaką obdarzyła ją Bev, nie mogła rozproszyć najgorszego lęku. Czy jest taka jak Jane? Może głęboko tkwią w niej jakieś zarodki, które pewnego dnia rozwiną się, zmieniając Emmę w kogoś, kim nie chciała być.

W pijaczkę. Wulgarną, zgorzkniałą pijaczkę.

Czy zdoła uciec przed przeznaczeniem, które osaczało ją ze wszystkich stron? Matka, dziadek. Ojciec. Mogła nadal udawać, że jest ślepa, ale w końcu będzie musiała pogodzić się z myślą, że człowiek, którego kocha, jest równie uzależniony od alkoholu, jak kobieta, którą pragnęła nienawidzić.

To ją przerażało.

Nie chciała w to wierzyć. Bała się nie wierzyć.

Nie powinnam drażnić tego tematu, powiedziała sobie i powiesiła odbitkę do wyschnięcia. Przyjrzała się jej badawczo, krytycznie, zanim podeszła do powiększalnika.

Ponieważ już ją mdliło od martwienia się o własną osobę, postanowiła pomartwić się o Mariannę. Wiedziała, że przyjaciółka ucieka z zajęć, żeby pójść z Robertem Blackpoolem na lunch albo na drinka do najmodniejszej w danym momencie knajpy. Potem objeżdżali nocne lokale - Elaine's, Studio 54, Danceteria - w których, zdaniem Blackpoola, należało się pokazać.

Bywały dni, kiedy Marianna wracała o świcie, rozgadana, z podkrążonymi oczami. I jeszcze gorsze noce, kiedy Blackpool zostawał w studiu Marianny. W łóżku Marianny.

Emma całym sercem pragnęła szczęścia przyjaciółki. I Marianna była szczęśliwa. Była szaleńczo zakochana po raz pierwszy w życiu, i to w człowieku, który, sądząc z pozorów, ją uwielbiał. Prowadził ją podniecające, wspaniałe, dekadentkie życie, o którym obie marzyły uwiecznione w murach świętej Katarzyny.

Emmę irytowało, że jest zazdrosna i krytyczna. Oburzał ją fakt, że nie może już porozmawiać z Marianną, kiedy ma na to ochotę, i zaraz uznała, że sama jest małostkowa. Drażnił ją blask, który opromieniał twarz Marianny po akcie miłosnym. Uznała więc, że jest zawistna.

Nawet pominiwszy to wszystko, romans Marianny i tak nie budziłby jej zachwyty. Blackpool był obłędnie przystojnym, podniecającym i utalentowanym mężczyzną. Nie mogła temu zaprzeczyć, zwłaszcza teraz, patrząc na schnące odbitki. Uległa naleganiom Marianny i zgodziła się sfotografować Blackpoola. Zachował się jak stuprocentowy dżentelmen. Swobodny, zabawny, schlebający jej w platoniczny sposób. Ani na chwilę nie zapomniał, że ma do czynienia z przyjaciółką kochanki.

Kochanki. Westchnąwszy smutno, spojrzała koso na odbitki. Może tu jest pies pogrzebany. Przez ponad dziesięć lat dzieliły z Marianną wszystko - każdą myśl, każdą czynność, każde marzenie. Teraz pojawiło się coś,

czego nie mogły dzielić, i kipiące szczęście Marianny stało się cierniem - ciągłym przypomnieniem czegoś, czego Emma nigdy nie zaznała.

Powinnam się wstydzić, myślała, Każdego dnia znajdowała usprawiedliwienie dla swoich uczuć. Blackpool jest zbyt gładki, zbyt doświadczony, za bardzo lubi nocne lokale i kobiety. Jego oczy są zbyt ciemne, kiedy spoczywają na niej - i zbyt zuchwałe, kiedy patrzą na Mariannę. Ale prawda była taka, że targała nią zazdrość o przyjaciółkę.

To, że go nie lubię, nie ma znaczenia, powiedziała sobie. To, że Johnno go nie lubi i nieustannie kpi ze słabości Blackpoola do czarnej skóry i srebrnych łańcuchów, również nie ma znaczenia. Tylko jedno jest ważne - Marianna go kocha.

Zapaliła światło, prostując plecy. Po dniu spędzonym na wywoływaniu zdjęć czuła wściekły głód. Miała nadzieję, że Runyun i jej kontakt w „Rolling Stone” zaaprobuja fotki, które robiła Devastation w studiu nagraniowym.

Buszowała w lodówce w poszukiwaniu czegoś bardziej pojętnego od pleśniejacej kiełbasy, kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi windy.

- Mam nadzieję, że zrobiłaś zakupy! - zawołała. - W lodówce robią nam się eksperymentalne pleśnie.

- Przykro mi.

Odwróciła się błyskawicznie na głos Blackpoola.

- Myślałam, że to Marianna.

- Nie. Dała mi to. - Uśmiechnął się swobodnie, uniósł klucz, po czym wsunął go do kieszeni džinsów. - Wstąpiłbym do delikatesów, gdybym wiedział, że znajdę tu głodną kobietę.

- Marianna jest na zajęciach. - Emma spojrzała na zegarek. - Powinna zaraz wrócić.

- Mam czas. - Blackpool wcisnął się do kuchni, żeby spojrzeć jej przez ramię. Emma odsunęła się automatycznie. - Żałosne - stwierdził, ale sięgnął po importowane piwo, które Marianna chowała dla niego. Na ścianie wisi miedziany otwieracz. Blackpool oderwał kapsel i pił, wpatrując się w nią badawczo.

Włosy miała upięte na czubku głowy, żeby nie przeszkadzały w pracy. Teraz, pod wpływem jego świdrującego spojrzenia, Emma poczuła, że dzin-sy ma za ciasne, a T-shirt za duży. Podciągnęła koszulkę, która ześlizgała się ciągle, odsłaniając ramię.

- Przykro mi, ale nie mogę poczęstować cię niczym więcej.

Uniósł tylko brew, uśmiechnął się i łyknął piwa.

- Nie martw się tym. Po prostu myśl o mnie jako o członku rodziny.

Nie miała ochoty na pozostawanie z nim w maleńkiej kuchni. Kiedy wychodziła, przesunął się odrobinę, tak by ich ciała otarły się o siebie. Ruch

miał podłoże seksualne i był szokujący, ponieważ aż do tej chwili Blackpool zachowywał się jak uprzejmy znajomy. Roześmiał się, kiedy odskoczyła.

- Czyżbyś robiła się przy mnie nerwowa, Emmo?

- Nie. - Kłamała i to nieudolnie. Próbowwała nie myśleć o nim jak o mężczyźnie, nie w ten sposób, w jaki kobieta myśli o mężczyźnie. Ale czuła jeszcze jego długie, twarde uda. — Wychodźcie z Marianną?

- Taki jest plan. - Miał zwyczaj przesuwania językiem po zębach, zanim się uśmiechnął, jak człowiek zasiadający do długiego, smakowitego posiłku. - Chcesz się przyłączyć?

- Chyba nie. - Marianna namówiła ją kiedyś na wspólny wypad i skończyło się na tym, że biegali od klubu do klubu, ciągnąc za sobą ogon paparzzich.

- Za rzadko wychodzisz, kochanie.

Odrzuciła głowę, kiedy sięgnął ku jej włosom.

- Pracuję.

- Skoro już jesteśmy przy twojej pracy, wywołałaś moje zdjęcia?

- Tak. Schną.

- Mogę zobaczyć?

Wzruszywszy ramionami, ruszyła do ciemni. Nie boję się go, zapewniła samą siebie. Jeżeli bada grunt pod trójkąt, usadzi go błyskawicznie.

- Myślę, że będziesz zadowolony - zaczęła.

- Och, ale ja mam bardzo wysokie wymagania, Emmo, złotko.

Zesztywniała, słysząc pieszczotliwe zdrobnienie swojego imienia, ale brnęła dalej.

- Próbowалам wydobyć z ciebie zmienność i nieco arogancji.

Na karku czuła jego gorący oddech.

- Erotyzm?

Nie zdążyła opanować szybkiego dreszczu.

- Niektóre kobiety uważają, że arogancja jest seksowna.

- A ty?

- Nie. - Wskazała na schnące odbitki. - Jeżeli znajdziesz coś, co cię zadowoli, mogę to powiększyć.

Widok własnej twarzy kazał mu chwilowo poniechać flirtu.

Zdjęcia zrobiono w warunkach domowych, tu na miejscu. Zgodził się pozować, po części dlatego, że Marianna tego chciała, po części, że dawało mu to szansę omotania Emmy. Wolał młodsze kobiety - świeżutki i nieskalane - zwłaszcza po paskudnym rozwodzie z żoną. Miała trzydzieści lat, była ostra jak skalpel i skłonna do skurwysyństwa, kiedy tylko podejrzewała go, słusznie zresztą, o niewierność.

Entuzjazm Marianny, jej cierpki dowcip i brak zahamowań w łóżku dawały mu dużo przyjemności. Ale Emma, młodzieńka, cicha Emma, to zupełnie

inna sprawa. Miał wielką ochotę stopić jej chłodną rezerwę. Bez wątpienia mu się uda. McAvoy wpadłby w szal - fakt dodający smaczku przedsięwzięciu. Wciągnięcie obu kobiet do łóżka było tylko jedną z fantazji Blackpoola. Dwa smukłe, gibkie ciała, dwie pojętne uczennice. Podejrzenie, że Emma jest równie dziewicza, jak swego czasu Marianna, tylko potęgowało jej urok.

Ale na razie odsunął na bok tę myśl, zajęty studiowaniem zamglonych, biało-czarnych odbitek.

- Marianna twierdziła, że masz talent, ale myślałem, że mówi tak, bo jesteście przyjaciółkami.

- Nie. — Nawet w tak małym pokoiku Emmie udało się odsunąć od niego na długość ramienia. - Jestem dobra.

Roześmiał się - niski, zmysłowy dźwięk przebiegł dreszczem po skórze Emmy. Kiedy poczuła, że mięśnie jej się napinają, zwiększyła dzielącą ich odległość. Był seksowny, do ciężkiej cholery! Ale pod prymitywnym urokiem kryło się coś, co budziło wstręt.

- Rzeczywiście jesteś dobra, maleńka. - Kiedy się odwrócił, uchwyciła zapach, który go otaczał - zapach skórzanej kurtki, potu i ledwo wyczuwalny powiew piwa. — Cicha woda brzegi rwie.

- Znam się na swojej pracy.

- To coś więcej niż praca. - Niedbałym gestem oparł się ręką o ścianę, odcinając jej drogę odwrotu. Tkwił w tym element ryzyka, któremu nie mogła się oprzeć. - Fotografia jest sztuką, czyż nie tak? Artysta rodzi się z czymś, czego inni ludzie są pozbawieni. - Blackpool wyciągnął drugą rękę i wyjął jej spinkę z włosów. Stała nieruchomo, spłoszona i ogłupiała jak królik złapany w światła reflektorów. - Ja wiem. Artysta pozna artystę. — Wolno wyciągnął drugą spinkę. - Poznajesz mnie, Emmo?

Nie mogła mu odpowiedzieć, nie mogła się ruszyć. Przez chwilę nie mogła nawet myśleć. Kiedy pokręciła głową, rzucił się ku niej, przeciągając dłońią przez jej włosy, wyrwijąc spinki, rozgniatając gorące, łapczywe wargi na jej ustach.

Nie broniła się na początku i do końca życia nie mogła sobie przebaczyć tego momentu palącej rozkoszy. Nacierał na Emmę, czerpiąc przyjemność przede wszystkim z jej doskonałej niewinności. Wepchnął język w rozchyłone wargi dziewczyny. Kiedy jęknęła w budzącym się proteście, wsunął ręce pod bluzkę i gniótł jej piersi, podczas gdy ona próbowała złapać oddech.

- Nie! Nie!

Tylko się roześmiał. Pod wpływem drżenia, jakie ogarnęło ciało dziewczyny, przelotne zainteresowanie Blackpoola przerodziło się w prawdziwą namiętność. Unieruchomił swoim ciężarem jej ciało, a oporna namiętność Emmy zamieniała się powoli w strach.

- Puść mnie!

Teraz z nim walczyła. Jej paznokcie ryły po skórzanej kurtce. Blackpool rzucił Emmę na ścianę i z półki posypały się butelki. Emma czuła grozę, przyczojona jak zwierzę, zaciskającą na niej szczęki, dławiącą krzyk. Dłonie Blackpoola znalazły się na suwaku dzinsów. Nie wiedziała, że szlocha i że to go podnieca.

Puścił ją, żeby rozpiąć własne spodnie. Rozejrzała się w panice, szukając drogi ucieczki. Przerazenie nadal przetaczało się przez jej ciało ciężką falą, kiedy chwyciła nożyczki i zaciskała na nich obie dłonie.

- Trzymaj się ode mnie z daleka. - Jej głos był niski i chrapliwy, równie drżący jak ręce, które trzymały nożyczki.

- A to co? - Wiedział, co oznacza dziki wyraz jej oczu. Uderzył pierwsza i później będzie tego żałować. Miałem rację co do dziewictwa, pomyślał, oddychając ciężko. Chciał uwolnić ją od zbędnego ciężaru. - Bronisz honoru? Jeszcze minutę temu byłeś gotowa o nim zapomnieć.

Pokręciła tylko głową, dziabiąc nożyczkami, kiedy postąpił krok naprzód.

- Wynoś się! Natychmiast! Nie zbliżaj się do mnie ani do Marianny. Kiedy jej powiem...

- Na twoim miejscu nic bym nie mówił. - Stłumił wściekłość na tyle, że mógł się uśmiechnąć. - Stracisz przyjaciółkę. Marianna mnie kocha i uwierzy we wszystko, co jej powiem. Wyobraź sobie, napastujesz kochankę najlepszej przyjaciółki.

- Jesteś łajdakiem i kłamcą.

- Zgadza się, Emmo, złotko. Ty za to jesteś zimną rybą. - Nieco już spokojniejszy, podniósł porzuconą puszkę i napił się łąpczywie. - Chciałem ci tylko wyświadczyć przysługę. Masz problemy, kochanie, duże problemy, ale nic takiego, czego nie rozwiązałyby dobre pieprzenie. - Pogłaskał się po kroczu, nadal z uśmiechem. - I wierz mi, jestem w tym bardzo dobry. Zapytaj swoją przyjaciółkę.

- Wynoś się.

- Ale ty nic o tym nie wiesz, prawda? Słodka katolicka dziewczeczka, przepełniona grzechem i tymi podniecającymi snami, które cię nachodzą, kiedy słyszysz mnie z Marianną. Jesteś z tych, co lubią być gwałcone, żeby móc udawać, że nadal są niewinne, nawet wtedy, gdy błagają o więcej.

Zacisnąwszy zęby, Emma spojrzała umyślnie w dół na jego dłonie pieścące krocze.

- Kiedy ich użyję - powiedziała cicho, ściskając nożyczki - będę celowała prosto w jaja.

Widok twarzy Blackpoola, poblądłej nie tylko z wściekłości, ale i ze strachu, sprawił jej satysfakcję. Cofnął się o krok.

- Suka! - Szyderstwo w jego głosie, tak uwielbiane przez kobiety, wywołało u Emmy dreszcz obrzydzenia.

- Lepsza suka niż eunuch - odparła dość spokojnie, chociaż bała się, że nożyczki wyślizgną się lada chwila z jej bezwolnych palców.

Oboje usłyszeli drzwi windy. Oboje ochłonęli.

- Emma! - Radosny głos Marianny wypełnił mieszkanie jak muzyka. - Emma, jesteś w domu?

Blackpool posłał Emmie szybkie, zuchwałe spojrzenie.

- Tutaj, kochanie. Emma pokazuje mi odbitki.

- O! Już je zrobiłaś?

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając Emmie wolny wybór: iść za nim czy zostać. Oderwawszy jedną rękę od nożyczek, otarła mocno usta wierzchem dłoni.

- Czekałem na ciebie - usłyszała głos Blackpoola jak chłodny jedwab.

- Nie wiedziałam, że tu będziesz. - Marianna powiedziała to bez tchu i Emma domyśliła się, dlaczego. Blackpool ją całował. - Chcę obejrzeć zdjęcia - wykrztusiła w końcu Marianna.

- Po co patrzeć na zdjęcia, skoro masz przed sobą oryginał?

- Robert... - Protest Marianny przeszedł w tłumiony jęk. - Emma...

- Nie martw się o nią. Jest zajęta. Czekałem cały dzień, żeby dostać cię w swoje ręce.

Emma nawet nie drgnęła, kiedy szept i śmiechy oddalały się w górę schodów. Bardzo cicho zamknęła drzwi ciemni. Nie chciała nic słyszeć. Nie chciała sobie wyobrazić. Udało jej się dobrnąć do stołka, zanim ugięły się pod nią nogi. Nożyczki upadły z brzękiem na podłogę. Emma podkuliła kolana i przycisnęła je do piersi.

Dotknął mnie, myślała ze wstrętem.

Dotknął jej, a ona, Boże, miej litość, przez chwilę pragnęła, by dalej jej dotykał. Chciała, żeby odebrał jej możliwość wyboru, zrobiła dokładnie to, o co ją oskarżał. Nienawidziła go za to. Nienawidziła też siebie.

Telefon zadzwonił trzy razy, zanim zebrała energię, by sięgnąć po słuchawkę.

- Tak.

- Emma... Emma, czy to ty?

- Tak.

Rozległ się trzask, potem nastąpił moment wahania.

- Tu Michael. Michael Kesselring.

Gapiła się tępo na odbitki rozwieszzone nad stołem do pracy.

- Tak, Michael?

- Czy... czy wszystko w porządku? Nic się nie stało?

Uświadomiła sobie, że wzbiera w niej śmiech, głośny, długi śmiech.



- Nie. Dlaczego coś miałoby być nie w porządku?

- Pewnie czytałaś popołudniówki.

- Widziałam je.

Wetchnął przeciągle. Przemowa, którą przygotował tak starannie, wyleciała mu z głowy.

- Chciałem zadzwonić i wyjaśnić...

- Dlaczego? To nie moja sprawa, co robisz i z kim to robisz. - Gniew, którego nie czuła owładnięta strachem, dochodził teraz do głosu. - Nie widzę powodu, dla którego powinnam dbać o to, z kim się pieprzysz. Ty widzisz?

- Tak. Nie! Do cholery, Emma! Nie chciałem, żebyś sobie coś pomyślała.

Trzęsła się teraz.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że z nią nie spałeś?

- Nie, tego nie mogę ci powiedzieć.

- Więc doprawdy nie mamy więcej o czym rozmawiać.

- Emma. Cholera! Nie wiem, jak to się stało. Chcę z tobą o tym porozmawiać, ale nie przez ten cholerny telefon. Mogę zamienić się na dyżury, przylecieć na parę dni.

- Nie spotkam się z tobą.

- Na litość boską Emmo!

- Nie. Nie musisz tego robić, Michael. Już ci powiedziałam, możesz być z kim ci się żywnie podoba. Daję ci moje błogosławieństwo, jeżeli jest ci ono potrzebne. Mam zamiar zostawić tę część mojego życia za sobą. Więc spotkanie z tobą koliduje z moimi planami. Rozumiesz?

- Tak. - Nastąpiła długa, bardzo długa przerwa. - Tak, chyba rozumiem. Życzę ci szczęścia, Emmo.

- Dziękuję, Michael. Do widzenia.

Znowu płakała, ale tym razem nie ocierała nawet łez. Reakcja, powiedziała sobie. Reakcja po strasznej scenie z Blackpoolem. Życzyła Michaelowi dobrze, naprawdę. Do diabła z nim i wszystkimi facetami!

Zamknęła drzwi, nastawiła głośno radio, usiadła na podłodze i szlochała.

## Rozdział 25

NowyJork, rok 1986

Mieszkanie wyglądało jak po przejściu trąby powietrznej. Ale przecież Marianna zawsze zdradzała właściwości huraganu, pomyślała Emma. Patrzyła na rozrzucone papiery i czasopisma, na trzy puste torebki, dwie

z nich czerwone, jeden pantofelek w tym samym odważnym kolorze, płyty rozłożone na podłodze jak talia kart. Wybrała jedną i nastawiła adapter. Uderzył w nią głos Arethy Franklin.

Uśmiechnęła się na myśl, że Marianna puszczała tę płytę poprzedniego wieczoru, kończąc szaleńcze pakowanie. Trudno w to uwierzyć, ale będzie musiała być bez Marianny przez większą część roku.

Podniosła purpurową jedwabną bluzkę i czerwoną tubę. Kolejne ciuszki, które Marianna przeoczyła w gorączkowym poszukiwaniu rzeczy niezbędnych. Ale szansy rocznych studiów w Paryżu, w Ecole des Beaux Arts nie mogła przegapić. Emma cieszyła się razem z Marianną, ale teraz ciężko jej było, bardzo ciężko, stać samotnie pośrodku mieszkania.

Nasłuchiwała przez chwilę. Nad głosem Arethy wzbijał się szum ulicy. Przez otwarte okna dolatywał wysoki, silny sopran śpiewaka operowego ćwiczącego arię z *Wesela Figara*. Może to głupie czuć, że jest się samemu w Nowym Jorku, ale dokładnie tak się czuła.

Już niedługo, przypomniała sobie, i położyła bluzkę i pantofel na ostatnim schodku. Ona też musi się spakować. Za dwa dni będzie już w Londynie. Znow jechała w trasę z Devastation, ale tym razem w oficjalnym charakterze. Jako fotograf grupy. Zapracowałam na ten tytuł, myślała, kładąc na łóżko pierwszą walizkę. Ojciec poprosił ją, by zrobiła zdjęcie na okładkę, i to była jej szansa. Okładkę *Lost the Sun*, przypomniała sobie. Ostry biało-czarny portret wzbudził tyle uznania, że nawet Pete przestał rzucać uwagi o nepotyzmie. I nie powiedział słowa, kiedy poproszono ją o zrobienie okładki obecnego albumu.

Sprawiło jej ogromną satysfakcję, że to on, jako menedżer grupy, zadzwonił z zaproszeniem na tournée. Pensja, zwrot wydatków. Runyun trochę pomrukiwał, ale krótko. Coś o komercjalizacji sztuki.

Londyn, Dublin, Paryż - szybkie odwiedziny u Marianny - Rzym, Barcelona, Berlin. Nie wspominając o innych miastach. Europejska trasa została zaplanowana na dziesięć tygodni. Po jej zakończeniu Emma zrobi to, co obiecywała sobie od dwóch lat. Otworzy własne studio.

Nie mogąc znaleźć czarnego kostiumiku z kaszmiru, poszła na górę. Po drodze zabrała ze schodów bluzkę i pantofel. Piętro pachniało fascynująco, mieszkanką terpentyny i opium. Marianna pozostawiła pracownię dokładnie w takim stanie, jaki najbardziej lubiła - chaosu. Pędzle, noże do palet i połamane kawałki kredy tkwiły we wszystkim, co przypominało pojemnik, w słoikach po majonezie i w dreздеńskim wazonie. Płótna opierały się jak pijane o ściany. Trzy fartuchy robocze, ochlapane farbą jeszcze bardziej pstrokatą niż one same, walały się na krzesłach i stołach.

Sztalugi nadal stały przy oknie wraz z kubkiem, którego zawartości Emma nie miała odwagi zbadać. Kręcąc głową, przeszła do sypialni. Tak

naprawdę była to alkowa. W miarę upływu lat sztuka Marianny zawładnęła jej mieszkaniem. Wielkie ratanowe łóżko wypełniało niewielką przestrzeń między dwoma stołami. Lampa z kloszem w kształcie słomkowego kape-lusza stała na jednym z nich, pół tuzina świeczników różnej wielkości - na drugim.

Łóżko było nieposłane. Odkąd opuściły świętą Katarzynę, Marianna z zasady odmawiała siania łóżka. W szafie Emma znalazła trzy sztuki odzie-ży, wszystkie trzy jej. Czarny kostiumik z kaszmiru wisiał między skórzaną spódnicą, o której zupełnie zapomniała, i swetrem z napisem: „I Love New York”. Sweter miał rozdarty rękaw.

Emma zabrała rzeczy i usiadła na skotłowanym łóżku Marianny.

Boże! Ależ będzie za nią tęskniła. Dzieliły wszystko- żarty, kryzysy życiowe, kłótnie, łzy. Nie miały sekretów. Z wyjątkiem jednego, przypo-mniała sobie Emma. Jeszcze teraz zadrżała na to wspomnienie.

Nigdy nie powiedziała Mariannie o Blackpoolu. Nikomu nie powiedzia-ła. Miała taki zamiar, zwłaszcza tej nocy, kiedy Marianna wróciła do domu upojona szczęściem, pewna, że Blackpool poprosi, by za niego wyszła.

- Patrz, co mi dał. - Wyciągnęła serduszko ozdobione brylancikami, na złotym łańcuszku, który otaczał jej szyję. - Powiedział, że nie chce, żebym o nim zapomniała, kiedy będzie pracował w Los Angeles nad nowym albu-mem. - Marianna przemierzała pokój w hołubcach.

- Jest piękne - wykrztusiła Emma z trudem. - Kiedy wyjeżdża?

- Już wyjechał. Odwiozłam go na lotnisko.

Ulga napływała falami.

- Kiedy jego samolot odleciał, siedziałam na parkingu i przez pół go-dziny płakałam jak dziecko. Idiotyczne. Przecież wróci. - Wykonała piruet i zarzuciła Emmie ramiona na szyję. - Emma, on chce się ze mną ożenić. Wiem o tym.

- Ożenić? - Ulga przerodziła się w panikę. Przypomniała sobie ręce Blackpoola gniotące jej piersi. -Ale, Marianno, on jest... jak...

- Sposób, w jaki powiedział „do widzenia”, sposób w jaki patrzył na mnie, wręczając wisiorek. Chryste, Emma! Musiałam wziąć się w garść, żeby nie błagać, by zabrał mnie ze sobą. Ale chcę, żeby po mnie przysłał. Wiem, że po mnie przysłał.

Oczywiście, nie przysłał.

Marianna czuwała przy telefonie po całych nocach, biegła z zajęć do domu, by sprawdzić, czy nie ma dla niej wiadomości. Blackpool nie za-dzwonił.

Trzy tygodnie później dowiedziały się dlaczego. Zobaczyły Blackpoola na ekranie telewizyjnym. Oto on w nieodłącznej czarnej skórce, w towarzy-stwie młodej gorącej brunetki, piosenkarki śpiewającej w chórkę jakiegoś

hollywoodzkiego zespołu. Tyle telewizja. Potem na nowy romans lidera Birdcage Walk rzuciły się popołudniówki.

W pierwszym momencie Marianna zbyła wiadomość śmiechem. Następnie próbowała skontaktować się z ukochanym. Nie oddzwonił. W „People” ukazał się reportaż o nim i jego ostatniej miłości. Marianna dowiedziała się, że pan Blackpool pojechał na wakacje na Kretę. I zabrał ze sobą brunetkę.

Emma wstała z łóżka i podeszła do okna. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie widziała Marianny tak zdruzgotanej. Cóż to była za ulga, kiedy przyjaciółka wydostała się w końcu z łzawej depresji i skłęta Blackpoola z wprawą, która napełniła serce Emmy miłym ciepłem. Potem wyrzuciła brylantowe serduszko przez okno. Emma zawsze miała nadzieję, że znalazła je jakaś bystrooka żebraczka.

Wyszła z tego, myślała Emma. Rzuciła się w wir pracy, owładnięta natchnieniem, które zawdzięczała Blackpoolowi. Cóż byłby wart artysta, gdyby nie zaznał cierpienia!

Emma mogła sobie tylko życzyć, by potrafiła otrząsnąć się równie szybko. Do końca życia zapamięta wszystko, co jej powiedział, każde wyzwisko, którym ją obrzucił. Jej jedyną zemstą było spalenie odbitek i negatywów.

To już historia, pomyślała z ulgą i wstała. Problem polegał na tym, że widziała przeszłość zbyt ostro. Był to zarazem błogosławiony dar i przekleństwo. Potrafiła ujrzeć wydarzenia sprzed roku, sprzed dwudziestu lat równie wyraźnie jak własną twarz w lustrze.

Z wyjątkiem jednej nocy, pomyślała. Ta noc wracała do niej tylko w mglistych snach.

Z odzyskaną odzieżą pod pachą zeszła na dół. Zmarszczyła brwi, słysząc dzwonek u drzwi. Wszyscy wiedzieli, że Marianna wyjechała, a ona sama jest już praktycznie jedną nogą za drzwiami.

Intercom zapiszczał, kiedy przycisnęła guzik.

- Tak?

- Emma? Tu Luke.

- Luke? - Emma, zachwycona, otworzyła zewnętrzne drzwi. - Wchodź na górę.

Wpadła do sypialni, by rzucić ubranie na łóżko, i wróciła biegiem, by powitać go przy drzwiach windy.

- Halo. - Uścisnęła go mocno, zdziwiona nieco jego powściągliwością. Najwyraźniej zawahał się, zanim odwzajemnił uścisk. - Nie wiedziałam, że jesteś w mieście.

Odsunęła się, by na niego spojrzeć, i uśmiech zamarł jej na ustach. Wyglądał strasznie: błądy, z podkrążonymi oczami, wychudzony. Ostatnim razem, kiedy się widzieli, Luke był w drodze do Miami. Nowa praca, nowe życie.

- Przyjechałem parę dni temu. - Luke uśmiechnął się tylko wargami, oczy pozostały martwe. - Jesteś coraz piękniejsza, Emmo.

- Dzięki. - Ponieważ jego dłoń wydała jej się zimna jak lód, zaczęła ją automatycznie rozcierać. - Chodź, siadaj. Zrobię ci drinka. Możemy napić się wina.

- Masz bourbona?

Uniosła brwi. Przez wszystkie lata ich znajomości nie widziała, by raz czył się czymś mocniejszym niż chardonnay.

- Nie wiem. Sprawdzę.

Poczekaała, aż rozsiądzie się na kanapie, i dała nura do kuchni.

Miami mu nie służy, pomyślała, otwierając kolejne szafki i przeszukując skromny zapas alkoholu. A może to rozstanie z Johnno mu nie służy. Wygląda na półżywego. Jak człowiek ocalały z katastrofy. Luke, którego pamiętała, Luke, którego pożegnała półtora roku temu, był wspaniałym, umięśnionym, wymuskany okazem rasy ludzkiej.

- Koniak! - zawołała. Ktoś sprezentował im butelkę courvoisiera na Boże Narodzenie.

- Świetnie.

Nie miała w domu koniakówki, dała mu kieliszek do wina, a sama nalała sobie wody Perrier.

Kiedy usiadła naprzeciwko niego na otomanie, uśmiech Luke'a był mniej wymuszony.

- Zawsze lubiłem to miejsce. - Wskazał na malowidło ścienne pędzla Marianny. - Gdzie ona jest?

- W Paryżu. - Zerknęła na zegarek. - Albo gdzieś w pobliżu. Poleciała tam na roczne studia.

Przeniósł wzrok na sąsiednią ścianę obwieszoną fotografiami.

- Widziałem twoje studium fotograficzne Barysznikowa.

- Najbardziej wstrząsające doświadczenie mojego życia. Byłam zaskokowana, kiedy Runyun zlecił mi tę robotę.

- I okładkę albumu. - Luke pił powoli koniak, czując w przełyku każdą kroplę.

- Poczekaj, aż zobaczysz następny. - Nadała głosowi lekkie brzmienie, ale w jej oczach prześlizgujących się po Luke'u widniała troska. - Album powinien ukazać się pod koniec tygodnia. Oczywiście, muzyka też jest niezła.

Zobaczyła, jak bledną jego palce obejmujące kieliszek.

- Co u Johnno?

- Wszystko w porządku. Myślę, że namówiliśmy go na gościnne występy w Miami Vice... Jestem pewna, że się do ciebie odezwie.

- Tak. - Pociągnął z kieliszka. - Nie ma go w mieście.

- Nie. Jest w Londynie. - Śpiewak operowy zaczął ćwiczyć gamy. - Szykują się na tournée. Ja także jadę. Lecę do Londynu pojutrze.
- Wybierasz się do Londynu?
- Tak, za parę dm. Jest jeszcze mnóstwo roboty. Luke, co się dzieje?
- Pokręcił głową. Ostrożnie odstawił kieliszek, po czym sięgnął do kieszeni kurtki. Wręczył Emmie białą kopertę.
- Dasz mu to ode mnie?
- Jak tylko go zobaczę.
- Tak, bardzo proszę.
- Chciała położyć list na stole, ale podchwyciwszy jego spojrzenie, wstała.
- Wsadzę go od razu do walizki. - Zostawiła Luke'a na kanapie, partrzącego tępo w okno. Kiedy wróciła, stał, trzymając pusty kieliszek w obu rękach. Zaczęła coś mówić i urwała, widząc, że Luke się chwieje. Kieliszek rozprysnął się na podłodze, zanim zdołała go złapać. Była nastawiona na ciężar mężczyzny i kruchość jego ciała przeraziła ją bardziej niż bladeść twarzy. - Usiądź. Jesteś chory. - Emma uklękła przy nim na poduszce, głaszcząc go po głowie. Zamknęła ze zmęczenia oczy. - Chyba masz gorączkę. Wezwę lekarza.
- Nie. - Głowa opadła mu w tył, w oczach zatlił się gniew. - Byłem u lekarzy. U całej plejady cholernych lekarzy.
- Musisz coś zjeść - powiedziała stanowczo. - Wyglądasz, jakbyś nie jadł od tygodni. Pozwól, że zrobię ci...
- Emma! - Chwycił ją za rękę. Wiedziała. Wyraz jej twarzy mówił mu, że wiedziała, chociaż nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Jemu również zajęło to trochę czasu. - Ja umieram. - Zabrzmiało to lekko, niemal spokojnie. - Na AIDS.
- Nie. - Wbiła mu paznokcie w dłoń. - Och Boże, nie!
- Jestem chory od tygodni. W zasadzie od miesiący - przyznał z westchnieniem. - Myślałem, że to zaziębienie, grypa, brak witamin. Bałem się pójść do lekarza. W końcu musiałem. Nie uwierzyłem w pierwszą diagnozę ani w drugą, ani w trzecią. - Luke roześmiał się, zamykając ponownie oczy. - Od niektórych rzeczy nie da się uciec.
- Możesz się leczyć. - W zapamiętaniu przycisnęła jego dłoń do swojego policzka i kołysała się, chcąc ukoić ból. - Słyszałam o kuracjach, lekach.
- Jestem nafaszerowany lekami. W niektóre dni czuję się prawie dobrze.
- Są kliniki.
- Nie spędzę tego czasu, jaki mi jeszcze pozostał, w klinice. Sprzedałem dom, więc mam trochę pieniędzy. Wynajmę pokój w Płaza. Będę chodził do

teatru, do muzeów, na balet. Będę robił wszystko to, na co przez ostatnie lata nie miałem czasu. - Uśmiechnął się znowu, dotykając palcem jej policzka. - Przepraszam za kieliszek.

- Nie martw się tym.

- Wyglądał na Waterforda - mruknął. - Zawsze miałaś klasę, Emma. Nie płacz. - W jego głosie pojawił się ostry ton, kiedy odwracał głowę, by nie widzieć łez w jej oczach.

- Zbiorę szkło.

- Nie. - Znowu wziął ją za rękę. Tak rozpaczliwie pragnął, by ktoś trzymał go za rękę. - Posiedź tak chwilę.

- Dobrze. Luke, nie możesz się poddać. Z każdym dniem... Och, wiem, że to brzmi banalnie, ale z każdym dniem oni są bliżej. Tyle się robi badań, a ludzie wiedzą coraz więcej. - Znow przytuliła jego dłoń do swojego policzka. - Muszą znaleźć lekarstwo. Muszą!

Nie odpowiedział. Chciała pociechy, której nie mógł jej dać. Skąd mogła wiedzieć, co czuł, kiedy zobaczył wyniki testów? Czyby zrozumiała, czy mogłaby zrozumieć, że strach i gniew były tylko dwoma składnikami tej mieszanki? Że dodano do niej również upokorzenie i rozpacz? Kiedy parę tygodni temu wywiązało się zapalenie płuc, pielęgniarki z pogotowia nie chcieli go dotknąć. Został odizolowany od ludzi, stracił prawo do ich współczucia, do nadziei.

Była pierwszą osobą, która go dotknęła, która nad nim płakała. A on nie potrafił jej tego wytłumaczyć.

- Kiedy zobaczysz Johnno, nie mów mu, jak wyglądam.

- Nie powiem.

To sprawiło mu wyraźną ulgę. Rozluźnił uścisk dłoni.

- Pamiętasz, jak uczyłem was gotować?

- Powiedziałaś, że nie ma dla mnie nadziei, ale że Marianna ustanowiła nowy rekord beznadziejności.

- W końcu nauczyłaś się przyrządzać spaghetti.

- Jeszcze je robię raz w tygodniu, niezależnie od tego czy mam ochotę, czy nie.

Płakał, łzy wypływały wolno spod zamkniętych powiek.

- Dlaczego nie zapomnisz o hotelu Plaza i nie zamieszkasz tutaj? - Kiedy pokręcił głową, mówiła dalej. - Więc zostań chociaż na dzisiejszą noc. Czuję się taka samotna bez Marianny. I mogłabym pokazać ci, jak udoskonaliłam twój sos do spaghetti.

Siedziała, trzymając go w ramionach. Ukrył twarz w dłoniach i szlochał.

Padało, kiedy wylądowała na Heathrow. Łagodny, wiosenny deszcz, który kojarzył się z narcyzami. Z torbą na aparaty zarzuconą na ramię, przeszła

przez bramki. Johnno powitał ją soczystym całusem. Nie zdejmując ręki z ramienia Emmy, poprowadził ją przez salę przylotów.

- Bagaż ci przyślą. Zasluga Pete'a. - Johnno skierował ją wprost do wyjścia z lotniska.

- Przypomnij mi, żebym ucałowała mu stopy.

Na widok limuzyny uniosła pytająco brew.

- Nienawidzę tego lotniskowego tłoku- wyjaśnił. Kiedy usadowili się w samochodzie, nalał dwie szklanki pepsa i podał jej paczkę chipsów. - A poza tym w ten sposób możemy jeść. Jak zniosłaś lot?

- Z pomocą boską i dramaminy, dobrze. - Emma zabrała się energicznie do chipsów. Jedzenie w samolocie było luksusem, na który jej żołądek nie mógł sobie pozwolić. - Nie martw się. Zgromadziłam zapasy jednego i drugiego.

- Miło mieć cię znowu na pokładzie.

Grała na czas, zadając pytania, żartując. Nie odezwał się, kiedy sięgnęła do przycisku i zasunęła szybę oddzielającą pasażerów od kierowcy.

- Dziękuję, że po mnie wyjechałeś.

- Przypuszczam, że prosiłaś o to nie bez powodu.

- Tak. Mogę dostać papierosa?

Wyjął dwa.

- Coś poważnego?

- Bardzo. - Zaciągnęła się mocno gauloise'em. - Luke przyszedł się ze mną zobaczyć parę dni temu.

- Jest w Nowym Jorku?

- Tak... zjedliśmy razem kolację.

- To miło. Jak on się miewa?

Nie podnosząc oczu, Emma wyjęła kopertę z torebki.

- Chciał, żebym ci to oddała.

Patrzyła na siąpiący sennie deszcz, podczas gdy Johnno otwierał list. Czytał w milczeniu. Słychać było tylko cichy szum motoru, chlupotanie deszczu, przytłumione tony preludium Chopina płynące z głośników. Odczekała minutę, potem jeszcze pięć, zanim odwróciła się, by na niego spojrzeć.

Patrzył prosto przed siebie pustym wzrokiem. List leżał na kolanach, tam gdzie go upuścił. Kiedy odwrócił ku niej głowę, serce Emmy ścisnęło się bólem.

- Powiedział ci?

- Tak. - Nie wiedząc, co jeszcze mogłaby zrobić, ujęła jego rękę w obie dłonie. - Tak mi przykro, Johnno. Tak mi przykro.

- Martwi się o mnie - powiedział bezdźwięcznie, patrząc na list. - Chce, żebym zrobił badania. I... i zapewnia mnie, że nikomu nie powiedział o naszym związku. Jezu! - Roześmiał się głucho, odrzucając w tył głowę. -



Jeżu słodki! On umiera i chce mnie zawiadomić, że moja reputacja pozostała nieskalana.

- To dla niego ważne.

Czuł ból w gardle. To łyzy, uświadomił sobie i zaciągnął się mocno papierosem.

- On był dla mnie ważny, do cholery. Teraz umiera, a co ja mam powiedzieć? Dzięki ci, stary? Cholernie ładnie z twojej strony, że zabierasz mój sekret do grobu.

- Przestań, Johnno. To ważne dla niego, żeby było tak, jak on chce.

- Kurwa. Żeby szlag trafił ten pieprzony świat. - Targała nim rozpacz i wściekłość. Nie miał jej na kim wyładować. Przeklinanie choroby przyniosłoby mu mniej więcej tyle pożytku, co przeklinanie przeznaczenia, które uczyniło z niego to, kim był. Wyjął kolejnego papierosa. Drżącymi rękoma walczył z zapalniczką. - Pół roku temu zrobiłem bardzo dyskretne, bardzo drogie badania. Jestem czysty. - Wciągał dym, gniotąc papier w rękę. - Żadnych brzydkich problemów z systemem odpornościowym. Zero. Nul.

- Głupotą byłoby mieć z tego powodu poczucie winy - powiedziała ostro.

- Gdzie jest sprawiedliwość, Emmo? - Wygładził zmięte kartki, złożył starannie i wsunął do kieszeni. - Gdzie jest pieprzona sprawiedliwość?

- Nie wiem. - Położyła mu głowę na ramieniu. - Kiedy zamordowano Darrena, byłam za mała, żeby zadać sobie to pytanie. Ale zadawałam je sobie później, Johnno. Setki razy. Dlaczego ludzie, których kochamy, umierają, a my żyjemy dalej? Zakonnice mówiły, że to woła boska.

- To mi nie wystarcza.

- Mnie także nie - szepnęła. Chyba od początku wiedziała, że mu powie. - Luke jest w Nowym Jorku. Zatrzymał się w hotelu Płaza na parę tygodni. Nie chciał, żebym ci mówiła.

Objął ją mocniej.

- Dziękuję.

Kiedy limuzyna zatrzymała się przed drzwiami londyńskiego domu Briana, Johnno pocałował Emmę w policzek.

- Powiedz Brianowi... Powiedz mu prawdę. Wrócę za parę dni.

- Dobrze. - Emma patrzyła, jak samochód znika we mgle.

## Rozdział 26

Emma założyła szerokokątny obiektyw i przycupnęła u stóp sceny londyńskiego Palladium. Devastation grała równie dynamicznie na próbach, jak na

koncertach. Była zachwycona fotkami, które zrobiła do tej pory, i już układała sobie plan pracy w ciemni.

Ale teraz fotografowała pustą scenę, instrumenty, amperomierze i kable porzucone na czas godzinnej przerwy. Znajdowały się tu elektryczne klawiatury, rogi, nawet pianino. W tej chwili interesowały ją najbardziej narzędzia pracy muzyka. Je właśnie chciała uwiecznić.

Pokieroszowany, cudowny martin przywiódł jej na myśl człowieka, który na nim grał. Stevie był równie poturbowany i równie genialny, jak instrument, który darzył względami przez dwadzieścia lat. Pas od gitary, kołący w oczy dziką mieszaniną barw, dostał od Emmy w prezencie gwiazdkowym.

Znajdowała się tu również gitara basowa Johnno, pomalowana na turkusowe. Wyglądała frywolnie obok martina. Podobnie jak jej właściciel, była mądra i kompetentna pod pozorami dziwaczności.

Perkusja P.M. miała na przodzie wymalowany znak zespołu. Na pierwszy rzut oka wyglądała bardzo zwyczajnie. Dopiero przy bliższej inspekcji wyłaniał się skomplikowany układ bębnow i cymbałów. Trzy zestawy pałeczek, połyskujące chromem obrzeża bębnow, które P.M. polerował osobiście.

I był tu również wykonany na zamówienie gibson ojca. Prosta gitara. Zwykły czarny pasek i żadnych ozdób. Ale drewno połyskiwało jak stare złoto, a struny wydawały ton, który sprawiał, że do oczu napływały łzy.

Emma pogłaskała ją czule po szyjce. Odskoczyła na dźwięk muzyki. Przez chwilę myślała, że dotknięcie jej dłoni przywołało gitarę do życia. Czując się trochę głupio, spojrzała w lewo. Muzyka dochodziła gdzieś z boku i rzeczywiście miała magiczne brzmienie.

Cicho opuściła scenę i poszła w kierunku dźwięku.

Mężczyzna siedział po turecku na podłodze pod drzwiami garderoby. Muzyka odbijała się echem o ściany i wypełniała korytarz. Jego długie, eleganckie palce pieściły struny, prześlizgiwały się po nich miłośnie, podczas gdy on śpiewał dla samego siebie.

„Leżałem przy tobie, kiedy spałaś. Światło księżycy zalewało blaskiem twoją twarz, wplatało się w twoje włosy. Wtedy wyszeptałaś moje imię i zapragnąłem wślizgnąć się w twoje sny i zostać w nich na zawsze”.

Głos miał ciepły, łagodny. Pochylił się nad gitarą i jasne włosy opadły, zakrywając twarz. Emma się nie odezwała. Przykłękła i uniosła aparat. Opuściła go szybko, kiedy nieznajomy poderwał głowę na trzask migawki.

- Przepraszam. Nie chciałam przeszkadzać.

Jego oczy były złociste jak włosy. Napotkały jej wzrok i tak już pozostały. Poetycznie blada, gładka twarz harmonizowała z głosem. Pełne, jakby rzeźbione usta rozciągnęły się w nieśmiałym, jak osądziła, uśmiechu.

- Nie mogłabyś przeszkodzić żadnemu mężczyźnie. - Patrząc na nią, nadal brzdąkał na gitarze. Nieobecna pieszczota. Widywał dziewczynę wcześniej, ale dopiero teraz miał okazję dobrze jej się przyjrzeć. Związała włosy w niedbały koński ogon, pozbawiając delikatną twarz zwykłej burzliwej oprawy.

- Cześć, jestem Drew Latimer.

- Cześć... Och! Oczywiście, powinnam cię rozpoznać. I rozpoznałaby zapewne, gdyby nie czuła się tak ogłupiała i pozbawiona tchu. Wstała, by podać mu rękę. - Wokalista Birdcage Walk. Podoba mi się twoja muzyka.

- Dzięki. - Mężczyzna ujął jej dłoń i trzymał w swojej, dopóki nie usiadła przy nim. - Fotografia jest twoim hobby czy zawodem?

- I jednym, i drugim. - Nadal wpatrywał się w nią, a jej puls bił coraz żywiej. - Usłyszałam muzykę i tu zawędrowałam. Nie masz chyba pretensji, że cię sfotografowałam?

- Cieszę się z tego powodu. - A cieszył się bardziej, niż chciał okazać. - Może zjesz ze mną dzisiaj kolację i zrobisz jeszcze parę setek?

Roześmiała się.

- Nawet ja nie robię zdjęć, kiedy jem.

- Więc zostaw aparat w domu.

Odpowiedziała dopiero wtedy, gdy nabrała pewności, że **nie** zacznie się jąkać.

- Pracuję.

- Więc może śniadanie? Lunch? Baton czekoladowy?

Wstała, śmiejąc się.

- Tak się składa, iż wiem, że naprawdę masz czas tylko na baton czekoladowy. Jutro wieczorem otwierasz koncert Devastation.

Nie uwolnił jej dłoni. Nie pozwoli, by wyslizgnęła się cicho z jego życia.

- A co powiesz na zaproszenie na koncert, a potem na drinka?

- Będę na koncercie, tak czy inaczej.

- Okay, kogo muszę zabić?- Trzymał gitarę w jednej ręce, jej palec w drugiej. Dżinsowa, rozpięta niemal do pasa koszula odsłaniała jasną, gładką skórę. Podniósł się jednym gibkim ruchem. - Nie zostawisz mnie chyba samego w wigilię mojego przełomowego występu? Potrzebuję podpory duchowej.

- Dasz sobie radę.

Wzmógł uścisk, kiedy zaczęła się odsuwać.

- Mój Boże, zabrzmi to banalnie, ale jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mi się widzieć.

Mile połechtana i coraz bardziej podniecona, próbowała odebrać mu rękę.

- Powinieneś częściej wychodzić.

Jego uśmiech miał niszczycielską moc.

- Dobrze, dokąd chcesz pójść?

Szarpnęła się, czując zarazem narastającą panikę i chęć do śmiechu. Słyszała głosy muzyków wracających na scenę.

- Naprawdę muszę już iść.

- Powiedz przynajmniej, jak masz na imię. - Przesunął kciukiem po palcach Emmy, a jej nogi zmieniły się w galaretkę. - Mężczyzna ma prawo wiedzieć, kto złamał mu serce.

- Jestem Emma. Emma McAvoy.

- Jezu Chryste! - Drgnął i uwolnił jej dłoń. - Przepraszam, nie miałem pojęcia. Boże, czuję się jak kompletny czubek.

- Dlaczego?

Przeczesał palcami włosy i pozwolił im opaść.

- Córka Briana McAvoya, a ja dokonuję partackiego podboju!

- Nie sądzę, żeby był partacki - szepnęła i odchrząknęła, napotkawszy znowu jego wzrok. - Muszę wracać. Miło było cię poznać.

- Emmo! - urwał, patrząc z przyjemnością, jak się odwraca, pełna wahania. - Może kiedyś w ciągu tych dziesięciu tygodni znajdziesz chwilę na zjedzenie batonika?

- Znajdę. - Idąc z powrotem ku scenie, wydała z siebie długie westchnienie.

Przysłał jej milky way obwiązany różową wstążeczką i list miłosny. Jej pierwszy list miłosny! Stała w drzwiach długo po odejściu posłańca, wpatrując się w kartkę.

Emmo!

Poprawię się w Paryżu. Na razie pragnę, żeby ten drobiazg przypominał Ci o naszym pierwszym spotkaniu. Śpiewając dzisiaj *W twych snach*, będę myślał o Tobie.

Drew

Spojrzała na baton. Gdyby był koszem brylantów, nie byłaby nim bardziej oczarowana. Rozejrzawszy się wokół, wykonała na korytarzu potrójny piruet. Schwyciła żakiet i wypadła z domu.

Drzwi otworzyła Alice. Tym razem zamiast płakać na jej widok, uśmiechnęła się leciutko.

- Wróciłaś.

- Tak. Dzień dobry, Alice. - Z największym trudem zapanowała nad nogami. Miały najwyraźniej ochotę zatańczyć. Emma pochyliła się i ucałowała starą nianię, wprawiając ją tym w zdumienie. - Wróciłam. Chciałam zobaczyć się z Bev. Jest w domu?

- Jest na górze, w swoim gabinecie. Powiem jej, że przyszedł.  
- Dziękuję. - Chciało jej się nie tylko tańczyć, ale również śpiewać. Czowała się tak po raz pierwszy w życiu. Oszołomiona, zdenerwowana i absolutnie piękna. Jeżeli to było zadurzenie, czekała na nie o wiele za długo. Przy drzwiach stał wazon z narcyzami i hiacyntami. Pochylając się nad nimi, stwierdziła, że jeszcze nic nie pachniało równie słodko.

- Emma! - Bev zbiegała ze schodów, z ołówkiem wetkniętym za ucho i wielkimi okularami w czarnych oprawkach na nosie. - Jakże się cieszę, że cię widzę! - Uściskała ją mocno. - Mówiłaś wprawdzie, że wpadniesz, ale nie sądziłam, że znajdziesz czas.

- Mam mnóstwo czasu. - Emma, śmiejąc się, uścisnęła Bev jeszcze raz. - Och, mamo, czyż to nie piękny dzień?

- Nie wytknęłam nosa z domu, ale wierzę ci na słowo. - Bev odsunęła ją na długość ramienia. Oczy jej się zwały. - Wyglądasz, jakbyś nie tylko wylizała śmietankę, ale schrupała również talerzyk. Co jest grane?

- Naprawdę tak wyglądam? - Emma przycisnęła dłoń do policzków. - Naprawdę? - objęła Bev ramieniem. - Och, musiałam z kimś porozmawiać. Nie mogłam wytrzymać. Tata poszedł gdzieś z Pete'em i nowym menedżerem tournée. Zresztą i tak na nic by mi się nie przydał.

- Nie? - Bev zdjęła okulary. Idąc do salonu, położyła je na stoliku. - Dlaczego nie mógłby ci pomóc?

- Poznałam kogoś wczoraj.

- Kogoś? - Bev wskazała jej fotel i sama przysiadła na jego poręczy, ale Emma krążyła niespokojnie po pokoju. - Męskiego kogoś, jak sądzę?

- Wspaniałego męskiego kogoś. Och, wiem, że plotę jak idiotka, jak idiotka, którą przysięgam sobie nigdy nie zostać. Ale on jest bezwzględnie cudowny, słodki i zabawny.

- Czy ten cudowny, słodki i zabawny mężczyzna ma nazwisko?

- Drew, Drew Latimer.

- Birdcage Walk.

Emma zachichotała radośnie, uścisnęła Bev i podjęła nerwowy spacer.

- Jesteś na bieżąco.

- Oczywiście. - Bev zachmurzyła się na moment, potem uznała, że musi być nienormalna, skoro martwi ją romans Emmy z muzykiem. Przyganiał kocioł garnkowi... Uśmiechnęła się. - Więc wygląda równie wspaniale w naturze, jak na zdjęciach?

- Lepiej. - Emma przypomniała sobie, jak się uśmiechał, patrząc na nią, jak błyszczały jego oczy. - Wpadliśmy na siebie za kulisami. Siedział na podłodze, grał na gitarze i śpiewał, tak jak tata czasami. Potem rozmawialiśmy i on ze mną flirtował. Chyba trochę papłę. - Wzruszyła ramionami. Papłała czy nie, chciała zapamiętać każde słowo. - Ale najważniejsze

jest to, że mnie nie znał. - Okręciła się w miejscu i chwyciła dłonie Bev. - Nie miał pojęcia, kim jestem!

- Czy to robi ci taką różnicę?

- Tak. O, tak! Spodobałam mu się, rozumiesz? Ja, nie córka Briana McAvoya. - Emma przysiadła na sekundę, po czym poderwała się znowu. - Wszyscy faceci, z którymi dotąd się spotykałam, chcieli dowiedzieć się czegoś o tacie albo jak to jest być córką Briana McAvoya. On zaprosił mnie na kolację, zanim dowiedział się, kim jestem. To nie miało dla niego znaczenia. Kiedy mu powiedziałam... zawstydził się. Było coś uroczego w sposobie, w jaki zareagował.

- Umówiłaś się z nim?

- Nie. Byłam zbyt oszołomiona i może trochę się bałam powiedzieć „tak”. A dzisiaj przysłał mi list. I... Och, mam, tak strasznie chcę się z nim zobaczyć. Tak bym chciała, żebyś dzisiaj przyszła, żebyś tam po prostu była.

- Wiesz, że nie mogę, Emmo.

- Wiem, wiem - westchnęła przeciągle. - Nigdy się jeszcze tak nie czułam. Lekko...

- ..rozkojarzona, troszkę pozbawiona tchu.

- Tak - roześmiała się Emma. - Dokładnie tak.

Ona też tak się kiedyś czuła. Tylko raz.

- Masz mnóstwo czasu, żeby go poznać. Nie śpiesz się.

- Nigdy się nie śpieszę - szepnęła Emma. - Czy z tatą też się nie śpieszyłaś?

To bolało. Po przeszło piętnastu latach nadal bolało.

- Nie. Nie słuchałam nikogo.

- Słuchałaś siebie. Mam...

- Nie rozmawiajmy o Brianie.

- Dobrze. Jeszcze jedna rzecz. Tato jeździ do Irlandii, do Darrena, dwa razy w roku. Raz na urodziny i raz na... i raz w grudniu. Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Dziękuję ci. - Ucisnęła dłoń Emmy. - Ale nie przyszłaś tutaj, żeby rozmawiać o smutnych sprawach.

- Nie, nie. - Emma przyklękła, kładąc ręce na kolanach Bev. - Przyszłam, żeby poprosić cię o coś. O coś niezwykle ważnego. Muszę mieć absolutnie fantastyczny ciuch na dziś wieczór. Chodź ze mną na zakupy i pomóż mi wybrać.

Bev roześmiała się serdecznie.

- Wezmę tylko żakiet. - Poderwała się z fotela.

Niemal przekonała samą siebie, że nie powinna martwić się swoim wyglądem. Jest tutaj, żeby robić zdjęcia, a nie flirtować z wokalistą otwierają-

cym koncert. Była zbyt zajęta, musiała sprawdzić sprzęt i oświetlenie, schodzić z drogi technikom i unikać kontaktu z maszynami wypuszczającymi dym. Wkrótce zapomniała, że toaleta zajęła jej przeszło godzinę.

Publiczność wypełniała powoli salę, choć do rozpoczęcia koncertu zostało jeszcze trzydzieści minut. Na razie zajęli się penetrowaniem stoisk ze swetrami, T-shirtami, plakatami i breloczkami. W latach osiemdziesiątych rock'n'roll przestał być muzyką dla zbuntowanej młodzieży. Stał się wielkim biznesem chronionym przez korporacje.

Anonimowa, w swoim czarnym kombinezonie, chodziła między stoiskami i trzaskała zdjęcia fanów, bulących ciężkie pieniądze za pamiątki z wielkiego koncertu. Słyszała, jak dyskutują na temat jej ojca, analizując jego ciało i duszę, i piszczą z zachwytem. Uśmiechnęła się na wspomnienie tak odległego już dnia, kiedy stała w kolejce do windy na szczyt Empire State Building. Nie miała wtedy nawet trzech lat, a teraz, dziewiętnaście lat później, Brian McAvoy nadal wprawia w trzepotanie czułe dziewczęce serduszka.

Zmieniła aparat, pragnąc ukazać powódź czerwieni, błękitu i zieleni na koszulkach ozdobionych wielkim nadrukiem:

#### DEVASTATION 1986

Już sami fani byli malowniczy. Fryzury punk, ogolone głowy, bujne grzywy. Dżinsy i trzyczęściowe garnitury. Dzisiejsza moda polega na braku określonego stylu, pomyślała. Duża część ludzi rozpychających się w tłumie była w wieku jej ojca albo starsza. Lekarze, dentyści, dyrektorzy, którzy wyrosli na rock'n'rollu i przekazali tę pasję dzieciom. Uczniowie, paroletnie brzdące na ramionach rodziców, kobiety w perłowych naszyjnikach i ich córki ściskające nowo nabyte koszulki. Jak wspomnienie lat sześćdziesiątych unosił się w powietrzu ledwo uchwytny, ale łatwy do rozpoznania, zapach marychy zmieszany z wonią Chanel i Brata.

Szła wolno przez tłum. Plakietka identyfikacyjna, zaczepiona o drugi guzik kombinezonu, utorowała jej drogę przez kordon ochroniarzy za kulisy.

Jeżeli na widowni panował rozgardiasz, tutaj był dom wariatów. Wadliwe natężenie, zaginiony zwój kabli, rozgorączkowany technik zdecydowany za wszelką cenę usunąć ostatnie usterki. Zrobiła zdjęcia i poszła do garderoby, by zająć się własną pracą.

Szukała obrazów, które pamiętała z dzieciństwa. Tato i jego przyjaciele rozłożeni na podłodze w garderobie przekazują sobie skręta, zagryzają marihuanę dropsami i migdałami w cukrze. Zaczynała już uśmiechać się do swoich wizji, kiedy wpadła na Drew. Jakby na nią czekał.

- Witaj!

- Cześć! - Uśmiechnęła się, nerwowo poprawiając ramię aparatu. - Chciałam podziękować ci za prezent.

- Pomyślałem o różach, ale było już za późno. - DREW cofnął się o krok. - Wyglądasz nieprawdopodobnie.

- Dzięki. - Próbując wyrównać oddech, przeprowadziła własne obserwacje. Miał na sobie obcisłą białą skórę wysadzaną srebrnymi cekinami. Buty w tym samym stylu i kolorze sięgały mu do pół łydki. Z rozrzuconymi włosami i lekkim uśmiechem na ustach przypominał Emmie szykownego kowboja. - Ty też - wykrztusiła w końcu, uświadamiając sobie, że zbyt długo mu się przygląda. - Wyglądasz nieprawdopodobnie.

- Chcę rzucić ich na kolana. - Otarł dłonie o spodnie. - Wszyscy jesteścieśmy półchorzy ze zdenerwowania. Z wyjątkiem Dona, basisty. Ten jest chory w stu procentach. Trzyma głowę w kiblu.

- Tata mówi, że grasz lepiej, kiedy jesteś zdenerwowany.

- Więc wszyscy będziemy cholernie dobrzy. - Wziął ją ostrożnie za rękę. - Posłuchaj, myślałaś może o pójściu ze mną na drinka, potem?

Nie myślała o niczym innym.

- Prawdę mówiąc, ja...

- Nalegam. - DREW wydał z siebie długie westchnienie. - Nic na to nie poradzę. Kiedy cię ujrzałem, to było jak objawienie. Rany, oto ona! - Przeciągnął ręką po starannie wymodelowanych i wylakierowanych włosach. - Chyba nie robię tego najlepiej.

- Czyżby? - Bała się, że DREW słyszy, jak wali jej serce.

- Nie. — DREW wziął ją za rękę. — Pozwól, że ujmę to w ten sposób. Emma, uratuj mi życie. Poświęć mi godzinę.

Uśmiechała się coraz szerzej, aż w kąciku jej ust ukazał się dołeczek.

- Z przyjemnością.

Ledwo słyszała wiwaty. Jej umysł ledwo rejestrował muzykę. Kiedy w końcu umilkła i ojciec zszedł ze sceny, ociekając potem, pomyślała, że jeżeli któreś z dziesiątków zrobionych przez nią zdjęć okaże się udane, będzie to niewątpliwie cud.

- Jezu, umieram z głodu. - Ocierając twarz i włosy, Brian szedł w stronę garderoby, a krzyk tłumu ciągle huczał mu w uszach. - Co powiesz, Emma? Wyciągniemy resztę tych rockowych dinozaurów na pizzę?

- Och, z przyjemnością, ale... - zawahała się, nie rozumiejąc, dlaczego czuje zażenowanie. - Mam coś do zrobienia. - Wspięła się szybko na palce, by go pocałować. - Byłeś wspaniały.

- A czego się spodziewałaś? - Johnno torował sobie łokciami drogę przez zatłoczony korytarz, Ściszył głos do zgrzytliwego szeptu. - Jesteśmy legendą.

Dołączył do nich PM. z czerwoną, mokrą od potu twarzą.

- Ta lady Annabelle, ta z włosami... - Rozłożył ręce nad głową, demonstrując fryzurę lady Annabelle.



- Ta w czerwonym zamszu i brylantach? - pośpieszyła mu z pomocą Emma.

- Chyba tak. Przekradła się za kulisy. - P.M. przejechał dłonią po brwiach. Głos miał ponury, ale w oczach migotały wesołe iskierki. - Kiedy przechodziłem, ona... ona... - odchrząknął, kręcąc głową, jakby nie był w stanie mówić dalej. - Ona próbowała mnie molestować.

- Dobry Boże! Wezwij policję! - Johnno objął go pocieszającym gestem. - Takie kobiety powinno się izolować od społeczeństwa. Wiem, że czujesz się wykorzystany i zbrukany, kochaneńki, ale nie martw się. Opowiedz wszystko wujkowi Johnno. - Skierował go w stronę garderoby. - Czego konkretnie dotknęła i w jaki sposób? Nie żałuj szczegółów.

Brian patrzył za nimi, krztusząc się ze śmiechu.

- P.M. zawsze przyciąga taką tandetę. Ciekawe, dlaczego.

Jego głos przepełniony był uczuciem. Emma zastanawiała się, czy ojciec zdaje sobie sprawę, że wybaczył już staremu przyjacielowi. Potem zobaczyła, jak jego uśmiech gaśnie. Parę metrów od nich, wsparty o ścianę, stał Stevie. Twarz miał bladą, włosy mokre od potu. Emma pomyślała, że wygląda o dziesięć lat starzej od swoich rówieśników.

- Chodź, synu. - Swobodnym gestem Brian objął go w pasie, podtrzymując, biorąc na siebie jego ciężar. - Potrzebny nam prysznic i porządny posiłek.

- Tato, mogę w czymś pomóc?

Pokręciwszy energicznie głową, Brian skierował się w stronę pokoju Steviego. Nie było to zadanie, którym obarczyłby córkę czy kogokolwiek.

- Nie, ja się nim zajmę.

- Zobaczmy się w domu - szepnęła, ale on już zamknął za sobą drzwi. Lekko zagubiona, ruszyła na poszukiwanie Drew.

Myślała, że Drew wybierze głośny, zatłoczony lokal, gdzie grają rocka, a znalazła się w mrocznym kąciku zadymionego klubu jazzowego w Soho. Przyćmione światło niebieskawego reflektora wyławiało z półmroku trio na scenie: pianistę, perkusistę i wokalistę. Muzyka była cicha i nastrojowa, podobnie jak oświetlenie.

- Podoba ci się tutaj?

- Tak. - Świadomie rozplotła dłonie i rozluźniła ramiona, wdzięczna za półmrok, dzięki któremu ani Drew, ani Sweeney, palący leniwie papierosa o parę stolików dalej, nie mogli widzieć jej zdenerwowania. — Nigdy tu nie byłam. Podoba mi się.

- Wiem, że nie przywykłaś do takich miejsc, ale trudno znaleźć lokal, w którym można spokojnie porozmawiać i być tylko we dwoje. A ja tego właśnie pragnąłem.

Znowu splotła palce.

- Nie miałam jeszcze okazji powiedzieć ci, jaki byłeś dzisiaj świetny. Wkrótce poszukasz własnej grupy.

- Dzięki. To dla mnie dużo znaczy. - Położył rękę na jej dłoni, przesuając leciutko kciukiem po palcach. - Byliśmy trochę sztywni, ale złapiemy luz.

- Od jak dawna grasz?

- Zacząłem, kiedy miałem dziesięć lat. Zdaje się, że dzięki twojemu ojcu.

- Jak to?

- Miałem kuzyna, robił coś dla Devastation w związku z trasą koncertową. Przeszmuglował mnie na koncert. Brian McAvoy. Po prostu zwałił mnie z nóg. Za pierwsze zaoszczędzone pieniądze kupiłem używaną gitarę. - Uśmiechnął się szeroko. Jej dłoń była teraz zamknięta, cała w jego dłoni. - Reszta jest historią.

- Nigdy o tym nie słyszałam.

- Ponieważ nigdy nikomu o tym nie opowiadałem. - Wzruszył ramionami. - To trochę żenujące.

- Nie. - Oczarowana przysunęła się do niego bliżej. - Wzruszające. To jest właśnie historia, która zdobywa serca fanów.

Spojrzał na nią. W przyćmionym świetle jego oczy miały barwę starego złota.

- Nie myślę w tej chwili o fanach, Emmo...

- Podać państwu drinki?

Emma oderwała wzrok od Drew i popatrzyła na kelnerkę, mrugając oczami jak człowiek zbudzony ze snu.

- Och! Wodę mineralną.

Drew uniósł brwi, ale nie skomentował jej zamówienia.

- Guinness. - Dalej patrzył na Emmę, dalej bawił się jej palcami. - Musisz mieć powyżej uszu historii o muzykach - szepnął. - Wołałbym usłyszeć coś o tobie.

- Nie ma specjalnie co opowiadać.

- Myślę, że się mylisz. Chcę wiedzieć wszystko na temat Emmy McAvoy. - Podniósł jej dłoń do ust. - Wszystko.

Emma spędziła wieczór zawieszona we mgle, otulona gorącą muzyką. Drew zdawał się chłonać każde jej słowo. I dotykał jej, cały czas jej dotykał. Jego dłonie szukały jej dłoni, przemykały po włosach, ześlizgiwały po ramieniu. Przez cały wieczór nie ruszyli się ze swojego zacienionego kącika, ani razu nie spojrzeli na inne pary tulące się przy stolikach.

Potem spacerowali nad Tamizą w świetle księżycy. Było późno, bardzo późno, ale czas stracił dla Emmy znaczenie. Czuła zapach rzeki, zapach wiosennych kwiatów. Kiedy Drew zarzucił jej marynarkę na ramiona, pomyślała o szarmanckich rycerzach.

- Zimno ci?

- Nie. - Wzięła głęboki oddech i pokręciła głową. - To cudowne. Nie pamiętałam, jak bardzo kocham to miasto, dopóki tu nie wróciłam.

- Mieszkam w Londynie całe życie. - Patrzył w wodę na migotliwy odbłask gwiazd. Chciał zobaczyć inne rzeki, inne miasta i wiedział, że jego czas nadchodzi. - Czy myślałaś o tym, by tu zamieszkać na zawsze?

- Nie, jakoś nigdy.

- Może kiedyś o tym pomyślisz. - Zatrzymał ją, kładąc łagodnie ręce na jej ramionach. - Zastanawiam się ciągle, czy istniejesz? Kiedy na ciebie patrzę, wydaje mi się, że cię wyśniłem. - Przyciągając Emmę bliżej, zacisnął palce na jej ramionach. Nieoczekiwana siła tych dłoni, nagłe napięcie w oczach, w głosie Drew sprawiły, że Emmie zaschło w ustach. - Nie chcę, żebyś zniknęła.

- Nigdzie się nie wybieram - szepnęła.

Serce tłukło się w niej jak oszalałe, kiedy zniżał ku niej twarz. Poczuła ciepło jego warg, miękkich i takich czułych. Odsunął się, tylko troszeczkę, potem wolno patrząc jej w oczy, przycisnął znowu wargi do jej ust.

Słodko, jak słodko, myślała. Jak tkliwie. Przesunęła dłońmi po plecach Drew, pozwalając się prowadzić. Z wprawą mistrza pieścił przez chwilę ustami jej twarz, by potem zamknąć je na wargach dziewczyny w ostatniej, długiej pieszczocie.

- Muszę odprowadzić cię do domu. - Głos miał chrapliwy i niepewny. - Emma. - Przebiegał dłońmi w górę i w dół jej ramion, jakby nie mógł powstrzymać się, żeby jej nie dotykać. - Chcę zobaczyć się z tobą znowu, tak jak dzisiaj. Zgadzasz się?

Położyła głowę na jego ramieniu.

- Z największą chęcią.

## Rozdział 27

I rzez następne tygodnie poświęcała Drew cały wolny czas. Kolacje o północy, długie spacerzy w świetle księżyca, kradzione popołudniowe godziny. To, że było ich tak niewiele, zwiększało intensywność, podniecenie, intymność tych chwil.

W Paryżu przedstawiła go Mariannie. Spotkali się w kawiarence na bulwarze St. Germain, gdzie turyści i paryżanie przesiadywali nad czerwonym winem lub *cafe au lait* i podziwiali paradyżący przed nimi świat.

Marianna wyglądała na rodowitą paryżankę w białych koronkowych rajstopach i opiętej minispódnicy. Roztrzepana fryzurka zniknęła

bezpownotnie. Jaskraworude włosy były teraz gładkie i krótkie i bardzo francuskie. Ale głos Marianny brzmiał jeszcze amerykańsko, kiedy rzuciła się z piskiem w objęcia Emmy.

- Jesteś! Nie mogę w to uwierzyć. Zdaje mi się, że upłynęły lata. Niech na ciebie spojrzę. Chryste, jesteś piękna! Nienawidzę cię.

Śmiejąc się, Emma odgarnęła włosy z ramion.

- Wyglądasz dokładnie tak, jak powinna wyglądać francuska studentka sztuk pięknych. *Tres chic et sensuel*.

- To tutaj równie ważne jak odżywianie się. A ty jesteś Drew! - Nadal obejmując Emmę, Marianna wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Miło mi cię poznać. Emma wszystko mi o tobie opowiedziała.

- O, la, la! No cóż, siadaj, mimo wszystko. Wicie, w tej knajpce bywał Picasso. Stale tu przychodzę i za każdym razem siadam przy innym stole. Wiem, że jeżeli trafię na jego krzesło, wpadnę w trans. - Uniosła szklankę. - Napijesz się wina? - zapytała Drew. Kiedy skinął głową, przywołała kelnerkę. - *Un vin rouge et un cafe, s 'U vous plait*. - Mrugnęła do Emmy. - Kto mógłby przypuszczać, że nudne lekcje francuskiego siostry Magdaleny okażą się takie przydatne?

- Akcent nadal na trzy z minusem.

- Wiem, pracuję nad nim. Jak trasa?

- Devastation nigdy nie była lepsza. - Emma uśmiechnęła się do Drew. -A zespół otwierający koncert wywołał sporą sensację.

Drew położył rękę na jej dłoni.

- Publiczność reagowała wspaniale. - Przeniósł wzrok z Marianny na Emmę. - Wszystko jest wspaniałe.

Marianna sączyła wino, szacując go wzrokiem. Gdyby zajmowała się sztuką religijną, namalowałaby go jako Jana Apostoła. Miał ten sam marzyielski wygląd człowieka oddanego czemuś bez reszty. Lub, przeskoczywszy parę wieków - jako Hamleta. Młody książę, nad którym zawisł cień tragedii. Uśmiechnęła się do kelnerki, która przyniosła drinki. Mogłaby również cofnąć się w czasie jedynie o parę lat i wykorzystać go jako model do portretu młodego Briana McAvoya. Zastanawiała się, czy Emma dostrzeżga podobieństwo.

- A dalej dokąd? - zapytała.

- Do Nicei. - Drew wyciągnął przed siebie nogi. - Ale nie śpieszy mi się z wyjazdem. - Popatrzył w stronę ulicy, gdzie samochody przelatywały ze świstem, wykazując zupełny brak poszanowania dla ludzkiego życia i mienia. - Jak to jest, mieszkać tutaj?

- Hałaśliwie. Podniecająco. - Roześmiała się. - Cudownie. Mam mieszkanko nad piekarnią. Wiercie mi, nie istnieje nic lepszego, niż zapachy dochodzące rankiem z francuskiej piekarni.

Przesiedzieli godzinę nad kawą i drinkami, zanim Drew pochylił się, by pocałować Emmę.

- Muszę iść na próbę, a poza tym wiem, że chcecie pogadać. Zobaczymy się wieczorem. Z tobą także, Marianno.

- Z przyjemnością. - Wraz z połową kobiet w kawiarni patrzyła, jak odchodzi. - Nie sądzę, żebym spotkała kiedyś piękniejszego mężczyznę.

- Prawda? - Emma pochyliła się i chwyciła Mariannę za ręce. - Lubisz go?

- A czego tu nie lubić? Jest wspaniały, utalentowany, mądry, zabawny. - Marianna pokazała zęby w uśmiechu. - Może porzuci cię dla mnie?

- Naprawdę nie chciałabym zamordować najlepszej przyjaciółki, ale...

- Sądzę, że jestem bezpieczna. Widzi tylko ciebie. Doprawdy nie rozumiem dlaczego. To, że masz te niesamowite kości policzkowe, wielkie niebieskie oczy, metr blond włosów i biodra w zaniku, to jeszcze nie powód. Niektórzy faceci są pozbawieni gustu. - Odchyliła się na oparcie krzesła. - Wyglądasz na osobę absurdalnie szczęśliwą.

- Bo jestem. - Emma odetchnęła głęboko, wciągając w płuca zapach wina i kwiatów. Zapach Paryża. - Chyba się w nim zakochałam.

- Nie żartuj?! Nigdy bym nie zgadła. - Śmiejąc się, poklepała Emmę po policzku. - Dziewczyno, masz to wypisane na twarzy drukowanymi literami. Gdybym mogła teraz namalować twój portret, nazwałabym go *Zadurzona*. Co twój tata o nim myśli?

Emma podniosła filiżankę z zimną kawą i upiła łyk.

- Ma dla Drew dużo uznania zarówno jako dla muzyka, jak i autora piosenek.

- Pytałam o to, co myśli o nim jako o mężczyźnie, w którym zakochała jest jego córka.

- Nie wiem. Jeszcze z nim o tym nie rozmawiałam.

Brwi Marianny zniknęły pod grzywką.

- To znaczy, że mu nie powiedziałaś?

- Nie.

- Dlaczego?

- Naprawdę nie wiem. - Emma odsunęła filiżankę. - Może chcę przez jakiś czas mieć to wyłącznie dla siebie? Ojciec myśli o mnie jak o dziecku.

- Wszyscy ojcowie myślą w ten sposób o swoich córkach. Mój dzwoni dwa razy w tygodniu, żeby sprawdzić, czy nie uległam lubieżnemu francuskiemu księciu. Pobożne życzenia! - Kiedy Emma się nie roześmiała, Marianna przechyliła głowę. - Myślisz, że mu się to nie spodoba?

- Nie wiem. - Wzruszyła niecierpliwie ramionami.

- Emma, jeżeli sprawa między tobą i Drew jest poważna, dowie się prędzej czy później.

- Wiem. Wolałabym po prostu, żeby to było później.

Ale to stało się raczej wcześniej niż później.

Emma rozkoszowała się porannym słońcem na tarasie pokoju w Rzymie. Choć minęła już pora śniadania, była ciągle w szlafroku. Kawa stygła, a ona przeglądała ostatnią serię odbitek. Podświadomie oceniała je nie tylko z punktu widzenia przydatności do celów reklamowych, ale również jako materiał do albumu.

Z uśmiechem wyjęła swoją ulubioną fotografię Drew. Zrobiła ją w cieniu drzew w Lasku Bulońskim. Parę chwil później Drew ją pocałował i wyznał jej miłość.

Kocha ją. Przymknawszy oczy, wyciągnęła ramiona ku niebu. Czekwała na te słowa i pragnęła ich, ale nie wiedziała, co to znaczy szczęście, dopóki ich nie usłyszała. Teraz, kiedy już je wypowiedział, zaczęła marzyć, żeby być z nim zawsze: kochać się, wyjść za Drew za mąż, założyć rodzinę.

Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo pragnie miłości mężczyzny, własnego domu, dzieci. Będą tacy szczęśliwi, tacy szczęśliwi! Kto rozumie życie i problemy muzyka lepiej, niż kobieta wychowana przez jednego z nich? Stanie się jego ostoją i podporą w pracy. On uczyni to samo dla niej.

Po tournée, myślała. Po tournée zaczną robić plany.

Pukanie do drzwi wyrwało Emmę z zamyślenia, Miała nadzieję, że to Drew. Raz czy dwa przyszedł zjeść z nią śniadanie. Może i dziś...? Jej powitalny uśmiech przygasł nieco na widok ojca.

- Tato! Nie sądziłam, że pokażesz się przed dwunastą.

- Powiniennem być chyba bardziej nieobliczalny. - Wszedł do pokoju ze zwiniętą gazetą w rękę. Spojrzał najpierw na łóżko, dopiero potem na córkę. - Jesteś sama?

- Tak. - Przeglądała mu się zaintrygowana, marszcząc brwi. - Dlaczego? Coś się stało?

- Ty mi powiedz! - Wcisnął Emmie gazetę w ręce. Rozwinęła ją i odwróciła właściwą stroną do góry. Zdjęcie było wyraźne. Zdjęcie jej i Drew. Nie musiała znać włoskiego, by zrozumieć sens wypowiedzi dziennikarza. Stali objęci ramionami, ona z twarzą uniesioną ku Drew, z nieprzytomnymi, zamglonymi oczami, jak kobieta, która czuje jeszcze na ustach smak pocałunku.

Nie wiedziała, gdzie zrobiono to zdjęcie. To nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że ktoś podpatrzył ją w bardzo intymnej chwili i ogłosił to tłustym drukiem w prasie.

Emma cisnęła gazetę przez pokój, po czym wymaszerowała na balkon. Potrzebowała świeżego powietrza.

- Niech ich wszyscy diabli! - Uderzyła pięścią w balustradę. - Dlaczego nie zostawia nas w spokoju?

. - Od jak dawna się z nim spotykasz?

Obejrzała się przez ramię. Wiatr zwiewał jej na twarz pasma jasnych włosów.

- Od początku tournée.

Brian wepchnął ręce w kieszenie spodni.

- A więc od tygodni. Od tygodni! I nie raczyłaś mi nawet o tym powiedzieć.

Odrzuciła w tył głowę i odwróciła się wolno ku niemu.

- Skończyłam dwadzieścia jeden lat, tato. Nie muszę prosić cię o pozwolenie pójścia na randkę.

- Ukrywałaś to przede mną. Wejź do środka! - zażądał stanowczo. - Cholerni dziennikarze mają tu zainstalowane teleskopy.

- Co to za różnica? - Nie ruszyła się z miejsca. - I tak wszystko, co robimy, trafia do wiadomości publicznej. To część ceny, jaką płacimy. - Wskazała na stopy odbitek na stole. - Sama to robię.

- To nie to samo i ty o tym wiesz. - Brian przeciągnął z wściekłością dłońią po włosach i spróbował się opanować. - W tej chwili nie o tym mówimy. Chcę wiedzieć, co jest między tobą a Drew?

- Czy z nim sypiam? Nie. Jeszcze nie. - Zaciśnęła dłonie na balustradzie. - Ale to nie twój interes, tato. Powtarzam tylko to, co mi powiedziałaś wiele lat temu. Że twoje życie seksualne to nie mój interes.

- Jestem twoim ojcem, do ciężkiej cholery! - W tym momencie dotarł do niego sens wypowiedzianych słów. Był jej ojcem. W jakiś niewytłumaczalny sposób stał się ojcem dorosłej kobiety. I nie miał bladego pojęcia, co z tym zrobić. Odezwał się dopiero wtedy, gdy nabrał pewności, że panuje nad głosem. - Emmo, kocham cię i martwię się o ciebie.

- Nie ma potrzeby. Wiem, co robię. Kocham Drew i on kocha mnie.

Teraz nie był w stanie w ogóle się odezwać. Obronnym gestem chwycił filiżankę zimnej kawy i wypił jednym haustem. Przez balkon, trzepocząc szarymi skrzydłami, przefrunął gołąb.

- Znasz go dopiero od paru tygodni, a to znaczy, że go w ogóle nie znasz.

- Zarabia na życie, grając na gitarze - zauważyła Emma. - Byłoby idiotyzmem z twojej strony krytykować go za to.

- Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest widzieć cię związaną z kimś z branży. Na litość boską, Emmo, zdajesz sobie sprawę, co to oznacza! Wymagania, napięcia, nadwrażliwe ego. Nie wiem nic o tym chłopaku, poza tym, że jest ambitny i utalentowany.

- Ja za to wiem wszystko, co powinnam wiedzieć.

- Posłuchaj samej siebie. Mówisz jak gąska. Czy ci się to podoba, czy nie, nie możesz ufać mężczyźnie tylko dlatego, że jest przystojny i mówi, że cię kocha. Masz za dużo pieniędzy i za dużo władzy.

- Władzy?

- Każdy, kto mnie zna, wie, że zrobię dla ciebie wszystko. Wszystko, o co mnie poprosisz.

Trochę to trwało, ale w końcu znaczenie słów ojca dotarło do świadomości Emmy. Łzy gniewu przyćmiły jej wzrok. Zrobiła krok w jego stronę.

- A więc to tak? Myślisz, że Drew interesuje się mną, ponieważ mam pieniądze, ponieważ chce mnie wykorzystać do zrobienia kariery? To niemożliwe, prawda, żeby on, czy jakikolwiek inny mężczyzna, pokochał mnie dla mnie samej?!

- Oczywiście, że to...

- Tak właśnie myślisz. W końcu, ktoś mógłby spojrzeć na mnie i nie zobaczyć ciebie? - Emma odwróciła się gwałtownie i przycisnęła wnętrza dłoni do barierki. Słońce odbiło się w szklach lornetki gdzieś w ogrodzie. Nic jej to nie obchodziło. Niech robią te swoje zdjęcia. - Już nieraz tak było. Właśnie tak było! „Emma, może zjemy kolację w piątek? I przy okazji, czy mogłabyś załatwić mojemu kuzynowi bilet na koncert w Chicago? I może jeszcze przepustkę za kulisy”.

- Emmo, tak mi przykro. - Brian wyciągnął rękę, ale odskoczyła.

- A niby dlaczego? Nic na to nie możesz poradzić, prawda? A ja nauczyłam się z tym żyć, nauczyłam się nawet śmiać z tego. Ale teraz znalazłam kogoś, komu na mnie zależy, kto jest ciekaw moich uczuć i moich myśli. Kto nie poprosił mnie o nic, z wyjątkiem tego, żebym go kochała. Ary chcesz to zepsuć!

- Nie chcę tego zepsuć. Nie chcę, żeby ktoś cię zranił.

- Ty mnie zraniłeś. - Spojrzała na niego oczami, w których nie było łez. - Zostaw mnie w spokoju, tato. I zostaw w spokoju Drew. Jeżeli będziesz ingerował w nasze sprawy, nigdy ci tego nie wybaczę. Przysięgam.

- Nie chcę ingerować. Chcę ci tylko pomóc, ustrzec przed popełnieniem błędu.

- Mam prawo do błędów. Ty popełniałeś własne. Bóg jeden wie, ile. Przez lata patrzyłam, jak robisz to, na co masz ochotę, z każdym, z kim masz ochotę. Uciekłeś od swojego szczęścia, tato. Ja nie ucieknę od własnego.

- Wiesz, jak zadać ból - powiedział cicho. - Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Odszedł i zostawił ją samą.

Drew opasał Emmę ramieniem. Stali na innym tarasie, w innym miejscu. Kolonialny wdział madryckiego Ritza był dla Emmy stracony. Słyszała szmer fontann, czuła zapach bujnych ogrodów, ale mogłaby znajdować się w każdym innym miejscu na świecie. Mimo to dotyk Drew przyniósł jej pociechę. Otarła się policzkiem o jego ramię.

- Nie mogę znieść, kiedy jesteś smutna, Emmo.



- Nie jestem. Może trochę zmęczona, ale nie smutna.  
- Jesteś zdenerwowana od tygodni, od czasu kłótni z Brianem. O mnie. - Cofnął ramię i odsunął się od niej. - Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, to być przyczyną twoich kłopotów.

- To nie ma nic wspólnego z tobą. Naprawdę. Zareagowałby tak samo bez względu na to, z kim bym się związała. Tato zawsze był nadopiekuńczy. W dużej mierze wynika to z przeszłości. Z tego, co stało się z moim bratem.

Ucałował delikatnie jej skroń.

- Wiem, że to straszne nieszczęście, ale zdarzyło się bardzo dawno temu.

- Są rzeczy, o których się nie zapomina. — Emma zadrżała. Ciepła, letnia noc przejęła ją nagłym chłodem. - Właśnie dlatego, że wiem, co on czuje, jest to takie trudne. Zrobił dla mnie wszystko, nie tylko w sensie materialnym.

- Uwielbia cię. Daje to poznać każdym spojrzeniem. - Z uśmiechem pogłaskał ją po policzku. - Rozumiem doskonale uczucia Briana.

- Ja go także kocham. A jednak wiem, że nie mogę żyć po to, by go zadowolić. Zrozumiałam to już dawno temu.

- On mi nie ufa. - Błysnęła zapalniczka, potem rozszedł się ostry zapach dymu. - Nie mam mu tego za złe. On jest na szczycie, a ja dopiero zaczynam wspinaczkę.

- Nie potrzebujesz mnie, żeby dostać się na szczyt.

Wydymał smugę dymu.

- A jednak rozumiem jego punkt widzenia. To nietrudne, skoro obaj za tobą szalejemy.

Przysunęła się, by dotknąć ustami jego ramienia.

- On się opamięta, Drew. Po prostu nie potrafi jeszcze zaakceptować faktu, że jestem dorosła. I zakochana.

- Jeżeli ktoś może go zmiękczyć, to tylko ty. - Wyrzucił papierosa i obrócił ją w swoich ramionach. - Cieszę się, że nie chciałaś dzisiaj nigdzie iść.

- Nie jestem stworzona do nocnych lokali i przyjęć.

- Troszkę staroświecka, prawda? - Drew uśmiechał się, całując ją.

- Masz coś przeciwko temu?

- Przeciwno spędzeniu z tobą wieczoru? - Jego dłonie wędrowały w górę i w dół jej pleców, podczas gdy usta bawiły się wargami. — Czy wyglądam na szaleńca?

- Wyglądasz wspaniale. - Emmie zabrakło tchu, kiedy przemknął palcami po jej piersiach. Były małe i jędrne.

- Słodka - szepnął. - Zawsze taka słodka. - Pocałunki Drewa stawały się coraz bardziej namiętne, coraz bardziej natarczywe, kiedy prowadził dziewczynę z balkonu w stronę łóżka. - Tournée się kończy.

- Tak. - Drew przesunął ustami po jej szyi i Emma odchyliła głowę.
- Wrócisz do Londynu?

Zadrzała. Po raz pierwszy dał jej do zrozumienia, że chce, by ich związek trwał.

- Tak. Wróć do Londynu.

- Będziemy mieli noce jak ta. - Ułożył Emmę na łóżku. Mówił kojącym głosem, dotykał jej delikatnie, nie chcąc zniszczyć nastroju. - Noc w noc razem. - Zręczne dłonie Drew wyłuskały bluzkę z jej spodni. - Będę mógł ci okazywać ciągle od nowa, co do ciebie czuję. Jak bardzo cię pragnę. Pozwól mi, Emmo!

- Drew! - jęknęła, kiedy jego usta zsunęły się niżej, a język obryso-  
wywał pagórki piersi. Rozkosz i pożądanie przeszły ją na wskroś. Teraz, powiedziała sobie, kiedy długie, mocne palce przemknęły po jej skórze. Teraz!

Pod dłońmi czuła twarde mięśnie jego barków. Miał mocne ramiona jak na tak szczupłego, delikatnie wyglądającego mężczyznę. Uwielbiała czuć, jak się prężą.

Potem ręce Drewa powędrowały ku zapięciu jej spodni. Te zręczne dłonie gmerały niecierpliwie przy guzikach.

- Nie, nie! - Nienawidziła siebie za te słowa, ale nie mogła ich powstrzymać. Drew dalej szarpał zapięcie, zbliżając usta do jej warg. Zaczęła walczyć. - Nie, Drew, proszę! - Kiedy w końcu uwolniła się z jego uścisku, była na granicy łez. - Przepraszam - zaczęła. - Strasznie cię przepraszam. Po prostu nie jestem jeszcze gotowa.

Nie odezwał się. Nie widziała jego twarzy. Skuliła się na łóżku w ciemnościach, próbując opanować wewnętrzne drżenie.

- Wiem, że to nie w porządku. - Wściekła na samą siebie, otarła łzę spływającą po policzku. - Może to robota zakonnica, a może rezultat rozmowy z tatą. Potrzebuję więcej czasu. Masz absolutne prawo być zły, ale ja po prostu nie mogę tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

- Nie chcesz mnie? - Jego głos był cichy i dziwnie odrętwiały.

- Wiesz, że chcę. - Emma chwyciła jego dłoń i głaskała oporne palce. - Myślę, że trochę się boję i jestem nieco zagubiona. - Przejęta wstydem podniosła rękę mężczyzny do ust. - Nie chcę cię stracić. Proszę, daj mi jeszcze trochę czasu.

Wydała z siebie drżące westchnienie, kiedy poczuła, że Drew rozluźnia dłoń.

- Nie mogłabyś mnie stracić, Emmo. Masz tyle czasu, ile ci potrzeba. Mogę poczekać. - Przyciągnął ją do siebie, głaszcząc jedną ręką. Druga zacisnęła się w ciemnościach w pięść.

## Rozdział 28

Dziwnie się czuła, spędzając znowu wakacje w Londynie. W dzieciństwie przyjeżdżała tu co roku na parę tygodni. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Nie była już dzieckiem. Nie mieszkała już w domu ojca. I była zakochana.

Nie mieszkała również u Drew i wiedziała, że czuł się tym dotknięty. Nie chodziło o moralność, a przynajmniej moralność odgrywała tu niewielką rolę. Chciała, by jej romans trwał odrobinę dłużej. Rozkoszne bukiety, które jej przysyłał, zabawne liściki, które wsuwał pod drzwi - wzruszenia pierwszej fazy miłości. Szklisty wzrok, radosne uniesienie, którego każda kobieta ma prawo doświadczyć chociaż raz w życiu.

A przede wszystkim chciała się upewnić, że wyszła z cienia ojca.

Nie kochała Briana ani trochę mniej. Wątpiła, czy to w ogóle możliwe. Ale odkryła, że chce na własność czegoś więcej niż tylko swoich fotografii. No i pozostawała sprawa Bev.

Życie oszukało ją, okradło z matki. Podczas tych letnich tygodni w Londynie zrekompensowała sobie lata tęsknoty. Zamieszkała w jednym z pokoi gościnnych Bev.

Drew będzie musiał poskromić swoją niecierpliwość. Potrzebowała tego czasu z Bev nie dlatego, by poczuć się znowu dzieckiem, lecz by odnowić więź z matką. Czy mogła oczekiwać, że nowe związki okażą się trwałe, skoro nie uporządkowała starych?

Miała swoją pracę. Miasto, gdzie ojciec spędził dzieciństwo, owładnęło jej wyobraźnią. Godzinami przemierzała ulice i parki w poszukiwaniu obiektów. Fotografowała starą kobietę, która przychodziła codziennie karmić gołębie w Green Park, szpanerów wyprowadzających labradory, kobiety pchające dziecięce wózki po King's Road. Punków o twarzach twardzieli, nawiedzających kluby.

Została więc miesiąc, potem jeszcze dwa. Świątowała z Drew wejście płyty Birdcage Walk do pierwszej dwudziestki „Billboardu”. Patrzyła w zdumieniu, jak lady Annabelle bezlitośnie oblega osłupiałego P.M. Ścinała astry i chryzantemy w ogródku Bev. I w końcu zrobiła decydujący krok - przedstawiła wydawcy propozycję albumu.

- Jestem umówiona na siódmą z Drew! - zawołała, wciągając krótki zamiszowy żakiet. - Idziemy do kina i na kolację.

- Baw się dobrze. - Bev zebrała stos próbek. - A gdzie się teraz wybierasz?

- Do Steviego.

- Myślałam, że kiepsko się czuje.

- Wszystko wskazuje na to, że mu się polepszyło. - Zatrzymała się przed lustrem w holu, by dokonać szybkiej lustracji. Głęboki granat zamszowego kostiumiku podkreślał kolor jej oczu. - Mam ostatnie zdjęcia z tournée. Tata przyjedzie tam również, żebyśmy mogli pokłócić się o to, które jest najlepsze.

- Mam spotkanie z lady Annabelle. - Bev przewróciła oczami. Stojąc za plecami Emmy, zerknęła w lustro i poprawiła lewy kolczyk. - Zastanawiam się, czy ona chce, żebym urządziła jej salon, czy powiedziała, jaki RM. jest w łóżku.

Emma wsadziła album pod pachę.

- Nie sądzisz, że ona już wie?

Bev namyślała się przez chwilę, potem pokazała zęby w uśmiechu.

- Na pewno wkrótce się dowiem. - Bev cmoknęła Emmę w policzek i już jej nie było.

Parę minut później Emma sadowiła się za kierownicą samochodu. Próbowiła wyobrazić sobie delikatnego, skromnego P.M. z zuchwałą, przesadnie wystrojoną lady Annabelle. Nie mogła, Ale z drugiej strony, nie mogła również wyobrazić sobie P.M. z Angie Parks.

Walczyła z ruchem ulicznym zawzięcie, metodą Brytyjczyków. Jak to dobrze, pomyślała, że Drew i jego zespół podpisali kontrakt z Pete'em Page'em.

Wystarczy popatrzeć, co Pete zrobił dla Blackpoola, uśmiechnęła się szyderczo. Facet zbija horrendalną fortunę na reklamach. Wiedziała doskonale, że decyzja Briana, który nie chciał firmować produktów ani użyć reklam swojej muzyki, doprowadziła Page'a do wściekłości. Była dumna z ojca.

Lepiej pozostawić to Blackpoolowi, pomyślała złośliwie, wjeżdżając na teren posiadłości Steviego.

Cieszyła się, że kupił stary wiktoriański dom z ogrodem. Zajął się nawet ogrodnictwem i przychodził do Bev z książkami o hodowli róż, rodzajach gleby i ogródkach skalnych. Stan jego zdrowia przestał być tajemnicą, ale Pete, jak to Pete, zdołał zataić przyczynę choroby przed prasą.

Emma bała się, że tournée wyczerpie Steviego, ale jakoś przetrwał. Wrócił do pisania i zbierał siły, by wesprzeć Briana w niektórych akcjach charytatywnych.

Ojciec znalazł się nareszcie w swoim żywiole, myślała Emma. W Europie i Ameryce muzycy wykorzystywali swoje talenty w zupełnie nowych dziedzinach. Akcje na rzecz pomocy ludziom - od nękanym suszą Etiopczyków po biedujących farmerów amerykańskich - zajęły miejsce zlotów politycznych i wolnej miłości lat sześćdziesiątych. Czasy Woodstock, dni beztroski i chwały, minęły bezpowrotnie. Rock'n'rollowcy przycisnęli ludzkość

do spotniałych piersi. Dumą napawała ją myśl, że ma w tym swój udział, że może to śledzić i uwiecznić na swój własny sposób.

Na końcu alejki stał w pełnym słońcu pojemnik z więdącymi fiołkami. Kręcąc głową, Emma przesunęła go w cień, pod okap. Najwidoczniej Stevie nie przestudiował podręczników zbyt dokładnie.

Nacisnęła dzwonek. Nie dostrzegła nigdzie samochodu Briana i pomyślała, że jeżeli Stevie będzie czuł się na siłach, pójda na spacer po ogrodzie.

Gospoia otworzyła drzwi i przyjrzała się Emmie ze zniecierpliwieniem i nieufnością.

- Dzień dobry, pani Freemont.

Szarobrązowe włosy pani Freemont zabezpieczała praktyczna siateczka. Gospoia mogła mieć zarówno czterdzieści, jak sześćdziesiąt lat i oblekała swoje mocne, krągłe ciało w czarną praktyczną wełnę. Pracowała dla Stewiego od ponad pięciu lat, ścierała jego krew i wymioty, usuwała puste butelki, a natknąwszy się na fiołki o podejrzanym wyglądzie, patrzyła w inną stronę.

Ktoś mógłby ulec złudzeniu i pomyśleć, że pani Freemont jest przywiązana do swojego chlebodawcy. Wierna pani Freemont była przywiązana jedynie do pensji, którą Stevie płacił jej za niewytykanie nosa w nie swoje sprawy.

- Jest gdzieś na górze. Pewnie w łóżku. Nie zagłądałam tam jeszcze - fuknęła.

Stara wampirzyca, pomyślała Emma i uśmiechnęła się uprzejmie.

- Nic nie szkodzi. Oczekuje mnie.

- Nie mój interes - powiedziała pani Freemont zgodnie z prawdą i poszła zaatakować jakiś bezbronny stół ścierką do kurzu.

- Proszę się nie przejmować moją osobą- rzuciła Emma w przestrzeń pustego holu. - Sama znajdę drogę na piętro.

Ruszyła w górę po dębowych schodach, rozpinając po drodze żakiet.

- Stevie! Doprowadź się do porządku. Nie mam dużo czasu.

Dom był ogromny i właśnie dlatego tak bardzo podobał się Emmie. Ściany korytarza na piętrze zdobiła mahoniowa boazeria. Błyszczące mosiężne części armatury i szklane kule świadczyły o tym, że kiedyś oświetlano korytarz gazem. To nasunęło Emmie skojarzenia z filmem z Ingrid Bergman, w którym Boyer doprowadzał swoją niewinną żonę do szaleństwa. Sceneria byłaby idealna, gdyby Stevie nie zawiesił między lampami litografii Warhola i Salvatora Dali.

Usłyszawszy muzykę, westchnęła ciężko i zapukała. Potrząsnęła obolałą dłońią i zapukała jeszcze raz.

- No dalej, gitarzysto! Przetrzyj oczęta.

Kiedy nie odpowiedział, odmówiła krótką, ale żarliwą modlitwę na intencję jego samotności, po czym pchnęła drzwi.

- Stevie?

Pokój był pusty, żaluzje spuszczone, powietrze stęchłe. Skrzywiła się na widok skotłowanego łóżka i do połowy opróżnionej butelki whisky stojącej na osiemnastowiecznym stoliku. Klnąc pod nosem, podeszła szybko do cennego mebla, ale było już za późno. Na błyszczącym blacie pozostał biały krążek. Mimo to postawiła butelkę na zmiętej kopii „Billboardu” i dopiero wtedy ujęła się pod boki.

Zrobił takie ogromne postępy, myślała, a teraz pompuje w siebie whisky. Czy naprawdę nie rozumie, że wyniszczył swój organizm do tego stopnia, że alkohol może go zabić równie skutecznie, jak narkotyki?

A więc upił się wczoraj wieczorem, myślała, podnosząc żaluzję i otwierając okna. Potem prawdopodobnie poszedł rzygać. Śpi na podłodze w łazience, zdecydowała. I sam sobie będzie winien, jeżeli zaziębi się na śmierć. Nie miała najmniejszego zamiaru litować się nad idiotą.

Pchnęła drzwi łazienki.

Krew. Wymioty. Mocz. Cofnęła się uderzona falą smrodu. Żółć podeszła jej do gardła, przed oczami zatańczyły czarno-szare plamy. Upadła na adapter stereo. Rozległ się zgrzyt igły ryjącej płytę, po czym zapadła cisza. Podziałała na Emmę jak policzek. Z okrzykiem przerażenia rzuciła się na przód i dopadła rozciągniętego na podłodze ciała.

Było nagie i lodowate. Ogarnięta grozą przeturlała Steviego z trudem na plecy. Zobaczyła strzykawkę. I rewolwer.

- Nie. O Boże! Nie! — W panicznym strachu szukała rany, potem pulsu. Znalazła skaleczenia, tragiczne ślady po igle. Zatkaną spazmatycznie, kiedy wyczuła słabutki puls na jego szyi. - Stevie! Boże, Stevie! Co ty zrobiłeś?!

Wybiegła z pokoju na schody.

- Zadzwoń po pogotowie! - krzyknęła. - Zadzwoń po cholerne pogotowie. Szybko!

Zerwała kołdrę z łóżka i okryła Steviego. Jego twarz przypominała maskę ulepioną z wody i popiołu. Ta twarz i skóra ze smugami krwi przerażała ją bardziej niż martwy bezruch ciała. Na czole, tuż nad brwiami, miał brzydkie stłuczenie. Chwyciła ręcznik i przycisnęła go do rany.

Potem zaczęła bić Steviego otwartą dłońią po twarzy.

- Obudź się, do cholery, Stevie! Obudź się! Niech cię diabli! Nie pozwolę ci umrzeć w ten sposób. - Potrząsała nim, biła go po twarzy, potem załamała się i szlochała na jego piersi. Żołądek podjechał jej do gardła. Zaciekle walczyła z mdłościami. - Proszę, proszę, proszę - powtarzała jak modlitwę. Przypomniła sobie Darrena. Jego też tak znaleźli, leżącego samotnie. Strzykawka na tureckim dywanie. - Nie, nie. Nie umrzesz mi na

rękach. - Pogłaskała go po włosach, potem przyłożyła palec do szyi. Tym razem nie wyczuła nic. - Ty draniu! - wrzasnęła. Odrzuciła kołdrę i zaczęła uciskać jego wątłą klatkę piersiową. - Nie zrobisz mi tego, nie zrobisz tego tacie, nikomu! - Rozwarła mu usta i wtoczyła w nie własny oddech. - Słyszysz? Stevie! - dyszała. - Wracaj!

Pompowała w niego powietrze, uciskała chudą klatkę piersiową. Grożąc, błagając, klnąc walczyła o jego życie. Kafelki wpijały się w jej kolana, ale nie czuła bólu. Skupiona wyłącznie na jego twarzy, na modlitwie o jeden przebłysk życia, zapomniała, gdzie się znajduje. Przed oczami przelatywały jej strzępy wspomnień. Stevie ubrany na biało śpiewa w ogrodzie. Stoi na scenie w powodzi kolorowych świateł i dymu, a spod jego palców szarpiających struny wydobywa się płomienna muzyka. Zabawy przed kominkiem. Otaczające ją ramie.

„Kto tu jest najlepszy, Emmo, złotko?” - pyta żartobliwie.

Wracała do niej tylko jedna jasna myśl. Nie straci znów kogoś, kogo kocha. Nie w taki sposób, nie w taki bezsensowny sposób.

Pot ściekał jej po twarzy, kiedy usłyszała szybkie kroki na schodach.

- Tutaj! Szybko! Och, tato!

- Słodki Jezu! - W ułamku sekundy był przy niej.

- Znalazłam go. Żył. Potem przestał oddychać. - Miała wrażenie, że mięśnie ramion skowyczą bólu, ale nie przestawała pracować. - Pogotowie. Zadzwoń po pogotowie?

- Zadzwoń do Page'a. Złapała nas przez telefon w samochodzie..

- Cholera! Powiedziałam jej, żeby sprowadziła pogotowie. On musi jechać do szpitala. - Emma poderwała głowę i napotkała wzrok Page'a. - Niech cię diabli! Nie widzisz, że on umrze, jeżeli nie otrzyma pomocy?! Dzwon!

Skinął głową. Nie miał zamiaru dzwonić po pogotowie. Wykręcił numer bardzo prywatnej i bardzo dyskretnej kliniki.

- Stój, Emmo! Stój! On oddycha!

- Nie mogę...

Brian ujął ją za ramię i wyczuł drżenie mięśni.

- Udało ci się, maleńka. On oddycha.

Oszołomiona patrzyła, jak pierś Stewiego podnosi się i opada w słabym, ale równym oddechu.

Czasem krzyczał. Czasem płakał. Gdy jego ciało walczyło z trucizną, wkradł się w nie nowy ból. Małe diabełki rozdrapywały rany na ramionach, kąsały czułe miejsca między palcami i w pachwinie. Najpierw parzyły mu skórę, potem kłuły go lodowatymi igiełkami. Widział je, czasem naprawdę

je widział! Miały małe czerwone oczka i żarłoczne szczęki. Diabełki stepowały na jego ciele, by po chwili zatopić w nim zęby.

Potem przychodziła histeria, a wraz z nią obłądana siła. Musieli przywiązywać go do łóżka. Wtedy cichł, wpadał w stan półtransu i mógł godzinami patrzeć w jeden punkt na ścianie.

Zatopiony w tej ciszy, przypominał sobie, że kiedyś żeglował, spokojnie, bezboleśnie. Potem dotarł do niego głos Emmy, gniewny, zraniony, przerażony, żądający, żeby wrócił. I wrócił. Powrócił również ból i odebrał mu spokój.

Błagał ludzi, którzy znajdowali się z nim w pokoju, by pozwolili mu odejść albo dali prochy. Obiecywał astronomiczne sumy i kłął jak szewc, kiedy jego błagania pozostawały bez odpowiedzi. Nie chciał powracać do świata żywych. Kiedy odmówił jedzenia, karmili go przez rurkę.

Stosowali leki obniżające ciśnienie, by omotać jego umysł i wmówić mu, że nie dostaje bzika. Mieszali z tym naltroxon, lek, który miał przekonać jego ciało, że nie jest na haju. Stevie tęsknił za kojącym azyłem koki i szumem heroiny w głowie.

Rzadko pozostawiano go samego, ale nienawidził i bał się nawet dziesięciominutowych okresów samotności. W takich chwilach na świecie był tylko on i maszyny, które mruzczały i pobrząkiwały w odpowiedzi na oznaki życia dawane przez jego ciało.

Po dwóch tygodniach uspokoił się. I stał się przebiegły. Przeczeka ich - milczących drani, którzy go tu wsadzili. Będzie jadł owoce i warzywa, będzie się uśmiechał i odpowiadał na wszelkie pytania. Będzie kłamał tej ślicznej pani psycholog o chłodnych oczach. Potem wyjdzie.

Marzył o braniu, o wypełnieniu żył tą cudowną mieszanką chińskiego proszku i śniegu najwyższej klasy. Cały ten śliczny biały proszek. Fantazjował na jego temat - białe góry na srebrnych talerzach. Będzie go żarł obiema rękami, wypełni nim siebie.

Marzył o zabiciu ich, lekarzy, pielęgniarek. Marzył o zabiciu siebie. Potem znów płakał.

Powiedzieli, że uszkodził sobie serce. I wątrobę. Powiedzieli, że jest anemiczny i że rozprawią się z tym w bezwzględny sposób, podobnie jak z jego podwójnym uzależnieniem od koki i heroiny. Nikt nie nazwał go ćpuniem. Powiedzieli, że ma osobowość nałogowca.

Trudno się było z tego nie śmiać. A więc miał osobowość nałogowca. Bez jaj? Chciał od nich tylko jednego, żeby zostawili w spokoju jego i jego osobowość. Od dwudziestu lat jest najlepszym pieprzonym gitarzystą na świecie. Dobiega wprawdzie pięćdziesiątki, ale dwudziestoletnie dziewczyny nadal walczą o zaszczyt spędzenia paru godzin w jego łóżku. Jest bogaty, obrzydliwie bogaty. Posiada lamborghini, rolls-royce'a. Kupuje motocykle



jak chipsy. Ma siedmiohektarową posiadłość w Londynie, willę w Paryżu i luksusowy azyl na szczycie wzgórza w San Francisco. Ciekawe, czy któryś z tych przemądrzałych, świętoszkowatych doktorków może go przelicytować.

Czy kiedykolwiek stali na scenie otoczeni wrzaskiem dziesięciu tysięcy ludzi. Nie. A on tak! Zazdroszcza mu, po prostu mu zazdroszcza. I dlatego go tu trzymają, z dala od fanów, z dala od muzyki, z dala od narkotyków.

Pławiąc się w żalu nad samym sobą, patrzył na pokój. Ściany były wyłożone tapetą w niebieskoszare kwiatki. Na podłodze leżał gruby szary dywan, a okna wychodziły na południe. Harmonizujące z tapetą kotary miały ukryć fakt, że okna są okratowane. Na drugim końcu pokoju znajdował się kąpiel wypoczynkowy - dwie kanapy i fotel z oparciem w kształcie łyżki. W gustownej kopii dziewiętnastowiecznej szafy stał telewizor, wideo i zestaw stereo. Centrum rekreacyjne, pomyślał Stevie z goryczą. Nie czuł się ubawiony.

Dlaczego zostawili go samego na tak długo? Dlaczego jest sam?

Poczuł, że strach tamuje mu oddech. Odetchnął, kiedy drzwi się otworzyły.

Przy każdej wizycie Brian próbował opanować szok, jakim był dla niego widok przyjaciela. Nie chciał myśleć o jego rzadkich, siwiejących włosach, o bruzdach wokół oczu i ust. Nie chciał patrzeć na chude, kruche ciało, które kurczyło się z wyczerpania, nie ze starości.

Nie chciał patrzeć na Steviego, ponieważ patrząc, widział własną przyszłość. Bogaty, rozpieszczony i bezradny stary człowiek.

- Jak leci?

Stevie uśmiechnął się szczerze, wdzięczny za towarzystwo.

- Och, beczka śmiechu. Powinieneś się przyłączyć.

Dreszcz zgrozy przeleciał Brianowi po plecach.

- Miałbyś wtedy konkurencję o względy tych wszystkich długonogich pielęgniarek - odparł Brian i wręczył choremu dwukilogramową bombonierkę, pożywkę dla wiecznie zgłodniałego słodczy narkomana. - Wyglądasz niemal jak człowiek, synu.

- Aha. Myślę, że prawdziwe nazwisko doktora Matthews'a brzmi Frankenstein. Co słyhać w rzeczywistym świecie?

Rozmawiali z przymusem, zbyt uprzejmie, a w trakcie tej rozmowy Stevie pochłaniał metodycznie kolejne warstwy czekoladek.

- Pete nie pokazywał się ostatnio — powiedział w końcu.

- Jest załatany. - Nie było sensu wspominać, że ma pełne ręce roboty z prasą i organizatorami. Amerykańska część tournée Devastation została odwołana.

- Chcesz powiedzieć, że jest wściekły.

- Trochę. — Brian uśmiechnął się i rozpaczliwie zatęsknił za papierosem. I drinkiem. - Czy to cię kiedyś martwiło?
- Nie - skłamał Stevie. Każde drażnienie było teraz jak sącząca się rana. - Nie wiem, czemu się tak wkurwia. Wydał oświadczenie dla prasy. Wirusowe zapalenie płuc plus wyczerpanie organizmu, zgadza się?
- To wydawało się najlepszym rozwiązaniem - zaczął Brian.
- Jasne, jasne, nie ma problemu. Żadnego pieprzonego problemu. Nie chcemy przecież, aby publika dowiedziała się, że stary Stevie spreparował o jednego przyspieszacza za dużo i myślał o strzeleniu sobie w łeb.
- Daj spokój!
- Hej, nie ma sprawy, spoko. - Stevie przełknął łyżę żalu nad sobą. - Tylko że to boli, Brian. Naprawdę boli. On nie chce odwiedzić ćpuna. Wydzielał mi smołę, kiedy bał się, że nie będę mógł grać, a teraz nie chce się ze mną zobaczyć.
- Nigdy mi nie mówiłeś, że Pete dostarczał ci narkotyki.
- Stevie spuścił wzrok. To był ich mały sekret. Jeden z wielu małych sekretów.
- Od czasu do czasu, kiedy robiło się krucho i moje źródła wysychały. Przedstawienie musi toczyć się dalej, prawda? Pierdolone przedstawienie zawsze toczy się dalej. Więc trzymał dla mnie trochę H, nie kryjąc dezaprobaty, a kiedy przedstawienie się kończyło, pakował mnie do jednej z tych klinik.
- Nikt z nas nie wiedział, że to się tak skończy.
- Nie, nikt z nas tego nie wiedział. - Stevie zaczął bębnić palcami w wieczko bombonierki. - Pamiętasz Woodstock, Bri? Chryste, co to były za czasy! Pamiętasz, jak siedzieliśmy w lesie, łykaliśmy LSD i słuchaliśmy muzyki? Chryste, jakiej muzyki! Jak to się stało, że tu jesteśmy?
- Żeby to wiedział. - Brian wyjął ręce z kieszeni, potem wpakował je tam z powrotem. - Posłuchaj, Stevie! Wyjdiesz z tego. Do diabła, wszyscy to robią. Wszyscy się oczyszczają, zrywają z przeszłością. Lata osiemdziesiąte!
- A ja, jak zwykle, na samym końcu. - Stevie chwycił Briana za rękę. - Słuchaj, to jest trudne, wiesz. Człowieku, to jest naprawdę trudne.
- Tak, wiem.
- Człowieku, nie wiesz, bo cię tu nie ma. - Stevie przełknął gniew i urazę. W tej chwili nie mógł sobie pozwolić na okazanie ani jednego, ani drugiego. - Może tym razem mi się uda, Bri, ale potrzebuję pomocy.
- Dlatego tu jesteś.
- Dobra, dobra, dlatego tu jestem. - Do ciężkiej cholery, mdliło go już od komunałów i pobożnych życzeń! -Ale to nie wszystko. Potrzebuję czegoś, Bri, tylko smaku czegoś. Mógłbyś przynieść mi parę gramów koki, tylko tyle, żeby pomóc mi przetrwać?

Nie po raz pierwszy prosił. Z bólem serca Brian pomyślał, że nie ostatni.

- Nie mogę, Stevie.

- Chryste, Bri, tylko parę gramów! Nic poważnego. Tutaj dają mi tylko namiastki. Leczą mnie z narkomanii aspiryną.

Brian cofnął rękę i odwrócił się od przyjaciela. Nie mógł patrzeć w te ciemne, głodne oczy. Błagające oczy.

- Nie kupię dla ciebie koki, Stevie. Lekarze mówią, że równie dobrze mógłbym przyłożyć ci pistolet do głowy.

- Tego też już próbowałem. - Walcząc ze łzami, Stevie przycisnął obie dłonie do twarzy. - W porządku, żadnej koki. Mógłbyś przynieść mi coś innego. Trochę dolofiny. To dobry narkotyk, Bri. Był dobry dla nazistów, będzie dobry i dla mnie. - Stevie zaskomlał wpatrzony w plecy Briana. - To tylko namiastka, człowieku! Robiłeś to już wcześniej, więc w czym problem? To by mnie postawiło na nogi.

Brian westchnął. Kiedy się odwrócił, żeby powiedzieć „nie”, zobaczył Emmę. Stała w drzwiach, nieruchoma jak posąg. Miała na sobie niebieskie spodnie na białych szelkach i szkarłatną koszulę. Gęste włosy spłótła w warkocz. W uszach połyskiwały ogromne złote kule, zaś pod pachą trzymała warcaby. Brian pomyślał, że wygląda na szesnaście lat. Potem zobaczył jej oczy.

Były zimne. Zimne, oskarżające oczy kobiety.

- Przeszkadzam?

- Nie. - Brian wbił rękę w kieszenie spodni. - Muszę już lecieć.

- Chciałabym z tobą porozmawiać, tato. - Nie patrząc na niego, przeszła na drugą stronę łóżka. - Mógłbyś poczekać na mnie na zewnątrz? To nie potrwa długo. Lekarz powiedział, że Stevie musi odpocząć.

- Dobrze. - To jest absurdalne, myślał Brian, ale czuję się jak dziecko, które zaraz dostanie burę. - Wpadnę do ciebie jutro albo pojutrze, Stevie.

- Tak. - Nie powiedział nic więcej, ale w jego oczach Brian ujrzał błaganie.

- Przyniosłam ci to. - Emma położyła warcaby na kościstych kolanach Steviego. - Pomyślałam, że może poćwiczysz trochę, żebyś mógł spróbować mnie pokonać.

- Zawsze wygrywałem.

- Kiedy byłam dzieckiem, a ty oszukiwałeś. - Emma obniżyła łóżko, żeby usiąść przy nim. - Nie jestem już dzieckiem.

Nie mógł opanować drżenia rąk. Palce bębniły nerwowo po pudełku.

- Chyba nie.

- Więc chcesz narkotyków. - Powiedziała to w tak naturalny sposób, że umysł Steviego potrzebował chwili, by zarejestrować informację. Podniósł na nią oczy, a jego palce podjęły rytm wybijany na wieczku.

- Mógłbyś powtórzyć, jak to się nazywa? Zapiszę soficie. Myślę, że uda mi się zdobyć trochę tego w przeciągu paru godzin.

- Nie.

- Powiedziałaś, że chcesz. Więc jak to się nazywa? - Emma wyjęła notes i czekała z ołówkiem w ręku.

Buchnęła w nim nadzieja i rozpaczliwa żądza, zanim wstyd zabarwił mu policzki. Przez chwilę wyglądał niemal zdrowo.

- Nie chcę, żebyś się w to mieszała.

Roześmiała się. Cichy, pełen rozbawienia chichot sprawił, że pot wystąpił mu na kark.

- Nie pękaj, Stevie. Jestem w to zamieszana od czasu, gdy skończyłam trzy lata. Naprawdę myślałaś, że nie wiem, co dzieje się na przyjęciach, na wyjazdach? Sądziłam, że masz lepsze mniemanie o mojej inteligencji.

Naprawdę w to wierzył, ponieważ tego właśnie potrzebował. Ona była i zawsze będzie promykiem niewinności pośród zgiełku i szaleństwa.

- Jestem... Jestem zmęczony, Emmo.

- Zmęczony? Potrzebujesz paliwa? Szmerku, który rozmyje rzeczywistość? Podaj mi tylko nazwę, Stevie. W końcu uratowałam ci życie, mogę więc z całym spokojem sumienia pomóc ci je stracić.

- Nie prosiłem cię, żebyś je ratowała, do cholery! - Uniósł rękę, jakby chciał ją odepchnąć, potem pozwolił opaść dłoni bezwładnie na kołdrę. - Dlaczego mnie po prostu nie zostawiłaś, Emmo? Dlaczego mnie nie zostawiłaś?

- Mój błąd - powiedziała żywo. - Ale możemy go od razu naprawić. - Emma pochyliła się i poczuł tchnienie jej zapachu. Głos jej stwardniał, oczy nabrały ostrego wyrazu. - Zdobędę dla ciebie ten pieprzony narkotyk, Stevie. Zdobędę go. Sama cię nim nakarmię. Wepchnę ci igłę w żyłę, jeżeli tylko jakaś ci jeszcze została. Do diabła, może nawet sama spróbuję?

- Nie!

- Dlaczego nie? - Emma uniosła brwi, jakby w zdziwieniu. - Powiedziałaś, że to dobry narkotyk. Czy nie tak powiedziałaś tacie? To jest dobry narkotyk. Jest dobry dla ciebie, będzie dobry i dla mnie.

- Nie! Do cholery, spójrz, co z sobą zrobiłem. - Wyciągnął pokłute, posiniaczone ramię.

- Widzę, co z sobą zrobiłeś. - Emma rzuciła notes i ołówek przez pokój. - Widzę świetnie. Jesteś słaby, żałosny i smutny.

- Proszę pani! - Do pokoju weszła pielęgniarka. - Będę musiała...

- Proszę wyjść! - Emma odwróciła się ku niej błyskawicznie. Dłonie miała zaciśnięte w pięści, oczy jej płonęły. - Wynocha! Jeszcze nie skończyłam.

Pielęgniarka wyszła. Odgłosy jej pośpiesznego odwrotu rozbrzmiewały echem w korytarzu.

- Zostaw mnie w spokoju - szepnął Stevie. Między palcami, które przyciskał do twarzy, spływały łzy.
- O, tak! Zostawię cię w spokoju. Jak skończę. Znalazłam cię leżącego na podłodze, we krwi i wymiotach, obok strzykawki i pistoletu. Nie mogłeś się zdecydować, w jaki sposób zakończyć życie? Cóż za cholerna szkoda, prawda, że nie chciałam, abys umarł? Wpompowałam w ciebie życie, tam na podłodze. Płakałam, ponieważ bałam się, że nie będę dość szybka ani dość mądra, żeby cię uratować. Ale kiedy cię zabierali, oddychałeś i myślałam, że to ma znaczenie.
- Czego chcesz?! - krzyknął. - Czego, do diabła, chcesz?!
- Chcę, żebyś pomyślał, pomyślał nie tylko o sobie, dla odmiany. Jak sądzisz, jak bym się czuła, gdybym znalazła cię martwego? A tata, co by to znaczyło dla niego? Masz wszystko, ale tak bardzo pragniesz samodestrukcji, że nawet gdybyś miał dwa razy więcej, niczego by to nie zmieniło.
- Nic na to nie poradzę.
- O! To marne usprawiedliwienie, marne, żałosne i smutne, bardzo odpowiednie dla człowieka, którym jesteś teraz. - Emma zdusiła płacz, zastępując łzy gniewem. - Zawsze cię kochałam, odkąd pamiętam. Przez lata patrzyłam, jak grasz i zachwycałam się tym, co potrafiłeś stworzyć. A teraz siedzisz tutaj i mówisz, że się zabijasz, ale niestety nic na to nie możesz poradzić. W porządku, ale nie spodziewaj się, że ludzie, którzy cię kochają, będą stali i patrzyli, jak umierasz.
- Ruszyła do drzwi. W progę natknęła się na drobną brunetkę.
- Panna McAvoy? Jestem doktor Haynes, psychiatra pana Nimmonsa.
- Emma zebrała się w sobie, jak bokser szykujący się do nowego pojedynku.
- Wychodzę, pani doktor.
- Tak, widzę. - Kobieta uśmiechnęła się i wyciągnęła do niej rękę. - Niezłe przedstawienie, kochanie. Radziłabym teraz szybki spacer, a potem gorącą kąpiel. - Doktor Haynes podeszła do łóżka Steviego. - O, warcaby. Moja ulubiona gra. Ma pan ochotę na partyjkę, panie Nimmons?
- Emma usłyszała, jak pudło ląduje na ścianie, ale nie obejrzała się za siebie.
- Brian czekał na nią na zewnątrz. Palił papierosa oparty o maskę najnowszej jaguara. Kiedy ją zobaczył, zaciągnął się po raz ostatni i odrzucił niedopałek.
- Myślałem, że zostaniesz dłużej.
- Nie, powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. - Emma podciągnęła suwak ciemnoniebieskiej kurtki. - Chciałam się upewnić, czy dobrze usłyszałam. Kupowałeś narkotyki dla Steviego?
- Nie w tym sensie, w jakim ty to rozumiesz. Nie jestem handlarzem, Emmo.

- A więc źle się wyraziłam. - Skinęła głową. - Czy dostarczałeś mi narkotyki?

- Dostarczałem leków makowych, żeby pomóc mu przetrwać tournée i powstrzymać przed kupowaniem heroiny w jakimś ciemnym zaułku.

- Żeby pomóc mu przetrwać tournée - powtórzyła. - Myślałam, że to Pete jest zły, bo kłamie dziennikarzom, pomaga Steviemu okłamywać samego siebie.

- To nie wina Page'a.

- A jednak tak. Wszyscy jesteście winni.

- Czy twoim zdaniem powinniśmy ogłosić w „Billboardzie”, że Stevie jest ćpunem?

- Z pewnością byłoby to lepsze rozwiązanie. W jaki sposób Stevie ma stawić czoło chorobie, skoro nie chce przyznać, że jest chory? W jaki sposób ma przestać być narkomanem, skoro jego przyjaciele, jego najlepsi przyjaciele, zaopatrują go w narkotyki, by przeciągnąć Stevię przez jeszcze jeden koncert, jeszcze jedno miasto.

- To nie tak...

- Nie? A może wmawiacie sobie, że robicie to z czystej przyjaźni?

Zbyt zmęczony, by czuć gniew, Brian oparł się z powrotem o samochód. Lekki wiatr, który rozwiewał mu włosy, niósł z sobą zapach jesieni i deszczu. Spokój, myślał, patrząc w rozwścieżoną twarz córki. Chcę tylko spokoju.

- Nic o tym nie wiesz, Emmo. A ja nie zamierzam wysłuchiwać pouczeń z ust własnej córki.

- Nie chcę cię pouczać. - Emma odwróciła się i podeszła do własnego samochodu. Z dłonią na klamce obejrzała się przez ramię. - Wiesz, nigdy ci o tym nie mówiłam, ale parę lat temu poszłam zobaczyć się z Jane. Jest żałosna, uwikłana we własne potrzeby i własne „ja”. Aż do tej chwili nie uświadamiałam sobie, jak bardzo jesteście do siebie podobni.

Zatrzasnęła drzwiczki, uruchomiła silnik. Jeżeli był ból na jego twarzy, nie odwróciła się, by go zobaczyć.

## Rozdział 29

Ślub Emmy i Drew odbył się po cichu w urzędzie stanu cywilnego. Nie zaproszono gości, nie powiadomiono prasy. Emma nie powiedziała nawet Mariannie. W końcu miała dwadzieścia jeden lat i nie potrzebowała niczyjego pozwolenia ani niczyjej aprobaty.

Nie było to ślub, o jakim marzyła. Nie było mgiełki welonu i sukni z połyskliwego białego jedwabiu. Nie było kwiatów, z wyjątkiem jednej róży, którą ofiarował jej Drew. Nie było muzyki ani łez.

Powiedziała sobie, że to bez znaczenia. Robiła przecież to, co chciała zrobić. Postąpiła egoistycznie, być może, ale czuła, że ma prawo do jednego czysto egoistycznego postępu w życiu. Czy mogła powiedzieć Mariannie i Bev, nie mówiąc jednocześnie ojcu? Nie chciała widzieć go tutaj, stojącego obok, oddającego ją Drew.

Sama mu się odda.

Próbowała ożywić nudną, mechaniczną ceremonię, wkładając strojną jedwabną sukienkę, parę odcieni ciemniejszą od róży, którą trzymała w ręku. Długa do pół łydki kreacja miała dół i stanik obszyty koronką.

Pomyślała o ślubie ojca. O pierwszym ślubie jaki widziała. Promieniejąca szczęściem Bev. Uśmiechnięty Brian. Stevie, cały w bieli, śpiewa jak anioł. Na to wspomnienie łzy zakręciły się w oczach Emmy. Powstrzymała je, kiedy Drew ujął ją za rękę.

Uśmiechał się, wkładając Emmie na palec prostą obrączkę z brylantami. Jego dłoń emanowała ciepłem i spokojem. Wyraźnym, pięknym głosem przysięgał kochać, szanować i wielbić. Tak rozpaczliwie pragnęła czułości. Kiedy ją pocałował, uwierzyła, że otrzyma ten dar od niego.

Stali się mężem i żoną. Nie była już Emmą McAvoy, lecz Emmą McAvoy Latimer. Nową osobą. A przysięgając miłość i życie Drew, wkroczyła na nową drogę.

Cóż z tego, że zaraz po ceremonii Drew musiał jechać do studia? Rozumiała specyfikę zawodu muzyka lepiej niż ktokolwiek. Dawało jej to czas na przygotowanie apartamentu w hotelu, gdzie spędzą noc poślubną. Chciała, żeby był doskonały. Zresztą to ona wpadła na pomysł, by pobrać się szybko, cicho, w połowie nagrań nowego albumu.

Dopiero teraz przyszła pora na kwiaty, na powódź cieplarnianych róż, orchidei, narcyzów. Ułożyła bukiety sama, rozstawiając wazy we wszystkich pokojach. Ostatni kosz kwitnących chińskich róż zaniósła do łazienki.

Dwanaście białych, przesyconych zapachem jaśminów świec czekało, by je zapalić. Szampan chłodził się w kryształowym kubełku. Radio grało cicho, nastrojowo.

Zrobiła sobie długą kąpiel z mnóstwem pachnących olejków. Nasmarowała balsamem i przypudrowała ciało. Rozkoszując się tym małym kobiecym rytuałem, musnęła perfumami wszystkie miejsca, gdzie bił puls. Chciała, by jej ciało było doskonałe, podobnie jak apartament, jak ta noc. Szczotkowała włosy, dopóki nie omdlało jej ramię. Potem wolno, delektując się, narzuciła białą koronkowo-jedwabny neglig.

Kiedy spozrzała w lustro, wiedziała, że wygląda jak panna młoda. Zamknawszy oczy, poczuła się jak panna młoda. Jej noc poślubna. Najpiękniejsza noc jej życia. Teraz dowie się, jak to jest. Drew stanie w drzwiach. Spojrzy na nią, a jego złociste oczy pociemnieją. Będzie delikatny i tkliwy. Niemal czuła jego długie, zręczne palce na swojej skórze. Powie, że ją kocha, że jej pragnie. Potem zanieś Emmę do sypialni i udowodni, jak bardzo.

Cierpliwie. Czule. Namiętnie.

O dziesiątej była niespokojna. O jedenastej spięta. O północy oszalała z trwogi. Zadzwoiła do studia i dowiedziała się, że wyszedł wiele godzin temu.

Wyobraziła sobie straszny wypadek. Spieszył się do domu, równie niecierpliwie jak ona, chcąc rozpocząć wspólne życie w ogromnym, miękkim łóżku. Mógł zapomnieć o ostrożności i samochód... Nie wiedzieliby, jak się z nią skontaktować - lekarze, policja. Być może Drew leży teraz w szpitalnym łóżku, skrwawiony, i woła jej imię.

Telefonowała już do któregoś z rzędu szpitala, kiedy usłyszała chrobot klucza w zamku. Zanim Drew zdążył otworzyć drzwi, rozwarła je na oścież i upadła w jego ramiona.

- Och, Drew, byłam przerażona.

- No, no, tylko spokojnie. - Ścisnął ją za pośladki. — Spiesz się nam, co?

Pijany. Jakaś część jej umysłu pragnęła temu zaprzeczyć, ale prawda była zbyt oczywista. Drew bełkotał, chwiał się na nogach i cuchnął wódką. Odsunęła się, by na niego spojrzeć.

- Piłeś!

- Mała uroczystość z chłopakami. Nie co dzień człowiek się żeni.

- Ale... ale powiedziałaś, że wrócisz o dziesiątej.

- Chryste, Emma! Chyba nie zaczniesz sztorcować mnie już teraz?

- Nie, ale... Martwiłam się, Drew.

- Przecież jestem, no nie? - Z trudem wydostał się z marynarki i rzucił ją na podłogę. Nieczęsto się upijał, ale dziś jeden drink zmieniał się po prostu w następny. Dzisiaj wspiął się na kolejny szczebel drabiny prowadzącej na szczyt. -Ale co ja tu widzę?! Oto idealny obrazek spłonionej panny młodej. Piękna, piękna Emma. Cała w bieli.

Rzeczywiście oblała się rumieńcem. Ujrzała w jego oczach pożądanie, które widywała wcześniej i które spodziewała się ujrzeć tej nocy.

- Chciałam wyglądać pięknie dla ciebie. - Emma wtuliła się w jego ramiona i ufnie podała mu usta.

Zadał jej ból. Jego usta były pożądliwe i gorące. Przyciągając żonę mocno do siebie, ugryzł ją w dolną wargę.



- Drew! - Emma próbowała się bronić, porażona nagłym jak błysk wspomnieniem Blackpoola. - Drew, proszę.

- Dość mam twoich gierek. - Chwycił ją za włosy i odchylił głowę w tył. - Dość kazałaś mi czekać. Żadnych wymówek dzisiaj.

- Ja nie... Tylko... Drew, czy nie moglibyśmy...?

- Jesteś moją żoną. Zrobimy to tak, jak ja chcę.

Nie zważając na opór i błagania Emmy, siłą położył ją na podłodze. Brutalnie rozerwał koronki, ssał i gniótł nagie piersi. Jego gwałtowność przeraziła ją. To nie tak powinno być, myślała gorączkowo. Nie tak. Nie na podłodze, w blasku świateł, w poszarpanej koszuli.

Palce Drew zacisnęły się na biodrach Emmy, usta spadły na jej wargi. Dławiąc się od zapachu whisky, próbowała wymówić jego imię. Kiedy zaczęła walczyć, unieruchomił jej dłonie i zabrał dziewictwo jednym gwałtownym pchnięciem.

Krzyknęła z przerażenia i bólu. Zatapiał się w niej, zagłębiał coraz szybciej, dysząc i jęcząc. Szlochała, kiedy opadł, a potem przetoczył się na bok i natychmiast zasnął.

Rano był uosobieniem skruchy, czułości i żalu. Miał podkrążone oczy i drżącym głosem przeklinał sam siebie. Upił się, marne to wytłumaczenie, ale tylko dlatego postąpił jak brutal. Błaga o przebaczenie. Kiedy wziął Emmę w ramiona, delikatnie głaszcząc jej włosy i szepcząc obietnice, uwierzyła mu. Wydawało się, że to inny mężczyzna przyszedł do niej w noc poślubną i ukazał jej ciemną, okrutną stronę seksu. Mąż obdarzał ją tylko tkliwością. Kiedy pierwszy dzień małżeństwa dobiegł końca, leżała w jego ramionach zaspokojona, marząc słodko o przyszłości.

Michael wtoczył się do kuchni z zamiarem zdobycia jakiegoś naczynia. Jego postanowienie było tak silne, że zdumiał się na widok pełnego zlewu i zastawionego blatu. Rzucił talerzom zranione spojrzenie. Przez cały tydzień pracował na dwie zmiany i zastanawiał się, dlaczego przedmioty martwe, takie jak naczynia, nie mogą zadbać same o siebie.

Czując, że dokonuje samoofiary, postanowił rozprawić się z nimi natychmiast, zanim zasiądzie do śniadania i porannej gazety. Zebrał talerze, miseczki, kubki, widelce. Przyciągnąwszy do kuchni dwudziestolitrowy gumowy pojemnik, wrzucił do niego całą plastikowo-papierową kolekcję - system, który napawał jego matkę obrzydzeniem, jemu natomiast odpowiadał w zupełności. Skromna kuchnia miała wprawdzie zmywarkę do naczyń, ale, niestety, Michael nigdy nie dysponował naczyniem, które mógłby w nią wsadzić.

Zadowolony z siebie, przekopał się przez kuchenne szafki, przewracając butelkę z włoskim sosem i słoik masła orzechowego. Odsunąwszy na

bok zbędne produkty, złapał pudełko płatków kukurydzianych. Wysypał trochę na miseczkę, chwycił dzbanek z kawą i zalał płatki wrzącym płynem. Odkrył rarytas przez zupełny przypadek pewnego skacowanego poranka. Był w połowie śniadania, kiedy zauważył, że kawa pływa w talerzu z płatkami, a mleko w plastikowym kubku. Od tamtego czasu w ogóle zrezygnował z mleka. Miał już usiąść i zacząć delektować się posiłkiem, kiedy przeskodziło mu walenie w siatkowe drzwi.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że za drzwiami stoi półtorametrowa szara wycieraczka. Z tym że wycieraczki nie są wyposażone w merdające ogony i wywieszzone różowe języki. Michael pchnął siatkę i został powitany wylewnie przez brudnego, ogromnego psa.

- Nawet nie próbuj przeproszać. - Michael usunął potężne psie łapy ze swojej nagiej klatki piersiowej. Łapy opadły na podłogę, ale większość błota pozostała na ubraniu.

Conroy, pochodzenie nieznane, usiadł na linoleum i uśmiechnął się szeroko. Cuchnął niemal tak okropnie, jak w niektórych wypadkach może cuchnąć pies, ale najwyraźniej nie raziło to jego zmysłu powonienia. Skołatuniona sierść pełna była ostów. Michaelowi nie chciało się wierzyć, że wybrał Conroya spośród uroczych, rozdokazywanych szczeniaków niecałe dwa lata temu. Dorosły Conroy był brzydki. Nie nieładny, tylko po prostu zwyczajnie brzydki. Świadomość, że jest wybrykiem natury, nie martwiła go bardziej niż własny zapach.

Nadal się uśmiechając, Conroy uniósł łapę w geście, który, jak obaj z Michaeliem wiedzieli, nie miał nic wspólnego ze służeniem.

- Nie uściskę ci łapy. Nie wiem, gdzie była. Polazłeś znowu do tej flądry, nie myślę się?

Conroy uciekł spojrzeniem w bok. Gdyby mógł gwizdać przez zęby, zrobiłby to z pewnością.

- Nawet nie próbuj zaprzeczać. Spędziłeś weekend, tarzając się w kurzu i roztkliwiając nad tą skundloną latawicą. Pomyślałeś choć przez chwilę o konsekwencjach, o moich uczuciach? - Michael zajrzał do lodówki. - Przelecisz ją jeszcze raz i możesz zwijać manatki. Mówiłem ci raz, mówiłem ci tysiąc razy. Bezpieczny seks. Lata osiemdziesiąte, frajerze.

Rzucił mu kawałek kiełbasy, który Conroy złapał zwinnie i przełknął bez gryzienia. Mięknąc, Michael rzucił jeszcze dwa plasterki, po czym zasiadł do nasiąkniętych kawą płatków kukurydzianych.

Lubił swoje życie. Decyzja o przeprowadzce na przedmieścia okazała się słuszna. Miał teraz dokładnie to, czego pragnął: ładny kawałek trawnika i okazję do narzekania, że musi go kosić, parę starych drzew i resztki klombu po poprzednim właścicielu.

Próbował zająć się ogrodnictwem, ale poniósłszy klęskę, pozostawił ogród własnemu losowi. Taki stan rzeczy odpowiadał również Conroyowi.

Nikt nie wpadał w szał, kiedy wykopywał lwie paszcze. Michael kupił mały ceglany domek pod wpływem impulsu, bezpośrednio po zakończeniu krótkiego, nierozważnego romansu z Angie Parks. Nauczyła go czegoś poza perwersyjnym seksem. Tego mianowicie, że Michael Kesselring zawsze należał i zawsze będzie należał do klasy średniej.

Dziwnie się czuł, oglądając ją na ekranie po tym, jak wymieniła go na dwudziestoletniego hokeistę. Ciarki przelatywały mu po plecach, kiedy patrzył na jej interpretację roli Jane Palmer, Wiedział, że grała tę rolę przed nim, przez całe trzy zwariowane miesiące ich romansu.

Poszedł do kina sam. Chciał sprawdzić, czy naprawdę otrząsnął się z resztek niezdrowego zafascynowania jej osobą. Kiedy odsłoniła piękne piersi, nie poczuł nic, z wyjątkiem zażenowania. Wiedział, że choć tylko pośrednio, był w łóżku z matką Emmy.

Siedząc w kinie pod osłoną ciemności, zastanawiał się, czy Emma wiedziała film.

Nie lubił myśleć o Emmie.

Były inne kobiety. Nic poważnego, po prostu inne kobiety. I pochłaniała go praca. Nie dziwiło go już, że zdradza zarówno zamiłowanie, jak i talent do egzekwowania prawa. Nigdy nie będzie miał cierpliwości swojego ojca ani jego smykałki do papierkowej roboty, ale potrafił myśleć. Akceptował długie, często monotonne, godziny czatów i pracę polegającą na ruszaniu nogami. Wykazywał poza tym dość szacunku dla własnego życia, by nie wystawiać się na cel.

- Mogli mnie wczoraj sprzątnąć - oświadczył Conroyowi tonem pogawędki. Pies zaczął się drapać, zdradzając kompletny brak zainteresowania. - Gdyby ten zboczeniec miał odrobinę szczęścia, zostałbyś na lodzie, koleś. Na twoim miejscu nie liczyłbym na to, że ta lafirynda cię przygarnie.

Conroy rzucił na niego okiem, puścił bąka, po czym wrócił do pcheł.

- Jedna wizyta u weterynarza- mruknął Michael, zanurzając łyżkę w płatkach. - Jedna wizyta, parę machnięć nożem i skończą się twoje dni rozpusty. - Usatysfakcjonowany tym, że ostatnie słowo należy do niego, rozłożył gazetę.

Nie było w niej nic specjalnego. Zwykłe doniesienia z Bliskiego Wschodu, coś o terroryzmie. Rutynowe biadolenie nad gospodarką. W części B znalazł informację o ujęciu i aresztowaniu Nicka Axelroda, drugorzędnego włamywacza, który zaprawił się PCP i zaszlachtował kochankę.

- To ten facet. - Michael podetknął Conroyowi gazetę pod nos. - Znalazłem go w takim mieszkaniu w centrum. Strzelał po ścianach i wzywał Jezusa. Widzisz, tu jest wymienione moje nazwisko. Detektyw Michael Kettlerung. Wiem, wiem, to powinno być moje nazwisko. Skoro nie jesteś zainteresowany bieżącymi wydarzeniami, może zrobiłbyś coś pożytecznego, na przykład przyniósł mi papierosy. No, ruszaj!

Jęcząc, Conroy podniósł się z podłogi. Próbował utykać, ale Michael wrócił do czytania i nie zwracał na niego uwagi. Drapiąc się po nagiej piersi, otworzył gazetę na dziale rozrywki.

Na widok zdjęcia poczuł się tak, jakby jakaś niewidzialna dłoń ścisnęła mu serce.

To była Emma. Wyglądała... Boże, pomyślał, wygląda niesamowicie. Ten nieśmiały uśmiech, te wielkie, spokojne oczy. Miała na sobie kuszą sukienkę bez ramiączek, rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona ciężkimi, wzburzonymi falami.

Poza włosami na ramieniu spoczywała także czyjaś ręka, a do ręki dołączony był mężczyzna. Michael oderwał wzrok od fotografii Emmy i skupił się na fotografii mężczyzny.

Drew Latimer. Skojarzył twarz z nazwiskiem. On też się uśmiechał.

Ten skurwysyn najwyraźniej promienieje, stwierdził Michael. Wrócił wzrokiem do Emmy, badając każdy centymetr, każdy rys jej twarzy. Przyszedł Conroy i upuścił mu oślinioną paczkę winstonów na kolana. Ale Michael się nie poruszył.

Bardzo wolno, jakby gazeta napisana była w obcym języku, przeczytał nagłówek.

### KSIEŻNICZKA ROCKA, EMMA MCAVOY, POŚLUBIA SWOJEGO KSIĘCIA

Dwa dni temu Emma McAvoy, córka Briana McAvoya, lidera Devastation, i pisarki Jane Palmer, poślubiła potajemnie Drew Latimera, lat dwadzieścia sześć, wokalistę i gitarzystę wschodzącej grupy rockowej Birdcage Walk. Młoda para poznała się podczas europejskiego tournée Devastation.

Michael nie czytał dalej. Nie mógł.

- Jezu, Emmo! - Michael zamknął oczy i pozwolił gazecie opaść na stół. - O Jezu!

Emma myślała z dreszczem emocji o powrocie do Nowego Jorku. Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże Drew miasto, nie mogła się doczekać pierwszych świąt Bożego Narodzenia we własnym mieszkanku.

Opóźnienie samolotu, lodowata mżawka to były szczegóły bez znaczenia. Mieli przed sobą miesiąc miodowy, odłożony z uwagi na płytę Drew. Chciała spędzić te cztery tygodnie w Nowym Jorku, chciała, by jej przemiana z panny młodej w żonę dokonała się we własnym domu.

Kazała kierowcy jechać przez centrum miasta, by pokazać Drew światła, ludzi, majestatyczną choinkę w Centrum Rockefellera, karnawał na Times Square.

Z rozkoszą myślała, że nareszcie zamieszka sama, bez Sweeneya rezydującego w pobliżu.

- Wydaje mi się, że upłynęły lata. - Ojciec Marianny bolał ciężko nad ich decyzją, by nie wynajmować mieszkania. Ale cóż to była za przyjemność wracać, wiedząc, że nikt w nim nie mieszkał podczas jej nieobecności.

- No i? - Przeczesała dłonią wilgotne włosy. - Co o tym sądzisz?

- Kawał przestrzeni. - Drew prześlizgnął się wzrokiem po gipsowych ścianach, gołych podłogach, kiczowatej sowie z porcelany, którą Emma znalazła w pobliskim sklepiku ze starzyzną. - Trochę... spartańsko.

- Poczekaj, aż urządzę dom na Gwiazdkę. Zebrałyśmy z Marianną naprawdę niezłą kolekcję okropności.

Kierowca złożył bagaż z dyskretnym chrząknięciem i Emma sięgnęła do torebki po napiwek.

- Dziękuję.

Mężczyzna schował do kieszeni dwadzieścia dolarów.

- Dziękuję pani. Wesołych świąt!

- Wesołych świąt! - Emma zrzuciła płaszcz i podbiegła do okna. - Drew, spójrz na ten widok. Jest lepszy ze studia Marianny, ale tam kręci mi się w głowie.

- Bardzo ładny. - Zobaczył brudną ulicę i zwariowany ruch miejski. - Emmo, zastanawiam się, dlaczego nie wybrałaś lepszej dzielnicy?

- Nigdy nie chciałam mieszkać w lepszej dzielnicy.

- No cóż, to z pewnością czarujące mieszkanie. Jestem pewien, że dla dwóch studentek było w sam raz, ale musimy przemyśleć tę sprawę. - Kiedy się odwróciła, pogłaskał ją po głowie. - Marianna jest uroczą osobą, ale przecież nie chcemy z nią mieszkać, prawda?

- Nie pomyślałam... Wróci dopiero za parę miesięcy.

- Lepiej zacznij myśleć. - Drew złagodził ostrość słów pocałunkiem. Ładna buzia i ptasi mózdzek, pomyślał i poklepał ją po policzku. - Z tego, co słyszałem, znalezienie mieszkania w Nowym Jorku wymaga czasu, pieniędzy i energii. Ponieważ chcesz dzielić swój czas między Nowy Jork i Londyn, będziemy potrzebowali odpowiedniego mieszkania. Jezu, ale tu zimno!

- Kazałam agentowi wyłączyć ogrzewanie na czas naszej nieobecności. - Emma pobiegła włączyć kaloryfery.

- Zawsze praktyczna, prawda, kochanie? - W jego głosie brzmiało sztywność, ale odwrócił się do niej z uśmiechem. - Jestem pewien, że będzie nam tu dobrze przez parę tygodni. W końcu miesiąc miodowy, nawet opóźniony miesiąc miodowy, należy spędzić w łóżku. - Roześmiał się, kiedy spaşowiała, potem podszedł i zbił ją z nóg długim, mocnym pocałunkiem. - A łóżko mamy, prawda, Emmo?

- Tak. - Tuliła go do siebie. - Tu obok. Trzeba tylko zmienić pościel.  
- Pościelą zajmimy się później. - Drew przepchnął żonę przez drzwi, ściągając z niej sweter.

Wiedziała, że to odbędzie się szybko. Nie tak gwałtownie i boleśnie jak w noc poślubną, ale szybko. Nie potrafiła poprosić o więcej. W głębi serca czuła, że miłość fizyczna to coś więcej niż szybka macanka na oślep w ciemnościach. Materac ziębił ją w plecy. Ale ciało Drew, kiedy wszedł w nią, na długo zanim mogła go przyjąć, było gorące. Otoczyła go ramionami, chłonąc ciepło, i czekała na eksplozję gwiazd, o której czytała.

Zadrzała, kiedy skończył. Z zimna, powiedziała sobie. Chwilę później Drew wypowiedział na głos jej myśli.

- Na litość boską, tu jest jak w lodówce.
- Zaraz będzie cieplej. Mam koce w skrzyni.

Sięgnęła po sweter, ale Drew zamknął dłoń na jej ręce.

- Lubię patrzeć na twoje ciało. Słodkie, małe, ledwo dojrzałe ciało. Nie ma potrzeby wstydzić się mnie, prawda, Emmo?

- Nie. - Czując się trochę nieswojo, wstała, by zająrzeć do skrzyni. Drew myszkował po kieszeniach porzuconej na podłodze marynarki. Znalazł papierosy.

- Nie przypuszczam, żeby w tym domu było coś do jedzenia albo butelka czegoś na przeziębienie.

- W kuchni jest koniak. - Emma przypomniała sobie o butelce, którą otworzyła dla Luke'a. Dla Luke'a, który mieszka teraz w Miami i kurczowo czepia się życia. Położyła stos pościeli i koców w nogach łóżka. Drew znał już wszystkie jej sekrety. Nie powiedziała mu tylko o Johnno i Luke'u. - Nie pomyślałam nawet o jedzeniu. - Dostrzegła grymas niezadowolenia na jego twarzy, kiedy podnosił do ust papierosa. - Ale pobiegnę do sklepu na rogu. Możesz napić się koniaku i wziąć gorącą kąpiel. Ja tymczasem zrobię obiad.

- Dobrze. - Nie przyszło mu nawet do głowy, by jej towarzyszyć. - I kup mi fajki, dobrze?

- Jasne. - Nie zatrzymał jej, kiedy znów sięgnęła po sweter. - To nie potrwa długo.

Po jej wyjściu wstał i wciągnął dzinsy, nie tyle z uwagi na skromność, co własną wygodę. Nalał sobie koniaku i choć zirytował go brak odpowiedniego kieliszka, zaaprobował markę.

Ona naprawdę spodziewała się, że wpadnie w zachwyt na widok tej stodoły! Mieszkanie w centrum, pomyślał i łyknął koniaku. Nie miał zamiaru mieszkać w centrum. Przez całe życie czekał na chwilę, gdy zacznie piąć się w górę. A teraz, kiedy w końcu nabierał rozpędu, miałyby zadowolić się czymś gorszym niż luksus? Śmiechu warte.

Wyrósł w warunkach dalekich od luksusu. Sącząc koniak, patrzył na portret Emmy wymalowany na gipsowej ścianie i myślał o tym, skąd pochodzi i dokąd zmierza. Nie mógł wprawdzie powiedzieć, że żył w slumsach i babrał się w biedzie. Ale od slumsów i biedy dzielił go tylko krok.

Wynajęty dom, błotniste podwórko, łatanne spodnie. Nienawidził swojego robotniczego pochodzenia, tak jak nienawidził pozbawionego ambicji ojca, który nie robił nic, by się wybić. Zgarbiony stary człowiek, myślał. Ani kręgosłupa, ani jaj. Z jakiegoż innego powodu żona odeszła od niego i trójki dzieci?

Miała dość użerania się z życiem, dumiał. Jak mógł ją za to potępiać? Nienawidził jej.

Szedł własną drogą, a ta droga prowadziła wprost na szczyt. Uniósł kieliszek, pijąc zdrowie Emmy na portrecie. Jeżeli jego gorliwa, naiwna żonka popchnie go w górę, będą żyli długo i szczęśliwie.

Ale to on poprowadzi tę grę.

Posiedzi tu z nią przez tydzień lub dwa. A potem się przeprowadzą. Do jednego z tych luksusowych, drogich apartamentów w Central Parku. To wystarczy na początek. Pomysł mieszkania przez parę miesięcy w roku w Nowym Jorku nie był taki zły.

W gruncie rzeczy, Nowy Jork zadowalał go w zupełności. Zwłaszcza wobec kontaktów, jakie w tym mieście miała Emma.

Przerzucił płyty, szukając muzyki, która by mu odpowiadała. *Complete Devastation*. To będzie ukłon w stronę starego. W końcu, gdyby nie tournée, nie zwabiłby Emmy za kulisy i nie roztoczył swojego czaru. Pomyśleć tylko, Emma naprawdę wierzy, że tamtego wieczora nie wiedział, kim ona jest i co może dla niego zrobić.

Kręcąc głową, nastawił płytę i pozwolił, by muzyka wypełniła dom.

Utrzymanie Emmy w stanie szczęśliwości nie będzie sprawą trudną. Choć okazała się marna w łóżku - cóż za rozczarowanie! - aż paliła się, by go zadowolić. Od chwili, gdy ją ujrzał, grał na niej jak na sześciostrunowej gitarze. Spodziewał się, że jego geniusz przyniesie mu korzyści. Ogromne korzyści.

Niedługo Emma pogodzi się z ojcem. Staruszek przyjął wiadomość o ich małżeństwie dość spokojnie i nie oszczędzał na prezencie ślubnym. Pięćdziesiąt tysięcy funtów, złożone na nazwisko Emmy, spoczywało już bezpiecznie na wspólnym koncie.

Stosunki ojca z córką cechowała jeszcze pewna powściągliwość, ale Drew wiedział, że to szybko minie. Pozycja ulubionego zięcia Briana McAvoya musi mieć jakieś dobre strony. Tymczasem miał bardzo, bardzo bogatą żonę. Bogatą, naiwną żonę.

Śmiejąc się, podszedł do okna. Czy to nie idealna partnerka dla ambitnego mężczyzny? Wystarczy, że pohamuje wybuchy gniewu i zniecierpliwienia,

zadba oto, by była szczęśliwa, a wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, samo wpadnie mu w ręce.

## Rozdział 30

Przeprowadzili się do eleganckiego dwupoziomowego apartamentu w Upper West Side. Ponieważ było to dla Drew takie ważne, Emma starała się zignorować fakt, że mieszka na jedenastym piętrze. Zresztą, jeżeli nie podchodziła do okna i nie patrzyła w dół, nie kręciło jej się w głowie aż tak bardzo. Irytowała ją ta dolegliwość. Stała na szczycie Empire State Building i czuła radosne uniesienie, a kiedy wyglądała przez okno czwartego piętra, żółądek podjeżdżał jej do gardła.

Drew ma rację, myślała. Muszę nauczyć się z tym żyć.

W każdym razie podobał jej się wysoki, kasetonowy sufit w sypialni, rzeźbiona balustrada przy kręconych schodach, nisze w ścianach i szachownica biało-czarnej terakoty w holu.

Powierzyła prace dekoratorskie Bev, mając nadzieję, że parę tygodni w jej towarzystwie złagodzi ból rozstania ze starym mieszkankiem. Musiała przyznać, że apartament z jego rozległym widokiem na Central Park, z szerokimi, kręconymi schodami, jest piękny. Ulegając namiętności do antyków i dziwolągów, umeblowała go mieszaniną staroci z czasów królowej Anny i wytworami kultury pop.

Radowały ją wysokie okna, oszklony balkon, gdzie mogła hodować zioła, a przede wszystkim bliskość Johnno. Mieszkał o dwa kroki od niej.

Emma zachodziła do niego niemal codziennie, a on towarzyszył jej w wyprawach po sklepach z antykami, co śmiertelnie nudziło Drew. Johnno wpadał na kolację raz, dwa razy w tygodniu, a czasem wybierał się z nimi gdzieś wieczorem. Nie mogąc mieć aprobaty ojca, musiała zadowolić się akceptacją Johnno. Z przyjemnością przysłuchiwała się ich dyskusjom o muzyce. Ucieszyła się, kiedy zaczęli pisać razem piosenkę.

Poświęciła się bez reszty domowi, budując gniazdko dla siebie, Drew i dla dzieci, których jakoś nie mogła począć.

Była zaskoczona i uradowana, kiedy okazało się, że Drew pragnie od razu założyć rodzinę. Nie zgadzali się w wielu sprawach, odkrywała coraz to nowe różnice w ich gustach i poglądach, ale dzielili przynajmniej to jedno marzenie.

Często wyobrażała sobie, że nosi w sobie dziecko Drew, czuje, jak w niej dojrzewa. Oczyma duszy widziała, jak idą z Drew przez park, pcha-



jąc wózek. Czy będą mieli ten sam rozanielony uśmiech, który widywała na twarzach świeżo upieczonych rodziców?

Miesiące mijały, a ona mówiła sobie, że musi być cierpliwa, że nadejdzie właściwy czas. Jest zbyt spięta, jej próby są zbyt desperackie. To się z pewnością stanie, jeżeli odpręży się podczas stosunku.

Nagle nadeszła wiosna i Emma chodziła po parku, pstrykając zdjęcia dzieciom i kobietom w ciąży. Patrzyła, jak rozkoszują się cudownymi, coraz cieplejszymi popołudniami. I zazdrościła.

Plany otwarcia własnego studia i wydania albumu zostały odłożone na nieokreśloną przyszłość, ale Emma nadal sprzedawała swoje zdjęcia. Z zadowoleniem wślizgnęła się w nowe, domowe życie i z przyjemnością poszerzała swoje zbiory. Zaczęła kolekcjonować książki kucharskie i oglądać programy o gotowaniu. Pochlebiało jej, kiedy Drew chwalił dokonania kulinarne żony. Ponieważ nudziła go fotografia, przestała pokazywać mu zdjęcia i rozmawiać z nim o swojej pracy.

Wszystko wskazywało na to, że woli widzieć w niej kurę domową. W pierwszym roku małżeństwa była bardziej niż szczęśliwa, mogąc uczynić zadość jego życzeniu.

Ciało informowało ją z nużącą regularnością, że nie jest w ciąży, a ona świadomie wynajdywała sobie zajęcia, próbując ukryć rozczarowanie, próbując zwalczyć poczucie winy, kiedy Drew dąsał się przy każdym kolejnym niepowodzeniu.

To Runyun wyrwał ją ze stanu błogiego nieróbstwa.

Emma wpadła do mieszkania z butelką w jednej ręce, bukietem tulipanów w drugiej.

- Drew?! Jesteś w domu?!

Odstawiła butelkę i włączyła radio.

- Jezu, możesz to ściszyć? - Na szczycie schodów ukazał się Drew w spodniach od dresu. Poranki nie były jego ulubioną porą dnia. Włosy miał zmierzwiłone, oczy mętne, twarz poszarzałą od jednodniowego zarostu. - Wiesz, że pracowałem do późna. Czy wymagam zbyt wiele, prosząc o odrobinę spokoju?

- Przepraszam. - Emma pośpiesznie wyłączyła radio i zniżyła głos. Parę miesięcy małżeństwa przekończyła ją, że Drew przed poranną kawą ma właściwości wybuchowe. - Nie wiedziałam, że jesteś jeszcze w łóżku. Myślałam, że wyszedłeś.

- Nie wszyscy ludzie muszą wstawać o świcie, żeby wydatnie pracować.

Mocniej ścisnęła bukiet. Nie chciała, by kłótnia z mężem zepsuła jej tę chwilę.

- Zrobić ci kawy?

- Jeśli musisz. W tym domu i tak nie da się spać.

Zabrała wino i kwiaty do kuchni. Było to wąskie pomieszczenie, które dzięki oszklonej wnęcie śniadaniowej wydawało się znacznie większe. Emma urządziła kuchnię w tonacji biało-niebieskiej: błyszczący niebieski blat, białe dodatki, błękitno-biała terakota na podłodze. W kącie znajdował się stary kuchenny piec, który własnoręcznie pomalowała na biało. Stała na nim kolekcja błękitnego szkła.

Podlała kaktusy, które posadziła w niebieskich doniczkach, i zajęła się śniadaniem. Trzy razy w tygodniu przychodziła kucharka, ale Emma oddawała się gotowaniu z nie mniejszą pasją, niż wywoływaniu dobrych zdjęć. Włożyła do grilla ulubione kiełbaski Drew, po czym zmełła kawę.

Kiedy parę minut później zjawił się w kuchni, nadal półnagi i nieogolony, zapachy wpłynęły kojąco na jego zły humor. Poza tym lubił patrzeć, jak żona stoi przy kuchni i gotuje. To mu przypominało, że niezależnie od tego, kim ona jest i jakie ma konto bankowe, i tak należy do niego.

Pocałował ją w szyję.

- Dzień dobry.

Jej uśmiech przygasał, kiedy dłonie Drew przemknęły wyżej, ku pierśsiom.

- Śniadanie będzie gotowe za minutę.

- Dobrze. Umieram z głodu.-Uszczypnął ją w brodawki.

Nie znosiła tego, ale bez słowa nalała mu kawy. Od czasu, gdy powiedziała mężowi, że nie lubi być podszczyrywana, robił to o wiele częściej. Żeby się troszkę podroczyć, jak twierdził.

„Jesteś przeczulona, Emmo, pozbawiona poczucia humoru”.

- Mam nowiny. - Podała mu filizankę. - Och, Drew, wspaniałe nowiny!

Jego wzrok nabrał ostrości. Była w ciąży? Tak bardzo chciał obdarzyć Briana wnukiem.

- Byłaś u lekarza?

- Nie... Och! Nie. Nie jestem w ciąży, Drew. Przykro mi. - Ogarnęło ją znajome poczucie winy i własnej nieudolności. Drew usiadł za stołem z grymasem rozczarowania, który szpecił mu twarz. - To musi trochę potrwać - szepnęła i wbiła dwa jajka na patelnię. - Mierzę temperaturę regularnie.

- Jasne. - Drew wyjął papierosa, zapalił i obserwował ją przez chmurę dymu. - Robisz, co możesz.

Otworzyła usta i natychmiast je zamknęła. To nie była odpowiednia chwila, by mu przypomnieć, że poczęcie dziecka wymaga dwóch osób. Ostatnim razem, kiedy to zrobiła, Drew zbił lampę i wypadł z domu. Czekala na niego do rana, roztrzęsiona, gnębiona poczuciem winy.

- Widziałam się z Runyunem. Wiesz, mówiłam ci o nim,

- Hm? A tak. Z tym zgryźliwym fotografem.
- On nie jest zgryźliwy. Kapryśny - powiedziała z uśmiechem - często nieznośny, ale nie zgryźliwy. - Postawiła przed nim talerz zjedzeniem. Zapominając o własnej kawie, usiadła, drżąc niemal z niecierpliwości. - Chce, żebym zrobiła wystawę. Moją własną wystawę!
- Wystawę? - powtórzył Drew między jednym kęsem a drugim. - O czym ty, do diabła, mówisz?
- O wystawie moich fotogramów, Drew! Myślałam, że chce zaproponować mi pracę, ale nie o to chodziło.
- Powiedziałem ci już, co myślę o twojej pracy dla jakiegoś przylepnego starego pierdziela.
- Nie, ale... Zresztą to nieważne. Runyun uważa, że jestem dobra. Ciężko mu było to przyznać, ale uważa, że jestem naprawdę dobra. Będzie sponsorował wystawę.
- Chodzi ci o jedno z tych uroczych zebranek, kiedy ludzie chodzą, gapią się na obrazki i mówią: „Cóż za głębia, co za kąt!?”
- Zesztywniała. Wstała bardzo wolno i odwinęła z folii tulipany, czekając, aż wypali się jego gniew. Nie chciał mnie zranić, usprawiedliwiła go w myślach.
- To jest ważny krok w mojej karierze. Marzyłam o tym od dziecka. Myślę, że zrozumiesz.
- Za jej plecami wzniosł oczy do nieba. Mają może pogłaskać jeszcze po główce?
- Oczywiście, że rozumiem. To sukces, kochanie. Kiedy jest ten wielki dzień?
- We wrześniu. Runyun chce dać mi czas na zebranie najlepszych prac.
- Mam nadzieję, że uwzględnisz parę moich fotek?
- Stawiając tulipany w smudze światła na stole, uśmiechnęła się z wysiłkiem.
- Oczywiście. Jesteś moim ulubionym obiektem.

Była pewna, że Drew nie stara się utrudnić jej życia, ale skutecznie uniemożliwił pracę, żądając, by poświęciła mu cały swój czas. Powinni nacieszyć się Nowym Jorkiem, mówił i ciągnął ją w rajd po nocnych lokalach. Potrzebował chwili oddechu, polecieli więc na tydzień na Wyspy Dziewicze. Zawierał coraz to nowe znajomości wśród nowojorskiej elity i wkrótce ich mieszkanie przestało być domowym zaciszem. Jeżeli nie przyjmowali akurat gości, szli na przyjęcie. Jako sławni nowożeńcy wzbudzali szalone zainteresowanie paparazzich. Premiera nowej sztuki na Broadwayu, otwarcie nowego klubu nocnego, koncert w Central Parku. Wszystko, co robili, było

odnotowywane. Ich nazwiska i twarze zdobiły pierwsze strony gazet przy kasach wszystkich supermarketów. Znaleźli się na okładce: „Rolling Stone”, „People” i „Newsweek”. Barbara Walters chciała zrobić z nimi wywiad.

Za każdym razem, kiedy napięcie doprowadzało Emmę do granicy wybuchu, mówiła sobie, że prowadzi dokładnie takie życie, o jakim marzyła zamknięta u św. Katarzyny. Ale rzeczywistość była o wiele bardziej męcząca.

Wszyscy mówią, że pierwszy rok jest najtrudniejszy, powtarzała sobie ciągle. Wymaga pracy, cierpliwości. Jeżeli małżeństwo i życie w ogóle wydawało się trudniejsze i mniej ekscytujące, niż sobie wyobrażała, dowodziło to tylko, jak bardzo się stara.

- No dalej, złotko, jesteśmy na przyjęciu. - Drew okręcił Emmę w ramionach. Woda mineralna chlupnęła jej ze szklanki, kiedy próbował pociągnąć ją do tańca. - Odpręż się.

- Jestem zmęczona, Drew.

- Ty zawsze jesteś zmęczona.

Próbowała się odsunąć, ale wcisnął palce w jej plecy. Nie spała od trzech dni, pracując nocami w ciemni. Do wystawy pozostało jeszcze tylko sześć tygodni i była zdenerwowana aż do mdłości. I zła, przyznała. Zła, ponieważ mąż nie wykazywał zainteresowania jej pracą. Zła, ponieważ dwie godziny temu zawiadomił ją, że zaprosił paru przyjaciół na wieczór.

W mieszkaniu kotłowało się ze sto pięćdziesiąt osób. Muzyka wibrowała w powietrzu. Coraz częściej Drew organizował skromne, jego zdaniem, spotkania towarzyskie. Rachunek za alkohol wynosił pięćset dolarów tygodniowo. Nie żałowała tych pieniędzy. Nie żałowałaby nawet tego czasu, gdyby poświęcała go przyjaciołom. Ale to był tłum natrętów. W zeszłym tygodniu mieszkanie zostało praktycznie zdemolowane. Ktoś oblał kanapę koniakiem. Ktoś zgasił papierosa na orientalnym dywanie. Ale gorsze niż dywan, gorsze niż stłuczony wazon z Baccarat, niż skradziony talerz z Limges, były narkotyki.

Znalazła grupę kompletnie nieznaną sobie ludzi beztrudnie wciągających kokę w pokoju, który już wkrótce miał stać się pokojem dziecięcym.

Drew obiecał, że to się więcej nie powtórzy.

- Jesteś po prostu zła, bo Marianna nie przyszła.

Nie została zaproszona, poprawiła go Emma w duchu.

- Nie o to chodzi.

- Odkąd wróciła, spędzasz więcej czasu z nią w tamtym mieszkaniu niż ze mną.

- Drew, nie widziałam Marianny od blisko dwóch tygodni. Nie mam na to czasu, między pracą a życiem towarzyskim.

- Masz jednak czas, żeby pieprzyć głupoty.

Odskoczyła. Wściekła cofnęła rękę, zanim zdążył złapać ją ponownie.

- Idę do łóżka.

Przepchnęła się przez tłum, nie zwracając uwagi na nawoływania i śmiechy. Złapał ją na schodach. Uchwyt jego palców wskazywał, że Drew jest równie wściekły jak ona.

- Puść mnie - szepnęła. - Nie chcesz chyba kłócić się tutaj, na oczach swoich przyjaciół.

- Więc chodźmy na górę. - Drew ścisnął jej ramię, aż zaskowyczała. Wtedy wciągnął ją na piętro.

Była gotowa na kłótnię. Prawdę mówiąc, myślała z przyjemnością stożeniu porządnej potyczki słownej. Zamaszyście otworzyła drzwi sypialni.

Używali jej antycznego lustra do cięcia koki. Było ich czworo. Pochylali się nad toaletką, chichocząc, wciągając biały proszek. Stare flakoniki perfum, które kolekcjonowała, zostały zmiecione z blatu. Leżały teraz na podłodze.

- Wynoście się!

Cztery głowy poderwały się znad toaletki. Obserwowali ją z głupimi uśmiechami.

- Powiedziałam: wynoście się. Wynoście się z mojego pokoju i z mojego domu!

Zanim Drew zdołał ją powstrzymać, chwyciła najbliższego mężczyznę, dwa razy większego od siebie, i postawiła go na nogi.

- Hej, spokojnie! Podzielimy się.

- Wynoś się! - Wypchnęła go za drzwi.

Dopiero wtedy wyszli, gęsiego. Jedna z kobiet zdążyła jeszcze poklepać Drew po policzku. Emma zatrasnęła za nimi drzwi i odwróciła się do męża.

- Mam dość. Zniosłam tyle, ile mogłam znieść, Drew. Chcę, żeby ci ludzie stąd wyszli i nigdy nie wracali.

- Chcesz? - zapytał cicho.

- Czy to dla ciebie nie ma znaczenia. Żadnego znaczenia? To nasza sypialnia. Chryste, Drew, spójrz na moje rzeczy! Były w szafie. - Doprowadzona do wściekłości, zgarnęła stosik jedwabiu. - Bóg jeden wie, co ukradli czy zepsuli tym razem, ale mniejsza o to. Nawet nie znam tych ludzi, a oni ćpają w mojej sypialni. Nie będę tolerowała narkotyków w moim domu.

Zauważyła, że odchyła ramię, ale ten ruch nie obudził jej czujności. Wierzchem dłoni uderzył ją w twarz z taką siłą, że upadła na podłogę. Poczowała smak krwi. Otumaniona, podniosła dłoń do rozciętej wargi.

- Twój dom? - Postawił ją na nogi i pchnął, rozdzierając bluzkę. Upadła ciężko na nocny stolik. Jej ukochana lampa od Tiffany'ego zleciała na podłogę. - Ty rozpieszczona suko! To jest twój dom?

Zbyt oszołomiona, żeby się bronić, skuliła tylko ramiona. Poderwał ją z podłogi i rzucił na łóżko. Muzyka stłumiła jej krzyk.

- Nasz dom. Lepiej to sobie zapamiętaj. Jest tak samo twój, jak i mój. Wszystko jest tak samo twoje, jak i moje. Jeszcze raz powiesz mi, co mam robić, a pożałujesz. Myślisz, że możesz mnie upokorzyć w ten sposób i że ujdzie ci to na sucho?

- Nie chciałam...- urwała, osłaniając się ramionami, kiedy podniósł rękę.

- Tak lepiej. Powiem ci, kiedy będę chciał usłyszeć twoje skomlenie. Zawsze stawiałaś na swoim, co, Emmo? No cóż, nie pozwolimy, by dzisiejsza noc była wyjątkiem. Chcesz siedzieć sama. W porządku. ~ Podniósł telefon i wyrwał kabel. - Posiedź sobie tutaj. - Z wściekłością rzucił aparatem o ścianę, po czym wyszedł, zatraskując drzwi. Usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

Siedziała skulona na łóżku, oddychając ciężko, zbyt odrętwiała, by cierpieć z powodu stłuczeń i skaleczeń. To jest koszmar, pomyślała. Miewała już kosmary. Z bólem przypomniła sobie razy i wrzaski, które były nieodłączną częścią jej rzeczywistości przez pierwsze trzy lata życia.

„Rozpieszczona suka”.

Czy to głos Jane, czy Drew?

Drżąc, wyciągnęła rękę. Czarny piesek z jej dzieciństwa siedział na poduszce. Tuląc go do siebie, ukołysała się płaczem do snu.

Kiedy rano otworzył drzwi, spała. Obserwował ją beznamyślnie. Połowę twarzy miała spuchniętą. Trzeba dopilnować, żeby przez parę dni nie wychodziła z domu.

Głupio, że stracił panowanie nad sobą, pomyślał, pocierając wnętrza dłoni o uda. To było satysfakcjonujące, ale nierozsądne. Choć z drugiej strony, ona zawsze go prowokowała. Robił, co w jego mocy, choć sprawa wyglądała beznadziejnie. Równie dobrze mógłby wziąć do łóżka śniętą rybę. I bez przerwy głądziła o tej cholernej wystawie. Znikała na całe godziny w ciemni, zamiast zajmować się mężem.

To jego praca i jego potrzeby powinny stać na pierwszym miejscu. Już czas, żeby to zrozumiała.

Żona powinna dbać o męża. Po to się z nią ożenił. Powinna dbać o niego, pomóc mu dostać się tam, gdzie chciał dojść.

W sumie, może ten łomot nie był złym posunięciem? Pomyśli dwa razy, zanim go znowu sprowokuje.

Ale teraz, kiedy pokazał jej, kto tu jest panem, może sobie pozwolić na wspaniałomyślność. Słodka, mała Emma, myślał. Kierowanie nią wymagało tak niewiele wysiłku.

- Emma. - Drew, omijając ostrożnie skorupy lampy, podszedł do łóżka. Patrzył, jak żona otwiera oczy. Mignął w nich strach. - Och, maleńka, tak mi przykro. - Drgnęła, kiedy pogłaskał ją po głowie. - Nie wiem, co się stało. Urwał mi się film. Zasługuję na to, by mnie zamknąć.

Nie odezwała się. Jak echo powróciły do niej mętne tłumaczenia matki.

- Musisz mi wybaczyć, Emmo! - zaczął Drew. - Tak bardzo cię kocham. Tylko widzisz, kiedy zaczęłaś na mnie krzyczeć, oskarżać mnie... To nie była moja wina. - Ujął jej oporne palce i przycisnął do ust. - Wiem, że te ćpuny nie miały prawa przebywać w naszym pokoju. Ale to nie moja wina. Wyrzuciłem ich własnoręcznie - improwizował. - To furia. Kiedy zobaczyłem ich tutaj, ogarnęła mnie furia. I wtedy ty zwróciłaś się przeciwko mnie.

Znowu zaczęła płakać. Ciche łzy wypływały wolno spod zaciśniętych powiek.

- Nigdy już cię nie zranię, Emmo, przysięgam. Odejdę, jeśli chcesz. Możesz się ze mną rozwieść. Bóg jeden wie, co zrobię bez ciebie, ale nie mogę cię błagać, żebyś pozwoliła mi zostać. Tylko że... Chryste, tylko że wszystko się na mnie wali. Płyta nie sprzedaje się tak dobrze, jak oczekiwaliśmy. Grammy przeszła nam koło nosa. I... I cały czas myślę o dziecku.

Rozszlochała się z twarzą ukrytą w dłoniach. Ostrożnie wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia. Omal nie wybuchnął śmiechem. Chwycił jej palce i opadł na kolana przy łóżku.

- Proszę cię, Emmo. Sprowokowałaś mnie, ale wiem, że to nie może być usprawiedliwieniem. Wybacz mi to, co się stało. Daj mi jeszcze jedną szansę. Zrobię wszystko, by ci to wynagrodzić.

- Jakoś sobie z tym poradzimy — szepnęła.

Drew uśmiechnął się z twarzą ukrytą w pościeli.

## Rozdział 31

Przyjęcia się skończyły. Och, nadal podejmowali goście, ale tylko tych, z którymi Emma dobrze się czuła. Dom przestały nawiedzać hordy nieznanym. Drew był uważny i czuł jak w czasach, gdy ubiegał się o jej względy. Przekonała samą siebie, że jego atak furii był jednorazowym wybrykiem.

Sprowokowała go. Przypominał jej o tym tak często, że w końcu w to uwierzyła. Obwiniła go o coś, czego nie zrobił. I w złości zwróciła się przeciwko niemu w chwili, gdy powinna trwać przy nim, wierzyć w niego.

Kiedy Drew wpadał we wściekłość, kiedy widziała w jego oczach dziki błysk, dłonie zaciśnięte w pięści i blade wargi, potrafiła znaleźć w swoim postępowaniu wytłumaczalną, nawet logiczną, przyczynę gniewu męża.

Siniaki bładły. Ból przycichał. Drew próbował wykazać zainteresowanie pracą żony, a jednocześnie na dziesiątki subtelnych sposobów dawał jej do zrozumienia, że uprawia swoje hobby, jak to nazwał, kosztem czasu, który powinna poświęcić domowi i karierze męża.

Ładne zdjęcie, powiedziałyby, gdyby raczył spojrzeć na staruszki karmiące gołębie. Więc spędziła tyle godzin z dala od niego po to, by pokazać mu parę czarno-białych fotek ludzi włóczących się po parku?

Oczywiście, może odżywiać się kanapkami, nawet jeżeli komponuje przez sześć godzin. I najwyraźniej do jego obowiązków należy odwożenie bielizny do pralni, choć całe popołudnie był uwiązany na konferencji prasowej.

Niech się nim w ogóle nie przejmuje. Jeżeli jej praca jest tak cholernie ważna, spędzi jeszcze jeden wieczór samotnie.

Wszelkie uwagi krytyczne pod adresem Emmy łagodził komplementem. Wygląda tak apetycznie, gotując dla niego obiad. Jak to miło, kiedy wraca do domu, a ona na niego czeka.

Może jest zbyt apodyktyczny, mówiąc jej, w co ma się ubierać, co kupować i jakie fryzury nosić? Ale ostatecznie, jej wizerunek jako żony Drew Latimera, jest równie ważny jak jego własny.

Interesuje go zwłaszcza, co żona włoży na otwarcie swojej wystawy. Chce, żeby wyglądała pięknie. A sama przecież wie, że ubiera się dość bezbarwnie.

To prawda, że Emmie bardziej podobała się prosta suknia z czarnego jedwabiu i wytłaczany czarno-złoty żakiet, niż kusy, obcisły zlepek piór i cekinów, który wybrał Drew. Ale, jak powiedział, należy teraz do świata artystycznego i musi ubierać się jak artystka. Wzruszona tym, że nazwał ją artystką, włożyła dla niego tę sukienkę. Drew dał jej również błyszczące złote kolczyki z wielokolorowymi kamieniami. Cóż z tego, że były trochę odpustowe. Umocował je w uszach żony osobiście.

Kiedy samochód zatrzymał się przed małą galerią w wytwornej części miasta, żołądek Emmy powędrował w górę przełyku.

- Daj spokój. - Drew poklepał żonę po ręce. - Nie stajesz przecież na scenie przed dziesięcioletnim tłumem skandującym twoje imię. To zwykła wystawa w jakiejś małej galerii. - Śmiejąc się, pomógł Emmie wysiąść. - Odpręż się, ludziska kupią fotki córeczki Briana McAvoya bez względu na to, czy będą im się podobały, czy nie.

Stała na chodniku, porażona bólem.

- Drew, nie to chciałam teraz usłyszeć.



- Trudno cię zadowolić. - Chwycił ją za ramię z taką siłą, że aż drgnęła. - Przyszedłem tu z tobą, nie chcąc sprawić ci zawodu. Toleruję twoje fanaberie, mimo że sami wyjątkowo nie na rękę, a ty na mnie naskakujesz.

- Nie chciałam...

- Nigdy nie chcesz. Skoro tak bardzo pragniesz być sama, proszę, możesz tam pójść beze mnie.

- Nie, oczywiście, że nie chcę. - Nerwy i frustracja jeszcze bardziej wzmogły bolesne pulsowanie za uszami. Zawsze powiem coś nie tak, myślała. Ale dzisiejszej nocy bardziej niż kiedykolwiek nie chciała go do siebie zrażać. - Przepraszam, Drew. Nie chciałam na ciebie naskoczyć. Jestem po prostu zdenerwowana.

- W porządku. - Drew, usatysfakcjonowany przeprosinami, poklepał ją po ręce i wprowadził do środka.

Przybyli z opóźnieniem — tak jak kazał Runyun. Chciał, żeby galerię wypełniał tłum, z lekka już zaintrygowany, kiedy pojawi się jego gwiazda. Zerkał nieustannie w stronę drzwi i rzucił się ku niej, ledwo przekroczyła próg.

Runyun był małym, krępyim mężczyzną. Ubierał się niezmiennie w czarny golf i czarne dżinsy. Emma myślała kiedyś, że kreuje w ten sposób swój artystyczny wizerunek, ale Runyun był po prostu próżny i uważał, że w czerni wygląda szczupłej. Miał ogromną, łąsą głowę, której rozmiary podkreślała jeszcze chuda szyja. Grube czarne brwi, poprzetykane gdzieś siwizną, tkwiły nad zaskakująco zielonymi oczami.

Sytuacji nie ratował krzywy nos i wąskie wargi. Artysta rekompensował to sobie wąsikiem a la Clark Gable, ale ta ozdoba nie wpłynęła dodatnio na jego wygląd. Jego powierzchowność była nieciekawa, nawet w najlepszych chwilach Runyuna. A jednak trzy żony opuściły go nie z uwagi na brzydotę, lecz dlatego, że poświęcał więcej czasu sztuce niż swoim małżeństwom.

Zamiast uścisku i całusa, ofiarował Emmie na powitanie groźne spojrzenie.

- Dobry Boże, wyglądasz jak gwiazdeczka zamierzająca przelecieć reżysera. Mniejsza o to - dodał, zanim Emma zdążyła otworzyć usta. - Po prostu wmiszaj się między gości.

Emma popatrzyła na tłum - połyskującą masę biżuterii, jedwabiu i skóry - z rodzajem tępej zgrozy.

- Chyba nie okryjesz mnie hańbą, mdlejąc - powiedział Runyun. - To nie wchodzi w rachubę.

- Nie. - Wzięła głęboki oddech. - Nie zemdleję.

- Dobrze. - Ignorował kompletnie Drew, którego znienawidził od pierwszego wejrzenia. - Dziennikarze już tu są. Zjedli połowę kanapek. Jeden z nich dopadł twojego ojca.

- Tatę? Jest tutaj?

- Tam. - Runyun machnął ręką w nieokreślonym kierunku. - A teraz idź do gości i wyglądaj na osobę pewną siebie.

- Nie sądziłam, że przyjdzie - szepnęła Emma do Drew.

- Oczywiście, że przyszedł. - Drew liczył na to. Czule objął żonę. - On cię kocha, Emmo. Za nic w świecie nie przegapiłby tak ważnego wieczoru. Chodźmy go poszukać.

- Nie wiem...

Czułe ramię wzmogło uścisk, aż zabrakło jej tchu.

- Emma, on jest twoim ojcem. Nie bądź niezdolna.

Szła przez tłum u jego boku, uśmiechając się automatycznie, przystając od czasu do czasu, by zamienić z kimś parę słów. Drew chełpił się Emmą bezwstydnie i to podniosło ją na duchu. Jego uznanie, tak upragnione, rozpromieniło ją od środka. Byłam głupia, sądząc, że pogardza moją pracą, myślała. Kiedy całował ją, gratulując sukcesu, przysięgła sobie, że poświęci mężowi w przyszłości więcej czasu.

Zawsze pragnęła być potrzebna. Uśmiechając się do Drewa, który z entuzjazmem omawiał z kimś wystawione fotografie, cieszyła się, że takie szczęście przypadło jej w udziale.

Na jego nalegania wzięła kieliszek szampana, ale idąc przez salę, ledwo umoczyła w nim usta.

Zobaczyła Briana. Stał w otoczeniu grupy ludzi przed portretem swoim i Johnno. Podchodząc do ojca, czuła, jak twarz zastyga jej w sztucznym uśmiechu.

- Tato!

- Emma! - Po chwili wahania wyciągnął ku niej rękę. Wygląda tak... obco, pomyślał.

- Miło, że przyszedłeś.

- Jestem z ciebie dumny. - Brian zacisnął mocniej palce na jej dłoni, jakby pragnął odnaleźć utracony kontakt. - Naprawdę bardzo, bardzo dumny.

Zaczęła coś mówić, kiedy wokół nich rozbłysły flesze aparatów fotograficznych. Czy rzeczywiście dostrzegła jeszcze jeden błysk? Błysk irytacji na twarzy ojca, zanim osiadł na niej swobodny uśmiech?

- Brian, jak się czujesz, ustępując córce miejsca gwiazdy?

Nie spozjrzał nawet na dziennikarza. Dalej patrzył na Emmę.

- Nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności. - W końcu prze-mógł się, by podać rękę Drew.

- Brian. Czyż ona nie jest wspaniała? - Drew ucałował delikatnie skroń żony. - Nie wiem, kto denerwował się bardziej przed dzisiejszym wieczorem, ona czy ja. Mam nadzieję, że zatrzymasz się na parę dni, wpadniesz na kolację.

Był wściekły, że zaproszenie wyszło od Drew, nie od jego córki.

- Niestety, jutro rano wylatuję do L.A.

- Emmo!

Odwróciła się i jej wymuszony uśmiech zniknął pod wpływem zaskoczenia.

- Stevie! - Emma śmiejąc się, zarzuciła mu ręce na szyję. - Tak bardzo się cieszę, że cię widzę. - Odsunęła go na długość ramienia. - Wyglądasz wspaniale. - Rzeczywiście dobrze wyglądał. Już nigdy nie będzie przystojniakiem, którego pamiętała z dzieciństwa, ale przybrał na wadze, zniknęły głębokie cienie pod oczami. - Nie wiedziałam, że ty... Nikt mi nie powiedział, że... - Że wyszedłeś, dokończyła w myślach.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, rozumiejąc, co chciała powiedzieć.

- Przepustka za dobre zachowanie. - Przytulił ją ponownie. - Przeprowadziłem nawet własnego doktora. - Uwolnił Emmę, by położyć dłoń na ramieniu stojącej obok kobiety. Po chwili zakłopotania Emma rozpoznała drobną brunetkę, psychiatrę Stewiego.

- Znowu się spotykamy.

- Tak. - Katherine Haynes się uśmiechnęła. — Moje gratulacje.

- Dziękuję.

- Byłam pierwszym nabywcą- ciągnęła Katherine. - Kupiłam portret Stewiego z gitarą. Wygląda, jakby się z nią kochał. Nie mogłam się oprzeć.

- Będzie analizowała go godzinami. — Stevie poczuł zapach whisky i dawną, głęboką tęsknotę. - P.M. tu jest, wiecie? - Pochylił się ku nim, zniżając głos do złośliwego szeptu. - Przyprowadził lady Annabelle.

- Nie? Naprawdę?

- Myślę, że są zaręczeni, Ale P.M. nie chce o tym mówić. - Stevie, mrugnawszy okiem, ujął Katherine za rękę i pociągnął za sobą.

Emma śmiała się, wsuwając Drew dłoń pod ramię.

- Chyba pójde poszukać P.M. - Rzuciła ojcu pytające spojrzenie.

Cóż mógł jej odpowiedzieć? Przywitała Stewiego z większą radością i swobodą niż jego. Chciał to Emmie powiedzieć wprost, ale ani miejsce, ani czas nie były po temu odpowiednie.

- Idź. Odnajdę cię, kiedy będę wychodził.

- Tak, idź, Emmo. - Drew pocałował ją w policzek. - Ja zostanę z ojcem. Będziemy mogli przechwalać się tobą na wyścigi. Czyż ona nie jest niewiarygodna? - zaczął, kiedy się odwróciła.

Emma prawie w to uwierzyła. Nie spodziewała się, że przyjdzie tyle ludzi, że jej prace wzbudzą takie zainteresowanie. Wprawdzie jakiś słabiutki głos w jej wnętrzu pytał, czy naprawdę przyszli tu dla niej, czy dla jej ojca i jego kolegów. Ale robiła, co mogła, by go zagłuszyć.

Zobaczyła P.M. Było jasne, że nie ucieka już od lady Annabelle. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie kogoś, kto przeżywa najpiękniejsze chwile

życia. Jego towarzysząca miała na sobie kostium ze szmaragdowej skóry i buty z węża ufarbowane na kanarkowe. Jej kędzierzawe, czerwone włosy stały na sztorc jak po wstrząsie elektrycznym. Po dziesięciu minutach rozmowy z nią Emma zrozumiała, że lady Annabelle jest beznadziejnie zakochana.

To miłe, uznała Emma. P.M. zasługuje na takie przywiązanie. Na taką, no cóż, zabawę.

Ludzie wchodzili i wychodzili, ale większość zostawała. Wykazując dużo sprytu, Runyun puszczał przez głośniki stare przeboje Devastation. Zobaczyła, z pewnym zdziwieniem, dyskretne niebieskie karteczki pod przeszło tuzinem swoich prac. Sprzedane, pomyślała.

Schwytana w potrzask przez jakiegoś pretensjonalnego człowieczka, który chciał dyskutować o formie i strukturze, Emma dojrzała nagle Mariannę. Zanim zdołała się wyrwać swojemu prześladowcy, stara kumpelka już była przy niej.

- A oto gwiazda wieczoru! - Ucałowała Emmę donośnie. - Dokonałaś tego - powiedziała, wciągając ją w chmurę Chanel, która unosiła się wokół niej. - Pokonałaś kawał drogi od świętej Katarzyny, stara.

- Tak. - Emma zacisnęła mocno powieki. Dopiero teraz wszystko to wydało jej się realne.

- Spójrz, kogo znalazłam.

- Bev! - Emma przeszła z ramion Marianny w ramiona Bev. - Nie sądziłam, że uda ci się przyjechać.

- Za nic w świecie nie pozwoliłabym, żeby mnie to ominęło.

- Weszliśmy razem i poznałam ją od razu - wyjaśniła Marianna. - Doskonale się bawiłyśmy, przerzucając komplementami pod twoim adresem. To szaleństwo! - Marianna chwyciła jedną z niewielu ocalałych kanapek. - Pamiętasz tamto zdjęcie, które zrobiłaś mi u nas w mieszkaniu? To w fartuchu malarskim i skarpetach piłkarskich? Kupił je jakiś wspaniały mężczyzna. Idę go poszukać, żeby sprawdzić, czy reflektuje na oryginał.

- Nietrudno zrozumieć, dlaczego ją kochasz - skomentowała Bev, patrząc, jak Marianna przepycha się przez tłum. - Więc, jak to jest?

- Niesamowicie. Strasznie. - Emma przycisnęła dłoń do rozhuśtanego żołądka, choć teraz niepokój wewnętrzny był rezultatem podekscytowania, nie nerwów. - Od godziny próbuję dostać się do toalety, żeby sobie popłukać. Tak się cieszę, że przyjechałaś. - Wtedy zobaczyła Briana, stojącego o dwa kroki od nich. - Tata tu jest. Porozmawiasz z nim?

Bev musiała odwrócić głowę zaledwie o parę centymetrów, by go zobaczyć. Mięła w dłoniach wizytową torebkę. Po tych wszystkich latach, myślała, to ciągle we mnie jest. Wszystko, co kiedyś czułam, nadal we mnie żyje.

- Oczywiście - powiedziała lekko. Spotkanie w tłumie nie było niebezpieczne. Spotkanie na wieczorze Emmy. Przynajmniej tym mogą się dzielić, radością z sukcesu Emmy.

Podszedł do nich. Czy jest to dla niego równie trudne jak dla mnie? zastanawiała się Bev. Czy jego dłonie są wilgotne ze zdenerwowania? Czy serce wali mu jak młotem?

Nie dotknął jej. Nie śmiał. Ale zrobił wszystko, by jego głos zabrzmiał równie swobodnie, jak swobodny był jego uśmiech.

- Miło cię widzieć.

- Ciebie także. - Bev próbowała rozluźnić śmiertelny uścisk, w jakim trzymała torebkę.

- Wyglądasz... Pięknie, wspaniale.

- Dziękuję. Emma odniosła wspaniały sukces. - Obejrzała się, ale Emma zniknęła. Ściana ludzi zamknęła się wokół nich. - Musisz być z niej bardzo dumny.

- Jestem. - Pociągnął duży łyk ze szklanki, którą trzymał w ręku. Może napiłabyś się czegoś? - zapytał.

Jak uprzejmie, pomyślała. Jak cholernie uprzejmie.

- Nie, dziękuję. Pochodzę jeszcze trochę i popatrzę. Może sama coś kupię. - Ale najpierw pójdzie do tej toalety, o której wspominała Emma, i dobrze się wypłacze. - Miło było cię widzieć, Bri.

- Bev... - Był idiotą, myśląc, że nadal jej na nim zależy. - Do widzenia.

Emma obserwowała ich z drugiego końca pokoju i miała ochotę nakrzyć na oboje. Czy naprawdę byli ślepi? Nie miała złudzeń i nie ulegała pobożnym życzeniom. Znała swoją umiejętność obserwowania ludzi, dostrzegania ich uczuć. Widziała to w ich oczach, w gestach, w układzie ciała. Ciągłe się kochali. I ciągle jeszcze ogarniał ich strach. Wziąwszy głęboki oddech, ruszyła w stronę ojca. Może jeśli z nim porozmawia...

- Emma, złotko! - Johnno złapał ją wpół. - Właśnie szykowałem się do odwrotu.

- Nie możesz jeszcze iść. - Wyglądziła mu klapę marynarki. Ubrał się ostatnio w stylu retro i wyłogi miały szerokość dłoni. - Bev tu jest.

- Naprawdę? W takim razie muszę sprawdzić, czy zdecydowała się w końcu uciec ze mną. Ale, ale, przyprowadziłem ci kogoś z twojej przeszłości.

- Moja przeszłość. - Emma roześmiała się. - Ja nie mam przeszłości.

- Ależ masz. Gorący letni dzień na plaży. Facet w zielonych kąpielówkach. - Johnno zrobił zamaszysty gest dłonią, jak magik wyciągający królika z kapelusza.

- Michael?

Jakie to dziwne, że on tu jest, pomyślała. Taki przystojny i nieswój w garniturze i krawacie. Ciemne gęste włosy miał zmierzwione jak dawniej, twarz wysubtelnioną, szczuplejszą i bardziej kościstą. Lekko krzywy nos,

który ją zawsze wzruszał. Ręce trzymał w kieszeni i wyglądał jak ktoś, kto marzy o znalezieniu się w jakimkolwiek innym miejscu na świecie.

- Ja... eee... jestem w mieście, więc...

Śmiała się, zarzucając mu ręce na szyję. Miał wrażenie, że stanęło w nim serce. Mózg w każdym razie stanął. Wolniutko, ostrożnie wyjął ręce z kieszeni i przycisnął je lekko do pleców Emmy. Jej ciało było takie, jakie zapamiętał, jakie sobie wyobrażał. Gibkie, twarde i kruche.

- To cudowne. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś. - Przeszłość wróciła w jednej chwili. Popołudnie na plaży. Dwa popołudnia. Wspomnienie tego, co czuła jako dziecko, potem jako kobieta, uderzyło w nią tak silnie, tak niespodziewanie, że trzymała Michaela mocno w ramionach i trzymała zbyt długo. Kiedy się odsunęła, w jej oczach lśniły łzy. - Długo się nie widzieliśmy.

- Tak. Cztery lata, czy coś koło tego. - Mógłby przecież podać dokładnie lata, miesiące i dni. - Wyglądasz wspaniale.

- Ty też. Nigdy przedtem nie widziałam cię w garniturze.

- No cóż...

- Jesteś w Nowym Jorku służbowo?

- Tak. — Było to bezcelne kłamstwo, ale wolał wyjść na kłamcę niż na idiotę. - Przeczytałem o twojej wystawie. - To była prawda. Tylko że zrobił to przy stole kuchennym w Kalifornii. Potem wziął trzy dni urlopu.

- I co o niej myślisz?

- O czym?

- O wystawie. - Emma ujęła go za rękę i poprowadziła przez salę.

- Wspaniała. Naprawdę. Nie znam się na fotografii, ale podobają mi się twoje zdjęcia. Prawdę mówiąc...

- Tak? - ponagliła go.

- Nie wiedziałem, że potrafisz robić coś takiego. Na przykład to. - Zatrzymał się przed zdjęciem dwóch mężczyzn w wełnianych czapkach, okutanych w złachmanione płaszcze. Jeden z nich leżał na kawałku kartonu i najwyraźniej spał. Drugi patrzył prosto w obiektyw zmęczonym, cierpkim wzrokiem. - To bardzo mocne i bardzo poruszające.

- Nowy Jork nie składa się wyłącznie z Madison Avenue.

- Ukazanie wyważonego obrazu rzeczywistości wymaga olbrzymiego talentu i wrażliwości.

Spojrzała na niego z pewnym zdziwieniem. Właśnie to usiłowała zrobić, studiując miasto, Devastation, ludzi.

- Jak na człowieka nieznającego się na fotografii, mówisz zadziwiająco mądre rzeczy. Kiedy wracasz do Kalifornii?

- Jutro z samego rana.

- Och! - Szła obok niego zaskoczona rozmiarami swojego rozczarowania. - Miałam nadzieję, że zostaniesz parę dni.

- Nie wiedziałem nawet, czy po tym ostatnim telefonie zechcesz ze mną rozmawiać.

- To było dawno temu, Michael. I moja reakcja była podyktowana bardziej tym, co przydarzyło się wtedy mnie, niż tym, co działo się między nami. Teraz to już nieważne. - Emma uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. — Wybaczysz mi?

- O to właśnie ja chciałem cię zapytać.

Uśmiechając się ciągle, dotknęła jego twarzy.

- Emma!

Drgnęła na głos Drew. Poczucie winy przeszło ją ostro, jakby przyłapała ją z Michałem w łóżku, a nie w sali pełnej ludzi.

- Och, Drew, przestraszyłeś mnie. To jest Michael Kesselring, mój przyjaciel. Michael, Drew, mój mąż.

Drew opasał ją mocno ramieniem. Nie podał Michaelowi ręki, skinął mu tylko krótko głową.

- Ktoś chce cię poznać, Emmo. Zaniedbujesz swoje obowiązki.

- To moja wina - powiedział Michael, zaniepokojony szybkością, z jaką przygasł blask w oczach Emmy. - Nie widzieliśmy się kawał czasu. Gratuluję ci, Emmo.

- Dziękuję. Pozdrów ode mnie swoich rodziców.

- Możesz być o to spokojna, Emmo. - To zazdrość, powiedział sobie, zwyczajna zazdrość. Uczucie, które sprawiło, że chciał wyrwać ją z rąk męża.

- Michael - dodała, kiedy Drew zaczął ją odciągać. - Bądź w kontakcie.

- Oczywiście. - Złapał kieliszek od przechodzącego kelnera i stał, patrząc za nimi. Jeżeli to tylko zazdrość, dlaczego każdym nerwem swojego ciała pragnął zgnieść na miążgę śliczną twarz Drew Latimera?

Ponieważ on ma Emmę, powiedział sobie wprost. A ty nie.

Drew nie był pijany. Przez cały długi, rozdzierająco nudny wieczór wyścażył dwa kieliszki szampana. Chciał zachować jasny umysł i panowanie nad sytuacją. Pogratulował sobie umiejętności podlizania się Brianowi McAvoyowi. To musi przynieść owoce. Każdy głupiec dostrzegłby, że Drew Latimer jest oddanym, zauroczonym mężem. Powinien dostać pieprzonego Oscara za dzisiejsze przedstawienie.

Podczas gdy on grał rolę zaślepionego męża, ona chełpiła się swoim sukcesem, swoim wykształceniem, swoimi przyjaciółmi z wyższych sfer.

Miał ochotę przylać jej od razu na miejscu, przed tymi wszystkimi kamerami. Wtedy cały świat widziałby, kto tu naprawdę jest górą.

Ale jej tatusiowi to by się nie spodobało. Ani jemu, ani żadnemu z producentów, organizatorów i pozapinanych na ostatni guzik dyrektorów,

którzy płaszczyli się przed wielkim Brianem McAvoyem. Już niedługo będą płaszczyć się przed Drew Latimerem, obiecał sobie. Wtedy ona zapłaci rachunek.

Już prawie zdecydował, że pozwoli Emmie pławić się w chwale. A ona miała czelność kleić się do tego „przyjaciela”. Za to musi ponieść karę. A on jest właściwym człowiekiem, by tę karę wymierzyć.

Nie odzywał się w drodze do domu, ale to nie wzbudziło niepokoju Emmy. Drzemała oparta o poduszki. Udaje, zdecydował Drew. Prawdopodobnie już zaplanowała spotkanie z tym wypierdkiem Kesselringiem.

Wyobraził ich sobie razem w jakimś luksusowym apartamencie hotelowym, tarzających się po łóżku. Omal się nie roześmiał. Kesselringa czeka duże rozczarowanie, kiedy odkryje, że śliczna, mała Emma w łóżku jest niewypałem. Ale Kesselring nie będzie miał okazji się o tym przekonać. Nikt nie wykiwa Drew Latimera. Miał zamiar poruszyć tę kwestię natychmiast po powrocie do domu.

Samochód stanął i nagły bezruch wyrwał Emmę z drzemki. Kiedy szli do windy, z westchnieniem oparła głowę na ramieniu Drew.

- Czuję się tak, jakbym była na nogach całą noc - roześmiała się sennie, przytulając do niego. - A cały wieczór wydaje się jak z bajki. Bardzo wątpię, czy będę w stanie doczekać się recenzji.

To trochę tak, jakbym płynęła, myślała. Cudowne uczucie. Zrzuciła szal w chwili, gdy weszli do domu.

- Myślę, że...

Uderzył ją. Echo ciosu rozbrzmiewało jeszcze w jej uszach, kiedy staczała się z dwóch kamiennych stopni do salonu. Jęcząc, przytknęła dłoń do policzka.

- D r e w ?

- Ty suko! Podstępna suko!

Oszołomiona patrzyła, jak podchodzi. Instynktownie próbowała się uchylić.

- Drew! Nie! Proszę. Co ja zrobiłam?

Podciągnął ją za włosy i uderzył ponownie, zanim zdążyła krzyknąć.

- Wiesz, co zrobiłaś? Ty dziwko. - Kiedy uderzył ją pięścią w pierś, osunęła się bezwładnie na podłogę. - Przez cały wieczór, przez cały zafajdany wieczór musiałem stać, uśmiechać się, udawać, że obchodzą mnie twoje głupie obrazki. Myślisz, że ktokolwiek przyszedł tam, żeby je oglądać? - Podciągnął ją za ramiona, zostawiając na skórze czerwieniejące ślady. - Myślisz, że ktoś dba o ciebie? Przyszli zobaczyć córuchną McAvoya. Przyszli zobaczyć żonę Drew Latimera. Ty jesteś niczym. - Rzucił ją na podłogę.

- O Boże, proszę, nie bij mnie. Proszę!



- Nie mów mi, co mam robić. - Żeby podkreślić znaczenie tych słów, wymierzył Emmie kopniaka. Jego noga ominęła żebra i trafiła w biodro. - Myślisz, że jesteś taka mądra, taka wyjątkowa. To mnie chcą oglądać. To ja tutaj rządę. Zapamiętaj to sobie.

- Tak. - Próbowwała się skulić, błagając Boga, żeby Drew ją zostawił, dopóki ból nie przycichnie. - Zapamiętam.

- Czy Michael przyjechał się z tobą zobaczyć? - Chwytał ją znowu za włosy, odwracając na plecy.

- Michael? - Emma, otumaniona, potrząsnęła głową. Przelewały się przez nią fale bólu. - Nie, nie.

- Nie kłam. - Uderzał ją raz za razem, otwartą dłonią, wierzchem dłoni, aż przestała cokolwiek czuć. - Wszystko to sobie zaplanowałaś, prawda? „Och, jestem taka zmęczona, Drew. Idę prosto do łóżka”. A potem miałaś zamiar wymknąć się z domu i spać z nim. Tak było?

Pokręciła głową, ale uderzył ją znowu.

- Przyznaj, że chciałaś się z nim pieprzyć. Przyznaj!

- Tak.

- Dlatego włożyłaś tę kurewską suknię, żeby pokazać swoje nogi i te swoje małe bezużyteczne cycki.

Jak przez mgłę przypomniawszy sobie, że to Drew wybrał tę suknię. Czy to on ją wybrał? Teraz nie mogła być tego pewna.

- I kleiłaś się do niego. Pozwoliłaś się obłapywać na oczach wszystkich. Chciałaś go. Chciałaś, prawda?

Skinęła głową. Przytuliła Michaela. I przez chwilę, kiedy miała przy sobie jego ciepłe, twarde ciało, coś czuła. Nie pamiętała co. Nie pamiętała nic.

- Nie zobaczysz się z nim już nigdy, tak?

- Tak.

- Nigdy?

- Nigdy się z nim nie zobaczę.

- I nigdy już nie włożysz tej kurewskiej kiecki. - Zaciśnął dłoń na dekolcie i szarpnął, rozdierając suknię na pół. - Zasłużyłaś na karę, Emmo. Zasłużyłaś, prawda?

- Tak. - Jej umysł dryfował na granicy przytomności. Rozlała perfumy mamy. Nie powinna dotykać rzeczy mamy. Była złą, niegrzeczną dziewczynką i zasługiwała na karę.

- To dla twojego dobra.

Kopnął ją w brzuch, a potem zaczął bić pasem. Przestała krzyczeć na długo, zanim skończył.

## Rozdział 32

Tym razem jej nie przeprosił. Nie musiał. Potrzebowała dziesięciu dni, żeby przyjść do siebie. A on tymczasem powtarzał, że sama jest sobie winna. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że to nieprawda, że Drew jest szalony. Ale on wytrwale i na swój sposób czule tłumaczył, ciągle od nowa, że zrobił to dla jej dobra.

Myślała tylko o sobie, niech sama to przyzna, przez te wszystkie tygodnie, które poświęciła na przygotowanie wystawy. Wysyłała swojego męża samego do łóżka, noc w noc, a potem publicznie ośmieszyła swoje małżeństwo, flirtując z innym mężczyzną.

Sama go do tego popchnęła. Zasłużyła sobie na to. Sama jest sobie winna.

Przez parę dni po otwarciu wystawy telefon dzwonił bez przerwy, ale Emma nie podnosiła słuchawki. Usta miała zbyt opuchnięte i obolałe, by mówić. Drew przynosił jej woreczki z lodem i karmił zupą. Dał jej jakieś tabletki, które złagodziły ból i pozwoliły przespać parę najgorszych dni.

Potem powiedział, że ludzie dzwoniли do niej po to, by dotrzeć do niego. Powinni spędzić trochę czasu tylko we dwoje, popracować nad swoim małżeństwem, zrobić dziecko.

Chciała założyć rodzinę, prawda? Chciała być szczęśliwa i kochana? Gdyby nie poświęcała tyle czasu i wysiłku pracy, już dawno zaszłaby w ciążę. Czy nie tego właśnie chciała?

Leżała w łóżku, lecząc rany, a on pytał, zamęczał ją pytaniami, dopóki nie przyznawała mu racji. To jednak nie wystarczało.

Obudziła się, otoczona ciemnością i muzyką. Sen, powiedziała sobie. Chwyciła brzeg kołdry, rozpaczliwie próbując przerwać koszmar. Otworzyła oczy, ale nadal słyszała te dziwne słowa śpiewane przez człowieka, który już nie żył. Drżącymi palcami złapała przełącznik lampki nocnej. Naciskała go i naciskała, ale światło nie chciało się zapalić, nie wypełniło pokoju i nie spłoszyło cieni.

Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze. Emma przycisnęła dłoń do uszu, ale nadal słyszała, jak uderza, pulsuje, aż w końcu zagłuszył ją krzyk.

- No już, już. Emmo! Spokojnie. - Drew znalazł się przy niej. Głaskał ją po głowie. - Znowu koszmary? Powinnaś już z nich wyrosnąć.

- Muzyka - wykrztusiła, trzymając się go kurczowo. Był jej liną ratunkową, jedyną liną, która mogła wyciągnąć ją z otchłani strachu i szaleństwa. - To nie sen, słyszałam ją. Piosenkę, mówiłam ci, piosenkę, którą graли, kiedy zamordowano Darrena.

- Nie ma żadnej muzyki. - Drew ukradkiem odłożył na bok pilota stereo. To była dobra lekcja, pomyślał, czując, jak Emma drży. Świetny sposób, by ją uzależnić od siebie i nakłonić do posłuszeństwa.

- Słyszałam. - Szlochała teraz, podzwaniając zębami. - I lampka. Nie chciała się zapalić.

- Jesteś już za duża, żeby bać się ciemności - powiedział łagodnie. Włożył wtyczkę do gniazdka i nacisnął przełącznik. - Lepiej?

Skinęła głową z twarzą ukrytą na jego ramieniu.

- Dziękuję ci. - Emmę zalała fala wdzięczności. Leżała teraz bezwładnie w jego ramionach. - Nie zostawiaj mnie samej, Drew. Proszę, nie zostawiaj mnie samej.

- Powiedziałem ci, że się tobą zaopiekuję. - Drew uśmiechnął się i dalej gładził jej włosy. - Nie zostawię cię samej, Emmo. O to nie musisz się martwić.

Przyszły święta i Emma myślała, że znów jest szczęśliwa. Drew uwolnił ją od ciężarów życia codziennego. Wybierał jej stroje, przyjmował telefony, przejął obowiązek zarządzania jej pieniędzmi.

Ona miała tylko dbać o dom i o niego. Nie musiała już trudzić się podejmowaniem decyzji. Podejmowanie decyzji ją męczyło. Wyposażenie ciemni i aparaty fotograficzne powędrowały do szafy. Przestały ją interesować. Myśl o pracy wywoływała depresję.

W prezencie gwiazdkowym Drew kupił jej brylantowy wisiołek w kształcie ogromnej łyży. Nie wiedziała, dlaczego na widok klejnotu zachciało jej się płakać.

Zrobiła wszystkie możliwe testy płodności. Kiedy informacje o jej najbardziej intymnych kłopotach zdrowotnych przeciekły do prasy, zniosła upokorzenie w milczeniu, potem w ogóle przestała czytać gazety. Cóż ją mogło obchodzić, co dzieje się na świecie? Jej świat składał się z siedmiu pokoiów z widokiem na Central Park.

Kiedy lekarze stwierdzili, że nie istnieje powód, dla którego nie mogłaby zajść w ciążę, zasugerowała nieśmiało Drew, by on także zrobił badania.

Skatował ją do nieprzytomności i zamknął w sypialni na dwa dni.

Koszmary nękały Emmę nadal, raz, dwa razy w tygodniu. Czasami Drew przychodził, by ją pocieszyć i pogłaskać po głowie. Czasami wyzywał ją od idiotek, narzekał, że przeszkadza mu spać i pozostawiał Emmę drżącą w ciemnościach.

Kiedy znalazła pilota przy łóżku i płytę *Abbey Road* na adapterze, była już zbyt wyczerpana, by ją to mogło obejść.

Mglistość, niemal beznamiętnie, zaczęła uświadamiać sobie, co Drew z nią robi. Co z niej robi. Zwariowane dziesięć tygodni tournée i męczycyna, którego pokochała, wydawały się jej teraz wytworem wyobraźni.

Dawny Drew Latimer nie miał nic wspólnego z tym mężczyzną, który więził ją w mieszkaniu.

Myślała o ucieczce. Rzadko zostawiał ją samą na dłużej niż na parę godzin i nie odstępował ani na krok, kiedy wychodzili z domu. Ale czasami, w środku nocy, myślała o ucieczce. Zadzwoni do Marianny albo do Bev, albo do ojca. Pomoga jej.

Potem wstyd brał górę, wstyd podsycany wątpliwościami, które Drew zasiał głęboko w jej umyśle.

Nie bił jej, aż do dnia rozdania American Music Awards, kiedy on i jego grupa nie otrzymali wyróżnienia za najlepszą płytę roku.

Nie broniła się. Nie protestowała. Podczas gdy Drew młócił ją pięściami, schroniła się w głąb siebie, tak jak kiedyś chroniła się w szafce pod kuchennym zlewem. I zniknęła.

Wściekły do szaleństwa, zrobił ogromny błąd. Powiedział Emmie, dlaczego się z nią ożenił.

- Co z ciebie za pożytek? - Leżała na podłodze, próbując uciec przed bólem, a Drew krążył po pokoju, rozbijając wszystko, co mu wpadło w rękę. - Myślisz, że chciałem tak skończyć? Z zepsutą, głupią, bezpłciową dziwką?

Musiał siedzieć i uśmiechać się, podczas gdy kto inny wchodził na scenę i odbierał nagrodę, jego nagrodę! Wyładował złość na miseczce Waterforda. Cenne szkło rozprysło się jak bryła lodu.

- Zrobiłaś coś, cokolwiek, żeby mi pomóc? Po tym wszystkim, co ja uczyniłem dla ciebie? Sprawilem, że czułaś się ważna, dałaś się nabrać, że cię kocham. Wniosłem romans w twoje nudne, beznadziejne, puste życie.

Zmęczony rozbijaniem szkła, pochylił się, żeby unieść Emmę z podłogi za tę resztkę sukienki, która na niej została.

- Naprawdę myślałaś, że nie wiedziałem, kim jesteś, tamtego pierwszego dnia? - Potrząsnął nią, ale zwiślała mu bezwładnie w rękach. Z trudem skupiła wzrok na jego twarzy. Przeszła już granicę strachu. Granicę nadziei. Patrzyła w jego oczy, pociemniałe, zwężone w szparki, i widziała w nich nienawiść.

- Byłaś taką idiotką, Emmo, sepleniącą, pąsowiejącą idiotką. Chciało mi się ryczeć ze śmiechu. Potem się z tobą ożeniłem, na litość boską! Chciałem od ciebie tylko jednego, żebyś pomogła mi piąć się w górę. Ale czy ty chociaż raz poprosiłaś ojca, żeby przycisnął dla mnie parę guziczków? Nigdy.

Nie odpowiedziała. Milczenie było jedyną bronią, jaka jej jeszcze pozostała.

Ze wstrętem upuścił ją na podłogę. Zamglonym wzrokiem Emma patrzyła, jak chodzi po zgłiszczach mieszkania, które próbowała uczynić domem.

- Lepiej zacznij myśleć. Lepiej zacznij kombinować, jak wynagrodzić mi ten czas, który straciłem na ciebie.

Emma przymknęła oczy. Nie płakała. Było o wiele za późno na płacz. Ale zaczęła robić plany.

Pierwsza prawdziwa szansa ucieczki zjawiła się wraz z wiadomością o śmierci Luke'a.

- On był moim przyjacielem, Drew.

- Był pieprzonym pedziem. - Drew wybijał akordy na fortepianie, który kupił za pieniądze żony.

- Był moim przyjacielem - powtórzyła, próbując opanować drzenie głosu. - Muszę pojechać na pogrzeb.

- Nigdzie nie musisz jechać. - Drew podniósł wzrok i uśmiechnął się do żony. - Masz być tutaj, ze mną, a nie w pochodzie pogrzebowym jakiegós fagasa.

Nienawidziła go w tej chwili. Była zdumiona, że jest jeszcze zdolna do nienawiści. Od tak dawna nie czuła w ogóle nic. Dziwne, ale dopiero tragedia Luke'a zmusiła ją do pogodzenia się z myślą że jej małżeństwo jest poronionym tworem. Rozwiedzie się z Drew. Otwierała już usta, kiedy jej wzrok spoczął na długich, szczupłych palcach przebiegających po klawiaturze. Może i były szczupłe, ale mocne jak stal. Błagała już raz o rozwód. Omal jej nie zadusił.

Doprowadzanie go do wściekłości nie miało sensu. Dysponowała inną bronią.

- Drew, powszechnie wiadomo, że Luke był moim przyjacielem. Przyjacielem Johnno, taty i wszystkich. Jeżeli nie pojedę, dziennikarze zaczęną mówić, że zlekceważyłam go, ponieważ zmarł na AIDS. To nie zostanie dobrze przyjęte, zwłaszcza teraz, kiedy robisz ten benefis z tatą.

Uderzył w klawisze. Jeżeli dziwka nie przestanie marudzić, będzie musiał ją uciszyć.

- Gównu mnie obchodzi, co powiedzą dziennikarze. Nie pojedę na pogrzeb pedzia.

Trzymała nerwy na wodzy. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę. Jej głos brzmiał spokojnie, kojąco.

- Rozumiem, co czujesz, Drew. Jesteś przecież taki męski. - Omal nie udławiła się tym słowem. - Ale benefis będzie transmitowany przez telewizję, tutaj i w Europie. To największe wydarzenie od czasu *Live Aid*. Pieniądze są przeznaczone na badania nad AIDS. - Zamilkła, dając mu czas na przetrawienie informacji. - Mogłabym pojechać z Johnno. Reprezentować ciebie - dodała szybko.

Spojrzał na nią znad klawiatury wzrokiem pozbawionym wszelkiego wyrazu. Serce zaczęło walić Emmie w piersiach. Znała to spojrzenie i bała się go.

- Masz ochotę się stąd wyrwać, co, kochanie?

- Nie. — Zmusiła się, by do niego podejść, dotknąć jego włosów. - Wolałabym, żebyś pojechał ze mną. - Zaciśnęła zęby. - Potem moglibyśmy pójść do Keysa.

- Do cholery, Emmo, wiesz, że pracuję. To typowe dla ciebie, myśleć wyłącznie o sobie.

- Oczywiście, przepraszam. - Jej uległość była tylko częściowo grą. - Tak bym chciała, żebyśmy mogli się wyrwać na parę dni. Tylko my dwoje. Zadzwoń do Johnno i powiem, że nie mogę jechać.

Drew namyślał się przez chwilę. Benefis mógł okazać się przełomem, na który czekał. Miał zamiar porzucić Birdcage Walk i wystąpić solo. W końcu to on jest gwiazdą, zespół był mu kulą u nogi.

Potrzebował sceny, na której mógłby zabłysnąć, kupy przychylnie nastawionych dziennikarzy. Jeżeli ten pogrzeb ma mu w tym pomóc, to w porządku. Zresztą marzył o pozbyciu się Emmy na dzień lub dwa.

- Myślę, że powinnaś jechać.

Serce niemal przestało jej bić.

Bądź ostrożna, ostrzegła samą siebie. Nie popełnij błędu.

- Więc pojedziesz?

- Nie. Ale myślę, że poradzisz sobie beze mnie przez jeden dzień. Zwłaszcza jeżeli Johnno się tobą zaopiekuje. Pamiętaj, żeby oblać trumnę łzami i powiedzieć wszystko, co należy, o tragedii AIDS.

Włożyła prosty, czarny kostium. Ponieważ Drew śledził każdy jej ruch, nie mogła spakować nic więcej. „Po co ci inne ciuchy na cmentarz?” - zapytał. Pozwolił jej zabrać czarne pumpy i ogromną torebkę, która zmieniała się w torbę podróżną. Przeszukał nawet kosmetyczkę, podczas gdy Emma siedziała na łóżku.

Ponieważ skonfiskował jej paszport i wszystkie karty kredytowe - „Traktujesz je ze zbytnią bez troską, Emmo” - była całkowicie od niego zależna. Sam kupił bilet. Rezerwacja w obie strony. Dał jej czternaście godzin wolności. Samolot odlatywał z La Guardi i o dziewiątej piętnaście, a lądował o dwudziestej dwadzieścia pięć tego samego dnia. Drew wspaniałomyślnie wydzielił żonie czterdzieści dolarów gotówką. Czując się jak złodziej, wzięła jeszcze piętnaście z pieniędzy przeznaczonych na życie. Wepchnęła je do buta. Od czasu do czasu poruszała dużym palcem, porażona wstydem, półprzytomna z podniecenia.

Kłamała.

„Nigdy nie próbuj mnie okłamać, Emmo. Zawsze dowiem się prawdy i ukarzę cię”.

Odchodziła od niego.

„Nie próbuj mnie opuścić. Znajdę cię. Zawsze cię znajdę i pożałujesz tego”.

Uciekała.

„Nigdy nie będziesz dość szybka, by uciec przede mną, Emmo. Należysz do mnie. Muszę się tobą opiekować, bo robisz takie idiotyczne błędy”.

- Emma, niech cię diabli, uważaj!

Podskoczyła, kiedy szarpnął ją za włosy.

- Przepraszam. - Na przemian wykręcała i wyłamywała sobie palce.

- Jesteś taką idiotką. Bóg jeden wie, co byś zrobiła beze mnie.

- Myślałam o Luke'u.

- Poczekaj z tą smętną miną, aż wyjdiesz z domu. Mdl mi od tego.

Zaraz przyjedzie Johnno. - Drew przysunął się bliżej, tak że nie widziała nic poza jego twarzą. - Co mu powiesz, kiedy zapyta, jak nam się układa?

- Że układa nam się świetnie. Cudownie. Przykro ci, że nie możesz jechać, ale ponieważ nie znałeś Luke'a, boisz się, że będziesz przeszkadzał - recytowała jego instrukcje jak papuga. - Muszę wracać zaraz po pogrzebie, ponieważ masz lekką grypę i chcę cię pielęgnować.

- Jak oddana żona.

- Tak. Jak oddana żona,

- Dobrze. - Jej poddańcza uległość zaczynała go mierzić. Nawet nie pisnęła, kiedy skopał ją wczoraj wieczorem. Chciał, żeby odjeżdżała, mając świeżo w pamięci jego męską przewagę. Oczywiście, uważał bardzo, żeby nie uderzyć jej w twarz ani nigdzie tam, gdzie ślady byłyby widoczne. Właściwie lanie spuści Emmie po powrocie. Ot tak, żeby przypomnieć żonie, że miejsce kobiety jest w domu.

Matka też powinna siedzieć w domu, pomyślał z wściekłością. Ale zmyła się błyskawicznie jak kurwa, którą zresztą była, i zostawiła go z wrakiem ojca. Gdyby stary głupiec szturchnął ją od czasu do czasu, nie wyfrunęłaby z gniazdko. I siedziałyby jak Emma teraz, z dłońmi złożonymi na kolanach, robiąc dokładnie to, co powinna. Wszystkie kobiety potrzebują mężczyzny, żeby ustanawiał zasady i wprowadzał je w życie.

- Może rzeczywiście nie powinnaś jechać.

Z przyjemnością patrzył, jak jej oczy się rozszerzają. Uznał, że to świetna zabawa, potrząsać Emmie przed nosem pogrzebem, jak marchewką na kiju.

Dłonie zwilgotniały jej od potu, ale trzymała ręce spokojnie na kolanach.

- Nie pojedę, jeżeli nie chcesz, Drew.

Pogłaskał ją po twarzy, czule, tak że niemal przypomniała sobie pierwsze miesiące ich znajomości. To tylko zwiększyło ból.

- Nie, pojedź. Tak dobrze wyglądasz w czerni. Jesteś pewna, że nie będziesz tam tej dziwki, Marianny?

- Tak. Johnno mówił, że nie może przyjechać.

Kolejne kłamstwo. Modliła się, by Johnno jej nie wydał. Drew zrobił wszystko, co mógł, by rozdzielić ją z Marianną. I udało mu się znakomicie,

myślała Emma ze znużeniem. Stara przyjaciółka nie dzwoniła już i nie wpadała w odwiedziny.

- A więc w porządku. Gdybym dowiedział się, że ona jedzie, musiałabyś zrezygnować z tej wycieczki. Marianna ma na ciebie zły wpływ, Emmo. To latawica. Tylko udawała przyjaźń, żeby zbliżyć się do twojego ojca, a potem do mnie. Mówiłem ci, że próbowała zaciągnąć mnie do łóżka. Pamiętasz?

- Tak.

- O, jest Johnno. No dalej, przywołaj ten słodki, smutny uśmiech, który wszyscy znamy i kochamy. — Emma automatycznie rozciągnęła usta. - Grzeczna dziewczynka. I nie zapomnij powiedzieć dziennikarzom o tym benefisie. - Schodząc ze schodów, dawał jej ostatnie instrukcje. - Musisz im powiedzieć, z jakim poświęceniem zbieram pieniądze na badania nad tą straszną chorobą.

- Tak. Nie zapomnę. - Emma myślała z przerażeniem, że zaraz ugną się pod nią kolana. Może rzeczywiście nie powinna jechać? Drew tyle razy mówił jej, że jest bezradna. - Drew, ja... - Ale on otworzył już drzwi. Stał w nich Johnno.

- Cześć, maleńka. - Otoczył Emmę ramieniem, by pocieszyć ją i zacerpnąć otuchy. - Tak się cieszę, że jedziesz.

- Tak. - Z tępych wyrazem twarzy patrzyła ponad jego ramieniem na Drew. - Chcę jechać.

Podczas lotu walczyła z upiorami. Drew pojedzie za nią. Dowiedział się, że zabrała piętnaście dolarów i przyjedzie, żeby ją ukarać. Czytał w jej myślach. Wiedział, że nie ma zamiaru wracać.

Tak potwornie się bała, że kiedy wysiedli z samolotu, przyłgnęła do ramienia Johnno i drząc na całym ciele, szukała w tłumie Drew. Z trudem łąpała oddech, zlane zimnym potem.

- Emmo, jesteś chora?

- Nie. - Oblizała wyschnięte wargi. Na chodniku stał mężczyzna, szczupły, jasnowłosy. Resztką krwi uciekła z jej twarzy. Ale mężczyzna odwrócił się. To nie był Drew. - To nerwy. Czy... czy mogę dostać papierosa?

Drew nie pozwalał jej palić. Powykręcał jej palce, kiedy przyłapał Emmę ostatnim razem. Ale nie było go tutaj. Siedziała z Johnno w limuzynie.

- Może nie powinnaś jechać. Nie miałem pojęcia, że tak się tym przejmiesz. - Walczył z własnym bólem, potężnymi, zapychającymi dech w piersi falami rozpacz i mógł tylko otoczyć Emmę ramieniem.

- Nic mi nie będzie - powiedziała. Powtarzała te słowa w kółko w myślach jak modlitwę.

Nie zauważyła nawet, kiedy ceremonia się skończyła. Nie słyszała słów, które zostały wypowiedziane, nie widziała łez przelanych w gorące, parne po-



łudnie. W głębi serca żywiła nadzieję, że Luke wybaczyłby jej brak zainteresowania jego pogrzebem. Sama czuła się martwa. Emocjonalnie martwa.

Patrzyła, jak ludzie odchodzą od cichego grobu, marmurowego nagrobka, kwiatów i zastanawiała się, czy starczy jej sił, by doprowadzić plan do końca.

- Johnno! - Marianna zatrzymała go, kładąc łagodnie dłoń na ramieniu. Zamiast składać kondolencje, pocałowała go w policzek. - Żałuję, że nie nauczyłeś mnie gotować - powiedziała i udało jej się wywołać uśmiech na twarzy Johnno.

- Byłaś jego jedyną, całkowiłą porażką. - Odwrócił się do Emmy. — Kierowca zawiezie cię z powrotem na lotnisko. Ja muszę iść do mieszkania Luke'a. Załatwić parę spraw. - Johnno przesunął palcem po jej policzku. - Dasz sobie radę?

- Tak.

- Nie sądziłam, że cię tu zobaczę - stwierdziła Marianna ze złością. Nie mogła się zdobyć, żeby jej głos brzmiał przyjaźnie. Nic na to nie mogła poradzić.

- Ja... chciałam przyjechać.

- Doprawdy? — Marianna otworzyła torebkę i wrzuciła do niej zmiętą chusteczkę. - Nie sądziłam, że masz czas dla starych przyjaciół.

- Marianno... - Nie może się teraz załamać. Wokół kręcili się ciągle fotoreporterzy, śledzili każdy jej ruch, pstrykali zdjęcia. Drew zobaczył je, zdjęcia Emmy i Marianny. Dowie się, że skłamała. Rzuciła za siebie rozpaczliwe spojrzenie. - Czy mogłabym... Muszę...

- Dobrze się czujesz? - Marianna zsunęła ciemne okulary i przyjrzała się Emmie. - Chryste, wyglądasz strasznie...

- Chciałabym z tobą porozmawiać, jeżeli masz chwilę.

- Zawsze mam chwilę - odcięła się Marianna. Grzebała w torebce w poszukiwaniu papierosów. - Myślałam, że zaraz wracasz.

- Nie. - Emma wzięła głęboki oddech i przekroczyła zaklętą granicę. - W ogóle nie wracam.

Przez chmurę dymu widziała, jak oczy Marianny się zwięzają.

- Co?

- Nie wracam - powtórzyła Emma i z przerażeniem stwierdziła, że głos jej się załamuje. - Możemy gdzieś pójść? Proszę. Muszę stąd iść.

- Jasne. - Marianna ujęła ją pod łokieć. - Weźmiemy twój wóz. Pojedziemy wszędzie, gdzie zechcesz.

Po chwili samochód zatrzymał się przed hotelem. Kiedy Emma zaczęła się trząść, Marianna uznała, że jest to najlepsze miejsce, dokąd mogłaby zabrać przyjaciółkę. Poszły prosto do apartamentu, pięknych pastelowych pokoi z widokiem na zatłoczoną białą plażę i niebieskie wody Atlantyku. Marianna zdążyła już udomowić hotelowe wnętrze, zarzucając krzesła

różnymi częściami garderoby. Chwyliła sweter i spodnie, w których odbyła podróż, i wskazała Emmie fotel. Sama podeszła do telefonu.

- Poproszę butelkę grand marnier, dwa średnie cheeseburgery, frytki i litrową pepsi z lodem. Mam tu dwadzieścia dolców dla faceta, który przyniesie mi to w ciągu piętnastu minut. - Zadowolona z siebie, zmiotła adidasy z fotela i usiadła.

- No dobra, Emmo. Co jest grane?

- Opuściłam Drew.

Marianna wyciągnęła przed siebie nogi, jeszcze nie do końca przekonana, czy powinna wybaczyć przyjacielce.

- Tyle to się sama domyśliłam, ale dlaczego? Myślałam, że jesteś obłąkańczo szczęśliwa.

- Tak, jestem bardzo szczęśliwa. Drew jest wspaniały. Dbą o mnie tak... - Usłyszała nagle własny głos i urwała ogarnięta przerażeniem i odrzą. - O Boże! Czasami ja naprawdę w to wierzę!

- Wierzysz, w co?

- W to, co on każe mi mówić. Marianno, nie wiem z kim, oprócz ciebie, mogłabym porozmawiać. Jestem pewna, że jeżeli nie powiem tego tutaj, zaraz, nie powiem nigdy. Chciałam powiedzieć Johnno. Już zaczęłam, ale nie mogłam.

- Dobra. - Ponieważ Emma była o wiele za blada jak na jej gust, Marianna wstała, by otworzyć drzwi balkonowe. Do pokoju wpadł strumień morskiego powietrza. - Nie śpiesz się. Czy Drew ma inną kobietę? - Patrzyła w milczeniu, jak Emma kołysze się w przód i w tył, chichocząc.

- O Boże, słodki Boże! - Zanim zdołała się opanować, śmiech przeszedł w rozdzierający szloch. Jednym skokiem Marianna znalazła się przy niej. Uklękła i ujęła dłonie Emmy.

- Spokojnie, spokojnie. Rozchorujesz się. Hej! Wszyscy wiemy, że mężczyźni to skończone dranie. Jeżeli Drew cię zdradził, po prostu daj mu kopa.

- To nie jest inna kobieta - wykrztusiła Emma.

- Inny mężczyzna?

Emma zrobiła wysiłek, by powstrzymać łzy. Bała się, że jeżeli zacznie płakać, nigdy nie przestanie.

- Nie. Nie wiem, czy Drew mnie zdradza i nic mnie to nie obchodzi.

- Skoro nie ma innej kobiety, to o co się kłócicie?

- Nie kłócimy się - powiedziała Emma ze znużeniem. - Ja się nie kłócę. - Nie wiedziała, że będzie jej tak trudno to powiedzieć, tak trudno się do tego przyznać. Słowa tkwiły jej w gardle jak pięść, rozpalona wstydem. Oddychając głęboko, otarła oczy wierzchem dłoni. - Siedząc tutaj, mogłabym niemal uwierzyć, że to urojenia. Że prawda nie jest tak straszna, jak mi się wydawało. On potrafi być taki słodki, Marianno, taki troskliwy. Pamiętam, jak czasem przynosił mi różę do łóżka. Jak śpiewał tylko dla

mnie, jakbym była jedyną kobietą na świecie. Powiedział, że mnie kocha, że pragnie jedynie uczynić mnie szczęśliwą, troszczyć się o mnie. I wtedy robiłam coś, naprawdę nie wiem, co... I on... On mnie bił.

- Co?! - Gdyby Emma powiedziała, że Drew rozkłada skrzydła i odlatuje z tarasu każdego popołudnia, byłaby mniej zaskoczona. - Bije cię?

Emma, zapatrzona w głąb siebie, nie usłyszała nuty niedowierzania w głosie Marianny.

- Czasem przez parę dni nie mogę chodzić, Ostatnio jest gorzej.- Gapiła się na ładne, pastelowe zdjęcie wiszące na ścianie. - Myślę, że on chce mnie zabić.

- Ocknij się, Emmo! Emmo, spójrz na mnie! - Marianna ujęła w dłonie twarz przyjaciółki i zapytała wolno: - Chcesz powiedzieć, że Drew cię maltretuje?

- Tak.

Wolno, ostrożnie Marianna wypuściła powietrze z płuc. Patrząc w twarz Emmy, próbując coś z tego zrozumieć, usiadła z powrotem na piętach.

- Czy on pije, bierze narkotyki?

- Nie. Widziałam go pijanego tylko raz, w naszą noc poślubną. Narkotyków w ogóle nie bierze. Lubi być panem sytuacji. Drew musi być panem sytuacji. Zawsze zrobię coś głupiego, co go sprowokuje.

- Przestań! - Marianna, wściekła, poderwała się na nogi. Z oczami pełnymi łez zaczęła chodzić po pokoju. - W całym swoim życiu nie zrobiłaś jednej głupiej rzeczy. Od jak dawna to trwa, Emmo?

- Po raz pierwszy uderzył mnie parę miesięcy po tym, jak się przeprowadziliśmy. To nie było takie straszne. Uderzył tylko raz. A potem przeproszał i płakał.

- Biedaczek - warknęła Marianna. Podeszła do drzwi, by wpuścić obsługę hotelową. - Proszę to zostawić, same damy sobie radę. - Podpisała rachunek, wręczyła dwadzieścia dolarów i wypchnęła chłopaka za drzwi.

Najpierw to, co najważniejsze, zdecydowała i zlekceważywszy jedzenie, nalała Emmie alkoholu.

- Pij — rozkazała. - Wiem, że tego nienawidzisz, ale obie potrzebujemy czegoś mocniejszego.

Emma wzięła dwa łyżki i poczuła ciepło rozchodzące się po ciele.

- Nie wiem, co robić. Chyba już nie potrafię samodzielnie myśleć.

- Przez parę minut ja będę myślała za ciebie. Proponuję wykastrować sukinsyna.

- Nie mogę wrócić, Marianno. Myślę, że zrobiłabym coś naprawdę straszego, gdybym tam wróciła.

- Zdaje się, że jednak myślisz. A jeść możesz?

- Nie, jeszcze nie. - Emma chciała po prostu posiedzieć przez chwilę i ogarnąć umysłem to, co zrobiła. Odeszła od Drew. Uciekła, a teraz ma przy

sobie swoją najbliższą, najdawniejszą przyjaciółkę. Zamknęła oczy, czując nową falę wstydu.

- Marianno, tak mi przykro, tak mi przykro. Wiem, nie odpowiadałam na twoje telefony, nie byłam przyjacielem przez te ostatnie miesiące, ale on mi na to nie pozwalał.

Marianna zapaliła dwa papierosy i wręczyła jednego Emmie.

- Nie martw się tym teraz.

- Powiedziała mi nawet, że ty... że próbowałaś mi go odebrać.

- Chyba mu się śniło. — Marianna omal się nie roześmiała, ale powstrzymał ją wyraz twarzy Emmy. - Nie uwierzyłaś mu.

- Nie, ale... Bywały chwile, kiedy wierzyłam we wszystko, co mi mówił. Tak było łatwiej. - Znowu zamknęła oczy. - A najgorsze, że to nie miałyby dla mnie żadnego znaczenia.

- Gdybyś tylko zadzwoniła.

- Nie mogłam z tobą o tym rozmawiać i nie mogłam znieść, kiedy przychodziłaś do mnie. Drżałam, że dowiesz się prawdy.

- Pomogłabym ci.

Emma pokręciła tylko głową. Zaciskała i rozprostowywała dłonie.

- Tak się wstydę.

- Czego, do diabła?

- Pozwoliłam, żeby mi to robił, prawda? Nie przyłożył mi pistoletu do głowy. To jedyna rzecz, której mi nie zrobił. Nie musiał.

- Nie potrafię ci odpowiedzieć, Emmo. Wiem jedno. Powinnaś zawiadomić policję.

- Nie! Boże, nie! I ujrzyć to na pierwszych stronach gazet? Nie zniosłabym tego. A poza tym, nie uwierzyliby mi. On by po prostu zaprzeczył. - Strach powrócił w jednej chwili, zmieniając barwę jej głosu, wyraz twarzy. - Mówię ci, uwierzyłybyś we wszystko, co by ci powiedział.

- No dobrze, wstrzymamy się z policją i weźmiemy adwokata.

- Ja... Potrzebuję paru dni. Na razie nie mogłabym rozmawiać o tym z nikim. Tak naprawdę chcę tylko jednego: uciec od Drew jak najdalej.

- Okay. Coś wymyślimy. A teraz będziemy jadły. Myśli mi się o wiele lepiej z pełnym żołądkiem.

Zmusiła Emmę do wzięcia paru kęsów, potem wtłoczyła w nią trochę pepsa, mając nadzieję, że cukier i kofeina zabarwią policzki przyjaciółki.

- Przez parę dni posiedzimy w Miami.

- Nie. - Emma myślała teraz jaśniej, chociaż nadal trzęsła się ze zdenerwowania. Spośród wszystkich szalonych planów, które przelatywały jej przez głowę w ciągu ostatnich dwóch dni, tylko jeden wydawał się realny. - Nie mogę zostać tutaj, nawet na dzisiejszą noc. To jest pierwsze miejsce, gdzie będzie mnie szukał.

- A więc Londyn i Bev. Ona ci pomoże.  
- Nie mam paszportu. Drew trzyma go w sejfie. Nie mam nawet prawa jazdy. Podarł je. - Odchyliła się na oparcie fotela, ponieważ nawet ta odrobina jedzenia wywołała mdłości. - Marianno, mam w torebce pięćdziesiąt pięć dolarów. Ukradłam piętnaście z pieniędzy na dom. Nie mam kart kredytowych. Zabrał je wiele miesięcy temu. Nie mam nic, z wyjątkiem tego, co na sobie.

Żeby nie walnąć czymś o ścianę, Marianna wstała i dolała sobie alkoholu. Przez cały ten czas, myślała, kiedy dała się na przyjaciółkę, pielęgnując zranione uczucia, Emma przechodziła piekło.

- Nie musisz martwić się o pieniądze. Masz u mnie kredyt. Wezmę gotówkę z kart kredytowych, potem zadzwonię i upoważnię ich do wypłacenia pieniędzy na twoje nazwisko. Możesz przebierać, wybierając. Visa, MasterCard albo American Express.

- Myślisz pewnie, że jestem żałosna.

- Nie. Myślę, że jesteś najlepszą przyjaciółką, Emmo, jaką kiedykolwiek miałam. - Łzy paliły jej oczy. Pozwoliła im popłynąć. - Gdybym mogła, zabiłabym go za to, co ci zrobił.

- Nie powiesz nikomu. Jeszcze nie.

- Nie powiem, jeżeli nie chcesz. Ale uważam, że twój ojciec powinien wiedzieć.

- Nie. I bez tego jest między nami wystarczająco źle. Teraz najbardziej potrzeba mi czasu. Myślałam o wyjeździe w góry, o jakiejś chacie w lesie, ale chyba nie zniosłabym ciszy. Chcę zgubić się w wielkim mieście. Może w L.A. Za każdym razem, gdy myślałam o ucieczce, wyobrażałam sobie, że tam właśnie jadę. I znowu miałam te sny. Bardzo często.

- O Darrenie?

- Tak. Koszmary zaczęły się parę miesięcy temu i trwają nadal. Czuję, że muszę tam pojechać. Poza tym to jest ostatnie miejsce, w którym Drew spodziewałby się mnie znaleźć.

- Pojadę z tobą.

Emma ujęła ją za rękę.

- Miałam nadzieję, że pojedziesz. Na jakiś czas.

## Rozdział 33

W sypialni było ciemno. I brudno. Ostatnia pokojówka odeszła tydzień temu, zgarniając parę srebrnych świeczników w drodze do drzwi. Jane nie

zauważyła kradzieży. Ostatnio rzadko opuszczała sypialnię. Robiła tylko okazjonalne wypadki po jedzeniu, sapiąc i dysząc na schodach. Wszystkie produkty potrzebne do życia: narkotyki, alkohol i jedzenie, chomikowała w pokoju.

Kiedyś był urządzony z przepychem. Jane zdradzała słabość do czerwonego aksamitu. Ciężkie, sztywne od brudu kotary nadal zasłaniały okna. Ale w ataku furii Jane zdarła zasłony, otulające duże, okrągłe łożo. Teraz, ponieważ trzęsła się ciągle z zimna, używała ich jako narzuty.

Czerwono-srebrną tapetę znaczyły plamy brudu. Jane rzucała w kochanków ciężkimi przedmiotami - lampami, figurkami, butelkami. Dlatego też trudno jej było zatrzymać któregoś z nich dłużej niż dwie noce z rzędu.

Ostatni, wysoki muskularny handlarz o nazwisku Hitch, tolerował jej wybuchy dłużej niż większość poprzedników. Potem ze stoickim spokojem pobił kochankę do nieprzytomności, ściągnął jej z palca brylantowy pierścionek i wyruszył na poszukiwanie ładniejszych krajobrazów i sympatyczniejszego towarzystwa.

Ale zostawił narkotyki. Hitch był osobnikiem humanitarnym.

Jane nie spała z mężczyzną od ponad dwóch miesięcy i nie przejmowała się tym zbyt. Jeżeli miała ochotę na orgazm, wsadzała sobie igłę w żyłę. Nie dbała o to, że nikt jej nie odwiedza, nikt nie dzwoni. Z wyjątkiem krótkich przerw w braniu, kiedy stary narkotyk przestawał działać, a nowego nie zdążyła sobie jeszcze zaaplikować. Wtedy przepełniał ją żal nad własnym losem. I gniew. Jeżeli już coś czuła, to gniew.

Film nie sprzedawał się ani w połowie tak dobrze, jak przewidywano. Przeskoczył, niemal z obraźliwym pośpiechem, z kin na kasety wideo. A ona tak bardzo pragnęła ujrzeć go na ekranie, że podpisała wszystko z wyjątkiem praw do wideo. Jej agent nie był zachwycony kontraktem, ale Jane zwolniła go i poszła swoją drogą.

Film nie przyniósł jej bogactwa. Parszywe sto tysięcy funtów rozeszło się szybko. Nowa książka była w poprawkach. Nie ujrzy grosza zaliczki, dopóki jakiś głupi redaktorek nie skończy roboty.

Najstarsze źródło wyschło. Czeka od Briana przestały przychodzić. Polegała na nich. Nie tylko w sensie finansowym. Wiedziała, że dopóki Brian płaci, dopóty o niej myśli.

Cieszyła się, że nigdy nie znalazł prawdziwego szczęścia i była dumna z tego, że zrobiła wszystko, by go tego szczęścia pozbawić. Skoro nie mogła mieć Briana, dobrze było mieć świadomość, że inna kobieta również nie zatrzymała go na długo.

Czasami wyobrażała sobie jeszcze, że Brian się opamiętał i wrócił, by błagać o przebaczenie. W tych marzeniach kochali się na łożku okrytym czerwonym aksamitem. Gorący, szalony seks, który łączył ich wiele lat

temu. Jej ciało było gładkie i kształtne - ciało młodej dziewczyny. Jane zawsze myślała o sobie w ten sposób.

Była groteskowo gruba. Piersi, jak wiotczące balony, zwisały do miejsca, gdzie powinna znajdować się talia. Biały jak u ryby brzuch opuszczał się nisko w fałdach tłuszczu. Masywne ramiona i uda trzęsły się jak galareta za każdym razem, kiedy zdecydowała się nimi poruszyć. Miała już trudności ze znalezieniem żyły pod pokładami tłuszczu. Ciągłe jeszcze mogła wsunąć igłę pod skórę, ale coraz rzadziej udawało jej się wkłuć w żyłę.

Tęskniła za tym, opłakiwała stratę, jak matka opłakuje dziecko.

Dźwignęła się, by zapalić lampę. Nie lubiła światła, ale musiała odnaleźć fajki. Jej włosy, jasne tylko na końcach, wisały w strąkach. Chciała ufarbować się na platynowy blond, ale zgubiła pudełko clairolu gdzieś w zagraconej sypialni. Ubrana była w czarny koronkowy negliz z rozmiarach dwuosobowego namiotu.

Dym ją uspokoił. Leżała na łóżku, snując plany. Wiedziała, że potrzebuje pieniędzy, kupy pieniędzy na dostawcę. I chciała znów mieć ładne ubrania i ładnych chłopców, którzy przychodziliby i zatapiali w niej swoje kutasy. Chciała chodzić na przyjęcia. Chciała, żeby ludzie darzyli ją uwagą.

Paliła i uśmiechała się.

Wiedziała, jak zdobyć pieniądze, ale musiała być mądra, bardzo mądra. Narkotyk sprawił, że poczuła się mądra. Nadszedł czas, by wyciągnąć z rękawa kolejnego asa.

Przekopawszy się przez toaletkę, znalazła papeterię. Zawierała ładny tęczyowy papier z jej nazwiskiem wykaligrafowanym przez całą szerokość kartki. Podziwiała go przez chwilę, potem zaciągnęła się papierosem i pomrukując do siebie, zaczęła szukać długopisu.

Malutkie zabezpieczenie, pomyślała, i przystąpiła do pisania. Oczywiście, będzie musiała odedrzeć kawałek z nazwiskiem. Nie jest głupia.

Pisała jak dziecko, powoli, z wysuniętym językiem. Zachwycona swoją zręcznością, zapomniała o nagłówku. Nucać pod nosem, nakleiła trzy znaczki. Wyglądały tak ładnie, że dodała jeszcze jeden, po czym przyjrzała się swojemu dziełu. Przez chwilę zastanawiała się nad adresem, potem napisała:

Kesselring, detektyw policyjny  
Los Angeles, Kalifornia  
USA

Po namyśle dopisała „Pilne” w rogu koperty i dwukrotnie podkreśliła.

Wzięła list na dół z zamiarem znalezienia dobrej kryjówki. Zboczyła do kuchni, gdzie zjadła pudełko lodów, używając w tym celu łyżki do zupy. Miała już wyjść, kiedy wpadła jej w oko koperta. Zaczęła zrzędzić.

- Idiotka - wybełkotała pod adresem pokojówki. - Nawet głupiego listu nie potrafi wysłać. Wywalę ją na zbity pysk. - Oburzona wytoczyła się do holu i z niemałym trudem nachyliła, by wsunąć list pod frontowe drzwi. Wróciła do sypialni i paliła, powoli odpływając w niebyt.

Dopiero po tygodniu przypomniała sobie o swoim planie. Napisała list. Zabezpieczenie. I ukryła go. Nie wiedziała wprawdzie gdzie, ale tym się nie przejmowała. Martwiło ją co innego — kończył się zapas jedzenia i narkotyków. Wysączyła ostatnią butelkę dżinu. Ujęła słuchawkę telefonu. Jeszcze parę godzin, pomyślała, i nigdy już nie będzie musiała martwić się o pieniądze.

Odebrał po trzecim sygnale.

- Dzień dobry, kochanie. Tu Jane.

- Czego chcesz?

- O! Czy tak się wita starą przyjaciółkę?

Po drugiej stronie linii rozległo się tłumione westchnienie.

- Pytałem, czego chcesz?

- Tylko porozmawiać, kochaneńki, tylko porozmawiać - zachichotała. Szantaż to taka świetna zabawa. - Wyczerpują mi się zasoby.

- To nie mój kłopot.

- Och, myślę, że jednak twój. Widzisz, kiedy wyczerpują mi się zasoby, dokuczają mi sumienie. Ostatnio bardzo dużo myślę o tym, co przydarzyło się małemu synkowi Briana.

- Dbałaś o niego tyle, co o zeszłoroczny śnieg.

- To brzydko tak mówić, kochaneńki. W końcu jestem matką. Mam przecież słodką Emmę, dorosłą, zamężną kobietę, i to każe mi myśleć o tamtym chłopcu. Rany, on też byłby już dorosły, gdyby żył.

- Nie mam na to czasu.

- Lepiej go znajdź. - Głos jej stwardniał. - Myślę, że powinnam wysłać temu detektywowi z Los Angeles liścik. Pamiętasz go, prawda, kochanećku? Nazywał się Kesselring. Pomyśl tylko, po tylu latach pamiętam jego nazwisko. - Uśmiechnęła się do siebie. Wszyscy uważali ją za głupią. Wkrótce zmieniają zdanie.

Wahał się zbyt długo i skłął sam siebie.

- Nic im nie możesz powiedzieć.

- Nie? Poczekamy, zobaczymy. Chyba napiszę do niego. Mogliby wznówić śledztwo, gdyby podrzucić im parę nazwisk. Twoje, na przykład, i...

- Ruszysz tę sprawę, a odbije się na tobie rykoszetem. - Nadal mówił spokojnie, ale zaczynał się pocić. - Tkwisz w tym równie głęboko jak ja.

- O, nie! Mnie tam nie było, prawda? Palcem nie tknęłam tego chłopca. - Jak on, do licha, miał na imię? Donald albo Dennis, zgadywała. Zresztą to bez znaczenia. - Nawet go nie tknęłam. Ale ty chyba tak. To morderstwo. Nawet po tych wszystkich latach, to nadal jest morderstwo.



- Nigdy niczego nie udowodnili i nigdy nie udowodnią.
- Może by im się udało, z niewielką pomocą. Chcesz spróbować?

Nie, nie chciał. Wiedziała, że on nie może zaryzykować kolejnego śledztwa. Osiągnął w życiu dokładnie taką pozycję, jaką chciał osiągnąć, i miał zamiar ją zachować. Obojętnie za jaką cenę.

- Ile?

Uśmiechnęła się.

- Myślę, że milion funtów powinno wystarczyć.
- Zwariowałaś!
- To był mój plan - zaskrzeczała w słuchawkę. - Mój pomysł i nigdy nie dostałam za to złamanego centa. Czas wyrównać rachunki, kochanećku. Jesteś bogatym człowiekiem. Możesz sobie na to pozwolić.
- Niebyło okupu-przypomniała jej.
- Bo spieprzyłeś robotę. Od dwóch lat nie dostałam od Briana ani centa. Teraz, kiedy Emma jest pełnoletnia, odciął mnie od gotówki. Możemy potraktować twoją spłatę jako fundusz emerytalny. Ta forsą wystarczy mi na długo i nie będę musiała znowu cię niepokoić. Przyniesiesz ją tutaj jutro wieczorem, a ja nie wyślę listu.

Po paru godzinach nie pamiętała już, czy odbyła tę rozmowę, czy ją sobie wyobraziła. List. Gdzie schowała list? Sięgnęła po papierosa w nadziei, że rozjaśni jej w głowie. Najlepiej będzie, jeżeli napisze ten list od nowa. I jeżeli on wkrótce nie przyjdzie, zadzwoni ponownie.

Zasiadła do pisania i po chwili usnęła.

Obudził ją dzwonek do drzwi. Dzwonił, dzwonił i dzwonił. Dlaczego ta durna dziewczyna nie otwiera drzwi? Wygląda na to, że wszystko musi robić sama. Sapiąc z irytacji, stoczyła się ze schodów.

Przypomniała sobie, kiedy go zobaczyła. Stał w drzwiach, patrząc na nią ponuro, z aktówką w ręku. Tak, teraz sobie przypomniała. Faktycznie, wszystko musi robić sama.

- Wejź, złotko. Szmata czasu.
- Nie przyszedłem w odwiedziny. - Myślał tylko o tym, że Jane wygląda jak świnia, gruba, brudna świnia. Kiedy się śmiała, podrygiwały wszystkie podbródki.
- Wchodź! Napijemy się. Alkohol trzymam w sypialni. Interesy załatwiam w buduarze.

Położyła zapraszająco dłoń na klapie jego marynarki. Zniósł to spokojnie, wiedząc, że i tak spali garnitur.

- Załatwimy interes tam, gdzie będziesz chciała. Ale zróbmy to.
- Zawsze się śpieszysz. - Ruszyła w górę schodów, kołysząc mamucimi biodrami. Widział, jak kurczowo trzyma się barierki, słyszał, jak dyszy. Jedno pchnięcie, rozważał, i zwali się na dół. Nikt nie miałby wątpliwości,

że to wypadek. Już wyciągał rękę, kiedy się opanował. Znał lepszy sposób. Pewniejszy.

- Oto jesteśmy, kochanie. - Opadła na łóżko, czerwona, zasapana. - Na jaką truciznę masz ochotę?

Uderzyła w niego ciężka fala smrodu. Pokój oświetlała jedna lampa. W półmroku dostrzegł stopy brudnych ubrań i naczyń, puste kartony, puszki i butelki. Fetor wisiał w powietrzu, podobnie jak pajęczyny w kątach. Odór był niemal namacalny. Mężczyzna oddychał wolno, przez zęby.

- Rezygnuję z drinka. - Uważał, żeby niczego nie dotknąć. Nie tylko z uwagi na odciski palców. Nie chciał zbrukać rąk.

- Jak sobie życzysz. Co mi przyniosłeś?

Postawił teczkę obok Jane. Też ją spali. Wykręcił kombinację liczb i uniósł wieko.

- Oto część pieniędzy.

- Mówiłam ci...

- Nie da się zebrać miliona przez jeden dzień. Będziesz musiała uzbroić się w cierpliwość. - Pokazał Jane zawartość teczki. - Ale przyniosłem coś, co cię ucieszy. Na znak dobrej woli.

Na starannie ułożonym stosiku banknotów ujrzała torebkę pełną białego proszku. Serce zabiło jej niespokojnie, ślina napłynęła do ust.

- Miły widok.

Zanim zdążyła chwycić woreczek, usunął aktówkę spoza zasięgu jej rąk.

- Komu teraz się śpieszy? - Cóż to była za rozkosz, dręczyć ją. Widział, jak pot występuje jej na czoło i ścieka po policzkach. Miał już do czynienia z ćpunami, wiedział, jak sobie z nimi radzić. - To najlepsza heroina, najlepsza, jaką można dostać za pieniądze. Jeden strzał i idziesz prosto do nieba. - Albo do piekła, dodał w myślach. - Możesz ją mieć, Jane. Całą. Ale musisz mi za nią coś dać.

Czuła, że zamiast serca ma w piersiach rozszalały młot. Jego uderzenia pozbawiły ją oddechu, przyprawiały o zawrót głowy.

- Czego chcesz?

- Listu. Dasz mi list i jeszcze parę dni na zebranie pieniędzy, a smoła jest twoja.

- List? - Zapomniała o nim. Mogła tylko gapić się na paczkę białego proszku i wyobrazać sobie, że czuje go w żyłach. - Nie ma żadnego listu. Nie napisałam listu. - Zabezpieczenie, przypomniała sobie i posłała mu chytre spojrzenie. - Jeszcze. Jeszcze nie napisałam. Ale napiszę. Daj mi trochę tego, to porozmawiamy.

- Porozmawiamy najpierw. - Och, co to będzie za przyjemność zabić ją, myślał, patrząc na smużki śliny w kąciach ust Jane. Chłopak to był wypadek, tragiczny wypadek, nad którym szczerze ubolewał. Nie należało do

ludzi gwałtownych. Ale własnoręczne zdławienie życia w Jane Palmer sprawiłoby mu ogromną satysfakcję.

- Zaczęłam go pisać. - Zbita z tropu, złakniona koki, Jane zerknęła w stronę biurka. - Postanowiłam poczekać na ciebie. Nie skończę go, jeżeli dobijemy targu.

Nie kłamie, pomyślał, wpatrując się w jej twarz. Nie jest na to dość sprytna.

- Dobijemy targu. - Podsunął jej teczkę. - No dalej, bierz.

Złapała paczkę obiema rękami. Przez chwilę myślał, że rozerwie ją zębami i pożre jak czekoladki. Ale ona poderwała się z szybkością, na jaką pozwalała jej tusza, i zaczęła przewracać w szufladach.

Czekał, jednocześnie zatroszczony i zafascynowany tym, co robiła. Nie zwracała teraz na niego uwagi, mamrocząc pod nosem. Ręce jej się trzęsły tak, że rozsypała trochę proszku. Oddychając głośno, chrapliwie, przygotowywała pierwszą dawkę. Nie chciała wstrzyknąć jej sobie pod skórę, nie chciała jej wciągnąć. Chciała wstrzelić ją sobie w żyłę.

Przycupnęła na podłodze i napełniła strzykawkę, obliczając się łakomie. Łzy błyszczały w oczach Jane, kiedy szukała żyły. Potem zamknęła je i, oparta o toaletkę, czekała na euforię. Nadeszła. Przetaczała się przez nią, pęczniała, rozrywała na strzępy. Oczy wyszły jej na wierzch, ciało drgało w konwulsjach. Krzyknęła tylko raz, pędząc na olbrzymiej fali.

Patrzył, jak umiera, i stwierdził, że jednak nie sprawia mu to przyjemności. Był to brzydki widok. Jane Palmer umierała bez godności, tak jak przedtem żyła. Odwróciwszy się do niej plecami, wyjął z kieszeni rękawiczki chirurgiczne. Przede wszystkim zabrał z biurka niedokończony list i włożył go do teczki. Tłumiąc obrzydzenie, zaczął szukać. Gmerał w jej rzeczach, chcąc się upewnić, że nie pozostawiła nic, co mogłoby go obciążać.

Brian jęknął, kiedy dzwonek telefonu wyrwał go ze snu. Próbował usiąść, ale czuł wyraźnie, że ma w głowie piłę elektryczną. Kac. Osłaniając oczy dłonią, sięgnął na osłep po słuchawkę.

- Co?!

- Bri, tu P.M.

- Zadzwoń, kiedy przestanę umierać.

- Bri... Nie czytałeś chyba porannej prasy?

- Wyjątkowo masz rację. Przeczytam jutrzejszą poranną prasę. Kiedy się obudzę.

- Jane nie żyje, Brian.

- Jane? - Przez pełne dziesięć sekund miał pustkę w głowie. - Nie żyje? Ona nie żyje? Jak?

- Przedawkowanie. Ktoś znalazł ją wczoraj w nocy. Były kochanek czy dostawca, czy ktoś taki. Nie żyje już od paru dni.

Trąc pięściami oczy, próbował usunąć z nich piasek.

- Jezu!

- Pomyślałem, że powinieneś się dowiedzieć, zanim dziennikarze cię dopadną, Może chciałbyś zawiadomić Emmę.

- Emma. - Brian usiadł, opierając się o zagłówek. - Tak, tak. Zadzwońię do niej. Dziękuję, że mi powiedziałaś.

- Jasne, Bri... - urwał. Otwierał już usta, żeby powiedzieć, jak mu przykro, ale zrezygnował. Wątpił, czy komukolwiek jest przykro. - Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Brian leżał przez chwilę, próbując to sobie wyobrazić. Znał Jane dłużej niż kogokolwiek, z wyjątkiem Johnno. Kochał ją kiedyś i nienawidził. Ale nie mógł wyobrazić sobie jej martwej.

Podszedł do okna. Światło słoneczne poraziło go, ból głowy spotęgował się, niemal go oślepiając, Bez namysłu nalał sobie whisky na dwa palce i wypił jednym haustem. Żałował niemal, że nie czuje nic z wyjątkiem łupania w głowie, stłumionego teraz ochronną warstwą alkoholu.

Była pierwszą kobietą, z którą spał.

Spojrzał na brunetkę, leżącą w jego łóżku pod zmiętym satynowym prześcieradłem. Do niej też nie żywił żadnych uczuć. Zawsze bardzo starannie wybierał kobiety, które nie pragnęły się angażować, które, podobnie jak on, szukały paru nocy seksu. Ciemnego, niebezpiecznego seksu, niemającego nic wspólnego z uczuciem.

Już raz popełnił błąd, wiążąc się z kobietą, która chciała więcej. Jane nigdy nie pozwoliła mu odejść, cieszył się w pełni tym, co miał.

Potem znalazł Bev. Ona też chciała więcej, ale tym razem on pragnął tego samego. Mój Boże, jak bardzo pragnął. Ona również nie pozwoliła mu odejść. Nie było dnia w ciągu ostatnich siedemnastu lat, żeby o niej nie myślał. I jej nie pragnął.

Jane rzuciła cię na jego życie, nie chcąc odejść, Bev zrujnowała je, odmawiając pozostania.

Miał swoją muzykę i więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek marzył. I tabuny kobiet, które nie znaczyły dla niego absolutnie nic.

A teraz Jane umarła.

Pragnął potrząsnąć swoim sercem, wykrzesać z niego trochę żalu za dziewczyną, którą kiedyś znał. Zdesperowaną, pożądliwą dziewczyną, która twierdziła, że kocha go nad życie. Ale nie czuł nic. Tamta dziewczyna i tamten chłopak umarli dawno temu.

Zadzwońi do Emmy. Lepiej będzie, jeżeli usłyszysz to od niego, choć wątpił, czy córka odczuje prawdziwy żal. Zadzwońi do niej, upewni się, że nie jest jej potrzebny, i pojedzie do Irlandii. Do Darrena. I spędzi parę spokojnych dni, siedząc w wysokiej, zielonej trawie.

## Rozdział 34

jesteś pewna, że dasz sobie radę?

- Tak. - Emma ścisnęła dłoń Marianny. Szły w stronę wyjścia na płytę lotniska. - Dam sobie radę. Potrzebuję jeszcze tylko paru dni.

- Wiesz, że chętnie zostanę.

- Wiem. - Tym razem nie wystarczył uścisk dłoni. Emma stanęła i przytuliła przyjaciółkę. - Nie wykaraskałabym się z tego bez twojej pomocy.

- Oczywiście, że tak. Jesteś silniejsza, niż myślisz. Czy nie unieważniłaś kart kredytowych, nie zamknęłaś kont, nie kazałaś bankierowi przenieść pieniędzy?

- Realizowałam tylko twoje pomysły.

- Bo nie myślisz o sprawach materialnych. Ten drań nie zobaczy ani centa, dopóki ja żyję. Nadal uważam, że powinnaś iść na policję.

Emma potrząsnęła głową. Właśnie zaczynała wierzyć, że, być może, udaje się ocalić dumę. Zawiadomienie policji, prasy byłoby proszeniem się o kolejne upokorzenie.

- No, dobra, jeszcze nie teraz - powiedziała Marianna, chociaż nie miała zamiaru pozwolić, żeby Drew uszło to bezkarnie. - Jesteś pewna, że bankier nie zdradzi twojego miejsca pobytu?

- Tak. W końcu to ja go zatrudniam. Kiedy usłyszała, że się rozwodzę, od razu przystąpił do działania. — To było niemal zabawne, o ile takie sprawy w ogóle mogą być zabawne. - Myślę, że po latach pracy nad funduszami powierniczymi paskudny, skomplikowany rozwód mile go podniecił.

Rozwód, pomyślała. To takie trudne słowo. Takie ostateczne.

Przez chwilę szły w milczeniu.

- On cię znajdzie prędzej czy później - powiedziała w końcu Marianna.

- Wiem. — Żal zmienił się natychmiast w strach. - Po prostu chcę, żeby to nastąpiło później, kiedy już nabiorę pewności, że nie namówi mnie na powrót, bez względu na to, co powie czy zrobi.

- Idź do adwokata - nalegała Marianna. - Zaczynij działać.

- Zrobię to zaraz, gdy twój samolot oderwie się od ziemi.

Marianna pokręciła się niespokojnie, po czym włożyła do ust niewielką pastylkę z nikotyną. Niemal na całym lotnisku obowiązywał zakaz palenia.

- Posłuchaj, Emmo, upłynęły dopiero dwa tygodnie od czasu, gdy... Od czasu, gdy tu przyjechałyśmy. Jesteś pewna, że nie chcesz, abym została jeszcze parę dni?

- Chcę, żebyś wróciła do malowania. Mówię poważnie - dodała Emma, zanim przyjaciółka zdążyła zaprotestować. - Kiedy Kennedy daje ci zlecenie,

twoja reputacja jest ustalona. Jedź skończyć obraz, zanim Caroline zmieni zdanie.

- Będziesz pisała. - Marianna usłyszała zapowiedź swojego samolotu. - Codziennie.

- Będę. - Trzymała się kurczowo tej ostatniej minuty z Marianną. - Kiedy to się skończy, upomnę się o swoją połowę mieszkania.

- Jest twoja. Chyba że zdecyduję się wyjść za tego dentystę i przeprowadzę się na Long Island.

- Za jakiego dentystę?

- Za tego, który chce mi usunąć nerw.

Emma się uśmiechnęła. Coraz częściej przychodziło jej to niemal z ła-twością.

- Osobliwe i odrażające podejście do zagadnienia.

Jak to dobrze, pomyślała Marianna, widzieć Emmę znowu uśmiechniętą.

- Tak, może, ale ma te ogromne brązowe oczy. I owłosione kłykcie, niestety. Nie wiem, czy mogłabym się zakochać w owłosionych kłykciach.

- Zwłaszcza że wtykałby ci je bez przerwy do ust.

- Zadzwoń.

- Bezwzględnie. - Emma obiecała sobie, że się nie rozpłaczę. Ale płakały obie. Marianna uściśniła ją po raz ostatni i pobiegła w stronę wyjścia.

Emma patrzyła przez okno, jak samolot kołuje. Została sama. Decyzje, błędy, opinie, mogła je teraz podejmować, popełniać i tworzyć sama. Nie tak dawno temu, myślała, chodziłam sama w Londynie. To było takie podniecające, takie radosne uczucie. Wtedy byłam zakochana. Teraz nie jestem zakochana. Dzięki ci, Boże, choć za to.

Idąc w stronę terminalu, badała wzrokiem tłum, czujnie, nerwowo. Jeszcze parę minut temu czuła się anonimowa pośród zgiełku lotniska. Teraz była już tylko bezbronna.

Nie mogła pozbyć się wrażenia, że Drew ukrywa się gdzieś w tłumie. Tam, za tą rodziną jadącą do Phoenix albo między biznesmenami czekającymi na samolot do Chicago. Przechodząc koło sklepu z pamiątkami, pochyliła głowę. Nerwy miała napięte jak postronki. Mógł tam być, mógł stać przy stoisku z gazetami, wyczekując odpowiedniej chwili. Wyjdzie, uśmiechnięty, wypowie jej imię, a potem położy dłoń na jej ramieniu tak, jak to zwykle robił, wpijając palce aż do kości. Zmusiła się, by iść naprzód, by nie pobiec z powrotem do wyjścia i nie błagać ludzi, żeby zatrzymali samolot i wypuścili Mariannę.

- Emma!

Kiedy na jej ramię opadła czyjaś dłoń, straciła oddech. Ugięły się pod nią kolana.

- Emma? To ty!

Śmiertelnie blada, zamroczona strachem, gapiła się na Michaela. Coś mówił, widziała ruch jego warg, ale szum w głowie zagłuszał słowa.

Radość na jego twarzy zgasła, oczy się zwęziły. Posadził Emmę na najbliższym fotelu. Przelewała mu się przez ręce. Począł, aż zacznie spokojniej oddychać.

- Lepiej?

- Tak, tak. Doskonale.

- Zawsze mdlejesz na lotniskach na widok przyjaciół?

Ułożyła usta w coś, co mogło uchodzić za uśmiech.

- Taki nałóg. Przestraszyłeś mnie.

- Bez wątpienia. - „Przestraszyłeś” nie było właściwym określeniem. Właściwe określenie brzmiało: „śmiertelnie przeraziłeś”. Wyglądała dokładnie tak, jak dziesięć lat temu, kiedy wyciągnął ją z oceanu. - Poczekasz tu na mnie chwilę? Muszę powiedzieć rodzicom, dlaczego ich porzuciłem. Czeka! - powtórzył dobitnie, ponieważ skinęła tylko niemrawo głową.

- Tak, poczekam. - Niewiele ją kosztowała obietnica pozostania na miejscu. I tak nie utrzymałaby się na nogach. Kiedy odszedł, wzięła parę głębokich, ostrożnych oddechów. Wygłupiła się już dostatecznie i nie chciała bełkotać jak idiotka po jego powrocie. Wrócił niemal natychmiast, ale ona odzyskała już panowanie nad sobą. - Gdzie się wybierasz? - zapytała.

- Ja? Nigdzie. Moja matka jedzie na jakąś konwencję i ojciec wybrał się z nią. Odwiozłem ich, bo tata nie lubi zostawiać samochodu na lotnisku. Dopiero co przyleciałaś?

- Nie. Jestem w L.A. od dwóch tygodni. Odprowadzałam przyjaciółkę.

- Przyjechałaś w interesach?

- Nie. Właściwie... tak i nie.

Wylądował jakiś samolot. Przez salę przylotów przemaszerował tłum ludzi. Szukając wśród nich Drew, walczyła z nowym atakiem paniki.

- Naprawdę muszę już iść.

- Odprowadzę cię. - Nie wziął jej pod rękę, ponieważ czuł, że nie chce być dotykana. - Przyjechałaś tu z mężem?

- Nie. - Emma rzucała na boki nerwowe, czujne spojrzenia. - On jest w Nowym Jorku. My... - Musi przyzwyczaić się do wypowiedziania tych słów, do rozumienia ich. - Rozstaliśmy się.

- Och! - Nie uśmiechnął się, przynajmniej nie na zewnątrz. - Przykro mi. - Przypomniał sobie reakcję Emmy, kiedy podszedł do niej na lotnisku. - Za obopólną zgodą?

- Mam nadzieję - zadrżała. - Boże, ależ tu zimno.

Otworzył usta, żeby zadać kolejne pytanie.

Nie masz prawa wścibiać nosa w jej sprawy, skarcił sam siebie. Nie masz prawa pytać o przebieg jej małżeństwa ani o jego zakończenie.

- Jak długo tu zostaniesz?
- Nie wiem jeszcze.
- Co powiesz na lunch albo na drinka?
- Nie mogę. Jestem umówiona za godzinę.
- Więc zjedz ze mną kolację.

Uśmiechnęła się leciutko. Z przyjemnością zjadłaby kolację w towarzystwie przyjaciela.

- Staram się żyć bardzo skromnie. Nie chodzę do restauracji.
- Co sądzisz o grillu w moim ogródku?
- Ja...
- Tutaj masz mój adres. - Nie dając jej czasu do namysłu, wyjął wizytówkę i nabazgrał adres na odwrocie. - Wpadnij koło siódmej, to rzucimy parę steków na ruszt. Niezwykle skromnie.

Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo przeraża ją myśl o wieczorze w hotelu, o dziobaniu widelcem posiłku przyniesionego do pokoju, o telewizorze jako jedynym towarzyszu samotności.

- Dobrze.

Chciał już zaproponować, że ją odwiezie, kiedy dostrzegł białą limuzynę przed wejściem na lotnisko.

- O siódmej - powtórzył.

Posłała mu uśmiech, po czym rozeszli się każde w swoją stronę. Michael myślał gorączkowo, gdzie znajdzie sprzątaczkę w piątkowe popołudnie. Emma minęła limuzynę i ustawiła się w kolejce do taksówek. Odruchowo odwróciła trzymaną w dłoni wizytówkę.

Detektyw M. Kesselring

Wydział Zabójstw

Zadrzała i wrzuciła kartonik do torebki. Dziwne, zapomniała, że on jest policjantem, Jak jego ojciec.

Michael wepchnął tygodniowy zbiór gazet do szafy w sypialni. Dwa dwudziestogalonowe pojemniki na śmieci były już pełne. Czy to możliwe, żeby jeden mężczyzna i jeden pies zgromadzili tyle śmieci? - myślał z niedowierzaniem. I żeby w mieście takim jak Los Angeles nie można było znaleźć sprzątaczkę w piątkowe popołudnie?!

Przed wszystkim wyszorował kuchnię płynem pożyczonym od sąsiadki. Dom pachniał teraz jak las sosnowy, ale na to nic już nie mógł poradzić. Potem zwabił Conroya do łazienki, używając w tym celu kiełbasy. Kiedy wszedł do wanny i potrząsnął plasterkiem mortadeli, pies się zawahał. Obaj wiedzieli, że ma słabość do mortadeli. Conroy wskoczył do wanny i Michael zasunął zasłonę.



- Znieś to z uśmiechem, chłopie - poradził, kiedy pies najeżył się z oburzenia.

Zużył pół butelki szamponu, ale Conroy nie tracił ducha. Wył wprawdzie od czasu do czasu, ale mogła to być reakcja na popisy wokalne Michaela. Owinąwszy ręcznikiem siebie i psa, Michael przeszukał szafkę w łazience. Znalazł suszarkę i patelnię, którą uznał za zaginioną dawno temu.

Najpierw wysuszył Conroya, chociaż pies nadal się dąsał.

- Powinieneś mi podziękować - powiedział Michael. - Jedno pociągnięcie nosem i latawicę zbije z nóg. Nawet nie spojrzysz na tego zarozumiałego owczarka.

Zlikwidowanie powodzi w łazience i oczyszczenie jej z psich kudłów zajęło Michaelowi pół godziny. Miał przystąpić do przyrządzania sałatki, kiedy usłyszał samochód. Kiedy wyrzął przez okno, płacili właśnie kierowcy. Nie spodziewał się, że przyjedzie taksówką. Wyobrażał ją sobie w limuzynie albo w jakimś wynajętym eleganckim wozie.

Lekki wiatr rozwiewał jej włosy i marszczył luźną bawełnianą koszulę. W tym obszernym, niemal męskim stroju wyglądała jeszcze drobniej i bardziej kobieco. Widział, jak odgarnia włosy z twarzy i spogląda w stronę domu. Schudła. Zauważył to już na lotnisku. O wiele za bardzo, pomyślał teraz. Nie była już szczupła, lecz wręcz boleśnie krucha.

Dostrzegł w niej niepewność, której nie zauważył nigdy dotąd, w sposobie chodzenia, w nerwowym oglądaniu się za siebie. Widział kontrolowaną panikę wiele razy. U podejrzanych. U ofiar. Ponieważ Emma wyglądała tak, jakby miała zamiar czmychnąć, otworzył drzwi.

- Trafiłaś jednak.

Stanęła jak wryta, potem osłoniwszy oczy przed słońcem, zobaczyła go stojącego w progu.

- Tak. - Ściśnięte mięśnie brzucha rozluźniały się powoli. - Kupiłeś dom — powiedziała i natychmiast poczuła się głupio. - Ładna okolica.

Zanim zdążyła wejść do środka, z domu wypadł Conroy. Miał zamiar wytarzać się w kurzu i trawie, i uwolnić od upokarzająco ludzkiego zapachu szamponu.

- Stój! - wrzasnął Michael.

To by go nie powstrzymało, ale w ucho wpadł mu miękki głos Emmy.

- O! Masz psa. - Przykucnęła, by pogłaskać Conroya po łbie. - Jesteś miłym psem, prawda? - Conroy był skłonny przyznać jej rację. Przsiał więc i pozwolił drapać się za uszami. - Tak, taki miły, taki śliczny pies.

Nikt jeszcze nie oskarżył Conroya o to, że jest śliczny. Spojrzał na nią ogłupiały jednym widocznym spod kudłów okiem. Odwrócił głowę ku Michaelowi i uśmiechnął się szyderczo.

- Zobacz, co narobiłaś. - Michael wziął ją za rękę i pomógł wstać. - Będzie się teraz systematycznie domagał komplementów.

- Zawsze chciałam mieć psa. - Conroy oparł się o jej nogi - obraz psiego przywiązania.

- Dam ci pięćdziesiąt dolców, jeżeli weźmiesz tego. - Kiedy się roześmiała, Michael wciągnął ją do środka.

- Ładnie tutaj. - Emma rozejrzała się po pokoju, pokrzepiona odgłosem psich pazurów postukujących o podłogę tuż za nią. Ogromny szary fotel wydawał się tak przytulny, że można było w nim spać. Długa, niska kanapa zapraszała do popołudniowej drzemki. Na podłogę Michael rzucił indiański koc w szaro-czerwone pasy - właściwie dla Conroya. Przez podłużne żaluzje wpadały smugi słonecznego blasku. - Wyobrażałam sobie ciebie w jednym z tych wymuskanych apartamentów przy plaży. Och! *Nogi Marianny!* - Emma, zachwycona, podeszła do zdjęcia, które Michael powiesił nad kanapą.

- Kupiłem je wtedy na wystawie.

Emma obejrzała się na niego przez ramię.

- Dlaczego? - Uniosła pytająco brew.

- Dlaczego je kupiłem? - Zadumany wsadził kciuki w kieszenie spodni. - Podobają mi się. Jeżeli chcesz, żebym zaczął opowiadać o cieniach i strukturze, zapomnij o tym. Kupiłem je, ponieważ jest to wspaniała para nóg, zdjęta ze wspaniałym poczuciem humoru.

- To lepsze niż dyskusja o cieniach. — Odwróciła się z uśmiechem. Zrobienie tego zdjęcia zajęło im wyjątkowo dużo czasu. Nie dlatego, żeby było wyjątkowo trudne. Po prostu nie mogły dogadać się w sprawie obuwia.

Zdjęcie ukazywało nogi Marianny skrzyżowane elegancko w kostkach i skrawek ześlizgującej się po nich falbanki. Zdecydowały się w końcu na proste czarne czółenka.

- Nie musiałeś tego kupować. Wiem, jakie horrendalne ceny ustanowił Runyun. Jestem ci winna przynajmniej fotkę.

- Jedną już mi dałaś.

Przypomniała sobie zdjęcie, które zrobiła mu jako dziecko.

- Nie byłam wtedy profesjonalistką.

- Przypuszczam, że wczesna McAvoy warta byłaby niezłą sumkę, gdybym kiedykolwiek chciał to zdjęcie sprzedać. - Wyczuł gwałtowne drgnienie ciała, kiedy dotknął jej ramienia. Przeczulona, pomyślał. To chyba naturalne, że kobieta jest przeczulona bezpośrednio po rozpadzie małżeństwa. - Chodźmy do kuchni. Właśnie zaczynałem robić obiad.

Pies poszedł za nimi. Kiedy Emma usiadła przy stole, oparł z uwielbieniem łeb na jej stopie. Michael nalał wina do szklanek, które pożyczył od sąsiadki. Włączył radio, cichutko. Leniwie drapiąc Conroya wolną stopą, Emma wsłuchiwała się w aksamitny głos Nat King Cole'a.

- Od jak dawna tu mieszkasz?

- Od czterech lat. - Był zadowolony, że ma towarzystwo w kuchni, zupełna rzadkość, chyba że uwzględnić Conroya. Świeże warzywa czekały na blacie. Zadumał się nad nimi, żałując, że nie poprosił sąsiadki o przepis na sałatkę. Umył liście, po czym ująwszy rzeźnicki nóż sąsiadki, przygotował się do posiekania przysmaku.

- Co robisz? - zapytała Emma.

~ Sałatkę. - Jej spojrzenie kazało mu zastępnąć z nożem nad główką zieleniny. - A może ty nie lubisz sałatkę?

- Wolałabym lody z gorącym karmelem, ale sałatkę też lubię. - Wstała, by obejrzeć warzywa. Były tam cztery duże pomidory, lekko niedojrzałe, pół tuzina strąków papryki w różnych kolorach i kształtach, pory, pieczarki, dynia, kalafior i pęk marchwi. - Dużo tego.

- Zawsze robię dużo - improwizował. - Conroy jest amatorem sałatkę.

- Rozumiem. - Emma uśmiechnęła się, potem wyjęła mu nóż z ręki i odłożyła na bok. - Może ja zrobię sałatkę, a ty zajmiesz się stekami.

- Umiesz gotować?

- Tak. - Emma, śmiejąc się, zaczęła obierać liście sałaty. - A ty?

- Nie. - Pachniała jak polny kwiat, świeżo i delikatnie. Stłumił pragnienie przyciśnięcia ust do jej szyi. Podniosła głowę, kiedy odgarnęła jej włosy na plecy. Oczywiście czujne.

- Nigdy nie wyobrażałem sobie siebie gotującej.

- Lubię gotować.

Stał blisko, ale nie tak blisko, żeby wzbudzić strach. Czyszcząc zieloną paprykę, uświadomiła sobie, że przy Michaelu nie czuje lęku. Jest może trochę spięta, ale nie przerażona.

- Dobrze ci to idzie.

- Pięć razy z rzędu wygrałam konkurs krojenia warzyw. - Odsunęła go. - Idź do swoich steków.

Później ustawiła sałatkę na okrągłym drewnianym stole przy żaloznym klombie petunii. Jedno krytyczne spojrzenie na grill powiedziało jej, że Michael radzi sobie całkiem nieźle. Wróciła więc do kuchni. Nie wiedziała, jak ma się ustosunkować do olbrzymiej paki papierowych talerzy w szafce. W wyniku dalszych poszukiwań odkryła trzy puste butelki po piwie, szufladę pełną opakowań po ketchupie i musztardzie oraz złoza puszek z klopsikami. Otworzyła zmywarkę do naczyń, by stwierdzić, że Michael trzyma w niej brudną bieliznę, i zastanawiała się, czy jest gdzieś w tym domu kosz pełen półmisków.

Znalazła je w kuchence mikrofalowej - dwa ładne chińskie talerze z wianuszkami niebieskich różyczek na krawędziach, także kubki i noże do steków.

Zanim upiekł mięso, przyszykowała stół, na tyle, na ile to było możliwe.

- Nie mogłam znaleźć sosu do sałatki - oznajmiła.

- Sos do sałatki! Jasne. - Odłożył steki. Teraz, kiedy już tu była, kiedy siedziała, uśmiechając się do niego, z jedną ręką na głowie Conroya, i wyglądała po prostu na swoim miejscu, pomyślał, że to głupio z jego strony udawać eksperta w dziedzinie gotowania.

Jeżeli mają się poznać, naprawdę się poznać, Emma powinna zobaczyć od razu, w co się pakuje.

- Dopilnuj, żeby Conroy nie dowiedział się, jak to smakuje. - Podeszedł do niskiego płotu i przeskoczył na drugą stronę. Wrócił po paru minutach z butelką wishbone'a i grubą niebieską świecą. - Pani Petrowski przesyła pozdrowienia.

Emma zerknęła za płot i ujrzała kobietę wyglądającą zza kuchennych drzwi sąsiedniego domu. Ponieważ wydawało się to zupełnie naturalne, pomachała pani Petrowski ręką.

- Naczynia sąsiadki?

- Aha.

- Bardzo ładne.

- Tym razem chciałem nakarmić cię czymś lepszym niż hamburger.

Ostrożnie podała mu sałatkę.

- Cieszę się, że mnie zaprosiłeś. Nie mieliśmy okazji porozmawiać, kiedy byłeś w Nowym Jorku. Przykro mi, że nie mogłam cię oprowadzić.

- Następnym razem. - Michael usiadł i zabrał się do steków.

Siedzieli przy stole aż do zmroku. Emma zapomniała już, jak to jest mówić o błahostkach, śmiać się przy kolacji, siedzieć przy cichej muzyce i świecach. Pies, zaspokojony połową steku, chrapał przy jej nodze. Nerwy, napięte od miesięcy, zaczynały się uciszać.

Dostrzegła tę zmianę. Czuła, jak jej ciało odpręża się stopniowo, niemal mięsien po mięśni. Nie wspomniała nawet o swoim małżeństwie i o rozstaniu z mężem. Wydawało mu się to dziwne. Miał przyjaciół, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, którzy przeszli przez rozwody. W trakcie ich trwania i jeszcze długo po ich zakończeniu nie mogli mówić o niczym innym.

Kiedy z radia popłynął uwodzicielski głos Rosemary Clooney, Michael wstał i pociągnął za sobą Emmę.

- Przy starociach najlepiej się tańczy - powiedział, kiedy cofnęła się o krok.

- Naprawdę nie...

- A poza tym, to dostarcza pani Petrowski tyle wzruszeń. - Delikatnie przyciągnął Emmę do siebie, starając się ze wszystkich sił, by jego uścisk pozostał przyjacielski i zdawkowy.

Emma poruszała się automatycznie, zgodnie z ruchem jego ciała, podczas gdy Clooney zawodziła *Tenderly*. Zamknawszy oczy, skoncentrowa-

ła się na tym, by ocalić swój spokój, by zignorować budzące się emocje. Pragnęła tylko spokoju.

Teraz, tańcząc na trawie, czuli leciutkie muśnięcia wiatru. Drzewa rzucały długie cienie. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła za plecami Michaela czerwony poblask zachodu.

- Czekając na ciebie, uświadomiłem sobie, że znamy się od osiemnastu lat. - Przesunął palcem po wierzchu jej dłoni. Tym razem nie drgnęła, ale jej ciało zamarło na sekundę. - Osiemnaście lat - powtórzył. - A mimo to na palcach jednej ręki mogę policzyć dni, które z tobą spędziłem.

- Przy pierwszym spotkaniu nie zwracałeś na mnie uwagi. - Uśmiechnęła się do niego, zapominając o zdenerwowaniu. - Byłeś zbyt pochłonięty Devastation.

- Jedenastoletni chłopcy nie mogą zauważać dziewcząt. Te specyficzne nerwy wzrokowe rozwijają się dopiero w wieku trzynastu lat, dwunastu w skrajnych przypadkach.

Zachichotała. Michael przyciągnął ją parę centymetrów bliżej i nie napotkał oporu.

- Przeczytałem to gdzieś. Nerw rozwinięty jest w pełni dopiero wtedy, gdy młodzian oczekuje nadejścia wydania „Sports Illustrated” z modelkami równie niecierpliwie, jak zapowiedzi sezonu piłkarskiego.

Uniosła brwi, kiedy Michael pokazał zęby w uśmiechu.

- Twoja strata. Ogromnie mi się podobałaś.

- Naprawdę? - Przesunął opuszkami palców w górę jej pleców, by bawić się końcami włosów.

- Oczywiście. Twój ojciec opowiedział mi, jak zjechałeś z dachu na deskorolce. Chciałam cię zapytać, jak się wtedy czułeś.

- Przed utratą przytomności czy po jej odzyskaniu?

- W locie.

- Byłem w gorze jakieś trzy sekundy. To były najpiękniejsze trzy sekundy mojego życia.

Właśnie to miała nadzieję usłyszeć.

- Czy twoi rodzice mieszkają w tym samym domu?

- Tak. Nie wyrzuciłabyś ich stamtąd haubicą.

- To miłe. - Zadumała się. - Jak to dobrze mieć takie miejsce, które pozostaje domem. Dla mnie takim miejscem jest mieszkanie w Soho.

- Wrócisz tam?

- Nie wiem. - Ciężkie osaczenia ponownie pojawił się w jej oczach i już nie zniknął. - Może w ogóle nie wrócę.

Pomyślał, że musiała bardzo kochać męża, skoro tak cierpi z powodu rozpadu małżeństwa.

- Są ładne miejsca wzdłuż plaży. Pamiętam, że lubisz wodę.

- Tak, lubię.

Chciał znów zobaczyć jej uśmiech.

- Nadal chcesz się nauczyć surfingu?

Uśmiechnęła się, ale ze smutkiem.

- Nie myślałam o tym od lat.

- Mam wolną niedzielę. Mógłbym dać ci lekcję.

Podniosła na niego wzrok. W jego oczach dostrzegła wyzwanie. Nie potrafiła go zignorować.

- Dobrze.

Musnęła wargami jej skroń, ruchem tak swobodnym, że niemal go nie zauważyła.

- Wiesz, Emmo, kiedy powiedziałem, że przykro mi z powodu ciebie i twojego męża... - Podniósł jej dłoń do ust. - Kłamałem.

Umknęła natychmiast. Odwróciła się i zaczęła zbierać talerze.

- Pomogę ci pozmywać.

Podszedł do stołu i położył rękę na obu jej dłoniach.

- Jeszcze to przeżywasz, prawda?

Zmusiła się, by na niego spojrzeć. Ogród tonął w perłowym półmroku. Południowe niebo miało odcień granatu. Michael nie spuszczał z niej wzroku. Szczere, lekko zniecierpliwione spojrzenie.

- Tak. - Emma odwróciła się i wniosła talerze do środka.

Trochę go to kosztowało, ale nie naciskał. Jest przewrażliwiona, upomniał sam siebie. Człowiek musi być przewrażliwiony tuż po rozpadzie małżeństwa. Więc daj jej czas, tyle czasu, ile zdoła.

Już się nie odprężyła. Nie mogła. Czy to możliwe, żeby czuła pociąg do drugiego mężczyzny zaraz po tym, jak opuściła pierwszego? Cóż z niej za kobieta? Nie chciała o tym myśleć. Podjęła decyzję. Nigdy więcej nie zaangażuje się w żaden związek. Nigdy więcej nie pozwoli się złapać w pułapkę miłości, małżeństwa. Teraz chciała tylko wrócić do hotelu, zamknąć drzwi na klucz i przez parę godzin czuć się bezpieczna.

- Robi się późno. Naprawdę powinnam wracać. Czy mogę zadzwonić po taksówkę?

- Odwiozę cię.

- Nie musisz. Mogę...

- Emma! Powiedziałem, że cię odwiozę.

Przestań! Natychmiast przestań, rozkazała sobie i rozerwała drżące palce.

- Dzięki.

- Odpręż się. Jeżeli nie jesteś gotowa na niesamowicie romantyczny romans, który będziemy mieli, mogę poczekać. W końcu, czekam dopiero osiemnaście lat.

Nie wiedziała, czy ma być ubawiona, czy zirytowana.

- Romans wymaga udziału dwojga osób - powiedziała lekko. - Obawiam się, że na mnie nie możesz liczyć.

- Jak powiedziałem, mogę poczekać. - Zgarnął klucze. Podzwanianie obudziło Conroya. Zerwał się, szcękając. - Lubi jeździć samochodem - wyjaśnił Michael. - Zamknij się, Conroy.

Wyczuwając prawdziwego sojusznika, pies spuścił głowę i przemknął się chyłkiem do Emmy.

- Może pojechać? - zapytała, kiedy oparł głowę o jej udo.

- Mam MG.

- Tłok mi nie przeszkadza.

- Okłaczy cię od stóp do głów.

- Nie szkodzi.

Conroy śledził przebieg rozmowy z jednym uchem postawionym na sztorc. Michael mógłby przysiąc, że parsknął.

- Wygrałeś, Conroy. - Wskazał mu frontowe drzwi. Węsząc zwycięstwo, Conroy czmychnął na dwór. Jego rozradowany ogon strącił ze stolika torebkę Emmy.

Michael pochylił się, żeby ją podnieść. Zamek ustąpił i zawartość wysypała się na podłogę. Otwierał już usta, żeby przeprosić, kiedy zobaczył trzydziestkęósemkę. Emma milczała. Podniósł pistolet i obrócił go w dłoniach. To była najlepsza broń automatyczna tego kalibru, jaką Smith and Wesson mieli do zaoferowania -połyskująca jak jedwab i ciężka. Żadne tam eleganckie kobiece cacko. Ten egzemplarz został zrobiony po to, by wyrządzać prawdziwą krzywdę, Wyjął magazynek, zobaczył, że jest pełny, i włożył go z powrotem na miejsce.

- Po co ci to?

- Mam zezwolenie.

- Nie o to pytałem.

Przykucnęła, żeby podnieść portfel, puderniczkę, szczotkę.

- Mieszkam w Nowym Jorku, zapomniałeś? - Powiedziała to swobodnym tonem, ale żołądek skurczył się jej boleśnie jak zawsze, gdy kłamała. - Na Manhattanie wiele kobiet nosi broń. Do obrony.

Przyjrzał się lufie.

- Więc masz go od dłuższego czasu?

- Od lat.

- To ciekawe. Ten model ukazał się na rynku jakieś pół roku temu. Sądząc po jego wyglądzie, nie przebywa w twojej torebce dłużej niż parę dni.

Stała przed nim, drżąc na całym ciele.

- Skoro masz zamiar mnie przesłuchać, czy nie powinienes odczytać mi moich praw?

- Pleciesz bzdury, Emmo! Nie kupiłaś tego, żeby odstraszyć chuliganów.

Czuła muśnięcia paniki, dreszcz biegnący po plecach. Zaszło jej w gardle, żołądek wyrzucił się do góry nogami. Michael był wściekły, naprawdę wściekły. Poznała to po jego pociemniałych oczach, po sposobie, w jaki się poruszał, idąc ku niej.

- To moja sprawa. Jeżeli odwieszysz mnie do hotelu...

- Najpierw wyjaśnisz mi, dlaczego go nosisz, dlaczego skłamałaś i dlaczego byłaś tak cholernie przerażona na lotnisku.

Nie powiedziała ani słowa, tylko patrzyła na niego tępym, zrezygnowanym wzrokiem.

Widział już kiedyś takie spojrzenie. U pewnego psa. Przyczołgał się na skraj ich trawnika, kiedy Michael miał osiem lat. Mama myślała, że to królik, ale kiedy zabrali go do weterynarza, okazało się, że jest psem. Bitym tak często i tak mocno, że lekarz musiał go uśpić.

Postąpił krok w jej stronę, czując, jak narasta w nim mdląca wściekłość. Emma cofnęła się gwałtownie.

- Co on ci zrobił? - Chciał wykrzyknąć to pytanie, ale głos zaświszczał mu przez zęby.

Tylko pokręciła głową. Conroy przestał skrobać w drzwi i siedział, drżąc.

- Emma. Co on ci zrobił?

- Muszę... Muszę iść.

- Do cholery, Emmo! - Kiedy wyciągnął ku niej rękę, przycisnęła się plecami do ściany. Jej oczy nie były już otepiałe, lecz szkliste z przerażenia.

- Nie. Proszę!

- Nie dotknę cię. W porządku? - Mówił cicho i spokojnie, zasługa wieloletniego szkolenia. Ani na sekundę nie odrywał od niej wzroku. Panował teraz nad własną twarzą, wiedział, że nie wyraża nic. - Nie skrzywdzę cię. - Nadal patrząc jej w oczy, wsunął pistolet do torebki i odłożył ją na bok. - Nie musisz się mnie bać.

- Nie boję się. - Ale trzęsa się ciągle.

- Boisz się Latimera?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Mogę ci pomóc, Emmo.

Pokręciła głową.

- Nie, nie możesz.

- Mogę. Czy on ci groził? - Kiedy nie odpowiedziała, przysunął się o krok. - Uderzył cię?

- Rozwodzę się z nim, więc co to za różnica?

- Cholerna. Możemy dostać nakaz.



- Nie, nie chcę tego robić. Chcę tylko, żeby to się skończyło. Michael, nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

Na razie nic nie powiedział. Czuł, że się uspokaja, i bał się znów jąpr/e-straszyc.

- Dobrze. Powiem ci, gdzie mogłabyś pójść, żeby porozmawiać z ludźmi, którzy wiedzą, jak to jest.

Czy on naprawdę myśli, że istnieje ktoś, kto wie, jak to jest?

- Nie muszę z nikim rozmawiać. Nie pozwolę, żeby obcy ludzie czytali o tym przy porannej kawie. To nie twoja sprawa.

- Tak myślisz? - zapytał cicho. - Naprawdę tak myślisz?

Skrecała się teraz ze wstydu. W jego oczach było coś, czego potrzebowała, bardzo potrzebowała. Gdyby miała odwagę o to poprosić! On chciał tylko, by mu zaufała. Ale ona już raz to zrobiła.

- To mój problem i ja muszę go rozwiązać.

Wiedział, że jeżeli będzie naciskał, Emma załamie się nerwowo. Więc zrezygnował.

- Dobrze. Chciałbym jednak, abyś o tym pomyślała. Żebyś wiedziała, że nie musisz być z tym sama.

- On zabrał mi poczucie własnej godności - powiedziała cicho. - Jeżeli nie uporam się z tym sama, nigdy go nie odzyskam. Proszę, odwieź mnie do hotelu. Jestem bardzo zmęczona.

## Rozdział 35

A więc dziwka wyobrażała sobie, że może po prostu odejść, myślał Drew. Że może po prostu otworzyć drzwi i ruszyć w świat. Już on wyprowadzi ją z błędu, niech ją tylko znajdzie. A że znajdzie, to pewne. Żałował gorzko, że nie stłukł Emmy porządniej przed jej wyjazdem na Florydę.

Nie powinien spuszczać żony z oka, powinien wiedzieć, że nie można jej ufać. Jedynymi kobietami, którym mężczyzna może ufać, są prostytutki. Wykonują swoją pracę, biorą pieniądze i na tym sprawa się kończy. Istnieje horrendalna różnica między uczciwą prostytutką a dziwką. A jego delikatna żona o słodkiej twarzyczce była dziwką taką samą jak jego matka.

Spuści jej manto, jakiego nigdy nie zapomni.

Pomyśleć, że miała czelność zwinąć żagle! Miała pieprzony tupet, by przenieść pieniądze i unieważnić kredyt. Został publicznie upokorzony u Bijana. Kasjer odebrał mu kaszmirowy blezer, który Drew zdecydował się nabyć, stwierdzając zimno, że jego karta kredytowa została unieważniona.

Emma zapłaci mu za to.

A potem ten zgryźliwy adwokat uraczył go papierami. A więc chciała rozwodu. Wpierw ją zabije.

Nowojorski prawnik też nie okazał się pomocny. Głędził coś o zawodowej uprzejmości w stosunku do innej firmy. Pani Latimer życzy sobie, żeby jej miejsce pobytu pozostało tajemnicą. No cóż, znajdzie sam to pieprzone miejsce pobytu i skopie pani Latimer tyłek.

Z początku bał się, że poszła do ojca. Jeżeli jego plany związane z benefisem i oderwaniem się od zespołu miały dojść do skutku, nie powinien narażać się komuś tak wpływowemu jak Brian McAvoy. Ale Brian zadzwonił z wiadomością o śmierci matki Emmy. Drew nie mógł wyjść z podziwu nad własną przebiegłością. Powiedział Brianowi, że Emma spędza wieczór z koleżankami. I obiecując, że przekaze jej tę smutną wiadomość, okazał dokładnie tyle współczucia i troski, ile należało okazać.

Skoro McAvoy nie wiedział, gdzie jest jego kurewska córka, nie wiedział również nikt z zespołu. Oni wszyscy rozumieli się jak banda cholerynych łotrów. Pomyślał o Bev. Był niemal pewny, że gdyby Emma pojechała do Londynu, Brian nie usłyszałby o tym ani słowa.

A może bawili się z nim w ciuciubabkę, śmiejąc się za jego plecami? Emma będzie musiała mu to wynagrodzić. Z nawiązką.

Nie było jej już przeszło dwa tygodnie. Miał nadzieję, że używa na całego, ponieważ wkrótce zapłaci za każdą godzinę.

Skuilił się pod uderzeniem ostrego wiatru. Skórzana kurtka chroniła go z grubsza przed chłodem przedwiośnia, ale w uszach dzwoniło mu z zimna. A może z wściekłości. Ta druga ewentualność podobała mu się o wiele bardziej. Uśmiechał się szeroko, idąc w stronę mieszkania Marianny.

Przyjechał metrem. Nędzny, ale zważywszy okoliczności - bezpieczniejszy środek lokomocji niż taksówka. Całkiem prawdopodobne, że zrobi coś... nieprzyjemnego Mariannie.

Nieprzyjemnego dla niej, pomyślał ze śmiechem. I bardzo przyjemnego dla mnie.

Emma skłamała. Marianna była na pogrzebie. Widział w gazecie ich zdjęcie. Marianna maczała palce w całej sprawie, to jasne jak słońce. Wiedziała, gdzie ukrywa się Emma. Kiedy z nią skończy, Marianna powie mu to z rozkoszą.

Wykorzystał klucz, który zabrał Emmie wiele miesięcy temu. Wystukał szyfr otwierający windę. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, potarł kłykcie jednej ręki o drugą. Miał nadzieję, że Marianna jest jeszcze w łóżku.

W mieszkaniu panowała cisza. Z radośnie bijącym sercem wszedł na schody. Na widok pustego łóżka, zmiętej, ale zimnej pościeli, ogarnęło go rozczarowanie. Było tak wielkie, że zrekompensował je sobie, demolując

mieszkanie. Po godzinie darcia ubrań, tłuczenia szkła i szatkowania kanapy nożem przyniesionym z kuchni, poczuł się lepiej.

Przypomniał sobie o obrazach w studiu. Z nożem w rękę zaczął wchodzić na górę, kiedy zadzwonił telefon. Stał jak wryty. Oddychał ciężko, pot spływał mu do oczu. W miejscu, gdzie zagryzł usta, widniała kropla krwi.

Po czwartym sygnale włączył się automat.

- Marianno!

Na głos Emmy Drew runął w dół po schodach. Miał już pochwycić słuchawkę, ale się pohamował.

- Jesteś pewnie jeszcze w łóżku albo po łokcie w farbie, więc oddzwonił później. Byle dzisiaj rano. Idę na plażę, poćwiczyć na desce. Utrzymuję się już przeszło dziesięć sekund. Niech cię nie skręci z zazdrości, ale w L.A. jest ponad trzydzieści stopni ciepła. Zadzwoń.

L.A., pomyślał Drew. Odwrócił się, by spojrzeć na portret Emmy na ścianie.

Kiedy Marianna zadzwoniła parę godzin później, Emma była już jedną nogą za drzwiami. Zamknęła je, przekręciła klucz w zamku i dopiero wtedy podniosła słuchawkę.

- Cześć! - W zasnętym głosie Marianny brzmiało zadowolenie.

- Cześć. Dopiero wstajesz? W Nowym Jorku jest prawie południe.

- Nie, jeszcze nie wstaję. - Wtuliła się z powrotem w poduszki. - Jestem w łóżku. W łóżku dentysty.

- Uzupełniasz ubytki?

- Powiedzmy po prostu, że jego talenty wykraczają poza dziedzinę stomatologii. Zadzwońłam do siebie i odebrałam twoją wiadomość. Jak się masz?

- W porządku. Naprawdę!

- Cieszę się, że to słyszę. Czy Michael idzie z tobą na plażę?

- Nie, pracuje.

Marianna zmarszczyła nos. Nie mogąc opiekować się Emmą, liczyła na to, że zastąpi ją gliniarz. Usłyszała szum wody w łazience i pożałowała sennie, że jej nowy kochanek, zamiast wrócić do łóżka, musi biec na miasto zwalczać próchnicę. Zepsute zęby albo bandyci. Zdaje się, że mężczyzna musi robić to, co musi.

Słuchaj, chyba przyjadę do ciebie za parę tygodni.

- Na kontrolę?

- Właśnie. I żeby poznać w końcu tego Michaela, którego chowasz dla siebie od tylu lat. Baw się dobrze na desce. Zadzwoń jutro.

Michael lubił pracę w terenie. Nie miał specjalnego zamiłowania do papierkowej roboty, nie przepadał też za wielogodzinnym ślęceniem przy telefonie i dreptaniem od jednych drzwi do drugich. Wolał akcje uliczne.

Syn kapitana! Przez pierwsze lata służby musiał przełknąć potężną dawkę kpin. Część z nich była dobrotliwa, część nie, ale przetrwał wszystko. I ciężko pracował na swoją złotą odznakę.

Na posterunku ściągnął pączka z najbliższego biurka i jadł na stojąco, przerzucając gazetę, którą ktoś zostawił przy ekspresie do kawy.

Zaczął od komiksów. Po nocy, jaką miał za sobą, śmiech był mu bardzo potrzebny. Potem poszukał działu sportowego. Przewracał kartki jedną ręką, drugą nalewał kawę.

## JANE PALMER UMIERA NA SKUTEK PRZEDAWKOWANIA

Jane Palmer, lat czterdzieści sześć, ekskochanka Briana McAvoya z Devastation i matka jego córki, Emmy, została znaleziona martwa w swoim londyńskim domu. Przyczyną śmierci było prawdopodobnie przedawkowanie. Ciało zostało znalezione przez Stanleya Hitchmana w niedzielę późnym popołudniem.

Michael przeczytał artykuł do końca. Zawierał jedynie nagie fakty, ale autor sugerował samobójstwo. Klnąc, cisnął gazetę na biurko. Złapał kurtkę i skinał na McCarthy'ego.

- Potrzebuję godziny. Muszę coś załatwić.
- McCarthy zakrył dłonią słuchawkę telefonu.
- Mamy trzech młodocianych gangsterów na składzie.
- Wytrzymają jeszcze godzinę.

Znalazł Emmę na plaży. Upłynęło dopiero parę dni, odkąd wróciła do jego życia, ale znał jej zwyczaje. Przychodziła tu codziennie, w to samo miejsce. Nie po to, by pływać na desce. Deska stanowiła pretekst. Przychodziła, by siedzieć w słońcu i patrzeć na wodę albo czytać w cieniu biało-niebieskiego parasola. A przede wszystkim przychodziła tu leczyć rany.

Siadała z dala od innych. Nie szukała towarzystwa, ale czuła się pokrzepiona obecnością ludzi. Zamiast skąpego bikini czy prowokacyjnie wyciętego jednoczęściowego stroju, ubrana była w prosty ciemnoniebieski kostium kąpielowy. Już sama jego skromność przyciągała oczy. Niejeden mężczyzna miał ochotę podejść i poprobować szczęścia, ale napotkawszy spojrzenie Emmy, omijał ją z daleka.

Michaelowi zdawało się czasem, że Emma jest otoczona szklaną ścianą, cienutką, zimną jak lód i nieprzeniknioną. Zastanawiał się, czy wewnątrz czuć zapach olejku kokosowego i słyszeć wycie radioodbiorników.

Dzięki zaufaniu, jakim go darzyła, mógł podejść bliżej niż inni. Ale ona zbudowała sobie drugą linię obrony, która miała trzymać na dystans także i przyjaciół.

- Emmo!

Nie mógł patrzeć, jak się wzdryga. Nienawidził tego bezwiednego, szybkiego odruchu paniki. Upuściła książkę, którą czytała. Strach błysnął w jej oczach. Potem zniknął, na usta zawitał uśmiech, ciało się odprężyło. Obserwował to przejście od spokoju do paniki i powrót do spokoju, wszystko w przeciągu sekund. Pomyślał, że życie w strachu stało się jej drugą naturą.

- Michael! Nie myślałam, że cię tu dzisiaj zobaczę. Wagarujesz?

- Nie, mam tylko parę minut.

Usiadł przy niej w półcieniu. Powiew od morza rozchylił mu kurtkę i Emma dostrzegła kaburę, którą nosił pod pachą. Jak zawsze doznała wstrząsu, uświadamiając sobie, kim jest z zawodu. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie oficera policji. Nawet teraz, patrząc na jego broń, nie wierzyła, by mógł jej kiedykolwiek użyć.

- Wyglądasz na zmęczonego, Michael.

- Ciężka noc.

Uśmiechnęła się leciutko. Myślała, że mówi o randce. Nie było sensu wyjaśniać, że spędził większą część nocy, użerając się z czterema młodzieńcami.

- Emmo, widziałaś dzisiejszą gazetę?

- Nie. - Celowo zrezygnowała z czytania prasy i oglądania telewizji. Kłopoty świata, ludzie uwikłani w te kłopoty, wszystko to znajdowało się po drugiej stronie szklanej ściany. Ale wiedziała, że Michael powie jej zaraz coś, czego nie chciała usłyszeć. - Co się stało? - Kiedy ujął jej dłoń, niepokój wzrósł. - Tatuś?!

- Nie. - Przeklął samego siebie, że nie powiedział jej tego wprost. Dłoń Emmy zlodowaciała w jego dłoni. - Jane Palmer. Ona nie żyje, Emmo.

Gapiła się na niego, jakby musiała przekładać to, co mówi, na własny język.

- Umarła? Jak?

- Wygląda na przedawkowanie.

- Rozumiem. - Emma cofnęła rękę i zapatrzyła się w morze. Woda była bladezielona przy brzegu, potem zmieniała barwę, im dalej, tym stawała się ciemniejsza. Na horyzoncie połyskiwała głębokim, szlachetnym błękitem. Emma zastanawiała się, jak to jest, być tak daleko od wszystkiego. Płynąć zupełnie samotnie. - Czy powinnam coś czuć? - szepnęła.

Wiedział, że pyta bardziej siebie niż jego. Mimo to odpowiedział:

- Nie możesz odczuwać czegoś, czego w tobie nie ma.

- Nie, nie mogę. Nigdy jej nie kochałam, nawet jako dziecko. Czuję się z tego powodu winna. Przykro mi, że ona umarła, ale to taki nikły, anonimowy rodzaj żalu, jakbym przeczytała w gazecie, że ktoś zginął w wypadku albo w pożarze.

- To wystarczy. - Ujął jej warkocz, jak ostatnio miał to w zwyczaju, i przesuwając po nim rękaw górę i w dół. - Posłuchaj, muszę wracać, ale powinienem wyrobić się do siódmej. Może przejeździemy się wzdłuż wybrzeża? Ty, ja i Conroy.

- Z przyjemnością. - Kiedy wstał, wyciągnęła ku niemu rękę.

Było to przelotne dotknięcie. Potem odwróciła się i zapatrzyła znów w morze.

Drew zjawił się w Beverly Wilshire parę minut po trzeciej. Był to pierwszy hotel, który sprawdził. Fakt, że zachowanie jego żony jest tak łatwe do przewidzenia, cieszył go, a jednocześnie napawał niesmakiem. Zatrzymywała się w Connought w Londynie, u Ritza w Paryżu, w Little Dix Bay na Wyspach Dziewiczych i zawsze w Beverly Wilshire w L.A.

Wszedł do środka z uroczym uśmiechem. Kiedy ujrzał recepcjonistkę, młodą i atrakcyjną, wiedział, że los mu sprzyja.

- Cześć! - Błysnął ku niej uśmiechem i patrzył, jak zawodowa uprzejmość dziewczyny zmienia się najpierw w zdumienie, potem w zachwyt. Rozpoznała go.

- Dzień dobry, panie Latimer.

Jedną ręką nakrył jej dłoń, drugą podniósł do ust w geście nakazującym milczenie.

- Niech to pozostanie między nami, dobrze? Umówiłem się z żoną, że tu się spotkamy, ale, niestety, zapomniałem numeru pokoju.

- Pani Latimer mieszka u nas? - Brwi recepcjonistki powędrowały w górę.

- Tak. Interesy mnie zatrzymały i dlatego przyjechała sama. Mogłaby pani sprawdzić?

- Oczywiście. - Palce dziewczyny przebiegły po klawiaturze. - Nie mam takiego nazwiska.

- Nie? Może zameldowała się jako McAvoy. - Tłumiąc niecierpliwość, słuchoł stukotu komputera.

- Przykro mi, panie Latimer. Nie mam również nazwiska McAvoy.

Chciał chwycić ją za gibką szyję i ścisnąć. Z pewnym trudem przybrał fraszliwie zadumany wyraz twarzy.

- To dziwne. Jestem prawie pewien, że nie pomyliłem hotelu. Zresztą Emma nie zatrzymałaby się nigdzie indziej. - Błyskawicznie rozważał inne możliwości. Uśmiechnął się. - Oczywiście! Cóż ze mnie za głupiec. Przez jakiś czas mieszkała tu z przyjaciółką. Prawdopodobnie zatrzymała pokój na jej nazwisko. Wie pani, jak to jest, kiedy człowiek chce się wyrwać na parę dni. Proszę spróbować Mariannę Carter. Najprawdopodobniej na trzecim piętrze. Emma nie lubi dużych wysokości.

- Tak, mam. Apartament 305.

- Co za ulga - uśmiechnął się, zaciskając zęby. - Już się bałem, że zgubiłem żonę. - Czekał, aż dziewczyna poda mu klucz, próbując oddychać równo i spokojnie. - Ogromnie mi pomogłaś, kochanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Latimer.

Och, nie! - myślał, idąc w stronę windy. Cała ta wielka przyjemność będzie po jego stronie.

Nie rozczarował go widok pustego apartamentu. Uznał nawet, że tak będzie o wiele lepiej. Z torby wyjął mały magnetofon i pas z wyśmienitej, elastycznej skóry. Zasunął kotary w oknach, zapalił papierosa i usadowił się w fotelu.

- Kesselring! - Młody detektyw otworzył drzwi pokoju przesłuchań, gdzie Michael i McCarthy pracowali ręką w rękę nad złamaniem podejrzanego. - Telefon do ciebie.

- Jestem teraz zajęty, Drummond. Odbierz wiadomość.

- Próbowałem. Ona mówi, że to sprawa życia lub śmierci.

Michael zaczął kłąć, potem pomyślał o Emmie.

- Nie rozpaczaj, zaraz wracam - powiedział przesłuchiwanemu od drzwi. Usiadł na brzegu biurka i podniósł słuchawkę. - Kesselring.

- Michael? Tu Marianna Carter. Jestem przyjaciółką Emmy.

- Tak, tak, wiem. - Zirytowany, wsunął rękę do kieszeni, szukając papierosów. - Jesteś w L.A.?

- Nie. Jestem w Nowym Jorku. Właśnie wróciłam do domu. Ktoś... ktoś zdemolował mieszkanie.

Przycisnęła palce do zmęczonych oczu.

- Myślę, że będzie mądrzej, jeżeli zadzwonisz po miejscowe gliny. Ja mogę dotrzeć tam dopiero za parę godzin.

Nie miała ochoty znosić sarkastycznych uwag.

- Gównu mnie obchodzi mieszkanie. Niepokoję się o Emmę.

- A co ona ma z tym wspólnego?

- Mieszkanie zostało rozniesione na strzępy. Wszystko jest porozbijane, pocięte, połamane. To był Drew. Jestem pewna, że to był Drew. Ma pewnie klucze Emmy. Nie wiem, ile ona ci powiedziała, ale to furiat, prawdziwy furiat. I ja...

- Okay. Uspokój się. Przede wszystkim wyjdź stamtąd, idź do sąsiadów albo gdzieś, gdzie są ludzie i zadzwoń po policję.

- Jego tutaj nie ma. - Marianna ze złością stwierdziła, że jest zbyt roztrzęsiona, by mówić jaśniej. - Myślę, że Drew wie, gdzie ona jest, Michael. Zostawiła mi nagraną wiadomość dzisiaj rano. Jeżeli on tu był, to wie. Próbowałam do niej dzwonić, ale nie odpowiada.

- Ja się tym zajmę. Wyjdz z mieszkania i zadzwoń po policję. - Rzucił słuchawkę, nie czekając na jej odpowiedź.
- Kesselring. Jeżeli skończyłeś już pogaduszki z ukochaną...
- Ruszamy. - Michael przerwał partnerowi.
- Co u...
- Rusz się! - powtórzył Michael. Nacisnął już pedał gazu, kiedy McCarthy wskoczył do samochodu.

## Rozdział 36

Zbliżała się czwarta, kiedy Emma weszła do holu Beverly Wilshire. Podczas długiego popołudnia na plaży podjęła decyzję. Zadzwoi do ojca. Wiedziała już na pewno o śmierci Jane i zechce się z nią skontaktować.

Rozmowa, choć niełatwa, była konieczna. Już czas, by powiedziała ojcu, że opuściła Drew. Czas, by zrobiła użytek z wiecznie złaknionej plotek prasy. Kiedy ich separacja zostanie podana do publicznej wiadomości, może wyrwie się w końcu ze stanu ośpienia. Może przestanie się bać.

Idąc korytarzem, sięgnęła do torebki po klucz. Jej palce prześlizgnęły się po rozgrzanym metalu. Przystanął nosić rewolwer, postanowiła. Przystanął oglądać się przez ramię.

Otworzyła drzwi apartamentu i zmarszczyła z niezadowolenia brwi. Szczelnie zasunięte kotary nie przepuszczały nawet promyka światła. Mruknęła coś mało życzliwego pod adresem pokojówki. Ruszyła w stronę lampy i drzwi się za nią zamknęły.

Wtedy usłyszała muzykę. Zamarła z dłonią na przełączniku. Niesamowite, jedyne w swoim rodzaju preludium, które prześladowało ją w snach. Zamordowany Lennon zaczął śpiewać staccato.

W drugim końcu pokoju ktoś zapalił lampę. Z gardła Emmy wydarł się skowyt. Cofnęła się na oślep. Na jedną chwilę w jej umyśle błysnęło wspomnienie twarzy, ale znikło, zanim zdołała je uchwycić. Potem zobaczyła Drew.

- Cześć, Emmo, złotko! Tęskniłaś za mną?

Jego głos wyrwał ją z transu. Rzuciła się ku drzwiom. Był szybki. Zawsze był szybki. Odepchnął ją jednym machnięciem ręki. Torebka wyślizgnęła się jej z palców i przeleciała przez pokój. Nie przestając się uśmiechać, Drew przekręcił klucz i założył łańcuch.

- Chcemy być sami, prawda?

Jego głos, czuły i kochający, sprawił, że poczuła na plecach lodowaty dreszcz.



- Jak mnie znalazłeś?

- Och, to proste, Emmo. Powiedzmy, że istnieje między nami nierozdzielna więź. Czy nie mówiłem, że zawsze cię znajdę?

Muzyka grała ciągle. To był koszmar. Pragnęła w to uwierzyć. Miewała przecież koszmary. Muzyka, ciemność. Obudzi się zlaną zimnym potem, tak jak teraz. I koszmar się skończy.

- Zgadnij, co otrzymałem, Emmo? Pozew o rozwód. To nieładnie z twojej strony, prawda? Ja zamartwiam się o ciebie przez dwa tygodnie, a ty występujesz o rozwód. Przecież mogłaś zostać porwana! - Pokazał zęby w uśmiechu. - Albo zamordowana, jak twój biedny braciszek.

- Nie! Proszę!

- Och! Nie możesz o nim mówić, tak? I nie możesz słuchać tej muzyki. Czy mam ją wyłączyć?

- Tak. - Będzie mogła myśleć, kiedy ją wyłączy. Będzie wiedziała, co robić.

- A więc dobrze. - Drew postąpił krok w stronę magnetofonu. - Chociaż nie. Niech sobie pogra. Musisz nauczyć się stawiać czoła faktom, Emmo. Już ci to mówiłem, prawda?

Zaczęła szczełukać zębami.

- Robię to.

- Dobrze. Bardzo dobrze. A teraz zadzwonisz do adwokata i powiesz mu, że zmieniłaś zdanie.

- Nie. - Strach owładnął każdą komórką jej ciała. Bała się tak bardzo, że mogła tylko szeptać. - Nie wrócę do ciebie.

- Oczywiście, że wrócisz. Należysz do mnie. Nie utrudniaj sobie tego.

Kiedy pokręciła głową, Drew wydał z siebie gwałtowne westchnienie. Jego ręka wyprysnęła, szybka jak bicz, i smagnęła ją w twarz. Uderzyła głową o stół, zrzucając lampę. Krew wypełniła jej usta.

Przez mgłę bólu widziała, jak się zbliża. Krzyknęła. Kopnął ją w żołądek, ucinając dźwięk w połowie tonu, pozbawiając ją tchu. Kiedy próbowała zwinąć się w kłębek, zaczęła ją bić, wolno, metodycznie.

Tym razem stawiała opór. Pierwszy cios musnął mu tylko policzek, ale zaskoczył Drew tak, że miała czas się odczołgać. Słyszała walenie w drzwi, ktoś żądał, by je otworzył. Dźwignęła się na nogi i zrobiła jeden chwiejny krok w stronę dźwięku, kiedy Drew ją dopadł.

- Więc bawimy się brutalnie, tak? - Zaczął zdzierać z niej ubranie, orząc paznokciami skórę. Opór tylko go podniecił. Tym razem ukarze ją naprawdę, tym razem go popamięta.

Emma słyszała czyjeś krzyki, błagania i obietnice. Nie zdawała sobie sprawy, że to jej własny głos. Nie czuła już prawie ciosów. Bił ją pięściami, zapominając o pasie, owładnięty pragnieniem odpłacenia jej za wszystko.

- Myślałaś, że możesz ode mnie odejść, ty dziwko?! Myślałaś, że pozwolę ci zniszczyć to, nad czym tak ciężko pracowałem? Wpierw cię zabiję!

Jej ciało dryfowało w morzu bólu. Każdy oddech wrzynał się w płuca dziesiątkami tępych ostrzy. Jeszcze nigdy nie było tak źle. Nawet w najgorszych chwilach nie było tak źle. Chwyliła nogę krzesła i próbowała się podciągnąć. Mokre od krwi palce ześlizgnęły się po drewnie.

Przestała walczyć. Nie było takiej siły, która mogłaby go powstrzymać. Poczwała, że Drew ją unosi i ciska przez pokój. Coś wgryzło się jej w piersi i Emma krzyknęła, rozdzierana bólem. Przez chwilę leżała półprzytomna.

- Kurwa! Kurwa! Kurwa! - skandował, idąc znów ku niej. Jak przez mgłę zobaczyła krew ciekącą mu z nosa. Oczy miał szkliste i dzikie. Patrząc w tę twarz, zrozumiała, że przekroczył jakąś granicę. Tym razem skatowanie żony mu nie wystarczy. Nie spocznie, dopóki nie zatłucze jej na śmierć. Szlochając, próbowała się czołgać.

Uderzenie pasem wstrząsnęło jej ciałem. Pełzła po dywanie, a jej szloch zmienił się w zawodzenie. Drew dalej uderzał, uderzał w rytm muzyki, idąc za nią. W końcu upadła bezwładnie. Coś szarpało jej zębra, aż pokój zaczął falować w oczach.

Słyszała, że ktoś ją woła, wykrzykuje jej imię. Dźwięk rozłupywanego drewna. Czy to drewno, czy jej ciało rozdarte na pół? Pod palcami wyczuła chłód metalu. Jej dłoń zacisnęła się konwulsyjnie na pistolecie. Dławiąc się szlochem, odwróciła się na plecy. Ujrzała jego twarz, kiedy wznosił pas.

Poczwała, że broń skacze w jej rękę.

Kiedy Michael wyważył drzwi, zobaczył, jak Drew cofa się z wyrazem zdziwienia na twarzy. Chwiejąc się, uniósł pas. Michael trzymał broń gotową do strzału, ale zanim zdążył jej użyć, Emma wypaliła raz, a potem jeszcze raz. Naciskała spust, choć nie miała już naboji, choć Drew leżał rozciągnięty na podłodze. Naciskała spust, celując w pustą przestrzeń przed sobą.

- Dobry Boże! - zawołał McCarthy.

- Zatrzymaj ludzi! - Michael zbliżył się do Emmy. Ściągnął kurtkę i otulił ramiona dziewczyny. Jej przesiąknięte krwią ubranie było w strzępach. Nie spojrzała na niego, nie przestała naciskać spustu. Próbował odebrać jej broń, ale trzymała ją w konwulsyjnie zacisniętej dłoni. - Emmo! Kochanie. Już dobrze. Już po wszystkim. - Delikatnie pogłaskała ją po włosach, siłą nakazując sobie spokój. Dławił go straszny gniew. Twarz miała zalaną krwią. Jedno oko już zapuchło, w drugim czaił się szok. - Daj mi pistolet, kochanie. Już go nie potrzebujesz. Nic ci nie grozi. - Przesunął się tak, by mogła go zobaczyć. Skrawkiem czegoś, co było kiedyś bluzką, otarł krew zalewającą jej oczy. - To ja, Michael. Słyszysz mnie, Emmo? To ja, Michael. Wszystko będzie dobrze.

Zaczęła dyszeć, potem wstrząsnęły nią dreszcze. Przytulił ją mocno, kołysząc w ramionach. Wyjął broń z jej bezwładnej teraz dłoni. Nie płakała.

Michael wiedział, że dźwięk, który wydobywał się z jej gardła, nie był płaczem. Jęczała. Chrapliwy zwierzęcy jęk zamierał w skowycie.

- Pogotowie już jedzie. - Po pobieżnych oględzinach ciała Drew, McCarthy przykucnął przy Michaelu. - Ale ją skatował!

Michael dalej kołysał Emmę w ramionach, ale jego wzrok pobiegł ku Latimerowi i przylgnął na długą chwilę do twarzy Drew.

- Jaka szkoda, że umrzeć można tylko raz.

- Tak. - McCarthy wstał, kręcąc głową. - Skurwiel jeszcze ściska pas.

Siedząc przy grobie Darrena, Brian obserwował pogoń chmur na niebie. Zawsze przychodził tu z nadzieją, że odnajdzie spokój. Nigdy go nie odnalazł. Ale zawsze wracał.

Pozwolił, by polne kwiaty porosły grób jego dziecka. Wolał je od marmurowego nagrobka z imieniem, nazwiskiem i dwiema cyframi. Daty znajdowały się żałośnie blisko siebie.

Rodziców pochował tuż obok. Ale choć znał ich wiele dziesiątków lat, wspomnienie syna było dużo wyraźniejsze.

Ze swojego miejsca mógł widzieć zaorane pola, ciemnobrązowe koleiny wrzynające się w soczystą zielen. Był wczesny irlandzki ranek, najlepsza pora na marzenia. Łagodne światło miało perłowy poblask, którego nie widział nigdzie indziej na świecie. Trawa lśniła od rosy. Ciszę przerywało tylko szczekanie psa i odległy pomruk traktora.

Ujrawszy Briana, Bev się zatrzymała. Przez te wszystkie lata przyjeżdżała do Irlandii tylko wtedy, gdy wiedziała, że Brian przebywa gdzie indziej. Nie chciała spotkać się z nim przy grobie, nad którym stali tyle lat temu.

Już miała się odwrócić i odejść. Ale coś w jego postaci, w sposobie, w jaki siedział, z dłońmi wspartymi lekko na kolanach, zapatrzony w zielone wzgórze, kazało jej zostać. Wyglądał tak samotnie.

Oboje byli zbyt samotni.

Podeszła do niego cicho. Nie usłyszał kroków, ale kiedy padł na niego cień Bev, odwrócił głowę. Nie odezwała się. Położyła tylko bukiet lilii na nagrobku i uklękła z ciężkim westchnieniem. Wsłuchiwali się w szum wiatru w wysokiej trawie, odległe buczenie traktora.

- Chcesz, żebym odszedł? - zapytał.

- Nie. - Czułym gestem pogładziła trawę, która porosła grób jej syna. — Był piękny, prawda?

- Tak. - Stłumił łzy. Od dawna już tu nie płakał. - Taki podobny do ciebie.

- Wziął z nas wszystko, co najlepsze. - Przysiadła na piętach.

Podobnie jak Brian, patrzyła w stronę wzgórz. Niewiele się zmieniły przez te lata. Życie płynie dalej. To najcięższa lekcja, jakiej przyszło jej się

nauczyć. - Był taki radosny, taki pełen życia. Miał twój uśmiech, Bri. Twój i Emmy.

- Zawsze czuł się szczęśliwy. Tak go właśnie widzę.

- Najbardziej bałam się tego, że jego wspomnienie z czasem zblednie. Ale tak się nie stało. Nadal pamiętam, jak się śmiał, jak śmiech po prostu z niego tryskał. Nigdy nie słyszałam piękniejszego dźwięku. Za bardzo go kochałam, Bri.

- Nie można kochać za bardzo.

- A jednak tak. - Bev milczała przez chwilę. Zamuczała krowa. Dźwięk wywołał uśmiech na twarzy Bev. - Myślisz, że to zostało stracone? Że wszystko to, czym był i czym mógłby zostać, po prostu uleciało, zniknęło, kiedy umarł?

- Nie. - Spojrzał na nią. - Na pewno nie.

Jego odpowiedź miała dla niej ogromne znaczenie.

- Myślałam tak na początku. Może dlatego zatraciłam się w bólu. Myśl, że całe to piękno i radość trwały tylko chwilę, przynosiła takie cierpienie. Ale potem zrozumiałam, że to nieprawda. On ciągle żyje w moim sercu. I w twoim.

Odwrocił wzrok w stronę dalekich, ocienionych wzgórz.

- Są chwile, kiedy pragnę zapomnieć. Chwile, kiedy robię wszystko, by zapomnieć. To piekło, przeżyć własne dziecko.

- Wiesz wtedy, że cokolwiek się zdarzy, nie sprawi ci już takiego bólu. Mieliliśmy go przez dwa lata, Bri. To staram się pamiętać. Byłeś cudownym ojcem. - Dotknęła jego dłoni. Kiedy zacisnęła palce wokół jej rąk, oddała mu uścisk. - Tak mi przykro, że nie dzieliłam z tobą rozpaczy, jak dzieliłam radość. To był egoizm. Jakby zatrzymanie cierpienia w sobie czyniło go wyłącznie moim. A ono było nasze wspólne tak jak Darren.

Nie odpowiedział. Łzy dławiły go w gardle. Odwróciła się ku niemu ze zrozumieniem. Siedzieli w milczeniu, objęci, podczas gdy słońce pięło się coraz wyżej, osuszając z rosy bujne trawy.

- Nie powinienem być cię opuszczać - szepnął.

- Wzajemnie się opuściliśmy.

- Dlaczego? - Wzmocnił uścisk. - Dlaczego?

- Myślałam o tym tyle razy. Chyba nie mogliśmy znieść myśli o szczęściu. Czuliśmy, przynajmniej ja czułam, że będąc szczęśliwa po jego śmierci, popełniałabym coś haniebnego. Myliłam się.

- Bev! - Wtulił twarz w jej włosy. - Nie odchodź. Proszę! Nie odchodź!

- Nie - powiedziała cicho. - Nie odejdę.

Trzymając się za ręce, wrócili na farmę. Przez okna wpadało słońce, kiedy wchodzili na schody. Rozebrali się wzajemnie, wymieniając długie, spokojne pocałunki, czułe pieszczoty.

Nie był młodym mężczyzną, który ją kiedyś kochał. Ani ona nie była tą samą kobietą. Życie nauczyło ich cierpliwości. Nie rzucili się na łóżko, lecz opadli na nie powoli, wiedząc, że każda chwila jest zbyt cenna, skoro tyle ich zostało straconych.

Ale choć się zmienili, ich ciała poruszały się zgodnym rytmem. Kiedy wyciągnęła ku niemu ramiona, lata rozłąki przestały istnieć. Z ustami wtulonymi w jej szyję napawał się znajomą wonią, znajomym smakiem.

Wzbierała w nich namiętność, ale oni przemykali się tylko jej skrajem, nie chcąc, by objęła ich w posiadanie bez reszty, jak niegdyś. Bev uśmiechnęła się, przeciągając palce przez włosy Briana. Kiedy jej ciało ogarnął płomień, westchnęła nie tylko z pożądania, lecz również z radości. Z w półprzymkniętymi oczami badała dłońmi jego ciało, odnajdując w pamięci każdy łuk, każdą płaszczyznę. Namiętność, wyzwolona, przetoczyła się przez nich jak dobre wino.

Przyjęła go w siebie, wyginając ciało. Załkała, kiedy złali się w jedno. Całując Briana, smakowała jego łyzy zmieszane z własnymi.

Potem leżeli uciszeni, ona z głową wtuloną w zgięcie jego ramienia. Jak to możliwe, by zjednoczenie było tak łatwe, tak naturalne? Minęło prawie dwadzieścia lat. Połowę życia spędziła z dala od niego. A mimo to są razem. Czuła pod dłonią bicie serca.

- Jest tak jak dawniej - powiedział, jakby czytając w jej myślach. - A jednak zupełnie inaczej.

- Nie chciałam, żeby to się stało. Przez te lata robiłam wszystko, żeby pozostać z dala od ciebie. - Bev uniosła głowę i zadrżała mu w oczy. - Nie chciałam znów kochać tak bardzo.

- Nigdy z nikim nie było mi dobrze. Nie każ mi odchodzić po raz drugi. Już bym tego nie przetrwał.

Odgarnęła z jego czoła włosy rozjaśnione pierwszym poblaskiem siwizny.

- Zawsze się bałam, że nie potrzebujesz mnie tak naprawdę. A już na pewno nie tak bardzo, jak ja potrzebowałam ciebie.

- Myliłaś się.

- Tak. Wiem. - Schyliła głowę, by go pocałować. - Straciliśmy wiele czasu, Bri. Chciałabym, żebyś wrócił do domu.

Zostali na noc na farmie, w starym łóżku, rozmawiając, kochając się. Późną nocą zadzwonił telefon. Brian odebrał go tylko dlatego, że nie było innego sposobu przywrócenia spokoju.

- Halo!

- Brian McAvoy?

- Przy telefonie.

- Tu Michael Kesselring. Szukam pana wszędzie.

- Kesselring! - powtórzył i pożałował tego natychmiast, czując, jak Bev sztywnieje. - O co chodzi?

- O Emmę.

- Emmę? - Brian usiadł szybko, z ustami wyschniętymi na wiór. Dłoń Bev wpiła mu się w ramię. - Coś się stało?!

Michael wiedział z doświadczenia, że najlepiej mówić takie rzeczy szybko, ale słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

- Jest w szpitalu, tu w L.A. Jest...

- Wypadek?! Miała wypadek?!

- Nie. Została mocno pobita. Wyjaśnię to panu na miejscu.

- Pobita? Emma została pobita? Nie rozumiem.

- Lekarze zajmują się nią w tej chwili. Powiedzieli, że wyzdrowieje, ale będzie pana potrzebowała.

- Przyjedziemy, jak szybko się da.

Bev już wciągała na siebie ubranie.

- Co się stało?

- Nie wiem. Jest w szpitalu w L.A. - Brian zaklął, gmerając przy guzikach koszuli.

Bev zapięła mu je szybko.

- Wyjdzie z tego, Bri. Emma jest bardziej wytrzymała, niż na to wygląda.

Skinął tylko głową i przytulił ją mocno do siebie.

## Rozdział 37

Było ciemno. Przez jej ciało przetaczał się leniwie ból, ospały, odległy ból. Zalewał ją jak ciepły czerwony ocean, przygniatał, odbierając powietrze i światło. Emma próbowała wzniesić się ponad niego, przepłynąć poniżej, ale tępy ból podążał za nią. Ostatecznie może się z nim pogodzić. Ale nie z ciemnością, nie z ciszą!

Próbowała się poruszyć. Kiedy zrozumiała, że nie potrafi określić, czy stoi, czy siedzi, czy leży, ogarnęła ją panika. Nie czuła ramion ani nóg, tylko ten dokuczliwy, jakby płynny ból. Usiłowała przemówić, zawołać kogoś, kogokolwiek. W głębi jej umysłu zrodził się krzyk. Nikt nie odpowiedział.

Wiedziała, że została pobita. Aż za dobrze pamiętała wzrok Drew. Może on ciągle tam jest, obserwuje ją, przyczajony w ciemności. Tym razem ją...

A może już umarła?

Czuła teraz coś więcej niż ból. Czuła gniew. Nie chciała umrzeć. Jęcząc, wyteżyła całą siłę fizyczną i duchową, by unieść powieki. Nie miała nad nimi żadnej władzy, jakby zostały przyszyte do policzków.

Dłoń musnęła jej włosy. Było to zaledwie tchnienie, ale wyczuła je. Fala ślepej paniki przetoczyła się przez nią, spychając ból na dno świadomości.

- Spokojnie, Emmo. Już wszystko dobrze. Musisz odpocząć.

To nie Drew. Nie jego głos, nie jego dotknięcie.

- Jesteś bezpieczna. Przysięgam!

Michael. Chciała wypowiedzieć jego imię, wdzięczna za to, że nie jest sama w ciemnościach. Że żyje. Ale mroczna, czerwona fala potoczyła się ku niej i zalała ją, pociągając w głąb.

Walczyła z nią przez większą część nocy. Lekarz twierdził, że będzie spała. Michael wiedział, że to strach każe jej walczyć ze środkami nasennymi. Czuł, jak przetacza się przez nią za każdym razem, gdy wypływała na powierzchnię.

Mówił do niej, powtarzał te same zapewnienia, godzina po godzinie. Jego głos, a może te słowa zdawały się ją uspokajać. Więc siedział, patrzył i trzymał ją za rękę.

Chciał zrobić coś więcej. Żadne szkolenie, ani nawet lata pracy w policji, nie nauczyły go tego rodzaju cierpliwości. Nie nauczyły go siedzieć bezradnie u boku ukochanej kobiety, podczas gdy ona toczy swoją milczącą walkę. Jej urocza, delikatna twarz była spowita bandażami. Jej smukłe, miękkie ciało skatowane.

Powiedzieli, że nie umrze. Będzie cierpiała fizycznie i psychicznie, ale przeżyje. Rozmiary urazu będzie można ocenić dopiero później. On mógł tylko czekać. I robić sobie wyrzuty.

Powinien ją zmusić do mówienia. Słuchając jej ciężkiego, urywanego oddechu, Michael przeklinał sam siebie. Gdyby w odpowiedniej chwili wywarł na nią presję, powiedziałałaby mu prawdę. Był policjantem, na litość boską! Wiedział, jak wyciągnąć informacje.

Ale on się wahał. Chciał dać jej trochę czasu, trochę prywatności. Chryste! Prywatności! Przetarł dłońmi twarz. Ona potrzebowała dwudziestoczterogodzinnej ochrony policyjnej, nie prywatności! Dał jej czas, zamiast wydusić z nowojorskiej policji nakaz aresztowania.

Leżała w szpitalu, ponieważ zaniedbał swoje obowiązki, ponieważ pozwolił, by uczucia weszły mu w drogę.

Opuścił jej pokój tylko raz, kiedy z Nowego Jorku przyjechali Marianna i Johnno.

- Michael! - Johnno skinął mu na powitanie głową, nie zdejmując ręki z ramienia Marianny. - Co się stało?

Michael potarł oczy wierzchem dłoni.

- Latimer. Dostał się do hotelu.  
- O Boże! - Marianna ścisnęła małego wypchanego psa. - Bardzo źle?  
- Wystarczająco. - Obraz Emmy rozciągniętej na hotelowym dywanie błysnął mu w pamięci. - Złamał jej trzy żebra, zwichnął ramię. Ma naruszone organy wewnętrzne. Nie wiem, ile urazów i ran. A jej twarz... Lekarze twierdzą, że operacja nie będzie konieczna.

Z zaciśniętymi szczękami Johnno patrzył na drzwi pokoju Emmy.

- Gdzie ten sukinsyn?

- Martwy.

- Dobrze. Chcę ją zobaczyć.

Michael zdawał sobie sprawę, że nawet jego obecność irytuje lekarzy. Użył odznaki policyjnej, by nakłonić personel szpitala do ustępstw.

- Idźcie. Załatwię to z pielęgniarką. Będę w poczekalni. - Podobnie jak Johnno wpatrywał się w zamknięte drzwi. - Trzymają ją na środkach uspokajających.

Dał im czas, mitrząc nad kubkiem kawy, roztrząsając wydarzenia poprzedniego dnia, każdy swój krok. Czy mógł zrobić coś, co zmieniłoby bieg wydarzeń? Kwestia czasu, myślał mętnie. Gdyby wyłamał tamte drzwi pięć minut wcześniej, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

Wstał, kiedy wyszli. Marianna miała zaczerwienione oczy, ale uznał, że się nie rozklei. Zajęła krzesło zwolnione przez Michaela.

- Nie powinnam była zostawić jej samej.

- To nie twoja wina - powiedział Johnno.

- Tak, to nie moja wina. Ale nie powinnam jej tu zostawić.

Ignorując tabliczki informujące o zakazie palenia, Johnno wyciągnął papierosa. Zapalił go i podał dziewczynie.

- Marianna powiedziała mi pokrótce, co się stało. Wiesz, oczywiście, że Latimer maltretował Emmę przez ponad rok.

Michael zgniół w dłoni pusty papierowy kubek.

- Nie znam szczegółów. Wezmę od niej zeznanie, gdy tylko będzie mogła je złożyć.

- Zeznanie? - Marianna podniosła wzrok. - Dlaczego musi złożyć zeznanie?

- Taka jest procedura. - Jego wzrok powędrował znowu ku zamkniętym drzwiom. - Formalność.

- Chcę, żebyś ty to zrobił - wtrącił Johnno. - Żeby nie musiały rozmawiać z obcymi.

- Złoży je przede mną.

Z dopalającym się w rękę papierosem, Marianna przyglądała się Michaelowi. Tamta fotografia sprzed dziesięciu lat budziła wiele nadziei i Michael spełnił je wszystkie. W tej chwili był spięty i wyczerpany, ciemne



sińce pod oczami i bruzdy na twarzy świadczyły o godzinach niepokoju, ale Marianna uznała, że jest człowiekiem, na którym można polegać. Obojętne co na ten temat sądziła Emma, Michael Kesselring wyglądał dokładnie tak, jak zdaniem Marianny powinien wyglądać gliniarz.

- Zabiłeś Drew?

Michael oderwał wzrok od drzwi i spojrzał jej w oczy. Nie pamiętał, czy pragnął czegoś w życiu bardziej, niż móc powiedzieć teraz: „tak”.

- Spóźniłem się.

- Więc kto?

- Emma.

- O Jezu! - wykrztusił Johnno.

- Słuchajcie, nie chcę zostawiać jej samej - powiedział Michael. - Będę przy niej siedział. Może pojedziecie do hotelu odpocząć?

- Zostaniemy. - Marianna wzięła Johnno za rękę. - Będziemy się zmieniać. Skinąwszy głową, Michael wrócił do pokoju Emmy.

Obudziła się o świcie. Światło, choć przyćmione, uwolniło ją od koszmaru. Miała tyle snów, tyle dziwnych snów... Większość z nich rozplynęła się, nocne majaki rozproszył dzień. Ale wiedziała, że znów dręczył ją koszmar, słyszała echo muzyki i syk cieni.

Walczyła z resztkami snu, zaniepokojona bezwładem ciała. Z irytacją stwierdziła, że może otworzyć tylko jedno oko. Podniosła dłoń i natrafiła na bandaże. Wtedy sobie przypomniała.

Panika. Wypełniła jej płuca jak dym, dławiąc oddech. Odwróciła głowę i zobaczyła Michaela. Siedział przy łóżku z głową opuszczoną na piersi. Jedną ręką nakrywał jej dłoń. Wystarczyło, że poruszyła palcami, by poderwał się na krzesło.

- Hej! - Uśmiechnął się, zaciskając palce na jej dłoni i podnosząc ją do ust. - Dzień dobry.

- Jak... - Przymknęła oczy zniecierpliwiona własnym szeptem. - Jak długo?

- Przespałeś po prostu noc. Boli?

Bolało, ale pokręciła głową. Ból pozwalał jej wierzyć, że żyje.

- To się stało, prawda? Wszystko?

- Tak, ale już minęło. - Pragnąc otrzymać pociechę niemal równie mocno, jak jej udzielić, przytulił dłoń dziewczyny do policzka. - Pójdę po pielęgniarkę. Chcieli wiedzieć, kiedy się obudzisz.

- Michael, czy ja go zabiłam?

Milczał przez chwilę. Twarz miała posiniaczoną i obandażowaną. Widywał gorsze, ale nieczęsto. A jednak jej dłoń nie drżała. Emma była zmaltretowana, ale nie pokonana.

- Tak. Przez resztę życia nie daruję sobie, że mnie uprzedziłaś.

Zamknęła oczy, ale nadal trzymała go mocno za rękę. Przecież musi być w niej coś, coś poza cieniutkimi strużkami bólu i potwornym zmęczeniem.

- Nie wiem, co powinnam czuć. Chyba nic we mnie nie ma. Ani rozpaczy, ani ulgi, ani żalu. Czuję się po prostu pusta w środku.

Wiedział, co to znaczy - trzymać broń w ręku, strzelać do drugiego człowieka. Na służbie. W samoobronie. Bez względu na to jak ważny, jak naglący był powód użycia broni, świadomość tego, co zrobił, prześladowała go długo.

- Uczyniłaś to, co musiałaś. Tylko o tym pamiętaj. O resztę się nie martw.

- Miał taki piękny głos. Zakochałam się w tym głosie. Chciałabym wiedzieć, dlaczego tak musiało być.

Nie mógł jej pocieszyć, ofiarować gotowych odpowiedzi.

Zostawił ją pod opieką pielęgniarki i poszedł do poczekalni, gdzie Marianna drzemała z głową na ramieniu Johnno. Pokój utrzymany był w pastelowej tonacji, co miało, jak przypuszczał, podtrzymać na duchu rodziny mogące tylko siedzieć i czekać. Cicho pomrukiwał kolorowy telewizor, na stole stały dzbanki z gorącą wodą, leżały torebki z rozpuszczalną kawą i ekspresową herbatą. Znajdowały się tu też dwa telefony i stopy czasopism.

- Obudziła się.

- Obudziła? - Marianna poderwała głowę. - Jak się czuje?

- Dobrze. - Michael nalał sobie kolejny kubek wrzątku i bez większego zainteresowania rozmieszał w nim neskę. - Pamięta, co się stało i radzi sobie z tą świadomością, Jest z nią teraz pielęgniarka. Ściągają lekarza. Wkrótce będziecie mogli tam pójść.

Umilkli, kiedy na ekranie telewizora ukazało się zdjęcie Emmy. Doniesienie było krótkie i brutalne. Pokazano fotografie Emmy i Drew, przytoczono krótkie wywiady z pracownikiem hotelu i dwoma świadkami, którzy usłyszeli hałasy i zawiadomili ochronę hotelu.

Łysiejący, zaróżowiony z podniecenia mężczyzna mówił do mikrofonu. Michael przypomniał sobie, że odsunął go od drzwi pokoju, zanim je wyważył.

- Słyszałem rumor. Ona krzyczała, błagając go, żeby przestał. Brzmiało to tak niepokojąco, że zacząłem walić w drzwi. Potem zjawili się policjanci. Jeden z nich wyważył drzwi. To trwało tylko sekundę, ale zobaczyłem kobietę leżącą na dywanie. Była zalana krwią. Trzymała pistolet i strzelała. Strzelała, dopóki starczyło jej naboju.

Klnąc, Michael podszedł do telefonu.

Na ekranie ukazał się dziennikarz stojący przed szpitalem. Ze smutkiem na twarzy oznajmił, że stan Emmy McAvoy jest poważny.

- Słuchaj! - warknął Michael do słuchawki. - Gównu mnie to obchodzi. Zatrzymaj ich trochę. Chcę umundurowanego policjanta przed jej drzwiami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ma nie dopuścić reporterów. Złożę oświadczenie po południu.

- Nie zatrzymasz ich - powiedział Johnno, kiedy Michael rzucił słuchawkę.

- Trochę opóźnię ich atak.

Johnno wstał. Nie było sensu mówić Michaelowi, że Emma zna cenę sławy. Płaci ją przez całe życie.

- Marianno, idź do Emmy. Ja kupię temu gliniarzowi śniadanie.

- Nie chcę...

- Oczywiście, że chcesz! - przerwał mu w pół słowa. - Nie każdego dnia masz okazję zjeść jajecznicę w towarzystwie żywej legendy. No, idź, Marianno! Powiedz Emmie, że zaraz do niej przyjdę. - Poczekał, aż dziewczyna zniknie w głębi korytarza. - Po raz pierwszy zobaczyłem Emmę, kiedy miała trzy latka. Chowiała się pod zlewem w brudnym mieszkaniu Jane. Już wtedy zbierała niezłe ciągi. Wykaraskała się z tego. Tym razem również to zrobi.

- Powiniennem wziąć nakaz - powiedział Michael. - Powiniennem ją zmusić.

- Od jak dawna jesteś w niej zakochany?

Michael nie odezwał się, z piersi wyrwało mu się tylko długie westchnienie.

- Przez większą część życia. - Podeszedł do okna i otworzył je, wystawiając twarz na podmuch świeżego powietrza. Przechylił się z dłońmi zacisniętymi na metalowej ramie. - Pięć minut. Gdyby on przyszedł pięć minut później albo ja pięć minut wcześniej, zabiłbym go. Miałem broń w ręku, kiedy wpadłem do środka. Powiniennem go zabić za to, co jej zrobił. Tak powinno być.

- Och! To męskie ego! - Kiedy Michael odwrócił się w jego stronę, na twarzy Johnno widniał sarkastyczny uśmiešek. — Myślę, że wiem, co czujesz, ale nie zgadzam się z tobą. Cieszę się, że to Emma sprzątnęła sukiny-syna. Jest w tym jakaś sprawiedliwość. Szkoda tylko, że nie zrobiła tego, zanim ją dopadł. Chodź, synu! - Johnno poklepał go po ramieniu. - Musisz coś zjeść.

Zbyt zmęczony, by się kłócić, Michael poszedł za nim. Byli już przy windach, kiedy drzwi się otworzyły i ujrzeli Bev i Briana.

- Gdzie ona jest?!

- Tutaj. Uspokój się! - Johnno ujął Briana za ramię. -- Marianna jest przy niej. Musisz się opanować, zanim tam wtargniesz. Emma ma dość mocnych wrażeń na jakiś czas.

- To prawda, Bri. - Bev opanowała własne nerwy, by uspokoić Briana. - Nie chcemy jej zdenerwować. I musimy się dowiedzieć, co... Jak to się stało? - spytała Michaela. - Jesteśmy w drodze od chwili, gdy zadzwoniłeś.

- Wczoraj Latimer znalazł Emmę w hotelu.

- Znalazł? - przerwał mu Brian. - Jak to znalazł? Nie byli razem?

- Ukrywała się przed nim od czasu, gdy wniosła o rozwód.

- Rozwód?! - Brian wiedział, że jest otepiały ze zmartwienia i braku snu. Wzięt głęboki oddech i spróbował odzyskać jasność myślenia. - Rozmawiałem z Emmą parę tygodni temu i nie mówiła o rozwodzie.

- Nie mogła nic powiedzieć. Bała się. Latimer maltretował ją przez większą część małżeństwa.

- To jakieś wariactwo! - Brian przeciągnął dłonią po włosach. - Świata poza nią nie widział.

- Ehe! - Michael nie był w stanie dłużej tłumić gniewu. - Kochający mąż! Pieprzony książę! Dlatego była przerażona. Dlatego leży teraz tutaj z rozbitą twarzą i połamanymi zębami. Facet omal nie zakochał jej na śmierć.

Brian patrzył na niego z otwartymi, drżącymi ustami. Jego dłoń zacisnęła się na dłoni Bev, aż kość otarła się o kość.

- On ją pobił?! Chcesz mi powiedzieć, że to on wsadził tutaj Emmę?

- Właśnie.

Rozwścieczony, chwycił Michaela obiema rękami za przód koszuli.

- Gdzie on jest?

- Nie żyje.

- Spokojnie, Bri! - Johnno poklepał Briana po ramieniu, uznając, że wkraczanie między dwóch rozeźlonych mężczyzn nie jest mądrym posunięciem. - Twój wybuch nie pomoże Emmie.

- Chcę ją zobaczyć! - Przyciągnął do siebie Bev. - Chcemy ją zobaczyć natychmiast. - Wszedł do pokoju, mijając w drzwiach Mariannę. W milczeniu patrzył na córkę. - Dziecinko! - Idąc w stronę łóżka, trzymał się kurczowo Bev.

Emma spojrzała na nich. Odruchowo poderwała rękę do poranionego policzka. Potem uniosła obie dłonie i zakryła nimi twarz. Nie chciała, by zobaczył ją w tym stanie.

Łagodnie odsunął jej ręce.

- Emmo! - pocałował ją w czoło. - Tak mi przykro. Tak mi przykro!

Dopiero teraz pozwoliła łzom popłynąć, dukając własne przeprosiny i wyjaśnienia. W końcu opadła wyczerpana i leżała z dłonią w jego dłoni.

- Nie wiem nawet, jak to się wszystko stało. Ani dlaczego. Chciałam tylko, żeby ktoś mnie kochał, tylko mnie. Chciałam mieć rodzinę i myślałam... - wydała długie westchnienie. - Myślałam, że on jest taki jak ty.

Zaprzagnął wtedy zapłakać. Zaprzagnął złożyć głowę na jej piersi i szlochać. Ale uniosł tylko dłoń Emmy do ust.

- Nie martw się tym teraz. Nawet o tym nie myśl. Nikt cię już nigdy nie skrzywdzi. Przysięgam!

- Najważniejsze, że jesteś już bezpieczna. - Bev odgarnęła delikatnie kosmyk włosów z zabandażowanego czoła Emmy. - Tylko to się liczy.

- Zabiłam go - szepnęła Emma. - Powiedzieli wam, że go zabiłam?

Oczy Bev i Briana spotkały się nad głową córki.

- To... już minęło.- Brian, zaszokowany, sięgnął znowu po rękę Emmy.

- Nie posłuchałam cię. Nie chciałam słuchać. - Zaciśnęła palce wokół jego dłoni. - Byłam zła i urażona, ponieważ myślałeś, że on chce mnie wykorzystać.

- Ciii... - Przycisnął usta do jej palców.

- Miałeś rację. - Powiedziała to wraz z długim westchnieniem udręki. - Nigdy mnie nie chciał ani mnie nie kochał. Nie mnie. A kiedy okazało się, że ja nie wystarczę, by mógł zrealizować swoje cele, zaczął mnie nienawidzić.

- Nie chcę, żebyś teraz o tym mówiła - nalegał Brian. - Chcę tylko, żebyś odpoczywała i starała się wyzdobrzeć.

Ma rację, pomyślała Emma. Była zbyt zmęczona, by się zastanawiać.

- Cieszę się, że tu jesteś, tato. Przykro mi, że tak się od ciebie ostatnio odsunęłam.

- Oboje popełniliśmy błąd, ale to już przeszłość. - Uśmiechnął się do niej. - Mamy teraz mnóstwo czasu, by nadrobić zaległości.

- Chcemy, żebyś pojechała do domu. - Bev dotknęła policzka Briana. - Z nami.

- Z wami?

- Tak. - Brian uniósł dłoń, złączył ją z dłonią Bev. - Mamy mnóstwo zaległości, cała nasza trójka.

- Kiedy obudziłam się dziś rano, nie sądziłam, że zdarzy mi się jeszcze w życiu coś szczęśliwego. Ale jestem szczęśliwa za was. O reszcie pomyślę później.

- Nie ma pośpiechu. - Bev pochyliła się, by ucałować jej policzek. - Pozwolimy ci teraz trochę pospać.

- Kesselring!

Dochodziło południe, kiedy McCarthy znalazł Michaela w szpitalnej poczekalni.

- Jezu! Wprowadziłeś się tutaj?

- Kawy?

- Nie, jeżeli będę po niej wyglądał tak jak ty. - Rzucił Michaelowi torbę. — Świeże ciuchy i golenie. Nakarmiłem twójgo psa.

- Dzięki.

McCarthy zmienił zdanie w sprawie kawy i gderał nad torebką proszkowanej śmietanki. Zatrucie życia Michaelowi stanowiło jego ulubioną rozrywkę, ale teraz uznał, że stary Mike ma tyle kłopotów, ile jest w stanie znieść.

- Jak ona się miewa?

- Cierpi.

- Dwier chce otrzymać zeznanie. - W głosie McCarthy'ego zabrzmiało szyderstwo skierowane pod adresem kapitana.

- Ja się tym zajmę.

- On wie, że jesteś... przyjacielem ofiary. Chce, żebym ja to zrobił.

- Ja się tym zajmę - powtórzył Michael, topiąc cukier w kubku, bardziej dla jego kalorii niż wartości smakowych. Kawa straciła dla niego smak wiele godzin temu. - Przywiozłeś stenografa?

- Ehe! Czeka.

- Zobaczą, czy Emma jest gotowa. - Michael przełknął kawę jak lekarstwo i wyrzucił kubek. - Co z prasą?

- Chcą czegoś na godzinę drugą.

Michael zerknął na zegarek i poszedł się przebrać. Piętnaście minut później znalazł się w pokoju Emmy. Był z nią teraz P.M. Podobnie jak oni wszyscy, wyglądał na ofiarę powodzi. Zaszokowany, wymięty po podróży, poszarżały na twarzy, zmęczony. Ale sprawił, że Emma się uśmiechnęła.

- P.M. zostanie tatusiem - poinformowała Michaela.

- Moje gratulacje.

- Dzięki. - P.M. czuł się nieswojo, stojąc przy łóżku, szukając właściwych słów. Starając się uniknąć niewłaściwych. Stevie przyleciał z nim z Londynu. Na lotnisku zobaczyli gazety. Nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć sobie, a tym bardziej Emmie. - No to ja już pójdę. - Pocałował ją, potem przystanął i pocałował ją jeszcze raz. - Wrócimy później.

- Dziękuję za kwiaty. - Uniosła dłoń ku fiołkom na tacy. - Są piękne.

- No cóż... - Ze ściśniętym sercem stał przez chwilę patrząc na nią, potem zostawił ich samych.

- Czują się nieswojo - szepnęła Emma. - Oni wszyscy. - Jej dłonie wędrowały niespokojnie po kocu, aż natrafiły na Karola. - Ciężko oglądać wyraz ich oczu, kiedy tu wchodzi. Przypuszczam, że nie wyglądam najlepiej.

- Po raz pierwszy słyszę, żebyś domagała się komplementu. - Usiadł koło niej. - Przez te pielgrzymki nie zdołałaś wcale wypocząć.

- Nie chcę być sama. Siedziałaś przy mnie całą noc. - Wyciągnęła ku niemu dłoń. - Słyszałam, że do mnie mówisz i wiedziałam, że jeszcze żyję. Chciałam ci za to podziękować.

- Kocham cię, Emmo. - Michael oparł czoło na ich złączonych dłoniach. Nie dała mu żadnej odpowiedzi, podczas gdy on próbował zapanować

nad emocjami. Niewłaściwa chwila, niewłaściwe miejsce. Z westchnieniem podniósł się i zaczął przemierzać pokój. - Sądzę, że będziesz musiała o tym myśleć, skoro już to powiedziałem. W każdym razie, jeżeli czujesz się na siłach, chciałbym sporządzić raport.

Patrzyła, jak krąży niespokojnie po pokoju. Nie mogła mu teraz nic powiedzieć, nie teraz, kiedy czuła się martwa w środku. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej... Czy potrafiłaby wtedy wyciągnąć ku niemu dłoń? Gdyby mogła zaufać... Ale nie mogła.

- Z kim mam rozmawiać?

- Możesz ze mną. - Kiedy odwrócił się ku niej, był już opanowany. - Albo mogę sprowadzić policjantkę, jeżeli wolisz.

- Nie. - Emma skubała teraz fiołki. - Wolę rozmawiać z tobą.

- Stenograf czeka na zewnątrz.

- Dobrze. Zróbmy to zaraz. Chcę mieć to już za sobą.

Nie było jej łatwo. A sądziła, że będzie, skoro uczucia w niej zamarły. Okazało się, że jest ich dość, by obudzić wstyd. Mówiąc, nie patrzyła na Michaela. Opowiedziała mu wszystko. Miała nadzieję, że opowiadając o lęku, wstydzie i upokorzeniach, pozbędzie się ich. Ale kiedy skończyła, czuła tylko zmęczenie.

Skinieniem głowy Michael zwolnił stenografa. Nie mógł mówić, nie śmiał.

- Czy to wszystko, czego potrzebujesz? - zapytała.

Ponownie skinął głową. Musiał się stąd wydostać.

- Przepiszemy to na maszynie. Możesz podpisać potem, kiedy będziesz się czuła na siłach. Wrócę później.

Wypadł z pokoju i ruszył w stronę wind. Zatrzymał go McCarthy.

- Dwier chce widzieć cię na posterunku NATYCHMIAST. Dziennikarze mają pianę na ustach.

- Pieprzyć ich. Idę się przejść.

W Londynie Robert Blackpool przeczytał doniesienia prasowe. Ubawił się setnie. Historie z Fleet Street były najlepsze. Całe to bajdurzenie o morderstwie z namiętności. I udało im się zrobić parę zdjęć. Były zamazane, trochę nieostre, ale ogromnie satysfakcjonujące. Emma wnoszona na noszach do karetki pogotowia. Jej twarz przypominała surowy befsztyk, a to sprawiło Blackpoolowi sporą przyjemność.

Nigdy nie zapomni, jak go potraktowała.

Cóż za szkoda, że Latimer nie zatłukł jej na śmierć. Ale z drugiej strony, istniały inne sposoby rewanżu.

Ujął słuchawkę telefonu i wykręcił numer londyńskiego, „Time'a”.

Pete posiniał z wściekłości, kiedy następnego dnia przeczytał artykuł. Robert Blackpool, wyrażając żal z powodu śmierci tak utalentowanego,

młodego artysty jak Latimer, czuje się w obowiązku wspomnieć o wydarzeniu dotyczącym jego i Emmy. Panna McAvoy była wściekle zazdrosna o jego związek z przyjaciółką. Kiedy próby poderwania Blackpoola zawiodły, zaatakowała go nożyczkami. „Głód miłości zmusza Emmę do przemocy!” - głośno się nagłówek.

Jak należało przypuszczać, artykuł wzbudził sensację. Opinie były podzielone. Niektórzy twierdzili, że Emma zabiła męża w samoobronie, inni, że w ataku zazdrości.

Pete chwycił za słuchawkę.

- Ty pieprzony lunatyku!  
- A, dzień dobry panu! - zachichotał Blackpool. Oczekiwał tego telefonu.  
- Co ty, u diabła, robisz, rozповідаjąc takie historie? Mam dość bałaganu do uprzątnięcia.

- Nie mojego, kolego. Jeżeli pytasz mnie o zdanie, Emma dostała to, na co zasługiwała.

- Nie pytam cię o zdanie. Mówię ci, żebyś się odchrzanił.

- A niby dlaczego? Potrzebna mi reklama. Zawsze powtarzasz, że dobra prasa sprzedaje płyty, czyż nie tak?

- Mówię, żebyś się odchrzanił.

- Albo...?

- Nie mam ochoty ci grozić, Robercie. Uwierz mi po prostu na słowo, że rozgrzebywanie brzydkich sekretów nie wyjdzie ci na zdrowie.

Nastąpiła długa, bucząca przerwa.

- Byłem jej to winien.

- Może. To nie moja sprawa. Twoje akcje znacznie spadły w ostatnich latach. Wytwórnice mają to do siebie, że przypominają chorągiewki na wieżach. Nie chciałbyś chyba szukać nowego menedżera, prawda?

- Wrócimy na szczyt, Pete. Sądzę, że żaden z nas nie chce zrywać starej przyjaźni.

- Pamiętaj o tym. Narozrabiasz, a odrzucę cię jak starą skarpetę.

- Potrzebujesz mnie tak samo, jak ja potrzebuję ciebie.

- Wątpię. - Pete uśmiechnął się do słuchawki. - Bardzo w to wątpię.

## Rozdział 38

Michael przemierzał korytarz. Przystanął na chwilę, machnął papierosem i podjął spacer.

- Nie podoba mi się to.



- Przykro mi z tego powodu. - Emma oddychała ostrożnie. Po trzech tygodniach nadal kłuło ją w klatce piersiowej przy każdym gwałtownym ruchu. - Chcę to zrobić, ponieważ wiem, że to najlepsze rozwiązanie.

- Robienie konferencji prasowej w dniu wyjścia ze szpitala jest głupie. I dowodzi uporu.

- Lepiej złożyć oficjalne oświadczenie, niż próbować ich okpić. - Jej ton był swobodny, ale ramiona pod bawełnianym żakietem zimne jak lód. - Wierz mi, wiem na ten temat więcej niż ty.

- Jeżeli masz na myśli gówniane rewelacje Blackpoola, sprawa już uci-chała. Wyrządził większą szkodę sobie niż tobie.

- Mam gdzieś Blackpoola. Obchodzi mnie tylko moja rodzina. Wiele ostatnio przeszli. A poza tym, ja też chcę się wypowiedzieć. - Ruszyła w stronę sali konferencyjnej, potem zatrzymała się i obejrzała za siebie. - Według orzeczenia policyjnego działałam w samoobronie. Przez ostatnie trzy tygodnie przekonywałam samą siebie, że to prawda. Chcę, żeby moja karta pozostała czysta, Michael.

Nie było sensu się z nią kłócić. Znał Emmę już na tyle, by to rozumieć. Ale spróbował mimo wszystko.

- Prasa stoi za tobą w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

- Ale ten jeden procent tworzy brzydką plamę.

Zmięknął na tyle, że podszedł do niej i przesunął kciukiem po jej policzku.

- Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego życie tak się czasem popieprzy?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Zaczynam wierzyć, że Bóg jest człowiekiem. Idziesz tam ze mną?

- Jasne.

Dziennikarze już czekali, trzymając w pogotowiu kamery, światła i mikrofony. Flesze rozbłysły w chwili, gdy weszła na podium. Fala szeptów przetoczyła się przez salę. Emma była bardzo blada. Siniaki i zadrapania stanowiły jaskrawy kontrast z jej skórą. Z lewego oka zeszała wprawdzie opuchlizna, ale nadal otaczała je sinofioletowa plama, która rozlewała się na policzek i czoło.

Kiedy zaczęła mówić, zapadła cisza.

Podawała im tylko fakty, zachowując uczucia dla siebie. Tyle zdołała się nauczyć. To, co czuła, było jej wyłączną własnością. Oświadczenie nie zajęło więcej niż osiem minut. Czytając, poczuła wdzięczność do Pete'a, że pomógł jej zredagować treść przemówienia. Nie widziała kamer i twarzy ludzi, którzy jej się przypatrywali. Odeszła od mikrofonu w chwili, gdy skończyła czytać. Ustalono, że nie będzie pytań, ale pytania padły.

Odwróciła się z dłonią na ramieniu Michaela, kiedy jedno z nich przykuło jej uwagę.

- Skoro on maltretował panią przez tyle miesięcy, dlaczego go pani nie opuściła?

Nie miała zamiaru odpowiadać, ale się obejrzała. Pytania padały jedno po drugim, ale tylko to jedno czepiało się jej umysłu.

- Dlaczego zostałam? - powtórzyła. Salę zaległa ponownie cisza. Łatwo było przeczytać oświadczenie. Znała je niemal na pamięć. Słowa, czarne znaczki wydrukowane na papierze, nie mogły jej dotknąć. Ale to jedno proste pytanie trafiło wprost do jej serca. - Dlaczego zostałam? - powiedziała znowu. - Nie wiem - zająknęła się, zapominając o tym, że nie powinna patrzeć w twarze tych ludzi, że nie powinna ich widzieć. Odpowiedź wydała jej się niezwykle ważna. - Nie wiem. Gdyby dwa lata temu ktoś powiedział mi, że pozwolę się maltretować, uznałabym go za szaleńca. Nie chcę wierzyć, że wybrałam sobie rolę ofiary. - Emma posłała Michaelowi szybkie, rozpaczliwe spojrzenie. - A jednak zostałam. On mnie bił i upokarzał, ale go nie opuściłam. Czasami widziałam siebie, jak uciekam. Jak idę do windy, wychodzę na ulicę. Ale nie zrobiłam tego. Zostałam, ponieważ się bałam i opuściłam go z tego samego powodu. Więc to nie ma sensu. Nie ma sensu - powtórzyła i odwróciła się. Tym razem zignorowała pytania.

- Świetnie sobie poradziłaś - powiedział - Michael. - Zabieramy cię stąd. Samochód McCarthy'ego czeka na zewnątrz.

Pojechali do Malibu, do domu na plaży, który wynajął Brian. Emma przebyła tę drogę w milczeniu. Jedno zdanie odbijało się echem w jej umyśle.

„Dlaczego pani została?”

Lubiła siadywać rankami na tarasie, patrzeć na wodę i słuchać krzyku mew. Kiedy nużyło ją siedzenie, chodziła na długie spacerunki po plaży. Zewnętrzne ślady pobicia znikły. Żebra dokuczały jej jeszcze czasami, a na podbródku widniała cieniutka blizna. Mogła ją łatwo usunąć, ale odrzuciła myśl o operacji plastycznej. Blizna była ledwo widoczna. I przypominała jej o tym, co się stało.

Koszmary stanowiły kolejną spuściznę. Zdarzały się z nużącą regularnością, kompilacja starych i nowych. Czasami przemierzała ciemny korytarz jako dziecko, czasami jako dorosła kobieta. Muzyka grała zawsze, choć przytłumione, rozmyte dźwięki dobiegały jakby spod wody. Czasami na wyraźne nawoływania Darrena nakładał się głos Drew. Zamierała przed drzwiami zarówno jako dziecko, jak i kobieta, bojąc się nacisnąć klamkę.

Kiedy jej dłoń zamykała się na gałce, budziła się zlana potem.

Ale dnie były spokojne. Od morza wiała lekka bryza, w powietrzu unosił się zapach kwiatów, które Bev zasadziła w skrzynkach okiennych.

Los pozwolił jej obserwować, jak ojciec i Bev rozpoczynają życie na nowo. To okazało się najlepszym lekarstwem. Dom rozbrzmiewał śmiechem i muzyką. Bev eksperymentowała w kuchni, Brian grał na gitarze w cieniu drzew. Nocami leżała często bezsennie, myśląc o rodzicach. Wydawało się, że ich rozłąka w ogóle nie istniała. Z jaką łatwością zarzucili most nad przepaścią dwudziestu lat.

I chciało jej się płakać, ponieważ już nigdy nie będzie dzieckiem i nie zdoła naprawić popełnionych błędów.

Nie tęskniła za Nowym Jorkiem, choć brakowało jej Marianny. Miesiące, które spędziła tam z Drew, obrzydziły jej to miasto. Wróci, obiecała sobie, ale już nigdy tam nie zamieszka.

Wolała patrzeć na wodę, czuć na twarzy promienie słońca. Byłaby sama w Nowym Jorku. Tutaj miała wokół siebie ludzi.

Johnno przyjechał dwa razy z dwutygodniową wizytą. Na urodziny dał jej broszkę, złotego feniksa wznoszącego się z rubinowego płomienia. Nosiła go często, marząc o tym, by mieć odwagę znów rozpiąć skrzydła.

RM. poślubił lady Annabelle. W drodze na Karaiby zahaczyli o L.A. Widok pani Ferguson, zakochanej do szaleństwa, niemal przywrócił Emmie wiarę w instytucję małżeństwa. Choć pulchna i ciężarna, Annabelle włożyła do ślubu minispódniczkę z białej skóry. Wszystko wskazywało na to, że P.M. jest zachwycony żoną.

Nawet teraz w domu byli goście. Stevie i Katherine Haynes przyjechali poprzedniego wieczoru. Emma leżała bezsennie, długo w noc, słuchając gry ojca i Steviego. Zupełnie jak dawniej, myślała. Muzyka sprawiła, że zatęskniła za wczesnym dzieciństwem, kiedy Brian przybył po nią i zabrał, niby Kopciuszka, na niekończący się bal.

- Dzień dobry!

Katherine weszła na taras z dwoma kubkami kawy.

- Dzień dobry.

- Zobaczyłam, że tu siedzisz, i pomyślałam, że może masz ochotę na kawę.

- Dzięki. Piękny ranek.

- Mhm. Nie mogłabym go przespać. - Katherine usiadła na krześle obok Emmy. - Tylko my jesteśmy na nogach?

- Tak. - Upiła łyczek.

- Podróże sprawiają, że robię się niespokojna. Przypuszczam, że masz tu sporo obiektów do fotografowania.

Emma od roku nie trzymała aparatu w ręku i była pewna, że Katherine o tym wie.

- Ładne miejsce.

- Zupełnie inne niż Nowy Jork.

- Tak.

- Chcesz, żebym sobie poszła?

- Nie, przepraszam. - Emma zaczęła bębnić palcami w kubek. - Nie chciałam być niegrzeczna.

- Ale czujesz się nieswojo w moim towarzystwie.

- Z uwagi na twój zawód.

Katherine wyciągnęła przed siebie nogi i oparła łokcie o poręcz fotela.

- Jestem tu jako przyjaciel, nie jako lekarz. - Czekąca, obserwując mewę, która szybowała ku wodzie. - Ale nie byłabym dobrym przyjacielem ani dobrym lekarzem, gdybym nie starała się pomóc.

- Czuję się świetnie.

- Wyglądasz świetnie. Ale nie wszystkie rany widać gołym okiem, prawda?

Emma spojrzała na nią spokojnym, beznamiętnym wzrokiem.

- Być może, ale mówią, że czas jest najlepszym lekarstwem.

- Gdyby tak rzeczywiście było, poszłabym z torbami. Rodzice martwią się o ciebie, Emmo.

- Niepotrzebnie. Nie chcę, żeby się martwili.

- Kochają cię.

- Drew nie żyje - powiedziała Emma. - Już mnie nie może skrzywdzić.

- Nie może cię już bić - zgodziła się Katherine. - Ale ciągle jeszcze może cię krzywdzić. - Katherine pograżyła się w milczeniu, sącząc kawę, patrząc na fale. - Jesteś zbyt dobrze wychowana, żeby posłać mnie do diabła.

- Rozważam tę możliwość.

Katherine roześmiała się krótko.

- Pewnego dnia opowiem ci o wszystkich diabłach, do których posłał mnie Stevie. Wątpię, czy zdołałabyś go przelicytować.

- Kochasz go?

- Tak.

- I wyjdiesz za niego?

Nieco zbity z tropu, Katherine uniosła jedno ramię.

- Zapytaj mnie o to za pół roku. Bev mówiła, że widzisz się z kimś o imieniu Michael.

- To przyjaciel.

„Kocham cię, Emmo”.

- Przyjaciel - powtórzyła, odstawiając kubek.

- Policjant, prawda? Syn człowieka, który prowadził śledztwo w sprawie morderstwa twojego brata? - Przechodząc do porządku dziennego nad milczeniem Emmy, ciągnęła dalej. - Dziwne, jakie kręgi zatacza życie. Sprawia, że czujemy się jak szczeniaki biegające za własnym ognem. Byłam po koszmarnym rozwodzie, kiedy poznałam Steviego. Moje

ego znajdowało się w strasznym stanie, a moja opinia o mężczyznach... No cóż, powiedzmy po prostu, że pewne gatunki ślimaków wydawały mi się bardziej atrakcyjne. Znienawidziłam Steviego od pierwszego wejrzenia. Na płaszczyźnie prywatnej. Zawodowo robiłam, co mogłam, żeby mu pomóc i mieć go z głowy. No i proszę, co się porobiło.

Emma podniosła kubek z wystygłą kawą i choć nie miała już na to ochoty, upiła łyk.

- Czułaś, że poniosłaś klęskę?

- W moim małżeństwie? - Katherine nadała głosowi lekkie brzmienie. Zastanawiała się, czy Emma zada to pytanie. - Tak. I rzeczywiście tak było. Ale ludzie cały czas ponoszą klęski. Szkopuł w tym, żeby nie tylko o tym wiedzieć, ale żeby się z tym pogodzić.

- Poniosłam klęskę z Drew i pogodziłam się z tym. Czy właśnie to chciałaś usłyszeć?

- Nie chcę, żebyś cokolwiek mówiła, chyba że sama tego chcesz.

- Zawiodłam samą siebie. - Emma poderwała się, uderzając kubkiem o drewniany blat stolika. - Robiłam to przez wszystkie te miesiące. Czy to jest właściwa odpowiedź?

- A jest?

Emma zaklęła i odwróciła się ku barierce.

- Nie potrzebuję sesji psychoterapeutycznej. Gdybym potrzebowała, do tej pory zatrudniłabym już tuzin psychiatrów.

- Wiesz, zrobiłaś na mnie duże wrażenie za pierwszym razem, kiedy cię zobaczyłam. Miałaś właśnie zamiar wymaszerować z pokoju Steviego, po tym, jak zmyłaś mu głowę, o czym ja od dawna marzyłam. On też uważał, że nie potrzebuje pomocy.

- Nie jestem Steviem.

- Nie, nie jesteś. - Katherine wstała. Nie dorównywała Emmie wzrostem, ale kiedy przybierała ostry ton, emanowała od niej siła. - Czy mam ci przytoczyć liczby dotyczące maltretowanych kobiet? W tym kraju zdarza się to co osiemnaście sekund. Zaskoczona? - zapytała, napotkawszy wlepiony w nią wzrok Emmy. - Myślałaś, że jesteś jedynym członkiem tego ekskluzywnego klubu? A może powiedzić ci, ile z tych kobiet zostaje ze swoimi prześladowcami? I to nie zawsze dlatego, że nie mają rodzin czy przyjaciół, do których mogłyby zwrócić się o pomoc, albo dlatego, że są biedne czy niewykształcone. One się boją, ich poczucie godności zostało zniszczone. Są zdezorientowane, gnębione wstydem. Na jedną, która znajdzie pomoc, przypada tuzin, które jej nie otrzymają. Ty żyjesz, Emmo, ale nie można jeszcze powiedzieć, że przeżyłaś. Jeszcze nie.

- Nie. - Emma okręciła się na pięcie. Oczy miała wilgotne, ale malowała się w nich furia. - Muszę z tym żyć, dzień po dniu. Myślisz, że mówienie

o tym pomaga, że pomaga wynajdywanie wymówek i logicznych przyczyn? Jakie to ma znaczenie, dlaczego? To się stało. A teraz idę na spacer. - Emma zbiegła ze schodków i ruszyła ku plaży.

Katherine była cierpliwą kobietą. Przez dwa dni nie mówiła nic, nie wspomniała nawet o tej rozmowie. Czekała, a Emma utrzymywała uprzejmy dystans.

Katherine nie mogła powiedzieć, by te dni nie obfitowały w wydarzenia. Stevie chciał pokazać jej wszystko, co w Kalifornii godne zobaczenia. Zaliczali więc kolejne atrakcje turystyczne od chodnika gwiazd po Disneyland i Knobby Farm. Wieczorami odwiedzali nocne lokale. Czasami jeździli sami, czasami w grupie. Najbardziej jednak lubiła wieczory spędzane w domu, kiedy Stevie siedział i godzinami zajmował się swoją gitarą.

Ale nieustannie myślała o Emmie. Stevie rozumiał - być może dlatego się w nim kochała - że ona po prostu musi pomóc, nawet jeżeli jej pomoc jest odrzucana.

Spróbowała ponownie pewnego dnia, kiedy usłyszała, że Emma schodzi na dół na długo przed świtem. Poszła za nią i stwierdziła, że na parterze palą się wszystkie światła. Emma siedziała w kuchni przy stole śniadaniowym i gapiła się w ciemne okno.

- Mam ochotę na herbatę - oświadczyła Katherine pogodnie i podeszła do kuchenki. - Tylko herbata może mnie pocieszyć, kiedy budzę się tak rano. - Nie skomentowała łez obsychających na policzkach Emmy. Zajęła się filiżankami i spodkami. - Podziwiam twoją matkę. Dodaje parę drobiazgów i zmienia kuchnię w najprzytulniejsze pomieszczenie w domu. W mojej czuję się jak w cudzej szafie.

Wyspała herbatę do ręcznie malowanego imbryka w kształcie krowy.

- Stevie zabrał mnie wczoraj na wycieczkę po Universal Studios. Byłaś tam kiedyś? - Katherine czekała na odpowiedź tylko ułamek sekundy, po czym mówiła dalej. - Przyjrzałam się rekinowi ze *Szczęk* i dziwi mnie, dlaczego tak się bałam na filmie. Ale w końcu wszystko przecież sprowadza się do wyobrażeń i iluzji. - Dolała wrzątku do imbryka i pozwoliła herbatce naciągnąć. - Potem wybraliśmy się na przejażdżkę tramwajem po domu Normana Batesa, wiesz, tego z *Psycho*? Wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, tylko brak w nim grozy. Tak już jest, że jeżeli wyrwiemy coś z kontekstu, nawet coś przerażającego, traci to swoją moc. Staje się po prostu dziwnym małym domkiem albo mechaniczną rybą.

- Życie nie jest takie jak film.

- Nie, ale zawsze uważałam, że istnieją interesujące podobieństwa. Śmietanki?

- Nie, dziękuję. — Emma patrzyła w milczeniu, jak Katherine nalewa herbatę. Słowa popłynęły z jej ust, zanim mogła je powstrzymać. - Niekiedy

jest tak, jakby ten okres spędzony z Drew był filmem. Czasem mogę spojrzeć na to życie z dystansu. A potem, w taki ranek jak dziś, kiedy budzę się przed świtem, myślę, że jestem w Nowym Jorku, w mieszkaniu, a Drew śpi obok mnie. Niemal wyczuwam jego oddech w ciemności. I wtedy te ostatnie miesiące tutaj stają się filmem. Czy to oznacza, że oszalałam?

- Nie. To oznacza, że przeszedłeś straszną próbę.

- Ale jego już nie ma. Wiem o tym. Więc dlaczego ciągle się boję?

- Boisz się?

Nie mogła opanować rąk. Przeszawiiała i gładziła przedmioty na stole. Kieliszek do wina, koszyk owoców, cukiernicę stanowiącą komplet z krowiastym imbrykiem...

- On bawił się ze mną jak kot myszą. Po tym, jak powiedziałam mu o Darrenie wszystko, co zapamiętałam, wszystko, co czułam. Wstawał z łóżka, kiedy spałam. - Emma wyrzucała teraz z siebie słowa, jakby bała się, że nie zdąży ich wszystkich wypowiedzieć. - Nastawiał płytę, tę, którą grali, kiedy Darren został zamordowany. Potem mnie wołał, szepotał moje imię, dopóki się nie obudziłam w ciemnościach. Próbowałam zapalić lampę, ale on wyłączał ją z gniazdka, więc siedziałam tylko na łóżku i błagałam, żeby to się skończyło. Kiedy zaczynałam krzyczeć, przychodził. Mówił, że to sen. Teraz, kiedy budzę się z koszmaru, leżę w łóżku, zamieram z przerażenia, że Drew otworzy drzwi i powie, że to był sen.

- Miałeś koszmar dzisiaj?

- Tak.

- Możesz mi o nim opowiedzieć?

- Śni mi się zawsze to samo. Noc, kiedy Darren został zabity. Budzę się, tak jak wtedy się obudziłam. Korytarz jest ciemny, słyszeć muzykę, a ja się boję. Słyszę, jak Darren płacze. Czasem dochodzę do drzwi i w pokoju jest Drew. Czasem ktoś inny, ale nie wiem, kto.

- Chcesz się dowiedzieć?

- Teraz tak, kiedy czuję się bezpieczna. Ale we śnie nie chcę. Boję się, że umrę, jeżeli on mnie dotknie.

- Czujesz się zagrożona przez tego mężczyznę?

- Tak.

- Skąd wiesz, że to mężczyzna?

- Ja... - zawahała się. Ciemność nabierała szarawego odcienia. Przez otwarte okno dolatywał krzyk mew jak płacz dziecka. - Nie wiem skąd, ale jestem tego pewna.

- Czujesz się zagrożona przez mężczyzn z powodu tego, co uczynił ci Drew?

- Nie boję się taty ani Steviego. Nigdy nie bałam się Johnno ani P.M. Nie mogłabym.

- A Michaela?

Emma uniosła filiżankę po raz pierwszy i napiła się zimnej herbaty.

- Nie boję się, że zrobi mi krzywdę.

- Ale się boisz?

- Boję się, że nie potrafię... - urwała, kręcąc głową. - To nie ma nic wspólnego z Michaeliem. Tu chodzi o mnie.

- To naturalne, że lękasz się związku fizycznego, skoro ostatnie doświadczenia przyniosły ci tylko ból i upokorzenia. Twój umysł mówi ci, że to nie są cele ani normalne rezultaty intymności, ale rozum i emocje chadzają innymi drogami.

Emma prawie się uśmiechnęła.

- Uważasz, że koszmary są wynikiem tłumienia popędów seksualnych?

- Z całą pewnością uważałby tak Freud. Ale z drugiej strony, jestem niemal pewna, że facet był lunatykiem. Po prostu rozważam możliwości.

- Myślę, że Michaela możemy wykluczyć. Nigdy mnie nie prosił, żebym poszła z nim do łóżka.

Nie „kochała się”, odnotowała Katherine, lecz „poszła do łóżka”. Zajmie się tym później.

- A chciałaś?

Teraz Emma się uśmiechnęła. Nadszedł świt, a wraz z nim bezpieczeństwo poranka.

- Zawsze zastanawiałam się, czy psychiatrzy nie są po prostu plotkarzami.

- Okay, wycofuję pytanie. Czy mogę ci coś zasugerować?

- Tak.

- Weź dzisiaj aparat i idź robić zdjęcia. Drew pozbawił cię wielu rzeczy. Dlaczego nie udowodnisz samej sobie, że nie odebrał ci wszystkiego?

Emma nie wiedziała, dlaczego posłuchała rady Katherine. Nie miała pojęcia, co mogłaby sfotografować. Ludzie zawsze byli jej ulubionym obiektem, ale stroniła od nich zbyt długo. A jednak musiała przyznać, że dobrze się czuła z aparatem w ręku, zmieniając obiektywy, planując ujęcie.

Spędziła rano, ujmując w kadry palmy i budynki. Fotki nie zdobyłyby żadnej nagrody, ale sam mechanizm robienia zdjęć działał uspokajająco. Do południa wystrzelała dwie rolki filmu i zdziwiła się, dlaczego na tak długo zrezygnowała z czegoś, co kocha.

Nie potrafiłaby również powiedzieć, dlaczego skierowała samochód w stronę domu Michaela. Niedzielny rano był zbyt piękny, by spędzać go samotnie. Poza tym nigdy nie zrobiła Michaelowi zdjęcia, z wyjątkiem tamtej fotki w dzieciństwie, no i Conroy też stanowił wdzięczny obiekt. Zdawała



sobie sprawę, że są to błahie preteksty. Parkując wóz przed domem Michaela, uznała, że wystarczają jej w zupełności.

Jego samochód stał na podjeździe, ale Michael nie odpowiadał. Pies zaczął szczekać, ledwo zapukała, i teraz skomlał i skrobał w drzwi. Usłyszała, jak Michael posyła go do diabła, i uśmiechnęła się szeroko.

W chwili, gdy otworzył drzwi, zrozumiała, że go obudziła. Minęło południe, ale Michael miał mętny wzrok i ciężkie powieki. Ubrany był tylko w dżinsy, najwyraźniej naciągnięte w pośpiechu i tylko do połowy zapięte. Przesunął ręką po twarzy i włosach.

- Emma?

- Tak. Przepraszam, Michael. Powinam zadzwonić.

Zmrużył oczy przed słońcem.

- Coś się stało?

- Nie. Posłuchaj, nie będę ci przeszkadzać. Po prostu przejeżdżałam tędy i...

- Nie, wejdz. - Sięgając po jej rękę, obejrzał się za siebie. Cholera!

- Michael, naprawdę! Wpadłam w nieodpowiedniej chwili. Po prostu... - Przekroczyła próg. Musiała zmrużyć oczy, żeby zobaczyć coś w półmroku. - O Boże! - Widok pochłonała całą jej uwagę. Salon wyglądał, jakby najechała go horda wyjątkowo złośliwych duchów. - Zostałeś obrabowany?!

- Nie. - Zbyt otumaniony, by martwić się o pozory, zaciągnął ją do kuchni. Pies szczekał i biegał wokół nich w podskokach.

- A więc urządziłeś przyjęcie - zdecydowała i trochę się nadała, że jej nie zaprosił.

- Nie. O Boże, spraw, żeby gdzieś tu była kawa! - mamrotał, przeszukując szatki.

- Jest tutaj. — Emma znalazła puszkę maxwella w zlewie wraz z paczką chipsów. - Chcesz, żebym ci...

- Nie. - Odsunął ją na bok. - Sam mogę zrobić tę cholerną kawę. Conroy, jeżeli nie zamkniesz mordy, zawiążę ci jęzor wokół szyi. - Wziął chipsy i położył je na podłodze, żeby pies mógł się nimi uraczyć. - Która godzina?

Emma odchrząknęła. Uznała, że lepiej nie wspominać o zegarze stojącym na ekspresie do kawy.

- Dwunasta trzydzieści.

Popatrzył spode łba na łyżkę do odmierzania kawy. Najwyraźniej stracił rachubę. Kiedy zanurzył ją ponownie w puszcze maxwella, Emma uniosła aparat.

- Przepraszam - powiedziała, kiedy wytrzeszczył na nią oczy. - Odruch zawodowy.

Nie odpowiedział. Odwrócił się ponownie w stronę kuchennych szafek. W ustach czuł smak kredy, w głowie grał mu radośnie zespół jazzowy. Był pewien, że oczy ma napuchnięte do rozmiarów piłek golfowych. Na domiar złego odkrył właśnie, że wyszły mu pieprzone płatki kukurydziane.

- Michael... - Emma postąpiła ostrożnie naprzód, nie dlatego, bo ją onieśmiała, ale bała się, że wybuchnie śmiechem. - Chciałbyś, żebym zrobiła ci śniadanie?

- Nie ma tu żadnego jedzenia.

- Usiądź. - Musiała znowu odchrząknąć. Pchnęła go na krzesło. - Zaczniemy od kawy. Gdzie trzymasz filizanki?

- W kuchni.

- Okay. - Znalazła paczkę papierowych kubków o litrowej pojemności. Nalała kawę. Była gęsta jak szlam i niemal równie apetyczna, ale Michael rzucił się na nią łapczywie. Kiedy kofeina zaczęła działać, ujrzał Emmę z głową w lodówce.

Wyglądała cudownie, absolutnie cudownie w sięgającej pasa bluzeczce i błękitnych letnich spodniach. Włosy miała rozpuszczone, tak jak najbardziej lubił. Mógł sobie wtedy wyobrazić, że przesiewa je między palcami. Ale co ona robi z głową w jego lodówce?

- Co robisz?

- Robię ci śniadanie. Znalazłam jedno jajko. Jak chcesz je zjeść?

- Gotowane. - Michael opróżnił kubek i nalał drugą porcję.

- Kiełbasa jest zielona i moim zdaniem masz tam jeszcze coś żywego. - Wyjęła jajko, kawałek sera i chleb. - Jeszcze nigdy nie widziałam chodzących artykułów żywnościowych. Masz rondel?

- Chyba tak. A bo co?

- Mniejsza o to. - Znalazła go w końcu i przy odrobinie inwencji udało jej się przyrządzić jajeczno-serowy sandwich. Sama ograniczyła się do piwa imbirowego. Siedziała naprzeciwko Michaela, kiedy jadł. - Michael, nie chciałabym się wtrącać, ale czy mogę zapytać, jak długo tak mieszkasz?

- Kupiłem ten dom jakieś cztery lata temu.

- I żyjesz? Jesteś silnym człowiekiem, Michael.

- Myślałem o tym, żeby posprzątać.

- Chyba buldożerem.

- Nie umiem się obrażać podczas jedzenia. - Patrzył, jak robi zdjęcie Conroyowi, który spał z łapami na paczce chipsów. - Ten nigdy nie popuści.

Uśmiechnęła się do niego.

- Czujesz się lepiej?

- Niemal jak człowiek.

- Zdecydowałam, że czas wrócić do pracy. Pomyślałam, że może miałabyś ochotę powrócić się ze mną przez parę godzin. - Nagle poczuła oniesmielenie. Sytuacja się zmieniała, teraz kiedy Michael był przytomny i patrzył na nią znad resztek śniadania, które mu przygotowała. - Wiem, że przez ostatnie tygodnie byłeś bardzo zajęty.

- Walcząc samotnie ze złem. Conroy, ty leniwy kundlu, przynieś fajki. - Pies otworzył jedno oko i mruknął z niezadowoleniem. - No, dalej! - Dźwigając się na nogi, Conroy wydał niemal ludzkie westchnienie. - Unikasz mnie, Emmo.

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale powiedziała coś innego.

- Tak, to prawda. Przykro mi. Byłeś dobrym przyjacielem, a ja...

- Jeżeli zaczniesz tę gadkę o przyjaźni i wdzięczności, naprawdę się wnerwie. - Wziął paczkę papierosów, które Conroy położył mu na kolanach, i wstał, by wypuścić psa na dwór.

- Już o tym nie wspomnę.

- Świetnie. - Odwrócił się. Przez sześć miesięcy czekał, żeby zapukała do jego drzwi, a kiedy już tu była, nie mógł opanować gniewu. - Dlaczego tu przyszłaś?

- Już ci mówiłam.

- Chciałaś mieć towarzystwo podczas robienia zdjęć i pomyślałaś o starym, dobrym Michaelu.

Odstawiła butelkę piwa i wstała sztywno.

- Najwyraźniej się pomyliłam. Przepraszam, że ci przeszkodziłam.

- A więc wchodzisz i wychodzisz - mruknął. - To wygląda na brzydki nałóg, Emmo.

- Nie przyszłam tu, żeby się z tobą kłócić.

- Cholerna szkoda. Już dawno powinniśmy to z siebie wyrzucić.

Postąpił krok w jej stronę. Cofnęła się. Nic nie mogło rozwścieczyć go bardziej.

- Nie jestem Latimerem, do ciężkiej cholery! Myślisz o nim za każdym razem, kiedy się do ciebie zbliżam. Rzygać mi się od tego chce. Jeżeli mamy się kłócić, zrobimy to we dwójkę, ty, ja i nikt więcej.

- Nie chcę się kłócić. - Zanim uświadomiła sobie, co robi, chwyciła butelkę piwa i cisnęła przed siebie. Szkło eksplodowało w zlewie. Emma stała, oszołomiona, podczas gdy syk piany zamierał.

- Chcesz jeszcze jedną?

- Muszę już iść. - Sięgnęła po aparat, ale Michael położył rękę na jej dłoniach.

- Nie tym razem. - Jego głos nie brzmiał łagodnie. Podniosła wzrok i zebrała się w sobie, czekając. - Nie pozwolę, żebyś znów odeszła, Emmo. Najpierw powiem to, co mam do powiedzenia.

- Michael...

- Zamknij się. Pragnąłem cię od czasu, gdy sięgam pamięcią. Tamtego dnia, wiele lat temu, tamtego dnia na plaży, kiedy odwiozłem cię do domu, byłem tak tobą odurzony, że ledwo widziałem na oczy. Miałem dopiero siedemnaście lat, a przez następne tygodnie nie myślałem o niczym innym. Krążyłem w kółko po plaży, czekając, żebyś wróciła.

- Nie mogłam. - Emma odwróciła się, ale nie próbowała odejść.

- Jakoś mi przeszło. - Michael wyjął papierosa i trząskając szufladami, szukając zapalnika. - Myślałem, że mi przeszło, ale ty wróciłaś. Ścinam sobie trawę, pilnuję własnego nosa, a ty stajesz przede mną. Dech mi zaparło. Cholera, miałem już swoje lata i to nie było dziecinne zadurzenie!

Z trudem odzyskała głos. Czuła teraz zupełnie nowy rodzaj strachu. Dziesiątki dygoczących, splątanych ze sobą nerwów budziło w niej zupełnie nowe doznania.

- Prawie mnie nie znałeś.

Napotkał jej wzrok.

- Wiesz, że to nieprawda, Emmo. Coś zrodziło się między nami wtedy na plaży. Ten pierwszy raz, kiedy cię pocałowałem. Jedyne raz. Nigdy tego nie zapominałem. Nie potrafiłem. A ty odeszłaś.

- Musiałam.

- Być może. - Michael wyrzucił papierosa na dwór i pozwolił, by siatkowe drzwi zamknęły się z trząskiem. - Nieodpowiednia chwila, powiedziałem sobie. Chryste, mówiłem to sobie przez całe lata. - Podszedł do niej. Zadrżała, kiedy ujął ją za ramiona, ale on nie cofnął dłoni. Nie tym razem. - Kiedy nadejdzie ten właściwy czas?

- Nie wiem, co chcesz, żebym powiedziała.

, - Gówno prawda. Wiesz dokładnie, co chcę, żebyś powiedziała.

- Nie mogę.

- Nie chcesz - poprawił ją. - Z powodu Latimera. Złamałaś mi serce, wychodząc za niego za męż. Musiałem się z tym pogodzić. Wygląda na to, że spędzam życie, próbując o tobie zapomnieć. I może nawet by mi się to udało, ale ty znowu wróciłaś.

- Ja... - zwilżyła wyschnięte wargi. - Na to również nie miałam wpływu.

Ujrzała wyraz jego oczu i na chwilę straciła oddech.

- Powiedziałem sobie, że tym razem będzie inaczej. Sprawię, że będzie inaczej. I wtedy.. Kiedy dowiedziałem się, co on ci zrobił, omal nie zwario瓦łem. Bałem się ciebie dotknąć, przez te wszystkie miesiące. Daj jej czas, mówiłem sobie. Daj jej czas, żeby mogła się otrząsnąć. Do diabła z tym!

Przyciągnął ją do siebie i nakrył wargami jej usta.

## Rozdział 39

Było zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. Znalazła się w pułapce. Bez wątpienia znalazła się w pułapce, unieruchomiona przez jego silne, twarde, napięte ciało. Usta Michaela paliły ją jak ogień. Spodziewała się, że dotknięcie jego warg wywoła odrazę albo strach. Nic podobnego. Zakreściło się jej w głowie od nagłego przypływu uczuć. Ciepło, rozkosz i ostre ukłucie požądania.

Nie chciała im ulec, ani tym emocjom, ani temu mężczyźnie. Nie mogła oddać się znów w ręce innemu człowiekowi! Ale zanim zdołała zebrać siły do walki, ogarnął ją bezwład.

Michael nie odzywał się, tylko patrzył. Stała zupełnie nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, zadyszana. Tak, znalazła się w pułapce. Ale to przestało być ważne. Ponieważ znowu czuła, naprawdę czuła, choć już dawno pogodziła się z myślą, że jest do takich uczuć niezdolna.

Opuścił go gniew, pozostały tylko pragnienia.

- Nie chcę, żebyś się mnie bała.

Wybór należał do niej. Widziała to w jego oczach. Jeżeli znalazła się w pułapce, więziły ją własne tęsknoty, własne marzenia.

- Nie boję się.

Uścisk jego dłoni zelzał. Nie zaprotestowała, kiedy przesunął je wyżej, by ująć jej twarz. I nie próbowała uciekać, kiedy jego usta dotknęły ponownie jej warg. Łagodnie, miękko. Poczowała bezwład mięśni, choć puls bił jak oszalały. Moja decyzja, pomyślała znowu. Decyzja, z której podjęciem zwlekała zbyt długo. Potem on wypełnił ją całą i nie było już miejsca na nic innego.

Wyczuł zmianę, powolną- pełną wahania odpowiedź. Usta Emmy rozchyliły się, ciało zdawało się topnieć pod jego dotknięciem. Drżał, obsypując twarz Emmy pocałunkami. Potem objęły go jej ramiona, a wargi poszukały jego ust.

Wziął Emmę na ręce. Całował ją, niosąc do sypialni, lekko i obiecująco, głęboko i zachłannie.

Żaluzje były spuszczone, słońce uderzało w nie żółtymi falami. Pożalował, że nie ma świec.

Emma próbowała nie zeszywnieć, kiedy kładł ją na łóżku. Wiedziała, że teraz sprawy potoczą się szybko. Chciała, żeby dalej ją całował i tulił. Ale wiedziała swoje. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Był przy niej. Nie zwałił się na nią całym ciężarem i nie zdarł z niej ubrania. Poszukał znów jej warg, nie tylko by uwodzić, lecz również koić.

Choć jej ciało było napięte jak struna, wydawała się taka krucha. Jej skóra, jej usta, zapach, w którym się pławił, zanurzając twarz we włosach. Musnęła nieśmiało jego nagą klatkę piersiową, doprowadzając go niemal do szaleństwa.

Z cichym jękiem wsunął język między jej zęby. Smak przeniknął go jak ciepła rzeka. Poruszał się wolno, zadziwiając ją. Uwodząc. Czekała, kiedy zacznie brać, ale on ciągle dawał.

Przesunął dłońmi po jej ciele. Zadrżała. Ale nie było w tym lęku. Oto w końcu otrzymywała hojnie, zamiast być ograbiana. Spłynęła na nią rozkosz tak głęboka, mroczna, że wygięła się ku niemu, zaciskając dłonie. Przeszyło ją pożądanie. Nie wiedziała, że potrafi je odczuwać. Zanurzyła dłonie w jego włosach, przyciągając ku sobie głowę Michaela, szukając ust. Chciała zatracić się w tych gorących, wilgotnych pocałunkach.

Kiedy się odsunął, jęknęła w proteście, wyciągając ku niemu ramiona.

- Chcę na ciebie patrzeć - powiedział. - Tak długo czekałem, by zobaczyć cię tutaj.

Mogła tylko leżeć, zadziwiona i spragniona, kiedy przesuwał dłonie przez jej włosy, patrząc, jak osypują się na poduszkę. Nie odrywając wzroku od jej twarzy, zaczął wolno rozpinąć bluzkę. W jej oczach zamglonych pożądaniem widział zdumienie. Jakże łatwo było obdarzać ją czułością.

Kiedy uniosła dłoń, by się zakryć, przycisnął wargi do jej palców. Trzymając ciągle jej rękę w swojej, zniżył usta ku piersiom. Z gardła wydarł mu się jęk. Była mała i twarda. Słodka. Bolesnie piękna.

Jej skóra płonęła pod najłżejszym dotknięciem. Wypełnił siebie jej zapachem, smakiem jedwabistej skóry. Słyszał oddech Emmy, równie szybki i płytki jak jego własny. Ciało dziewczyny wygięło się w łuk, kiedy wyłuskał je z bluzki.

Jego usta były wszędzie. Drżała z pożądania, czując rozchylone wargi na twarzy, na ramionach, sunące z dręczącą powolnością w dół klatki piersiowej. Drgnęła, kiedy użył zębów, ale zamiast bólu zjawiła się obłędna rozkosz. Zsunął jej spodnie, centymetr po centymetrze, znacząc ustami szlak.

Pragnęła. Nie pragnęła nigdy dotąd. Tylko marzyła. Ciało miała wilgotne od potu, wiała się z pożądania, ale on dalej ją całował, dalej ją pieścił. Kiedy zacisnął zęby na jej kolanie, przeorała paznokciami prześcieradło.

Ogień trawił ją, a jednak pragnęła więcej. Palce Michaela przemknęły w górę uda i ciałem Emmy wstrząsnął spazm. Nie mogła złapać powietrza. Krzyk wypełnił jej głowę, przetoczył się przez nią, budząc przerażenie. Ogarnięta strachem i rozkoszą poderwała ciało. Orgazm uderzył w nią jak aksamitna pięść. Poleciała w tył, zachłystując się powietrzem.

- Mój Boże, jesteś słodka! - On też z trudem oddychał, opadając znów na jej usta. Zanim przestała dygotać, wznosił ją już ku górze. Chciała wy-

krzyknąć jego imię, ale mogła tylko je wyszeptać, gdy jego dłonie muskały jej wilgotną skórę.

- Proszę! - Jej oddech był teraz szlochem. Rozkosz napływała w nią strumieniem, aż zdawało się, że cała płonie. A jednak pragnęła więcej. Jeszcze więcej. Pragnę...! - krzyknęła, wyrzucając ramiona. Coś spadło na podłogę i roztrzaskało się z hukiem.

- Powiedz mi! - Musi to usłyszeć. Oszaleje, jeżeli tego nie usłyszysz. Pożądanie narastało w nim, aż osiągnęło nieznany dotąd szczyt. Nie szukał dla niego ujęcia. Jeszcze nie. - Spójrz na mnie i powiedz mi.

Uniosła powieki. Widziała tylko jego twarz, jego oczy. Ujrzała w nich siebie.

- Pragnę cię!

Krzyknęła znowu, kiedy wypełnił ją sobą,

Spała godzinę, wyczerpana, na jego łóżku. Michael siedział przy Emmie, gładząc jej włosy, zastanawiając się, jak ją przy sobie zatrzymać. Lata nieodwzajemnionej miłości nie przygotowały go na bycie jej kochankiem. Wyobrażał to sobie. Niezliczoną ilość razy. Ale dotąd znał inne kobiety.

Emma była jedyna w swoim rodzaju.

Jeżeli będzie musiał błagać, będzie błagał. Jeżeli będzie musiał walczyć, będzie walczył. Ale jej nie utraci.

Obudziła się sama w pokoju. Leżała na brzuchu rozciągnięta w poprzek łóżka i próbowała ogarnąć umysłem to, co stało się z jej ciałem. To chyba niemożliwe, żeby czuła to wszystko, robiła to wszystko i teraz tego nie żałowała. Parę godzin temu dałaby sobie głowę uciąć, że już nigdy nie zapragnie poczuć na sobie rąk mężczyzny. A może właśnie dzisiaj mężczyzna dotknął jej po raz pierwszy? Z uśmiechem przetoczyła się na plecy, myśląc leniwie, że powinna się ubrać i pójść poszukać Michaela.

Wtedy zobaczyła pistolet. Kabura wisiała na oparciu fotela parę kroków od niej. Użyłam broni, przypomniała sobie. Chociaż tamta godzina grozy wracała do niej tylko w mglistych fragmentach, pamiętała wyraźnie ostatnie sekundy. Pamiętała, co czuła, oplatając palcami pistolet, naciskając spust. Zabijając.

Świadomość, że jest do tego zdolna, wywołała ostry skurcz żołądka. W niecałe dwa lata zdążyła pokochać, wyjść za mąż i zabić. Teraz miała resztę życia, by się zastanowić, jak mogła zrobić którąkolwiek z tych trzech rzeczy.

Drzwi sypialni otworzyły się na oścież i Emma odruchowo naciągnęła na siebie prześcieradło.

- Obudziłaś się! To dobrze. - Michael wparował do pokoju z koszykiem, w którym był pieczony kureczak i sześć puszek coca coli. - Pomyślałem, że pewnie zgłodniałaś.

Miał na sobie bawełnianą koszulkę z napisem „Departament Policji L.A.”, ale nadal był bosy. Zdaniem Emmy wyglądał bardziej na plażowego włóczęgę niż oficera policji. Zanim mogła odpowiedzieć, pochylił się i pocałował ją w sposób, który ponownie zmacił jej umysł.

- Zrobimy sobie piknik.

- Piknik? - powtórzyła. - Gdzie?

- Tutaj. - Michael położył pudełko z kurczakiem na łożku. - W ten sposób nie zgorszymy sąsiadów twoją nagością.

Roześmiała się.

- Mogłabym się ubrać.

Usiadł na brzegu łożka i obrzucił ją długim spojrzeniem.

- Wolałbym nie. - Śmiejąc się, otworzył colę. - Troszkę muzyki? - Michael przechylił się i włączył radiobudzik. Linda Ronstadt wyśpiewywała właśnie *Blue Bayou*. - Wracając do spraw zasadniczych... - Michael odebrał wieczko od pudła i sięgnął do środka. - Nie jesteś głodna?

Kurczak pachniał cudownie. Patrząc, jak Michael bierze kęs, przeciągnęła dłonią przez wzburzone włosy.

- Nie mogę jeść goła.

- Oczywiście, że możesz. - Michael wyciągnął ku niej udko. Nagryzła je i roześmiała się.

- Naprawdę nie mogę.

Wrzucił kurczaka z powrotem do pudełka, zdjął podkoszulek i naciągnął go Emmie na głowę.

- Lepiej?

Wsunęła ręce w rękawy.

- O wiele lepiej.

Koszulka pachniała nim. To zadziwiające, ale zapach wzbudził w niej większy głód niż widok pieczonego kurczaka.

- Nigdy przedtem nie urządzałam pikniku w łożku.

- Obowiązują te same zasady, co na kocu na plaży. Jemy, słuchamy muzyki, a potem kochamy się. Tyle że unikamy piasku.

Wzięła puszkę coli i upiła łyk, żeby zwilżyć wyschnięte gardło.

- Nie wiem, jak to się wszystko stało.

- Nie szkodzi. Z przyjemnością zrobię ci powtórkę.

- Czy tobie... - urwała.

- Nie chciałaś chyba zapytać, czy było mi dobrze? - Śmiał się z niej.

- No, coś w tym rodzaju. - Emma ugryzła kurczaka. - Mniejsza z tym.

Uszczęśliwiony nią, sobą całym światem, przesunął opuszką palca po szyi Emmy.

- Podać ci ocenę w skali od jednego do dziesięciu?

- Zamknij się, dobrze?



- Niestety, muszę stwierdzić, że skali nie starczyło.

Zwiększył tylko zamęt w jej głowie.

- Nigdy tak się nie czułam - szepnęła. - Ja nigdy... Nie sądziłam, że mogę... - urwała znowu, po czym wzięła głęboki oddech i wyrzuciła to z siebie. - Myślałam, że jestem oziębła.

Omam się nie rozeźbiał, ale spojrzawszy w jej twarz, zrozumiał, że to nie są żarty. Znowu Latimer, pomyślał i odczekał parę sekund, żeby zapanować nad głosem.

- Pomyliłaś się.

Niedbala odpowiedź okazała się właściwa. Emma podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

- Gdybym usłuchała swojego instynktu, wtedy na plaży, kiedy mnie pocałowałeś, poznałabym prawdę już dawno temu.

- Dlaczego teraz go nie usłuchasz?

Zawahała się. Potem uklękła, objęła go za szyję i pocałowała. Michael wyrzucił przez ramię niedojedzone udko. Śmiała się, kiedy przeturlali się przez łóżko.

- Zostań dzisiaj.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy zaczęła się ubierać.

- Nie dzisiaj. Muszę pomyśleć.

- Obawiałem się, że znów zaczniesz myśleć. - Michael wyciągnął po nią ramiona i przytrzymał przy sobie. - Kocham cię, Emmo. Pomyśl o tym.

W odpowiedzi zamknęła tylko oczy.

- Musisz mi uwierzyć!

- Chcę ci wierzyć. Ale w tej chwili nie ufam własnym osądom. Nie tak dawno temu myślałam, że Drew mnie kocha i że ja kocham jego. Myliłam się w obu przypadkach.

- Do cholery, Emmo! - Michael wyrzucił z siebie te słowa. Wstał, by podnieść żaluzję. Ostatnie promienie słońca rozjaśniły pokój.

- Nie porównuję cię.

- Doprawdy?

- Nie. - Wiedziała, że on nie może zrozumieć, jak daleką drogę przebyła, aby móc podejść do niego i oprzeć policzek o jego plecy. - Siebie nie jestem pewna. Moje problemy nie zaczęły się wraz z Drew. A i tak byłyby poważne. Muszę wiedzieć, czego chcę, zanim o to poproszę.

- Nie wystarczy mi jeden dzień z tobą, Emmo!

Westchnęła i pocałowała go w ramię.

- Tata i Bev jadą wkrótce do Londynu.

Odwrocił się. W zamierającym świetle dnia zobaczyła błysk wściekłości w jego oczach.

- Jeżeli myślałaś o wyjeździe z nimi, pomyśl jeszcze raz.
- Nie zastraszysz mnie, Michael. To już przerabiałam. - Dopiero kiedy wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, ile kryją prawdy. - Myślę o zamieszkaniu w tym domu na plaży. Oni muszą rozpocząć życie we dwoje, a ja muszę zdecydować, co chcę zrobić z resztą swojego.
- A ja mam się trzymać z dala od ciebie?
- No, niezupełnie. - Emma objęła go ponownie. - Nie chcę cię stracić. Tego jestem pewna. Po prostu nie wiem jeszcze, co zrobić z nami. Czy moglibyśmy na razie zostawić sprawy takimi, jakie są?
- Dobrze. Ale chcę, żebyś coś zrozumiała. Nie będę czekał w nieskończoność.
- Ja również nie.

## Rozdział 40

Michael położył nogi na biurku i zapatrzył się w sufit. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Ze słuchawki płynął nieprzerwanym strumieniem wysoki, podekscytowany głos. Wiedział, że przyholują frajera jako świadka przędeży czy później. Wolał po prostu, żeby to nastąpiło przędeży.

- Słuchaj, bracie! - przerwał w końcu swojemu rozmówcy. - Odniosłem wrażenie, że Springer był twoim przyjacielem. Tak, tak, gadka szmatka. Może on i jest tanim cwaniaczkim, ale kiedy mamy trupa, sprawa zaczyna dotyczyć nas osobiście. - Przez parę chwil słuchał paplaniwy tamtego. Nikt nie był mniej skłonny do współpracy niż znerwicowany świadek z worem własnych racji.

- Świetnie! Nie chcesz się zgłosić, sami cię znajdziemy. - Spojrzał na sierżanta, który zrzucił mu na biurko stos korespondencji i teczek. - Najlepiej wyjdź na ulicę. Zawsze znajdzie się jakieś wolne miejsce w kostnicy. - Słuchając, przerzucał teczki. - Mądra decyzja. Pytaj o Michaela Kesselringa.

Odwiślał słuchawkę i popatrzył spode łba na stos papierów. Miał nadzieję, że znajdzie pięć minut, by zadzwonić do Emmy. Szanse były niewielkie. Zrezygnowany odciął się od hałasów ogromnej sali i zagłębił w korespondencji.

- Hej, Kesselring! Potrzebne nam twoje dziesięć zielonych na przyjęcie świąteczne.

Michael postanowił, że jeżeli jeszcze raz usłyszy słowo „święta”, zastrzeli kogoś. Najlepiej Świętego Mikołaja.

McCarthy jest mi winien dwadzieścia. Weź od niego.

- Hej! - Usłyszawszy swoje nazwisko, McCarthy zmaterializował się natychmiast. - Gdzie twój świąteczny nastrój?!

- W twojej kieszeni.

- Wkurzasz się, bo twoja pani spędza święta w Londynie? Rozchmurz się, Kesselring, świat jest pełen blondynek!

- Odchrzań się.

McCarthy przyłożył dłoń do piersi.

- To pewnie miłość.

Ignorując go, Michael wziął do ręki brązową kopertę. Dziwne, że otrzymał list z Londynu akurat wtedy, gdy w myślach życzył temu miastu wszystkiego najgorszego. Firma prawnicza, zadumał się nad adresem nadawcy. Czego chce od niego londyńska firma prawnicza? Rozerwał papier i znalazł kolejną kopertę, tym razem różowo-niebieską. Przeczytał adres na odwrocie. Jane Palmer.

Nie był człowiekiem przesądnym, ale gapił się na list dobrych parę minut. Posłanie od umarłego. Rozciął kopertę i przeczytał bazgroły Jane. Pięć minut później stał w gabinecie ojca.

Drogi detektywie Kesselring! Prowadził Pan śledztwo w sprawie śmierci syna Briana McAvoya. Jestem pewna, że ją pan pamięta. Jeżeli nadal to Pana interesuje, proszę przyjechać do Londynu i porozmawiać ze mną. Wiem na ten temat wszystko. To był mój pomysł, ale oni go schrzanili. Jeżeli zapłaci Pan za informacje, dogadamy się. Z poważaniem, Jane Palmer

- Co o tym myślisz? — zapytał Michael.

- Myślę, że mogła coś wiedzieć. - Lou poprawił okulary i przeczytał list jeszcze raz. - Była dziesięć tysięcy kilometrów od miejsca zdarzenia i nie mogliśmy jej z tym wiązać. Ale... - Zawsze się nad tym zastanawiał.

- Z daty na stemplu wynika, że list został wysłany na parę dni przed tym, nim znaleziono ciało. - Według prawnika list, zaadresowany błędnie, krążył przez jakiś czas, aż w końcu dołączył do reszty papierów Palmer. - Przeszło osiem miesięcy - powiedział Michael z niesmakiem.

- Nawet gdyby chodziło o osiem dni, nie miałyoby to żadnego znaczenia. Już nie żyła.

- Jeżeli rzeczywiście znała zabójcę dziecka, ktoś mógł ją dopaść. Ktoś, kto nie wiedział, że wysłała list. Chcę zobaczyć raporty, porozmawiać z oficerem prowadzącym śledztwo.

Lou obracał kopertę w dłoniach. Nie było sensu przypominać Michaelowi, do kogo został zaadresowany ten list.

- To pierwsza poszlaka, jaką mamy w tej sprawie od dwudziestu lat. - Przypomniał sobie policyjne zdjęcie małego chłopca i spojrzął na syna. - Wygląda na to, że jedziesz do Londynu.

Emma wałkowała ciasto i starała się robić to z sercem. Zawsze kochała święta Bożego Narodzenia. Tego roku, po raz pierwszy od czasów dzieciństwa, spędzi je z rodziną. Kuchnia pachniała cynamonem i brązowym cukrem, z radia płynęły kolędy, a Bev odmierzała składniki do puddingu śliwkowego. Na dworze prosił śnieg.

Ale jej serce było daleko. Obawiała się, że dziesięć tysięcy kilometrów od Londynu, z Michaeliem.

Kiedy zaczęła odciskać foremki w ciście, Bev otoczyła ją ramieniem.

- Tak się cieszę, że jesteś z nami, Emmo. To dla mnie tyle znaczy, dla mnie i dla ojca.

- Dla mnie też. - Emma wycięła ciasteczko w kształcie płątka śniegu i położyła je na blasze. - Pozwalałaś mi to robić, kiedy byłam mała. A Johnno podkradał ciastka, zanim jeszcze się upiekły.

- A jak myślisz, dlaczego wysłałam go do Briana? - Patrzyła, jak Emma posypuje ciasteczka cukrem. - Tęsknisz za Michaeliem, prawda?

- A nie sądziłam, że będę. Nie tak bardzo. - Emma wsunęła blachę do pieca. - To głupie. Przecież zobaczę go za dwa tygodnie. - Nastawiła czas pieczenia i wróciła do stolnicy, by rozwałkować resztę ciasta. Dobrze było mieć zajęte ręce, czuć się kompetentną. U steru. - Rozstanie dobrze mi zrobi. Nie chcę wiązać się zbyt szybko.

- Katherine mówi, że robisz ogromne postępy.

- Tak przypuszczam. Jestem jej wdzięczna, że została ze mną w L.A. przez te ostatnie miesiące. Choć muszę przyznać, że nie zawsze dawałam jej to odczuć - dodała z uśmiechem. - Ale rozmowy z Katherine wiele mi pomogły.

- Nadal nękają cię koszmary?

- Rzadziej. I wróciłam do pracy. W końcu ruszyłam sprawę albumu. - Zatrzymała się z foremką do ciastek w ręku. - Rok temu święta były koszmarem. Dziś są niemal doskonałe. - Obejrzała się przez ramię na odgłos gwałtownie otwieranych drzwi. - Michael?

- Gospodyni powiedziała, że mam iść prosto do kuchni.

Emma nie namyślała się ani chwili. Nie musiała. Z okrzykiem radości rzuciła się w jego ramiona. Zanim zdołał przemówić, zamknęła mu usta pocałunkiem.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś! - Emma odsunęła się, zaśmiała radośnie i zaczęła go otrzępywać. - Umączyłam cię całego.

- Jestem pewna, że mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. - Bev wytarła ręce i wysliznęła się z kuchni.

- Mówiłeś, że nie możesz przyjechać.

- Trochę się pozmieniało. - Michael przyciągnął Emmę do siebie, chcąc posmakować jej jeszcze raz. Pożądanie przeszło go na wskroś, kiedy poczuł ciepłe wargi Emmy na swoich. - Wesołych świąt.

- Jak długo możesz zostać?  
- Parę dni. - Zerknął w stronę piecyka. - Co to za dźwięk?  
- Moje ciastka! - Emma rzuciła się im na ratunek. - Myślałam o tobie, kiedy je robiłam. I pragnęłam, żebyś nie był tak daleko. - Emma odwróciła się ku niemu z tacą w ręku. - Wrócę z tobą, jeżeli chcesz.

- Wiesz, że chcę. - Przesunął dłonią po jej warkoczach - Wiem także, że potrzebujesz spędzić trochę czasu ze swoją rodziną. Będę czekał, aż wrócisz do domu.

- Kocham cię. - Słowa popłynęły prosto z serca tak szybko, że ją samą to oszołomiło. Taca zadzwoniła, kiedy odstawiła ją na kratę piecyka.

- Powiedz to jeszcze raz.

Jego oczy pociemniały. Patrzył na nią z takim natężeniem, że dotknęła kojąco jego policzka.

- Kocham cię, Michael. Przykro mi, że wypowiedzenie tych słów zabrało mi tyle czasu.

Przyciągnął ją do siebie i trzymał w objęciach. Przez chwilę wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, znajdowało się w zasięgu jego ramion.

- Wiedziałam już wtedy w Nowym Jorku, na wystawie. Wiedziałam w chwili, gdy cię zobaczyłam. - Z mieszaniną ulgi i rozkoszy przycisnęła twarz do szyi Michaela. - To mnie przeraziło. Zdaje się, że bałam się od lat. A kiedy wszedłeś do kuchni, nagle wszystko stało się jasne.

- Już się mnie nie pozbędziesz.

- Świetnie. - Uniosła ku niemu twarz. - Chcesz ciasteczko?

Szukał wymówek. Nie podobało mu się, że okłamuje Emmę, ale uznał, że lepiej zachować cel wizyty w tajemnicy, przynajmniej na razie. Jego brytyjscy odpowiednicy okazali się uprzejmi i solidni. Odkrył również, że angielska biurokracja w niczym nie ustępuje amerykańskiej.

Dwie godziny zajęło mu uzyskanie informacji, że ma przyjść następnego dnia.

Wykorzystał ten czas w pełni. Emma była zachwycona możliwością pokazania mu Londynu i przegoniła go przez całe miasto od Tower przez Picadilly do Katedry Westminsterskiej. Michael dał się łatwo namówić na zamieszkanie u McAvoyów, ale zatrzymał pokój w hotelu. Po gorączkowym zwiedzaniu spędzili upojne godziny w łóżku.

Raporty policyjne nie na wiele mu się zdały. W wyniku standardowego śledztwa orzeczono śmierć na skutek nieszczęśliwego wypadku. Odciski palców należały do Jane, jej pokojówki albo handlarza, który znalazł ciało. Zarówno pokojówka, jak i handlarz mieli niepodważalne alibi. Sąsiedzi nie mogli wprawdzie powiedzieć o zmarłej jednego dobrego słowa, ale w noc jej śmierci nic nie widzieli i nic nie słyszeli.

Michael przejrzał policyjne fotografie. I ludzie mówią, że on jest flejtuchem, dziwił się, patrząc na mieszkanie, w którym Jane żyła i umarła. Zawiedziony tym, że miejsce śmierci zostało uprzątnięte dawno temu, przestudiował zdjęcia jeszcze raz za pomocą szkła powiększającego.

Inspektor Carlson, odpowiedzialny za śledztwo w sprawie Palmer, patrzył na to cierpliwie.

- Wygląda to troszkę jak chlew - zauważył. - Szczerze mówiąc, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Nie wahałem również. Ta pani smażyła się przez parę dni.

- Żadnych innych odcisków na strzykawce?

- Tylko jej. Zrobiła to sama. - Carlson zdjął okulary, by przetrzeć szkła. - Rozważaliśmy możliwość samobójstwa, ale to się po prostu nie trzyma kupy. Wygląda na to, że dorwała się do heroiny, była zbyt wygłodniała, żeby pamiętać o jej rozcieńczeniu, i wybrała się na ostatnią przejażdżkę.

- Skąd ją miała? Od tego Hitcha?

Inspektor wydał wargi.

- To płotka. Nie ma wystarczających kontaktów, by dostać prochy tej klasy.

- Jeżeli nie on, to kto?

- Nie udało nam się tego ustalić. Zakładaliśmy, że kupiła je sama. Swego czasu była osobistością i miała dojścia.

- Widział pan list, który napisała.

- Dlatego jesteśmy skłonni wznowić śledztwo. Jeżeli rzeczywiście mamy tu morderstwo, które wiąże się z waszą sprawą, możecie liczyć na współpracę. - Inspektor osadził starannie okulary na zakrzywionym nosie. - Minęło prawie dwadzieścia lat, ale nikt z nas nie zapomniał, co stało się z Darrenem McAvoyem.

Nie, nikt nie zapomniał, pomyślał Michael, siedząc w wykładanym dębem gabinecie Briana i patrząc, jak ojciec Emmy czyta list byłej kochanki.

Na kominku trzaskał radośnie ogień. Fotele, ustawione przed paleniskiem, tworzyły przytulny kącik. Nagrody, płyty, zdjęcia wypełniały ściany i półki. W kątach stało parę nierozpakowanych kartonów, jedyny dowód na to, że Brian wprowadził się zaledwie parę tygodni temu. Jego biurko przypominało bardziej miejsce pracy dyrektora niż muzyka rockowego. Błyszczący blat zarzucony był teczkami i papierami. Przy ścianie, obok klawiatury Yamahy i syntezatora, stał ogromny szpulowy magnetofon. W baroku znajdowała się tylko woda mineralna i zimne napoje. Michael czekał, aż Brian podniesie wzrok.

- Uznaliśmy z ojcem, że powinien pan wiedzieć.

Brian, wstrząśnięty, chwycił papierosa.

- Myślisz, że to ona pisała?

- Tak.

Brian walczył z zapalniczką. W najniższej szufladzie biurka leżała butelka whisky - zalakowana. To był sprawdzian. Nigdy, od czasu gdy sześć tygodni i trzy dni temu rzucił picie, nie pragnął alkoholu bardziej.

- Słodki Boże, myślałem, że wiem, do czego ona jest zdolna! Nie mogę tego zrozumieć. - Zaciągnął się dymem jak tonący powietrzem. - Dlaczego chciałaby zrobić Darrenowi krzywdę? - Ukrył twarz w dłoniach. - Mnie! Ona mnie chciała zranić!

- Nadal uważamy, że śmierć była przypadkowa. - Trudno nazwać to pociechą, pomyślał Michael. - Celem było porwanie i wymuszenie okupu.

- Płaciłem jej przecież za Emmę. - Potarł twarz dłońmi, po czym opuścił je na biurko. - Zabiłaby Emmę, skreśliłaby jej kark na moich oczach. W gniewie była do tego zdolna. Ale zaplanować coś takiego z zimną krwią? - Pokręcił głową. - Nie wierzę, aby mogła to zrobić.

- Ona to zaplanowała, wykonał kto inny.

Brian zerwał się z krzesła i przemierzał nerwowo pokój. Wypełniały go namacalne dowody jego sukcesu. Złote płyty, platynowe płyty, nagrody Grammy. Dowody na to, że muzyka, którą tworzył, była czymś ważnym.

Z nagrodami o miejsce na ścianach walczyły fotografie. Devastation wczoraj i dziś. Brian z innymi piosenkarzami, politykami, których popierał, wielkimi tego świata. Znajdowało się wśród nich zdjęcie Emmy i utraconego syna, siedzących nad brzegiem strumienia i uśmiechających się w słońce. Ich również stworzył.

Dwadzieścia lat rozmyło się, zniknęło i znów słyszał śmiech swoich dzieci, siedział na pocętkowanej słońcem trawie.

- Myślałem, że zostawiłem to za sobą. - Potarł palcami oczy i odwrócił się od zdjęcia. - Nie chcę, żeby Bev się o tym dowiedziała. Jeszcze nie teraz. Powiem jej w odpowiedniej chwili,

- To zależy od pana. Chcę, aby pan wiedział, że wznawiam śledztwo.

- Jesteś równie oddany swojej pracy jak ojciec?

- Mam taką nadzieję.

Brian przyjął odpowiedź skinieniem głowy. Bez względu na to, jaki plan przeprowadzono tamtej strasznej nocy dwadzieścia lat temu, prawda musiała wyjść na jaw. Ale miał jeszcze drugie dziecko.

- A co z Emmą? Będzie przesłuchiwana jeszcze raz?

- Zrobię wszystko, żeby uchronić ją przed cierpieniem.

Brian otworzył butelkę piwa imbirowego. Marna namiastka whisky.

- Bev uważa, że jesteś w Emmie zakochany.

- Jestem. - Michael ruchem głowy podziękował za piwo. - Ożenię się z nią, kiedy będzie na to gotowa.

Brian pociągnął łyk. Pragnienie było nie do zniesienia.

- Nie chciałem, żeby wiązała się z Latimerem. Z zupełnie innych powodów, niż powinienem. Cały czas pytam siebie, czy nie popchnąłem jej do tego małżeństwa. Czy poczekałaby, gdybym nie oponował tak bardzo?

- Latimer chciał pana i tego, co pan mógł mu ofiarować. Ja chcę tylko Emmy. Zawsze chciałem.

Brian usiadł z westchnieniem.

- Ona zawsze była najtrwalszą, najpiękniejszą częścią mojego życia. Czymś, co stworzyłem bezmyślnie, a co okazało się skończeniem doskonałym. - Z cieniem uśmiechu, tak podobnym do uśmiechu córki, spojrział na Michaela. - Zdenerwowałeś mnie tamtego dnia, kiedy przyprowadziła cię do domu P.M. w Beverly Hills. Popatrzyłem na ciebie i pomyślałem: Ten chłopak odbierze mi Emmę. To pewnie moja irlandzka krew - powiedział i pociągnął z butelki. -Większość z nas, Irlandczyków, jest pijakami, poetami albo prorokami. Ja miałem okazję być wszystkim naraz.

- Uczynię ją szczęśliwą.

- Trzymam cię za słowo. - Brian wziął ponownie list. - Odnalezienie zabójcy mojego syna może być dla mnie nie wiem jak ważne, ale ważniejsze jest, by Emma była szczęśliwa.

- Tato! P.M. i Annabelle przyszedli z dzieckiem. Och! Przepraszam. - Emma zatrzymała się z dłonią na klamce. - Nie wiedziałam, że tu jesteś, Michael.

- Byłaś na zakupach, kiedy wróciłem. - Wstał i niedbałym gestem wyjął list z ręki Briana.

- Co się stało?

- Nic. — Brian wyszedł zza biurka, by ją pocałować. - Przypiekałem Michaelowi pięty. Zdaje się, że ma jakieś plany w stosunku do mojej córki.

Uśmiechnęła się, już niemal skłonna mu uwierzyć. Wtedy zobaczyła jego oczy.

- Co się stało?!

- Już ci powiedziałem. - Brian objął ją z zamiarem wyprowadzenia z pokoju, ale odwróciła się do Michaela.

- Nie pozwolę, żeby mnie okłamywano.

- Mam plany w stosunku do córki - odparł Michael.

Strzasnęła rękę Briana i stanęła wyprostowana.

- Czy pokażesz mi kopertę, którą masz w kieszeni?

- Tak. Ale wolałbym zrobić to później.

- Tato, czy mógłbyś zostawić nas samych?

- Emmo...

- Proszę!

Niechętnie zamknął za sobą drzwi.

- Ufam ci, Michaelu - zaczęła. - Jeżeli powiesz, że rozmawiałeś z ojcem wyłącznie o nas, uwierzę ci.



To właśnie miał zamiar jej powiedzieć, chciał powiedzieć. **Otworzył już** usta, by to zrobić.

- Nie. Nie tylko o tym rozmawialiśmy. Usiądziesz?

A więc to będzie zła wiadomość. Stwierdziła, że ściska dłonie na kolanach, jak to robiła w dzieciństwie, kiedy bała się, że usłyszy coś, czego nie chciała usłyszeć. Michael podał jej list.

Zimny dreszcz przeleciał jej po skórze, kiedy ujrziała nazwisko na odwrocie koperty. Poślanie od umarłego, pomyślała. Chciałaby móc roześmiać się z tego powiedzonka. Otworzyła kopertę i przeczytała list w milczeniu.

Jest tak podobna do ojca, pomyślał Michael. Wyraz twarzy, sposób, w jaki ból wypełniał jej oczy, spokój, z jakim walczyła z cierpieniem. Złożyła kartkę i wręczyła mu z powrotem.

- Dlatego tu przyjechałeś?

- Tak.

Podniosła na niego pociemniałe, zbolałe oczy.

- A ja myślałam, że nie możesz beze mnie żyć.

- Nie mogę.

Znów pochyliła głowę. Tak trudno było myśleć, kiedy ból przychodził w ten sposób, spadał zniecka.

- Wierzysz w to, co tam jest napisane?

- Moja wiara nie ma tu nic do rzeczy - powiedział ostrożnie. - Moim zadaniem jest to sprawdzić.

- Ja wierzę. - W jej umyśle błysnęło wspomnienie Jane stojącej w drzwiach brudnego domu, z mroczną, pełną goryczy twarzą. - Chciała zranić tatę. Chciała, żeby cierpiał. Ciągle pamiętam, jak patrzyła na niego tego dnia, kiedy mnie zabrał. Byłam malutka, ale pamiętam.

Odetchnęła spazmatycznie. Łzy nie zdadzą się teraz na nic.

- Jak to możliwe, by kochać i nienawidzić człowieka tak jak Jane? Jak to możliwe, by wypaczyć uczucie do tego stopnia, żeby zaplanować porwanie małego chłopca? Minęło prawie dwadzieścia lat, a ona ciągle pragnie, by cierpiał.

Michael przykucnął przy niej i zabrał z jej kolan kopertę.

- To prawda, ale dzięki niej dowiemy się może, kto zabił twojego brata i dlaczego to zrobił.

- Ja wiem. - Zacisnęła kurczowo powieki. - Jest to zagrzebane gdzieś głęboko w mojej podświadomości, ale wiem. Tym razem wydobędę to na światło dzienne.

Kiedy zabrzmiała muzyka, stała w ciemnym korytarzu w swojej ulubionej koszulce nocnej i ścisnęła Karola. Darren płakał. Chciała wrócić do łóżka, do własnego łóżka zalanego światłem różowej lampki. Ale obiecała przecież opiekować się Darrenem. A Darren płakał.

Postąpiła krok, ale jej stopa nie dotknęła podłogi. Zdawała się płynąć w szarej chmurze. Słyszała syk, szuranie stworów, które lubiły ciemność. Stworów, które pożerały małe dzieci, tak jak powiedziała mama.

Nie wiedziała, w którą stronę pójść. Było ciemno i zewsząd dobiegały głosy, tłumiły muzykę. Szła wiedziona płaczem brata i próbowała się skurczyć, zmaleć tak, by zniknąć. Czuła strużki potu spływające po plecach.

Ujęła kławkę. Przekreśliła ją wolno. Pchnęła drzwi.

Dopadły ją czyjeś dłonie, wykręciły jej ramiona.

- Mówiłem ci, żebyś nie próbowała uciec ode mnie, Emmo. - Drew objął dłonią jej gardło i ścisnął. - Mówiłem ci, że cię znajduję.

- Emma! - Michael pochwycił jej ramiona młóćące powietrze i przytulił dziewczynę mocno. - Obudź się, Emmo! To tylko sen.

Nie mogła złapać oddechu. Nawet kiedy zrozumiała, gdzie jest i kto ją trzyma, czuła, że Drew nadal zaciska ręce na jej gardle.

- Światło... - wykrztusiła. - Proszę, zapal światło!

- Dobrze. Moment. - Michael przechylił się, nie wypuszczając jej z uścisku, i zapalił lampę. - Już. Teraz spójrz na mnie, Emmo. Spójrz na mnie. - Stanowczym gestem ujął jej podbródek. Trzęsła się ciagle, a jej kredowobiała twarz lśniła od potu. - To był sen - powiedział łagodnie. - Jesteś ze mną.

- Już dobrze.

Naciągnął prześcieradło na jej drżące ramiona.

- Przyniosę ci trochę wody.

Kiedy skinęła głową, poszedł do łazienki. Emma podciągnęła kolana pod brodę i słuchała, jak woda leje się do szklanki. Wiedziała, gdzie jest. W hotelu z Michałem. Chciała spędzić z nim noc, zanim wyjedzie do Stanów. Chociaż wiedziała, że to był tylko sen, podniosła dłoń do szyi. Nadal czuła na niej palce Drew.

- Wypij choć trochę.

Wzięła mały łyżeczek. Nie zapiekło jej w gardle, jak się tego obawiała.

- Przepraszam, Michael.

Nie był zainteresowany przeprosinami. I nie chciał, żeby wiedziała, że jest równie wstrząśnięty jak ona. Wyglądało to tak, jakby dusiła się we śnie, walcząc o haust powietrza.

- Jak często to się zdarza?

- Zbyt często.

- Czy dlatego nie chciałaś dotąd spędzić ze mną nocy?

Wzruszyła ramionami i popatrzyła z rozpaczą w szklankę.

- Jesteś zbyt piękna, by zwariować, Emmo. - Michael poprawił poduszki i ułożył ją przy sobie. - Opowiedz mi o tym.

Kiedy skończyła, patrzył dalej przed siebie nieruchomym wzrokiem. Ona się uspokoiła. Spokój przebijał z każdego głębokiego oddechu. On był napięty jak struna.

- Wywołał to pewnie ten list - szepnęła. - Kiedyś modliłam się, żeby koszmary ustały. Teraz chcę zobaczyć. Chcę przejść przez te drzwi i zobaczyć.

Odwrocił głowę, by przycisnąć usta do jej włosów.

- Ufasz mi?

Obejmował ją mocno ramieniem. Nie przygniatał, po prostu obejmował.

- Tak.

- Zrobię wszystko, by dowiedzieć się, kto jest odpowiedzialny za śmierć twojego brata.

- To było tak dawno temu.

- Mam parę pomysłów. Zobaczymy, czy uda mi się coś z nimi zrobić.

Wsparła się na nim, marząc, by tak pozostać, z głową wtuloną w jego ramię.

- Powiedziałam, że wrócę z tobą, jeżeli tego chcesz. Ale muszę zostać. Muszę rozmawiać z Katherine. Potrzebuję paru tygodni.

Milczał przez chwilę, próbując pogodzić się z perspektywą rozłąki.

- Czy przez ten czas mogłabyś zastanowić się również nad tym, czy zniesiesz małżeństwo z gliniarzem? - Zbliżył ku niej twarz. - Zastanów się nad tym bardzo głęboko, dobrze?

- Tak. - Objęła go. - Kochaj się ze mną, Michael.

Lokal był głośny, pełen młodych ciał wciśniętych w obcisłe dżinsy. Muzyka grzmiała, alkohol płynął strumieniem. Klub pękał w szwach, na parkiecie kłębił się tłum. Kolorowe światła wirowały, zniekształcając twarze. Pary stojące biodro w biodro musiały krzyczeć, żeby się porozumieć. Narkotyki i pieniądze przepływały z ręki do ręki jak numery telefonu.

Nie był to lokal, do jakich przywykł i jakie lubił. Ale przyszedł. Przecisnął się do małego narożnego stolika i zamówił scotcha.

- Jeżeli chciałeś porozmawiać, mogłeś wybrać lepszą knajpę.

Jego towarzysz uśmiechnął się i dopił whisky.

- Czy istnieje lepsze miejsce, by dzielić się sekretami, niż lokal publiczny? - Zapalił papierosa złotą zapalniczką z monogramem. - Dziennikarska wieść niesie, że Jane ukryła coś przed tobą.

- Wiem o liście.

- Wiesz, ale uznałeś, że nie warto o tym wspominać?

- Właśnie tak.

- Wmawianie sobie, że to, co dotyczy mnie, nie dotyczy ciebie, na nic się nie zda.

- List dotyczy tylko Jane. Nie mamy z nim nic wspólnego. Ponieważ nie żyje, nie ma to żadnego znaczenia. - Poczekał, aż kelnerka postawi przed nim drinka. - Jest inna sprawa, która mnie niepokoi. Emma ma koszmary.

Mężczyzna zaśmiał się, wypuszczając dym przez zęby.

- Koszmary Emmy mnie nie interesują.

- A powini. Dotyczą nas obojga. Przechodzi terapię. Zajmuje się nią psychiatra, która leczyła Steviego Nimmonsa. - Spróbował scotcha i stwierdził, że nie nadaje się nawet do podlania kwiatków. - Wygląda na to, że wkrótce wróci jej pamięć.

Wyraz twarzy jego rozmówcy uległ zmianie. Pojawił się na niej cień strachu, potem zalała ją wściekłość.

- Prosiłem cię, żebyś pozwolił mi zabić Emmę wiele lat temu.

- Wtedy nie było to konieczne. - Mężczyzna wzruszył ramionami i łyknął whisky. - Ale może stanie się konieczne teraz.

- Nie mam zamiaru brudzić sobie rąk, stary. Moment nie jest odpowiedni. Ty się nią zajmij.

- Załatwiłem sprawę Jane. - Głos był zimny i spokojny. - Sądzę, że w tej chwili wystarczy Emmę obserwować. Jeżeli sytuacja się zmieni, zajmiesz się nią.

- Dobrze. Ale nie dlatego, że mi tak każesz, ale ponieważ mam z nią rachunki do wyrównania.

- Panie Blackpool, czy mogę prosić o autograf?

Odłożył zapalniczkę i uśmiechnął się do blondynki o pełnych kształtach.

- Oczywiście, kochanie. Z przyjemnością.

## Rozdział 41

Emma patrzyła przez okna salonu na resztki noworocznego śniegu topniejące na żywopłocie.

- Michael chce, żebym za niego wyszła.

Katherine tylko uniosła brew.

- Jakie to wzbudza w tobie uczucia?

Emma omal nie wybuchnęła śmiechem. Było to takie typowe pytanie w ustach psychiatry.

- Rozmaite. Zaskoczenie nie jest jednym z nich. Już od jakiegoś czasu wiedziałam, że tylko czeka, żeby mnie o to poprosić. Kiedy jestem z nim, zaczynam wierzyć, że to mogłoby się udać. Dom, rodzina. Tego zawsze chciałam.

- Kochasz go?

- O, tak! - Ta część wydawała się łatwa. - Kocham.

Żadnego wahania, odnotowała Katherine.

- Ale nie jesteś przekonana do małżeństwa.

- Niektórym ludziom to się udaje. Trudno mnie do nich zaliczyć.
- Jak Michael wypada na tle Drew?
- Pod jakim względem?

Katherine uniosła leciutko dłonie, wnętrzem ku górze.

- Obaj są mężczyznami, prawda? Przystojnymi, zdeterminowanymi mężczyznami.

- I coś jeszcze?

Emma przeszła się po pokoju. Dom był pusty i cichy. Wszyscy wiedzieli, że o trzeciej każdego popołudnia mają zniknąć i zostawić ją samą z Katherine. Nie planowała dzisiaj rozmowy o Michaelu, ale o koszarach. Mimo to jej myśli skupiały się na nim.

- Nie mogłabym ich ze sobą porównać nawet wtedy, gdy nie rozumiałam jeszcze, że Drew ma skłonności do przemocy. Drew nie dbał o ludzi, potrafił skupić się tylko na jednej osobie w danej chwili. Nie miał poczucia lojalności. Potrafił być bardzo miły i bardzo romantyczny, ale nie wpływało to z jego wielkoduszności. Zawsze domagał się zapłaty.

- A Michael?

- On się troszczy. O ludzi, o pracę, o rodzinę. Lojalność jest jak... jak kolor jego oczu. Jest po prostu jego częścią. Nigdy nie myślałam, że zapragnę jeszcze być z mężczyzną. W sensie fizycznym. Kiedy się kochaliśmy pierwszy raz, czułam to, czego zawsze pragnęłam, a nie mogłam czuć.

- Nazywasz to uprawianiem seksu, kiedy mówisz o Drew, i Kochaniem się, kiedy o Michaelu.

- Naprawdę? - Emma przystanęła i obdarzyła Katherine jednym ze swoich rzadkich uśmiechów. - Nie trzeba chyba dyplomu, żeby to wydedukować.

- Nie. - Katherine zadowolona oparła się o poduszki. - Czujesz się swobodnie, mam na myśli fizycznie, z Michaelem?

- Nie. Ale to cudowny dyskomfort.

- Podniecający?

- Tak. Ale nie potrafię... zacząć.

- A chciałabyś?

- Nie wiem. Chciałabym mu okazać... Chyba boję się, że zrobię coś nie tak.

- W jakim sensie?

Emma, zbita z tropu, uniosła dłonie i pozwoliła im opaść.

- Nie jestem pewna. Boję się, że mogę zrobić coś, co go zirytuje albo... - Zniecierpliwiona, odwróciła się znów ku oknu. - Nie mogę wyrzucić z pamięci Drew, tego wszystkiego, co mi powiedział. Że jestem beznadziejna w łóżku. - Do furii doprowadzała ją myśl, że nadal pozwala mu kontrolować tę część swojego życia.

- Czy przyszło ci kiedyś na myśl, że jeżeli rzeczywiście nie sprawdzałaś się w łóżku, była to wina twojego partnera i okoliczności?

- Tak. Tutaj - przyłożyła palec do skroni - wiem, że nie jestem zimna i obojętna. Potrafię czuć napiętność, pożądanie. Ale boję się przejąć inicjatywę, boję się, żeby czegoś nie zepsuć. - Przystając na chwilę, wzięła do ręki kryształową piramidę i patrzyła na kolorowe smugi światła biegnące wewnątrz. - I te koszmary. Boję się go teraz niemal tak samo, jak wtedy, gdy żył. Czasami myślę, że gdybym potrafiła wyrzucić go ze swoich snów, wymazać jego twarz i jego głos z podświadomości, potrafiłabym zrobić ten następny krok z Michaeliem.

- Czy tego właśnie pragniesz?

- Oczywiście. Myślisz, że chcę być karana bez końca?!

- Karana za co?

- Za to, że nie robiłam dość szybko tego, co mi kazał albo że robiłam to nie tak. - Poruszona, odstawiła kryształ na miejsce i objęła się ramionami. - Za to, że włożyłam nieodpowiednią sukienkę. Za to, że kocham Michaela. On wiedział, że czuję coś do Michaela. - Podjęła spacer, nerwowo wyłamując palce. - Kiedy zobaczył nas na wystawie, domyślił się. Więc mnie pobił. Wymusił na mnie obietnicę, że już nigdy nie zobaczę się z Michaeliem, i dalej mnie bił. Wiedział, że jej nie dotrzymam.

- Obietnica złożona pod przymusem nie jest obietnicą.

Odrzucając logikę, Emma pokręciła głową.

- Chodzi o to, że próbowałam jej dotrzymać, ale nie dotrzymałam. Nie potrafiłam. Więc mnie ukarał.

Opadła na krzesło.

- Kłamałam - mówiła dalej, na wpół do siebie. - Kłamałam Drew, sobie.

Katherine pochyliła się, ale jej głos miał łagodne, spokojne brzmienie.

- Jak myślisz, dlaczego Drew pojawia się w twoich koszmarach, kiedy śnisz o Darrenie?

- Wtedy też kłamałam - szepnęła Emma. - Nie dotrzymałam obietnicy. Nie zaopiekowałam się Darrenem. Straciliśmy go. Tato i Bev stracili siebie. Przysięgam, że się nim zaopiekuję. Że nie pozwolę go skrzywdzić. I złamałam obietnicę. Nikt mnie nie ukarał. Nikt mnie nie obwiniał.

- Czy ty obwiniałaś samą siebie? Czy sama wymierzyłaś sobie karę?

- Gdybym nie uciekła! On mnie wołał. - Nagle usłyszała jego głos. Biegł za nią, kiedy uciekała ciemnym korytarzem. - On był taki przerażony, a ja nie wróciłam do niego. Wiedziałam, że go skrzywdzą, ale uciekłam. I on umarł. Powinna zostać. Moim obowiązkiem było zostać.

- Czy mogłabyś mu pomóc?

- Uciekłam, ponieważ bałam się o siebie.

- Byłaś dzieckiem, Emmo!

- Cóż to za różnica? Obiecałam. Nie łamię się obietnic danych ludziom, których się kocha, bez względu na to, jak trudno ich dotrzymać. Złożyłam obietnicę Drew i zostałam, ponieważ...

- Ponieważ?

- Ponieważ zasługiwałam na karę. - Emma zamknęła oczy ogarnięta tępą grozą. - O Boże! Zostałam przez te wszystkie miesiące, ponieważ chciałam być ukarana za utratę Darrena?!

Katherine pozwoliła sobie jedynie na krótki moment satysfakcji. Właśnie to miała nadzieję usłyszeć.

- Myślę, że częściowo tak. Powiedziałaś przedtem, że Drew przypominał ci Briana. Winiłaś siebie za śmierć Darrena, a w umysłowości dziecka przewinieniu towarzyszy kara.

- Kiedy wychodziłam za Drew, nie wiedziałam, że jest okrutny.

- Nie. Przyciągnęły cię pozory. Przystojny młody człowiek z pięknym głosem. Romantyczny, czarujący. Wybrałaś mężczyznę, którego uważałaś za czułego, łagodnego.

- Pomyliłam się.

- Pomyliłaś się w ocenie Drew. Zawiódł cię i to wielokrotnie. Ponieważ był taki atrakcyjny, taki kochający, nabrałaś przekonania, że zasługujesz na krzywdę, jaką ci wyrządza. Posłużył się twoją słabością, wykorzystał ją i umocnił. Nie prosiłaś się o to, by być maltretowana, Emmo. Nie byłaś winna jego choroby, tak jak nie byłaś winna śmierci brata. - Ujęła Emmę za rękę. - Jestem przekonana, że jeżeli uznasz ten fakt i zaakceptujesz go, przypomnisz sobie resztę. A kiedy sobie przypomnisz, koszmary się skończą.

- Przypomnę sobie - szepnęła Emma. I tym razem nie ucieknę.

Mieszkanie prawie się nie zmieniło. Marianna dodała tylko parę własnych dziwacznych akcentów. Portret Godzilli, olbrzymią plastikową palmę, nadal udekorowaną bombkami, choć szły już styczniowe przeceny, oraz wypchane ptaszysko chwiejące się na żerdzi przed oknem. Jej obrazy - pejzaże lądowe i morskie, portrety i martwe natury - zapełniały ściany. Studio pachniało farbą, terpentyną i Obsesją Calvina Kleina.

Emma siedziała na stołku w smudze światła, ubrana w sweter, który ześlizgiwał się z jednego ramienia. W jej uszach połyskiwały szafirowo-diaamentowe kolczyki — prezent gwiazdkowy od ojca.

- Jesteś spięta - poskarżyła się Marianna, muskając papier ołówkiem.

- Zawsze to mówisz, kiedy mnie rysujesz.

- Nie, naprawdę jesteś spięta. - Marianna wsunęła ołówek we włosy. Masa loków muskała zaledwie jej ramiona. Usiadła z powrotem, bębniąc palcami po szkicowniku i przyglądając się Emmie. - Czy to dlatego, że jesteś tutaj, w Nowym Jorku?

- Nie wiem. Może. - Ale Emma była spięta także przez ostatnie dni w Londynie. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest obserwowana, śledzona. Osaczana.

Idiotyczne. Zrobiła trzy głębokie wdechy. Najprawdopodobniej napięcie bierze się stąd, że w końcu przyznała się do uczuć związanych z Drew i Darrenem. Do winy, wstydu, gniewu. I kiedy już to zrobiła, poczuła ulgę.

- Chcesz przerwać? - Marianna nie skończyła nawet mówić, a już wyjęła zza ucha ołówki i wróciła do szkicowania. Zawsze pragnęła uchwycić wyraz osaczenia i zarazem spokoju w oczach Emmy. - Mogłybyśmy pojechać do centrum, do Bloomies albo do Elizabeth Arden, zrobić sobie masaż twarzy. Nie byłam u kosmetyczki od tygodni!

- Miałam ci właśnie powiedzieć, że strasznie wyglądasz. - Emma uśmiechnęła się i w kąciку ust pojawił się dołeczek. - Co to jest? Witaminy, makrobiotyki, seks? Jesteś piękna!

- Myślę, że to może być miłość.

- Dentysta?

- Kto? Och, nie! Kanałowe leczenie zniszczyło nasz związek. Ma na imię Ross. Poznałam go jakieś sześć miesięcy temu.

- Sześć miesięcy! - Emma uniosła brew. - I nawet o nim nie wspomniałaś!

- Bałam się zapeszyć. - Marianna wzruszyła ramionami, po czym odwróciła kartkę i zaczęła nowy szkic. - Przesuń się trochę, dobrze? Przekręć głowę. O tak.

- To poważna sprawa? - Emma zerknęła za okno. Żołądek podjechał jej do gardła. Wzięła parę spokojnych wdechów. Ludzie w dole śpieszyli poganiani ostrym wiatrem, który groził deszczem lub śniegiem. W drzwiach delikatesów stał, pałac papierosa, mężczyzna. Mogłaby przysiąc, że spojrzał wprost na nią.

- Co? - zapytała, zrozumiałaś, że Marianna coś mówi.

- Powiedziałam, że może być poważna. Chciałabym. Kłopot w tym, że to senator.

- Taki amerykański?

- Dżentelmen z Wirginii. Możesz wyobrazić sobie mnie jako jedną z tych szikownych waszyngtońskich żon?

- Tak - powiedziała Emma i uśmiechnęła się. - Mogę.

- Herbatki i protokół dyplomatyczny. - Marianna zmarszczyła nos. - Nie wyobrażam sobie, żebyś mogła dosiedzieć do końca przemówienia o budżecie obronnym. Na co patrzysz?

- Och! Na nic. - Emma odwróciła wzrok i pokręciła głową. - Na ulicy stoi mężczyzna.

- Niemożliwe? W centrum Nowego Jorku! Znów jesteś spięta.



- Przepraszam. - Emma celowo odwróciła wzrok i próbowała się odprężyć. - Paranoja - powiedziała, siłąc się na lekki ton. - A więc, czy dane mi będzie poznać pana polityka?

- Jest w Waszyngtonie. - Dwoma machnięciami ołówka Marianna naskicowała brwi. - Gdyby cię tak nie gnało do L.A., mogłabyś pojechać ze mną w przyszłym tygodniu.

- A więc to poważne.

- Niemal. Emma, co jest takiego fascynującego, tam na dole?!

- Mężczyzna. Jakby patrzył wprost na mnie.

- Wygląda to na beznadziejny przypadek próżności, a nie na paranoję. - Marianna dźwignęła się z miejsca i podeszła do okna. - Najprawdopodobniej czeka na dostawę prochów - zdecydowała. Odeszła w głąb pokoju i wzięła zapomnianą filiżankę z kawą. - A mówiąc poważnie, co z Michaelem? Czy dasz żyć mężczyźnie i jego psu?

- Odczekam jeszcze trochę.

- Odczekujesz od chwili, gdy miałś trzynaście lat - zauważyła cierpko Marianna. - Jak to jest, gdy mężczyzna kocha bez nadziei przez dziesięć lat?

- To nie tak.

- Dokładnie tak. Prawdę mówiąc, jestem zaskoczona, że został na Wschodnim Wybrzeżu, wiedząc, że wpadniesz tu z wizytą na parę dni.

- On chce się ze mną ożenić.

- No cóż, zaskoczenie zwala mnie z nóg. Kto mógłby przypuszczać?

- Nie chcę myśleć, co będzie dalej.

- Bo chwilowo wyrzuciłaś ze swojego słownika słowo na „m”. Więc co masz zamiar z tym zrobić?

- Z tym?

- Z dwoma „m”. Małżeństwem i Michaelem.

- Nie wiem. - Emma wyjrzała ponownie przez okno. Mężczyzna stał cierpliwie. - Poczekam, aż go znów zobaczę. Nasze uczucia mogły się zmienić teraz, kiedy życie wraca z wolna do normy. Cholera!

- Co?!

- Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam. Tato znów wynajął ochroniarza. - Odwróciła się ku Mariannie, patrząc na nią zwięzonymi oczami. - Wiesz coś na ten temat?

- Nie. - Marianna podeszła ponownie do okna. - Brian nic nie wspominał. Słuchaj, facet po prostu stoi. Dlaczego od razu zakładać, że ma to związek z tobą?

- Gdybyś żyła przez dwadzieścia lat z ochroniarzem na karku, wiedziałabyś, kiedy jesteś obserwowana. - Emma zirytowana odeszła od okna. Nagle okręciła się na pięcie i klnąc pod nosem, szarpnęła okno. - Hej! -

Niespodziewany wrzask zaskoczył ją nie mniej niż faceta na ulicy - Idź zadzwonić do swojego szefa i powiedz mu, że potrafię się sama o siebie zatroszczyć. Jeżeli zaobaczę cię tam za pięć minut, wzywam policję!

- Lepiej ci? - zamruczała Marianna w jej ramię.

- O wiele lepiej.

- Nie jestem pewna, czy usłyszał cię z tej wysokości.

- Usłyszał - stwierdziła Emma, kiwając z satysfakcją głową. - Odchodzi. -

Nieco oszołomiona, cofnęła się. - Chodźmy zrobić masaż twarzy.

Michael ślęczał nad wydrukiem. Skompletowanie listy zajęło mu wiele dni. Ostatnie tygodnie dowiodły, że jest równie uwikłany w sprawę morderstwa Darrena McAvoya, jak dwadzieścia lat temu ojciec. Przystudiował wszystkie akta, obejrzał każdą fotografię, dwukrotnie sprawdził każde zeznanie złożone w trakcie pierwszego śledztwa. Odgrzebał wspomnienia z wizyty w domu na wzgórzach. Zanotował własne wrażenie, opis wydarzeń przytoczony przez Emmę.

Opierając się na wynikach metodycznego śledztwa, prowadzonego przez Lou, i wspomnieniach Emmy, był w stanie odtworzyć w swoim umyśle noc śmierci Darrena.

Muzyka. Beatlesi, Stonesi, Joplin, Doors.

Narkotyki. Wszystko, od trawki po LSD.

Sprawy zawodowe, ploty. Śmiech i natchnione dyskusje polityczne. Wietnam, Nixon, równouprawnienie kobiet.

Ludzie wchodzą i wychodzą. Niektórzy są zaproszeni, inni po prostu wpadają. Oficjalne zaproszenia są dobre dla establishmentu. Panuje pokój, miłość i wspólnota. Brzmi to może miłutko, ale u gliniarza z początku lat dziewięćdziesiątych wywołało frustrację.

Miał listę, którą skompletował ojciec. Była żałośnie skromna, ale od niej właśnie należało zacząć. Kierując się instynktem, całymi dniami sprawdzał, gdzie przebywały osoby z listy w dniu śmierci Jane Palmer. Wyodrębnił siedemnaście osób, które mieszkały wówczas w Londynie, w tym czterech członków Devastation, ich menedżera i Bev McAvoy. Nie uległ pokusie, by wykreślić te nazwiska, i spędził następne dni na sprawdzaniu alibi.

Lista zawężyła się do dwunastu osób. Miał nadzieję, że jeżeli rzeczywiście istnieje powiązanie między dwoma morderstwami dokonanymi w odstępie dwudziestu lat, znajduje się ono na tej kartce papieru.

- Jest to jakiś punkt wyjścia - powiedział Michael. Patrzył na wydruk ponad ramieniem ojca. - Chcę pokopać trochę głębiej, znaleźć wszystkie powiązania między tymi ludźmi a Jane Palmer.

- Umieściłeś tu McAvoyow. Chyba nie sądzisz, że zabili własnego syna?

- Nie. Są tylko ogniwem. - Otworzył teczkę. Miał w niej listę nazwisk połączonych przerywaną linią. Przypominało to drzewo genealogiczne. Na szczycie drzewa figurowały nazwiska Bev, Briana i Jane. Poniżej Emmy i Darrena. - Starałem się ich ze sobą powiązać, wykorzystując zeznania i archiwum. Weź na przykład Johnno. - Michael przesunął palec niżej. - Jest najstarszym przyjacielem Briana, jego partnerem. Razem założyli zespół. Pozostał przyjacielem Bev w czasie długiej rozłąki z Brianem. On znał Jane najdłużej.

- Motyw?

- Możemy upierać się przy pieniądzach albo zemście - ciągnął Michael. - To pasuje jedynie do Jane Palmer, w przypadku reszty zespołu motyw jest naciągany. Blackpool. - Michael przeskoczył oczko niżej. - W tamtym okresie był jeszcze szaraczkiem. Jego wielki przełom nastąpił kilka miesięcy później, kiedy nagrał piosenkę autorstwa Briana i Johnno. I Pete Page został jego menedżerem. - Michael przesunął palcem po liniach łączących Blackpoola z Brianem, Johnno, Petem i Emmą.

- Żadnych powiązań z Jane Palmer?

- Jeszcze się do nich nie dokopałem.

Lou skinął głową i odchylił się na oparcie fotela.

- Masz tu parę nazwisk, które nawet ja rozpoznaję.

- Rock'n'rollowa lista przebojów. - Siadając na brzegu biurka, Michael zapalił papierosa. - Jeżeli przyjmiemy, że motywem było porwanie dla okupu, większość tych nazwisk nie pasuje. I w tym momencie wchodzi Jane Palmer. Jeżeli to ona była autorką pomysłu, mogła użyć szantażu, seksu, narkotyków albo jakiegokolwiek innej przynęty, by nakłonić kogoś do działania. Chciała uderzyć w Briana poprzez Darrena. Próbowała kiedyś tego samego z Emmą, ale otrzymała tylko pieniądze. Teraz chciała więcej. Czy istniała lepsza droga niż przez jego syna?

Odepchnął się od biurka i zaczął przemierzać pokój.

- Gdyby mogła dostać się do domu, zrobiłaby to sama. Ale była jedyną chyba osobą, która nie została mile powitana tamtej nocy. Więc znalazła kogoś, użyła najskuteczniejszej metody perswazji i dostała to, czego chciała.

- Doskonale ją rozumiesz.

Michael pomyślał o krótkim, niszczycielskim romansie z Angie Parks.

- Chyba tak. Jeżeli uwierzymy Jane na słowo, że porwanie było jej pomysłem, wtedy należy odnaleźć ogniwo. Użyła kogoś z tej listy.

- W pokoju Darrena było dwóch mężczyzn.

- I jeden z nich znał dom. Musiał znać rozkład pokoi na piętrze, prywatną strefę McAvoyów. Musiał znać dzieci, zwyczajnie. Trzeba więc poszukać kogoś związanego z Jane i Brianem.

- Zapomniałeś o czymś, Michael. - Lou odchylił się na fotelu, badając wzrokiem syna. - Gdybyś umieścił tu swoje nazwisko, z iloma innymi

zostałbyś połączony? Nic nie zaciemnia śledztwa bardziej niż osobiste zaangażowanie.

- I nic nie motywuje bardziej. - Michael zdusił niedopałek w popielnicze. - Jestem pewien, że nie zostałamby glina, gdyby nie Emma. Przyjechała wtedy do nas. Pamiętasz, zbliżała się Gwiazdka. Przyjechała się z tobą zobaczyć.

- Pamiętam.

- Szukała pomocy. Niewiele można było dla niej zrobić, ale zwróciła się do ciebie. To mi dało do myślenia. Zrozumiałem, że jest w tym zawodzie coś więcej niż tylko wypełnianie formularzy, robienie notatek. Chodzi o coś więcej niż strzelanie i zakładanie kajdanek. Ludzie przychodzili do ciebie, ponieważ wiedziałeś, co robić. Pojechaliśmy wtedy z Emmą do domu na wzgórzach i razem go obeszlśmy. Zrozumiałem, że musi być ktoś, kto będzie wiedział, co robić. Komu zależeć będzie na jednym małym chłopcu tak bardzo, że nigdy nie przestanie próbować.

Lou, wzruszony, opuścił wzrok na papiery leżące na biurku.

- Ta sprawa toczy się od dwudziestu lat, a ja ciągle nie wiem, jak ją rozwiązać.

- Jakiego koloru były oczy Darrena McAvoya?

- Zielone - odparł Lou. - Tak jak jego matki.

Michael podniósł się z lekkim uśmiechem na ustach.

- Nigdy nie przestałeś próbować. Jadę teraz po Emmę na lotnisko. Mogę zostawić u ciebie te papiery? Nie chcę, żeby je zobaczyła.

- Mhm. - Miał zamiar rozważyć każde słowo raportu syna. - Michael! - Rzucił na niego okiem, kiedy Michael zatrzymał się w drzwiach. - Zrobił się z ciebie niezły glina.

- Z ciebie też.

## Rozdział 42

Emma postanowiła trochę przyhamować. Sprawy z Michaelem toczyły się zbyt szybko. Postara się cofnąć łagodnie ich związek o parę ząbków. Wkrótce ukaże się jej album. Należało również otworzyć własne studio, może zrobić jeszcze jedną wystawę?

A zresztą, czy wiedziała cokolwiek o własnych uczuciach? Czy mogła wiedzieć, żyjąc pośród chaosu? Nic łatwiejszego, niż wziąć wdzięczność za miłość. A dla Michaela żywiła wdzięczność. Przez całe niemal życie był jej przyjacielem, choć dzieliły ich od siebie tysiące kilometrów. Decyzja, by odrobinę zwolnić, wyjdzie im obojemu na dobre.

Przechodząc przez rękaw samolotu, ujęła stanowczym gestem pudło z aparatem.

Zobaczyła go w chwili, gdy on zobaczył ją. Wszystkie rozsądne postanowienia podjęte na przestrzeni ostatnich pięciu tysięcy kilometrów umknęły jej z pamięci. Zanim zdążyła wypowiedzieć jego imię, uniósł ją w ramionach. Ku zdziwieniu i irytacji innych pasażerów, powitał ją, blokując przejście.

Kiedy znów mogła oddychać, przyłożyła dłoń do jego policzka.

- Cześć.
- Cześć. - Pocałował ją jeszcze raz. - Miło cię widzieć.
- Mam nadzieję, że nie czekałeś długo.
- Coś około jedenastu lat. - Michael ruszył w stronę terminalu.
- Może byś mnie tak postawił na ziemi?
- Chyba nie. Jak lot?
- Spokojny. - Ze śmiechem wycisnęła pocałunek na jego policzku. - Michael, nie możesz nieść mnie przez całe lotnisko.
- Nie ma zakazu. Sprawdziłem. Przypuszczam, że przywiozłaś jakiś bagaż.

- Tak.

- Chcesz go odebrać?

W odpowiedzi uśmiechnęła się szeroko i usadowiła wygodnie, by w pełni cieszyć się przejażdżką.

- Niespecjalnie.

Dwie godziny później siedzieli w łóżku, zjadając lody wprost z kartonu.

- Nie miałam zwyczaju jeść w łóżku, zanim cię poznałam. - Emma zacerpnęła lodów i poczęstowała Michaela. - W szkole szmuglowaliśmy z Marianną batony czekoladowe do pokoju. Czasami rzączyłyśmy się nimi w łóżku po zgaszeniu świateł, ale nie posunęłyśmy się dalej.

- Zawsze myślałam, że po zgaszeniu świateł dziewczyny szmuglują chłopców.

- Nie. Tylko czekoladki. - Emma przełknęła łyżkę lodów i zamknęła oczy. - O chłopcach jedynie marzyłyśmy. Przez cały czas rozmawiałyśmy o seksie. Każda dziewczyna, która twierdziła, że ma za sobą to doświadczenie, wzbudzała naszą zazdrość. - Otworzyła oczy i się uśmiechnęła. - Jest lepiej niż w marzeniach. - Ofiarowała mu kolejną łyżkę lodów. Ramiączko krótkiej koszulki zsunęło jej się z ramienia.

Michael bawił się nim przez chwilę.

- Gdybyś pozwoliła mi się wprowadzić, moglibyśmy ćwiczyć o wiele częściej. - Patrzył na nią, czekając. Chce usłyszeć odpowiedź, pomyślała, a ona nie wiedziała, jakiej odpowiedzi mu udzielić.

- Nie zdecydowałam jeszcze, czy zatrzymam ten dom, czy poszukam innego. - Oboje zdawali sobie sprawę, że jest to wykręt, choć zawierał niewątpliwie pewną dozę prawdy. - Potrzebuję studia i ciemni. Chyba jednak poszukam nowego lokum.

- Tutaj, w L.A.?

- Tak. - Pomyślała o Nowym Jorku. Nigdy już nie będzie jej domem. - Chciałabym rozpocząć tu nowe życie.

- Dobrze.

Odstawiła pudełko z lodami, przekonana, że Michael nie ma pojęcia, co ona rozumie pod słowem „nowe”.

- Muszę się przygotować do drugiej wystawy. Nawiązałam tu sporo kontaktów i myślę, że mogłabym połączyć to z wydaniem albumu...

- Jakiego albumu?

Rozprostowała fałdy prześcieradła i wzięła głęboki oddech.

- Mojego. Sprzedałam do niego prawa półtora roku temu. O Devastation. Od wczesnych zdjęć z czasów mojego dzieciństwa, aż do ostatniego tournée, na które pojechałam z tatą. Jego wydanie opóźniało się parę razy z uwagi na to, co... co się stało. Ale powinien wyjść za pół roku. - Emma zerknęła w stronę okna. Wiatr od morza niósł z sobą szum deszczu. - Mam już pomysły na następny. Wydawca zdaje się być zainteresowany.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?! - Zanim zdołała wydukać jakieś usprawiedliwienie, chwycił jej twarz w dłonie i ucałował, mocno i długo. - Jest tylko woda mineralna, by to oblać! Oj, niedobrze!

Niemal się odprężyła, lecz teraz zesztyniała ponownie.

- Co?

- Mama mnie zabije, jeżeli nie dasz jej pierwszeństwa, jeśli chodzi o spotkania autorskie.

I to wszystko? - pomyślała, gapiąc się na niego. Żadnych pytań, żądań, żadnej krytyki?

- Ja... Wydawca chce, żebym pojechała w trasę. To oznacza, że przez parę tygodni nie będzie mnie w domu.

- Zobaczę cię w *Donahoue*?

- Nie... nie wiem. Na razie wszystko jest w stadium przygotowań. Powiedziałam, że jestem całkowicie do ich dyspozycji.

Dopiero jej ton kazał mu unieść brew.

- Czy ty poddajesz mnie jakiejś próbie, Emmo? Sprawdzasz, czy na wiadomość o tym, że masz własne życie, nie wyrosną mi jadowite zęby?

- Może.

- Niestety, muszę cię rozczarować. - Chciał wstać, ale położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jeżeli byłam niesprawiedliwa, przepraszam. To niełatwe być zawsze sprawiedliwym. - Emma przeciągnęła obiema rękami przez włosy. — Wiem, że nie powinnam robić porównań, ale nie mogę ich nie robić.

- Popracuj nad tym - zasugerował beznamiętnie, po czym sięgnął po papierosa.

- Do cholery, Michael! Mam tylko jego do porównań. Nigdy nie żyłam z innym mężczyzną, nigdy nie spałam z innym mężczyzną. Chcesz, żebym udawała, że ta część mojego życia w ogóle nie istniała. Że nigdy nie pozwoliłam, by mnie wykorzystano, skrzywdzono. Powinnam zapomnieć, pozbiierać resztki i iść dalej, żebyś ty mógł się mną opiekować. Każdy mężczyzna, który znaczył coś w moim życiu, chciał się mną opiekować, ponieważ jestem zbyt słaba albo głupia, albo bezbronna, żeby dokonać właściwego wyboru.

- Stój!

Ale ona wygramoliła się już z łóżka i krążyła po pokoju.

- Przez całe życie byłam spychana na pobocze, dla mojego własnego dobra. Ojciec chciał, żebym zapomniała o Darrenie, nie dręczyła się tym, nie myślała. Nie powinnam się martwić również tym, co on czynił ze swoim życiem. Potem pałeczkę przejął Drew. Byłam zbyt naiwna, żeby zająć się swoimi finansami, przyjaciółmi, swoją pracą. I byłam tak przyzwyczajona do tego, że ktoś mną kieruje, że po prostu szłam we wskazanym kierunku. Teraz mam o tym wszystkim zapomnieć, po prostu zapomnieć i pozwolić ci wskoczyć w moje życie i przejąć ster, bym znowu mogła być chroniona.

- Myślisz, że dlatego tu jestem?

Odwróciła się ku niemu.

- A nie?

- Może częściowo tak. - Michael wydmuchał dym, po czym niespiesznie zdusił papierosa. - Trudno kochać kogoś i nie pragnąć go chronić. Ale uspokójmy się, dobrze? Nie chcę, żebyś zapomniała o tym, co stało się między tobą a Latimerem. Chcę, żebyś nauczyła się z tym żyć, ale proszę Boga, żebyś nigdy o tym nie zapomniała.

- Nie zapomnę.

- Ja również nie. - Wstał, żeby do niej podejść. Wiatr tłukł w okna strugami deszczu. - Pamiętam wszystko, co on ci zrobił. Są chwile, kiedy pragnę, by wrócił do życia, żebym mógł go zabić. Ale pamiętam też, jak się z tego wydobyłaś. Przeciwwstałaś mu się i przeżyłaś. Słaba? - Uniósł dłoń, by opuszką palca przesunąć po bliźnie na podbródku Emmy. - Naprawdę uważasz, że tak o tobie myślę? Widziałem, co on ci zrobił. Ten obraz stoi mi w oczach. Ale nie pozwoliłaś, żeby cię zniszczył, Emmo!

- Nie. I nigdy już nie pozwolę, by ktoś przejął kontrolę nad moim życiem.

- Nie jestem twoim ojcem. - Michael wyrzucił z siebie te słowa, chwytając ją za ramiona. - Ani Latimerem. Nie chcę kontrolować twojego życia, chcę stać się jego częścią.

- Nie wiem, czego chcę. - Nakryła dłońmi jego ręce. - Wracam ciągle do ciebie i to mnie przeraża, ponieważ nie mogę się wyzwolić. Nie chcę potrzebować cię w ten sposób.

- Emmo! - Zaklął, kiedy zadzwonił telefon.

- Do ciebie - powiedziała, oddając mu słuchawkę.

- No? - Sięgnął po papierosy i zamarł. - Gdzie? Dwadzieścia minut - powiedział i przerwał połączenie. - Muszę iść. - Wciągał już dzinsy.

Skinęła tylko głową, Ktoś zginął. Widziała to w jego twarzy.

- Nie skończyliśmy tej rozmowy, Emmo.

- Nie.

Umocował kaburę pod pachą.

- Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

- Michael. - Nie wiedziała, co chce powiedzieć. Ulegając wewnętrznemu nakazowi, otoczyła go ramionami. - Do widzenia.

Nie mogła znaleźć sobie miejsca po jego wyjściu. Za oknem wisiała teraz zasłona deszczu. Ledwo widziała zza niej ocean, ale słyszała huk fal. Szare światło i odgłos morza działały uspokajająco. Zrobiło się tak chłodno, że postanowiła rozpalic ogień na kominku. Kiedy już płonął, zadzwoniła na lotnisko, żeby załatwić sprawę bagażu.

Nagle uświadomiła sobie, że po raz pierwszy jest zupełnie sama w domu, który być może stanie się jej własnością. Zrobiła sobie herbaty i obezła dom, popijając gorący napój. Jeżeli go kupi, będzie wymagał przeróbki. Pokój obok kuchni można by powiększyć i zaadaptować na studio. Światło jest dobre, myślała. O ile, naturalnie, świeci słońce.

Na piętrze mieściły się trzy sypialnie, wysokie i przestronne. Dom miał zbyt dużą powierzchnię, ale co z tego. Lubiła przestrzeń. Może rzeczywiście go kupi. Zamyślona, zerknęła na zegarek. Warto zadzwonić do agenta handlu nieruchomościami. Telefon odezwał się, zanim zdążyła ująć słuchawkę.

- Emma?

- Tato! - Przysiadła na poręczu kanapy.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy dotarłaś.

- Wszystko w porządku. Co u ciebie?

- Małe pandemium. Nagrywamy. Wkrótce robimy przerwę i wracamy na Wybrzeże.

- Tato, powiedziała ci. Mam się świetnie. Naprawdę nie musisz jechać taki kawał drogi.

- Chcę się przekonać na własne oczy. A poza tym startujemy do trzech nagród Grammy.

Protest zamarł jej na ustach.



- Gratuluję.  
- Wygląda na to, że zjawimy się w pełnym składzie. Przyłączysz się do nas, prawda?

- Z przyjemnością.

- Pomyślałem, że może zabrałabyś Michaela, Pete zajmie się biletami. Przypomniała sobie jego twarz, kiedy zakładał pas z bronią.

- Może być zajęty.

- Sprawdź. Przyjedziemy pod koniec tygodnia na próby. Pete chce cię prosić, żebyś była jednym z prezenterów.

- Naprawdę nie wiem.

- Emmo, to dla mnie ogromnie ważne, żebyś ty odczytała werdykt. Jeżeli oczywiście zdobędziemy z Johnno nagrodę.

Uśmiechnęła się.

- A jeżeli nie zdobędziecie, mogę wyczytać wasze nazwiska, tak czy inaczej.

- No właśnie. Uważasz na siebie, prawda?

- Tak. Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. - Emma przełożyła słuchawkę do drugiej ręki. - Tato, nie chcę ochroniarza. Potrafię sama zatroszczyć się o siebie, więc go odwołaj.

- Jakiego ochroniarza?

- Tego, którego zatrudniłeś przed moim wyjazdem z Londynu.

- Nikogo nie zatrudniłem, Emmo.

- Słuchaj... - urwała. Często ukrywał przed nią prawdę, ale nigdy nie skłamał. - Nie wynająłeś nikogo, żeby za mną chodził, pilnował mnie?

- Nie. Nie sądziłem, by ktoś taki był ci potrzebny. Czy ktoś cię nachodzi? Moglibyśmy przyjechać wcześniej...

- Nie! - Emma z westchnieniem przycisnęła palce do oczu. - Nikt mnie nie nachodzi. Marianna miała rację. To tylko paranoja. Przypuszczam, że nie przywykłam do swobody, ale mam zamiar to zrobić. - Aby to udowodnić, podjęła błyskawiczną decyzję. - Powiedz Pete'owi, że z przyjemnością będę prezenterką na rozdaniu nagród Grammy. Już jutro rozpocznę poszukiwania odpowiedniej kreacji.

- Ktoś się z tobą skontaktuje w sprawie prób. Zarezerwuj sobie wolny wieczór. Chcemy z Bev zabrać ciebie i Michaela na kolację.

- Powiem mu. On... Tato? - zapytała pod wpływem impulsu. - Co sprawia, że jesteś tak życzliwie nastawiony do Michaela?

- Jest niewzruszony jak skała. I kocha cię równie mocno jak ja. Uczyni cię szczęśliwą. Tylko tego pragnę.

- Wiem. Kocham cię, tato. Zobaczymy się później.

Może to naprawdę jest aż takie proste, pomyślała, odwieszając słuchawkę. Miała człowieka, który ją kochał i który mógł uczynić ją szczęśliwą. Nigdy

nie podawała w wątpliwość uczuć Michaela ani własnych. Niepokoiło ją co innego. Nie była pewna, czy potrafi ofiarować coś drugiemu człowiekowi.

Zarzuciła płaszcz nieprzemakalny i wybiegła w deszcz. Jedno mogła mu dać na pewno - gorący posiłek, kiedy wróci do domu.

Bawiło ją pchanie wózka między półkami, wybieranie smakołyków. Wyszła ze sklepu z trzema torbami. Przemoczona, usadowiła się w samochodzie. Dochodziła dopiero trzecia, ale musiała zapalić światła, by przebić mrok. Ogarniało ją powoli zmęczenie wywołane zmianą czasu, ale było niemal przyjemne, harmonizowało z deszczem.

Droga wydawała się wyludniona. Inni zaplanowali starannie wyprawę na zakupy albo przeczekiwali burzę w bezpiecznym miejscu. Pewnie dlatego zauważyła samochód. Jechał za nią, skręcał tam, gdzie i ona, zawsze dwie długości z tyłu. Włączyła radio i starała się o tym zapomnieć.

Paranoja, powiedziała sobie.

Ale nadal zerkała we wsteczne lustro i widziała za sobą dwa bliźniacze reflektory. Przyśpieszyła, jadąc teraz odrobinę szybciej, niż pozwalał na to stan nawierzchni. Reflektory podążyły za nią. Zdjęła nogę z gazu i jadący za nią samochód zwolnił. Zagryzła wargę i skręciła gwałtownie w lewo, zrzucając wozem. Wpadła w poślizg. Samochód z tyłu powtórzył jej manewr i zatańczył na szosie.

Emma nacisnęła pedał gazu i udało jej się wyprowadzić wóz z poślizgu. Wystartowała ostro i pędziła ku domowi, modląc się, by te parę sekund przeżyci, które zyskała, wystarczyło.

Hamowała już z ręką na klamce. Pragnęła dostać się do środka, ukryć się. Być może ma urojenia, ale nie chce zostać na zewnątrz, zupełnie bezbronna, kiedy nadjedzie tamten samochód. Porzuciła zakupy i wyprysnęła z wozu. Krzyknęła, kiedy czyjaś dłoń opadła jej na ramię.

- Proszę pani! - Młody kierowca odskoczył i o mały włos nie wylądował w kałuży. - Jezu!

- Czego pan chce?

Woda skapywała mu z czapki na piegowaty nos. Nie widziała jego oczu.

- To pani dom?

W zaciśniętej dłoni trzymała klucze. Rozważała, czy da się ich użyć jako broni.

- Bo co?

- Mam trzy sztuki bagażu. Lot numer 457 z Nowego Jorku, dla Emmy McAvoy.

Bagaż. Omal się nie roześmiała, przesuwając dłonią po twarzy.

- Przepraszam. Był pan za mną kiedy wyszłam ze sklepu i trochę się przestraszyłam.

- Czekam tu na panią od dziesięciu minut - oświadczył i podsunął jej kwit. - Zechce pani podpisać.

- Ale... - Emma obejrzała się i zobaczyła, jak samochód, który ją ściągął, toczy się wolno ku domowi. Postać za kierownicą była niewidoczna za ścianą deszczu. - Przepraszam - powtórzyła, kiedy wóz zniknął w głębi ulicy. - Czy mógłby pan poczekać, aż wniosę zakupy?

- Droga pani, mam bagaż do rozwiezienia!

Wyciągnęła z torebki dwadzieścia dolarów.

- Proszę! — Nie czekając na jego odpowiedź, wróciła biegiem do samochodu.

W domu sprawdziła wszystkie zamki. Ogień na kominku, światła i ciepło pomogły jej wmówić sobie, że uległa złudzeniom. Kiedy w ciągu następnych dwudziestu minut samochód nie pojawił się, była już tego prawie pewna.

Gotowanie podziałało na nią uspokajająco. Podobały jej się zapachy, jakie tworzyła, cichy szepcący muzyki. W miarę jak dzień zbliżał się ku końcowi, szarość pogłębiała się, przechodząc powoli w czerń. Nie było zmierzchu, jedynie nieustanny deszcz. Znowu odprężona, postanowiła pójść na górę rozpakować walizki.

Na odgłos samochodu hamującego na śliskiej nawierzchni uderzyła w nią nowa fala paniki. Zamarła u stóp schodów, gapiąc się w szerokie, ciemne okno. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest zupełnie odsłonięta wśród powodzi światła. Usłyszała, jak ktoś zatrzaskuje drzwiczki.

Biegła do telefonu, kiedy rozległy się kroki przy frontowym wejściu. Nie wahając się ani chwili, podskoczyła do kominka i chwyciła mosiężny pogrzebacz. Na odgłos pukania zacisnęła na nim mocniej dłoń.

Jest sama. On wiedział, że jest sama, ponieważ włóczyła się po domu jak idiotka przy zapalonych światłach i podciągniętych roletach. Zaczęła się skradać w stronę telefonu. Zadzwoiła po pomoc. A jeżeli pomoc nie dotrze na czas, sama da sobie radę.

Serce bębniło jej o klatkę piersiową, kiedy podnosiła słuchawkę.

- Emma! Za chwilę utonę w deszczu!

- Michael? - Słuchawka wyślizgnęła się jej z palców i upadła na podłogę. Biegając ku drzwiom, upuściła również pogrzebacz. Drżącymi palcami otwierała zamki. Słyszała, jak Michael klnie. Rzuciła mu się ze śmiechem na szyję.

- Przepraszam, nie rozumiem, na czym polega kawał.

- Och, przykro mi! Tylko, że ja... - Emma odsunęła się i zobaczyła w jego oczach coś, czego nie widziała nigdy przedtem. Rozpacz. - Chodź, pozwól, że ci pomogę, Jesteś przemoczony. - Pomogła mu ściągnąć kurtkę. - Zaraz przyniosę ci herbaty. Szkoda, że nie pomyślałam o brandy, ale jest tu gdzieś pewnie butelka whisky. - Zaprowadziła go przed kominek,

a sama pobiegła do kuchni. Wróciła po paru chwilach z filiżanką herbaty. Nie poruszył się. Stał, patrząc w płomień.

- Proszę, dobra irlandzka herbata.
- Dzięki. - Michael upił łyk, skrzywił się i wychylił do dna.
- Powinieneś zdjąć te mokre rzeczy.
- Za chwilę.

Zaczęła coś mówić, potem zmieniła zdanie i poszła cicho na górę. Kiedy wróciła, wzięła go po prostu za rękę.

- Chodź. Zrobiłam ci kąpiel.

Nie miał siły oponować.

- Czy z pianą?  
- Ze wszystkim, co chcesz. Idź. - Zrobiła gest w stronę drzwi. - Odpręż się. Przyniosę ci jeszcze herbaty.

Zdjął koszulę. Plasnęła o podłogę.

- Tym razem poproszę tylko to, co w niej irlandzkie. Na dwa palce, bez lodu.

Wahała się, podczas gdy on rozpiął spodnie. Musi również przestać szukać duchów w butelce. Nie każdy, kto chce się napić, chce się od razu upić.

- Dobrze.

Kiedy wróciła, woda przestała już lecieć. Przystanąła w drzwiach, po czym, czując się trochę głupio, zaniósła szkanke do sypialni. Choć byli kochankami, nie potrafiła wejść, ot tak sobie, do łazienki, kiedy on się kąpał. Może kierowała się pragnieniem ochrony intymności, a może prywatności, w każdym razie nie potrafiła przekroczyć tej granicy. Usiadła na kanapie w oknie wykuszowym, patrzyła na deszcz i czekała.

Wyszedł z ręcznikiem zawiązanym nisko na biodrach. Światło padało od tyłu i widziała wyraźnie napięcie w jego stępszej twarzy.

- Siadałam właśnie do kolacji.

Skinął głową, ale nie odpowiedział. Sięgnął tylko po szkanke. Może uda mu się utrzymać whisky w żołądku. Jedzenia z całą pewnością nie.

- Powinnaś ją dokończyć.

- Mogę poczekać. - Pragnęła podejść do niego, ująć go za rękę, dotknięciem dłoni usunąć bruzdy przecinające czoło. Ale on gapił się w szkanke, jakby w ogóle nie istniała. Poszła więc do łazienki, by pozbierać mokre ubranie i ręczniki.

- Nie musisz po mnie sprzątać, Emmo! - Michael stał w drzwiach. Głęboki, niewypalony gniew przebijał z jego oczu, z głosu. - Nie potrzebuję matki.

- Ja tylko...

- Latimer chciał być obsługiwany. To nie w moim stylu.

- Świetnie! - Czuła jak wzbiera w niej wściekłość, w niczym nieustępująca jego złości. Upuściła koszulę z powrotem na podłogę. - Więc sam po sobie sprzątaj. Nie każdy lubi mieszkać w chlewie.

Porwał koszulę i cisnął ją do kosza z brudną bielizną. Emma nie zdołała opanować odruchu. Cofnęła się o dwa kroki.

- Nie patrz tak na mnie! - Michael odwrócił się, wściekły na nią, na siebie, na cały świat. - Nigdy tak na mnie nie patrz. Mogę złościć się na ciebie i nie tknąć cię palcem.

Próbowała zdławić jadowite słowa, które paliły ją w gardle, ale popłynęły.

- Nie boję się, że mnie uderzysz. Nikt mnie już nigdy bezkarnie nie skrzywdzi. Nie będę niczyją ofiarą. To dotyczy również ciebie. Jeżeli chcesz się dąsać, dąsaj się. Jeżeli chcesz się kłócić, świetnie. Będę się kłócić, ale chcę wiedzieć, o co. Jeżeli zachowujesz się w ten sposób, ponieważ nie robię tego, czego oczekujesz, nie jestem tym, kim chcesz, żebym była, mówię co innego, niż chcesz usłyszeć, to wielka szkoda. Wrzaski nic tu nie zmieniają.

Zanim zdążyła wybiec z łazienki, wyciągnął rękę, Nie po to, by odciąć jej odwrót, lecz prosić, by poczekała. Różnica była subtelna, ale wystarczyła, by powstrzymać nowy wybuch.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - powiedział cicho. - Absolutnie nic. - Spojrzała na mokre ubranie leżące na podłodze. - Słuchaj, czy nie można by wsadzić tego do suszarki, albo coś, żebym mógł to włożyć i wynieść się stąd do diabła? - Obok gniewu w jego oczach pojawiła się rozpacz.

- O co chodzi, Michael?

- Powiedziałem ci. To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Usiądźmy...

- Zostaw mnie w spokoju, Emmo!

Wrócił do sypialni. Pomylił się, zdecydował, odsuwając szklanekę. Whisky też nie zdołała utrzymać się w żołądku.

- Ach, rozumiem! Ty chcesz być częścią mojego życia, ale nie dopuścisz mnie do własnego.

- Nie do tej części mojego życia.

- Nie możesz odciąć kawałka siebie i upchnąć w kąt. Ja wiem. - Emma dotknęła jego ramienia. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo go kocha. Z pewnym zdziwieniem uświadomiła sobie, że nie tylko ona go potrzebuje. - Rozmawiaj ze mną, Michael. Proszę!

- To były dzieciaki - szepnął. - Jezu! Małe dzieci! On po prostu wszedł na plac zabaw na tyłach szkoły i pofolgował sobie. - Musiał usiąść, z trudem dobrnął do łóżka, usiadł na jego skraju i przycisnął pięści do oczu. Ciągle jeszcze to widział. Myślał z przerażeniem, że już zawsze będzie to widział.

Emma, zdumiona, usiadła obok niego, pocierając dłońią jego ramię, jakby chciała rozluźnić napięte mięśnie.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. Wiemy, kim był. Przypadek chorobowy. Pół życia w zakładach psychiatrycznych. Okazało się, że uczęszczał do tej szkoły, do tej

właśnie szkoły, zanim zabrali go po raz pierwszy. Dowiemy się więcej, ale jakie to ma znaczenie?

- Kto? O kim ty mówisz?

- O takim jednym nieszczęśniku. Chorym, żalonym nieszczęśniku, który dorwał się do karabinu maszynowego.

Zaczynała rozumieć. Fala mdłości podeszła jej do gardła.

- O mój Boże!

- Przyjechał do szkoły. Poszedł prosto na plac zabaw. Dzieciaki grały w piłkę i bawiły się skakanką. Jeszcze nie zaczęło padać. Otworzył ogień. Zabił sześcioro dzieci. Dwadzieścioro jest w szpitalu. Nie wszystkie przeżyją.

- Och, Michael! - Emma otoczyła go ramionami, wsparta policzkiem o jego policzek.

- Potem po prostu poszedł sobie. Zanim przybyła policja, już go nie było. Kiedy przyjechaliśmy z McCarthym... -Ale nie mógł jej tego opisać. Nie jej. Nawet nie sobie. - Mieliliśmy markę samochodu i znaleźliśmy wóz parę przecznic dalej. On też tam był, jadł lunch. Siedział na pieprzonej ławeczce w parku i zajadał kanapkę. Nie raczył nawet uciekać. Wsadził sobie po prostu lufę w usta. No i nigdy nie dowiemy się, dlaczego. Nawet się nie dowiemy, dlaczego.

- Tak mi przykro. - Żadne inne słowa nie przychodziły jej na myśl. - Tak mi przykro.

- Nasza obecność powinna ich powstrzymywać. Cholera, tak powinno być! Nie można temu zapobiec i nie można tego naprawić. Można tylko odejść i przekonać samego siebie, że nie dało się nic zrobić.

- Ale ty nie odchodzisz - szepnęła. - Michael! - Emma odsunęła się, by zajrzeć mu w twarz. - Nie mogłeś nic zrobić. Nie mówię ci, że nie powinienś rozpaczać nad czymś, czemu nie mogłeś zapobiec, ponieważ to właśnie sprawia, że jesteś sobą.

- Do tego się nie przywyka. - Michael wsparł czoło o jej czoło. - Dziwiłem się, dlaczego ojciec przychodzi czasem do domu i się wyłącza. Słyszałem wtedy, jak rozmawiają z matką w nocy. Godzinami.

- Możesz rozmawiać ze mną.

Przyciągnął ją do siebie. Była taka ciepła, miękka.

- Potrzebuję cię, Emmo. Nie powinienem przychodzić z tym do ciebie. Ale muszę się na kimś wesprzeć.

- A więc wesprzyj się na mnie. - Zbliżyła usta do jego warg.

Odpowiedź Michaela była tak gwałtowna, tak silna, że nie próbowała go już pocieszać. Jeżeli chce wypalić rozpacz w namiętności, ona mu w tym pomoże.

Nie wiedziała nawet, że potrafi przejąć inicjatywę, pociągnąć go za sobą na łóżko, pozwolić swoim dłoniom podniecać. Dotąd on zawsze ją kochał,

łagodnie, cierpliwie. Teraz na łagodność nie było miejsca. Jeżeli jego namiętność jest mroczna, ona wzbudzi w sobie podobną. Jeżeli jego pożądanie domaga się natychmiastowego spełnienia, znajdzie dla niego ujście.

Tym razem ona odgoni jego demony.

Przetaczała się z nim, na nim, zrywając ręcznik, kierując nim, czując drżenie, gorączkę, napięcie jego ciała, kiedy ogarniała je dłońmi. Bez wahania, lęku czy niepewności. Pieściła opuszkami palców, zataczała wolne koła, rysowała dręczące linie.

Światło lampy połyskiwało na jego skórze, budząc w niej pragnienie smakowania szybkimi muśnięciami języka, długą pieszczołą ust.

Władza, dopiero co odkryta, przetoczyła się przez nią jak burza.

Ciało Michaela pulsowało pod każdym dotknięciem. Próbował odwzajemnić pieszczoły, ale się odsunęła. Czekaj, zdawała się mówić. Pozwól mi. Pozwól się kochać. Ujmując jego dłoń, zsunęła się w dół, a jej usta wypalały znamiona rozkoszy na jego skórze.

Słyszał bębnienie deszczu o szyby, czuł, jak prześcieradło parzy go w plecy. W przyćmionym świetle widział jej długie, jasne włosy rozsypane na ramionach. Pociemniałe, przepastne oczy utonęły w jego oczach.

Poderwał się, przyciągając ją do siebie, aż zwarli się biodrami. Szarpał guziki, rozpaczliwie pragnąc ją zobaczyć, poczuć nagą przy sobie.

Zacisnęła zęby na jego ramieniu, kiedy zerwał z niej bluzkę. Szał bez brutalności. To rozumiała, tym mogła się rozkoszować. Burza w nim była sztormem w niej. Równie silnym. Wymiennym. Odkryła, że miłość i namiętność cudownie się dopełniają.

Jej chrapliwy jęk nie miał nic wspólnego z uległością. Skąd mogła wiedzieć, że przez całe życie pragnęła, by pożądano jej w ten sposób? Rozpaczliwie, wyłącznie, nierozważnie. Tak jak nie wiedziała, że pragnie poddać się szaleństwu, Teraz nie był delikatny, a ona rozkoszowała się jego gwałtownością. Nie panował już nad sobą, a ona popychała go jeszcze dalej ku krawędzi. Kiedy jego palce wpiły się w jej biodra, wiedziała, że nie myśli o niej jak o kimś słabym i kruchym, wymagającym ochrony. A kiedy wykrzyknął jej imię, wiedziała, że jej potrzebuje. Tylko jej.

Przyjmując go w siebie, wygięta ciało w geście triumfu i ulgi. Pierwszy oszalamiający orgazm przeszył ją i nie słabł. Michael szukał po omacku jej dłoni. Splatając swoje palce z palcami Michaela, Emma narzuciła mu swój oszalały rytm.

Nawet kiedy poczuła, że wybucha w niej, prowadziła go dalej, żądając więcej. Zbliżyła znów nienasycone wargi do jego ust, aż ogarnął je płomień, a oddech stał się płytki. Przesunęła językiem wzdłuż jego szyi, wyczuwając uderzenia pulsu. Michael wyszeptał coś niezrozumiale, chrapliwie. Mogła tylko jęknąć, kiedy poczuła, że znów w niej twardnieje.

Na wpół oszalały, poderwał się, chwytając ją za ramiona, rozgniatając usta pocałunkami. Nagle znalazła się pod nim, a jego ciało paliło ją, zagłębiało się w niej, zatapiało coraz intensywniej.

Jej długie, smukłe uda oplotły go ciasno. Oczy były otwarte, skupione na jego oczach. Widział, jak zaczynają płonąć, jak usta zaczynają drżeć. Rozkosz przeszła go ostrym płomieniem, kiedy wstrząsnął nią nowy orgazm. Potem ujrzał, jak się uśmiecha, powolutku, pięknie.

To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył, zanim pochłonęła go namiętność.

## Rozdział 43

Oglądała się za siebie i fakt ten doprowadzał ją do furii. Minał już tydzień, odkąd zamieszkała w domu na plaży - odkąd Michael i Conroy zamieszkali z nią razem. Próba generalna przyszłości, w którą zaczynała powoli wierzyć. Życie z Michaеłem, dzielenie z nim łóżka i czasu, nie budziło w niej uczucia osaczenia. Budziło uczucie normalności i szczęścia.

A jednak, choć rozpierała ją radość, nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że jest obserwowana. Ignorowała je, a przynajmniej próbowała ignorować, mówiąc sobie, że tropi ją kolejny reporter szukający sensacji. Kolejny fotograf z długim obiektywem, który poluje na wyjątkowe ujęcie.

Nie mogli jej osiągnąć, ani jej, ani tego, co budowała z Michaеłem.

Ale ilekroć zostawała sama, zamykała starannie drzwi i trzymała Conroya blisko.

Powtarzanie sobie, że nie ma tam nikogo z wyjątkiem jej prywatnych duchów, nie na wiele się zdało. Dalej wypatrywała, czekała. Nawet jadąc Rodeo Drive w pełnym słońcu, czuła napięcie skumulowane w karku. Była bardziej zażenowana, niż przestraszona, i żałowała, że nie wzięła kierowcy, zamiast prowadzić sama.

Sądziła, że poszukiwanie odpowiedniej sukienki, przymierzanie klasycznych i ekstrawaganckich kreacji przy akompaniamencie zachwyków ekspedientek, sprawi jej przyjemność. Ale odczuła tylko ulgę, że ma to już za sobą, że może wpakować suknię do samochodu i odjechać.

To jest żałosne, powiedziała sobie. Mania prześladowcza. Gdyby Katherine o tym usłyszała, uniosłaby swoją psychiatryczną brew i wydała parę interesujących dźwięków. Biedna Emma znowu sfiksowała. Myśli, że ktoś za nią chodzi. Zastanawia się, czy ktoś był w domu podczas jej nieobecności. A te dziwne hałasy w telefonie? Musi być na podsłuchu.



Chryste! Potarła palcem skronie i próbowała się roześmiać. Jeszcze trochę i zacznie zaglądać w nocy pod łóżka. A wtedy psychiatra nie wypuści jej z rąk.

No cóż, sama wybrała L.A., prawda? Ani się obejrzy, jak zatrudni prywatnego trenera i psychoterapeutę. Będzie martwić się o swoją psychozę albo wchodzić w kontakt duchowy z trzystuletnim mnichem buddyjskim.

Roześmiała się jednak.

Zaparkowała wóz przed teatrem i sięgnęła po aparat. Mnisi buddyjscy muszą poczekać, przynajmniej do czasu, aż załatwi sprawy bieżące. Nominowani do nagród i prezenterzy są już zapewne na miejscu. Będzie oglądała próby i robiła zdjęcia jak za dawnych dobrych czasów.

Wysiadła z samochodu i wpadła na Blackpoola. Tarasował jej drogę.

- Proszę, proszę. Witaj, Emmo, złotko!

Z wściekłością stwierdziła, że nadal kuli się przy nim ze strachu. Bez słowa próbowała go wyminąć. Przesunął się po prostu, przygwożdżając ją do samochodu z taką samą łątwością, z jaką przygwoździł ją kiedyś do ściany ciemni.

Z uśmiechem obrysował palcem linię jej karku.

- Czy tak wita się starych przyjaciół?

- Zejdź mi z drogi.

- Musimy popracować nad twoimi manierami. - Blackpool chwycił jej warkocz i szarpnął, aż jęknęła. - Małe dziewczynki wychowane wśród pieniędzy robią się nieznosne. Myślałem, że twój mąż czegoś cię nauczył, zanim go zabiłaś.

To nie strach, uświadomiła sobie, kiedy zaczęła się trząść. To furia. Zimna furia.

- Ty łajdaku. Puść mnie!

- Pomyślałem, że sobie pogawędzimy, tylko my dwoje. Pojedziemy na przejażdżkę. - Trzymając włosy Emmy w garści, pociągnął ją za sobą.

Określiła się i grzmotnęła go pudłem z aparatami w żołądek. Zgiął się wpół, a ona, cofając się, wpadła na kogoś. Bez namysłu odwróciła się i omal nie zdzieliła Steviego w twarz.

- Spokojnie! - Osłonił się ramieniem, zanim jej pięść wylądowała na jego nosie. - Nie bij mnie. Jestem tylko biednym eksnarkomanem, który przyszedł pograć na gitarze. - Ścisnął ją za ramię. - Mamy tu jakiś problem?

Emma rzuciła Blackpoolowi niedbałe spojrzenie. Odzyskał już oddech i stał, zaciskając pięści. Odczuła żywą przyjemność. Obroniła się sama, i to bardzo skutecznie.

- Nie, już nie. - Emma odwróciła się i ruszyła ze Steviem w stronę teatru.

- Co to wszystko miało znaczyć?

Uśmiechnęła się. Cóż to była za satysfakcja!

- To tylko kawał drania.
- Ty za to jesteś prawdziwą Amazonką. Galopuję oto przez parking w nadziei, że odegram rolę szlachetnego księcia, a ty wszystko popsujesz.
- Roześmiała się i pocałowała go w policzek.
- Załatwiłbyś go.
- Nie sądzę. Jest dużo większy. W sumie lepiej, że sama mu przyłożyłaś. Nie chciałbym pokazać się w telewizji z podbitym okiem.
- Wyglądałbyś bardzo mężnie. - Emma objęła go w pasie. - Nie mówmy o tym tacie.
- Bri posługuje się pięściami bardzo sprawnie. Podobałby mi się widok Blackpoola ze śliwą.
- Mnie również - szepnęła. - Poczekajmy przynajmniej do zakończenia uroczystości.
- Nigdy nie mogłem oprzeć się ładnej buzi.
- To prawda. Namówiłeś już Katherine, żeby za ciebie wyszła?
- Jej opór słabnie. - Usłyszeli jeden z zespołów, zanim jeszcze weszli do teatru. Chropawy, niepokorny rock rozsadał ściany. - Katherine została w Londynie. Powiedziała, że ma za dużo pacjentów, żeby tu przyjechać. Ale tak naprawdę, to chce sprawdzić, czy potrafię poradzić sobie ze swoimi problemami.

Emma zatrzymała się przed drzwiami, żeby posłuchać.

- I potrafisz?
- To zabawne, przez wszystkie te lata brałem prochy, bo chciałem poczuć się wspaniale. Zapomnieć o pewnych sprawach - pomyślał o Sylwii i westchnął. - Ale głównie dlatego, żeby poczuć się wspaniale. Wprawdzie nigdy się tak nie czułem, ale dalej brałem. W ciągu paru ostatnich lat rozumiałem, jakie może być życie, jeżeli człowiek stanie z nim twarzą w twarz - roześmiał się, niespokojnie wruszając ramionami. -Nadaję jak spiker cholerny komunikat urzędowy.
- Nie. Nadajesz jak człowiek szczęśliwy.
- Pokazał zęby w uśmiechu. To prawda, był szczęśliwy. A co więcej, zaczął wierzyć, że na to zasługuje.
- Nadal jestem najlepszy - poinformował ją, kiedy szli w stronę sceny. -Ale teraz wiem, jak się tym cieszyć.
- Ojciec udzielał wywiadu. On też jest szczęśliwy, pomyślała. P.M. pokazywał zdjęcia dziecka wszystkim technikom, których udało mu się dopaść, a Johnno kpił z niego niemiłosiernie.

Zespół na scenie skończył próbę. Są młodzi, zauważyła Emma. Sześć gładkich twarzy pod masami włosów. Nominacja na Najlepszą Nową Grupę. Czuła ich zdenerwowanie i z uczuciem pewnej dumy chwytiała spojrzenia, które rzucali ojcu.

Wiedziała, jakie pytania sobie teraz zadają. Czy przetrwamy tak długo? Czy wyryjemy tak głęboki ślad? Czy następne pokolenia będą poruszone naszą muzyką?

- Masz rację - powiedziała do Steviego. - Jesteście najlepsi. Wszyscy.

Ani razu nie pomyślała o Blackpoolu. Ani razu nie obejrzała się za siebie. Bawiła się świetnie, robiąc zdjęcia, rozmawiając o muzyce, śmiejąc się ze starych anegdot. Nawet jej własne wystąpienie, konieczność wyjścia na scenę i wyrecytowania paru zdań do prawie pustej widowni, nie zepsuło Emmie humoru. Sączyła ciepłąwą colę, a muzycy improwizowali na scenie, wykorzystując stare utwory Chucka Berry'ego.

Tylko P.M. wyszedł wcześniej, gnany pragnieniem powrotu do żony i dziecka.

- Starzeję się - zawyrokował Johnno. Klapnął obok niej na krzesło i wygrywał bluesy na harmonijce. Obejrzał się na siedemnastoletniego wokalistę, który był już uznaną gwiazdą. - Chryste! Wszyscy się starzejemy. Jeszcze trochę, a pognębisz nas ostatecznie, przynosząc wnuka.

- Nie martw się. Kiedy już nie będziesz mógł chodzić, przysuniemy twój fotel do mikrofonu. - Emma otworzyła butelkę.

- Złośliwa z ciebie istota, Emmo.

- Praktykowałam u mistrza. - Emma, chichocząc, zarzuciła mu rękę na ramię. - Spójrz na to w ten sposób: czy jest na tej sali jeszcze ktoś, kto przeżył dwie dekady rock'n'rollowego piekła? Praktycznie jesteś już pomnikiem.

- Wyjątkowo złośliwa istota - orzekł i ujął w dłoń harmonijkę. - To gadanie o osiągnięciach całego życia - wymruczał między akordami.

- Bezczelność, prawda? - Uściśnęła go. - Johnno, przecież tak naprawdę nie martwisz się swoim wiekiem.

Spojrzał na nią spode łba i dalej grał bluesa. Ktoś podjął rytm na basie.

- Zobacysz kiedyś, jaka to frajda dopływać do pięćdziesiątki.

- Jagger jest starszy.

Wzruszył ramionami. Miękkim basem włączył się bęben.

- To nie dość - powiedział i wrócił do grania.

- Jesteś przystojniejszy.

Rozważał to przez chwilę.

- Prawda.

-I w nim nigdy nie byłam zadurzona.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Nadal jesteś, prawda?

- Jestem. - Emma zepsuła wszystko, wybuchając śmiechem. Zaczęła śpiewać, improwizując: „Czuję tego rock'n'rollowego bluesa. Tego starego, starego bluesa. Włosy me siwe, więc kiedy rzekniesz »graj«, powiem

»spokój mi daj«. Momma, strzyka mnie w kościach dzisiaj! Czuję tego rock'n'rollowego bluesa. Staruszka bluesa."

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- No i jak, nadaję się?
- Cholerna z ciebie mądrała, prawda?
- Jak już mówiłam, praktykowałam u mistrza.

Nadal grał, kiedy zeskokczyła ze sceny i wycelowała w niego obiektyw.

- Ostatnie zdjęcie, zanim odejdę. - Pstryknęła, zmieniła kąt i pstryknęła ponownie. - Zatytułuję je: *Rockowa ikona*.

Roześmiała się, kiedy nazwał ją paskudą, po czym spakowała aparat.

- Mam ci powiedzieć, Johnno, czym jest rock'n'roll dla kogoś, kto nie gra, lecz obserwuje?

Machnął przyzwalająco harmonijką. Wtulił ją w dłonie i grał cichutko, patrząc na Emmę.

- Jest niespokojny i nieco prymitywny. - Emma podeszła i położyła mu dłoń na kolanie. - Jest odważny i buntowniczy. Jest pięścią wygrażającą czasowi. Głosem, który wykrzykuje pytania, ponieważ odpowiedzi zmieniają się tak często.

Spojrzała w górę na ojca, który stał koło Johnno, słuchając. Jej uśmiech ogarnął go całego.

- Młodzi grają go, szukając sposobu wyrażenia gniewu i radości, niepewności i marzeń. Od czasu do czasu, i tylko od czasu do czasu, znajdzie się ktoś, kto naprawdę rozumie, kto potrafi przekształcić te wszystkie pragnienia i uczucia w muzykę. Kiedy miałam trzy lata, zobaczyłam was na scenie. - Podniosła wzrok na Briana. - Nie wiedziałam nic o harmonii, rytmie i riffach. Ujrzałam tylko magię. Nadal ją widzę, Johnno, za każdym razem, gdy wychodziecie we czterech na scenę.

Przez chwilę bawił się miedzianym łańcuszkiem w jej uchu, potem puścił go w ruch obrotowy.

- Wiedziałem, że istnieje jakiś powód, dla którego trzymamy cię od tyłu lat. Daj nam buziaka.

Uśmiechnęła się, dotykając wargami jego ust.

- Zobaczymy się jutro. Powalicie ich wszystkich na kolana.

Zapadał zmrok, kiedy szła do samochodu. Musiało padać podczas tych paru godzin, które spędziła w auli. Ulice lśniły, było chłodno i mgliście. Nie chciała wracać do pustego domu, Michael znowu pracował do późna.

Ruszając, nastawiła głośno radio, jak zawsze, gdy wybierała się na przejażdżkę. Zabawi się przez parę godzin oglądaniem domów w świetle ulicznych latarni. Spróbuje zdecydować, czy chce zamieszkać na plaży, pośród wzgórz czy w kanionach?

Odpężona jechała wolno przed siebie, poddając się muzyce. Nie spojrzała we wsteczne lusterko i nie dostrzegła samochodu, który podążał za nią.

Michael stał przed tablicą w sali konferencyjnej i studiował swoją listę. Odkrył nowe powiązanie. Była to żmudna praca, żmudna i frustrująca, ale ujawnienie każdego nowego ognia zbliżało go do końca łańcuszka.

Jane Palmer miała wielu mężczyzn. Odnalezienie ich wszystkich zajęłoby mi resztę życia, pomyślał Michael. Ale odnalezienie jednego, którego nazwisko figurowało na liście, okazało się niezwykle satysfakcjonujące.

Użyła pieniędzy Briana, by przeprowadzić się z obskurnego mieszkania do większego, bardziej komfortowego lokum w Chelsea. Mieszkała tam od 1968 do 1971 roku, po czym kupiła dom na King's Road. Przez pół roku miała współlokatora, borykającego się z losem piosenkarza o nazwisku Blackpool.

Czyż to nie interesujące, myślał Michael, trąc piekące ze zmęczenia oczy, że kiedy McAvoyowie mieszkali na wzgórzach Hollywood, Jane Palmer prowadziła wspólne gospodarstwo z Blackpoolem? Z Blackpoolem, który tamtej grudniowej nocy zjawił się u McAvoyow na przyjęciu?

I czy to nie dziwne, że Jane nie wspomniała o kochanku w swojej książce? Wymieniła każde znane nazwisko, a Blackpool, w połowie lat siedemdziesiątych uznana gwiazda, nie doczekał się nawet wzmianki. Ponieważ, podsumował Michael, żadne z nich nie życzyło sobie, by pamiętano o ich związku.

McCarthy wsadził głowę w drzwi.

- Chryste, Kesselring! Ciągłe się tym bawisz? Chcę jeść!

- Robert Blackpool był kochankiem Jane Palmer od czerwca 1970 do stycznia 1971 roku.

- Obraza boska!

Michael wręczył mu z rozmachem teczkę.

- Chcę wiedzieć wszystko o Blackpoolu.

- A ja chcę czerwonego mięsa.

- Kupię ci stek - obiecał Michael.

- Wiesz co, partnerze? Ta cała historia zniszczyła twoje poczucie humoru. I mój żołądek. Blackpool jest wielką gwiazdą. Robi reklamy piwa, na litosć boska! Nie powiążesz go z dwudziestoletnią sprawą.

- Może nie, ale zawęziłem listę do ośmiu nazwisk. - Michael usiadł przy swoim biurku i wyciągnął papierosa. - Ktoś mi ukradł cholerną pepsi!

- Zadzwoń na policję! - McCarthy pochylił się ku niemu. - Mike, ja nie żartuję, przemęczasz się.

- Troszczysz się o moje zdrowie, Mac?

- Jestem twoim partnerem. Tak, troszczę się o ciebie i troszczę się o siebie. Kompletnie wypluty partner nie przyda mi się na nic podczas akcji.

Przez zasłonę dymu Michael przyjrzał się swojemu spółnikowi. Głos McCarthy'ego był niebezpiecznie łagodny.

- Znam się na swojej robocie.

Wkraczali na śliski grunt, McCarthy doskonale pamiętał, przez co przeszedł Michael w pierwszych latach służby.

- Jestem także twoim przyjacielem i mówię ci, jeżeli nie przyhamujesz na parę godzin, będziesz kompletnie bezużyteczny, nawet dla swojej pani.

Michael rozluźnił wolno pięści.

- Jestem już blisko. Wiem o tym. Mam wrażenie, że to nie zdarzyło się dwadzieścia lat temu, ale wczoraj. Jakbym tam był, śledził każdy krok.

- Zupełnie jak twój stary.

- Aha. - Michael oparł się łokciami o biurko i potarł dłońmi twarz. - Wariuję.

- Jesteś po prostu przepracowany. Zrób sobie parę godzin wolnego. Rozluźnij się.

Michael gapił się na papiery rozłożone na biurku.

- Kupię ci stek, a ty pomożesz mi prześwietlić Blackpoola.

- Umowa stoi. - McCarthy poczekał, aż Michael wbije się w kurtkę. - Może dasz mi jeszcze parę nazwisk? Marilyn zupełnie skapcianała i od tygodnia serwuje rybę.

- Dzięki.

Emma zatrzymała samochód i spojrzała na dom. Mgła podnosiła się z wolna. Nie mogła powiedzieć, że przyjechała tu świadomie. Wiele lat temu siedziała w samochodzie z Michaeliem i też patrzyła na dom. Świeciło wtedy słońce, przypominała sobie.

W oknach paliły się światła. Nie dostrzegła żadnego ruchu i zastanawiała się, kto tu teraz mieszka? Czy w jej pokoju albo w pokoju Darrena śpi jakieś dziecko? Miała nadzieję, że tak. Pragnęła wierzyć, że nie ciąży już na nim tragedia. Kiedyś opromieniał go przeciw śmiech. Miała nadzieję, że rozbrzmiewa również teraz.

To Johnno podsunął jej takie myśli, mówiąc o starzeniu się. Dla niej ciągle byli młodzikami z czasów jej dzieciństwa. Nie dostrzegała w nich mężczyzn, którzy przeżyli prawie ćwierć wieku, borykając się ze sławą i ambicjami, odnosząc sukcesy i porażki.

Zmienili się. Być może ona najbardziej z nich wszystkich. Nie czuła się już cieniem człowieka, który zdominował jej życie. Jeżeli stała się silniejsza, to dlatego, że poznała siebie.

Popatrzyła na dom wtulony we wzgórze i zapragnęła całym sercem, by mogła o nim dzisiaj śnić. Dzisiaj zajrzy do tego pokoju i pozna prawdę.

Zwolniła hamulec i ruszyła w dół wąskiej drogi. Wiedziała, że pół roku temu nie miałyby odwagi przyjechać tutaj sama, żeby analizować swoje uczucia. To było cudowne, nie bać się.

Reflektory rozbłyły we wstecznym lusterku tak blisko, tak nagle, że oślepiła podniosła dłoń do oczu.

Pijany debil, pomyślała, rozglądając się za miejscem, gdzie mogłaby zjechać i przepuścić go.

Kiedy najechał na nią, zacisnęła odruchowo dłonie na kierownicy. Ale parę sekund szoku sporo ją kosztowało. Odrzuciło ją w prawo i przemknęła niebezpiecznie blisko barierki. Szarpiąc kierownicą w lewo, usłyszała pisk opon na mokrym asfalcie. Prześlizgnęła się bokiem przez następny zakręt. Serce waliło jej młotem.

- Dupek! - Emma drżącą ręką otarła strużkę krwi płynącą z zagryzionej wargi. Światła oślepiły ją znowu, a siła kolejnego uderzenia sprawiła, że pas bezpieczeństwa wpił jej się w piersi.

Nie było czasu na myślenie, na panikę. Zahaczyła błotnikiem o metalową barierkę nad przepaścią. Tamten samochód został z tyłu, a ona próbowała wyprowadzić wóz z poślizgu. Ujrzała drzewo, wielki dąb, i z całej siły szarpnęła kierownicą w prawo. Dysząc ciężko, pokonała dwa zakręty, naciskając i zwalniając hamulce.

Nadjechał znowu. Uchwyciła cień samochodu, wrył jej się w pamięć, zanim jego światła odbiły się ponownie we wstecznym lusterku. Choć oczekiwała uderzenia, krzyknęła głośno.

Nie był pijany. I nie był głupi. W jakiejś części jej umysłu zrodził się krzyk grozy. Ktoś próbował ją zabić. Nie miała urojeń, nie nękały jej pozostałości dawnych lęków. To działało się naprawdę. Widziała światła, słyszała chrzęst metalu, czuła, jak opony ślizgają się po mokrej nawierzchni.

Samochód podjechał od lewej, spychając ją ku przepaści. Słyszała swój krzyk, kiedy docisnęła gaz i rzuciła się w następny zakręt.

Nie ucieknie mu. Zamrugała, by usunąć mgłę zasnuwającą oczy, i próbowała myśleć. Jego samochód był większy i szybszy. I ścigający zawsze ma przewagę nad ściganym. Droga wyżłobiona w zboczach nie pozwalała na manewry, mogła tylko jechać w dół.

Zbliżał się. Widziała ciemny zarys samochodu. Podkradał się bliżej i bliżej, jak pająk do swojej ofiary. Pokręciła głową, wiedząc, że za chwilę zepchnie ją na pobocze i dalej w dół.

W desperacji rzuciła się w lewo, zaskakując go. To dało jej chwilę, nie więcej. Ale kiedy natarł ponownie, ujrzała światła z naprzeciwka.

Modląc się, wykorzystała swoją ostatnią szansę i nacisnęła pedał gazu. Jadący ku niej samochód zatańczył na szosie. Usłyszała pisk opon i wycie klaksonu. W lusterku wstecznym mignął czarny kształt. Zobaczyła jeszcze, jak jej prześladowca skręca gwałtownie w prawo.

Przez chwilę była sama za zakrętem. Potem rozległ się głuchy łoskot. Złał się z jej krzykiem, kiedy pędziła w dół szosą ku światłom L.A.

McCarthy miał rację. Po godzinie odpoczynku i gorącym posiłku Michael nie tylko poczuł się lepiej, ale zaczął jaśniej myśleć. Jako gliniarz w drugim pokoleniu, miał nie tylko własne kontakty, ale również kontakty ojca. Zadzwonił do pokerowego partnera Lou, który pracował w Urzędzie Imigracyjnym, do swojego człowieka w urzędzie komunikacyjnym, wykorzystał nazwisko ojca, rozmawiając z FBI, i własne w rozmowie z inspektorem Carlsonem w Londynie.

Nikt nie był specjalnie zachwycony rozmowami służbowymi o tej godzinie, ale po gorącym posiłku Michael przypomniał sobie, że posiada urok osobisty.

- Wiem, że to niezgodne z przepisami, inspektorze, i przykro mi, że przeszkadzam. Och, mój Boże! Zupełnie zapomniałem o różnicy czasu! Naprawdę mi przykro. No cóż, potrzebuję pewnych informacji. Robert Blackpool. Aha, ten Blackpool. Muszę się dowiedzieć, kim był przed 1970 rokiem. To mi pozwoli odnaleźć brakujące elementy. - Michael zanotował sobie w pamięci, żeby zadzwonić do Pete'a Page'a. Wszystko, co pan znajdzie. Nie wiem, czy już coś mamy, ale będzie pan pierwszym...

Urwał, zobaczywszy Emmę, która wbiegła na salę. Wzrok miała szklisty, a na skroni smużkę krwi. Opadła na krzesło przed jego biurkiem.

- Ktoś próbuje mnie zabić.

Bez słowa przerwał rozmowę z inspektorem Carlsonem.

- Co się stało?! - Był już przy niej, ujął jej twarz w dłoń.

- Na drodze, na wzgórzach... samochód... próbował mnie zepchnąć.

- Jesteś ranna? - Michael dotykał jej gorączkowo, szukając złamań.

Usłyszała inne głosy. Otaczały ją ze wszystkich stron. Telefon dzwonił, dzwonił, dzwonił. Światła zaczęły krążyć wokół niej. W ich ślady poszedł pokój i osunęła się z krzesła na podłogę.

Na głowie poczuła coś zimnego. Jęknęła, wyciągając ku temu czemuś rękę, i otworzyła oczy.

- Już dobrze - powiedział Michael. - Straciłaś na chwilę przytomność. Wypij. To tylko woda.

Połknęła łyżeczek, opierając głowę o jego ramię. Czuła zapach Michaela. Znow była bezpieczna. Jakimś cudem znow była bezpieczna.

- Chcę usiąść.

- Okay. Wolniutko.

Rozejrzała się. Była w gabinecie ojca Michaela. Widziała ten pokój, kiedy kilka dni temu przyszła do Michaela do pracy. Gabinet był bardzo skromny. Brązowy dywan, oszklone ściany. Spuszczone żaluzje. Uporządkowane biurko ze zdjęciem żony. Matki Michaela. Popatrzyła dalej i ujrzała szczupłego, łysiejącego mężczyznę.

- Pan jest partnerem Michaela.



- McCarthy.

- Spotkaliśmy się parę dni temu.

Skinął głową. Była wstrząśnięta, ale myślała jasno.

- Emmo! - Michael dotknął jej policzka, chcąc, żeby na niego spojrzała.

- Powiedz nam, co się stało.

- Myślałam, że mam urojenia.

- Jakie?

- Że ktoś na mnie poluje. Czy mogę wypić tę wodę?

- Jasne. - Ponieważ jej dłonie drżały, nakrył je własnymi i przytrzymał szklanekę. - Kto?

- Nie wiem. Zanim wyjechałam z Londynu... Może jednak miałam urojenia.

- Opowiedz mi o tym.

- Myślałam, że ktoś mnie śledzi. - Emma zerknęła na McCarthy'ego, czekając, żeby na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania albo zdziwienia. Ale McCarthy siedział po prostu na brzegu biurka i słuchał. - Byłam tego niemal pewna. Po tylu latach z ochroniarzami takie rzeczy się po prostu wie. Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Nie musisz - powiedział Michael. - Mów dalej.

Popatrzyła na niego i nagle zapragnęła zaszlochać, ponieważ on jej wierzył. Jemu nigdy nie będzie musiała nic wyjaśniać.

- W Nowym Jorku zobaczyłam mężczyznę, który obserwował mieszkanie. Byłam pewna, że tata wynajął kogoś. Ale kiedy go o to zapytałam, zaprzeczył, więc uznałam, że się pomyliłam. Pierwszego dnia po powrocie do L.A. śledził mnie samochód.

- Nic mi nie powiedziałaś.

- Miałam zamiar, ale... - urwała znowu. - Wróciłeś do domu zdenerwowany. A potem niemal o tym zapomniałam. Nie podobała mi się myśl, że wariuję. Wydawało mi się, że ktoś wchodzi do domu, kiedy ja wychodzę, że telefon wydaje dziwne dźwięki, jakby był na podsłuchu. - Emma przytknęła oczy. - Typowe symptomy paranoi.

- Nie bądź głupia!

Omam się nie uśmiechnęła. Nigdy nie pozwoli jej użalać się nad sobą zbyt długo.

- Nie mogę udowodnić, że to miało coś wspólnego z dzisiejszym incydentem, ale czuję to.

- Czy chcesz rozmawiać o tym teraz? - Michael dawał jej czas. Ręce Emmy przestały drżeć, oczy straciły szklisty wyraz.

- Tak. - Wziąwszy głęboki oddech, opowiedziała im wszystko, co zapamiętała z wydarzeń na szosie. - Nie zatrzymałam się - kończyła. - Nie wiem, czy ktoś został ranny. Ten drugi samochód. Pomyślałam o nim dopiero, kiedy tu dojeżdżałam.

- Postąpiłaś słusznie. Sprawdź to - poprosił McCarthy'ego. - Emma, przyjrzałaś się kierowcy?

- Nie.

- A samochodowi?

- Tak. - Była już spokojna. - Specjalnie patrzyłam, starając się zapamiętać wszystkie szczegóły, które udało mi się uchwycić. Miał kolor granatowy albo czarny. Nie znam się na markach i modelach, ale był spory. Większy od mojego. Myślę, że to mógł być cadillac albo lincoln. Miał rejestrację L.A. MBE. Ale nie udało mi się dostrzec numerów.

- Świetnie się spisałaś. - Michael ją pocałował. - Teraz ktoś odwiezie cię do szpitala.

- Niepotrzebny mi szpital.

Przesunął opuszką palca wzdłuż jej skroni.

- Masz gruchę na czole,

- Nawet jej nie czułam. - Ale czuła teraz, wyraźniej, niżby sobie życzyła. - Nie pojedę. - Trwała przy swoim. - Mam dość szpitali do końca życia.

- Dobrze. W takim razie ktoś odwiezie cię do domu i pozostanie z tobą.

- Ty nie możesz?

- Muszę to sprawdzić - zaczął, po czym podniósł wzrok na McCarthy'ego, który stanął w drzwiach.

- Musi pani być piekielnie dobrym kierowcą, panno McAvoy.

- Emmo - poprawiła go. - Za bardzo się bałam, żeby być złym.

- Mike! Mogę cię prosić na chwilę?

- Siedź spokojnie. Zaraz wracam - powiedział Emmie, wstając. Wyraz twarzy McCarthy'ego kazał mu zamknąć za sobą drzwi. - No?

- Nie wiem, jak jej się udało wyjść z tego w jednym kawałku. Samochód wygląda, jakby zajął trzecie miejsce w wyścigach gruchotów. - Położył mimochodem rękę na ramieniu Michaela. Nie sądził, żeby partner był gotów dokonać oględzin osobiście. - Kazałem chłopakom posprawdzić szpitala. Właśnie przyjęli nagły wypadek. Ofiara katastrofy samochodowej na wzgórzach. Musieli wyciąć faceta z nowiutkiego cadillaca. Blackpool - powiedział i zobaczył, jak oczy Michaela się zwięzają. Jest nieprzytomny.

## Rozdział 44

Jesteś pewna, że starczy ci sił? - Johnno przyjrzał się Emmie uważnie, kiedy stanęła u podnóża schodów.

- A czy na to nie wyglądam? - Okręciła się wolno. Ciemnoniebieska suknia odkrywała ramiona i część pleców, po czym spływała ku dołowi, migocząc setkami koralików.

Włosy, podpięte dwoma lśniącymi grzebieniami, piętrzyły się w zawiłych falach. Na klapie srebrzystego żakietu, który trzymała w rękę, rozkładał skrzydła złoty feniks.

- Lepiej nie skomentuję twojego wyglądu. - Mimo to przesunął kciukiem po bliźnie na skroni, którą próbowała zatuszować pudrem. - Miałaś ciężką przeprawę parę dni temu.

- To już minęło. - Emma podeszła do stołu, by nalać mu kieliszek wina. Po chwili wahania nalała także sobie. - Blackpool nie może mnie dosięgnąć ze szpitalnego łóżka. - Podała mu kieliszek. - Michael uważa, że był zamieszany w morderstwo Darrena. Z całą pewnością nie można tego wykluczyć, ale dopóki nie wyjdzie z zapaści, jeżeli w ogóle wyjdzie, nie zdobędziemy pewności. Próbowałam wyobrazić go sobie w pokoju Darrena, ale po prostu nie pamiętam.

- Był tam jeszcze ktoś - przypomniał jej.

- I dlatego mam na dzisiejszy wieczór najbardziej seksowną ochronę w mieście?

Uśmiechnął się znad krawędzi szklanki.

- Wątpię, czy zastąpię ci Michaela.

Odstawiła prawie nietknięty kieliszek i sięgnęła po wizytową torebkę.

- Nie musisz zastępować mi nikogo. A Michael przyjdzie, jeżeli mu się uda. Gotowy?

- Jak zawsze. - Johnno ofiarował jej ramię, bardzo uroczyście i zaprowadził do limuzyny.

- Zachowaj te skromne minki dla kogo innego - powiedziała. - Tak się składa, że znam tę cechę twojego charakteru. Pławisz się w blasku reflektorów jak salamandra w ogniu.

To była prawda. Johnno usadowił się na miękkich poduszkach, wdychając z lubością zapach skóry i kwiatów. Ale dręczył go niepokój.

- Myślałem, że znam drania - powiedział częściowo do siebie. - Nie lubiłem go specjalnie, ale sądziłem, że go znam. Najbardziej gnębi mnie to, że napisałem jego pierwszy przebój.

- Trochę głupio zamartwiać się tym teraz.

- Jeżeli miał coś wspólnego ze śmiercią Darrena... - Kręcąc głową, wyciągnął papierosa. - Brukowce będą pisały o tym latami.

- Poradzimy sobie. - Położyła dłoń na jego ręce. - I tak wszystko wyjdzie na jaw. Udział Jane i Blackpoola. Musimy po prostu nauczyć się z tym żyć.

- Brianowi jest ciężko. Musi przejść przez to jeszcze raz.

- Teraz jest silniejszy. - Emma dotknęła broszki w klapie żakietu. Chyba wszyscy jesteśmy.

Podniósł jej dłoń do ust.

- Wiesz, jeżeli dasz Michaelowi kosza, chyba zastanowię się nad zmianą swojego... stylu.

Roześmiała się. Zadzwoił telefon i podniosła słuchawkę.

- Halo, Michael.

Johnno oparł się o poduszki i patrzył, jak uśmiech rozpromienia jej twarz.

- Tak. Właśnie rozważam propozycję małżeńską od bardzo atrakcyjnego mężczyzny. Nie, Johnno. - Zakryła ręką słuchawkę. - Michael kazał ci powiedzieć, że ma wtyczkę w urzędzie komunikacji i może zamienić twoje życie w piekło.

- Przerzucę się na autobusy - postanowił Johnno.

- Tak. Będziemy w teatrze o czwartej. Ceremonia już się rozpoczęła.

- Załuję, że mnie tam nie ma - powiedział Michael. Rzucił okiem w głąb szpitalnego korytarza, w stronę oddziału intensywnej terapii. - Jeżeli nastąpi tu jakaś zmiana, spotkamy się w auli.

- Nie martw się tym.

- Łatwo ci powiedzieć. To była moja jedyna szansa, żeby przejechać się limuzyną i otrzeć o bogatych i sławnych. Gdybyś za mnie wyszła, mógłbym to robić raz w tygodniu.

- Dobrze.

Zobaczył lekarza idącego korytarzem.

- Dobrze, co?

- Wyjdę za ciebie za męża.

Przesunął ręką po włosach i przyłożył słuchawkę do drugiego ucha.

- Słucham?

Uśmiechnęła się głupawo do Johnno, ściskając go za rękę.

- Czyżbyśmy mieli złe połączenie?

- Nie, ja... Cholera, poczekaj. - Zakryła słuchawkę i przez chwilę rozmawiała z lekarzem. - Emmo, muszę iść. Blackpool się budzi. Nie zapomnij na czym stanęliśmy, okay?

- Nie zapomnę. - Odłożyła słuchawkę w chwili, gdy Johnno odkorkował szampana.

- Czy tym razem zostanę zaproszony?

- Co? A tak, tak, oczywiście. - Sama nieco ogłupiała, gapiła się na kieliszek w swojej dłoni. - To było takie łatwe.

- Jak zawsze, gdy sprawa dotyczy właściwego człowieka. - Trochę oszołomiony, stuknął się z nią kieliszkiem. - Za najszczęśliwszego mężczyznę, jakiego znam!

- Na pewno nam się uda. - Emma sączyła powoli, pozwalając, by wino eksplodowało jej na języku. - Uda się. - Rozmarzona opadła na poduszki i nawet nie pomyślała o Blackpoolu.

Michael o nim myślał. Stał w nogach łóżka i przyglądał się człowiekowi, który próbował zabić Emmę. Nie wyszło mu to na zdrowie. Jego twarz przestała praktycznie istnieć. Jeżeli przeżyje, będzie musiał przejść serię operacji, by ją odtworzyć. Zważywszy obrażenia wewnętrzne, jakie odniósł w wypadku, widoki na przeżycie miał marne.

Michaelowi było dokładnie wszystko jedno, czy facet umrze, czy przeżyje. Potrzebował tylko pięciu minut.

Otrzymał już raport na temat przeszłości Blackpoola. Był nieco ogólny, ale zawarte w nim informacje wystarczyły mu w zupełności. Mężczyzna odzyskujący przytomność na oddziale intensywnej terapii urodził się jako Terrance Peters. We wczesnej młodości miał na koncie drobne kradzieże, chuligaństwo, posiadanie narkotyków. Skala dokonywanych przestępstw rosła, w miarę jak przybywało mu lat. Jako osiemnastolatek napadał, najchętniej na kobiety, handlował narkotykami i rabował. Potem zmienił nazwisko i próbował szczęścia, śpiewając w nocnych lokalach. Pozwolił, by Londyn go pochłonał, i choć policja próbowała powiązać jego osobę z szeregiem napadów rabunkowych, potrafił się z tego wykręcić.

Wszystko obróciło się na lepsze, kiedy poznał Jane Palmer.

A w ostatecznym rozrachunku na gorsze, pomyślał Michael. Zajęto nam to dwadzieścia lat, ty skurwielu, ale w końcu cię dopadliśmy.

- W żadnym razie nie będzie w stanie mówić - ostrzegł lekarz. - Musi okrzepnąć.

- Będę się streszczał.

- Nie mogę zostawić pana z nim samego.

- Świetnie. Zawsze przyda się świadek. - Zbliżył się do łóżka. - Blackpool!

Blackpool łypnął okiem, zamknął powieki, a po chwili łypnął ponownie.

- Chcę porozmawiać z tobą o Darrenie McAvoyu.

Blackpool z trudem otworzył oczy. Pokój falował, sople bólu wbijały mu się w mózg.

- Jesteś gliną?

- Zgadza się.

- Odpieprz się. Ja cierpię.

- Zaraz ozdrowiejesz. Trochę ci zaszkodziła ta przejażdżka. Prawdę mówiąc, niewiele ci brakuje.

- Chcę lekarza!

- Jestem doktor West, panie Blackpool. Jest pan.

- Niech ten skurwiel zejdzie ze mnie!

Michael pochylił się bardziej.

- To jest odpowiednia chwila, by oczyścić sumienie.

- Nie mam sumienia. - Blackpool próbował się roześmiać, ale tylko się skrzywił.

- Więc może chciałbyś przypiąć je komu innemu. Wiemy o tobie, wiemy, że spieprzyłeś porwanie dzieciaka.

- Przypomniała sobie. - Kiedy Michael nie odpowiedział, Blackpool zamknął oczy. Nawet poprzez ból czuł nienawiść i furję. - Wygląda na to, że dziwka przypomniała sobie mnie, a nie jego. To będzie gładka robótka, powiedział mi. Bierzesz dzieciaka, zgarniasz okup. Nawet nie chciał forsy. A kiedy wszystko się popieprzyło, po prostu zwinął żagle. Powiedział, żebym zrobił z tym porządek. Z tym facetem w kuchni zamawiającym pizzę. Miałem go tylko słuchać, zachować spokój, by dostać wszystko, czego chciałem.

- Kto? - nalegał Michael. - Kto był z tobą?

- Dał mi tysiąc funtów. Oczywiście nie był to milion, który mieliśmy dostać za dzieciaka, ale też ładna sumka. Miałem tylko zachować spokój i pozwolić mu działać. Dzieciak nie żył, dziewczyna nic nie pamiętała. Jest w szoku, mówili. Biedna Emma była w szoku i nic nie pamiętała. Nikt się nigdy nie dowie, a ja miałem dostać się na szczyt. Po plecach McAvoya.

Zaśmiał się i przez chwilę walczył o oddech.

- Musi pan już odejść.

Michael strząsnął z ramienia dłoń lekarza.

- Nazwisko, do cholery! Podaj mi nazwisko. Kto?

Blackpool ponownie otworzył oczy. Były przekrwione, zażawione i nadal na wpół przytomne.

- Idź do diabła!

- Umrzesz za to, co zrobiłeś - powiedział Michael przez zęby. - Albo tutaj, na tym łóżku, albo w komorze gazowej, najzupełniej legalnie. Ale umrzesz. Możesz odejść sam albo możesz zabrać go ze sobą.

- Zdejmiesz go?

- Osobiście.

Blackpool przymknął oczy z uśmiechem.

- To był Page. Pete Page. Powiedz mu, że zobaczymy się w piekle.

Emma patrzyła, jak drzwi na scenę otwierają się i zamykają. Za parę godzin przejdzie przez te po prawej stronie i podejdzie do mikrofonu.

- Jestem zdenerwowana - powiedziała do Bev. - To głupie. Muszę tylko stanąć na podium, odczytać nazwiska i wręczyć nagrodę.

- Miejmy nadzieję, że własnemu ojcu i Johnno. Chodźmy do garderoby. Są tak zajęci, że nie zdążyli z niej skorzystać.

- Nie chcesz iść na widownię? - Emma zerknęła na zegarek. - Za dziesięć minut się zacznie.

- Jeszcze nie. - Łups! - Przepraszam, Annabelle.

Emma żałowała, że nie zabrała aparatu. Widok był niezwykły - lady Annabelle w ognistoróżowym, ociekającym cekinami jedwabiu, zmieniająca pieluchę.

- Nic nie szkodzi. Wygląda już zupełnie przyzwoicie. - Uniosła młodego Samuela Fergusona w ramionach. - Wpadliśmy tu na szybkie jedzonko i przewinięcie. Nie mogłam zostawić go z niańką i pozwolić, by ominął go wielki wieczór jego ojca.

Emma spojrzała na sennie oczęta.

- Chyba nie dotrwa.

- Potrzebuje tylko maleńkiej drzemki. - Annabelle wtuliła nos w brzuszek małego, po czym ułożyła go na kanapie. - Mogłybyście popilnować go przez chwilę? Muszę znaleźć RM.

- Możesz nam zaufać - mruknęła Bev, pochylając się, by pogłaskać maleństwo po główce.

- Wróć najdalej za dziesięć minut. - Annabelle zawahała się w drzwiach. - Jesteście pewne? Jeżeli się obudzi...

- Zabawimy go - obiecała Bev.

Annabelle rzuciła dziecku ostatnie spojrzenie i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Czy ktoś mógłby sobie wyobrazić lady Annabelle w roli oddanej matki?

- Dzieci zmieniają ludzi. - Bev przysiadła na poręczu kanapy, patrząc na śpiącego Samuela. - Chciałam porozmawiać z tobą w cztery oczy.

Odruchowo Emma podniosła dłoń do szramy na skroni.

- Nie ma się czym przejmować.

Widząc jej gest, Bev skinęła głową.

- O tym także, ale jest jeszcze coś. Nie wiem, jak to przyjmiesz. - Jeden głęboki oddech i Bev wypaliła: - Będziemy mieli z Brianem dziecko.

Emma gapiła się na nią z otwartymi ustami.

- Dziecko?

- Tak, wiem. Nas też to zaskoczyło, mimo że próbowaliśmy od jakiegoś czasu. - Podniosła rękę do włosów. - Po tych wszystkich latach, to chyba szaleństwo. Mam już prawie czterdzieści dwa lata.

- Dziecko - powtórzyła Emma.

- Nie, żeby zastąpiło Darrena - powiedziała Bev szybko. - Nic go nie może zastąpić. I wiesz przecież, że kocham cię, jak tylko można kochać córkę, ale...

- Dziecko! - Śmiejąc się, Emma chwyciła Bev i przytuliła mocno. - Och, jak się cieszę! Jestem taka szczęśliwa. Za was, za siebie! Za nas wszystkich. Kiedy?

- Pod koniec lata. - Bev wysunęła się z ramion Emmy, by zajrzeć córce w twarz. To co ujrziała sprawiło, że łzy napłynęły jej do oczu. - Baliśmy się, że to cię może zdenerwować.

- Zdenerwować? Dlaczego miałabym się zdenerwować?

- To budzi wspomnienia. Brian i ja musimy się z nimi uporać. Nigdy nie sądziłam, że będę chciała mieć drugie dziecko, ale, Emmo, tak bardzo

go pragnę. Chcę go tak bardzo, dla siebie, dla Bri, ale... Wiem, jak kochałaś Darrena.

- Wszyscy go kochaliśmy. - Emma położyła rękę na brzuchu Bev, tak jak zrobiła to przeszło dwadzieścia lat temu. - Już je Kocham. Będzie piękne, silne i bezpieczne.

Słowa jeszcze nie przebrzmiały, kiedy zgasło światło. Dawny strach chwycił Emmę za gardło. Szybko sięgnęła na oślep, szukając dłoni matki.

- Wszystko w porządku - powiedziała Bev. — Za chwilę je włączą.

- Nic mi nie jest. - Ten strach również pokonam, powiedziała sobie. Ten ohydny, znenawidzony lęk przed ciemnością. - Może to zgasło tylko tutaj, za kulisami. Pójdę zobaczyć.

- Pójdę z tobą.

- Nie. - Emma zrobiła krok w stronę drzwi. Widziała tylko ich niewyraźny zarys. Tylko cień w ciemności. Drgnęła, słysząc szelest. Dziecko się kręci, powiedziała sobie, czując, jak zasycha jej w ustach. Nie ma potworów, a ona nie boi się ciemności.

Odnalazła klamkę, ale zamiast ulgi ogarnął ją szalony, niedorzeczny strach. Ujrzała siebie, jak otwiera drzwi. Otwiera i zagłada do środka. Dziecko płakało. Czując zawrót głowy, próbowała zrozumieć, czy to dziecko za jej plecami płacze, czy Darren w jej umyśle?

Instynktownie cofnęła rękę. Nie otworzy ich. Nie chce zobaczyć. Echo własnego serca pulsowało jej w głowie jak muzyka. Stara piosenka, której nie mogła zapomnieć.

To nie sen, przypomniała sobie. Była zupełnie przytomna. I niemal przez całe życie czekała, by zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Zesztywniałymi palcami otworzyła drzwi, w rzeczywistości i w swoim umyśle. I zobaczyła.

- O mój Boże!

- Emmo. - Bev, huśtając dziecko w ramionach, wyciągnęła ku niej rękę. - Co się stało?

- To był Pete.

- Co? Pete jest na korytarzu?

- Był w pokoju Darrena.

Palce Bev zacisnęły się na jej ramieniu.

- Co ty mówisz?

- Był w pokoju Darrena tamtej nocy. Kiedy otworzyłam drzwi, odwrócił się i spojrzał na mnie. Ktoś inny trzymał Darrena tak mocno, że płakał. Nie znałam go. Pete uśmiechnął się do mnie, ale był bardzo zły. Uciekłam. Dziecko płakało.

- To Samuel płakał - szepnęła Bev. - To nie Darren, Emmo. Chodź, usiądź.



- To był Pete. - Zjęciem przycisnęła dłonie do twarzy. - Widziałam go.  
- Miałem nadzieję, że sobie nie przypominisz.  
Opuściła dłonie i zobaczyła go w drzwiach. W jednej ręce trzymała latarkę, w drugiej pistolet.

Przyciskając dziecko do siebie, Bev wpatrywała się w cień mężczyzny.

- Nie rozumiem. Co tu się dzieje?

- Emma jest przemęczona - powiedział Pete cicho, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. - Będzie lepiej, jeżeli pójdzie ze mną.

Nie, powiedziała sobie. To się nie stanie po raz drugi. Rzuciła się na Page'a, zanim zdążyła zrozumieć, co robi. Latarka wypadła mu z dłoni, omiatając ściany i sufit dzikimi łukami światła.

- Uciekaj! - krzyknęła do Bev, próbując się podnieść. - Bierz dziecko i uciekaj! Zawołaj kogoś. On je zabije! - Kopnęła Pete'a, który wyciągnął po nią ręce. - Nie pozwól, żeby zabił kolejne dziecko! Sprowadź tatę!

Z płaczącym Samuelem w ramionach, Bev pobiegła ku głośnomówiącej scenie.

- Za późno - powiedziała Emma, kiedy Pete postawił ją na nogi. - Złapią cię. Będą tu lada chwila.

Reflektory już rozjaśniły scenę. Zbliżyły się ku nim krzyki, odgłosy szybkich kroków. Zrozpaczony, pociągnął Emmę za sobą. Przystała walczyć, czując na szyi lufę pistoletu.

- Wiedzą, że to ty.

- Emma mnie nie widziała - wymamrotał do siebie. - Było ciemno. Nie może być pewna. - Musiał w to uwierzyć. Musiał. Albo wszystko się skończyło.

- Ja wiem. - Emma skrzywiła się z bólu, kiedy powłókł ją w górę schodów. - Wszyscy wiedzą. Już idą, Pete. Skończyło się.

Nie, to niemożliwe. Pracował tak ciężko, planował tak starannie.

- O tym ja zdecyduję. Wiem, co zrobić. Mogę to naprawić.

Byli już ponad sceną. Daleko w dole widziała światła, biegających ludzi. Okręcił sobie jej włosy wokół dłoni.

- Jeżeli krzykniesz, zabiję cię.

Musiała coś wymyślić. Pete dalej ciągnął ją za sobą. Potknęła się, a kiedy poderwał ją na nogi, wyszarpnęła z zakietu broszkę i upuściła ją na ziemię. Chwytnąjąc się ostatniej szansy, Pete wepchnął Emmę do windy towarowej. Potrzebował czasu. Czasu!

To miało być takie łatwe. Chciał dopaść ją w ciemnościach, w ogólnym zamieszaniu. Tabletki ciągle spoczywały w jego kieszeni. Zamierzał zmusić Emmę, by je połknęła. Wszystko powinno pójść sprawnie i gładko.

Nic nie poszło sprawnie.

Zupełnie jak za pierwszym razem.

- Dlaczego? - Walcząc z zawrotem głowy, Emma osunęła się na podłogę. - Dlaczego zrobiłeś to Darrenowi?

Pot spływał po nim ciurkiem, mocząc świeżą, wykrochmałoną koszulę.

- Nie chciałem mu zrobić krzywdy. Nikomu. To miał być tylko chwyt reklamowy.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Co?!

- Twoja matka podsunęła mi tę myśl. - Spojrzał na nią. Nie powinna sprawić mu kłopotu. Była blada jak ściana. Zawsze chorowała w samolotach, w windach. Na dużych wysokościach. Rzucił okiem na tablicę z przyciskami. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Zaraz zacznie się występ zespołu otwierającego koncert. Przedstawienie musi toczyć się dalej, myślał. Iluzja jest głównym punktem programu. Podczas gdy miliony ludzi w całym kraju patrzą jak przemysł nagraniowy klepie się z uznaniem po plecach, paru zdezorientowanych strażników szuka Emmy za kulisami. A on ma czas, by pomyśleć. Zaplanować następne posunięcie.

Winda zatrzęsała się i stanęła.

- O czym ty mówisz?

- O Jane. Zawsze domagała się pieniędzy, grożąc ujawnieniem takiej czy innej historyjki. Martwiła mnie na początku, dopóki nie zrozumiałem, że reklama wokół twojej osoby oznacza boom płytowy. - Pete dźwignął ją na nogi. Przelewała mu się przez ręce, umęczona nudnościami, zlaną zimnym potem. Coraz lepiej. Ściskając ramieniem jej szyję, wciągnął ją na kolejną kondygnację schodów.

Musi go zachęcić do mówienia. Niech mówi jak najdłużej. Walczyła z chorobą i strachem. Bev uciekła, zabrała dziecko. Ktoś przyjdzie tu za nią.

Nie bał się już, że zacznie krzyczeć. Tutaj i tak nikt jej nie usłyszy, nawet gdyby zdarła sobie płuca. Kopniakiem otworzył drzwi i wypchnął Emmę na dach. Wiatr uderzył ją w twarz, targając włosy. I rozjaśniając jej w głowie.

- Mówiliśmy o Darrenie. - Cofała się z oczami utkwionymi w jego oczach. Słońce nadal świeciło jasno. Jak to możliwe, by trwał ciągle dzień, skoro tak długo przebywałam w ciemnościach? - pomyślała mgliście. - Muszę wiedzieć, dlaczego. - Emma cofnęła się aż pod niską ściankę i zachwiała, spojrzawszy w dół. Zaciskając zęby, odwróciła się znów do Pete'a. - Powiedz mi, dlaczego byłeś w pokoju Darrena.

Może spełnić jej zachciankę i odpowiedzieć. Jemu też sprawi to przyjemność. Na chwilę niemal stracił panowanie nad sytuacją ale już wróciła mu zdolność trzeźwego myślenia. Znajdzie jakiś sposób, żeby się z tego wykręcić.

- Na początku wszystko szło jak z płatka. Potem zaczęło się psuć. Mieliliśmy również problemy wewnętrzne. Chłopcy potrzebowali czegoś, co by nimi wstrząsnęło. Jane przyszła do mnie z Blackpoolem. Chciała, żebym uczynił z niego gwiazdę, większą od Briana. I chciała swojej działki. Upiła się. - Machnął ręką. - W każdym razie przedstawiła mi pewną propozycję, Ułożyliśmy plan porwania Darrena. Prasa pożarłaby to żywcem. Mnóstwo współczucia, mnóstwo sprzedanych płyt. Zespół wzięłby się w kupę. Blackpool i Jane zgarnęliby forszę i wszyscy byłiby szczęśliwi.

Nie myślała już o wysokości ani o pistolecie. Gapiła się na niego, czując, jak wiatr rozwiewa jej włosy, a słońce grzeje w plecach.

- Mówisz mi, że mój brat został zabity, żeby płyty lepiej się sprzedawały?

- To był wypadek. Blackpool okazał się nieudolny. Ty weszłaś. Niefortunny zbieg okoliczności.

- Niefortunny zbieg... - Dopiero wtedy krzyknęła głośno, z całych sił, i rzuciła się przed siebie.

## Rozdział 45

Kiedy Michael wpadł za kulisy, panował tam chaos. Z widowni dobiegł radosny wrzask tłumu. Ogłoszono nazwisko kolejnego laureata.

- Zabraw ją. - Bev czepiała się ramienia Briana. Nadal dyszała ciężko po szalonym biegu z dzieckiem w ramionach. - Ma pistolet. Odciągnęła go, żebym mogła zabrać dziecko i wezwać pomoc. Pete - powiedziała, nadal oszołomiona. - To Pete.

- Upłynęło nie więcej niż parę minut - dodał Brian. - Ochroniarze już go szukają.

- Zablokuj wejścia do budynku - krzyknął Michael do McCarthy'ego. - Wezwij posiłki. Trzeba przeszukać piętra. Którędy?

Pobiegł korytarzem, wyciągając broń. Błysnął odznaką strażnikowi.

- To piętro jest sprawdzone. Nie wyszedł ani sam, ani z nią. Musiał zabrać ją na górę.

- Potrzebuję dwóch ludzi. - Michael ruszył w górę schodów, odwrócony plecami do ścian. Słyszał muzykę pulsującą w dole. Kiedy wspiął się wyżej, nabrała głuchego brzmienia. Dłonie miał wilgotne. Wypadł zza pierwszego rogu, omiatając bronią przestrzeń przed sobą. Odwrócił się błyskawicznie, słysząc szelest za plecami, i zaklął na widok czterech mężczyzn zbitych w gromadkę. - Wracajcie na dół!

- Ona jest również nasza - powiedział Brian.
- Nie mam czasu na dyskusje. - Michael podniósł z podłogi broszkę w kształcie feniksa. W zapięciu tkwił strzęp srebrzystego materiału. - Czy to Emmy?
  - Nosiła ją dzisiaj - odparł Johnno. - Dostała to ode mnie.  
Michael popatrzył na drzwi windy, po czym wsunął broszkę do kieszeni.  
- Rusza głową- szepnął. - Odetnijcie ten teren! - krzyknął do ochro-  
----- . - I dalej przeszukujcie piętra. - Nacisnął przycisk windy i patrzył,  
jak rozbłyskują numerki nad drzwiami. - Powiedzcie McCarthy'emu, że za-  
brał ją na samą górę. - Modlił się, słuchając dudnienia windy.
    - Jedziemy z tobą-powiedział Brian.
    - To sprawa policji.
    - To sprawa osobista - zaproponował Brian. - Zawsze była osobista.  
Jeżeli zrobi jej krzywdę, zabiję go własnymi rękami.  
Michael obrzucił ponurym wzrokiem czterech mężczyzn.
      - Będziecie musieli ustawić się w kolejce.

Pete odepchnął Emmę, rzucając ją na ziemię i próbował odzyskać oddech.

- To się na nic nie zda. Nie chcę cię skrzywdzić bardziej, niż muszę, Emmo.

- On był dzieckiem. - Dźwignęła się na nogi. - Kiedy się urodził, dałeś mu srebrny kubeczek z jego imieniem. Wynająłeś kucyka na urodzinowe przyjęcie.

- Lubiłem go.

- Zamordowałeś go!

- Nawet go nie tknąłem. Blackpool wpadł w panikę i stracił wycucie w rękach. Nigdy nie chciałem skrzywdzić tego chłopca.

Odgarnęła z twarzy potargane wiatrem włosy.

- Chciałeś go po prostu wykorzystać, wykorzystać strach i cierpienie mojego ojca dla jakiejś cholernej reklamy. O, widzę to - dodała. - Synek Briana McAvoya porwany z kołyski. Gwiazda rocka płaci królewski okup za bezpieczny powrót ukochanego syna. O to ci chodziło, prawda? Mnóstwo prasy, mnóstwo czasu antenowego o dwudziestej trzeciej. Dziennikarze słoczeni przed bramą czekają na oświadczenie przerażonych rodziców. A potem jeszcze więcej reklamy, kiedy dziecko wraca w stęsknione ramiona. Ale on nigdy nie wrócił, prawda?

- To był tragiczny...

- Nie mów mi o tragedii! - Zbyt rozwścieczona, by czuć strach, odwróciła się do niego plecami. Wiedziała, że broń jest wycelowana w nią, ale nie miało to już większego znaczenia. Po tych wszystkich latach w końcu sobie

przypomniała i prawda pozostawiła w niej uczucie pustki. Jeszcze gorsza była świadomość, że wszystko poszło na marne. - Byłeś na pogrzebie z nami wszystkimi, stałeś ze spuszczonej oczami i uroczystą miną, wiedząc, że plan się udał. Chłopiec umarł, niestety, ale ty dostałeś to, co chciałeś. - Odwróciła się. - Sprzedałeś swoje cholerne płyty.

- Poświęciłem zespołowi niemal połowę życia. - Pete wziął głęboki, kojący nerwy oddech. - Stworzyłem ich i ukształtowałem. Załatwiałem kontrakty, wysłuchiwałem ich problemów. Rozwiązywałem je. Jak myślisz, kto czuwał nad tym, by otrzymali wszystko, co najlepsze? Kto pilnował, by wytwórnicy ich nie kantowali? Kto walczył, by wspięli się na szczyt?

Postąpiła krok w jego stronę. Tliło się w niej jeszcze dość chęci przetrwania, więc zatrzymał ją ruch broni.

- Myślisz, że oni cię potrzebowali? - cisnęła mu w twarz. - Naprawdę wierzysz, że coś znaczyłeś?

- Stworzyłem ich.

- Nie. To oni stworzyli ciebie.

Bez słowa sięgnął do kieszeni.

- W każdym razie to, co stanie się dzisiaj, doda nowy element do starej legendy. Brian i Johnno otrzymają najprawdopodobniej nagrodę za Piosenkę Roku. Przy odrobinie szczęścia zespół podłapie jeszcze parę innych: dla Najlepszego Wykonawcy Roku, Płytę Rockową i Najlepszą Płytę. Pomyślałem, że będzie to miły akcent, jeżeli ty wręczysz nagrody. Córka Briana, tragiczna wdowa po Latimerze. Tragedie się sprzedają. - Wzruszył ramionami. - Dzisiaj będziemy mieli kolejną. - Wyciągnął rękę, Spoczywały na niej dwie tabletki. - Weź je. Są bardzo mocne. Będzie mi dużo łatwiej.

Spojrzała na pigułki, potem znów na jego twarz.

- Niczego ci nie ułatwię.

- Jak wolisz. - Wrzucił je do kieszeni. - Na dół daleka droga, Emmo. - Chwyć ją i trzymaj przy sobie na skraju dachu. - Zanim spadniesz, będę w połowie schodów. - Już to rozpracował, spokojnie, precyzyjnie. - Kiedy zgasły światła, poszedłem zobaczyć, czy wszystko z tobą w porządku, ale ty zupełnie straciłaś panowanie nad sobą. Zaniepokojony, pobiegłem za tobą aż tutaj. Wpadłaś w histerię. Nie mogłem cię uratować. Tyle lat, a ty ciągle obwiniałaś się za śmierć brata. Nie mogłaś już żyć z tą świadomością. - Obrócił Emmę przodem ku przepaści. Jeden z jej grzebieni wysunął się z włosów i poleciał w pustkę. - Nikt nie wie, tylko ty. I nikt się nigdy nie dowie.

Wpiła mu paznokcie w ciało, próbując odsunąć się od krawędzi. Pete stracił równowagę i przez chwilę była wolna. Potem zamknął ramię wokół jej talii i zaczął ją podnosić.

Straciła grunt pod nogami, czuła, że balansuje w powietrzu i zrzuciła cały ciężar ciała na Pete'a. Ziemia i niebo zawirowały jej w oczach. Zaczęła krzyczeć.

Michael otworzył drzwi w biegu. Krzyknął, ale nie usłyszeli go, zwarci w śmiertelnej walce. Zobaczył, jak Pete unosi broń i sam szybko nacisnął spust.

Emma uderzyła brzuchem o beton, tracąc oddech, Wczepione w nią ręce ciągnęły ją w dół, aż zawisła połową ciała nad krawędzią. Zamroczone, ujrzała poniżej twarz Pete'a, jego szeroko rozwarłe, przerażone oczy. Dłonie mężczyzny ześlizgnęły się po niej. Pete spadał, spadał, a ona, pchnięta impetem upadku, ześlizgiwała się ku niemu.

Czyjeś ręce szarpnęły ją, odciągnęły od krawędzi. Pod nogami znowu poczuła grunt, ale ramiona nadal obejmowały ją, tuliły, trzymały z dala od przepaści. Poprzez dzwonienie w uszach usłyszała swoje imię. Ktoś powtarzał je w kółko.

- Michael. - Nie musiała patrzeć, po prostu opuściła głowę na jego ramię. - Michael, nie puszczaj.

- Nie puszczę.

- Przypomniałam sobie. - Dopiero teraz zaczęła szlochać. Przez łzy zobaczyła stojącego obok ojca. - Tatusiu, przypomniałam sobie. - Wyciągnęła ku niemu rękę.

Emma patrzyła w ogień, który Stevie rozpałił na kominku. Stał teraz przed paleniskiem, z rękami w kieszeniach i nie mówił nic. Przyjechali tu wszyscy - ojciec, P.M. i jego rodzina, Johnno. Bev robiła niezliczone dzbanki herbaty.

Choć nikt się nie odzywał, czuła, że szok przechodzi powoli w zdumienie. Były pytania, na które nigdy sobie nie odpowiedzą, błędy, których nigdy nie da się naprawić. Żale, które nigdy nie znikną całkowicie.

Ale przetrwaliśmy, pomyślała Emma. Szanse mieli niewielkie, pojedynczo i jako grupa, ale przetrwali. Nawet odnieśli triumf.

Wyszła na taras, gdzie stał samotnie Brian, patrząc na morze. Będzie cierpiał, pomyślała Emma. Taką już ma naturę. Bierze problemy do serca i cierpi, niezależnie od tego, czy są to problemy jego, czy świata. A potem, w jakiś cudowny sposób, zmienia ten ból w coś, co będzie można wygrać na gitarze, klawiaturze, na flecie i skrzypcach. Podeszła do niego i złożyła mu głowę na ramieniu.

- Był jednym z nas - odezwał się po chwili. - Był z nami od początku.

- Wiem.

- Kiedy zobaczyłem, że trzyma cię w swoich łapach, chciałem go zabić. A teraz... - Brian patrzył, jak światło księżycy drga na falach. - Trudno mi uwierzyć, że to się stało naprawdę. Dlaczego? - Odwrócił się, biorąc ją w ramiona. - Na litość boską, dlaczego on to zrobił?

Przytuliła się do niego, wsłuchana w szum morza. Nie mogła powiedzieć mu prawdy. Gdyby ją poznał, nigdy już nie mógłby tworzyć muzyki.

- Nie wiem. Będziemy zadawali sobie to pytanie bez końca i nigdy nie uzyskamy odpowiedzi. - Odsunęła się. - Tato, musimy zostawić to za sobą. Nie zapomnieć, tylko zostawić za sobą.

- Nowy początek?

- Boże, nie! - Uśmiechnęła się. - Za nic w świecie nie chciałabym zaczynać od początku. W końcu wiem, gdzie jestem i dokąd zmierzam. Nie muszę się już bać. Nie muszę się zastanawiać. I mogę przestać się obwiniać, ponieważ tym razem nie uciekłam.

- Nie ponosiłaś żadnej winy, Emmo.

- Nikt z nas nie ponosił winy. Chodź do środka. - Emma poprowadziła go ku ciepłu i światłu. W milczeniu podeszła do telewizora i nacisnęła przycisk. - Chcę usłyszeć twoje nazwisko.

RM. dotknął jej ramienia.

- Emmo! - Nie mogąc znaleźć słów, przytulił tylko jej dłoń do policzka.

- No, koledzy! Chwila się zbliża. - Kiedy odczytywano nazwiska kandydatów do nagrody za Najlepszą Piosenkę Roku, Johnno położył rękę na ramieniu Briana.

Emma wstrzymała oddech. Usłyszała: Brian McAvoy i Johnno Donovan, i się roześmiała.

- Gratulacje! - Otoczyła ich obu ramionami. - Och, tak pragnęłam wręczyć wam tę nagrodę.

- W przyszłym roku. - Johnno złożył na jej ustach mocny, krótki pocałunek.

- Obiecujecie? To bardzo ważne - powiedziała, ściskając dłoń Briana. - To coś oznacza. Nie pozwólmy, by to, co się stało, zaciążyło na nas.

- Nie pozwolimy. - Brian się odprężył. Emma patrzyła, jak uśmiech obejmuje jego oczy. Zarzucił Johnno rękę na ramię. - Nieźle, jak na starzejących się rockowców.

- Uważaj, co mówisz, Bri! - Johnno mrugnął do Emmy. - Jagger jest starszy. - Na odgłos dzwonka uniósł pytająco brwi. - Czyżby to ten maślanooki, zadurzony gliniarz?

- Zamknij się, Johnno - powiedziała Emma łagodnie, śpiesząc do drzwi. Conroy deptał jej po piętach. - Michael!

- Przepraszam, że to tak długo trwało. - Przytrzymał psa za obrozę, żeby nie skakał. - Okay?

- Jasne. - Pochyliła się, by podrapać Conroya po łbie. Srebrne krople na jej sukience załśniły. - Właśnie składaliśmy sobie wzajemnie gratulacje. Tato i Johnno zdobyli Piosenkę Roku.

- Właśnie wychodziliśmy. - Bev już otulała się szalem. Jeszcze nigdy nie widziała mężczyzny, który bardziej niż Michael chciał zostać z kobietą sam na sam. - W kuchni jest herbata - dodała, rzucając panom ponagląjące

spojrzenie. Zanim Emma zdążyła zaprotestować, Bev przytuliła ją mocno. - Czas jest zbyt cenny, by go tracić - szepnęła. - Michael. - Otoczył ją ramionami. - Dziękuję - powiedziała cicho. Uśmiechnęła się. - Witaj w królestwie chaosu.

Wychodzili gęsiego. Znudzony Conroy prychnął i poszedł spać pod ścianę.

- Niezła z nich grupa - oświadczył Michael, kiedy drzwi się w końcu zamknęły. - Kalambur niezamierzony.

- Tak, to prawda. Nie masz nic przeciwko temu, żeby zjeść z nimi wszystkimi jutro kolację?

- Nie. - Jutro nie obchodziło go w najmniejszym stopniu. Myślał tylko o dniu dzisiejszym. O tym, jak ona wygląda, jak pachnie, jak się do niego uśmiecha. - Chodź do mnie. - Wyciągnął ramiona. Kiedy się w nich znalazła, odkrył, że nie jest w stanie jej wypuścić. Sądził, że się uspokoił podczas tych godzin, które upłynęły. Ale teraz, gdy miał ją przy sobie, wszystko wróciło ze zdwojoną siłą.

Omal jej nie stracił.

Czuła, jak z każdą chwilą narasta w nim gniew.

- Nie - szepnęła. - To minęło. Tym razem naprawdę minęło.

- Mogłabyś zamilknąć na chwilę? - Przycisnęła usta do jej warg, mocno, jakby chciał się przekonać, że naprawdę jest cała, bezpieczna, że jest jego. - Gdyby on...

- Ale nie zrobił tego. - Uniosła obie dłonie do jego twarzy. - Uratowałeś mi życie.

- Aha. - Odsunął się, wpychając ręce w kieszenie. - Jeżeli już musisz okazać mi wdzięczność, mogłabyś zrobić to możliwie szybko?

Przechyliła głowę.

- Nie mieliśmy okazji porozmawiać.

- Przykro mi, że nie mogłem wrócić z tobą do domu.

- Rozumiem. Może i dobrze się stało. To pozwoliło nam trochę ochłonić.

- Jeszcze się z tego nie otrząsałem. - Nadal ją widział, balansującą nad krawędzią dachu. Chcąc uciec przed tym obrazem, zaczął przemierzać pokój. - Więc jak ci minął dzień?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie po prostu świetnie.

- Miluško. A tobie?

Wzruszył ramionami i dalej spacerował, biorąc do ręki różne przedmioty i odstawiając je na miejsce.

- Emma, wiem, że jesteś zmęczona.

- Nie jestem.

- I pora marna.

- Nie. - Znowu się uśmiechnęła. - Wcale nie.



Odwrócił się ku niej. Była taka piękna w sukni spływającej do ziemi, z odbłaskiem ognia we włosach, na skórze.

- Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Nie mieliśmy czasu, by pozwolić życiu po prostu się toczyć. Chciałbym móc powiedzieć, że jestem gotów dać ci ten czas. - Michael wziął do ręki kryształowego motyla i odłożył go z powrotem.

- Michael, gdybym chciała czasu, wzięłabym go sobie. - Podeszła ku niemu. - Ale ja chcę tylko ciebie.

Michael odetchnął głęboko i sięgnął do kieszeni po małe pudełeczko.

- Kupiłem to wiele miesięcy temu. Chciałem dać ci na Gwiazdkę, ale bałem się, że możesz tego nie przyjąć. Wykombinowałem sobie, żeby zrobić to metodą tradycyjną. Obiad przy świecach, muzyka, odpowiedni wystrój wnętrza. Już chyba trochę za późno na powrót do tradycjonalizmu.

- Masz zamiar mi to dać czy nie?

Skinął głową i podał jej pudełeczko.

- Chcę coś powiedzieć, zanim je otworzę. - Emma uważnie badała jego twarz. - Gdyby to się stało pięć lub sześć lat temu, nie umiałabym docenić tego tak, jak doceniam dzisiaj.

Dłonie jej drżały. Zmagając się z opornym wieczkiem, wydała niecierpliwe westchnienie.

- Och, Michael! To jest piękne! - Spojrzała na niego znad pierścionka. - Skończenie piękne.

- A co myślałaś?! Bierz go i mamy to z głowy.

Zakrztusiła się śmiechem.

- To najbardziej romantyczne oświadczyzny, o jakich kobieta może marzyć.

- Oświadczałem ci się o parę razy za dużo. - Ujął jej głowę w dłoń. - A co powiesz na to? - Pocałunek był delikatny, czuły, obiecujący. - Nikt nigdy nie będzie kochał cię bardziej niż ja. Proszę tylko o całe życie, by móc to udowodnić.

- Tak lepiej. - Emma zamrugała powiekami, by strząsnąć z nich łzy. - O wiele lepiej. - Wyjęła pierścionek z pudełeczka. - Dlaczego aż trzy? - zapytała, przesuwając palcem po trzech złączonych ze sobą brylantowych kołach.

- Jedno jest twoim życiem, drugie moim. - Michael wyjął jej pierścionek z ręki i wsunął na palec. - A trzecie życiem, które wspólnie stworzymy. Od dawna jesteśmy ze sobą związani.

Skinęła głową, potem wyciągnęła ku niemu ramiona.

- Chcę zacząć ten trzeci krąg, Michael. Od razu.

KONIEC